

VALERIO MASSIMO MANFREDI

Urodził się w roku 1943, z wykształcenia jest filologiem klasycznym — specjalizuje się w topografii świata antycznego. Uczestniczył w wielu wyprawach archeologicznych, wykładał na uniwersytetach m.in. w Mediolanie, Chicago, Wenecji, Paryżu. Jest także publicystą i scenarzystą filmowym. Napisał kilkanaście powieści historycznych tłumaczonych na wiele języków, m.in. *Lo scudo di Talos* (1988), *Uracolo* (1990), *La torre della solitudine* (1996), trylogię o Aleksandrze Wielkim (*Alexandros*, 1998). Mieszka w swoim domu na wsi w regionie Modeny.

VALERIO MASSIMO MANFREDI

OSTATNI LEGION

Dla Dina

Fecisti patriam diversis gentibus unatn.
Rutilius Namatianus, *De reditu suo*, 63

PODZIĘKOWANIA

Oddając do druku „Ostatni legion” pragnę podziękować Carlowi Carlei i Peterowi Raderowi, wraz z którymi pracowałem nad tym pomysłem z zamiarem przekształcenia go później w scenariusz filmowy. Ich cenne uwagi znacznie wzbogaciły tę opowieść.

Są to wspomnienia Myrdina Emreisa, druida ze świętego lasu Glewa, zwanego przez Rzymian Meridiusem Ambrosiusem, spisane dla potomnych, aby nie zapomnieli o wydarzeniach, których byłem ostatnim świadkiem.

Dawno już wszedłem w wiek późnej starości i nie potrafię pojąć, dlaczego moje życie trwa, mimo że przekroczyło granice, jakie natura wyznacza zwykle ludzkim istotom. Może anioł śmierci o mnie zapomniał albo chce mi zostawić czas, bym odpokutował za moje ciężkie grzechy, których było wiele. Przede wszystkim grzech pychy. Pyszniłem się bowiem bardzo bystrym umysłem danym mi przez Boga i z próżności pozwoliłem, by ludzie uwierzyli w legendy o moim jasnowidztwie, a nawet o mocy, jaką mogą posiadać tylko Najwyższy Stwórca i święci. O tak, oddawałem się także sztukom zakazanym, wypisanym przez dawnych pogańskich kapłanów z tego świata na korze drzew, nie czyniąc wszakże nic złego. Bo przecież nie może być niczym złym słuchanie głosów naszej starej najwyższej Matki Natury, szumu wiatru w liśtowiu, szemrania strumyka wiosną czy szeleszczenia liści jesienią, kiedy poprzedzające zimę spokojne zachody słońca ubierają wzgórza i równiny w piękną jaskrawą czerwień.

Pada śnieg. W powietrzu tańczą ogromne białe płatki przykrywające nieskazitelnie białym płaszczem wzgórza, które otaczają wieńcem tę cichą dolinę, tę samotną wieżę. Czy tak właśnie wygląda Kraina Wiecznego Spokoju? Czy taki

właśnie obraz będziemy zawsze widzieli oczyma duszy? Jeśli tak, śmierć byłaby słodka, a przejście do miejsca ostatecznego pobytu łagodne.

Ileż to czasu minęło? Jakże daleko w tyle zostały burzliwe dni pełne krwi i nienawiści, potyczki, ostatnie podrygi ginącego świata, który zawalił się na moich oczach, chociaż wierzyłem, że jest nieśmiertelny i wieczny. Teraz zaś, gotów do zrobienia ostatecznego kroku, czuję potrzebę, by przedstawić historię tego umierającego świata i opowiedzieć, jak los rzucił ostatni kwiat z owego wyschłego drzewa na odległą ziemię, aby zapuścił w niej korzenie i dał początek nowej erze.

Nie wiem, czy anioł śmierci da mi aż tyle czasu ani czy to stare serce wytrzyma przeżywając na nowo uczucia, które były tak silne, że o mało go nie złamały, kiedy było o wiele młodsze. Ogrom tego zadania wszakże wcale mnie nie przeraża. Czuję, że fala wspomnień wznosi się niczym przypyływ między podwodnymi skałami Carvetii, czuję, jak powracają odległe wizje, o których sądziłem, że zbladły niczym wypłowiwały ze starości fresk.

Wydawało mi się, że chwycenie za pióro i skreślenie kilku znaków na dziewiczym welinie wystarczy, by odtworzyć tę historię, by opowieść popłynęła niczym potok wśród łuk podczas wiosennych roztopów, myliłem się jednak. W głowie kłębi się zbyt wiele wspomnień, w gardle ściska ogromna kula, dłoń zaś opada bezsilnie na białą kartę. Najpierw trzeba przywrócić blask kolorom, wskrzesić tamte obrazy, tamto życie i głosy, które zdławił czas. Niczym dramaturg przedstawiający w swych tragediach sceny, których nigdy nie przeżył, będę musiał odtworzyć także to, co nie stało się moim udziałem.

Nad wzgórzami Carvetii pada śnieg. W otulającej wszystko białej ciszy powoli gaśnie ostatnie światło dnia.

I

*Dertona, obóz Legionu Nova Invicta,
Anno Domini 476, ab Urbe condita 1229*

Kiedy przez spowijającą dolinę mgłę jęło się przebijać światło dnia, nad łańcuchem górskim, niczym strażnicy, wyłoniły się nagle cyprysy. W rosnących przy ściernisku suchych krzakach mignął jakiś cień, po czym natychmiast rozplynął się jak sen. W tej samej chwili gdzieś z odległego domostwa rozległo się pianie koguta zapowiadające szary, ponury dzień, lecz zaraz umilkło, jakby wchłonięte przez mleczone opary. Przez gęstą mgłę przebijały się jedynie ludzkie głosy.

— Zimno.

— Wilgoć przenika aż do kości.

— To z powodu mgły. Nigdy w życiu nie widziałem tak gęstej mgły.

— Racja. Na dodatek jeszcze nie przynieśli jadła.

— Może nic już nie zostało.

— Nawet kropelki wina na rozgrzewkę.

— I od trzech miesięcy nie dostajemy żołądu.

— Dłużej tego nie ścierpię; na wszystkich bogów, cała sytuacja jest nie do zniesienia. Prawie co roku nowy cesarz, barbarzyńcy we wszystkich punktach dowodzenia, a teraz na dodatek szczyt bezsensu: młokos zasiadający na tronie cesarów, Romulus Augustus! Trzynastoletni dzieciak, któ-

ry nie ma nawet siły utrzymać berła, będzie decydował o losach świata, a przynajmniej Zachodu. Nie, naprawdę mam już tego dosyć, odchodzę. Przy pierwszej lepszej okazji rzucam wojsko i udaję się na jakąś wyspę paść kozy albo obrabiać kawałek ziemi. Nie wiem, jak wy, ale ja już postanowiłem.

Kiedy powiała łagodna bryza, mgła rozrzedziła się nieco odsłaniając grupkę żołnierzy skupionych wokół ogniska. Czekali, aż skończy się ich ostatnia warta. Rufus Watrenus, Hiszpan z Saguntu, weteran wielu bitew, dowódca straży, zwrócił się do swego towarzysza, jedyne, który nie odezwał się dotąd ani słowem.

— A co ty, Aureliusz, o tym myślisz? Csy podzielasz moje zdanie?

Aureliusz pogrzebał czubkiem miecza w ognisku wzniciając na nowo płomień, który wystrzelił z sykiem wzbijając snop iskier w mlecznej mgle.

— *Zawsze byłem tylko żołnierzem, zawsze służyłem w legionie. Cóż innego mógłbym robić?*

Zapadła długa cisza; mężczyźni popatrzyli sobie w oczy, czując zmieszanie i jakiś niejasny niepokój.

— Zostaw go — powiedział Antoninus, stary podoficer. — Nigdy nie odejdzie z wojska; zawsze było częścią jego życia. Już nawet nie pamięta, co robił, zanim się zaciągnął, po prostu nie pamięta, żeby robił coś innego. Przyznasz mi słuszność, Aureliuszu?

Zagadnięty wciąż milczał, jednakże w blasku dogasającego żaru widać było, jak w jego oczach przemknął cień smutku.

— Aureliusz rozmyśla o tym, co nas czeka — stwierdził Watrenus. — Sytuacja znowu wymknęła się spod kontroli. Z tego co wiem, barbarzyńskie oddziały Odoakra zbuntowały się i najechały na Pawic, gdzie schronił się Orestes, ojciec cesarza. Teraz Orestes wycofał się z Placencji i liczy na to, że z naszą pomocą zdoła przemówić barbarzyńcom do rozumu i uratować zagrożony tron małego Romulusa Augustusa. Ale nie jestem pewien, czy to wystarczy. Właściwie wcale w to nie wierzę,

jeśli chcecie znać moje zdanie. Jest ich trzy razy więcej niż nas i...

— Wy też to słyszeliście? — wpadł mu w słowo jeden z żołnierzy, który znajdował się najbliżej palisady.

— To z pola — odrzekł Watrenus lustrując wzrokiem prawie opustoszałe obozowisko i pokryte szronem namioty. — Nasza warta się skończyła; pewnie nadchodzi dzienna zmiana.

— Nie! — zaprzeczył Aureliusz. — To odgłos z zewnątrz. Słyszeć galop.

— To jazda — dodał Kanidiusz, legionista z Arelate.

— Barbarzyńcy — stwierdził Antoninus. — Nie podobają mi się to.

W tej samej chwili z mgły wynurzyli się okazali jeźdźcy na ciężkich sarmackich wierzchowcach pokrytych metalowymi łuskami. Podążali wąską białą drogą, wiodącą od wzgórz do obozowiska. Na głowach mieli metalowe hełmy w kształcie stożka ozdobione kitami, po bokach zwisały im długie miecze, we mgle falowały ich blond i rude czupryny. Nosili czarne płaszcze i nogawice z tej samej surowej wełny w ciemnym kolorze. Za sprawą odległości i mgły wyglądali niczym demony, które uciekły z piekieł.

Aureliusz wychylił się przez palisadę, by przyjrzeć się hufcowi, który był coraz bliżej.

— To wojska sprzymierzonych armii cesarskiej, składające się z Herulów i Skirów — oświadczył. — Przekłęci ludzie Odoakra. Nie zapowiadają nic dobrego. Co tu robią o tej porze i dlaczego nikt nas nie uprzedził o ich przybyciu? Idę powiedzieć dowódcy.

Rzucił się ku schodom, po czym przebiegł przez obozowisko w kierunku pretorium. Maniliusz Klaudianus, blisko sześćdziesięcioletni weteran, który za młodu walczył u boku Aecjusza przeciwko Attyli, już był na nogach, kiedy zaś Aureliusz wpadł do jego namiotu, przypinał właśnie do pasa pochwę od miecza.

— Panie, zbliża się do nas oddział wojsk sprzymierzonych Herulów i Skirów. Martwi mnie to nikt nas nie uprzedził o ich przyjeździe.

— Mnie też to martwi—odrzekł oficer. — Każ ustawić się straży w szyku i otworzyć bramę; zobaczymy, czego chcą.

Aureliusz pobiegł do palisady i rozkazał Watrenusowi, by wystawił oddział łuczników, po czym udał się do wartowni, ustawił żołnierzy, których miał do dyspozycji, kazał otworzyć bramę główną i wyszedł razem z dowódcą. Jednocześnie polecił obudzić kolejno wszystkich żołnierzy bez hałasu i ryku trąb. Wódz zjawił się w pełnym rynsztunku i hełmie na głowie, co oznaczało, że znalazł się w strefie wojny. Po obu jego bokach stała straż, nad którą górował ramionami i głową nie odstępujący go ani na krok Korneliusz Batiatus, etiopski olbrzym o skórze czarnej jak smoła. Trzymał na ramieniu owalną tarczę, wykonaną na miarę, by mogła osłonić jego ogromne ciało. Z lewej strony zwisał mu rzymski miecz, z prawej zaś barbarzyński topór o dwóch ostrzach.

Hufiec barbarzyńców znajdował się zaledwie o kilka kroków, toteż jadący na przedzie mężczyzna podniósł rękę, by go zatrzymać. Miał gęste, długie rude włosy zaplecione w warkocze, plecy okrywał mu obszty lisim futrem płaszcz, hełm zaś zdobił wieniec małych srebrnych czaszek. Musiał być dość ważną osobistością. Nie zsiadając z konia przemówił do dowódcy z twardym gardłowym akcentem:

— Szlachetny Odoaker, naczelny wódz armii cesarskiej, rozkazuje ci, byś oddał mi dowództwo. Od tej chwili przejmuję dowodzenie tym oddziałem. — Rzuciwszy do jego stóp związany rzemieniem zwój pergaminu, dodał: — Tutaj jest twój rozkaz odejścia i następny przydział.

Aureliusz schylił się, by go podnieść, oficer jednak powstrzymał go władczym gestem. Klaudianus należał do starego arystokratycznego rodu, który mógł się poszczycić tym, że pochodzi w prostej linii od bohatera z czasów republiki, toteż zachowanie barbarzyńcy stanowiło dlań najcięższą zniewagę. Odpowiedział wszakże niewzruszony:

— Nie wiem, coś ty za jeden, i wcale mnie to nie obchodzi. Słucham wyłącznie rozkazów szlachetnego Flawiusza Orestesa, naczelnego wodza armii cesarskiej.

OSTATNI LEGION

Barbarzyńca zawołał do swoich ludzi:

— Brać go!

Żołnierze posłusznie spięli konie i ruszyli z obnażonymi mieczami; było oczywiste, że otrzymali rozkaz, by nie pozostawić przy życiu nikogo. Straż zareagowała natychmiast, na całym przedpiersiu wyłonił się łuczniczy z naciągniętymi cięciwami, którzy na znak Watrenusa wypuścili strzały z zabójczą celnością. Niemal wszyscy jeźdźcy z pierwszej linii polegli bądź zostali ranni, co wcale nie powstrzymało innych, którzy zeskoczyli na ziemię, by trudniej ich było trafić, po czym ruszyli ławą na oddział Klaudianusa. Batiatus rzucił się w kłębowisko niczym rozwścieczony byk i jał walić mieczem z całej siły. Jako że wielu barbarzyńców nigdy dotąd nie spotkało Murzyna, uciekali w popłochu na jego widok. Etiopski olbrzym obracał toporem wytrącając przeciwnikom miecze, przecinając na pół tarcze, odrąbując głowy i ręce.

— Jam jest Czarny Człowiek! — ryczał.—Nienawidzę tych piegowatych wieprzy!

W ferworze walki wysunął się jednak za bardzo do przodu, przez co odsłonił Klaudianusa z lewej strony. Aureliusz, który kątem oka dostrzegł ruch nieprzyjacielskiego wojownika, rzucił się ku dowódcy, za późno wszakże zadał cios toporem i włócznia barbarzyńcy zagłębiła się w ramieniu Klaudianusa. Aureliusz zaczął krzyczeć.

— Dowódca jest ranny! Dowódca jest ranny!

W tej samej chwili brama otworzyła się przepuszczając ciężką, zwartą piechotę w szyku bojowym. Barbarzyńcy rozpiechli się, nieliczni zaś, niedobitki, powskakiwali na konie i rzucili się do ucieczki. Minąwszy linię wzgórz, stanęli przed swym dowódcą, Skirą o imieniu Mled, który spoglądał na nich z wściekłością i pogardą. Wyglądali doprawdy żałośnie: powyszczerbiany oręż, podarte odzienie powalane krwią i błotem. Jadący na ich czele mężczyzna spuścił głowę.

— Zbuntowali się — oznajmił. — Powiedzieli „nie”.

Mled zaklął siarczyście, po czym zawołał adiutanta i kazał mu zarządzić zbiórkę; wkrótce przez warstwę mgły.

która okrywała wszystko niczym całun, przebił się dźwięk rogów.

Klaudianusa położono ostrożnie na stole, chirurg zaś zabrał się do wyciągania tkwiącej w jego ramieniu włóczni. Drzewce zostało już pocięte, by ograniczyć szkody, grot ugrzązł jednak tuż pod obojczykiem i istniało niebezpieczeństwo, że przebił płuco. Pomocnik rozgrzewał do czerwoności żelazo, by przypalić ranę.

Tymczasem z przedpiersia dochodziło wołanie o pomoc. Aureliusz porzucił infirmerię i wybiegłszy po schodach, stanął u boku Watrenusa, który wpatrywał się bez ruchu w horyzont. Całe wzgórze wznoszące się naprzeciw nich były aż czarne od wojowników.

— Bogowie — szepnął Aureliusz — są ich tysiące.

— Wracaj do dowódcy i powtórz mu, co się dzieje. Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakiś wybór, ale powiedz, że czekamy na rozkazy.

Aureliusz wszedł do infirmerii w chwili, gdy chirurg wyciągnął grot z ramienia rannego oficera. Twarz starego patrycjusza wykrzywił grymas bólu. Aureliusz postąpił naprzód.

— Panie, barbarzyńcy atakują. Są ich tysiące i szykują się do otoczenia obozu. Jakie są twoje rozkazy?

Krew sikała z rany na ręce i twarze chirurga oraz jego pomocników, którzy usiłowali ją zatamować, podczas gdy jeden z nich czekał już z rozpalonym żelazem. Chirurg wsadził je w ranę, Klaudianus zaś zaskowytał zaciskając zęby, żeby nie krzyżeć. Namiot wypełnił odór spalonego mięsa, z rozżarzonego żelaza zaś z sykiem unosił się gęsty dym.

Aureliusz powtórzył:

— Panie...

Klaudianus wyciągnął ku niemu wolną dłoń.

— Posłuchaj... Odoaker zamierza nas wybić do nogi, bo stanowimy dla niego przeszkodę, którą chce usunąć za wszelką cenę. Nasz legion to relik, ale nadal budzi strach; składa się wyłącznie z Rzymian, Italików i miesz-

kańców prowincji, a on doskonale wie, że nigdy nie posłucha jego rozkazów. Właśnie dlatego chce, żebyśmy wszyscy zginęli. Jedź czym prędzej do Orestesa i powiedz mu, że jesteśmy otoczeni, że rozpaczliwie potrzebujemy pomocy...

— Błagam, panie, wyślij kogoś innego — odrzekł Aureliusz. — Chciałbym zostać; tu są wszyscy moi przyjaciele.

— Nie, wykonaj rozkaz. Tylko ty potrafisz to zrobić. Ruszaj, póki most na Olubrii jest jeszcze w naszych rękach: to na pewno będzie ich najbliższy cel, żeby odciąć nam drogę do Placencji. Jedź, zanim zacisną obręcz, i pod żadnym pozorem się nie zatrzymuj. Orestes jest w willi poza miastem razem ze swoim synem cesarzem. A my spróbujemy się bronić.

— Wróć—przysięgł Aureliusz. — Trzymajcie się tak długo, jak zdołacie. — Odwrócił się. Stojący za nim *Batiatus wpatrywał się w wilczemu w trupio bladego* dowódcę spoczywającego na czerwonym od krwi stole. Nie miał serca wyjawić mu prawdy. Aureliusz wypadł z namiotu i podbiegł do stojącego na ganku Watrenusa.

— Rozkazał mi ściągnąć posiłki. Wróć, jak tylko będę mógł. Trzymajcie się, na pewno nam się uda.

Watrenus bez słowa skinął potakująco głową. W jego oczach nie było nadziei; gotował się po prostu, by umrzeć jak żołnierz.

Aureliusz nie zdążył powiedzieć nic więcej. Włożył dwa palce do ust i zagwizdał. Odpowiedziało mu rzenie, po czym do przedpiersia nadbiegł truchtem osiodłany gnidosz. Aureliusz wskoczył mu na grzbiet i pognął ku tylnej bramie. Watrenus rozkazał odsunąć rygle, po czym skrzydła bramy rozchyliły się tylko na tyle, by przepuścić rozpędzonego do galopu jeźdźca, i natychmiast zamknęły się za jego plecami. Watrenus śledził wzrokiem malejącą postać, konno podążającą ku mostowi na Olubrii. Oddział strzegący przejścia w okamgnieniu zorientował się w sytuacji, tym bardziej że spora grupa barbarzyńców oderwała się od wojska i puściła pędem w ich kierunku.

— Uda mu się? — zastanawiał się Kanidiusz spoglądając z przedpiersia.

— Wrócić? Może tak—odparł Watrenus. — Aureliusz to nasz najlepszy żołnierz. — Jednakże w jego głosie nie było słychać nadziei.

Ponownie przeniósł wzrok na Aureliusza, który galopem pokonywał pustą przestrzeń dzielącą obozowisko od mostu, i nagle spostrzegł, że z lewej strony wyłonił się kolejny hufiec barbarzyńców, dołączając do żołnierzy, którzy wyruszyli z prawej, by przeciąć drogę uciekinierowi. Aureliusz był jednak szybki jak wiatr, toteż odległość między obozowiskiem a rzeką zmniejszała się w błyskawicznym tempie. Położył się niemal płasko na grzbiecie konia, by nie wystawiać się na groty strzał, które wkrótce miały na niego polecieć.

— Biegnij, biegnij — powtarzał przez zęby Watrenus. — Biegnij, mały, no szybciej, szybciej... — W tej samej wszakże chwili zdał sobie sprawę, że pościg jest zbyt liczny i że wkrótce dopadnie mostu. Należało jakoś wesprzeć towarzysza broni. Zawołał więc: — Katapulty! — Strzelcy, którzy zdążyli pojąć, co się dzieje, wycelowali swe maszyny w barbarzyńską konnicę, zbliżającą się do mostu z prawej i lewej strony.

— Strzelać! — krzyknął Watrenus, po czym szesnaście katapult wyrzuciło ładunki w kierunku obu oddziałów, trafiając w sam środek. Jadący na czele pościgu żołnierze zwalili się na ziemię, zagradzając drogę następnym. Kolejni zostali przygnieceni przez konie, jeszcze inni padli pod ostrzałem obrony mostu. Najpierw zasypał ich grad strzał, wypuszczonych poziomo na wysokość człowieka, następnie las włóczni, które zakreśliły łuk. Wielu trafionych runęło na ziemię, podczas gdy konie przewracały się pociągając za sobą i miażdżąc jeźdźców, inni zaś rozpierzchli się czym prędzej z dzikim rykiem, nie chcąc stanowić zbyt łatwego celu.

Aureliusz znalazł się blisko stojących na moście towarzyszy. Rozpoznał Wibiusza Kwadratusa, z którym dzielił namiot, i zawołał:

OSTATNI LEGION

— Oślaniajcie mnie! Jadę po pomoc, ale wrócę!

— Wiem! — odkrzyknął Kwadratus i uniósł ramię dając w ten sposób znak swym kompanom, by przepuścili Aureliusza.

Jeździec przemknął między nimi jak błyskawica, most zaś zadrżał pod kopytami galopującego bez tchu wierzchowca. Gdy ich minął, natychmiast zwarli szyki, ich tarcze przyłgnęły do siebie z metalicznym chrzęstem. Pierwszy szereg klęcząc, następny stojąc, wycelowały przed siebie ostrza włócznie, opierając drzewce o ziemię. Barbarzyńscy jeźdźcy rzucili się na dzielny manipuł, ich wściekłość spadła niczym burza na ów ostatni bastion rzymskiej dyscypliny — stłoczeni ciasno z powodu wąskiego mostu, niektórzy z atakujących runęli gwałtownie na ziemię, reszta zaś wpadła na czekających na nich legionistów, którzy cofnęli się wprawdzie nieco pod ich naporem, lecz nie poddali się. Wielu jeźdźców nadziało się na włócznie, inni z kolei spięli spłoszone konie, popychając jadących przodem towarzyszy wprost na wycelowane ostrza. Potyczka zamieniła się w zażartą walkę na miecze. Obróńcy mostu doskonale wiedzieli, że każda chwila zwłoki na korzyść uciekającego Aureliusza może oznaczać ratunek dla całego oddziału, zdawali sobie także sprawę, jak ciężkie czekają ich tortury, jeśli zostaną pojmani żywcem. Walczyli zatem ze wszystkich sił, zagrzewając się nawzajem do boju okrzykami.

Tymczasem Aureliusz, dotarłszy na skraj polany, obejrzał się za siebie, po czym wjechał w gęsty dębowy las, ostatnią zaś rzeczą, jaką ujrzał, byli jego towarzysze padający pod niepowstrzymanym naporem wroga.

— Udało mu się! — zawołał obserwujący wszystko zza palisady Antoninus. — Już jest w lesie, nie dostaną go. Została nam jeszcze nadzieja!

— To prawda — przyznał Watrenus. — Nasi towarzysze na moście dali się posiekać, żeby umożliwić mu ucieczkę.

W tej samej chwili z infirmerii powrócił Batiatus.

— Jak się czuje Klaudianus? — zapytał Watrenus.

— Medyk przypalił mu ranę, ale powiada, że włócznia przebiła płuco. Dowódca pluje krwią i ma coraz silniejszą gorączkę. — Zaciśnął olbrzymie pięści i zwał szczęki. — Przysięgam, że pierwszego, który mi wpadnie w ręce, rozerwę na strzępy, zetrę na miążgę i zjem jego wątrobę...

Żołnierze spojrzeli nań z osłupieniem i zarazem podziwem, doskonale wiedzieli, że to nie są tylko czcze pogroźki.

Watrenus zmienił temat.

— Jaki dzisiaj dzień?

— Nony listopadowe — odparł Kanidiusz. — A co za różnica?

— Trzy miesiące temu Orestes szykował się do przedstawienia swojego syna w Senacie, a teraz musi go bronić przed atakiem Odoakra. Jeżeli Aureliuszowi dopisze szczęście, dotrze na miejsce w środku nocy. Posiłki mogłyby więc wyruszyć o świcie i przybyłyby tu za dwa dni. Jeżeli Odoaker nie zdążył jeszcze obstawić wszystkich przejść i mostów, jeżeli Orestes dysponuje jeszcze wiernymi oddziałami, które mogłyby natychmiast wyruszyć w drogę, jeżeli...

Jego słowa przerwał sygnał alarmu z wieżyczek strażniczych i wołanie:

— Atakują!

Watrenus poderwał się jak uderzony batem. Natychmiast przywołał chorążego.

— Wywiesić sztandar! Wszyscy na stanowiska! Katarpulty gotowe do strzału! Łucznicy na ostrokół! Legioniści z Nova Invicta, ten obóz to skrawek Rzymu, święta ziemia naszych przodków. Brońmy go za wszelką cenę! Pokażcie tym dzikim'bestiom, że honor rzymski nie umarł!

Chwyciwszy oszczep, zajął pozycję na przedpiersiu. W tej samej chwili nad wzgórzami rozległ się ryk masy barbarzyńców, po czym ziemia zadrżała pod wściekłym naporem tysięcy jeźdźców. Ciągnęli wozy i lawety, na nich zaś zaostrzone pale, którymi zamierzali przerwać obronę rzymskiego obozu. Rzymianie oparli się o ostrokół napina-

OSTATNI LEGION

jąc ciężki łuk, zaciskając kurczowo dłonie na drzewcach oszczepów. Pobladli z napięcia, z czołami zroszonymi mgłą i zimnym potem.

II

Stanąwszy w drzwiach swojej willi na wzgórzu, Orestes osobiście powitał gości: starszyznę miasta, senatorów, wysokich oficerów wojskowych wraz z towarzyszącymi im rodzinami. Wszędzie zapalono światła, właśnie szykowano się, by podać kolację — wszystko było gotowe do uczczenia trzynastych urodzin jego syna i trzeciego miesiąca od daty wstąpienia przezeń na tron. Długo się wahał, czy nie odłożyć uczy z powodu dramatycznej sytuacji spowodowanej buntami *Odoakra i jego wojsk składających się z Herulów i Skirów*, w końcu jednak postanowił nie zmieniać planów, by nie wzbudzać paniki. Przecież jego najbardziej zaprawiony w bojach oddział, *Nova Invicta*, wyszkolony na wzór starodawnych legionów, posuwał się naprzód w zawrotnym tempie; jego brat Paulus zbliżał się z *Rawenny* na czele innych doborowych wojsk, więc bunt zostanie wkrótce stłumiony.

Jego żona Flawia Serena wydawała się wszakże zmartwiona i w złym humorze. Orestes usiłował ukryć przed nią aż do tej chwili haniebną klęskę pod *Pawią*, obawiał się jednak, że wie ona o wiele więcej, niż na to wygląda.

Ponura i pełna melancholii trzymała się na uboczu przy drzwiach do *tablinum*, jej zachowanie zaś było dla Orestesa niczym gorzki wyrzut, Flawia bowiem sprzeciwiała się zawsze wstąpieniu *Romulusa* na tron, toteż uczyła irytowała ją ponad miarę. Orestes podszedł do niej starając się ukryć wewnętrzne rozdarcie i rozczarowanie.

— Dlaczego stoisz na uboczu? Jesteś panią tego domu i matką cesarza; powinnaś skupiać na sobie uwagę, być duszą towarzystwa.

Flawia Serena spojrzała na męża, jakby powiedział coś całkiem niedorzecznego, po czym odparła ostrym tonem:

— Chcesz zaspokoić własne ambicje narażając niewinne dziecko na śmiertelne niebezpieczeństwo.

— To nie jest dziecko, a prawie młodzieniec i wychowaliśmy go najlepiej jak mogliśmy, żeby został wielkim władcą. Rozmawialiśmy o tym po wielekroć, sądziłem więc, że przynajmniej dzisiaj oszczędzisz mi swoich dąsów. Tylko popatrz: nasz syn jest szczęśliwy. Jego nauczyciel Ambrozynus też jest zadowolony, a to mądry człowiek, któremu nawet ty zawsze ufałaś.

— Śniesz na jawie, Orestesie. Świat, który zbudowałeś, już wali się w gruzy. Barbarzyńskie wojska Odoakra, które miały umocnić twoją władzę, zbuntowały się i wszędy sięją tylko śmierć i zniszczenie.

— Zmuszę Odoakra do układów i podpisania nowego paktu. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Nawet im nie przystoi osłabiać Cesarstwa, od którego dostają ziemię i pieniądze.

Flawia Serena westchnęła i spuściła na chwilę wzrok, po czym wpatrując się w męża zapytała:

— Czy to prawda, co rozpowiada Odoaker? Czy to prawda, że obiecałeś mu trzecią część Italii i że nie dotrzymałeś słowa?

— To kłamstwo. On... on źle zrozumiał moje zapewnienia...

— To i tak raczej nie zmienia sytuacji: jak myślisz chronić naszego syna, jeśli on zwycięży?

Orestes chwycił jej dłonie. Odgłosy uczt wydawały się przytłumione, jakby wszystko toczyło się gdzieś daleko, zagłuszone niepokojem, który dręczył ich coraz uporczywiej niczym zły sen. W oddali zaszczekał pies, Orestes zaś poczuł, jak przez ręce żony przebiega dreszcz.

— Bądź spokojna—powiedział. —Nie mamy się czego lękać, a żebyś nabrała pewności, że możesz mi zaufać, zdradzę ci coś, o czym nigdy wcześniej nie wspominałem: w ostatnich latach w wielkiej tajemnicy utworzyłem specjalny oddział, lojalny i zwarty, złożony wyłącznie z Italików

OSTATNI LEGION

i mieszkańców prowincji i przeszkolony na wzór dawnych legionów. Na czele postawiłem Maniliusza Klaudianusa, oficera, który wywodzi się ze starej arystokracji, człowieka, który wolałby zginąć, niż złamać dane słowo. Żołnierze ci wykazali się odwagą w wielu miejscach na granicy, teraz zaś na mój rozkaz nadchodzą w zawrotnym tempie. Powinni tu być za dwa lub trzy dni. Natomiast z Rawenny na czele drugiej armii nadciąga mój brat Paulus. A teraz proszę cię, chodźmy do gości.

Przez chwilę Flawia Serena wydawała się przekonana, że słowa męża odpowiadają prawdzie, ponieważ w głębi serca nie pragnęła niczego innego, jak w to wierzyć, kiedy jednak usiłowała przywołać na twarz uśmiech, by powrócić na ucztę, rozległo się jeszcze głośniejsze szczekanie, któremu natychmiast odpowiedział chór ujadających psów, Oboje spojrzeli sobie w oczy, a ciszę, jaka między nimi zapadła, przerwało nagle dobiegające z dziedzińca wołanie na alarm, po czym usłyszeli przeciągły dźwięk rogów przyzywający strażę. Po chwili do sali wpadł jakiś oficer i podbiegł do Orestesa.

— Zostaliśmy napadnięci, panie! Są ich setki, dowodzi nimi Wulfila, namiestnik Odoakra!

Orestes wyciągnął miecz z wiszącej na ścianie panoplii.

— Prędko, wszyscy chwycić za broń, zostaliśmy napadnięci! — zawołał. — *Ambrosine*, co żywo weź chłopca i jego matkę i schowajcie się w drewnitni. Nie ruszajcie się stamtąd pod żadnym pozorem, dopóki sam po was nie przyjdę. Prędko, prędko!

W tej samej chwili rozległo się potężne walenie tarana w bramę, od którego zadrżały mury okalające całą willę. Oblężeni pobiegli czym prędzej na ganek, by odeprzeć atak, napastnicy wszakże zdążyli już przystawić do balustrady dziesiątki drabin, po których jęły wspinać się ich setki, wydając dzikie okrzyki. Wreszcie brama ustąpiła z łoskotem pod naporem tarana, po czym zeskoczywszy z konia niczym akrobata, do środka wdarł się jeździec o posturze olbrzyma. Rozpoznawszy go, Orestes rzucił się ku niemu z obnażonym mieczem.

— Wulfila, ty przeklęty łajdaku!

Tymczasem Ambrozynus zdążył dotrzeć do kryjówki ciągnąc za sobą zdrętwiałego z przerażenia chłopca, w zamieszaniu i pośpiechu nie spostrzegł jednak, że nie ma z nimi Flawii Sereny. Romulus przez szparę w drzwiach przyglądał się bacznie tragedii] widział, jak jego pobratymcy padają jak muchy nurzając się we własnej krwi, jak jego ojciec zadaje rozpaczliwe ciosy tamtemu nieokrzesanemu olbrzymowi, jak ranny zwała się na kolana, wstaje, znów dźwiga miecz, dzielnie walczy aż do utraty tchu... wreszcie pada przebity na wylot. Pod wpływem konwulsyjnego drgania powiek jego wzrok zniekształcał każdą scenę tego dramatu, rozbijając ją na tysiące ostrych wyrazistych fragmentów, które wryły mu się w pamięć. Nagle usłyszał krzyk matki:

— Przekłęci! Bądźcie przekłęci!

Po czym ujrzał, jak Ambrozynus rzuca się naprzód, żeby ją osłonić, podczas gdy ona ciągle krzyczy przejęta grozą, rwąc sobie włosy z głowy i rozorując paznokciami twarz, ukląkłszy nad dogorywającym mężem. Wówczas Romulus wybiegł na dwór, zdecydowany prędzej zginąć u boku rodziców, niż zostać sam na tym potwornym świecie. Naraz ujrzał, jak olbrzym zanurza dłoń w kałuży krwi jego ojca i maluje sobie na czole szkarłatną pręgę, puścił się więc biegiem, pochwycił miecz Orestesa z odważnym zamiarem ugodzenia nim wroga, Ambrozynus przeciął mu jednak drogę przemykając zwinnie i niemal niepostrzeżenie w istnej chmurze strzał, między splecionymi w walce wojownikami, i w samą porę osłonił chłopca przed uderzeniem kolejnego barbarzyńcy, który wyrósł obok w tejże chwili. Ostrze jego miecza przebiłoby niechybnie obydwu, gdyby Wulfila nie odparował ciosu.

— Głupcze — warknął na wojownika — nie widzisz, kto to jest?

Tamten zmieszany opuścił miecz.

— Łap wszystkich troje — rozkazał Wulfila. — Zabieramy ich. Do Rawenny.

OSTATNI LEGION

Bitwa dobiegła końca, obrońcy willi zostali pokonani i wyrznięci co do jednego. Niektórym gościom udało się uciec w ciemną noc, inni schronili się w pomieszczeniach dla służby, schowali pod łózkami albo na strychu, pośród sprzętów domowych. Wielu z nich bezlitośnie poderżnięto gardła w pierwszym porywie ataku. Nawet grajkowie, którzy uprzyjemniali ucztę muzyką, leżeli teraz martwi, z wytrzeszczonymi oczami, ściskając jeszcze w rękach instrumenty. Kobiety wielokrotnie gwałcono nie szczędząc im najgorszych upokorzeń, mężczyźni zaś, wprawdzie zmuszeni, by przyglądali się upokorzeniom i zniewagom, jakich dopuszczano się na ich żonach i córkach, zostali potem rzućeni na ziemię i zaszlachtowani jak wieprze.

W ogrodzie postrącano rzeźby z cokołów, połamano parkany, powyrywano krzewy, w fontannach, na posadzkach i ozdobionych freskami ścianach — wszędzie było pełno krwi. Teraz zaś barbarzyńcy kończyli swe dzieło plądrując i kradnąc co cenniejsze przedmioty tej okazałej rezydencji: kandelabry, meble, zastawę stołową. Ci, którzy nie zdążyli zagarnąć nic wartościowego, ze złości okaleczali zwłoki obcinając im członki albo oddawali mocz i kał na mozaikowe posadzki. Oprócz bezładnych ryków pijanych wściekłością dzikusów wszędzie słychać było trzask płomieni, które zaczynały pochłaniać nieszczęsne domostwo.

Trójkę więźniów wyprowadzono na zewnątrz i załadowano na wóz ciągniony przez parę mułów.

— Naprzód, jazda stąd! — zawołał Wulfila. — Przed nami jeszcze kawał drogi!

Jego ludzie niechętnie opuścili willę, która zmieniała się w ruderę, i jeden za drugim ruszyli klusem za niewielkim orszakiem. Siedzący na wozie Romulus szlochał cicho w ciemnościach, wtuliwszy się w matkę. W niespełną godzinę z władczego cesarza spadł do roli najędźniejszego z nędzników. Ojciec został zabity na jego oczach; on zaś stał się więźniem tych dzikich bestii, całkowicie zdany na ich łaskę. Siedzący za nim Ambrozynus milczał, ogłuszony bólem, co chwila oglądał się za siebie patrząc na płonącą willę, na słupy dymu i na iskry, które wzbijały się ku niebu

roztaczając złowrogi blask. Zdołał uratować jedynie worek podróżny, z którym przybył do Italii wiele lat temu, i tylko jedną księgę z całej zasobnej biblioteki: przepięknie ilustrowaną „Eneidę”, podarowaną Romulusowi przez senatorów. Od czasu do czasu gładził skórę, którą była obłożona, i wtedy wydawało mu się, że los nie jest całkiem okrutny, skoro zostawił mu, być może proroczco, towarzystwo Wergiliusza.

Podczas nocnej galopady Aureliusz wiele razy gubił drogę. Odoaker rozstawił strażę na mostach i przeprawach promowych przez rzekę, drogi publiczne zaś patrolowały barbarzyńskie oddziały należące do armii cesarskiej, musiał więc często zbaczać z traktu, przeprowiać się przez mętny z powodu jesiennych deszczy bród albo pokonywać górskie bezdroża. Kiedy począł schodzić w dół, zdał sobie sprawę, że jego koń nie da rady iść dalej i jeśli nadal będzie go zmuszał do galopu, nieszczęsne zwierzę w końcu padnie. Mokry od potu wierzchowiec toczył pianę z pyska, miał szklisty wzrok, a ze straszliwego zmęczenia ledwie już dyszał. Wtedy los okazał się dla nich łaskawy; Aureliusz dostrzegł w oddali jakieś światła, po chwili zaś budynek, który wydał mu się znajomy: stację drogową przy via Postumia, jakimś cudem ocalałą i najwyraźniej czynną. Podjechawszy bliżej, usłyszał skrzypienie szyldu, który wisiał na wmurowanym w zewnętrzną ścianę żelaznym drągu. Chociaż był do połowy przeżarty rdzą, dało się jeszcze rozróżnić rysunek sandała i wykonany pięknymi kapitalami napis: *Mansio ad sandalum Hercults*. Przed budynkiem znajdował się kamień milowy, na którym wyryto: *m. p. XXII* — dwadzieścia dwie mile do następnej stacji, oczywiście jeśli jeszcze istnieje.

Aureliusz zsiadł z konia i niepewnie wszedł do środka; na podłodze, rozłożywszy się na własnych płaszczach, spoczywało kilku podróżnych, pogrążonych w głębokim śnie, pośrodku nich zaś na krześle drzemał człowiek obsługujący stację. Aureliusz szturchnął go w ramię.

— Służba cesarska—powiedział—najwyższy pośpiech i absolutne pierwszeństwo: to sprawa życia lub śmierci dla wielu osób. Na zewnątrz stoi mój koń, jest wykończony. Potrzebuję natychmiast świeżego wierzchowca.

Mężczyzna potrząsnął głową, otworzył oczy i ledwie przyjrzał się bacznie przybyszowi, pojął, że mówi prawdę. Na twarzy Aureliusza malowało się zmęczenie, rysy stężały mu z napięcia i wysiłku.

— Chodź ze mną — odezwał się i ruszył przodem, wyjął z kredensu kawałek chleba i flaszkę wina, po czym podał gościowi, by zdążył ugryźć choć kęs i upić łyk, podczas gdy pędzili korytarzem, a potem w dół po schodach do stajni, było bowiem oczywiste, że nie przystanie ani na chwilę, aby się posilić. Stajenne boksy były w większości puste, w półmroku z ledwością dało się wszakże rozróżnić trzy lub cztery konie. Mężczyzna podniósł lampę, by je lepiej oświetlić.

— Weź tego. — Wskazał dobrze zbudowanego karosza o gładkiej, lśniącej sierści. — To Dżuba, wspaniały wierzchowiec. Należał do pewnego wysokiej rangi oficera, który więcej się po niego nie zgłosił.

Aureliusz przełknął ostatni kęs chleba i ostatni łyk wina, po czym wskoczył na grzbiet konia, spiął go i pognął na przód.

— Wio! Wio! Dżuba!

Wyprysnął na zewnątrz niczym potępiona dusza, której udało się wyrwać z piekła, i puścił się galopem. Minawszy drogę publiczną, wjechał na ścieżkę, która bieliła się w zimnej poświacie księżyca. Mężczyzna wybiegł za nim trzymając w jednej ręce rejestr i stylus, w drugiej zaś lampę.

— Rewers! — zawołał.

Aureliusz był jednak już daleko, tętent Dżuby zaś dał się słyszeć coraz słabiej.

— Musisz mi napisać rewers — powtórzył cicho mężczyzna, jakby mówił do siebie.

Nagle drgnął słysząc potulne rzenie, po czym spostrzegł parującego od potu konia, którego zostawił Aureliusz. Chwyciwszy go za uzdę, zaprowadził do stajni.

— Chodź, mały, bo się przeziębisz. Cały jesteś mokry i pewnie padasz z głodu; założę się, że nic nie jadłeś, podobnie jak twój pan.

Kiedy Aureliusz dotarł do willi Flawiusza Orestesa, ledwie poczęło świtać. Natychmiast pojął, że przybył za późno: nad murami domu wznosił się gęsty słup czarnego dymu, wszędzie wokół widać było ślady okrutnego spustoszenia. Przywiązawszy konia do drzewa, ostrożnie podszedł do parkanu, zbliżając się do głównej bramy. Na ziemi leżały oba jej skrzydła, wyrwane z zawiasów i nadpalone, na dziedzińcu zaś walały się dziesiątki zakrwawionych trupów. Było tam wielu żołnierzy gwardii cesarskiej, nie brakowało wszakże barbarzyńskich wojowników, którzy polegli w walce. Musieli stoczyć zaciekły bój; każdy spoczywał w miejscu, w którym dopadła go śmierć, zachowując na twarzy zastygły w agonii wyraz przerażenia.

W całkowitej ciszy słychać było jedynie syk płomieni; od czasu do czasu jakaś belka z suchym trzaskiem uderzała o ziemię albo z płonącego dachu spadała dachówka rozbijając się o podłogę. Aureliusz posuwał się naprzód, rozglądając się wokół z trwogą i niedowierzaniem. W miarę jak pojmował przerażający ogrom tragedii, ogarniał go coraz większy lęk ściskający niczym obręcz. W pokojach, których nie zdążyły jeszcze sięgnąć płomienie, unosił się fetor śmierci i ekskrementów; trupy obnażonych zgwałconych kobiet i jeszcze niedojrzałych dziewczynek leżały z rozkraczonymi nogami obok ciał ich zaszlachtowanych ojców i mężów. Wszędzie była krew: na intarsjowanych marmurowych posadzkach, na pokrytych misternymi freskami ścianach, w atriach, w łóżnicach, w sali jadalnej, na stołach i resztkach jedzenia; zachlapanie nią były zasłony, dywany i obrusy.

Aureliusz upadł na kolana tłumiąc okrzyk bezsilnej wściekłości i rozpacz. Trwał skulony w tej pozycji, z pochyloną głową, kiedy nagle ocknął się słysząc jęk. Czy to możliwe? Czy to możliwe, by pośrodku tej potwornej jatki zachował się jeszcze ktoś przy życiu? Zerwał się na

OSTATNI LEGION

równe nogi, czym prędzej otarł spływające po twarzy łzy i ruszył w kierunku, z którego dochodził dźwięk. Na korytarzu w ogromnej kałuży krwi leżał twarzą do ziemi jakiś mężczyzna. Aureliusz ukląkł przy nim i odwrócił go powoli na plecy, aby móc mu się lepiej przyjrzeć. Mimo że mężczyzna już dogorywał, rozpoznał zbroję i insygnia.

— Legionista... — szepnął.

Aureliusz przysunął się jeszcze bliżej.

— Kim jesteś? — zapytał.

Mężczyzna ciężko dyszał; każdy oddech musiał mu sprawiać potworne męki.

— Jestem Flawiusz... Orestes.

Aureliusz zadrżał.

— Panie — powiedział. — O bogowie... Panie, jestem z Nova Invicta. — Nazwa ta zabrzmiała mu w uszach niczym drwina losu.

Orestes szczękał zębami; jego ciałem wstrząsały konwulsje nadchodzącej śmierci. Aureliusz przykrył go swym płaszczem; wydawało się, że ów miłosierny gest tchnął weń odrobinę życia, iskierkę nadziei.

— Moja żona, syn... — wykrztusił. — Porwali cesarza. Proszę cię, zawiadom legion. Musicie... ich uwolnić.

— Legion zaatakowały przeważające siły wroga — odrzekł Aureliusz. — Przyjechałem po posiłki.

Na twarzy Orestesa odmalowało się bezmierne przerażenie, kiedy wszakże wpatrywał się w przybysza oczyma pełnymi łez, głos zadrżał mu od tłących się w nim resztek nadziei.

— Uratuj ich — powtórzył. — Błagam.

Aureliusz nie potrafił znieść bólu w jego oczach. Spuścił wzrok.

— Zostałem... sam, panie.

Orestes zdawał się ignorować jego słowa. Ostatkiem sił spróbował się podnieść, czepiając rękami krawędzi pancerza.

— Zaklinam cię, legionisto — wycharczał — uratuj mojego syna, ocal cesarza. Jeśli on zginie, Rzym zginie razem z nim. Jeśli Rzym zginie, wszystko będzie stracone.

Nagle jego dłoń opadła bezwładnie na podłogę, oczy zaś straciły wszelki wyraz zastygając w śmiertelnym osłupieniu.

Aureliusz zamknął mu powieki, podniósł swój płaszcz i wyszedł w słońce, którego promienie za jego plecami zalewały scenę masakry, obnażając całą jej potworność. Odwiązał Dżubę, który spokojnie skubał trawę na łące, wsiadł na jego grzbiet i popędził na północ, śladem wroga.

III

Kolumna, na której czele jechał Wulfila, przez trzy dni przemierzała z trudem pokryte śniegiem przełęcz Apeninów, potem zaś zamgloną równinę. Więźniowie byli skrajnie wyczerpani zmęczeniem i brakiem snu. Żaden z nich nie przespał całej nocy — zapadali jedynie w kilkugodzinne odrętwienie przerywane koszmarami rzezi. Flawia Serena usiłowała zachować hart ducha z jednej strony z powodu surowego wychowania, jakie otrzymała od rodziców, z drugiej zaś pragnąc w ten sposób dodać otuchy swemu synowi Romulusowi. Od czasu do czasu chłopiec kładł jej głowę na kolanach i zamykał oczy, ledwie jednak zdążył zapaść w sen, w jego wzburzonym umyśle pojawiała się wizja rzezi, matka zaś czuła, jak jego ciało sztywnieje w bólu; mogła niemal zobaczyć wszystkie te potworne obrazy, które przewijały mu się pod powiekami. Po czym chłopiec budził się niespodziewanie z krzykiem, z czołem zroszonym zimnym potem, z przerażonym wzrokiem.

Ambrozynus kładł wówczas dłoń na jego ramieniu usiłując przekazać mu odrobinę ciepła.

— Odwagi — powtarzał. — Nie trać ducha, mój chłopcze, los poddał cię najcięższej i najokrutniejszej próbie, ale wiem, że jej sprostasz.

Pewnego razu, gdy Romulus zapadł w sen, zbliżył się doń i szepnął mu coś do ucha — na chwilę oddech chłopca

stał się głębszy i bardziej regularny, rysy twarzy zaś się wygładziły.

— Co mu rzekłeś? — zapytała Flawia Serena.

— Przemówiłem do niego głosem ojca — odparł enigmatycznie Ambrozynus. — Właśnie to chciał usłyszeć i tego potrzebował.

Flawia nic nie odpowiedziała, tylko jęła się z powrotem wpatrywać w drogę, ciągnącą się wzdłuż szerokich przybrzeżnych lagun pełnych sinej spienionej wody, w której odbijało się ołowiane niebo. Dotarli do Rawenny piątego dnia wieczorem, gdy zapadł zmierzch. Kolumna posuwała się wzdłuż jednego z wielu wałów przecinających lagunę aż do grupy wysp, na których wznosiło się pierwotnie miasto, a które teraz łączyły się z długą wydumą. O tej porze mgła właśnie się podnosiła, rysując na wodzie linie aż do brzegu, obejmując następnie stały ląd, muskając przy tym nagie drzewa, samotne chaty rybaków i wieśniaków. Od czasu do czasu rozlegało się wołanie jakiegoś żerującego nocą zwierzęcia albo szczekanie psa gdzieś w odległym domostwie. Chłód i wilgoć przenikały do kości, a do tego dochodziło jeszcze nieznośne zmęczenie.

Nagle, niczym olbrzymy, z mgły wyrosły przed nimi wieże Rawenny. Wulfila krzyknął coś w gardłowym języku, a wówczas brama się otworzyła i jeźdźcy wkroczyli do opustoszałego miasta, spowitego mleczną załoną. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy zniknęli: wszystkie drzwi były zaryglowane, wszystkie okna pozawierane. Od czasu do czasu słychać było jedynie plusk wody w kanałach, gdy powoli niczym zjawa nadpływała jakaś łódź. Zatrzymali się przed wejściem do zbudowanego z czerwonej cegły pałacu cesarskiego, którego fasadę zdobiły kolumny ze sprowadzanego z Istrii kamienia. Wulfila zarządził, aby rozdzielono matkę i syna i aby zaprowadzono chłopca do jego komnaty.

— Pozwól mi pójść razem z nim — poprosił czym prędzej Ambrozynus. — Jest przerażony i wycieńczony, potrzebuje towarzystwa. Jako jego preceptor wiem, jak mu pomóc; błagam cię, potężny panie.

Wulfila, któremu pochlebiło to określenie, jako że nigdy dotąd nikt tak się doń nie zwracał, zgodził się wydając jakiś nieartykułowany dźwięk, Ambrozynus podążył więc za swym uczniem. Romulus obejrzał się za siebie.

— Matko! Matko! — zawołał.

Flawia Serena posłała mu pełne bólu i udręki, lecz zarazem dumne spojrzenie, które było niema zachętą, by nie poddawał się rozpacz, po czym odprowadzana przez dwóch strażników oddaliła się korytarzem, zdecydowanym krokiem, wyprostowana, skrzyżowawszy ramiona na pierśsiach, by zakryć to, co odsłaniały podarte szaty.

Odoaker oczekiwał jej na wykonanym z kości słoniowej tronie ostatnich cesarów. Jednym gestem dał do zrozumienia Wulfili i strażnikom, że chce zostać z nią sam na sam. U stóp tronu stało przygotowane krzesło, Odoaker zaprosił ją więc, by usiadła, Flawia Serena jednak odmówiła — stała wyprostowana ze wzrokiem wbitym w pustkę. Mimo podartego ubrania, włosów w nieładzie, poplamionej krwią tuniki, umazanego sadzą czoła i podrapanych policzków nadal roztaczała wokół siebie urok hardej, dumnej kobiecości, nadal mogła poszczycić się nieco pokiereszowaną i zranioną, lecz ciągle świeżą urodą: pięknymi, choć już nie tak delikatnymi jak niegdyś rysami, alabastrowo białą szyją, idealną linią pleców i piersi, których nie zdołała całkowicie ukryć pod splecionymi rękami. Czuła na sobie wzrok barbarzyńcy, mimo że nań nie patrzyła, zalewała ją fala gorąca wywołana pogardą i bezsilną złością. Jej emocje skrywała wszakże niczym całun bladość wywołana zmęczeniem, głodem i bezsennością.

— Wiem, że mną gardzisz — powiedział Odoaker. — Nazywacie nas barbarzyńcami, jakbyście byli lepsi, tymczasem jesteście rasą osłabioną przez całe wieki rozpusty, władzy i zepsucia. Kazałem zabić twojego męża, bo na to zasługiwał, zdradził mnie bowiem nie dotrzymując danego słowa. Musiałem to zrobić dla przykładu, aby wszyscy wiedzieli, że nie można bezkarnie oszukiwać Odoakra, przykład zaś musiał być tak potworny, by budzić powszechne przerażenie. I nie licz na twojego szwagra

Paulusa; moje oddziały otoczyły go i rozbiły w pył. Ale dość już rozmowy o krwi, nie zamierzam się mścić na tym kraju. Chcę, żeby się odrodził, żeby powstawały nowe dzieła sztuki, żeby ludzie wrócili do pracy w polu i warsztatach. Ta ziemia zasługuje na kogoś lepszego niż Flawiusz Orestes i jego dziecinny cesarz. Zasługuje na władcę z prawdziwego zdarzenia, który nią pokieruje i będzie ochraniał jak mąż chroni żonę. Ja będę tym władcą i chcę, żebyś została moją królową.

Flawia, która milczała aż do tej chwili, stojąc bez ruchu, odezwała się wreszcie głosem ostrym jak brzytwa.

— Sam nie wiesz, co mówisz. Pochodzę z tych, co zawsze was zwalczali i przeganiali do lasów, byście żyli tam jak zwierzęta, do których zresztą jesteście podobni. Brzydzą się fetorem, jaki od was bije, waszą ignorancją, nieokrzesaniem, językiem i samym brzmieniem głosu, przypominającym bardziej szczekanie psa niż ludzką mowę, niedobrze mi się robi od koloru waszej skóry, która nie znosi słońca, włosów jak pakuły i ohydnych wąsów, wiecznie brudnych od resztek strawy. Czy takiego właśnie związku pragniesz? Takiej wzajemności uczuć? Możesz mnie zabić nawet w tej chwili, nie dbam o to. Nigdy za ciebie nie wyjdę!

Odoaker zacisnął szczęki. Chłoszczące słowa Flawii zraniły go i upokorzyły. Zdawał sobie sprawę, że nie ma ani takiej siły, ani takiej władzy, by przewyciężyć jej pogardę, targało nim wszakże uczucie, które owładnęło go, kiedy jako młodzieniec zaciągnął się do cesarskiego wojska: uwielbienie dla tych starych miast, dla forów i bazylik, kolumn i rzeźb, ulic, portów i akweduktów, sztandarów i łuków, uroczystych inskrypcji z brązu, łaźni i term, domów i willi tak pięknych, że wydawały się rezydencjami raczej boskimi niż ludzkimi. Imperium było jedynym miejscem, w którym człowiekowi warto żyć. Spojrzawszy na Flawię, stwierdził, że jest bardziej pociągająca niż kiedykolwiek, nawet niż wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy to mając zaledwie dwadzieścia lat wychodziła za mąż za Flawiusza Orestesa. Wydawała się

wówczas daleka, olśniewająca i niedostępna niczym *gwiazda*, którą obserwował jako dziecko leżąc na koczowniczym wozie swych rodziców pod nocnym niebem, na bezkresnej równinie. Teraz wszakże znajdowała się w jego rękach i mógłby ją pojąć w każdej chwili, choćby i zaraz. Nie tego jednak pragnął, przynajmniej nie teraz. Odparł więc:

— Tymczasem zrobisz, co każę, jeśli chcesz ocalić syna, jeśli nie chcesz, żeby skonał na twoich oczach. A teraz idź sobie.

Strażnicy odprowadzili ją do zachodniego skrzydła pałacu. Kiedy spoglądający przez dziurkę od klucza Ambrozynus posłyszał, że nadchodzą, przywołał Romulusa.

— Patrz — powiedział — idzie twoja matka.

Jednocześnie uniósł palec do ust dając mu znak, by milczał, po czym odsunął się, by zrobić mu miejsce.

Mały orszak wkrótce zniknął im wprawdzie z pola widzenia, Ambrozynus przystawił wszakże ucho do drzwi i liczył ludzi, dopóki nie usłyszał szczęku klucza w zamku i odgłosu zamykanych drzwi.

— Dwadzieścia cztery. Komnata twojej matki jest o dwadzieścia cztery kroki od naszej i powinna się znajdować po przeciwnej stronie korytarza. Prawdopodobnie jesteśmy w cesarskim *gineceum*. Byłem tu raz kilka lat temu; twoja matka też zna je dość dobrze. To może okazać się pomocne.

Romulus skinął głową, zdążył już bowiem przywyknąć do słuchania zawiłych objaśnień preceptora, nawet jeśli nie do końca rozumiał ich celowość czy sens, nie okazywał im jednak szczególnego zainteresowania. Drzwi od ich komnaty były zaryglowane od zewnątrz, pilnował ich zaś żołnierz uzbrojony w topór i miecz, w jaki zatem sposób zdołałby nawiązać jakikolwiek kontakt z matką? Opadł na łóżko wyczerpany nadmiarem emocji i zmęczony; natura wzięła górę, toteż pogrążył się w głębokim śnie. Ambrozynus przykrył go płaszczem, pogładził lekko po głowie, po czym wyciągnął się na sąsiednim łóżku, usiłując nieco odpocząć. Wolał nie gasić lampy, wiedział bowiem, że

ciemności przywołują obrazy, przed którymi trudno by było mu się obronić, poza tym pragnął zachować choćby minimum czujności podczas tej pełnej krwawych cieni nocy.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, kiedy nagle jego uszu doszedł jakiś hałas, po nim zaś jakby głuche tąpnięcie. Romulus nadal pogrążony był w głębokim śnie i nic nie słyszał; spał tak mocno, że nawet nie zmienił pozycji. Ambrozynus wstał i usłyszał kolejny odgłos, tym razem był to suchy metaliczny trzask tuż przy drzwiach. Podeszedł do chłopca i energicznie nim potrząsnął.

— Obudź się, prędko, ktoś nadchodzi.

Romulus otworzył oczy nie zdając sobie w pierwszej chwili sprawy, gdzie jest, ledwie jednak rozejrzał się po ścianach swego więzienia, powróciła bolesna świadomość sytuacji, w jakiej się znalazł. Kiedy drzwi rozwarły się ze zgrzytem, w progu stanęła jakaś postać okutana w płaszcz, z twarzą osłoniętą szerokim kapturem. Ambrozynus zerknął natychmiast na ostrze miecza, który tamten trzymał w dłoni, odruchowo więc stanął pomiędzy nim a chłopcem. Mężczyzna odsłonił twarz.

— Prędko — powiedział — jestem rzymskim żołnierzem z Nova Invicta i przyszedłem uratować chłopca. Prędko, nie ma czasu do stracenia.

— Ale jak ja mam... — zaczął Ambrozynus.

— Nieważne. Przyrzekłem uratować jego, nie ciebie.

— Nie znam cię, nie wiem, kim jesteś, i...

— Mam na imię Aureliusz i właśnie zabiłem strażnika

— oznajmił przybysz pokazując leżącego za nim trupa. Następnie chwycił go za nogi i wciągnął do środka.

— Nie ruszę się bez matki — oświadczył czym prędzej Romulus.

— W takim razie śpieszmy się, na wszystkich bogów

— odrzekł Aureliusz. — Gdzie ona jest?

— Tam — wskazał Ambrozynus, po czym dając dowód, że jego udział jest w tej wyprawie niezbędny, dodał:

— I wiem, którędy możemy się stąd wydostać. Obok galerii dla kobiet w cesarskiej bazylice jest przejście.

Udali się w kierunku komnaty, w której powinna być zamknięta Flawia Serena, po czym Aureliusz wyważył mieczem drzwi. W tej samej jednak chwili zjawił się kolejny strażnik na zmianę warty, na ich widok zaś rzucił się biegiem z obnażoną bronią. Aureliusz stanął do walki z barbarzyńcą, zmylił go markując cios, po czym przebił mu bok na wylot. Kiedy zwałił się martwy, legionista wpadł do pokoju Flawii.

— Prędko, pani — odezwał się — przyszedłem cię uwolnić, prędko, nie ma ani chwili do stracenia.

Na widok syna wraz z Ambrozynusem serce Flawii zabiło mocniej — oto los niespodziewanie przyszedł jej z pomocą.

— Tędy — powiedział Ambrozynus. — Możemy się przedostać przez korytarz galerii dla kobiet; nie sądzę, by barbarzyńcy znali to przejście.

Po czym pośpiesznie ruszył naprzód, krzyki strażników zdążyły wszakże zwabić innych żołnierzy z głębi korytarza. Spostrzegłszy żelazną kratę, Aureliusz zamknął ją za sobą w ostatniej chwili i pobiegł za swymi towarzyszami. Zewsząd goniły ich pokrzykiwania, widać było zbliżające się w ciemności pochodnie, z zewnątrz zaś dochodził szczepek broni i gorączkowe nawoływania. Kiedy Ambrozynus już miał otworzyć tajemne drzwi prowadzące do galerii dla kobiet, nagle u wylotu schodów wyrósł jak spod ziemi olbrzym z dwoma wojownikami u boku. Był to Wulfila, który odciął mu drogę do towarzyszy. Zdjęty trwogą schował się w arkadzie skrywającej wejście do galerii, obserwując bezsilnie walkę. Cała trójka rzuciła się na Aureliusza, który osłonił sobą Flawię i Romulusa. Ambrozynus zamknął oczy i ściskając w dłoni zawieszoną na szyi srebrną gałązkę jemioli, skupił całą moc umysłu na ramieniu Aureliusza, które wystrzeliło jak błyskawica, jednym ciosem pozbawiając przeciwnika głowy. Czerep potoczył się między jego nogi, ciało zaś drgało przez chwilę w ostatnich konwulsjach, sikając obficie krwią, nim zważyło się na ziemię. Odparowawszy cios Wulfili trzymanym w lewej dłoni sztyletem, Aureliusz odskoczył w bok jedno-

czesnie podstawiając nogę trzeciemu napastnikowi, który rzucił się do ataku, po czym dzikim susem obrócił się wokół własnej osi i zanurzył ostrze noża między łopatki upadającego mężczyzny, przybijając go do podłogi. Wówczas Aureliusz musiał stawić czoło najgroźniejszemu z nich; ich miecze skrzyżowały się z ogłuszającym szczękiem, zadając serię zabójczych ciosów i strzelając mnóstwem iskier. Obaj byli niepokonanymi wojownikami, przy czym nadludzka siła barbarzyńcy musiała zmierzyć się ze zręcznością Rzymianina.

Słychać było krzyki zbliżających się z każdą chwilą Strażników, Aureliusz zdał więc sobie sprawę, że musi się jak najprędzej uwolnić od swego przeciwnika w taki czy inny sposób, bo inaczej wpadnie w ich ręce ponosząc śmierć w potwornych męczarniach. Obaj wojownicy usiłovali sobie nawzajem poderżnąć gardła i każdy z nich wolną ręką ścisnął przedramię drugiego, toteż ich miecze zaklinowały się. Kiedy ich twarze znalazły się blisko siebie, oczy Wulfili rozszerzyły się nagle ze zdumienia.

— Ktoś ty? — zawołał. — Już cię gdzieś widziałem, Rzymianinie!

Wystarczyłoby, aby barbarzyńca unieruchomił Aureliusza jeszcze na kilka chwil, a jego towarzysze zdążyliby dobiec kończąc pojedynek, ale Rzymianin uwolnił się zadając Wulfili wspaniały cios głową. Cofając się pośliznął się jednak na kałuży krwi, w której leżeli zabici, i upadł. Wulfila już miał mu zadać ostateczne pchnięcie, kiedy niespodziewanie Romulus, który do tej pory stał uczipiony kurczowo matki, sparaliżowany ze strachu, rozpoznawszy w nim mordercę swego ojca, otrząsnął się, błyskawicznie podniósł miecz jednego z martwych żołnierzy i natarł na niego. Barbarzyńca kątem oka dostrzegł zagrożenie, toteż wykonał pchnięcie sztyletem, Flawia zdążyła się wszakże rzucić do przodu, by osłonić syna, i nóż ugodził ją w samo serce. Prerażony Romulus zaczął krzyczeć, Aureliusz zaś wykorzystał moment odwrócenia uwagi, żeby uderzyć z góry; Wulfila odchylił głowę do tyłu unikając śmierci, ostrze miecza pozostawiło wszakże na jego twarzy szeroką

szramę biegnącą od lewego oka aż do prawego policzka. Zawył z wściekłości i bólu nie przestając wymachiwać bronią, podczas gdy Aureliusz oderwał chłopca od zwłok matki i zaciągnął go na schody, którymi wcześniej dostali się jego przeciwnicy.

Ambrozynus otrząsnąwszy się, już miał ruszyć za nimi, lecz oto pojawiła się kolejna grupa straży, ponownie więc schował się w cieniu łuku i zniknął w drzwiach galerii dla kobiet. Znalazł się na długim marmurowym balkonie prowadzącym do środkowej nawy bazyliki, zwieńczonej apsydą, którą ozdabiała ogromna mozaika przedstawiająca Chrystusa Pantokratora, ledwie widocznego w bladym odblasku złota. Zszedł szybkim krokiem aż do balustrady, przemaszerał przez prezbiterium i zakrystię, po czym zagłębił się w ciasny korytarz wciśnięty w szczelinę w zewnętrznej ścianie kościoła; domyślał się, gdzie pojawi się Aureliusz i którądy będzie próbował uciekać, i zadrżał o los narażonego na śmiertelne niebezpieczeństwo chłopca.

W rzeczywistości Aureliuszowi została tylko jedna droga ucieczki — przez pałacowe łaźnie. Trafił do obszernej, wysoko sklepionej sali, słabo oświetlonej zaledwie kilkoma lampkami oliwnymi. W posadzkę wbudowana była ogromna wanna pełna wody, która wskutek niedbałości nowych właścicieli zdążyła zmętnieć i pokryć się warstwą wodorostów. Aureliusz spróbował otworzyć drzwi na ulicę, były jednak zamknięte od zewnątrz. Zwrócił się zatem do chłopca:

— Umiesz pływać? — Romulus skinął potakująco głową, jednocześnie spoglądając z obrzydzeniem na ów cuchnący ściek. — W takim razie chodź ze mną, musimy pójść wzdłuż rury odpływowej, która łączy się z zewnętrznym kanałem. Mój koń czeka nieopodal. Woda zaraz zrobi się czarna i zimna, ale dasz sobie radę, pomogę ci. No jazda, wstrzymaj oddech i w drogę.

Wsunął się do wanny i pomógł wejść Romulusowi, po czym obaj zanurzyli się w wodzie i jęli przesuwać wzdłuż ścieku. Wkrótce dłonie Aureliusza dotknęły przegrody

oddzielającej wannę od kanału odpływowego. Była zamknięta. Ogarnęła go rozpacz, przez głowę zaś przemknęła myśl, że powinien był spróbować sam. Jeszcze chwila, a chłopiec utonie — już czuł drgania, jakie wywoływało jego paniczne miotanie się w czarnej wodzie. W końcu udało mu się wsunąć ręce pod przegrodę i jął pchać ją do góry ze wszystkich sił, aż wreszcie poczuł, że pomału ustępuje. Chwycił więc chłopca i przecisnął pod spodem na drugą stronę, po czym sam się prześliznął, na koniec zaś opuścił przegrodę. Po chwili mając wrażenie, że płuca zaraz mu pękną, wynurzył się na powierzchnię tuż obok Romulusa. Ten szcząkał zębami i najwyraźniej był bliski omdlenia, Aureliusz nie mógł go zatem zostawić w wodzie, by czekał, aż on wróci z koniem. Wypchnął go więc na brzeg, mokrego i drżącego, po czym sam się wygramolił i czym prędzej zaciągnął chłopca w bezpieczne miejsce za południowym skrzydłem pałacu.

— Mgła się podnosi — powiedział. — Mamy szczęście. Nie bój się, damy sobie radę, ale teraz się stąd nie ruszaj.

Chłopiec przez chwilę milczał—wyglądał, jakby stracił kontakt z rzeczywistością. W końcu odparł ledwo słyszalnym głosem:

— Musimy poczekać na Ambrozynusa.

— On jest dorosły — odrzekł Aureliusz. — Poradzi sobie. Będzie dobrze, jeśli w ogóle zdołamy się stąd wydostać. Barbarzyńcy już nas szukają na zewnątrz.

Istotnie usłyszeli, jak ze stajni znajdującej się w północnym skrzydle pałacu wyjeżdżają na koniach ich prześladowcy, by przeczesać okolicę. Aureliusz pobiegł uliczką po Dżubę, który czekał uwiązany przed starym, w połowie rozwalonym składem rybnym.

Chwycił go za uzdę i usiłował zawrócić starając się robić jak najmniej hałasu, kiedy jednak był już niedaleko, usłyszał krzyki w języku Herulów.

— To on! Tam jest! Stój! Stój!

Wkrótce potem ujrzał Romulusa wybiegającego z kryjówki i uciekającego wzdłuż wschodniego skrzydła pałacu. Wytropili go!

Wskoczył na konia i pomknął naprzód; po chwili wpadł na szeroki, otwarty, oświetlony licznymi pochodniami plac przylegający do pałacu cesarskiego, po czym spostrzegł Romulusa, który pędził co sił w nogach, ścigany przez grupę herulskich żołnierzy. Spiał więc konia jeszcze mocniej i przejechał przez sam środek goniących, zabijając dwóch mieczem: jednego z prawej, drugiego z lewej strony, po czym minął pozostałych, zanim zdążyli się zorientować, co się dzieje. Kiedy zrównał się z Romulusem, wsunął mu rękę pod pachę i unióśł do góry, pokrzykując na swego wierzchowca.

— Wio, Dżuba! Wio!

Kiedy wszakże już miał posadzić chłopca przed sobą, jeden z prześladowców napiął łuk i wypuścił strzałę, która ugodziła go prosto w ramię.

Aureliusz zacisnął zęby próbując wytrzymać ból, lecz napięcie mięśni wywołało tak przeszywający skurcz, że musiał go puścić. Romulus upadł na ziemię, Aureliusz jednak się nie poddawał: ścisnął boki konia nogami niczym kleszczami, wymuszając na nim skręt, po czym ruszył w przeciwnym kierunku, chcąc pochwycić chłopca zdrowym ramieniem. I w tejże chwili przez tylne drzwi wypadł Ambrozynus, który rzucił się na Romulusa i powalił na ziemię osłaniając własnym ciałem. Aureliusz zrozumiał, że nie ma innego wyjścia, czym prędzej umknął w bok, w jakąś wąską uliczkę, z akrobatyczną zręcznością przeskoczył zagrządzający mu drogę kanał i pognał na złamanie karku aż do starej szczeliny w murze, po której zdołał wspiąć się na krawędź ogrodzenia i — nie bez trudu — zeskoczyć na drugą stronę.

Przez inne drzwi wypadła grupa barbarzyńców na koniach, z płonącymi pochodniami, z zamiarem odcięcia mu drogi ucieczki. Aureliusz zdołał dotrzeć do przecinającego lagunę nasypu przed nimi i natychmiast postarał się powiększyć odległość dzielącą go od najbliższych prześladowców — reszty dokonałaby mgła. Niestety rozdzierający ból w plecach uniemożliwił mu panowanie nad koniem, który stopniowo tracił szybkość. Dojrzawszy w ciemno-

OSTATNI LEGION

ściach gęstą plamę drzew i zarośli, pociągnął za wodze, zsunął się na ziemię, po czym ześliznął z nasypu do wody, chcąc się ukryć, z nadzieją, że prześladowcy go wyminą, oni jednak widząc, że coś się rusza, również przystanęli. Było ich co najmniej pół tuzina; za chwilę go zobaczą i nie będzie miał dokąd uciec.

Dobyl więc miecza szykując się, by zginąć jak żołnierz, w tej samej jednak chwili powietrze przeszył świst, po czym jeden z barbarzyńców runął na ziemię przebity strzałą. Drugi zwałił się do tyłu z przekłutym gardłem, wymiotując krwią. Pozostali, zdawszy sobie sprawę, że z powodu zapalonych pochodni stanowią jedyny widoczny w ciemnościach cel, zamierzali je porzucić, lecz właśnie wtedy trzecia strzała trafiła w brzuch jednego z jeźdźców, który zawył z bólu. Reszta natychmiast rzuciła się do ucieczki w panicznym strachu przed owym niewidzialnym wrogiem ukrytym we mgle gdzieś na bagnach.

Aureliusz usiłował wdrapać się na nasyp i doczołgać do konia, ześliznął się jednak do tyłu, pozbawiony sił. Ból stał się nie do zniesienia, oczy zasły mu mgłą i poczuł, że spada gdzieś w bezkresną dal i że spadaniu temu nie ma końca. W krótkim przebłysku świadomości doznał wrażenia, że pochyła się nad nim jakaś zakapturzona postać i że słyszy cichy plusk wioseł. Potem nie było już nic.

IV

Ambrozynus podniósł się z ziemi i pomógł wstać chłopcu, który drżał z zimna przemoczony do suchej nitki, w ubłoconym, oblepionym wodorostami odzieniu, z przyklejonymi do czoła włosami, z sinymi ustami. Zdjął płaszcz i otuliwszy mu nim ramiona, powiedział:

— Chodź, wracamy do środka.

Minął strażników Wulfili, którzy grozili im obnażonymi mieczami, z dumnie podniesioną głową podtrzymu-

jąc chłopca. Szepnął mu na ucho parę słów otuchy, gdy przechodzili przez korytarze i wspinali się po schodach do swej komnaty więzienia. Romulus posuwał się w milczeniu niepewnym krokiem; nogi często plątały mu się w strzępach podartej tuniki lub przydługiego płaszcza. Ciągłe jeszcze miał zgrabiące kończyny i dręczyła go wizja matki umierającej od ciosu sztyletu z ręki mordercy, który zgładził też jego ojca. W głębi duszy nienawidził człowieka, który rozbudził w nim nadzieję, że będzie wolny, a tymczasem ściągnął na niego kolejne, jeszcze straszliwsze nieszczęścia, gotując mu jeszcze bardziej przerażającą przyszłość.

Nagle podniósł na nauczyciela wzrok pełen trwogi.

— Moja matka... Nie żyje... prawda? — wyjąkał.

Ambrozynus zawahał się przez chwilę.

— Nie żyje? — powtórzył z naciskiem chłopiec.

— Ja... Obawiam się, że tak — odparł otaczając go ramieniem i przytulając do siebie. Romulus wyrwał się jednak krzyżąc:

— Puść mnie! Puść mnie! Chcę do matki! Chcę ją zobaczyć! Co z nią zrobiliście? Chcę ją zobaczyć! — Po czym rzucił się na barbarzyńskich wojowników z pięściami, zadając ciosy ich tarczom. Oni zaś jęli z niego drwić popychając go między sobą. Ambrozynus usiłował go pochwycić i uspokoić, ale chłopiec zachowywał się jak szalenciec. Nie widział przed sobą ani jednej iskielki nadziei, żadnej drogi ucieczki od potworności, które na niego spadły. Pograżony w bezdennej rozpacz, byłby nawet gotów się targnąć na własne życie.

— Pozwólcie mi zobaczyć matkę — poprosił Ambrozynus. — Może wtedy się wypłacze, a potem będzie spokojniejszy. Błagam, jeśli wiecie, gdzie ona jest, pozwólcie mi ją zobaczyć. Przecież to tylko przerażony chłopiec, zlitujcie się.

Śmiech zamarł na wargach barbarzyńców, Ambrozynus zaś popatrzył w twarz każdemu po kolei. Jego błękitne oczy promieniowały taką siłą, rozszerzone źrenice emanowały tak niepokojącą mocą, że niektórzy z nich skłonili głowy,

OSTATNI LEGION

jakby poddając się jakiejś tajemniczej energii. Po czym ten, który wyglądał na dowódcę oddziału, oznajmił:

— Teraz to niemożliwe. Musicie wrócić do komnaty, takie są rozkazy. Ale przekażę wodzowi twoją prośbę i dam ci odpowiedź.

Wyczerpany Romulus wreszcie się uspokoił i obaj zostali odprowadzeni do komnaty. Ambrozynus nie powiedział *już nic więcej*, ponieważ każde jego słowo mogłoby tylko pogorszyć sytuację. Kiedy znaleźli się sami, Romulus usiadł na podłodze w głębi, z odchyloną głową opartą o ścianę i nieruchomym wzrokiem. Co jakiś czas wydawał długie bolesne westchnienie, a wówczas nauczyciel podrywał się i podchodził do niego, wpatrywał się w jego twarz, próbując stwierdzić, która część jego umysłu jest czujna, a która ulega szaleństwu. W ten sposób doczekał świtu, pogrążony w niespokojnym, przerywanym śnie. Kiedy przez umieszczone pod samym sufitem otwory strzelnicze przedarła się odrobina mlecznego światła, rozległ się zgrzyt zamka, po czym drzwi się otworzyły i do środka weszły dwie służki. Przyniosły misę z wodą, czyste szaty, słoiczek pomady i tacę z jedzeniem. Zbliżywszy się do Romulusa, postawiły wszystko na stoliku, po czym skłoniły się nisko i ucałowały jego dłoń z głębokim szacunkiem. Chłopiec pozwolił się umyć i ubrać, lecz mimo nalegań Ambrozynusa odmówił zjedzenia posiłku. Jedna ze służek, na oko osiemnastolatka, bardzo delikatna i powabna, nalała mu do pucharka gorącego mleka z miodem.

— Proszę cię, panie—odezwała się—wypij chociaż to, a nabierzesz trochę sił.

— Proszę cię — nalegała druga, niewiele starsza, w jej oczach zaś widać było głęboką, szczerą troskę.

Romulus chwycił pucharek i opróżniwszy go dużymi łykami, odstawił na stoliczek.

— Dziękuję wam — powiedział.

Ambrozynusowi przemknęło przez głowę, że w normalnych warunkach Romulus nigdy by nie podziękował służce. Być może ogromny ból i samotność pozwoliły mu docenić ludzką serdeczność bez względu na to, od kogo

pochodziła. Kiedy dziewczęta wstały i ruszyły do wyjścia, odprowadził je pytając, czy nie zauważyły jakiegoś szczególnego poruszenia albo krzątania w pałacu od momentu, gdy obaj wrócili. Zgodnie jednak odparły, że nie.

— Potrzebujemy waszej pomocy — rzekł Ambrozynus. — Każda wieść może się okazać cenna, a nawet decydująca. Od tego zależy życie cesarza.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy — zapewniła jedna ze służek—ale nie znamy ich języka i nie rozumiemy, co mówią.

— Czy możecie dostarczać listy?

— Obszukują nas — odparła lekko się czerwieniąc — ale możemy przekazać wiadomość ustnie. Oczywiście jeśli nie będą nas śledzić. Każdy Rzymianin i Rzymianka uchodzą w pałacu za podejrzanych.

— Rozumiem. Chcę wiedzieć, czy dzisiaj w nocy schwytano jakiegoś rzymskiego żołnierza, około czterdziestu pięciu lat, dobrze zbudowanego, o ciemnych, lekko siwiejących na skroniach włosach i czarnych jak węgle oczach. Został zraniony w lewe ramię.

Dziewczęta wymieniły spojrzenia, po czym odrzekły, że nie, nie widziały nikogo, kto odpowiadałby temu rysopisowi.

— Gdybyście go zobaczyły żywego lub martwego, proszę, dajcie mi znać jak najszybciej. I jeszcze jedno: kto was tu przysłał?

— Pan tego pałacu — odparła starsza z nich. — Szlachetny Antemiusz.

Ambrozynus skinął głową: był to stary urzędnik, zawsze wierny cesarzowi bez względu na to, kto akurat zasiadał na tronie, nie dbający o resztę. Oczywiście uznał, że powinien także służyć Romulusowi, dopóki nie znajdzie się jego następcą.

Dziewczęta wyszły; odgłos ich lekkich kroków zmieszał się z ciężkim tupotem odprowadzających je strażników. Romulus skulił się w kącie i pogrążył w ostentacyjnym milczeniu, nie reagując na żadną zachętę do rozmowy ze strony swego preceptora. Nie umiał znaleźć dość sił, by

wyrwać się z otchłani, w której się pogrążył, sądząc zaś po jego niewidzącym, nieruchomym wzroku, spadał w nią coraz głębiej. Co chwila jego wpatrzone w jeden punkt oczy wilgotniały pod wpływem wzruszenia, po policzkach zaś poczyniły wolno płynąć łzy, spadając na odzienie.

Minęło kilka godzin. Dochodziło południe, kiedy drzwi ponownie się otworzyły, w progu zaś stanął człowiek, z którym Ambrozynus rozmawiał w nocy, i zwróciwszy się do Romulusa, powiedział:

— Teraz możesz ją zobaczyć, jeśli chcesz.

Chłopiec natychmiast otrząsnął się z odrętwienia i ruszył za nimi, nie oglądając się nawet na swego nauczyciela, który przyłączył się do tego małego orszaku. Nie odzywał się aż do tej chwili, zdawał sobie bowiem sprawę, że nie istnieją żadne słowa, które mogłyby rozjaśnić ową czarną przepaść, ponadto był przekonany, że w gruncie rzeczy chłopca chroni sama natura, gdyż tylko ona jest w stanie uleczyć tak głębokie rany.

Podążali w kierunku południowego skrzydła pałacu, aż do opustoszałych teraz pomieszczeń straży pałacowej. Właśnie w tym miejscu zaczynały się schody w dół i Ambrozynus uświadomił sobie, że zmiierzają ku cesarskiej bazylice, z której tak niedawno wyszedł przez galerię dla kobiet. Minawszy nawę, zagłębili się w krypcie, którą wypełniały częściowo słonawe wody laguny. Ołtarz główny i prezbiterium wyglądały jak wysepka połączona z posadzką kładką z cegieł. Przechodząc przez kładkę spoglądało się jednocześnie w krystaliczne lustro wody, pod którym lśniła starożytna mozaika przedstawiająca tańczące pory roku. Ciało Flawii Sereny spoczywało na marmurowym ołtarzu. Była blada jak płótno, przykryta białym wełnianym prześcieradłem, które spływało po bokach na ziemię, miała upięte włosy i umytą, lekko upiękzoną twarz. Jakaś służka musiała zająć się ciałem i ułożyć je najlepiej jak umiała.

Romulus zbliżył się powoli, po czym przyglądał się długo, jakby te zimne zwłoki mogły jakimś cudem ożyć pod jego gorącym wzrokiem, po chwili wszakże oczy napełniły mu się łzami i wybuchnął niepohamowanym szlochem,

wspierając głowę o lodowaty marmur. Ambrozynus, który podszedł do niego, lecz nie miał odwagi go dotknąć, pozwolił mu się wypłakać. Wreszcie chłopiec otarł twarz szepcząc jakieś słowa, których nie był w stanie zrozumieć. Po czym podniósł głowę i odwrócił się do barbarzyńskich żołnierzy pozostających pod wodzą Wulfili, kiedy zaś przemówił, nauczyciela zaskoczyła twardość w jego wzroku.

— Zapłacicie za to. Wszyscy zapłacicie. Bądźcie przekłeci przez Boga, raso wściekłych psów.

Żaden z nich nie zrozumiał słów, które chłopiec wypowiedział wyszukaną archaiczną łaciną, ani klątwy, którą na nich rzucił, co sprawiło ulgę Ambrozynusowi, jednakże Odoaker, stojący wysoko w małej loggii apsydy, połączonej z galerią dla kobiet, w towarzystwie strażników i jednego ze sług obserwował z góry całą scenę.

— Co on powiedział? — zapytał.

— Przeklął was wszystkich — odparł ogólnikowo sługa. Odoaker uśmiechnął się z pogardą, stojący wszakże za nim Wulfila, ledwie widoczny w półmroku, wydawał się uosobieniem tej anatemy. Potężny cios zadany przez Aureliusza oszpecił mu twarz, założone zaś przez pałacowego chirurga szwy sprawiły, że jego opuchnięta twarz stała się jeszcze bardziej odrażająca, wykrzywiając nabrzmiałe wargi w groteskowym grymasie.

Odoaker zwrócił się do otaczających go straży:

— Zabrać chłopca do komnaty i przyprowadzić mi tu starego; on musi sporo wiedzieć o wydarzeniach dzisiejszej nocy.

Rzucił ostatnie spojrzenie na ciało Flawii Sereny; w ciemnościach nikt nie dostrzegł cienia głębokiego żalu, który pojawił się na chwilę w jego oczach. Po czym odwrócił się na pięcie i oddalił w kierunku pokoi cesarskich w towarzystwie Wulfili. Jeden z żołnierzy zszedł do krypty, szepnął coś na ucho swemu dowódcy i rozdzielwszy Romulusa z jego preceptorem, wyprowadził go na zewnątrz. Chłopiec zawołał na odchodnym:

— *Magister!* — Kiedy zaś Ambrozynus się odwrócił, krzyknął: — Nie opuszczaj mnie!

— Nie bój się, wkrótce znów się zobaczymy. Bądź silny, nikt nie może więcej zobaczyć, że płaczesz, nikt i pod żadnym pozorem. Widziałeś na własne oczy, jak zamordowano oboje twoich rodziców. Nie ma w życiu nic równie bolesnego. Teraz nie pozostaje nic innego, jak wydostać się z otchłani, w której się pogrzyłeś, a ja ci w tym pomogę.

— Ambrozynus ruszył za strażnikami.

Odoaker oczekiwał go w pokojach cesarskich, w pomieszczeniu, które poprzedniemu cesarzowi, Juliuszowi Neposowi, i samemu Flawiuszowi Orestesowi służyło jako *tablinum*.

— **Kim** był człowiek, który próbował uwolnić w nocy **więźniów?** — zapytał natychmiast. Ambrozynus przebiegł **wzrokiem** długie półki pełne zwojów i ksiąg uświadamiając sobie, że sam zaglądał do wielu z nich w ciągu tych paru miesięcy, kiedy był członkiem rodziny cesarskiej i mieszkał w tym ogromnym domu, co bardzo zdenerwowało jego rozmówcę, który wrzasnął: — Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! I odpowiadaj na pytania!

— Nie wiem, kto to jest — odezwał się ze spokojem.

— Nigdy przedtem go nie widziałem.

— Nie żartuj sobie ze mnie; nikt nie porwałby się na coś takiego bez uprzedniego uzgodnienia. Wiedziałeś, że spróbuje was uwolnić, i prawdopodobnie wiesz, gdzie teraz jest. Lepiej by było dla ciebie, gdybyś mówił; mam sposoby, żeby cię do tego zmusić, jeśli zechcę.

— Nie wątpię — odrzekł Ambrozynus — ale nawet ty nie możesz mnie zmusić do powiedzenia czegoś, czego nie wiem. Wystarczy zapytać ludzi z eskorty: od chwili gdy opuściliśmy willę, nikt się z nami nie kontaktował oprócz twoich barbarzyńców. Wśród tych, którym kazałeś dokonać rzezi, nie było ani jednego Rzymianina i ani jeden człowiek Orestesa nie zdołał uciec przed tą jatką, dobrze o tym wiesz. Zresztą sam przeszkodziłem temu osobnikowi w ostatniej próbie porwania chłopca.

— Bo nie chciałeś go narażać na kolejne niebezpieczeństwo.

— *Zgadza się*. I dlatego że nigdy nie postąpiłbym w ten sposób! To było rozpaczliwe działanie, z góry przegrana bitwa. I zapłaciliśmy za nią straszliwą cenę. Oczywiście nie taki miał zamiar, ale niestety taki jego działanie zrodziło owoc. Moja pani, cesarzowa matka, nadal by żyła, gdyby nie jego nierozważny postępek. Ja nigdy bym nie pochwalił podobnego szaleństwa, a to z bardzo prostej przyczyny...

— Az jakiejże to przyczyny?

— Nie cierpię porażek. Oczywiście to człowiek wielkiego ducha i ten twój wściekły pies zapamięta to sobie na długo, ponieważ przeciął mu gębę prawie od ucha do ucha. Rozumiem, że pała żądzą zemsty, ale ja nie jestem w stanie wam pomóc i nawet jeśli pokroisz mnie na kawałki, nie dowiesz się nic ponad to, co już powiedziałem.

Spokój i pewność siebie, z jakimi przemawiał, wywarły na Odoakrze ogromne wrażenie. Tego pokroju człowiek bardzo by mu się przydał, człowiek wielkiego umysłu i o wielkiej mądrości, służący mu radą wśród meandrów polityki i intryg dworskich, w które wkrótce da się wciągnąć. Jednakże ton, z jakim powiedział „moja pani, cesarzowa matka”, nie pozostawiał cienia wątpliwości co do jego przekonania i osoby, której pozostanie wierny.

— Co zamierzasz zrobić z chłopcem? — zapytał w tej samej chwili Ambrozynus.

— To nie twoja sprawa — odburknął Odoaker.

— Oszczędź go. W żaden sposób nie może ci zaszkodzić. Nie mam pojęcia, dlaczego ten człowiek usiłował go uwolnić, ale to nie powinno ci spędzać snu z powiek. Działał sam: gdyby to był spisek, wybrałby inny czas i miejsce, nie sądzisz? Nie przyjechałby w pojedynkę, miałby pomocników rozstawionych wzdłuż szlaku, przygotowałby wcześniej drogę ucieczki. Tymczasem to ja musiałem mu pokazać, którądy powinniśmy uciekać.

Odoakra zdumiało to spontaniczne wyznanie i zarazem ścisła logika jego rozumowania.

— W takim razie jak mu się udało dostać aż do waszej komnaty?

— Nie wiem, ale potrafię sobie wyobrazić.

— Mów.

— Ten człowiek zna wasz język.

— Skąd ta pewność?

— Ponieważ słyszałem, jak rozmawiał z waszymi żołnierzami — odrzekł Ambrozynus.

— A którzy wyszli?—nie dawał za wygraną Odoaker. Żaden z jego ludzi nie potrafił bowiem wytłumaczyć, w jaki sposób Romulus i Aureliusz znaleźli się poza pałacem, skoro wszystkie drogi ucieczki były zamknięte.

— Tego nie wiem, ponieważ zostaliśmy rozdzieleni **przez** twoją straż. Tyle że chłopiec był cały mokry i **potwornie cuchnął**. Na mój gust jakby się zanurzył w ścieku. Ale **jaki cel mają** te indagacje? Przecież się chyba nie boisz **zaledwie** trzynastoletniego chłopca. Na dodatek ten człowiek był sam, powtarzam: sam i został ciężko zraniony. Pewnie już wyzionął ducha. Oszczędź tego chłopca, zaklinam cię. To tylko dziecko, jakąż krzywdę mógłby ci wyrządzić?

Odoaker spojrział mu w oczy i nagle ogarnął go niepokój, jakieś niewytłumaczalne poczucie niepewności. Spuścił wzrok udając, że się zastanawia, po czym rzekł:

— Teraz odejdz. Nie będziesz długo czekał na moją decyzję. Nie łudźcie się, że to, co się wydarzyło dzisiejszej nocy, może się powtórzyć.

— A jak miałyby się powtórzyć? — zdumiał się Ambrozynus. — Starzec i chłopiec, z których nie spuszczają oka dziesiątki żołnierzy... Ale jeśli mogę ci dać pewną radę...

Odoaker nie myślał się poniżać pytaniem, jaka to rada, w głębi duszy był jednak ciekaw, cóż takiego ma mu do powiedzenia ten człowiek, który potrafił wprawić go w zakłopotanie samym tylko spojrzeniem. Ambrozynus doskonale zdawał sobie z tego sprawę, toteż dodał:

— Jeżeli zgładzisz chłopca, popełnisz poważne nadużycie, cesarz Wschodu zaś ma wielu szpiegów, żołnierzy i zwolenników również w Italii. Rzymianinowi może odebrać władzę inny Rzymianin, ale nie... — zawahał się przez chwilę — nie barbarzyńca. Nawet wielki Rycymer,

— Zachowanie pozorów — dokończył Odoaker. Antoniusz spojrział na niego zdumiony: ten nieokrzesany wojak prędko uczy się zasad polityki.

— Czy jego nauczyciel może mu towarzyszyć?—zapytał starzec.

— Nie mam nic przeciwko temu. W ten sposób chłopiec będzie mógł się zająć nauką, co wyjdzie mu tylko na dobre.

— Kiedy mają wyruszyć?

— Im prędszej, tym lepiej; nie chcę tu więcej żadnych kłopotów.

— A mogę poznać jego miejsce pobytu?

— Nie. Pozna je wyłącznie dowódca eskorty.

— Ale mam poczynić przygotowania do długiej czy krótkiej podróży?

Odoaker zawahał się przez chwilę, nim odrzekł:

— Dosyć długiej.

Skinąwszy głową, Antoniusz skłonił się uniesieniem i oddalił do swoich komnat. Wkrótce do Odoakra dołączyła grupa najbardziej zaufanych oficerów, składających się na jego ścisłą radę. Był wśród nich Wulfila, który nadal wykazywał oznaki rozdrażnienia po niedawnej rozmowie w cztery oczy ze swoim panem. Odoaker kazał im podać posiłek, kiedy zaś wszyscy zasiedli przy stole i każdy nałożył sobie odpowiednią porcję mięsa, zapytał ich o zdanie, dokąd zesłać chłopca. Ktoś zaproponował Istrię, ktoś inny Sardinie. W pewnej chwili jeden z obecnych oznajmił:

— Według mnie są to miejsca zbyt odległe i zbyt trudne do upilnowania. Na Morzu Tyrreńskim jest pewna trudno dostępna i niegościnna wyspa, na której nic nie ma. Leży dostatecznie blisko i zarazem wystarczająco daleko od brzegu. Na urwisku, do którego nie sposób się dostać, znajduje się stara, częściowo zrujnowana, ale nadająca się do zamieszkania willa. — Wstał, podszedł do ściany, na której namalowana była mapa Cesarstwa, i pokazał punkt w Zatoce Neapolitańskiej: — Capri.

OSTATNI LEGION

Odoaker nie od razu odpowiedział. Najwyraźniej rozważał wszystkie propozycje. Po chwili jednak rzekł:

— To miejsce wydaje mi się najlepsze: jest wystarczająco odosobnione, ale jednocześnie całkowicie niedostępne. Chłopca będzie eskortować stu najlepszych żołnierzy. Nie chcę żadnych niespodzianek, poczyńcie więc niezbędne przygotowania. Sam was powiadomię, kiedy nadejdzie czas wymarszu.

Jako że sprawa została przesądzona, zmienili temat rozmowy. Wszyscy byli w wybornych humorach: świadomość, że znajdują się w komnacie najwyższego władcy, oraz perspektywa podniecającego życia i posiadania rozległych włości, sług, kobiet, stad bydła, willi i pałaców wprowadziły ich w stan euforii i skłaniały do picia ponad miarę. Kiedy Odoaker ich wreszcie odesłał, większość była pijana i musiała skorzystać z pomocy sług, by dotrzeć do swoich pomieszczeń na popołudniową drzemkę, która stanowiła typowy dla tego kraju zwyczaj, a do którego i oni zaczęli się stosować.

Wulfila, który zachował trzeźwość dzięki mocnej głowie, otrzymał polecenie, by został.

— Posłuchaj, postanowiłem powierzyć ci pieczę nad chłopcem, ponieważ jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać w tej materii — oświadczył Odoaker. — Jako że wyraziłeś już swoje zdanie na ten temat, teraz ja ci powiem, co myślę: jeżeli coś mu się stanie, jeżeli spadnie mu z głowy chociaż jeden włos, ty będziesz za to odpowiedzialny, a twoja głowa będzie warta mniej niż resztki, które rzucam psom. Zrozumiałeś mnie dobrze?

— Doskonale — odparł Wulfila. — Moim zdaniem będziesz żałował, że oszczędziłeś chłopca, ale ty tu rządzisz. — Ostatnie słowa wypowiedział takim tonem, jakby chciał dodać „na razie”. Odoaker zrozumiał jego intencje, nie zareagował jednak.

Kiedy nadszedł dzień wyjazdu, na krótko przed świtem do pokoju Romulusa wskoczyły dwie służki, by go obudzić i przygotować do drogi.

— Dokąd nas zabierają? — zapytał chłopiec.

Dziewczęta popatrzyły na siebie porozumiewawczo, po czym zwróciwszy się do Ambrozynusa, który natychmiast zerwał się z łóżka, jedna z nich odrzekła:

— Jeszcze nie wiadomo, ale Antoniusz jest pewien, że pojedziecie na południe, a z ilości zapasów pożywienia wnosi, że podróż będzie trwała co najmniej tydzień, może nawet dłużej. To może być Gaeta albo Neapol, albo równie dobrze Brundyzjum, ale to ostatnie uważa za mało prawdopodobne.

— A co potem? — zapytał Ambrozynus.

— Nie ma żadnego „potem”. — Służka pokręciła głową. — Bez względu na to, jakie będzie miejsce przeznaczenia, pozostanie w nim na zawsze.

Ambrozynus odwrócił wzrok usiłując ukryć emocje. Dziewczęta zaś ucałowały dłoń Romulusa mówiąc:

— Żegnaj, cesarze, niechaj Bóg ma cię w swej pieczy.

Wkrótce żołnierze pod dowództwem Wulfili wyprowadzili Romulusa i Ambrozynusa na zewnątrz, pod skrzydło, w którym mieściła się bazylika. Przez otwarte drzwi w głębi nawy widać było katafalk, a wokół niego zapalone lampy oliwne — trwały przygotowania do uroczystego pochówku Flawii Sereny. Pilnowany przez jednego z ludzi Odoakra Antemiusz podszedł bliżej, skłonił się uniesieniem przed Romulusem i powiedział:

— Niestety nie pozwolono ci uczestniczyć w pogrzebie twojej matki, który sam przygotowałem z najwyższą starannością, ale może nawet tak jest lepiej. Szczęśliwej drogi, panie, niech cię Bóg prowadzi.

— Dziękuję — odrzekł Ambrozynus żegnając Antemiusza skinieniem głowy. Po czym wsiadł do wozu i przytrzymał drzwi dla Romulusa, chłopiec jednak zrobił parę kroków w kierunku wejścia do bazyliki. Posławszy długie spojrzenie Flawii Serenie, szepnął:

— Żegnaj, mammo.

Powoli obraz nabierał kształtów; początkowo wyglądało to jak mgliste migotanie, zielonkawy odblask, który stopniowo nabrał wyraźniejszych i ostrzejszych konturów w bladym słońcu poranka: była to wielka wanna pełna wody, maszkaron pod postacią satyra z otwartymi ustami, który wypływał bulgoczący strumień do ogromnego basenu. W górze zaś wznosiło się pokryte rosą sklepienie, z którego zwisały kępy złotowłosu Wenery, przez szerokie szpary przedostawały się promienie światła, tworząc dziwacze błyski na ścianach i na lustrze wody. Wokół wanny stały cokoły z okaleczonymi rzeźbami. Jednym słowem, stare opuszczone nimfeum.

Aureliusz usiłował usiąść, ów gwałtowny gest przypawił go jednak o jęk bólu, na co kilka żab wskoczyło z przestraczem do wody.

— Spokojnie — rozległ się za jego plecami czyjś głos — masz w ramieniu niemałą dziurę, która może się na nowo otworzyć.

Aureliusz obejrzał się za siebie i natychmiast przed oczami stanęły mu sceny z jego ucieczki po lagunie, obraz przerażonego chłopca i twarzy tamtej olśniewająco pięknej kobiety, która leżała martwa. Rana w jego duszy była o wiele bardziej bolesna niż ostre ukłucie, które poczuł w sercu. Ujrzał przed sobą około sześćdziesięcioletniego mężczyznę o pomarszczonej, zniszczonej przez sól morską skórze, który miał na sobie sięgającą mu do kolan tunikę z szorstkiej wełny, łysinę zaś zasłaniał również wełnianym nakryciem.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Człowiekiem, który cię doprowadził do porządku. Mam na imię Justynus i swego czasu byłcm szanowanym lekarzem. Pozszywałem cię najlepiej, jak umiałem nicią do sieci i umyłem octem, ale byłeś w bardzo kiepskim stanie, cały we krwi. Musiałeś jej dużo stracić na lagunie, podczas przewozu łodzią.

— Dziękuję ci... — zaczął Aureliusz, w tejże jednak chwili postyszał odgłos kroków zbliżających się z głębi domu. Odwróciwszy się, ujrzał dziewczynę w męskim stroju, odzianą w nogawice i kaftan z jeleniej skóry, z krótko obciętymi włosami. Nosiła przewieszony przez ramię łuk, w dłoni zaś trzymała ramię od kołczana.

— To jej powinienś podziękować — powiedział mężczyzna. — Właśnie ona uratowała ci życie. — Po czym zabrał sakwę i cynową miskę, w której obmył mu ranę, i odszedł, lekko skinąwszy na pożegnanie głową.

Aureliusz obejrzał czerwone od krwi ramię, którego opuchlizna rozciągała się od piersi aż do łokcia. Ponadto czuł potworny ból głowy i łupanie w skroniach. Opadł z powrotem na siennik, dziewczyna tymczasem podeszła bliżej i usiadła obok niego.

— Kim jesteś? — zapytał Aureliusz. — Ile czasu upłynęło?

— Parę dni.

— Spałem dwa dni i dwie noce?

— Powiedzmy, że byłeś nieprzytomny przez dwa dni i dwie noce. Justynus twierdzi, że miałeś bardzo silną gorączkę i majaczyłeś. Mówiłeś dziwne rzeczy...

— Uratowałaś mi życie. Dziękuję ci.

— Byłeś sam przeciwko pięciu. Uznałam za słuszne wyrównać szanse.

— Nocą, we mgle musiało być bardzo trudno trafić...

— W tym niestałym, niewyraźnym krajobrazie łuk to idealna broń.

— A co z moim koniem?

— Pewnie go zabrali. Albo zjedli. Ciężkie czasy nastały.

Aureliusz chciał jej spojrzeć prosto w oczy, dziewczyna jednak unikała jego wzroku.

— Masz trochę wody? Umieram z pragnienia.

Nalała mu z glinianego dzbanka.

— Mieszkaś tu?

— To jedna z moich kryjówek; piękne miejsce, nie uważasz? Duże, obszerne, dobrze ukryte. Ale mam jeszcze inne...

OSTATNI LEGION

— Chciałem zapytać, czy mieszkasz na lagunie?

— Od dziecka.

— Jak ci na imię?

— Liwia. Liwia Priska. A tobie?

— Aurelianus Ambrozjusz Wentidiusz, ale przyjaciele mówią na mnie Aureliusz i ty też możesz mnie tak nazywać.

— Masz jakąś rodzinę?

— Nie mam nikogo. I nie pamiętam, żebym kiedykolwiek miał.

— To niemożliwe. Przecież masz imię, a ten pierścień, który nosisz na palcu, nie jest przypadkiem sygnetem rodowym?

— Nie wiem. Mógł mi go ktoś podarować albo mogłem go ukraść, któż to wie? Moją jedyną rodziną zawsze było wojsko, towarzysze z oddziału. Co było wcześniej, nie pamiętam.

Dziewczyna zdawała się nie przywiązywać wagi do tych słów. Prawdopodobnie gorączka i ból od rany pomieszały mu rozum. Albo może po prostu nie chciał sobie przypomnieć. Zapytała więc:

— A gdzie są teraz twoi towarzysze?

Aureliusz westchnął.

— Nie wiem. Ale możliwe, że wszyscy zginęli. To byli nadzwyczajni, najlepsi wojownicy: legionieści z Nova Invicta.

— Powiedziałaś: Nova Invicta? Nie sądziłam, że ona naprawdę istnieje. Legiony należą już do przeszłości, do czasów, kiedy to mężczyźni walczyli na otwartym polu i w zwartym szyku: piechota przeciw piechocie, jazda przeciw jeździe... Przynajmniej ty się uratowałaś. To dziwne... W mieście krążą pogłoski, że jakiś zbiegły legionista ni mniej, ni więcej, tylko chciał porwać cesarza. Wyznaczono wysoką nagrodę dla tego, kto pomoże go schwycić.

— A ty chciałaś ją zdobyć, prawda?

— Gdybym chciała, już bym ją zdobyła, nie uważasz? A ty wtedy obudziłbyś się w więzieniu i dałbyś głowę

albo skonałbyś podczas przewozu. Nawet byśmy się nie poznali.

Wypowiedziała te słowa z lekką nutką ironii. Zaczęła bawić się siecią, najwyraźniej starając się unikać wzroku swego gościa — nie wiadomo, czy było to szorstkie zachowanie dzikiej dziewczyny czy też nieśmiałość. Aureliusz zamilkł, jakby wsłuchiwał się w nawoływania bagiennych ptaków, które przygotowywały się do odlotu, i jednostajnego szumu wody w ogromnej zielonej wannie. Oczyma duszy ujrzał swych towarzyszy, których nie zdołał uratować ani którym nie był w stanie pomóc, zaatakowanych przez chmurę wrogów; w wyobraźni stanęły mu ich nieporzebane, poranione ciała, rozszarpywane przez zabłąkane psy i dzikie zwierzęta. Watrenus, Batiatus, Antoninus, dowódca Klaudianus. Żal ścisnął mu serce, do oczu zaś napłynęły łzy.

— Nie myśl o tym — poradziła dziewczyna, jakby spoglądała mu w twarz. — Ci, którzy ocaleli z rzezi, zawsze czują się winni. Czasami nawet do końca swoich dni. Czują się winni, że żyją.

Aureliusz nie odpowiedział; wolał zmienić temat.

— Jak ty możesz żyć w takim miejscu? Dziewczyna sama na bagnach?

— „Żeby nadal móc żyć jak Rzymianie, musimy żyć jak barbarzyńcy” — odrzekła cicho Liwia, jakby mówiła do siebie.

— Znasz pisma Salwianusa!

— Jak widać, ty też.

— Tak... urywki wspomnień, które wracają z przeszłości. Słowa... czasem obrazy...

Liwia wstała i podeszła bliżej. Aureliusz podniósł wzrok, by się jej przyjrzeć. Promień słońca, przebiwszy się przez mgłę, prześwitywał przez szczelinę w murze, otaczając jej twarz i smukłą postać niewidzialną aurą i rozświetlając przezroczystym refleksem. Była z całą pewnością urzekająca, może nawet piękna. Nagle jego wzrok spoczął na piersi dziewczyny — na medalionie przedstawiającym srebrnego orła z rozłożonymi skrzydłami, który miała

zawieszony na szyi. Kiedy to zauważyła, natychmiast zmienił jej się wyraz twarzy. Wpatrywała się w niego pytającym, niemal badawczym wzrokiem. Aureliuszowi przemknął przez głowę zamglony, niewyraźny obraz płonącego miasta. Wydawało mu się, że widzi morze ognia, a na nim ów naszyjnik w kształcie orła płynący powoli niczym liść, który spada z drzewa. Liwia potrząsnęła go za ramię.

— Przypomina ci coś?

Aureliusz odwrócił wzrok.

— Co takiego?

— To—odrzekła i wzięła do ręki medalion, pochylając się do przodu i podnosząc naszyjnik na wysokość jego wzroku. Ujrzał przed sobą kółko z brązu, niewiele większe niż moneta wartości jednego solida, do którego przymocowany był mały srebrny orzeł.

— Nie — odburknął.

— Jesteś pewien?

— A dlaczego miałby coś przypominać?

— Ponieważ zdało mi się, że go poznajesz.

Aureliusz przekręcił się na bok.

— Jestem zmęczony — oznajmił. — Wykończony.

Liwia nic więcej nie powiedziała; odwróciwszy się na pięcie, zniknęła pod łukiem w sąsiednim pomieszczeniu. Po chwili dało się słyszeć beczenie, po czym dziewczyna pojawiła się znowu ze skopkiem mleka i nałała mu czarkę.

— Pij — poleciła — dopiero co wydoiłam kozę, a ty od wielu dni nic nie jadłeś.

Aureliusz upił trochę, a pod wpływem ciepłego mleka poczuł, jak całe jego ciało i umysł ogarnia znużenie, któremu nie jest w stanie się oprzeć, wyciągnął się więc na sienniku i zasnął. Liwia usiadła obok obserwując go przez kilka chwil. Szukała czegoś w rysach jego twarzy, ale sama nie wiedziała czego; ta trudna sytuacja wprawiła ją w ogromne zakłopotanie, jakie odczuwa człowiek, gdy nieoczekiwanie zostaje w nim rozbudzona nadzieja, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że jest ona płonna, że nigdy się nie ziści. Potrząsnęła głową, jakby chciała ode-

gnać jakąś irytującą myśl, podeszła do swojej łodzi i zepchnąwszy ją do wody, oddaliła się wzdłuż laguny, kiedy zaś wpłynęła między trzciny, schowała się na dnie. Położywszy się na sieci rybackiej, jęła się wpatrywać w niebo, które z wolna zasnuwały wielkie pierzaste chmury, oblewając szkarłatem ostatnie promienie zachodzącego słońca. W górze unosiły się ogromne stada dzikich kaczek i gęsi, niekiedy nawet dało się słyszeć ich nawoływanie. Z wiosek rowów nawadniających i kanałów dochodziło monotonne kumkanie żab, nad wodą zaś powoli i dostojnie przeleciała czapla siwa.

Jesienna pogoda i widok przygotowujących się do odlotu ptaków wprawiły Liwie w stan melancholii, mimo że oglądała go już wiele razy. W takich chwilach sama miała ochotę wzbić się do lotu i poszybować gdzieś daleko, ku innemu światu, hen za morze, zapomnieć o tych ponurych bagnach, wymazać z pamięci znajomy, acz niepokojący obraz murów Rawenny przez tyle miesięcy w roku spowitych mgłą, wilgoć, jednostajny deszcz i zimny wschodni wiatr, który mroził wszystkie członki przenikając aż do kości. Za każdym jednak razem z nastaniem wiosny, gdy jaskółki wracały do swych gniazd wśród ruin, gdy słońce rozświetlało płynące tuż pod powierzchnią wody miriady srebrzystych rybek, wówczas czuła, jak odżywa w niej nadzieja, że świat może się znów odrodzić.

Zawsze żyła jak mężczyzna, przywykła radzić sobie z przeciwnościami losu, pokonywać trudy, a często nawet wrogość, bronić się i atakować stosując wszelkie możliwe chwyt, hartować ciało i ducha, nigdy wszakże nie zapomniała o swoich korzeniach, o tych kilku latach, które spędziła beztrudnie na łonie rodziny, w rodzinnym mieście. Pamiętała ruch na ulicach, statki w porcie, jarmarki, uroczystości religijne według najrozmaitszych obrządków. Pamiętała urzędników sądowych, którzy zasiadali na forum na krzesłach sędziowskich odziani w śnieżnobiałe szaty, uroczysti niczym posągi; chrześcijańskich kapłanów; pamiętała msze w skrzących od mozaik kościołach] pamiętała przedstawienia w teatrze i lekcje w szkole. Pamiętała, co to

znaczy cywilizacja; Aż nagle pewnego dnia pojawiła się horda barbarzyńców ze Wschodu: byli mali i dzicy, mieli skośne oczy, włosy zaś związane w ogony podobne do ogonów ich włochatych koni. Jeszcze brzmiała jej w uszach zwielokrotniona przez echo, długa skarga rogów grających na alarm, oczyma duszy widziała żołnierzy wbiegających na przedpiersie, zajmujących pozycje, gotujących się do długotrwałego, ciężkiego oporu. Komendant garnizonu akurat wyjechał z jakąś misją, toteż dowództwo objął młodziutki oficer. Niewiele więcej niż dzieciak. O wiele więcej niż bohater.

Z zamyślenia wyrwał ją plusk wiosł, usiadła więc i nastawiła ucha. Do brzegu podpłynęła jakaś łódź, z której wysiadło dwóch mężczyzn: jeden starszy, dobrze odziany i o wyniosłej postawie, drugi zaś około pięćdziesiątki, niezbyt wysoki, smukły, o delikatnych rysach — straż przyboczna starego. Liwia widziała ich już wiele razy, opuściła więc swą kryjówkę, podpłynęła bliżej i również wysiadła na ląd.

— Antoniusz! — zawołała na powitanie. — Już myślałam, że się nie zjawisz.

— Nie było łatwo wydostać się z miasta. Nie spuszczałam mnie z oka, a ja nie chcę wzbudzić podejrzeń. Musiałem poczekać, dopóki nie znajdę jakiegoś dobrego pretekstu. Przynoszę ważne wiadomości, ale jeśli się nie mylę, ty też masz mi coś do zakomunikowania.

Liwia chwyciła go pod ramię i odciągnęła na bok, w kierunku opustoszałego domostwa, które tonęło w wodzie sięgającej niemal do pierwszych okien. Wołała, żeby nikt jej nie słyszał.

— Człowiek, którego uratowałeś tamtej nocy, to ten sam, który próbował porwać cesarza z pałacu.

— Jesteś tego pewna?

— Jak tego, że cię widzę. Ścigała go grupa barbarzyńców z oddziałów Odoakra. Poza tym kiedy mu powiedziałam, że w mieście szukają złoczyńcy, który usiłował porwać cesarza, nawet nie starał się zaprzeczyć, że to on.

— Kto to jest? — dopytywał Antoniusz.

— Twierdzi, że jest legionistą z Nova Invicta. Może oficerem, nie wiem.

— To oddział, który Orestes kazał potajemnie wyszkolić, żeby na nim wesprzeć swoje imperium. Został rozbity w pył.

Liwia przypomniała sobie pełen niepokoju wzrok Aureliusza, wspominającego poświęcenie swych towarzyszy.

— Czy to prawda, że nikt nie ocalał? — zapytała.

— Nie wiem. Może oszczędzili paru żołnierzy, jeśli potrzebowali niewolników. Jutro ma wrócić armia, którą Odoaker wysłał pod wodzą Mleda, żeby zrównała ich obóz z ziemią. Przekonamy się, czy zostały jakieś niedobitki. Wtargnięcie tego żołnierza było prawdziwą katastrofą: zabił wprawdzie z dziesięciu barbarzyńców, co sprawiło mi niekłamaną przyjemność, ale jednocześnie spowodował nieświadomie śmierć matki cesarza, Flawii Sereny, i wywołał w pałacu wielkie poruszenie. Barbarzyńcy podejrzewają wszystko i wszystkich. Przez chwilę bałem się, że życiu cesarza zagraża niebezpieczeństwo, na szczęście jednak Odoaker postanowił go oszczędzić.

— Cóż za wspaniałomyślność z jego strony! Ale to wszystko nie daje mi spokoju. O ile wiem, Odoaker nic nie robi bez powodu, a ten dzieciak może dla niego oznaczać wyłącznie kłopoty.

— Mylisz się — odrzekł Antemiusz. — Odoaker rozumiał, na czym polega polityka. Jeżeli zabije cesarza, narazi się na nienawiść i pogardę ludu rzymskiego, na oburzenie chrześcijańskiego duchowieństwa, które będzie go przyrównywało do Heroda, dla Wschodu zaś stanie się oczywiste, że pragnie purpury dla siebie. Jeśli jednak ocali chłopca, zostanie uznany za wspaniałomyślnego i łaskawego, a w Konstantynopolu nie będzie wzbudzał groźnej dla siebie podejrzliwości.

— A tobie się wydaje, że w Konstantynopolu kogokolwiek obchodzi los Romulusa Augustusa? Zenon popierał starego cesarza zachodniorzymskiego, Juliusza Neposa, i udzielił mu schronienia na swych ziemiach w Dalmacji po tym, jak Flawiusz Orestes go zdetronizował. O ile wiem,

OSTATNI LEGION

chłopiec był obiektem drwin. Mówili na niego *Momylos* zamiast Romulus, naśladując niewyraźną mowę dziecka.

— Ale Zenon został zdetronizowany i teraz rządzi Bazyliskus, który przebywa obecnie w Spalatum, o jeden dzień drogi łodzią stąd. Wyprawiłem tam wysłanników. Przebrani za rybaków spotkają się z nim najpóźniej za dwa dni i wkrótce poznamy odpowiedź.

— O co kazałeś go poprosić?

— Żeby udzielił schronienia cesarzowi.

— I myślisz, że się zgodzi?

— Kazałem mu złożyć interesującą propozycję. Sądzę, że na nią przystanie.

Nad szeroką cichą laguną zachodziło słońce, na tle jego czerwonej tarczy, niknącej w ciemnym płaskim pejzażu **wsi, odcinał** się długi szereg jeźdźców na koniach.

— Przednia straż Mleda — powiedział Antemiusz.

— Jutro będę wiedział na pewno, czy uratował się ktoś z towarzyszy twojego zoinierza.

— Dlaczego to robisz? — zapytała Liwia.

— Co?

— Dlaczego próbujesz ocalić chłopca? Wydaje mi się, że nie przyniesie ci to żadnych korzyści.

— Nie mnie osobiście. Ale zawsze byłem wierny rodzinie Flawii Sereny. Wierność to zaleta typowa dla starców: człowiek jest już za stary, żeby zmieniać postępowanie i ideały... — westchnął. — Służyłem jej ojcu przez całe lata i zrobiłbym wszystko, żeby jej pomóc, gdybym miał więcej czasu, gdyby nie wmieszał się ten żołnierz.

— Może on też miał swoje powody.

— Chciałbym w to wierzyć i chętnie je poznam, jeśli uda ci się go skłonić do mówienia.

— A co zrobisz, jeśli Bazyliskus zgodzi się udzielić chłopcu schronienia?

— Uwolnię go.

Liwia, która przez cały czas podążała o krok przed nim, odwróciła się raptownie.

— Co takiego?

— Przecież mówię: uwolnię go.

Pokręciła głową i spojrzała nań z kpiącym uśmiechem.

— Nie jesteś aby za stary na takie przygody? A skąd weźmiesz ludzi do tego przedsięwzięcia? Sam powiedziałeś, że Odoaker zamierza ocalić mu życie. To już dużo, nie sądzisz? Lepiej zostawić wszystko tak, jak jest.

— Wiem, że mi pomożesz — ciągnął Antemiusz w ogóle nie zważając na jej słowa.

— Ja? Nawet mi to do głowy nie przyszło. Już i tak narażałam własną skórę ratując tego nieszczęśnika. Nie uśmiecha mi się igranie z losem w przedsięwzięciu z góry skazanym na klęskę.

Antemiusz chwycił ją za ramię.

— Ty też masz swoje marzenia, Liwio Prisko, a ja jestem gotów ci pomóc je spełnić. Dam ci ogromną sumę pieniędzy, będziesz więc miała dosyć, żeby opłacić wszystkich, których uznasz za stosowne zatrudnić, aby operacja się powiodła, i jeszcze zostanie ci wystarczająco dużo, żeby wspomóc ziszczenie twoich planów. Oczywiście na razie jest jeszcze za wcześnie, by snuć projekty; najpierw musimy uzyskać odpowiedź Bazyliskusa. A teraz chodź, wracamy, bo ktoś zauważy moją nieobecność.

Podeszli do łodzi Antoniusza. Jego towarzysz czekał na niego siedząc na brzegu.

— Stefanus to mój sekretarz i straż przyboczna, powiedziałbym nawet: mój cień. Wie o wszystkim. W przyszłości można będzie się kontaktować za jego pośrednictwem.

— Jak chcesz — odrzekła Liwia — ale moim zdaniem jesteś zbyt łatwowierny] Bazyliskus nie da ani grosza, żeby ocalić życie Romulusa.

Antemiusz odparł tylko:

— Zobaczmy. — Po czym wsiadł do łodzi, Stefanus zaś chwycił wiosła. Stojąca nieruchomo na brzegu Liwia przyglądała się, jak znikają w ciemnościach zmierzchu.

Kolumna przemierzała wał dzielący lagunę z północy na zachód, wzdłuż starych wydm, aż dotarła do stałego lądu. W tym właśnie miejscu zaczynał się dukt z ubitej ziemi, który po kilku milach łączył się z wybrukowaną drogą zwaną via Romea, jako że od wielu lat stanowiła ulubiony szlak pielgrzymów, ciągnących z całej Europy, by pomodlić się nad grobami apostołów Piotra i Pawła. Na czele kolumny podążał na swym bojowym koniu Wulfila uzbrojony w topór i miecz, z torsem osłoniętym kolczugą, która na ramionach i piersiach była obita blachą. Jechał w milczeniu, pozornie zatopiony w myślach, w rzeczywistości jednak jego sokoli wzrok dokładnie rejestrował wszelki ruch wzdłuż drogi. Zdążające po jego bokach stráže strzegły go pilnie, przeczesując każdy kąt ogromnej przestrzeni, która się przed nimi otwierała.

Aby uprzędzić jakikolwiek niespodziewany atak, w odległości około pół mili od głównej kolumny przemierzały wieś dwa hufce po dwustu żołnierzy każdy, jadące po obu stronach drogi. Z tyłu zaś posuwało się jakichś trzydziestu jeźdźców, a za nimi toczył się wóz z więźniami. Kolumnę zamykała trzymająca się w pewnej odległości straż tylna w sile dwudziestu żołnierzy.

Ambrozynus siedział w wozie naprzeciw Romulusa, co pewien czas zwracając jego uwagę na osobliwości krajobrazu: wioski, domostwa, ruiny starych pomników. Usiłował podtrzymać rozmowę, lecz z marnym skutkiem — chłopiec odpowiadał monosylabami albo zamykał się w sobie. Wówczas preceptor wyciągał z worka podróżnego „Eneidę” i zaczynał czytać, przerywając od czasu do czasu, by rzucić okiem na mijany krajobraz. Albo wyjmował pergaminową zszywkę, otwierał podróżny kałamarz, maczał w nim pióro i pisał w milczeniu, niekiedy przez długie godziny. Kiedy przejeżdżali pośród zabudowań, jeden ze strażników rozkazał opuścić zastłonę — nikt nie powinien zobaczyć, kto jest w środku.

Podróż została bardzo starannie zaplanowana, kiedy zaś pierwszego wieczoru konwój zatrzymał się na dwudziestej piątej mili, czekała na nich do połowy zrujnowana stacja drogowa, którą najwyraźniej częściowo wyremontowano: wewnątrz paliło się światło i ktoś przygotował dla gości wieczerzę. Straże rozbiły obóz w pobliżu i zabrały się do przyrządzania własnego posiłku, na który składała się mamałyga z prosa okraszona słoniną i solonym mięsem. Ambrozynus usiadł naprzeciw Romulusa, gdy tymczasem oberżysta podał im po trochu wieprzowiny z duszoną soczewicą, czerstwy chleb i dzbanek wody ze studni.

— Wprawdzie nie jest to żadna wielka uczta — zauważył Ambrozynus — ale musisz jeść. Proszę cię, czeka nas długa droga, a ty jesteś bardzo słaby. Musisz koniecznie odzyskać siły.

— Po co?—zapytał chłopiec spoglądając od niechcenia na talerz z dymiącą potrawą.

— Ponieważ życie to dar od Boga i nie wolno nam go marnować.

— To dar, o który wcale nie prosiłem — odrzekł Romulus. — Czeka mnie więzienie bez końca, czyż nie tak?

— Na tym świecie nikt nie może snuć planów bez końca. Za dużo jest ciągłych zmian, zawirowań i przewrotów. Ten, kto dziś siedzi na tronie, jutro może gryźć piach, ten, kto płacze, wkrótce może ujrzeć iskierkę nadziei... Musimy mieć nadzieję, cesarze, nie wolno nam poddawać się rozpaczce. Zjedz coś, proszę, zrób to dla mnie, ponieważ cię miłuję.

Chłopiec wypił tylko łyk wody, po czym odparł bezbarwnym głosem:

— Nie nazywaj mnie cezarem. Nie jestem już nim, a może nigdy nie byłem.

— Mylisz się: jesteś ostatnim przedstawicielem wielkiego rodu panów świata. Zostałeś wybrany przez aklamację przez Senat Rzymu, a ja byłem przy tym obecny. Czyżbyś już zapomniał?

OSTATNI LEGION

— Ile czasu upłynęło? — przerwał mu chłopiec.—Tydzień? Rok? Już nie pamiętam. Tak jakby się to nigdy nie zdarzyło.

Ambrozynus wołał nie drażnić tego tematu.

— Jest coś, o czym ci nigdy nie mówiłem... Coś bardzo ważnego.

— Co? — zapytał obojętnie Romulus.

— To, jak cię pierwszy raz spotkałem. Miałeś dopiero pięć lat i twoje życie było w wielkim niebezpieczeństwie, leżałeś w namiocie, w głuchej apenińskiej ciszy, podczas ciemnej zimowej nocy, o ile dobrze pamiętam.

Chłopiec podniósł głowę, mimo woli okazując ciekawość. Jego nauczyciel miał prawdziwy dar do snucia opowieści. Wystarczyło mu kilka słów, by stworzyć odpowiednią atmosferę, sprawić, by cienie nabrały ciała, by ożywić fantastyczne wizje z przeszłości. Romulus wziął kawałek chleba i umoczył go w duszonej soczewicy. Ambrozynus, który również zabrał się do jedzenia, przyglądał mu się ze wzruszeniem.

— I co się wtedy stało? — zapytał Romulus.

— Miałeś zatrucie. Najadłeś się trujących grzybów. Ktoś pomieszał je z jadalnymi na twoim talerzu, przez pomyłkę albo celowo... Zjedz jeszcze trochę mięsa.

— A czy ta potrawa nie może być zatruta?

— Nie wydaje mi się. Gdyby chcieli cię zabić, już dawno by to zrobili, porzuć zatem obawę. No więc przejeżdżałem tamtędy przez przypadek; byłem zmęczony, głodny, wycieńczony długą drogą, przemarznięty, a kiedy w samym środku lasu zobaczyłem światło w namiocie, poczułem coś w sercu. Jakieś dziwne wzruszenie, jakby nagłe objawienie. Wszedłem do środka, nie zatrzymany przez nikogo, jakbym był jakąś niewidzialną zjawą. Może sam Bóg mi dopomógł zasłaniając strażom oczy mgłą i oto znalazłem się wewnątrz namiotu. Leżałeś w kolebce. Byłeś taki malutki... i blady, miałeś sine usta. Twoi rodzice rwali włosy z rozpacz. Zdołałem cię odratować podając ci środek wymiotny i od tej pory aż do teraz byłem członkiem rodziny.

Na wspomnienie rodziców oczy Romulusa napełniły się łzami, powstrzymał się jednak od płaczu.

— Lepiej by było, gdybyś pozwolił mi umrzeć — powiedział. Ambrozynusowi udało się wcisnąć mu do ust kawałek mięsa. — Jak to się stało, że znalazłeś się akurat w tym miejscu?

— Jak to się stało? To długa historia; jeżeli będziesz chciał, opowiem ci ją po drodze. Ale teraz dokończ jedzenie, a potem pójdziemy spać. Jutro musimy wstać o świcie i przez cały dzień będziemy w drodze.

— *Ambrosine...*

— Co, małeńki?

— Dlaczego chcą mnie więzić do końca życia? Dlatego że ojciec mianował mnie cesarzem? Czy to z tego powodu?

— Sądzę, że tak.

— Posłuchaj — ożywił się Romulus, a jego twarz nagle się rozjaśniła. — Może uda nam się znaleźć rozwiązanie: jestem gotowy zrzec się wszystkiego, wszelkich tytułów, ziem, insygniów i boskości. Chcę po prostu być takim chłopcem jak inni; pójdziemy sobie obydwać gdzieś daleko. Będziemy pracować, snuć opowieści na placach, ty jesteś znakomitym bazarzem, *Ambrosine*, jakoś zarobimy na chleb i nie będziemy wadzić nikomu. Zobaczymy tyle nowych miejsc, popłyniemy aż do krainy Pigmejów, aż do Gór Księżycowych. Pomyśl tylko, pomyśl! Idź, powiedz im to. Powiedz, że... że rezygnuję ze wszystkiego, nawet z... — Spuścił głowę, nie chcąc pokazać malującego mu się na twarzy wstydu. — Nawet z pomszczenia mojego ojca. Powiedz im, że chcę o wszystkim zapomnieć. I że nigdy więcej już o mnie nie usłyszą. Żeby tylko pozwolili mi odejść. No już, idź i powiedz im.

Ambrozynus popatrzył na niego z czułością.

— To nie takie proste, cesarze.

— Jesteś hipokrytą: nazywasz mnie cesarzem, ale nie słuchasz moich rozkazów.

— Zrobiłbym to, gdyby to było możliwe, ale nie jest. Ci ludzie nie mają takiej władzy, by przyznać ci cokolwiek.

OSTATNI LEGION

Tylko Odoaker może to uczynić, ale Odoaker jest w Rawnie i już wydał rozkazy, którym nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić. I nie waż się nigdy więcej nazywać mnie hipokrytą. Jestem twoim nauczycielem i winieś mi szacunek. A teraz bądź tak miły, skończ posiłek i natychmiast kładź się do łóżka, bez dyskusji.

Romulus spełnił polecenie. Ambrozynus przyglądał się, jak przeżuwa z niechęcią ostatni kęs chleba, po czym znika w izbie obok.

Wyjął z worka pergaminową zszywkę i zabrał się do pisania przy słabym świetle lampki. Z zewnątrz dochodził **wnuk** i jazgot barbarzyńców, którym zaczynały wracać •**It**y po męczącej podróży, wypite zaś w ogromnych ilościach piwo rozgrzewało umysły. Całe szczęście, że chłopiec już spał albo przynajmniej nie rozumiał ich języka, wielu z nich brało bowiem udział w rzezi w willi Orestesa, a teraz przechwalali się, ile nakradli, ile nagwałcili i ile wszelkiego rodzaju podłości dopuścili się na swych ofiarach. Inni z kolei należeli do armii Mleda, tej samej, która wybiła całą Nova Invicta, legion Aureliusza. Ci ostatni rozprawiali o okrucieństwach, torturach i okaleczeniach dokonywanych na żywych jeńcach — było to całe pasmo potworności ponad wszelkie wyobrażenie. Ambrozynusowi przeszła przez głowę myśl, że właśnie tacy ludzie będą rządzić światem, i to nie wiadomo jak długo.

Z zamyślenia wyrwało go niespodziewane pojawienie się Wulfili, którego olbrzymia postać górowała nad obozem niczym wieża. Długie wąsy i bokobrody, gęsta grzywa i opadające na piersi warkocze upodabniały go do jednego z tych nordyckich bóstw czczonych przez Swebów, Chatti albo Skanów. Ambrozynus czym prędzej zdmuchnął płomień lampy, aby wyglądało, że w budynku stacji drogowej wszyscy śpią. Po czym przywarłszy do ściany, nastawił uszu nie przestając zerkać przez półotwarte okno.

Wulfila wykrzyknął coś, pewnie jakieś przekleństwo, i wszyscy natychmiast zamilkli. Wówczas się odezwał ponownie:

— Przecież wam mówiłem, żeby nie robić hałasu i nie zwracać na siebie uwagi. Im mniej się będziemy rzucać w oczy, tym lepiej.

— Daj spokój, Wulfila! — zawołał jeden z jego żołnierzy. — Czego się boisz? Nawet jeśli ktoś nas usłyszy, to cóż się może stać? — Do swoich towarzyszy zaś krzyknął: — Ja się nikogo nie boję, a wy?

— Milcz — rozkazał ostrym tonem Wulfila. — Wy też z tym skończcie. Rozstawić warty po obu stronach co sto kroków. Jeśli ktokolwiek pod jakimkolwiek pretekstem opuści swój posterunek, zostanie natychmiast stracony. Reszta spać. Jutro będziemy maszerować aż do późnej nocy, żeby rozbić obóz u stóp Apeninów.

Mężczyźni wykonali rozkaz: jedni udali się na wartę, inni zaś rozłożyli na ziemi derki i położyli się spać. Ambrozynus wyszedł przed drzwi i usiadł na stołeczku pod czujnym okiem jednego ze strażników. Sam nie zaszczycał go nawet spojrzeniem, wznosił oczy do góry, by obserwować gwiazdy. Kasjopeja znajdowała się już nisko na nieboskłonie, Orion zaś świecił wysoko, niemal pośrodku firmamentu. Szukając wzrokiem Gwiazdy Polarnej i Małej Niedźwiedzicy powrócił myślami do swego dzieciństwa, kiedy to jego nauczyciel, mędrzec w podeszłym wieku, uczył go orientacji, znajdowania drogi w ciemnościach i w szczerym polu albo na pełnym morzu, obliczania, kiedy będzie zaćmienie Księżyca, i odczytywania odwiecznych słów zapisanych w gwiazdach oraz tego, jak będą się zmieniały pory roku. Pomyślał o chłopcu, a wtedy serce ścisnęło mu się ze wzruszenia. Udało mu się skłonić go do jedzenia, do wody zaś dosypał mu środka nasennego, aby mógł spokojnie zasnąć, ale czy to wystarczy, żeby przywrócić mu chęć do życia? A gdyby nawet się to udało, jaką przyszłość mógłby mu zapewnić? Ile dni, miesięcy i lat spędzą w więzieniu, na które skazał ich los? W więzieniu bez końca? Ile razy będą mierzyć jego wąską przestrzeń wolnymi krokami? I jak długo uda im się znieść nienawistną obecność prześladowców? Nagle z mroków pamięci wyłonił się wiersz — echo odległego czasu:

OSTATNI LEGION

*Veniet adulescens a mañ infero cum spatha
pax et prosperitas cum Mo,
aquila et draco iterum volabunt
Britanniae in terra lata.*

Pomyślał że w owej chwili nieskończonego smutku i całkowitego opuszczenia przeszłość dała mu właśnie znak. Ale co to mógł być za znak? I od kogo pochodził?

Powtarzał go powoli, półgłosem, niemal śpiewnie i przez moment poczuł w sercu lekkość niczym ptak, który **zaraz** wzbije się do lotu.

Wrócił do rozwalonej nory, która ongiś była stacją *eursus publicus*, ruchliwą, kłębiącą się od podróżnych, teraz **zaś zimną i** opustoszałą. Od żaru z ogniska zapalił lampkę **i** wszedł do izby, by położyć się obok Romulusa. Podniósł lampkę, by przyjrzeć się jego twarzy. Chłopiec spał, jego oddech zaś był powolny i miarowy, pod złotobrazową skórą przepływało łagodnie młodzieńcze życie. Odznaczał się wspaniałą urodą, w jego dumnych i zarazem delikatnych rysach rozpoznał rysy matki, posągowy owal Flawii Sereiny. Widząc zaś oczyma duszy jej ciało spoczywające na lodowatym marmurze pod sklepieniem cesarskiej bazyliki, poprzysiął sobie, że zgotuje chłopcu wielką przyszłość, za wszelką cenę, nawet za cenę własnego życia. Oddałby je bez namysłu z miłości do tej kobiety, którą ujrzał po raz pierwszy tamtej zimnej, odległej jesiennej nocy w apenińskim lesie, kiedy pochylała się nad chorym dzieckiem. Nie śmiała nawet musnąć pieśczośliwie jego ciała. Zgasiwszy lampkę, położył się z długim westchnieniem. Jego serce, niczym tafłę jeziora w bezwietrzną noc, ogarnął dziwny, bezwiedny spokój.

Aureliusz przewrócił się na pośłaniu pogrążony nadal w półśnie, w głębi duszy nie był bowiem pewien, czy hałas, który usłyszał, pochodził ze snu czy też należał do rzeczywistości. Ciągle jeszcze spał i ciągle miał zamknięte oczy, kiedy wyszeptał bezgłośnie:

— Dżuba.

Rżenie konia było coraz donośniej sze, wtórowało mu zaś pluskanie kopyt o wodę.

— Dżuba! — krzyknął więc znowu, a rżenie, które usłyszał w odpowiedzi, było prawdziwe i wyrażało całą radość tego, kto odnalazł utraconego przyjaciela.—Dżuba, mój śliczny, mój kochany, chodź do mnie! — wołał na widok zabłoconego, poszarzałego, przypominającego zjawę w porannej mgle konia, który zbliżał się ku niemu w sięgającej mu do kolan wodzie. Wszedł mu na spotkanie, po czym objął go wzruszony. — Jak mnie znalazłeś? Jak ci się udało? Niech no ci się przyjrzę: ależ ty wyglądasz, cały brudny, polepiony... Na pewno jesteś głodny, biedaku... Zaczekaj chwilkę. — Zajrzawszy do wnęki, której Liwia używała jako spiżarni, wrócił z czerpakiem pełnym pszenicy, koń zaś chciwie zanurzył w nim łeb. Aureliusz tymczasem chwycił gałgan, zmoczył go w czystej wodzie i tak długo obmywał mu sierść, aż zaczęła błyszczeć. — Nie mam zgrzebła, przyjacielu, musimy się zadowolić tym, co jest. Zawsze to lepsze niż nic, prawda?

Skończywszy, odsunął się nieco, by podziwiać swoje dzieło. Dżuba był wspaniały: długie smukłe nogi, delikatne pęciny, umięśniona klatka piersiowa, dumnie podniesiony łeb, drżące chrapy, wygięta szyja ozdobiona zachwycającą grzywą. Aureliusz wyczyścił również siodło i poprawił strzemiona, kiedy zaś koń był najedzony, napojony i miał starannie nałożoną uprzęż, na jego widok pomyślał, że to znak, który dają mu nieznani przodkowie z zaświatów. Chwyciwszy pas z mieczem, przewiesił go sobie przez ramię, włożył podbijane ćwiekami sandały i złapał Dżubę za uzdę, kierując się ku miejscu, gdzie woda była płytsza.

— Nie zapomniałeś o czymś? — odezwał się za jego plecami czyjś głos. A odbijające się od wysokiego sklepienia echo powtórzyło: — O czymś?

Aureliusz odwrócił się zaskoczony i zakłopotany razem. Przed nim stała Liwia z harpunem w dłoni; biodra osłaniało jej coś w rodzaju przepaski z wyprawionej skóry, na piersiach zaś miała dwa skrzyżowane pasy. Dopiero co wyszła z wody, która ściekała jej jeszcze po umięśnionym

ciele. Rzuciła na ziemię trzymaną w drugiej ręce sieć, w której pełno było ogromnych łobanów i gigantyczny węgorz, wijący się wokół drzewca harpuna.

— Wrócił mój koń — oznajmił Aureliusz.

— Widzę — odparła Liwia. — I widzę też, że zamierzasz stąd zniknąć. Mogłeś chociaż poczekać, aż wrócę, i przynajmniej powiedzieć „dziękuję”.

— Zostawiłem ci moją zbroję — oświadczył wskazując pancerz, tarczę i hełm, porzucone w kącie wielkiej sali. — Jest wiele warta...

Splunęła na ziemię.

— **Wszędzie** jest pełno tego żelastwa.

— **Prędzej** czy później wróciłbym, żeby ci **podziękować, zostawiłbym** wiadomość, gdybym miał ją czym napisać. **Nic** znoszę pożegnań, rozłąki... Nie wiedziałbym, co powiedzieć i...

— Nie ma nic do powiedzenia. Odchodzisz i tyle. Znikasz z całym swoim kramem i więcej się nie pokazujesz. Nie ma nic prostsze.

— Nie jest tak, jak myślisz. Ja... — Podniósł powoli wzrok prześlizgując się po jej ciele, jakby w obawie, że napotka jej spojrzenie. — Nigdy nie miałem nikogo, kto by się o mnie troszczył w taki sposób, dziewczyny takiej jak ty, tak młodej i odważnej... nigdy w życiu nie spotkałem kogoś takiego jak ty... Bałem się, że jeśli będę dłużej zwlekał, z każdym dniem będzie mi coraz... coraz trudniej. Bałem się, że nie dam rady.

Liwia nic nie odpowiedziała.

Aureliusz podniósł wzrok nieco wyżej, ku jej twarzy, zatrzymał się wszakże zaledwie na chwilę na medalionie, który dziewczyna nosiła na szyi, małym srebrnym orzełku. Nie uszło to uwagi Liwii, toteż kiedy w końcu spojrzął jej w oczy, nie była już tak oschła, jak się spodziewał. Popatrzawszy nań z mieszaniną ciekawości i szorstkiej czułości, powiedziała:

— Nie musisz mi opowiadać tych głupstw. Jeśli chcesz odejść, to idź sobie. Nie jesteś mi nic winien.

Aureliusz nie zdołał wykrztusić ani słowa.

— Dokąd zamierzasz się udać? — zapytała Liwia.

— Nie wiem — odrzekł. — Jak najdalej od tego miejsca, jak najdalej od fetoru ich podłości, okrucieństw i naszego zepsucia, od tego niepowstrzymanego staczania się na dno, jak najdalej od wspomnień, jak najdalej od wszystkiego. A ty? Zostaniesz na zawsze na tych bagnach?

Liwia podeszła bliżej.

— Wcale nie jest tak, jak myślisz — powiedziała. — Na tych bagnach tli się iskierka nadziei. Poza tym to nie są bagna, tylko laguna, w której tętni życie i czuć oddech morza.

Dżuba zarżał cicho i stuknął kopytem, jakby nie rozumiał, skąd ta cała zwłoka. Liwia chwyciła zawieszony na szyi medalion i ścisnęła go w palcach. Aureliusz potrząsnął głową.

— Nigdzie nie ma żadnej nadziei. Tylko same zniszczenia, rabunki, przemoc.

— W takim razie dlaczego próbowałeś porwać to dziecko?

— Nie chciałem go porwać, tylko uwolnić.

— Trudno dać temu wiarę.

— Możesz wierzyć lub nie, ale jego ojciec poprosił mnie o to tuż przed śmiercią. Dotarłem do willi w Placencji zaraz po napadzie. Przyjechałem prosto z obozu, gdzie stacjonował mój legion, który został otoczony przez ogromne siły wroga, żeby sprowadzić pomoc... Kiedy go znalazłem, jeszcze oddychał. Błagał mnie ostatkiem sił, żebym ocalił jego syna. Cóż miałem robić?

— Szaleniec. Całe szczęście, że ci się nie udało. I co byś z nim potem począł?

— Nie wiem. Zabrałbym go ze sobą. Nauczyłbym pracować, hodować pszczoły, sadzić oliwki, doić kozy. Byłby jak prawdziwy Rzymianin z dawnych czasów.

— A nie chciałbyś spróbować jeszcze raz? — odezwał się jakiś głos za jego plecami.

— Stefanus! Co ty tu robisz? — zawołała Liwia.

— Przecież się umawialiśmy: nigdy za dnia i nigdy tutaj.

OSTATNI LEGION

- To prawda. Ale mam ważny powód. Odjechali.
— Dokąd?
— Nie wiadomo. Jadą via Romea w kierunku Fanum. Moim zdaniem będą się posuwać via Flaminia, prosto na południe. Jak tylko się da, spróbujemy się dowiedzieć czegoś więcej.
— O czym mówicie? — zapytał Aureliusz.
— O uwolnieniu pewnego chłopca—odrzekł Stefanus.
— I potrzebujemy twojej pomocy.
Aureliusz spojrział na niego zdumiony, po czym **po-kręcił** z niedowierzaniem głową.
— **Chłopca...** To znaczy jego?
Stefanus skinął potakująco.
— **Jego.** Romulusa Augustusa Cezara, cesarza Rzymian.

VII

Przez chwilę Aureliusz wpatrywał się osłupiały w przybysza, po czym odwrócił się do swego konia i zaczął poprawiać siodło, jakby zamierzał odjechać.

— Nawet o tym nie myślę — odparł.

— Dlaczego? — zapytał Stefanus. — Sam tego próbowałeś podejmując się rozpaczliwego wysiłku, a teraz, kiedy ofiarujemy ci pomoc i wsparcie, żeby dokonać tego samego, i to przy daleko większym prawdopodobieństwie, że ci się uda, odmawiasz?

— Wtedy to było co innego. Zrobiłem to, bo uważałem, że tak trzeba, i wierzyłem w powodzenie, ponieważ działałem z zaskoczenia, i prawie mi się udało. Nie znam was i nie wiem, jakie są wasze motywy. A zresztą po moim ataku na pewno wzmocnili straż. Nikt nie może się zbliżyć do tego chłopca, to rzecz pewna. Daję głowę, że Odoaker otoczył go kordonem wojska.

Stefanus podszedł bliżej.

— Reprezentuję grupę senatorów, którzy utrzymują bezpośrednio stosunki z ważnymi osobistościami w Cesarstwie Wschodniorzymskim. Jesteśmy przekonani, że to jedyny sposób, by uniemożliwić barbarzyńcom całkowite opanowanie Italii i Zachodu. Nasi wysłannicy udali się do Spalatum w Dalmacji, by spotkać się z Bazylyskusem, i powrócili z ważną wiadomością. Otóż cesarz jest gotów zaofiarować Romulusowi gościnę, udzielić mu schronienia w Konstantynopolu i przyznać apanaże godne jego pozycji.

— I to nie wzbudza waszych podejrzeń? — zdumiał się Aureliusz. — O ile wiem, Bazylyskus to tylko uzurpator. Jak możecie ufać jego słowom? Skąd pewność, że nie potraktuje chłopca gorzej, niż mógłby to zrobić ten barbarzyńca?

— Ten barbarzyńca kazał zaszlachtować jego rodziców — odrzekł sucho Stefanus. Odwróciwszy się ku niemu, Aureliusz napotkał jego stanowcze, pozornie niewzruszone spojrzenie. Miał wschodni akcent, który przypominał mu mowę jego towarzyszy broni pochodzących z Epiru. — Poza tym—ciągnął—został skazany na dożywotnie więzienie w odosobnionym i niedostępnym miejscu, zmuszony żyć wśród koszmarów i przerażenia, czekając na dzień, w którym jego ciemieży powodowani jakimś kaprysem zechcą położyć temu kres. Wyobrażasz sobie, na jakie obelgi, okrucieństwa i podłości może być narażone dziecko pozostawione na pastwę tych bestii? — Na krótką chwilę przed oczyma Aureliusza znów stanął Romulus i spojrzenie, jakie mu rzucił, gdy trafiony w ramię strzałą musiał go puścić: spojrzenie pełne rozpacz, bezsilnej złości, bezbrzeżnej goryczy. Stefanus musiał się zorientować, że jego opór zaczyna słabnąć, nie dawał więc za wygraną: — W Konstantynopolu też mamy przyjaciół; niektórzy z nich są bardzo wpływowi, możemy zatem skutecznie go chronić.

— A Juliusz Nepos? — naciskał Aureliusz. — Zawsze był kandydatem Cesarstwa Wschodniorzymskiego na tron Zachodu. Dlaczegoż mieliby zmienić zdanie i go opuścić?

Liwia już miała się wtrącić, Stefanus jednak powstrzymał ją wzrokiem.

— Nepos dzisiaj nikogo nie interesuje, zestarzeje się więc w swojej willi w Dalmacji, odizolowany od reszty świata. Mamy o wiele bardziej ambitne plany wobec tego chłopca, ale żeby je ziszczyć, należy go odsunąć od wszelkich zagrożeń, zapewnić mu odpowiednią edukację i ćwiczenia ruchowe, musi dorastać w pałacu cesarskim, w spokoju i bezpieczeństwie, i nie powinien nikogo podejrzewać ani się obawiać, dopóki nie nadejdzie czas, żeby upomniął się o swoje dziedzictwo.

W tej samej chwili Liwia postanowiła wmieszać się na swój sposób.

— Daj spokój — zwróciła się do Stefanusa — na strach nie ma rady. Spróbował raz, o mało nie zginął i ani myśli próbować znowu. To normalne.

— Zgadza się — przytaknął Aureliusz bez mrugnięcia powieką.

— No właśnie — odrzekła Liwia. — Damy sobie świetnie radę sami. W końcu to ja jego uratowałam, a nie on mnie. W jakim kierunku podążył konwój?

— Na południe — odparł Stefanus. — Są teraz na drodze do Fanum.

— W takim razie zamierzają przeprowić się przez Apeniny.

— To możliwe, ale nie pewne. Tak czy inaczej wkrótce się dowiemy.

Aureliusz zajął się końską uprzężą, jakby cała ta rozmowa go nie dotyczyła. Liwia zaś udawszy, że tego nie widzi, pytała dalej.

— Czy to prawda, że Mled powrócił?

— Tak.

— Zauważyłeś jakichś jeńców?

Aureliusz odwrócił się raptownie. W jego wzroku mieszały się nadzieja, niepewność i lęk. Wystarczyło jedno zdanie, by zburzyć jego pozorną równowagę.

— Na oko pięćdziesięciu, nie więcej. Ale mogę się mylić, było prawie ciemno.

Aureliusz podszedł bliżej.

— Czy rozpoznałeś... kogoś?

— A niby jak? — odparł Stefanus. — Rzucił mi się w oczy tylko jakiś czarny olbrzym, etiopski Herkules, wysoki prawie na sześć stóp, skuty łańcuchami kolos, który...

— Batiatus! — zawołał Aureliusz z rozpromienioną twarzą. — To mógł być tylko on! — Zbliżywszy się do Stefanusa, chwycił go za tunikę. — To mój przyjaciel i towarzysz broni od wielu lat. Zaklinam cię, powiedz, dokąd go zabrali; może są z nim jacyś inni towarzysze.

Stefanus spojrział na niego z uśmiechem politowania.

— Chcesz się porwać na kolejne beznadziejne przedsięwzięcie?

— Zamierzasz mi pomóc czy nie?

— Osobliwe pytanie w ustach kogoś, kto dopiero co odmówił pomocy.

Aureliusz skinął głową.

— Jestem gotów na wszystko, ale powiedz mi, dokąd ich *zabrali*, jeżeli wiesz.

— Do Classe. Ale to niewiele mówi. W Classe jest port, z którego można popłynąć w każdy zakątek świata.

Aureliusz umilkł nagle zdesperowany: radość wywołała nowiną, że przyjaciel wyszedł cało z tyłu opresji, natychmiast przyćmiła świadomość, że nic nie może dla niego zrobić. Na widok rozpacz i przygnębienia w jego oczach Liwie ogarnęło współczucie.

— Niewykluczone, że zabiorą go do Misenum. Znajduje się tam inna baza cesarskiej floty, która jest prawie rozbrojona, ale czasami potrzebują galerników, jest tam też największy targ niewolników na półwyspie. Możesz spróbować się tam dostać i uzyskać jakieś informacje. Mając trochę czasu i cierpliwości mógłbyś dowiedzieć się więcej. Zresztą twój przyjaciel jest taki wielki, że na pewno zwróci na siebie uwagę. Posłuchaj — dodała dziewczyna spokojniejszym i bardziej pojednawczym tonem — pojedę na południe, za konwojem, który wiezie cesarza. Jeśli chcesz, możesz mi towarzyszyć przez jakiś czas. Kiedy trzeba będzie się rozdzielić, ty ruszysz swoją drogą, a ja swoją.

— I spróbujesz uwolnić chłopca... sama?

OSTATNI LEGION

- Zdaje się, że to już nie twoja sprawa.
- Nic nie wiadomo.
- A niby dlaczego miałbyś zmienić zdanie?
- Czy jeśli odnajdę moich kompanów, pomożecie mi ich uwolnić?

Wówczas wtrącił się Stefanus..

— Wyznaczono wysoką nagrodę — oznajmił — dzie-
sięć tysięcy solidów w złocie za dostarczenie chłopca do
starego portu w Fanum nad Adriatykiem, gdzie przez dwa
miesiące, licząc od grudniowego nowiu, każdego pierw-
szego dnia pełni księżyca o świcie będzie czekał statek,
który zabierze go na Wschód. Mając całą tę sumę będziesz
mógł wykupić wszystkich swoich przyjaciół, jeśli tylko
zdołasz się dowiedzieć, gdzie są. Statek łatwo rozpoznasz:
będzie miał na rufie sztandar z herbem Konstantyna.

— A gdybym odnalazł ich wcześniej, mogliby nam
pomóc — powiedział Aureliusz. — To najlepsi wojownicy,
jakich możesz sobie wyobrazić, ale przede wszystkim
wierni cesarzowi rzymscy żołnierze.

Stefanus z zadowoleniem skinął głową, po czym zwrócił
się do Liwii:

- W takim razie co mam przekazać Antemiuszowi?
- Powiedz mu, że jeszcze dzisiaj wyruszamy i że będę
go informować, kiedy tylko się da.
- Powtórzę mu — obiecał Stefanus. — No to życzę
wam szczęścia.

— Potrzebujemy go — odrzekła Liwia. — Odprowa-
dźę cię, chcę się upewnić, że nikt cię nie zobaczy.

Podeszli do małej drewnianej, płaskodennej łodzi Stefa-
nusa, przystosowanej do nawigacji po lagunie. Czekał na
niego siedzący przy wiosłach sługa. Liwia wdrapała się
z zadziwiającą zręcznością na wierzbę, której gałęzie zwie-
szały się do wody, i rozejrzała dokoła: w pobliżu nie było
żywego ducha, zeszła więc dając Stefanusowi znak, że
wszystko w porządku. Mężczyzna wsiadł do łodzi, Liwia
jednak zatrzymała go na chwilę.

— Co Antemiusz zaoferował Bazyliskusowi, żeby go
skłonić do przyjęcia propozycji?

— Tego nie wiem. Antoniusz nie mówi mi wszystkiego, ale w Konstantynopolu powszechnie wiadomo, że na Zachodzie nic nie dzieje się bez jego wiedzy; już samo to wystarczy, aby cieszył się ogromnym prestiżem i poważaniem. — Liwia skinęła głową, on zaś zapytał: — A ten żołnierz... Naprawdę myślisz, że można mu zaufać?

— Sam jeden jest wart tyle co małe wojsko. Potrafię rozpoznać prawdziwego wojownika, potrafię rozpoznać wzrok lwa, nawet jeśli jest ranny. A poza tym jego spojrzenie coś mi przypomina...

— Co?

Wykrzywiła usta w kwaśnym uśmiechu.

— Gdybym wiedziała, obdarzyłabym twarzą i imieniem jedyną osobę, która odcisnęła na moim życiu i mojej duszy piętno, nie licząc ojca i matki, których straciłam dawno temu.

Stefanus już miał coś odpowiedzieć, ale Liwia zdążyła się odwrócić na pięcie, oddalając swym lekkim, cichym krokiem drapieźnika. Sługa zanurzył wiosła w wodzie i pochylił się do przodu, po czym łódź powoli odbiła od brzegu.

Konwój przemierzał wieś posuwając się wąską i uciążliwą drogą, zostawiając w tyle Fanum i sporą gromadę gapiów, którzy z pewnością zrobiliby zaraz szpaler, by popatrzeć, i opóźniliby marsz. Nakaz milczenia i tajemnicy musiał być bardzo surowy, Ambrozynus zaś natychmiast zauważył ów manewr.

— Moim zdaniem — oznajmił chłopcu — kierujemy się ku przełęczy apenińskiej. Niedługo wrócimy na via Flaminia i przedostaniemy się przez najwyższą część gór, przechodząc przez tunel wykuty w skale. Nazywają go *forulus* i jest to zadziwiające dzieło budowniczych, które zaprojektowano za Augusta i ukończono za Wespazjana. Cały ten surowy i górzysty teren opanowali dawno temu rozbójnicy, więc wypuszczanie się samopas ku przełęczy jest bardzo niebezpieczne. Urzędnicy wielokrotnie próbowali pozbyć się tej plagi powołując nawet specjalne straże,

ale w gruncie rzeczy na darmo. Rozbójnicy rodzą się z biedy; najczęściej są to zubożali z powodu zbyt wysokich podatków i klęsk nieurodzaju chłopi, którym nie pozostaje nic innego, jak wstąpić do bandy.

Romulus zdawał się obserwować gęste lasy dębowe i jesionowe rosnące wzdłuż drogi, a także pasterzy, którzy tu i ówdzie pilnowali paru wychudzonych krów. Przysłuchiwał się jednak słowom preceptora, toteż po chwili odpowiedział trzeźwo:

— Ustanowienie podatków, które rujnują ludzi, jest **nie tylko** niesprawiedliwe, ale i głupie. Człowiek zrujnowany **przestaje** płacić jakiegokolwiek podatki, a jeśli zostaje **rozbójnikiem**, zmusza państwo do wydawania kolejnych **pieniędzy na** zapewnienie bezpieczeństwa na drogach.

— Twoja obserwacja jest doskonała — zauważył z zadowoleniem Ambrozynus — ale chyba zbyt prosta, żeby można ją wprowadzić w życie. Rządzący są chciwi, urzędnicy zaś często bywają głupcami, a oba te problemy razem mają straszne konsekwencje.

— Ale przecież musi być jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego. Dlaczego władca musi być koniecznie chciwy, a urzędnik głupi? Tyle razy kładłeś mi do głowy, że August, Tyberiusz, Hadrian i Marek Aureliusz byli mądrymi i uczciwymi cesarzami, którzy karali przekupnych gubernatorów. Ale może nawet i to było nieprawdą, może człowiek zawsze był głupi, chciwy i zły.

W tej samej chwili minął ich konno Wulfila, który pogalopował na najwyższy pagórek, by obejrzeć dokładnie całą okolicę i obserwować ruchy swego wojska. Wprawdzie szpecąca go rana zaczynała się zablizniać, sączyła się z niej wszakże ropa, twarz zaś była nadal obrzmiała i zaczerwieniona i pewnie dlatego miał wiecznie zły humor. Wystarczył byle drobiazg, by wprawić go we wściekłość, Ambrozynus zaś robił wszystko, by nie wzbudzać jego podejrzeń. Przeciwnie, obmyślał właśnie plan, mający na celu zdobycie jego zaufania, a może nawet wdzięczności.

— To zrozumiałe, że w tej chwili twoja wizja świata jest taka ponura — powiedział do Romulusa. — Zdziwiłbym

się, gdyby było inaczej. W rzeczywistości niejednokrotnie los ludzki, a wraz z nim los całych narodów i imperiów zależy od przyczyn i wydarzeń, na które człowiek nie ma wpływu. Przez całe wieki Cesarstwo broniło się przed najazdami barbarzyńców, wielu cesarzy zostało wyniesionych do swoich godności przez żołnierzy na polu bitwy, wielu też na polu bitwy zginęło z mieczem w dłoni, nigdy nie zobaczywszy Rzymu ani nie przedyskutowawszy żadnej sprawy z Senatem. Niekiedy były to zmasowane ataki z wielu kierunków prowadzone przez wiele narodów jednocześnie. Dlatego też płacąc bardzo wysoką cenę postawiono ogromny wał długości ponad trzech tysięcy mil, który wznosił się od gór Brytanii aż do pustynnych obszarów Syrii. Potem zaś powołano setki tysięcy żołnierzy: w armii służyło trzydzieści pięć legionów, czyli prawie pół miliona ludzi! Żaden wydatek, żadne poświęcenie nie wydały się cesarzom zbyt wielkie, byleby tylko ocalić Imperium, a wraz z nim cywilizację. Nikt jednak nie zauważył, że te ogromne wydatki stały się nie do udźwignięcia, że podatki zubażają wieśniaków, rolników, rzemieślników, niszczą handel, a nawet sprawiają, że mamy coraz mniej dzieci, bo z nędzy kobiety przestają rodzić. Ludzie zaczęli się zastanawiać, po co płodzić dzieci, skoro mają żyć w nędzy i niedostatku. W końcu nadeszła chwila, kiedy nie dało się już odpiąć ataków, postanowiono więc osiedlać barbarzyńców na naszych ziemiach i wcielać ich do wojska, by walczyli przeciw innym barbarzyńcom... Okazało się to nieodwracalnym błędem, ale być może nie było innego wyboru, bieda i ucisk zabiły bowiem w obywatelach miłość do ojczyzny i z konieczności musiano się uciec do najemników, którzy teraz są naszymi panami.

Ambrozyusz zamilkł zdając sobie sprawę, że nie tylko udzielił właśnie swemu ulubieńcowi lekcji historii, ale przypomniał dosyć niedawne i realne wydarzenia, które dotknęły go bezpośrednio, i to w nader bolesny sposób. W końcu przecież ten smutny chłopiec siedzący naprzeciw niego był ostatnim cesarzem zachodniorzymskim. Wbrew swojej woli stał się aktorem, a nie widzem tej straszliwej tragedii.

— I właśnie to spisujesz co jakiś czas? Historie? — zapytał Romulus.

— Nie mam ambicji spisywania historii; inni potrafią to zrobić lepiej ode mnie, używając lepszego i bardziej wyszukanego języka. Chcę tylko zostawić wspomnienia osobistych przeżyć i wydarzeń, których byłem naocznym świadkiem.

— Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby to zrobić podczas długich lat więzienia. Dlaczego chciałeś mi towarzyszyć? Mogłeś zostać w Rawennie albo wrócić do ojczyzny, do Brytanii. Czy to prawda, że tam nocy nie mają końca?

— **Znasz** już odpowiedź na pierwsze pytanie. Wiesz, że **bardzo cię** miłuję i że byłem ogromnie oddany twojej **rodzinie**. Co do drugiego pytania, jest niezupełnie tak... — zaczął Ambrozynus, lecz Romulus przerwał:

— Właśnie tego pragnę dla siebie: nocy bez końca, snu bez marzeń sennych.

Mówiąc te słowa, chłopiec miał pusty wzrok, Ambrozynus zaś nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

Jechali tak cały dzień; nauczyciel starał się dostrzec każdą zmianę nastroju swego ulubieńca i jednocześnie nie tracić z oczu tego, co się działo wokoło. Zatrzymali się dopiero o zachodzie słońca. Jako że dni stawały się coraz krótsze, liczba godzin przeznaczonych na podróż była ograniczona. Barbarzyńscy żołnierze rozpalili ognisko, kilku z nich rozpieczętowało się po wsi na koniach i po jakimś czasie wrócili wioząc pozarzynane owce, które wisały im u siodeł, kury przywiązane za łapy po parę naraz. Musieli złupić jakieś gospodarstwo leżące na uboczu. Owe łatwe zdobycze zostały prędko oprawione, oczyszczone i umieszczone nad ogniem. Wulfila usiadł na położonym na uboczu kamieniu czekając na swoją porcję. Odblask płomieni dramatycznie wyolbrzymiał zniekształcone rysy jego ponurej twarzy. Ambrozynus, który nie spuszczał go z oka ani na chwilę, podszedł doń wolnym krokiem posuwając się w pełnym świetle, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń, kiedy zaś znalazł się dostatecznie blisko, by tamten go usłyszał, powiedział:

— Jestem medykiem i znam się na lekarstwach, mogę coś zaradzić na twoją ranę. Musi cię bardzo boleć.

Wulfila machnął ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy, lecz Ambrozynus nie ruszył się z miejsca.

— Wiem, co myślisz — ciągnął jak gdyby nigdy nic. — Wiele razy już byłeś ranny i zawsze prędzej czy później rana się zablizniała, a ból mijał. Tym razem jednak jest inaczej: twarz to najtrudniejsza część do wyleczenia, ponieważ właśnie na twarzy bardziej niż na jakiegokolwiek innej partii ciała uzewnętrznia się dusza. Jest ona o wiele bardziej wrażliwa i bezbronna. Ta rana jest zakażona, a jeśli zakażenie pójdzie dalej, zniekształci ci całą twarz, zmieniając ją w maskę do niepoznania.

Odwrócił się i ruszył w kierunku obozu, Wulfila zatrzymał go jednak.

— Zaczekaj.

Ambrozynus chwycił więc worek, kazał żołnierzom przynieść wina, wielokrotnie przemył ranę, tak długo wyciskając ropę, aż popłynęła czysta krew, zdjął szwy, przyłożył okład z malwy i otrąb, po czym zabandażował.

— Niech ci nie przyjdzie przypadkiem do głowy, że jestem ci wdzięczny — oświadczył Wulfila, kiedy Ambrozynus skończył.

— Na pewno nie zrobiłem tego dla twojej wdzięczności.

— Więc dlaczego?

— Jesteś bestią, a ból może sprawić, że staniesz się jeszcze bardziej dziki. Zrobiłem to we własnym interesie, Wulfilo, i w interesie chłopca.

Wrócił do wozu, by odłożyć worek. Wkrótce podszedł do niego żołnierz niosąc nadziany na oszczep kawałek pieczonego mięsa, starzec i chłopiec zabrali się więc do jedzenia. Było zimno nie tylko z racji późnej jesieni, ale także z powodu wysokości, Ambrozynus wszakże wolał poprosić o dodatkową derkę, niż rozłożyć poślanie w pobliżu ogniska, jak zrobili to inni. Za sprawą gorąca bijący od nich fetor stawał się nie do wytrzymania. Uległszy namowom nauczyciela, Romulus nie tylko zjadł, ale także napił

OSTATNI LEGION

się trochę wina, które napełniło jego ciało energią i chęcią do życia. Położyli się obok siebie pod rozgwieżdżonym niebem.

— Zrozumiałeś, dlaczego tak postąpiłem? — odezwał się Ambrozynus.

— Dlaczego umyłeś twarz temu rzeźnikowi? Tak, wyobrażam sobie: wściekłe psy należy głaskać pod włos.

— Mniej więcej.

Długo leżeli w milczeniu wsłuchując się w trzaskanie ognia, do którego żołnierze ciągle dorzucali suche gałęzie, i obserwując wirujące iskry, które wzbijały się ku niebu.

Modlisz się przed zaśnięciem? — zapytał ni stąd, ni zowąd Ambrozynus.

Tak — odparł Romulus. — Modłę się do duchów moich rodziców.

VIII

Liwia popędziła konia wąziutką, pnącą się ku górze ścieżką, potem zaś przystanęła czekając na Aureliusza, który jechał inną drogą przez las. Z wysokości można było swobodnie ogarnąć wzrokiem wyjście z tunelu pod via Flaminia, który przechodził na wylot przez górę. Oboje zeskoczyli na ziemię i zaczęli się wśród buków. Nie minęło dużo czasu, jak z tunelu wyłoniła się gromada herulskich jeźdźców, po czym na czele trzydziestu zbrojnych pojawił się ich dowódca, na końcu zaś wóz, a za nim tylna straż.

Aureliusz drgnął rozpoznawszy Wulfilę i odruchowo spojrzął na łuk przewieszony przez plecy Liwii.

— Wybij to sobie z głowy — ostrzegła odgadując jego myśli. — Nawet gdyby ci się udało go zabić, tamci nie pozwoliliby ci uciec, a może nawet wyładowaliby swój gniew na chłopcu. — Aureliusz zagryzł wargi. — Przyjdzie na to czas — dodała dziewczyna. — Teraz musimy być cierpliwi.

Aureliusz obserwował przez chwilę kołyszącą się sylwetkę wozu, dopóki nie zniknął zai zakrętem. Liwia położyła mu dłoń na ramieniu.

— Coś mi się zdaje, że między wami to kwestia życia lub śmierci, a raczej tylko śmierci, mam rację?

— Zabiłem kilku jego najwierniejszych ludzi, próbowałem uprowadzić strzeżonego przezeń więźnia, a kiedy usiłował mi w tym przeszkodzić, rozciąłem mu twarz, robiąc z niego potwora do końca życia. Sądzisz, że to wystarczy?

— Tyle jeśli chodzi o ciebie. A z jego strony?

Aureliusz zmilczał. Żując źdźbło suchej trawy spoglądał na dolinę.

— Tylko mi nie mów, że nigdy wcześniej wasze drogi się nie skrzyżowały.

— Możliwe, ale nie pamiętam. W ciągu tylu lat wojny spotkałem mnóstwo barbarzyńców. — W tejże chwili oczyma duszy ujrzał, jak obaj z Wulfilą stoją naprzeciw siebie z obnażonymi mieczami, w korytarzu pałacu cesarskiego, a w uszach zabrzmiał mu ochryply głos: „Ktoś ty? Już cię gdzieś widziałem, Rzymianinie!”

Liwia podeszła bliżej i popatrzyła mu prosto w oczy z bezlitosnym uporem. Aureliusz odwrócił wzrok.

— Boisz się spojrzeć w głąb siebie i nie chcesz, żeby ktoś inny to zrobił. Dlaczego?

Skoczył jak oparzony.

— A ty rozebrałabyś się przede mną do naga? — zapytał wpatrując się w jej twarz płonącymi oczami. Liwia wytrzymała jego wzrok nawet nie mrugnawszy powieką.

— Tak — odrzekła — jeśli bym cię kochała.

— Ale mnie nie kochasz. Ani ja ciebie. Prawda?

— Prawda — odparła Liwia równie twardym głosem,

Aureliusz chwycił konia za uzdę i poczekał, aż dziewczyna odwiąże swojego wierzchowca, po czym powiedział:

— Mamy wspólny cel i wspólną misję do spełnienia, w związku z czym przez jakiś czas będziemy trzymać się razem. Potrzebujemy pełnej jednomyślności i musimy sobie wzajemnie ufać bez zastrzeżeń. Każde z nas powinno

więc unikać siania niezgody i wrogości między nami.
Rozumiesz, co mam na myśli?

— Doskonale — odrzekła.

Aureliusz począł schodzić na piechotę trzymając Dżubę za wodze.

— Jeśli chcemy spróbować — zmienił temat — musimy to zrobić po drodze. Kiedy kolumna dotrze na miejsce, rzecz stanie się niemożliwa.

— We dwójkę na siedemdziesięciu? Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł. Na dodatek twoja rana leicze się nie zagoiła. Nie. Nie możemy ryzykować po raz fauflł te się nie uda.

— W takim razie co proponujesz? Chyba masz jakiś plan? Czy puszczamy wszystko na żywioł?

— Po pierwsze musimy się dowiedzieć, dokąd jada, potem zastanowimy się, jak dostać się do środka i zabrać chłopca. Nie mieliśmy innej możliwości, w Rawennie nie było ludzi, których moglibyśmy zwerbować, a nawet gdyby się znaleźli, Odoaker miał tylu szpiegów, że spisek natychmiast zostałby wykryty. Nawet jeśli ci się to wyda dziwne, nasza przewaga polega właśnie na tym, że nikt nie ma pojęcia o naszym istnieniu, nikt nawet nie podejrzewa, że dwójka wędrowców może się porwać na coś takiego. Tobie o mało się nie udało właśnie dlatego, że nikt się czegoś podobnego nie spodziewał. Jeżeli zwerbujemy jakichś ludzi, zrobimy to z dala od Rawenny, gdzie nikt nic o nas nie wie.

— A czym im zapłacisz?

— Pieniądze będą do naszej dyspozycji w różnych miejscach Italii. Antemiusz posiada depozyty w wielu bankach, a ja mam jego list kredytowy. Wiesz, co to takiego, prawda?

— Nie. Ale najważniejsze jest to, że możesz dysponować pieniędzmi. Ciągle jeszcze mam nadzieję, że odnajdę moich towarzyszy.

— Ja też. Wiem, jakie to dla ciebie ważne. — Powiedziała to tonem zdradzającym uczucia silniejsze niż zwykła zażyłość, która łączyła ich od kilku dni.

Posuwali się naprzód pokonując jakieś dwadzieścia mil dziennie i trzymając się w znacznej odległości od konwoju. Barbarzyńcy zdawali się pilnować wozu z nieco mniejszą starannością; niezawodność potężnej eskorty, masywna postać Wulfili i całkowity brak jakiegokolwiek zagrożenia jak okiem sięgnąć sprzyjały rozluźnieniu napięcia, a niekiedy nawet dyscypliny.

Przemierzywszy Apeniny, zeszli do doliny Tybru.

— Jeżeli odnajdziemy moich towarzyszy, pomożesz mi ich uwolnić? — zapytał w pewnej chwili Aureliusz.

— Myślę, że tak. Zależy ilu ich znajdziemy, o ile to w ogóle nastąpi. Powtarzam ci: nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Misenum to jakaś szansa, ale tylko jedna z wielu.

— To dziwne: z jednej strony chciałbym ich odnaleźć, z drugiej się boję... Boję się tego, czego mógłbym się od nich dowiedzieć o pozostałych.

— Zrobiłeś co w twojej mocy — powiedziała Liwia — nie zadreżaj się. Co się stało, to się nie odstanie i nic nie możemy na to poradzić.

— Łatwo ci mówić. Legion był całym moim życiem. Wszystkim, co miałem.

— Nigdy nie miałeś rodziny?

Aureliusz potrząsnął głową.

— Żony... nałożnice?

Odwrócił wzrok.

— Tylko przypadkowe znajomości od czasu do czasu. Żadnych związków. Trudno się z kimś związać, kiedy się nie ma korzeni.

Maszerowali równym krokiem, w milczeniu przez jakiś czas, po czym Liwia powróciła do rozmowy.

— Legion — powiedziała. — Nie do wiary. Od czasów reformy cesarza Galienusa po dawnych legionach zostały tylko nazwy, a w ciągu ostatnich czterdziestu lat nawet i to nie. Jaki sens miało powołanie do życia nowego legionu?

— Otóż było to coś niezwykłego. Po pierwsze italska ziemia raczej się nie nadaje do tego, by maszerowały po niej wielkie oddziały jazdy, poza tym byłby to wspaniały widok:

OSTATNI LEGION

Orestes pragnął, żeby ludzie zobaczyli lśniącego w słońcu srebrnego orła, chciał, żeby Rzymianie odzyskali swoją dumę, ujrzeli, jak piechota maszeruje w starodawnych zbrojach i z ogromnymi tarczami, jak ziemia drży pod jej miarowym krokiem. Zamierzał przeciwstawić dyscyplinę barbarzyństwu, porządek zamętowi. Wszyscy byliśmy dumni, że należymy do tego legionu, nasz dowódca posiadał dawne przymioty, był niesłychanie wartościowym człowiekiem, surowym i sprawiedliwym, zazdrośnie strzegącym honoru swojego i swoich żołnierzy.

Liwia przyjrzała mu się uważnie: oczy mu błyszczały, głos zaś drżał ze wzruszenia, kiedy mówił te słowa. Chciałaby w pełni zrozumieć jego uczucia, spostrzegła jednak, że jadący w oddali konwój jakby zwolnił, dała mu więc znak, by się zatrzymał.

— Nic się nie stało—stwierdziła po chwili. — To tylko stado owiec przechodziło przez drogę.

Znów ruszyli powoli, trzymając się skraju lasu, w odległości jakichś trzystu, czterystu stóp od szlaku.

— Mów dalej, proszę — powiedziała.

— Wszyscy legionieści: oficerowie i żołnierze, pomocnicy i technicy, w większości Italikowie i mieszkańcy prowincji, zostali starannie dobrani spośród innych oddziałów. Przyjęto także barbarzyńców, ale bardzo mało i tylko całkowicie zaufanych, takich, którzy służyli państwu od pokoleń. Zakwaterowano ich w tajemnym miejscu w Noricum i szkolono po wiele godzin dziennie prawie przez rok. Kiedy legion wyszedł na pole bitwy po raz pierwszy, efekt był piorunujący; wpadł w ustawione w szyku bojowym wojska wroga z siłą maszyny oblężniczej, powodując kolosalne straty. Zachowaliśmy to co najlepsze w starodawnej technice i to co najlepsze w nowoczesnej.

— A ty? Gdzie cię zwerbowało?

Aureliusz jechał przez chwilę pogrążony w myślach, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Trzymali się blisko lasu, aby nie dać się schwytać zwiadowcom Wulfili, którzy bez przerwy przeczesywali dolinę, chcąc uprzedzić ewentualny atak. W tej nieprzyjaznej i dzikiej okolicy obawiali

się raczej rozbójników niż mało prawdopodobnych oswobodzicieli chłopca.

— Już ci mówiłem — odparł nagle Aureliusz — zawsze byłem częścią legionu. Nic innego nie pamiętam. — Ton jego głosu wskazywał jasno, że temat uważa za zamknięty.

Posuwali się naprzód w ciszy, od czasu do czasu zaś Liwia oddalała się nieco ku ścieżkom biegnącym trochę wyżej bądź niżej, nie mogła bowiem znieść upartego milczenia swego towarzysza. Kiedy równali krok, wymieniali kilka uwag na temat szlaku albo nierówności terenu, po czym znów się od niego odsuwała. Widać było wyraźnie, że Aureliusz nie potrafi uwolnić się od koszmarnej wizji rzezi swoich towarzyszy, zagłady swojego oddziału i świadomości, iż nie zdołał ich uratować. U jego boku kroczyły zjawy, krwawiące cienie młodzieńców pomordowanych w kwiecie wieku i mężczyzn torturowanych okrutnie aż do ostatniego tchnienia. Ciągłe słyszał ich rozdzierające wrzaski, ich wołanie z głębi piekielnej otchłani. Jechali obok siebie przez wiele godzin, dopóki nie spostrzegli, że zaczyna się ściemniać, kolumna zaś gotuje się do spoczynku. Zauważywszy szłaś znajdujący się na szczycie wzgórza, w odległości około mili od obozu Wulfili, Liwia powiedziała:

— Może da się tam przenocować, a nawet ukryć konie.

Aureliusz skinął potakująco głową, po czym skierował Dżubę do lasu, ku wzgórzom.

Wszedł pierwszy i upewnił się, czy nikogo nie ma w środku. Szłaś sprawiał wrażenie schroniska dla pasterzy pędzących krowy na pastwiska: w kącie znajdowała się słoma, za chatą zaś, pod czymś w rodzaju prowizorycznego dachu, leżały bele siana i słomy. Z pobliskiego strumyka woda lała się wprost do wykutego w piaskowcu poidła, po czym spływała po porośniętych mchem ogromnych kamieniach, napędzając w końcu naturalną kotlinę. Powstało w ten sposób krystalicznie czyste jeziorko, w którym odbijało się niebo i otaczające je drzewa. O zachodzie słońca las mienił się barwami jesieni, dzikie wino pięło się po

pniach dębu oplatając je wielkimi szkarłatnymi liśćmi i drobnymi kiściami owoców w kolorze purpury.

Aureliusz oporządził konie, po czym uwiązał je pod dachem, podsuwając im trochę siana. Liwia zaś podeszła do jeziora, zdjęła odzienie i zanurzyła się w lodowatej wodzie, która przyprawiała ją o dreszcze. Pragnienie umycia się było wszakże silniejsze niż zimno. Aureliusz już miał zejść po stoku, gdy nagle spostrzegł jej nagie ciało wijące się w wodzie, przystanął więc na chwilę zachwycony, podziwiając jego posągowe piękno. Potem jednak odwrócił wzrok, zmieszany i zawstydzony. Kusiło go, by podejść do niej i wyznać, jak bardzo jej pożąda, ale nie mógł znieść myśli, że mogłaby go odtrącić. Podeszedł więc do poidła i umył najpierw twarz, tors i ramiona, następnie zaś resztę ciała. Liwia wróciła owinięta derką, trzymając w prawej ręce harpun, a na nim dwa ogromne pstrągi.

— Były tylko te dwa — oświadczyła — i chyba szykowały się na śmierć. Przynieś mi rzeczy; wiszą na gałęzi przy jezioru. Ja tymczasem rozpalę ogień.

— Jesteś szalona. Zobaczą nas i przysła tu kogoś na zwiad.

— Nie mogą sprawdzać każdej smużki dymu, która unosi się nad wsią — odparła. — A poza tym mamy przewagę: jeśli ktoś spróbuje się tu zbliżyć, nadzieję go na harpun jak pstrąga i zaciągnę do lasu; po kilku godzinach nie zostaną po nim nawet kości. W tych czasach nawet dzikie zwierzęta cierpią głód.

Liwia upiekła pstrągi najlepiej jak się dało, po czym nadal podsycala ogień gałęziami sosny, które paliły się pięknym strzelającym płomieniem nie dając przy tym dymu. Kiedy nadeszła pora wieczery, Aureliusz wybrał mniejszą rybę, Liwia jednak podała mu tę większą.

— Musisz jeść — stwierdziła — jesteś jeszcze osłabiony, a kiedy przyjdzie nam walczyć, wolę miecz u boku lwa, nie owcę. A teraz połóż się spać. Pierwsza stanę na warcie.

Aureliusz nic nie odpowiedział, tylko oddalił się na skraj polany i oparł o pień wiekowego dębu. Liwia patrzyła, jak siedzi nieruchomo z otwartymi oczyma, gotów na

spotkanie nocy, która schodziła z gór wraz ze swymi zmorami i widmami, i zapragnęła znaleźć się obok niego, gdyby tylko ją o to poprosił.

Wulfila rozkazał rozbić obóz w pobliżu mostu wznoszącego się nad jednym z dopływów Tybru. Jego ludzie zabrali się do pieczenia owiec i baranów zarekwirowanych jakimś pasterzowi, który miał to nieszczęście, że kilka godzin wcześniej przeciął im drogę. Ambrozynus podszedł z zafrasowaną miną.

— Cesarz nie znosi jagnięciny — oznajmił.

Barbarzyńca wybuchnął śmiechem.

— Cesarz nie znosi jagnięciny? Cóż za szkoda, cóż za straszna rzecz! Niestety pierwszy kucharz cesarza nie zechciał się ruszyć z Rawenny, więc wybór dań jest ograniczony. Albo je jagnięcinę, albo idzie spać głodny.

Ambrozynus podszedł jeszcze bliżej.

— Widziałem w lesie kasztany, jeśli mi pozwolisz trochę zebrać, mogę mu upiec pyszne i odżywcze ciasto.

Wulfila pokręcił głową.

— Nie ruszysz się stąd.

— A dokąd miałbym pójść? Dobrze wiesz, że za nic w świecie nie zostawiłbym chłopca. Pozwól mi iść; wrócę niedługo i też dam ci spróbować. Zapewniam cię, że nigdy nie jadłeś nic równie smakowitego.

Wulfila w końcu ustąpił, Ambrozynus zapalił więc lampkę i zaszył się w lesie. Ziemia wokół ogromnych sękatych pni pokryta była kasztanami. Wiele z nich było na pół otwartych; zawierały owoce o pięknej czerwono-brązowej barwie przypominającej wyprawioną skórę. Kiedy zebrał ich sporo, przyszło mu do głowy, że okolica ta musi być zupełnie niezamieszкана, skoro tak cenne owoce czekają na niedźwiedzie i dziki. Wrócił do obozu ze zgaszoną lampą, zbliżając się chyłkiem akurat w chwili, gdy Wulfila naradzał się ze swymi dowódcami.

— Kiedy mam ruszać? — zapytał właśnie jeden z nich.

— Jutro, gdy tylko znajdziemy się na równinie. Weźmiesz ze sobą pół tuzina ludzi i pojedziesz przed nami do

Neapolu. Tam znajdziecie człowieka o nazwisku Andrea da Nola, który będzie na was czekał w dzielnicy gwardii pałacowej, i powiecie mu, żeby przygotował przewóz na Capri. Będzie musiał zapewnić miejsce dla całej eskorty, chłopca, jego nauczyciela i służby dla nas i dla nich. Przekaż mu, że chcę, aby wszystko było przygotowane tam, dokąd jedziemy: kwatery, jedzenie, wino, ubrania, derki. Wszystko. Przydaliby się nam niewolnicy, ale upewnij się, że nie wezmą ich z Misenum. Właśnie tam trafiło kilku z tych, których Mled złapał w Dertonie; nie chcę, żeby mi się plątali pod nogami. Zrozumiałeś? Jeśli coś pójdzie nie tak, osobiście za to odpowie. I powtórz mu, że ja się nie patyczkuję z niezdarami.

Ambrozynus oddalił się lekkim krokiem, uznawszy, że dość już usłyszał, po czym zjawił się w obozie z przeciwnej strony, gdzie członkowie eskorty przypiekali nad ogniskiem nadziane na oszczepy ćwiartki baranów. Podeszedł do ognia i podpiekł swoje kasztany, następnie utłukł je w móżdżerzu, dodał trochę ugotowanego moszczu z żołnierskich zapasów i zagniół placek, który przypiekał na ogniu, aby był chrupiący. Po czym z całkowicie uzasadnioną dumą zaniósł go swojemu panu. Romulus popatrzył na niego ze zdumieniem.

— Moje ulubione ciasto. Jak je zrobiłeś?

— Wulfila zaczyna mi pozwalać na odrobinę wolności; doskonale wie, że nie może mnie zbyt źle traktować, jeśli chce mieć ładniejszą twarz. Poszedłem do lasu, zebrałem trochę kasztanów i to wszystko.

— Dziękuję — odrzekł chłopiec. — To mi przypomina pałacowe uczty, kiedy nasi kucharze piekli je w ogrodzie na łupkowej płycie. Wydaje mi się, jakbym nadal czuł zapach gotowanego na ogniu moszczu. Nie ma słodszeo i bardziej intensywnego aromatu niż zapach wrzącego moszczu.

— Jedz — powiedział Ambrozynus — bo ci ostygnie.

Romulus ochoczo wbił zęby w placek.

— Mam nowe wieści — ciągnął tymczasem nauczyciel.

—Wiem, dokąd nas wiozą. Podśluchałem rozmowę Wulfili

z radą jego dowódców, kiedy wychodziłem z lasu. Naszym celem jest Capri.

— Capri? Przecież to wyspa.

— Owszem, wyspa, ale niezbyt odległa od brzegu. Niektórzy uważają, że jest ładna, zwłaszcza latem, kiedy panuje tam przyjemny klimat. Cesarz Tyberiusz zbudował tam okazałe wille, a w ostatnich latach panowania mieszkał w najpiękniejszej z nich, w willi Jowisza. Po jego śmierci...

— Tak czy inaczej to będzie więzienie — przerwał mu Romulus — w którym zostanę do końca moich dni, za jedyne towarzystwo mając najbardziej znienawidzonych wrogów. Nie będę podróżował, nie będę poznawał nowych ludzi, nie założę rodziny...

— Bierzmy to, co przynosi nam życie dzień po dniu, mój synu. Przyszłość jest w zamysłach i w rękach Boga. Nie poddawaj się, nie trać ducha, nie ustępuj. Przypomnij sobie, jaki przykład dawali wielcy z dawnych czasów, pamiętaj o radach i sugestiach prawdziwych mędrców: Sokratesa, Katona, Seneki. Wiedza jest niczym, jeśli nie daje nam środków, by stawić czoło życiu. Posłuchaj, przedwczoraj otrzymałem znak: jakimś cudem przyszła mi do głowy stara przepowiednia z mojego kraju i od tej pory moje uczucia uległy zmianie. Wyczuwam, że nie jesteśmy sami i że wkrótce pojawią się inne znaki. Uwierz mi, wyczuwam to.

Romulus uśmiechnął się — bardziej z politowaniem niż z ulgą.

— Śniesz na jawie — odparł — ale umiesz piec pyszne placki, co jest niepodważalną zaletą. — Zabrał się ponownie do jedzenia, Ambrozynus zaś przyglądał mu się z takim zadowoleniem, że zapomniał, iż sam nie miał prawie nic w ustach aż do tej chwili, wołał jednak to, co zostało, zanieść Wulfili, aby dotrzymać danej mu obietnicy i w miarę możliwości zaskarbić sobie jego przychyłność.

Nazajutrz obudzili się o świcie i byli świadkami odjazdu jednego z oddziałów na południe. Po czym kolumna ruszyła naprzód, zatrzymując się zaledwie na krótki posiłek w środku dnia. W miarę jak posuwali się na południe, klimat

OSTATNI LEGION

łagodniał. Ogromne śnieżnobiałe cumulusy sunęły po niebie, gnane przez zachodni wiatr, od czasu do czasu gromadząc się w czarne chmury, które zalewały ziemię niespodziewanymi i gwałtownymi deszczami. Potem zaś znów wyzierało słońce, którego promienie oświetlały mokre, błyszczące pola. Dęby i jesiony ustąpiły miejsca sosnom i mirtom, jabłonie zaś drzewkom oliwnym i winoroślom.

— Rzym został z tyłu — powiedział Ambrozynus.
— Zbliżamy się do celu.

— Rzym — szepnął Romulus przypominając sobie, jak wszedł do kurii Senatu odziany w cesarskie szaty, w towarzystwie rodziców. Miał wrażenie, że od tamtego dnia minął cały wiek, a nie zaledwie kilka miesięcy. Tymczasem on wkraczał właśnie w okres dorastania, po którym miała nadejść młodość, najpiękniejsze lata życia dla mężczyzny, z sercem przygniecionym żałobą i ponurymi przeczuciami.

IX

Wulfila spostrzegł handlarzkę wodą, kiedy znajdowała się jeszcze dość daleko. Stała po prawej stronie drogi, na ubitej ziemi. Przez ramię miała przewieszony bukłak, w dłoni zaś trzymała drewniany kubek. Wyglądała jak mnóstwo innych nieszczęśników i żebraków, których można było spotkać po drodze. Od pewnego czasu wszakże słońce zaczęło mocniej przypiekać, południowy upał zaś i brak jakichkolwiek źródeł wody wzmogły jeszcze pragnienie u ludzi i koni.

— Hej, chodź no tu! — zawołał w swoim języku, kiedy podjechali nieco bliżej. — Chce mi się pić!

Po jego gestach i minie dziewczyna poznała, że tamten chce pić, podała mu więc pełny kubek. Mimo że okutała się niezdarnie starym płaszczem, jej uroda biła w oczy, wywołując ordynarne komentarze barbarzyńskich wojowników.

— Ej, pokaż no się! — zawołał jeden z nich usiłując zerwać jej płaszcz z ramion, ona jednak zrobiła szybki zręczny unik. Jednocześnie z uśmiechem wyciągnęła rękę po jałmużnę za świeżą wodę, którą nalewała do kubka.

— Od kiedy to płaci się tutaj za wodę? — krzyknął inny żołnierz. — Skoro płacę kobiecie, powinienem dostać o wiele więcej. — Ścisnął ją i przyciągnął do siebie. Poczawszy smukłą kibić, zgrabną krągłość bioder i twarde mięśnie pod skórą, przyjrzał jej się ze zdumieniem, mówiąc: — Ale jędrne ciało! Nie należysz do tych, co jedzą mało i byle co.

W tej samej jednak chwili czyjś głos zawołał:

— Chce mi się pić!

Pojąwszy, że wołanie pochodzi z odległego zaledwie o kilka kroków wozu, zbliżyła się i podniosła płócienną zasłonę. Znalazła się twarzą w twarz z dwunasto-, może trzynastoletnim chłopcem o jasnokasztanowych włosach, dużych ciemnych oczach, odzianym w białą tunikę z długimi rękawami ozdobionymi srebrnym haftem. Naprzeciw niego zaś siedział mężczyzna około sześćdziesiątki, z siwą brodą, łysy na czubku głowy, odziany w proste *sagum* z szarej wełny, noszący na szyi mały srebrny medalion.

Wulfila czym prędzej opuścił zasłonę i gwałtownie odsunął dziewczynę.

— Jazda stąd! — krzyknął opryskliwe.

Jednakże siedzący w wozie mężczyzna podniósł z powrotem zasłonę i powiedział stanowczym tonem:

— Chłopiec ma pragnienie.

W tej samej chwili ich oczy się spotkały i natychmiast zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie jest osobą, na jaką wygląda, że próbuje dać mu coś do zrozumienia albo o czymś uprzedzić, toteż ścisnął Romulusa za ramię, jakby chciał go przygotować na nadejście nieoczekiwanego wydarzenia. Handlarka wodą przysunęła się bliżej, a znalazłszy się na chwilę poza zasięgiem wzroku Wulfili, podała wprawdzie chłopcu drewnianą czarkę, potem mężczyźnie żelazny kubek, kiedy zaś począł pić, szepnęła po grecku:

OSTATNI LEGION

— *Chaire Kaisar*. Bądź pozdrowiony, ceszarze.

Chłopcu udało się opanować zaskoczenie, gdy jego towarzysz odrzekł w tym samym języku:

— *Tis eis?* Kim jesteś?

— Przyjaciółką — odparła dziewczyna. — Mam na imię Liwia. Dokąd was wiozą?

W tej samej jednak chwili Wulfila znów odepchnął ją na bok kładąc kres ich rozmowie.

Siedzący w wozie Romulus spojrzął na nauczyciela nie wiedząc, co myśleć o tym osobliwym spotkaniu.

— Któż to mógł być, *Ambrosine?* Skąd wiedziała, kim jestem?

Uwagę mężczyzny pochłonął wszakże bez reszty kubek, który trzymał w dłoni. Obracał go w palcach, aż dostrzegł na dnie pieczęć w kształcie orła i napis: LEG NOVAINV.

— *Legio Nova Irwicta* — przeczytał półgłosem.

— Wiesz, co to znaczy, ceszarze? Że tamten żołnierz znów próbuje, ale tym razem nie jest sam. Nie wiem, czy powinienem się radować czy też martwić, ale serce mi mówi, że to dobry omen, pomyślne wydarzenie. Nie zostawiono nas własnemu losowi i czuję, że znak, który dostałem kilka dni temu, był prawdziwy...

Tymczasem Wulfila spychał Liwie na skraj drogi, ona jednak spoglądając nań błagalnym wzrokiem powiedziała:

— Ale, panie, moja czarka tam została. Jest mi potrzebna.

— Dobrze — zgodził się Wulfila — ale ruszaj szybko.

Odprowadził ją do wozu, kiedy zaś odzyskała czarkę, odstawił z powrotem na skraj drogi, nie spuszczając jej ani na chwilę z oka. Liwia zdążyła jeszcze wymienić spojrzenie z więźniami, nie mogła wszakże powiedzieć ani słowa. Zastygnąwszy w bezruchu wpatrywała się w wóz dopóty, dopóki nie zniknął za niewielkim wzniesieniem, dopóki całkowicie nie ucichł stukot kopyt i odgłos kół. Wówczas obejrzała się za siebie i na szczycie wzgórza spostrzegła nieruchomą sylwetkę obserwującego ją jeźdźca: Aureliusza. Ruszyła więc naprzód krętą ścieżką, która wiła się wśród zarośli, aż dotarła do podnóża góry. Aureliusz wy-

jechał jej na spotkanie trzymając za uzdę drugiego konia. Liwia wskoczyła na siodło.

— No i co? — zapytał niecierpliwie. — Nie mogłem się doczekać.

— Nie udało mi się. Już miał mi powiedzieć, ale Wulfila mnie odepchnął. Gdybym spróbowała jeszcze o coś zapytać, nabrałby podejrzeń i na pewno by mnie zatrzymał. Ale teraz przynajmniej wiemy, że za nimi jedziemy. Mężczyzna, który jest z cesarzem, ma przenikliwy, świdrujący wzrok; to na pewno ktoś o dużej bystrości umysłu.

— To przeklęty natręt—odparł Aureliusz — ale skoro jest nauczycielem chłopca, musimy go brać pod uwagę bez względu na nasze plany. A powiedz no, udało ci się go zobaczyć?

— Cesarza? Pewnie, że tak.

— Jak się miewa? — zapytał nie kryjąc niepokoju.

— Wydaje mi się, że dobrze, ale ma w oczach bezbrzeżny smutek. Utrata rodziców musi być dla niego strasliwym ciężarem.

Aureliusz zadumał się przez chwilę.

— Zobaczmy, czy uda nam się nawiązać z nim jakiś kontakt—oznajmił. — Straże przestały być takie czujne jak pierwsi, może są przekonani, że nikt się już nie interesuje więźniami.

— Inni może i tak, ale nie Wulfila: jest nieufny, podejrzliwy, wiecznie patrzy wokoło złym wzrokiem. Wszystko doskonale kontroluje, nic mu nie umknie, zapewniam cię.

— Widziałas go z bliska?

— Tak jak ciebie teraz widzę. Zostawiłeś mu śliczną pamiątkę, szkoda gadać! Jeśli choć raz przeglądał się w lustrze, nie chciałabym być w twojej skórze w dniu, w którym wpadniesz w jego łapy.

— Nie przejmuj się — odrzekł Aureliusz. — Nigdy nie wpadnę w jego łapy... żywy.

Wędrowali przez całe popołudnie, aż do zachodu słońca, po czym wreszcie ujrzeli kolumnę Wulfili rozbijającą

obóz w pobliżu Minturny. Dawna via Appia przestała już być przejezdna. Bagna, niegdyś przynajmniej częściowo osuszone przez rowy melioracyjne, które kazał wykopać cesarz Klaudiusz, z powodu niedbałości teraz opanowały znaczne obszary wsi, w tym sporą część drogi. Tafla martwej wody zajęła się czerwienią w chwili, gdy tarcza słońca zanurzyła się w niej powoli, po czym stopniowo przybrała ołowiany odcień odbijającego się w niej nieba. Na morzu zaś poczęły gęstnieć ogromne czarne -chmury, wędrujące wolno ku środkowi nieboskłonu. W oddali słychać było grzmoty, być może z zachodu nadciągała burza.

O tej porze dnia panowała nieznośna duchota; powietrze było dodatkowo ciężkie od bagiennych wyziewów i wszechobecnej wilgoci. Zarówno Aureliusz, jak i Liwia byli mokrzy od potu, posuwali się wszakże naprzód, nie chcąc stracić z oczu cesarskiego orszaku, który maszerował w szybkim tempie, aby pokonać jak największy odcinek drogi przed zapadnięciem zmroku. W pewnej chwili Aureliusz przystanął, by nalać sobie z flaszki wody, a wówczas Liwia, która wyczerpała swój zapas dla ludzi Wulfili, także podsunęła mu czarkę, po czym podniosła ją do ust pijąc dużymi łykami. Nagle na dnie spostrzegła coś, od czego twarz jej się rozjaśniła.

— Capri — powiedziała. — Jadą na Capri.

— Co takiego? — zapytał zdumiony Aureliusz.

— Jadą na Capri. Przecież ci mówiłam, że ten człowiek jest bystry. — Odwróciła czarkę pokazując napis wyryty na jej dnie za pomocą stylusa: CAPREAE.

— Capri — powtórzył Aureliusz — To trudno dostępna i skalista, niegościnna i dzika wyspa w Zatoce Neapolitańskiej, na której mieszkają tylko kozy, dlatego tak ją nazywają*.

— Byłeś tam już kiedyś?

— Nie, ale słyszałem o niej od przyjaciół, którzy pochodzą z tamtych stron.

* *Capra* (łac.) — koza (przyp. tłum.).

— Nie wydaje mi się, by było tak, jak mówisz—stwierdziła Liwia. — Skoro cesarz Tyberiusz zbudował na niej swoją rezydencję, nie może być taka zła. Panuje tam pewnie ciepły, łagodny klimat i już sobie wyobrażam zapach morza wymieszany z zapachem pinii i żarnowca.

— Pewnie to ty masz rację — zgodził się Aureliusz — ale więzienie to zawsze więzienie. Chodź, poszukamy miejsca na nocleg trochę wyżej, na wzgórzach, bo inaczej komary pożrą nas żywcem.

Znaleźli schronienie w chacie z trzciny i słomy, zbudowanej niegdyś przez chłopów do pilnowania zbiorów, teraz zaś opuszczonej. Liwia podsmażyła w żelaznym garnuszku trochę mąki pszennej wymieszanej z odrobiną wody i rozdrobnionym serem i taka była ich wieczerza. Siedząc przy małym ognisku, roznieconym z suchych ciernistych krzewów, jedli w milczeniu. Z dołu dochodziło kumkanie żab, przytłumione z powodu odległości.

— Pierwsza obejmę wartę — oświadczyła Liwia przewieszając sobie łuk przez ramię.

— Jesteś pewna?

— Tak. Teraz nie jestem senna, zresztą wolę spać, kiedy zapadnie noc. Postaraj się odpocząć.

Skinąwszy głowę, Aureliusz przywiązał Dżubę do jarzębiny, po czym wszedł do chatki i położył się na własnym płaszczu. Przyglądał się przez chwilę koniowi, który skubał dojrzałe, czerwone owoce, po czym przekreślił się na bok usiłując zasnąć, jednakże na myśl o swojej towarzysze podróży poczuł niepokój i rosnące podniecenie. Miał ochotę poddać się temu uczuciu, które przybierało na sile, rozgrzewając mu serce, bał się wszakże nieuchronnego rozstania, gdy ich misja dobiegnie końca.

Siedząc w ciemnościach Liwia obserwowała migające w dole światła nieprzyjacielskiego obozu. Nie umiała powiedzieć, ile czasu upłynęło, nagle jednak dostrzegła jakiś ruch, zobaczyła przemykające wzdłuż bagna cienie barbarzyńskich jeźdźców z płonącymi pochodniami. Zapewne był to zwykły rekonesans, widok ten wszakże przypominał jej inną scenę, spoczywającą dotąd w mrokach

OSTATNI LEGION

pamięci: oto zgraja barbarzyńskich jeźdźców galopuje ku brzegowi laguny, na tle morza ognia, ku samotnemu mężczyźnie, który czeka na nich bez ruchu. Wzdrygnęła się, jakby pod wpływem lodowatego powiewu, po czym spojrzała na chatkę. Aureliusz spał, osłabiony całodzienną wędrówką i niedostatkiem pożywienia. W nagłym olśnieniu Liwia wyjęła z ogniska głownię, ostrożnie podeszła bliżej, skuliła się obok niego i wyciągnęła rękę, by odsłonić mu pierś. Aureliusz zaś poderwał się trzymając w dłoni miecz, który przystawił jej do gardła.

— Uspokój się, to ja! — zawołała cofając się Liwia.

— Co ty wyprawiasz? Zdajesz sobie sprawę, że mogłem cię zabić?

— Nie sądziłam, że nie śpiesz, chciałam tylko...

— Co?

— Byłeś odkryty, więc chciałam cię przykryć.

— Dobrze wiesz, że to nieprawda. A teraz albo mi powiesz prawdę, albo natychmiast odchodzę.

Liwia podniosła się i usiadła przy ogniu.

— Ja... chyba wiem, kim jesteś.

Aureliusz podszedł bliżej i przez chwilę zdawał się wpatrywać w niebieskawe płomienie liżące rozżarzony chrust, po czym spojrzął Liwii prosto w oczy. Przez jego źrenice przemknął zimny cień, jakby ogarnęła go fala wspomnień, jakby dawno zablizniona rana otworzyła się nagle i poczęła krwawić. Niespodziewanie odwrócił się do niej plecami.

— Nie chcę tego słuchać — powiedział bezbarwnym głosem.

— Noc dopiero się zaczęła — odrzekła dziewczyna.

— Mamy mnóstwo czasu na długą opowieść. Dopiero co mówisz, że chcesz poznać całą prawdę. Już zapomniałeś?

— Aureliusz odwrócił się do niej spuszczając głowę w milczeniu, Liwia zaś ciągnęła: — Wiele lat temu pewnej nocy na miasto, w którym się urodziłam i wychowałam, w którym był mój dom i mieszkali moi rodzice, napadli barbarzyńcy. Po długotrwałej obronie rozpoczęły się rzeź i rabunki. Mężczyźni zostali wycięci w pień, kobiety

zgwałcone i wzięte do niewoli, domy ograbione i spalone. Mój ojciec zginął, ponieważ stanął w naszej obronie. Zaszlachtowali go na moich oczach, na progu własnego domu. Matka wzięła mnie za rękę i rzuciła się do ucieczki. Uciekałyśmy w panice, w rozpacz, starą ścieżką za akweduktem. Drogę oświetlała gdzieniegdzie łuna pożarów, zewsząd dobiegały krzyki, lament, szaleńcze wrzaski, które odbijały się od każdej ściany spadając z nieba niczym grad iskier. W mieście było pełno martwych ciał, wszędzie lała się krew. Byłam przerażona, matka ciągnęła mnie za rękę. W końcu dotarliśmy do brzegu, od którego odbijała właśnie przepełniona uciekinierami łódź. Była ostatnia; inne łodzie już odpłynęły, znikając w ciemności, wśród błysków pożaru. — Przerwała na chwilę przesywając Aureliusza na wylot oczami, które błyszczały od łez w płomieniach ogniska, nie znalazła wszakże w jego spojrzeniu nic poza strachem.

— Mów dalej — powiedział.

Liwia ukryła twarz w dłoniach, jakby chciała osłonić oczy przed rozdzierającymi serce obrazami, przed owymi wspomnieniami, tak długo schowanymi w najgłębszych zakamarkach umysłu. Po chwili jednak wzięła się w garść.

— Łódź właśnie odpływała, moja matka zaś zaczęła biec po kolana w wodzie, krzycząc i błagając, żeby na nas zaczekali...

W oczach Aureliusza mignął błysk lęku i zdumienia, Liwia przysunęła się więc jeszcze bliżej, aż owionął go emanujący z jej syreniego ciała zapach soli. Krew napłynęła mu do twarzy, oblał się rumieńcem, mając wrażenie, że za chwilę wessie go wir płomieni, serce znów ścisnęło mu niczym obręcz uczucie paniki. Liwia zaś ciągnęła ze spokojem:

— Na rufie siedział jakiś mężczyzna. Był to młody oficer rzymski w zakrwawionej zbroi. Kiedy nas zobaczył, zszedł do wody, pomógł mojej matce wsiąść, ona zaś zajęła ostatnie wolne miejsce, po czym chwycił mnie wpół i uniósł ku jej wyciągniętym ramionom. Na widok głębokiej wody ogarnął mnie strach, więc złapałam go za szyję i właśnie

wtedy zerwałam mu to. — I pokazawszy mu medalion przedstawiający srebrnego orła, który sama nosiła, Liwia wróciła do swej opowieści: — Matka objęła mnie ramionami i przycisnęła do piersi, podczas gdy łódź oddalała się powoli od brzegu. Ostatni obraz, jaki wrył mi się w pamięć, to jego nieruchoma postać na brzegu, ciemna sylwetka na tle pożerających moje miasto piekielnych płomieni, naprzeciw zaś horda barbarzyńców, którzy galopowali na koniach niczym demony, wymachując płonącymi pochodniami. To ty byłeś tym młodym oficerem. Jestem pewna.

— Ponownie ścisnęła w palcach medalion. — Noszę go na szyi od tamtej nocy i nigdy nie straciłam nadziei, że odnajdę owego szlachetnego męża, który uratował nam życie gotów poświęcić własne.

Urwała czekając bez ruchu na jakąś odpowiedź, na jakiś znak potwierdzenia, że obrazy tamtej odległej nocy obudziły w nim wspomnienia z przeszłości, Aureliusz jednak milczał. Zacisnął powieki, by powstrzymać łzy, by pokonać przerażenie, lęk przed pustką, ukłucie chłodu i ciemności.

— Właśnie dlatego twój wzrok instynktownie pada na ten medalion, bo wiesz, że jest twój, że należał do ciebie; to odznaka twojego legionu: ósmego *vexillatio pannonica*, bohaterskich obrońców Akwilei!

Słyszając te słowa Aureliusz poczuł bolesny skurcz, lecz się opanował. Otworzył oczy i spojrzał na dziewczynę z tkliwością, po czym położywszy jej ręce na ramionach, powiedział:

— Tamten młodzieniec umarł, Liwio, nie żyje, rozumiesz? — Potrzęsnęła głową, po policzkach zaś spływały jej łzy. Aureliusz mówił dalej: — Umarł. Podobnie jak wszyscy inni. Nikt z tego garnizonu się nie uratował. Wszyscy o tym wiedzą. To tylko marzenia małej dziewczynki. Zastanów się przez chwilę: jakie jest prawdopodobieństwo, że ten młodzieniec ocalał, skoro znalazł się w takich okolicznościach, jakie opisałaś? I jakie jest prawdopodobieństwo, że mogłabyś go spotkać znowu po tylu latach?

— Mówiąc to oczyma duszy ujrzał wykrzywioną z wściekłości twarz Wulfili, który krzyczał: „Ktoś ty? Już cię gdzieś

widziałem, Rzymianinie!" Dodał jednak: — Takie *rzeczy* zdarzają się tylko w bajkach. Daj spokój.

— Naprawdę? W takim razie powiedz mi, gdzie byłeś tej nocy, kiedy padła Akwileja?

— Nie wiem, uwierz mi. To zbyt odległe czasy, nie pamiętam.

— Ale może potrafię dać ci dowód. Posłuchaj, kiedy podeszłam do ciebie, gdy spałeś, chciałam sprawdzić, czy...

— Co?

— Czy masz bliznę na piersi, tuż pod szyją. Ja... chyba sobie przypominam, że tamten żołnierz miał krwawiącą ranę.

— Wielu żołnierzy ma rany na piersiach. Mówię o tych odważnych.

— A dlaczego zawsze zerkasz na ten medalion?

— Nie zerkam na medalion. Patrę... na twoje piersi.

— Idź sobie! — zawołała Liwia drżąc z gniewu i rozczarowania. — Zostaw mnie samą! Daj mi spokój!

— Liwio, ja...

— Zostaw mnie samą — powtórzyła cicho.

Aureliusz odszedł, ona zaś uklękła przy dogasającym żarze. Ukrywszy twarz w dłoniach, rozplakała się cicho.

Trwała w tej pozycji tak długo, aż poczuła chłód przenikający ją do szpiku kości. Wówczas podniosła głowę i ujrzała opartego o pień dębu Aureliusza — cień pośród nocnych widm.

X

Podszedłszy do strumienia, Aureliusz zdjął tunikę i napierśnik i pociął myć tors przejeżdżając palcami po pomarszczonej powierzchni blizny, która widniała tuż pod obojczykiem. W pierwszej chwili zadrżał pod dotykiem lodowatej wody, później zaś poczuł przypływ siły i energii, odzyskanej po niespokojnej, niemal bezsennej nocy. Nagle

zamknął oczy i zacisnął zęby w grymasie cierpienia z powodu bolesnego ułucia. Nie blizna wszakże była jego przyczyną, lecz kostnina, która sterczała mu z czaszki w części potylicznej; być może pozostałość po jakimś upadku albo ciosie zadany nie wiadomo kiedy i gdzie. Wraz z upływem czasu ów silny, przewlekły i pulsujący ból dawał o sobie znać coraz częściej i z coraz większą mocą.

— Odjeżdżają! — zawołała Liwia. — Musimy ruszać!

Aureliusz wytarł się nie obejrzawszy się za siebie, po czym włożył tunikę i kirys, przewiesił miecz przez ramię i popędził ścieżką ku Dżubie, który skubał ze spokojem mokrą od rosy trawę. Wskoczywszy na siodło, ruszył galopem, za nim zaś pomknęła Liwia. Kiedy zrównali krok, Aureliusz powiedział:

— Czuję rwanie; to znak, że pogoda się psuje.

— Mój dziad też tak mawiał — uśmiechnęła się Liwia.

— Pamiętam go jak dziś: chudy, wysuszony i prawie bezzębny, ale był weteranem i walczył u boku Eugeniusza w bitwie nad rzeką Frigidus i cudem ocalał. Przed zmianą pogody czuł rwanie tak jak ty, chociaż nie wiedział, skąd pochodzi, bo tyle miał blizn i złamań na całym ciele. Ale nigdy się nie mylił: w ciągu sześciu albo siedmiu godzin zawsze zaczynało padać albo i gorzej.

W dole zaś rozciągała się długa kolumna herulskich i skirskich wojowników, eskortujących wóz z małym cesarzem i jego preceptorem, przedzierając się przez ostatnie skrawki bagien. Na ich widok z moczarów wynurzały się grupki lśniących, ociekających wodą bawołów, które natychmiast się oddalały. Inne, wyciągnięte na drodze i suszące się w porannym słońcu leniwe, obłoczone olbrzymy, wstawały widząc zbliżające się konie, po czym odchodziły ku łące upstrzonej fioletowym ostem i złocistymi kwiatami mlecza. Otwierała się przed nimi najżyźniejsza równina Italii — wraz z żółtymi ścierniskami i brunatnymi skibami ziemi, przeoranej niedawno przez radło. Niewielka świątynia w ruinie oznaczała granicę, za którą zaczynało się terytorium dawnego plemienia Osków, na rozwidleniu trzech dróg zaś stała kapliczka z chrześcijańskim obrazem,

który dawno temu zastąpił wizerunek Hekate Trioditis, a który przedstawiał Marię z dzieciątkiem w ramionach. Posuwali się naprzód aż do wieczora, kiedy to kolumna zatrzymała się w pobliżu strumienia, mężczyźni zaś jęli rozbijać namioty dla dowódców, a dla siebie szykować posłania. Dzieci bawiące się w ostatnich promieniach słońca i wieśniacy, którzy wracali o tej porze z pól niosąc na plecach narzędzia, przystawali z zaciekawieni, by popatrzeć, po czym ruszali w dalszą drogę ku swym wsiom, skąd zaczynały się unosić delikatne smugi dymu. Kiedy zapadł zmierzch, Liwia wskazała światła widoczne nieopodal na równinie.

— To Minturna — powiedziała — ongiś sławna z powodu wina...

Aureliusz skinął głową i niemal automatycznie wyrecytował:

*Vina bibes iterum Tauro diffusa palustris
inter Minturnas...**

Liwia spojrzała na niego zaskoczona, po raz pierwszy bowiem słyszała, żeby żołnierz cytował Horacego zachowując klasyczne metrum i wymowę, to jednak również należało do przeszłości, która oddalała się coraz bardziej.

— Musimy nawiązać kontakt — oznajmił Aureliusz. — Jutro pojedą pewnie na południe do Neapolu albo na południowy wschód do Kapui, ale w którąkolwiek stronę podążą, nie będziemy mogli dłużej ich śledzić chowając się na wzgórzach. Będziemy musieli zejść niżej, a wtedy znajdziemy się na otwartej przestrzeni, potem zaś przedostać się przez wioski i coraz gęstsze zabudowania, gdzie łatwiej będzie nas zauważyć. Obcy nie przechodzą niezauważeni.

* „Spijał będziesz spuszczone w roku Taura wina;
Z Petryna pod Minturna ta kadź mi przysłana.” — Horacy, *Listy*, 5,
przeł. Jan Czubek.

— A cóż to takiego? — wpadła mu w słowo Liwia wskazując światło, które mrugało w kępie wierzb okalających strumień. Aureliusz przyjrzał mu się uważnie i po chwili owo przerywane mruganie przypomniało mu coś, czego nauczył się dawno temu: mógłby przysiąc, że to szyfr używany wyłącznie przez pocztę w służbie cesarza! Przy wnikliwej obserwacji sygnały nabrały treści. Zaskakującej treści: *Hue descende, miles gloriose*, czyli „Zejdź no tu, żołnierzu samochwale”. Pokręcił głową, nie wierząc własnym oczom, po czym zwrócił się do Liwii:

— Oślaniaj mnie i trzymaj konie w pogotowiu na wypadek, gdybyśmy musieli natychmiast dać nogę. Schodzę tam, do tego w dole.

— Zaczekaj... — odrzekła, nie zdążyła wszakże skończyć zdania, Aureliusz już bowiem zniknął w gęstwinie. Przez chwilę słyszała jeszcze szelest trącanych przez niego liści, po czym wszystko ucichło.

Aureliusz tymczasem starał się nie tracić z oczu światła, które wysyłało te tajemnicze sygnały, i po dłuższej chwili zdołał ustalić, że jego źródłem jest lampa w ręku starszego mężczyzny. W blasku pochodni, którą trzymał wysoko, by oświetlić ścieżkę, dojrzał łysinę — nauczyciel! W niewielkiej odległości za nim szedł barbarzyński wojownik. Jeszcze kilka kroków i mógł usłyszeć ich głosy.

— Odsuń się, do licha ciężkiego! Pewne rzeczy człowiek musi zrobić na osobności. Dokąd niby miałbym uciec, ty zwierzaku! Przecież jest ciemno, a poza tym nigdy w życiu nie opuściłbym cesarza.

Barbarzyńca odburknął coś, przystanął jednak oparty o pień wierzy. Preceptor uszedł jeszcze parę kroków, zawiesił lampę na gałęzi, potem zaś opatulił płaszczem krzak nadając mu kształt przykucniętej ludzkiej postaci. Następnie zrobił jeszcze kilka kroków i natychmiast zniknął, jakby wessały go zarośla. Zdezorientowany Aureliusz, który znajdował się bardzo blisko niego, nie wiedział, co począć. Nie mógł zawołać ani wykonać żadnego nieostrożnego ruchu w obawie, że zostanie zauważony przez barbarzyńcę. Ruszył więc tam, gdzie zniknął nauczyciel,

posuwając się w kierunku brzegu rzeki, gdzie roślinność była bardziej gęsta i ciemna. Nagle, o niecały krok od niego, rozległ się cichy głos.

— Ale ruchliwe miejsce.

Aureliusz skoczył jak oparzony przystawiając nauczycielowi miecz do gardła, tamten jednak wcale nie stracił rezonu.

— Spokojnie — powiedział — wszystko w porządku.

— Ale jak...

— I cicho. Mamy akurat tyle czasu, ile trwa jedno sranie.

— Ale na Herkulesa...

— Jestem Ambrozynus, nauczyciel cesarza.

— Zdążyłem się zorientować.

— Nie przerywaj, tylko słuchaj. Pilnują nas ze zdwojoną czujnością, ponieważ zbliżamy się do celu. Teraz wszędzie mi towarzyszą, nawet kiedy idę sobie ulżyć. Jak się domyślam, chyba już wiesz, że wiozą nas na Capri. Ilu was jest?

— Dwoje. Ja i jedna... kobieta, ale...

— Aha, handlarka wodą... Dobrze, niczego nie próbujcie, to by było samobójstwo. Jeśli tamci cię dostaną w swoje łapy, obedną cię żywcem ze skóry. Potrzebujesz kogoś do pomocy.

— Mamy pieniądze; zamierzamy zwerbować paru ludzi.

— Bądźcie ostrożni, najemnicy są gotowi w każdej chwili zmienić pana, musicie znaleźć kogoś zaufanego. Wczoraj w nocy słyszałem, jak oficerowie Wulfili rozmawiali o jakichś rzymskich jeńcach, których wysłano do Misenum, żeby służyli na statkach jako galernicy. Warto przynajmniej rzucić okiem.

— O, tak, na pewno — przyznał Aureliusz. — A nie mógłbyś się dowiedzieć czegoś więcej?

— Robię, co mogę. Tak czy inaczej staraj się być w pobliżu; jeśli mi się uda, zostawię kolejny ślad. Jak widzę, potrafisz odczytać sygnały świetlne... Umiesz się nimi posługiwać?

OSTATNI LEGION

— Oczywiście. Ale skąd wiedziałeś, że tam jestem?

— To łatwe. Widziałem kubek; było jasne, że to znak, więc odpowiedziałem pisząc po dnie czarki. Potem pomyślałem sobie, że jeśli nie jesteś głupcem, będziesz za nami jechał od strony wzgórz i że zauważysz lampę tak samo, jak ja widziałem któregoś dnia wasze ognisko. A teraz żegnaj, muszę iść. Minęło już dość czasu nawet jak na kogoś, kto ma zatwardzenie.

Ambrozynus skinął głową, po czym oddalił się. Chwyciwszy płaszcz i lampę, podszedł do strażnika, który czekał, by odprowadzić go do domu.

Wsparty o drzewo Romulus wpatrywał się w morze niewidzącym wzrokiem.

— Musisz działać, mój chłopcze — powiedział Ambrozynus. — Tak dłużej nie można; twoje życie dopiero się zaczyna i musisz wrócić między żywych.

— Między żywych? A po co? — I zamknął się we własnym świetle.

Nauczyciel westchnął.

— A jednak jest nadzieja...

— Nadzieja na dnie kubka, zgadza się? Innym razem, o ile dobrze pamiętam, była na dnie puszki. Puszki Pandory.

— Twój sarkazm jest nie na miejscu. Człowiek, który próbował cię ratować, jest tutaj i to bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany, żeby cię uwolnić. — Romulus skinął głową bez entuzjazmu, Ambrozynus zaś ciągnął: — Ten człowiek uważa cię za swojego cesarza i musi mieć naprawdę ważny powód, żeby się upierać przy tak beznadziejnym i niebezpiecznym przedsięwzięciu. Zasługuje z twojej strony na wiele więcej niż pogardliwe skinienie głowy.

Romulus zmilczał te słowa, z jego wzroku Ambrozynus pojął jednak, że odniosły skutek.

— Nie chcę, żeby narażał się na niepotrzebne ryzyko. To wszystko. Jak on się nazywa?

— Aureliusz. Jeżeli dobrze pamiętam.

— To dość pospolite imię.

— Racja. Ale on nie jest pospolity. Zachowuje się tak, jakby dowodził całym wojskiem pozostającym pod twoimi rozkazami, tymczasem jest sam jak palec. Dla niego twoje życie i wolność to najcenniejsza rzecz na świecie. Jest ci tak ślepo oddany, że gotów narazić się na śmiertelne niebezpieczeństwo, chociaż rana, którą odniósł, gdy próbował cię uratować, jeszcze nie zdążyła się zabić. Pomyśl o tym, kiedy brak ci odwagi, żeby wziąć swój los we własne ręce, kiedy zachowujesz się tak, jakby twoje życie nie było warte, by je przeżyć. Pomyśl o tym, mały cesarzu.

Odwróciwszy się, ruszył do namiotu, aby przygotować swemu ulubieńcowi wieczerzę, nim jednak wszedł do środka, spoznał na otulone mrokiem i porośnięte lasami wzgórze mrucząc przez zęby.

— Trzymaj się mocno, *miles gloriose*, na wszystkich diabłów i wszystkich bogów, trzymaj się mocno.

— Nazwał mnie *miles gloriosus*, wyobrażasz sobie?

— odezwał się Aureliusz wskazując gestem strome zbocze.

— Jakbym był postacią z jakiejś komedii. Chwilami mam ochotę poderżnąć mu gardło.

— Staremu, jak sądzę. Czy to był on?

— Jasne że tak.

— Czytuje Plauta*, to wszystko. I jak widzę, ty też. Jesteś wykształcony; to rzadkość u żołnierza, szczególnie w tych czasach. Zastanawiałeś się kiedykolwiek dlaczego?

— Mam o czym myśleć — odparł sucho Aureliusz.

— Możesz mnie uświadomić czy też żądam zbyt wiele?

— Powiedział, że jada na Capri. Powiedział mi też coś jeszcze: słyszał mianowicie o jakichś rzymskich więźniach, których wysłano do Misenum, aby służyli na galerach. Gdybym tylko mógł ich odnaleźć...

— To nie takie trudne. Mając trochę pieniędzy można się wiele dowiedzieć. Co teraz zamierzasz?

— Zastanawiałem się po drodze na górę. Przynajmniej mamy pewność, dokąd jada, i nie musimy ryzykować

* „Miles gloriosus” — „Żołnierz samochwał”, komedia Plauta.

posuwając się po otwartej przestrzeni. Wyprzedzimy ich więc — zdecydował — by przygotować się, jak zdołamy najlepiej.

— Przecież ciebie interesuje głównie odnalezienie towarzyszy.

— To leży w interesie wszystkich. Potrzeba mi ludzi, którym można ślepo wierzyć, a w moim oddziale nie było człowieka, który nie zasługiwałby na całkowite zaufanie. Kiedy tylko zbierzemy dość zbrojnych, opracujemy szczegółowy plan działania.

— A jeśli my podążymy naprzód, a oni w tym czasie zmienią kierunek?

— Nie wierzę w to, mimo wszystko jednak musimy zaryzykować. Im dłużej będziemy się trzymać blisko nich, tym większe będzie prawdopodobieństwo niepożądanych spotkań, zwłaszcza na równej, otwartej przestrzeni. Proponuję, żebyśmy zaraz jutro ruszyli w swoją stronę. Możemy wyjechać dopiero wtedy, kiedy się upewnimy, jaki obrali kierunek, i znacznie ich wyprzedzić. Jesteśmy jednak o wiele szybsi.

— Jak chcesz. Może masz rację. Tylko że... nie wiem, jak to powiedzieć: dopóki znajdowaliśmy się w pobliżu, wydawało mi się, że on jest bezpieczny.

— Chroniony. To prawda. Ja też odniosłem takie wrażenie i przykro mi, że muszę odejść, ale myślę, że mimo wszystko jest w dobrych rękach. Ten stary szaleniec z pewnością ogromnie go miłuje i jest bardziej przebiegły niż wszyscy ci barbarzyńcy razem wzięci. A teraz spróbujmy się przespać. Jechaliśmy cały dzień i zjedliśmy raptem po sucharze i kawałku sera.

— Od tej chwili będzie lepiej, ale uprzedzam cię: tutaj jada się głównie ryby.

— Wolę kawałek wołu.

— Jesteś mięsożerny, a zatem pochodzisz z równiny, z jakiegoś gospodarstwa na wsi.

Aureliusz nie odpowiedział. Nie cierpiał tego ciągłego wypytywania o swoją przeszłość. Zdjął koniowi siodło i wędziło, zostawiwszy mu tylko uździenicę, aby

mógł swobodnie skubać trawę, po czym rozłożył na ziemi derkę.

— A ja jem wyłącznie ryby — oświadczyła Liwia.

— Zapomniałem, że jesteś zwierzęciem wodnym — odrzekł Aureliusz kładąc się wygodnie. Liwia wyciągnęła się obok niego i przez chwilę leżeli w milczeniu, spoglądając na gwiazdy, które świeciły na ogromnym firmamencie nocnego nieba.

— Śni ci się czasem coś w nocy? — zapytała niespodziewanie Liwia.

— Najlepsza noc to taka, która mija bez snów.

— Zawsze odpowiadasz cudzymi słowami. To Platon.

— Ktokolwiek to powiedział, całkowicie się z nim zgadzam.

— Nie chce mi się wierzyć, że nigdy nic ci się nie śni.

— Ja nie miewam snów, tylko koszmary.

— I co wtedy widzisz?

— Okropieństwa... krew... krzyki... przede wszystkim ogień, wszędzie ogień, piekło płomieni, a jednocześnie uczucie zimna, jakby serce stało się bryłą lodu. A ty? Masz jakieś marzenia... sama mówiłaś. Miasto pośrodku morza.

— Zgadza się.

— Więc twoja mała Atlantyda istnieje naprawdę.

— Och, to tylko wioska składająca się z chat; żyjemy wyłącznie z rybołówstwa i handlu solą, ale na razie to nam wystarcza. Jesteśmy wolni i nikt nie ośmiela się zapuszczać na nasze wody z powodu zdrażliwych mielizn, ławic piaskowych i bagien, które powstają wskutek przyptywów i odpływów. Można powiedzieć, że linia brzegu zmienia się z dnia na dzień, z godziny na godzinę...

— Mów dalej. Lubię słuchać, jak opowiadasz.

— Osadę założyli moi towarzysze niedoli, uciekinierzy z Akwilei, potem zaś dołączyli do nich inni. Z Gradum, Altinum, Concordii. Przybyliśmy tamtej nocy. Byliśmy wycieńczeni, zrozpaczeni, wyczerpani. Rybacy wiedzieli, że pośrodku laguny jest grupa wysepek oddzielonych szerokim kanałem, jakby kawałkiem rzeki, który zgubił się

OSTATNI LEGION

w morzu. Na największej z wysp znajdowały się ruiny starej willi, w której się schroniliśmy. Mężczyźni zebrali siano i suche gałęzie, robiąc z nich prymitywne posłania. Młodsze kobiety położyły się, by nakarmić piersią swoje dzieci. Wśród tych porośniętych pnączami ruin komuś udało się rozniecić ogień. Nazajutrz cieśle zaczęli ścinać drzewa i budować chaty, rybacy zaś wypłynęli w morze na połów. Tak zrodziła się nasza nowa ojczyzna. Poza jednym Sycylijczykiem i dwoma Umbrami, którzy należeli do administracji cesarskiej, wszyscy byliśmy Wenetami, więc nazwaliśmy ją Wenetią.

— To piękna, miła nazwa — stwierdził Aureliusz.
— Brzmi jak imię kobiety. Ilu was jest?

— Prawie pięćset osób. Rośnie już pierwsze pokolenie urodzone w mieście, pierwsi venetianie. Minęło tyle czasu, że nasza mowa zdążyła nabrać znamiennej akcentu, innego niż akcent ludzi, którzy zostali na stałym lądzie. Czyż to nie cudowne?

— I nikt nie zakłócał wam spokoju?

— Owszem, wiele razy, ale się obroniliśmy. Nasze królestwo to laguna od Altinum aż do Rawenny, nasi ludzie znają tam każdy zakątek, każdą mieliznę, każdą plażę, każdą maleńką wysepkę. To nieuchwytny i niejasny świat: ani ląd, ani woda, ani nawet niebo, zwłaszcza kiedy nisko wiszące chmury zlewają się z grzywiastymi falami, ale wszystkie te trzy rzeczy naraz, często niewidoczne z powodu zimowej bądź letniej mgły, leżące płasko na powierzchni morza. Każdą z wysepek okrywa gęsty płaszcz lasu. Nasze dzieci zasypiają kołysane do snu śpiewem słowików i wołaniem mew.

— Masz dziecko? — zapytał niespodziewanie Aureliusz.

— Nie. Ale wszystkie dzieci są nasze. Dzielimy się tym, co mamy, i wzajemnie sobie pomagamy. Wybieramy naszych wodzów w powszechnym głosowaniu, przywróciliśmy starą konstytucję republikańską naszych przodków, konstytucję Brutusa i Scewoli, Katona i Klaudiusza.

— Mówisz tak, jakby to była prawdziwa ojczyzna.

— Bo jest — odparła Liwia. — I podobnie jak pierwotny Rzym przyciąga zbiegów, uchodźców, prześladowanych i ubogich. Zbudowaliśmy płaskodenne łodzie, które potrafią wszędzie dopłynąć, jak ta, która cię zabrała tamtej nocy, kiedy uciekłeś z Rawenny, ale potrafimy też konstruować własne statki zdolne wypłynąć na otwarte morze. Niemal każdego dnia powstają nowe domy i przyjdzie czas, że Venetia stanie się chlubą tej ziemi i wielkim portowym miastem. Oto mój sen. Może dlatego nigdy nie miałam mężczyzny ani dziecka. A kiedy matka umarła powalona ciężką chorobą, zostałam sama.

— Nie chce mi się wierzyć, że taka... taka piękna dziewczyna nigdy nie miała...

— Mężczyzny? Zdarza się. Może dlatego, że nigdy nie spotkałam tego, który mi chodzi po głowie. Może dlatego, że wszyscy czują się w obowiązku zaopiekować samotną dziewczyną i uważają, iż mają do tego prawo. Musiałam udowodnić, że potrafię sama o siebie zadbać, a to się nie podoba mężczyznom. To ich odstrasza. Z drugiej strony w moim mieście wszyscy muszą być zawsze gotowi do walki, szybciej więc nauczyłam się władać łukiem i mieczem, niż gotować i szyć. Nasze kobiety też walczą, jeśli trzeba. Nauczyły się odróżniać plusk fal od plusku wiosła, a kiedy trzymają straż, potrafią sikać na stojąco, jak mężczyźni...

Aureliusz uśmiechnął się w ciemności na te szorstkie słowa, Liwia zaś ciągnęła:

— Potrzebujemy jednak mężczyzn takich jak ty, żeby zbudować naszą przyszłość. Nie chciałbyś osiąść u nas na stałe, kiedy wykonamy zadanie?

Aureliusz milczał nie wiedząc, co odpowiedzieć na to niespodziewane pytanie, po pewnym czasie wszakże odrzekł:

— Chciałbym móc ci opisać to, co w tej chwili czuję, ale jestem jak ktoś, kto porusza się w ciemności po nieznanym terenie i musi iść powoli, krok za krokiem. Na razie spróbujmy uwolnić chłopca, to będzie i tak sporo.

Musnął jej wargi swoimi.

— A teraz postaraj się zasnąć — powiedział. — Ja będę czuwał pierwszy.

XI

Dotarli w okolice Puteoli dwa dni później, pod wieczór. Dni zrobiły się już o wiele krótsze, słońce zaś zachodziło wcześniej, otoczone aureolą różowawych oparów. Najpiękniejszy region Italii nadal przypominał szczęśliwą krainę — nie widać tu było ani typowych dla Północy oznak straszliwych zniszczeń, ani rozpaczliwej nędzy znamiennej dla obszarów środkowych. Niezwykła urodzajność pól pozwalająca na dwukrotne żniwa w roku sprawiała, że nie tylko jedzenia starczało dla wszystkich, ale na dodatek można je było sprzedawać po wysokich cenach w miejscach, gdzie go brakowało. W ogrodach rosły jeszcze warzywa, a nawet kwiaty, obecność barbarzyńców zaś była mniej widoczna niż na Północy. Ludzie byli tu uprzejmi i serdeczni, dzieci hałaśliwe i nieco męczące, a wszędzie dał się słyszeć silny grecki akcent neapolitańczyków. Liwia zauważyła, że mówiono tu o niej *chillafemina* zamiast *Ula foemina*. W Puteoli kupili trochę żywności na targu, który odbywał się w parzyste dni tygodnia w amfiteatrze. Arenę, niegdyś spływającą krwią gladiatorów, zapełniały teraz stragany, gdzie sprzedawano rzepę i ciecierzycę, dynię i pory, cebulę i fasolę, kapustę, cykorię, a także najrozmaitsze owoce sezonowe, wśród których królowały figi, czerwone, zielone i żółte jabłka oraz granaty o pięknej płomiennoczerwonej barwie. Niektóre z nich, umiejętnie przedzielone na pół, miały w środku ziarenka przypominające rubiny. Prawdziwa uczta dla oka.

— Wygląda na to, że kraj się odradza — stwierdził Aureliusz. — Wszystko tutaj jest zupełnie inne.

— Byłeś tu kiedyś? — zapytała Liwia. — Ja tak. Kilka lat temu razem z ludźmi Antemiusza eskortowaliśmy biskupa Nicei aż do Rzymu.

— Nie — odrzekł Aureliusz. — Nigdy nie dotarłem na południe od Palestriny. Nasz legion zawsze był kierowany na północ: do Noricum, Recji albo Panonii. Tutejszy klimat jest taki łagodny, ziemia pachnąca, a mieszkańcy tacy grzeczni. Zupełnie inny świat.

— Teraz już rozumiesz, dlaczego ludzie, którzy przybywają do tego kraju, nie chcą stąd odjeżdżać?

— Tak — przyznał Aureliusz. — I jeśli mam być szczerzy, to gdybym mógł wybierać, wolałbym osiąść tutaj niż na tych twoich bagnach.

— Lagunie — poprawiła Liwia.

— Laguna czy bagna, niewielka różnica. Jak sądzisz, skąd wyruszą? — niespodziewanie zmienił temat.

— Z portu w Neapolu. Bez wątpienia. Stamtąd jest najkrótsza droga na Capri. Poza tym znajdują się tam magazyny, w których można się zaopatrzyć we wszystko, co potrzebne na dłuższy pobyt.

— W takim razie ruszajmy. Nie mamy zbyt wiele czasu, a ta ziemia jest kusząca. Nawet Hannibal i jego wojownicy pozwolili sobie zgnuśnić z powodu lenistwa i rozkoszy, jakie przynosi życie tutaj.

— Lenistwo Kapui... — przytaknęła Liwia. — Znasz Tytusa Liwiusza i Korneliusza Neposa. Podobnie jak ja otrzymałeś wykształcenie, jakiego plebs nie odbiera. Z drugiej strony jeśli nazwisko, które nosisz, należy do ciebie...

— Należy do mnie! — uciął Aureliusz.

Dotarłszy nazajutrz przed południem do portu w Neapolu, wmieszali się w tłum, który wypełniał targowisko i nabrzeże, aby posłuchać, o czym się tu mówi. Zajadając chleb i pieczoną rybę przy kontuarze ulicznego sprzedawcy, podziwiali piękno zatoki i imponującą sylwetkę Wezuwiusza wraz z wystającym zeń pióropuszem dymu, który pod naporem wiatru skłaniał się na wschód. Pod wieczór ujrzeni nadjeżdżający orszak cesarski; w spokojnej, odświeżonej i barwnej atmosferze portu zbroje, tarcze i hełmy barbarzyńskich wojowników wyglądały jak jakieś monstrualne żelastwo. Dzieciaki wślizgiwały się niemal pod

końskie kopyta, inne zaś podbiegały do żołnierzy usiłując sprzedać im ciastka, prażone ziarno lub rodzyunki. Kiedy Romulus wysiadł z wozu, obstały go gromadnie, oczarowane jego wyglądem, haftowanymi szatami, arystokratycznymi rysami twarzy i jego smutną miną. Ani Aureliusz, ani Liwia nie mogli się oprzeć temu widokowi. Zasłoniwszy twarz, jedno słomianym kapeluszem z szerokim rondem, drugie szalem, ruszyli wzdłuż mola i chroniąc się w cieniu portyku, który idealnie do niego przylegał, zdołali przyrzyć się z bliska małoletniemu cesarzowi w otoczeniu jego młodych poddanych.

— Pobawisz się z nami? — zapytał jeden z malców.

— Tak, chodź, mamy piłkę! — zawołał drugi.

Ktoś podsunął mu jakiś owoc.

— Chcesz jabłko? Jest smaczne, wiesz?

Romulus uśmiechał się lekko zakłopotany, nie wiedząc, co odpowiedzieć, tymczasem Wulfila, zeskoczywszy z konia, przepędził wszystkich ostrym głosem i budzącym grozę wyglądem. Grupa tragarzy kończyła właśnie wyładowywać towary przeznaczone dla rezydencji na Capri, ostatecznego więzienia cesarza Zachodu. Po chwili przybiły do mola dwie łodzie i jęły przyjmować na pokład ludzi i towary. Chłopiec w towarzystwie swego nauczyciela wsiedli ostatni.

Wchodząc na pokład Ambrozynus odchylił skraj szaty odsłaniając kościste kolana, po czym rozejrzał się wokoło, jakby szukał czegoś bądź kogoś. Przez króciutką chwilę jego wzrok napotkał oczy ukrytego w cieniu portyku Aureliusza, osłonięte rondem kapelusza; ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy dał mu znak, że go rozpoznał.

Marynarze jęli się szykować do odpłynięcia: jedni zwijali cumy i wciągali kotwicę, pozostali zaś rozwijali żagle. Liwia i Aureliusz wyłonili się z cienia i podeszli aż do końca mola, wpatrując się długo w postać wyprostowanego na rufie Romulusa, która stawała się coraz mniejsza. Podczas owego pełnego melancholii, mglistego zmierzchu wiatr rozwiewał mu włosy i płaszcz, a może także osuszał łyzy.

— Biedny chłopiec — odezwała się Liwia.

Aureliusz ciągle wpatrywał się w łódź, która była już daleko, i w pewnej chwili wydawało mu się, że Romulus nagle podniósł dłoń jakby w geście pożegnania.

— Może nas zobaczył — powiedział.

— Może — powtórzyła niczym echo dziewczyna. — Ale teraz chodź, pora wracać. Lepiej, żeby nas nikt nie zauważył.

Aureliusz przystanął przed gospodą o nazwie „Parthenope”, jak głosił szyld, nad którym widniała ledwie rozpoznawalna postać, zgodnie z intencjami artysty mająca zapewne przedstawiać syrenę.

— Mieli tylko jedną wolną izbę — oznajmił, gdy wspinali się po schodach. — Będziesz musiała dzielić ją ze mną.

— Sypialiśmy już w gorszych warunkach i o ile sobie przypominam, nigdy się nie skarżyłam — odparła Liwia. Spojrzawszy nań dziwnie, dodała: — A poza tym jesteśmy tylko żołnierzami, więc nic nam nie grozi, jeśli będziemy spać w jednej izbie. Mam rację?

— Masz rację — przytaknął Aureliusz, chociaż wyraz jego twarzy i głos mówiły co innego.

Chwyciwszy lampę oliwną, Liwia weszła do środka. Izba była raczej nieduża i pozbawiona ozdób, ale zupełnie przyzwoita. Całe umeblowanie składało się z dwóch łóżek i ławy ze skrzynią. W kącie stały dzban pełen wody i misa. We wnęce w ścianie znajdował się nocnik z żelazną pokrywą. Na ławie za skrzynią zaś czekała taca, a na niej kawałek chleba, gomółka sera i dwa jabłka. Umyli ręce i zjedli w milczeniu.

Kiedy szykowali się do snu, rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam? — Aureliusz przywarł do ściany tuż za futryną, z dłonią na rękojeści miecza.

Nie było żadnej odpowiedzi. Aureliusz dał znak Liwii, żeby otworzyła, sam zaś zaczął się ściskając w ręku broń. Dziewczyna trzymając w lewej dłoni sztylet, prawą odsunęła powoli rygiel, po czym gwałtownym ruchem otwo-

rzyła drzwi na oścież. Korytarz był pusty i słabo oświetlony wiszącą na ścianie lampką oliwną.

— Spójrz — powiedział Aureliusz wskazując jakiś przedmiot leżący na podłodze. — Ktoś zostawił list.

Na ziemi spoczywał złożony kawałek pergaminu. Liwia podniosła go i rozłożyła. Było na nim zaledwie kilka linijek skreślonych pochyłym pismem i maleńki *sphraghis*, pieczęć wschodniej roboty ze splecionymi trzema literami greckimi.

— To znak Antemiusza—uradowała się Liwia. — Byłam pewna, że nas nie zostawi.

— Co pisze? — zapytał Aureliusz.

— Stefanus zdeponował pieniądze dla nas u bankiera w Puteoli. Będziemy mogli wynająć ludzi, a także przesyłać wiadomości Antemiuszowi przez kurierów przewożących listy kredytowe. To nasz tajny sposób porozumiewania się; powiadam ci, jest świetny, naprawdę niezawodny.

— Muszę poszukać moich towarzyszy, o ile istnieje jakakolwiek nadzieja. Jeżeli chociaż jeden z nich ocalał, chcę go odnaleźć.

— Uspokój się. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, ale prawdopodobieństwo jest znikome.

— Ambrozynus mówił, że rzymscy jeńcy zostaną odwiezieni do Misenum.

— I właśnie tam pojedziemy, ale nic nie jest pewne i nie możesz się spodziewać, że będzie łatwo. Nawet jeśli twoi towarzysze tam są, to niewolnicy, pojmujesz? Niewolnicy. Prawdopodobnie skuci łańcuchami. Z całą pewnością pilnie strzeżeni. Próba ich uwolnienia mogłaby nas narazić na poważne niebezpieczeństwo i uniemożliwić wykonanie ważniejszego zadania.

— Nie ma ważniejszego zadania. Zrozumiałaś mnie dobrze?

— Dałeś mi słowo.

— Ty mnie też.

Liwia pochyliła głowę i zagryzła wargi — nie miała wyjścia. Aureliusz był niewzruszony.

Ruszyli w drogę nazajutrz tuż przed świtem. Zimny północny wiatr rozwiął mgłę; teraz nisko na niebie, niemal dotykając taflę morza, świecił sierp księżyca. Na horyzoncie wyraźnie odcinała się dzika, skalista, okryta gęstym płaszczem roślinności wyspa Capri. Na północy wydobywający się z jamy Wezuwiusza pióropusz dymu coraz bardziej rósł i ciemniał, znacząc niebo długą, czarną niczym smoła smugą.

O wschodzie słońca w pewnym stojącym samotnie poza murami kościółku, kapliczce poświęconej męczennikowi Sebastianowi, spotkali się z bankierem Antemiusza, niejakim Eustacjuszem. Obraz świętego, przywiązanego do pala i przebitego strzałami, poraził Aureliusza niczym grom. Jego okaleczona pamięć zaczęła gorączkowo szukać jakiegoś punktu zaczepienia, wyzwalając w głębi poruszonego umysłu niepokój, siłą wszakże zdołał się opanować, starając się ukryć targające nim emocje.

— Potrzebujemy informacji — powiedziała Liwia udając, że tego nie dostrzega.

— Możecie na mnie liczyć — odrzekł Eustacjusz.

— Zrobię wszystko co w mojej mocy.

— Słyszeliśmy, że grupę rzymskich żołnierzy wziętych do niewoli odprowadzono do Misenum, żeby zrobić z nich galerników.

— Wojskowy port został w większości rozbrojony

— odparł Eustacjusz — nieliczne statki zaś stoją na mieliźnie z powodu napraw. Galerników przesunięto do innych prac.

— Jakich? — zaniepokoił się Aureliusz.

— Część do kopalni siarki lub soli, część będzie walczyła jako gladiatorzy podczas potajemnych widowisk. Ludzie robią zakłady, które mogą przyprawić o zawrót głowy. Wiem coś o tym.

— A żołnierze? — nalegał Aureliusz.

— Jeśli chodzi o żołnierzy, najłatwiej znajdziesz ich tam.

— Gdzie?

— Wewnątrz *piscina mirabilis*.

— Cóż to takiego?

— Stary zbiornik, który dostarczał wody pitnej statkom cesarskiej floty. Wyobraź sobie gigantyczną pięcionawową bazylikę, która znajduje się pod ziemią; imponujące dzieło. Teraz akwedukt zmienił kierunek, a to ogromne podziemie stało się idealną kryjówką dla owych haniebnych widowisk. Mogę was zapewnić, że przychodzi tam niemało chrześcijan, którzy stawiają olbrzymie sumy na najlepszych zawodników. Będzie wam potrzebna przepustka — dodał wręczając im małą wypolerowaną kościaną tabliczkę, na której wyryty był trójząb, pieczęć naczelnego dowódcy floty.

Liwia wzięła pieniądze i tabliczkę, podpisała rewers, skreśliła szyfrem kilka słów do Antoniusza, po czym pożegnała się z zamiarem odejścia.

— Jest coś jeszcze — powiedział bankier. — Jeśli będzie miejsce, zatrzymajcie się w „Gallus Aesculapi”, to tawerna w starym doku. Właśnie tam robi się zakłady... Jeśli ktoś was zapyta: „Masz ochotę na kąpiel w basenie?”, musicie odpowiedzieć: „O niczym innym nie marzę”. To hasło dla stałych bywalców. Co jeszcze... Aha, wiecie, że każdemu, kto organizuje walki gladiatorów, ale i każdemu, kto się im przygląda, grozi kara śmierci, prawda?

— Wiemy — odparł Aureliusz. — To stare prawo Konstancyjna, którego przestrzega ten, kto chce.

— Owszem, ale i tak bądźcie ostrożni. Kiedy trzeba, prawo bywa przestrzegane, a wtedy biada temu, kto znajdzie się w zasięgu topora. Życzę wam szczęścia! — rzekł na koniec Eustacjusz.

Jechali bez ustanku przez cały dzień. Minawszy jeziora Lucrinum i Avernum, po zachodzie słońca dotarli do Misenum. Bez trudu znaleźli „Gallus Aesculapi”, który znajdował się w starym doku Portus Iulius. Olbrzymi sześciokątny dok był częściowo przysypany ziemią, przez wejście do portu zaś mógł wpłynąć najwyżej jeden statek na raz. Znajdowało się tam wszystkiego pięć okrętów wojennych, z których dwa, będące raczej w opłakanym stanie, nosiły ślady długiego zaniedbania. Podlegały one *magister*

classis, którego postrzępiony sztandar kołysał się leniwie na maszcie. Zdolny pomieścić dwieście okrętów wojennych basen, który służył niegdyś jako baza floty cesarskiej, teraz był jedynie mętnym bajorem pełnym gnijących wraków. Liwia i Aureliusz wkroczyli do tawerny po zachodzie słońca i zamówili rosół z kury. Wokół pobrzmiwały piski mew i krzyk matek, które zwoływały na wieczorny posiłek bawiące się w zaułkach dzieci. W gospodzie roiło się już od gości, rumiany łysy oberżysta nalewał białe wino siedzącym przy stołach stałym bywalcom, z których jedni grali w kości, inni zaś w morę*. Z całą pewnością miejsce to stanowiło królestwo gier i hazardu. Tylko gdzie byli ci, którzy przyjmowali zakłady? Rozejrzawszy się wokoło, Liwia dostrzegła pod jednym oknem kilka stolików, przy których rozsiadły się jakieś typy spod ciemnej gwiazdy, łotry o zakazanych, pooranych szramami gębach i ramionach wytatuowanych niczym u barbarzyńców. Trąciła łokciem Aureliusza.

— Zauważyłem ich — odparł. Przywoławszy oberżystę, oznajmił: — Jestem tu nowy, ale podoba mi się to miejsce i chciałbym poznać bliżej tych miłych ludzi. Zanieś tamty panom karafkę najlepszego wina.

Oberżysta skinął głową, po czym spełnił polecenie, co zostało przyjęte z entuzjazmem.

— Hej, przybyszu! Chodź się z nami napić i przyprowadź no ze sobą tę turkaweczkę. Z przyjaciółmi należy się wszystkim dzielić, nieprawdaż?

— Daj mi trochę pieniędzy — szepnął Aureliusz do Liwii. Po czym uśmiechając się półgębkiem podszedł do stolika i powiedział: — Lepiej nie. To nie jest turkaweczka, tylko wilczyca, która potrafi pokąsać.

— Daj spokój — odparł wstając drugi z nich, ciemne indywiduum o gębie obwiesia i zepsutych zębach — chodź poucztować z nami, ślicznotko! — Podszedł do siedzącej

* Mora — gra hazardowa polegająca na szybkim otwieraniu i zamknięciu dłoni i odgadywaniu przez partnera, ile palców było wyprostowanych (przyp. tłum.).

Liwii i położył jej dłoń na ramieniu, usiłując palcami dotknąć piersi, ona zaś z szybkością błyskawicy chwyciła go z całej siły lewą ręką za jądra zamykając je w żelaznym uścisku, prawą zaś wyjęła zza pasa sztylet i przyłożyła mu go do gardła, jednocześnie podrywając się na nogi. Niezłęcznik począł wrzeszczeć, nie mógł się jednak ani ruszyć, jako że nóż niemal przebijał mu skórę, ani wyswobodzić. Liwia ścisnęła jeszcze mocniej, aż mężczyzna zemdłał z bólu i zwałił się na podłogę. Po czym wsunąwszy sztylet z powrotem za pas, usiadła i zabrała się do jedzenia zupy, jakby nic się nie stało.

— Mówiłem, że potrafi ukąsić — powiedział z niewzruszonym spokojem Aureliusz. — Mogę się przysiąc?

Zrobili mu miejsce, osłupiali ze zdumienia. Aureliusz nalał sobie wina, po czym ostentacyjnie położył na stole kilka srebrnych monet.

— Podobno można tu się niezłe obłowić na zakładach, jeśli się wie, na kogo postawić.

— Z tego, co widzę, zamierzasz grać ostro — stwierdził mężczyzna, który zdawał się przywódcą.

— Jeżeli warto.

— W takim razie dobrze trafiłeś, ale żeby wejść, musisz mieć świętego patrona. Rozumiesz, o czym mówię?

Aureliusz wyciągnął tabliczkę z trójzębem i pokazał ją na chwilę, po czym natychmiast schował z powrotem.

— Takiego jak ten?

— O, widać jesteś doskonale obeznany. Lubisz chodzić wcześniej spać?

— Ja? Jestem zatwardziałym nocnym markiem.

— Miałbyś ochotę na kąpiel w basenie około północy?

— O niczym innym nie marzę.

— Ile chcesz postawić?

— To zależy. Jest ktoś, dla kogo warto zaryzykować większą sumę?

Mężczyzna wstał, chwycił go za ramię i odciągnął na bok, jakby chciał mu zdradzić ważną tajemnicę.

— Posłuchaj, jest tu pewien etiopski olbrzym wielki jak wieża, prawdziwy Herkules, który do tej pory rozkładał na

łopatki wszystkich przeciwników. — Aureliuszowi zamarło serce. Miał ochotę krzyknąć: „Batiatus!”, ale siłą się powstrzymał, nie pokazując po sobie ogromnej radości, przepełniającej całą jego duszę. — Wszyscy stawiają na niego bardzo duże sumy. Ale skoro, jak widać, nie masz kłopotów z pieniędzmi, proponuję ci układ. Postaw wszystko, co masz, przeciw czarnemu. Gwarantuję ci, że przegra, a potem podzielimy się tym, co zarobisz. Ale potrzeba mi co najmniej pięciu solidów w złocie, inaczej nie warto sobie zwracać głowy.

Aureliusz wyjął sakiewkę i ważył ją w dłoni.

— Mam nawet więcej, ale nie jestem głupcem. Dlaczego niby ten niedźwiedź miałby przegrać?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze dziś w nocy będzie walczył nie z jednym, ale z trzema przeciwnikami na raz. Po drugie szykują dla niego niespodziankę; sam zobaczysz jaką. Nie znam cię, przyjemniaczku, więc nie mogę ci powiedzieć nic więcej. I tak powiedziałem już za dużo. No to jak z tym zakładem?

— Już mówiłem: nie jestem głupcem. Dam ci pieniądze na miejscu, przed walką.

— Niech będzie — zgodził się mężczyzna. — O północy, kiedy wybije dzwon portowy.

— Przyjdę na pewno. Aha, jeszcze jedno: widzisz ją? — wskazał Liwie. — W porównaniu ze mną to tylko słaby kurczak. Więc żadnych numerów, rozumiemy się? Bo jak nie, to naprawdę urwę ci jaja i każę je zjeść. A teraz podnieś no z podłogi tego wieprza, który się właśnie budzi, zanim ona zmieni zdanie i rozwali mu łeb jak dynię.

Mężczyzna niechętnie spełnił polecenie podchodząc do nieszczęsnego kompana. Aureliusz i Liwia zaś zniknęli wśród wąskich uliczek.

— Batiatus tu jest! — Aureliusz nie posiadał się z radości. — Wyobrażasz sobie? Batiatus!

— Uspokój się, zrozumiałam. A któż to jest ten Batiatus?

— To mój towarzysz z legionu. Był osobistą strażą dowódcy; to etiopski kolos wysoki prawie na sześć stóp

i silny jak byk. Zapewniam cię, że sam jest wart tyle co dziesięciu innych. Jeżeli uda nam się go uwolnić, jestem prawie pewien, że damy radę wykonać zadanie. A skoro on tu jest, to może są i pozostali. O bogowie, aż się boję w to uwierzyć...

— Nie rób sobie zbytnej nadziei. Jak zamierzasz go uwolnić?

Aureliusz zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

— Tym, a niby jak inaczej?

— Aha. I przydałaby ci się pomoc, jak przypuszczam.

— Na pewno by nie zaszkodziła.

— Masz osobliwy sposób proszenia o pewne rzeczy.

— O nic nie proszę. Próbuję ci pomóc w wykonaniu zadania.

— Prawda. No to do roboty; musimy się przygotować i zaopatrzyć we wszystko, co nam będzie potrzebne. Co ci powiedział ten drugi wieprzek?

— Że wszyscy stawiają na czarnego, bo zawsze wygrywa. Zaproponował, abym postawił dużą sumę na to, że tym razem mu się powinie noga, a już on się postara, żeby przegrał.

— Może zamierzają go otruć?

— Wątpię. Jest dla nich zbyt cenny.

— To może odurzyć?

— Niewykluczone.

— Tak czy inaczej nie podoba mi się to wszystko. Musimy się mieć na baczności.

Wrócili do tawerny i zajęli się przygotowaniem.

— Przed wszystkim potrzebne nam konie — stwierdził Aureliusz. — Jeżeli się da, to trzy albo nawet cztery, nigdy nie wiadomo. Sam spróbuję je zdobyć; przy wjeździe do miasta jest stacja drogowa, a moja odznaka wojskowa może się okazać pomocna, ale przydałyby się jeszcze pieniądze.

Kiedy Liwia wyjęła z sakiewki kilka monet, Aureliusz wyszedł. Wrócił o zmroku.

— Wszystko gotowe — powiedział od progu. — Dowódca straży to porządny chłop, urzędnik starej daty,

z tych, co to pojmują w lot nie zadając zbędnych pytań. Dostarczone przez niego konie będą czekały na nas przy brzegu, w pobliżu tłoczni oliwek, na wysokości trzeciego kamienia milowego. Powiedziałem mu, że będą z nami przyjaciele i że musimy wyruszyć jutro przed świtem.

— A co z bronią? — zapytała Liwia.

— Możliwe, że będą nas przeszukiwać, więc lepiej, żebyś ty ją miała przy sobie, ale musisz wyglądać jak kobieta, rozumiesz?

— Rozumiem cię doskonale — odrzekła Liwia, której wcale to nie pochlebiło. — W takim razie wyjdź stąd na trochę, a jak będziesz wracał, to zapukaj.

Kiedy Aureliusz wrócił po rozsądnym, jak mu się wydawało, czasie, zdumiała go metamorfoza, jakiej uległa jego towarzyska podróży. Popatrzył jej w oczy, oczarowany głębią jej spojrzenia spod lekko przyciemnionych rzęs, mając wielką ochotę powiedzieć, że wygląda zachwycająco, lecz w tej samej chwili od strony morza rozległ się wibrujący dźwięk.

— Dzwon portowy — oznajmiła Liwia. — Chodźmy.

XII

Ludzie nadchodzili pojedynczo lub w małych grupach, w ciszy, w całkowitej ciemności, w większości mężczyźni, ale zdarzały się także kobiety, a nawet dzieci. Przy wejściu wszystkich przeszukiwano i jeśli u kogoś znaleziono broń, musiał ją zostawić u strażników. Jedyne światło pochodziło od niewielkiej lampki, służącej do sprawdzania przepustek, podobnych do tej, którą Aureliusz otrzymał w Puteoli od bankiera Eustacjusza.

Aureliusz i Liwia ustawili się w ogonku czekając na swoją kolej. Liwia uczesała starannie włosy i włożyła woal, który dodawał jej kobiecego wdzięku. Nagle przez tłum przeszedł szmer, po czym rozległ się stukot ciężkich

kroków i pobrękiwanie łańcuchów. Wszyscy się rozstąpili, aby przepuścić grupę zawodników, którzy mieli się ze sobą zmierzyć w nocnym pojedynku. Wyróżniał się wśród nich olbrzym, który przewyższał wszystkich więcej niż o głowę — Batiatus! Aureliusz podszedł bliżej, nie zważając, że Liwia usiłuje go powstrzymać, kiedy zaś znalazł się w blasku lampki oliwnej, odsłonił głowę i zawołał:

— Hej, góro czarnego mięsa, postawiłem na ciebie kupę pieniędzy, więc spis się porządnie!

Na dźwięk jego głosu Batiatus odwrócił się gwałtownie i stanął twarzą w twarz ze starym towarzyszem broni. Oczy zalśniły mu z radości w półmroku i niewiele brakowało, by obu zdradziło wzruszenie, Aureliusz jednak błyskawicznie dał mu znak i natychmiast z powrotem się zasłonił. Lanista szarpnął za łańcuch i Batiatus zszedł po schodach wiodących do wnętrza olbrzymiego zbiornika na wodę. Wkrótce Aureliusz spostrzegł także Watenusa, nie mogąc powstrzymać łez. Nieoczekiwanie w tym ciemnym i ponurym miejscu odżył jakiś fragment minionej przeszłości, kompani, których uważał za zmarłych, nagle stanęli przed nim żywi napawając go ogromną radością i zarazem potwornym lękiem. Lękiem, że za chwilę wszystko z powrotem zanurzy się w nicości, lękiem, że zadanie to go przerośnie, że on sam poniesie klęskę, podobnie jak porażką skończyła się próba uwolnienia Romulusa w Rawennie. Wyczuwając, jakie myśli chodzą mu po głowie, Liwia ścisnęła go mocno za ramię, szepcząc mu do ucha:

— Damy sobie radę, jestem pewna. A teraz odwagi, wchodzimy.

Strażnik zamierzał właśnie przeszukać Liwie, Aureliusz jednak wystąpił naprzód.

— Hej, ty, zostaw ją, to moja narzeczona, a nie ta dziwka twoja matka.

Rozdrażniony mężczyzna zmełł w ustach przekleństwo, po czym burknął:

— Za to ty dasz się przeszukać i pokażesz mi grzecznie przepustkę, jeśli nie chcesz, żebym ci wybił z głowy te

głupie dowcipy. — Mówiąc to sięgnął dłonią do wiszącej u pasa maczugi.

Aureliusz pokazał przepustkę i podniósł tece wybuchając śmiechem, podczas gdy tamten go obmacywał.

— Możesz iść — oświadczył strażnik upewniwszy się, że wszystko w porządku. Po czym zabrał się do sprawdzania pozostałych przybyszów, którzy pojawili się w drzwiach.

Tymczasem Aureliusz i Liwia zeszli po długich schodach wiodących na dno zbiornika, gdzie przed ich oczyma odsłonił się niewiarygodny widok. W blasku dziesiątków pochodni ujrzeli olbrzymią *piscina mirabilis*, basen zdolny pomieścić wodę, która zaspokoiłaby potrzeby całego miasta. Był podzielony na pięć naw wspartych na wysokich łukach. Ściany i dno zostały starannie wygładzone, pośrodku pochyłej posadzki znajdował się kanał zamknięty przegradą, którą dawno temu otwierano niekiedy, by wypuścić na zewnątrz muł osadzający się na dnie z upływem czasu. W górze, na ścianie wschodniej tuż pod sufitem, widać było ujęcie wody, niegdyś służące do napełniania zbiornika, teraz zaś zamknięte grodzią. Zaśniedziała długa rura i lekkie kapanie wskazywały, że w akwedukcie znajdowała się jeszcze woda, którą kierowano teraz do innego kolektora. Na przeciwległej ścianie otwierało się stare stawidło, które zasilalo zbiorniki dla floty wodą powierzchniową, czyli najbardziej przezroczystą i najczystsza. Teraz zaś cała ta olbrzymia instalacja, która ongi gasiła pragnienie marynarzy i żołnierzy najpotężniejszej floty świata[^] była jedynie pustą otchłanią, siedliskiem ślepej krwiożerczej przemocy, jarmarkiem najohydniejszych instynktów.

Pod jednym z filarów Aureliusz zauważył kilka cebrów z wodą i rzeźnickich szczotek, które służyły zapewne do zmywania krwi. W głębi zaś, wsparty o południową ścianę, stał drewniany zadaszony barak, będący szatnią dla gladiatorów.

Liwia wręczyła mu miecz i sztylet, zostawiając sobie resztę broni.

— Gdzie mam się ustawić? — zapytała.

OSTATNI LEGION

Aureliusz rozejrzał się dokoła.

— Najlepiej będzie, jak wrócisz do wejścia. Stamtąd zobaczysz wszystko jak na dłoni i umożliwisz mi ucieczkę. Ale pamiętaj, nie spuszczaaj mnie z oka ani na chwilę; jak tylko zobaczysz, że atakuję, wal każdego, kto będzie chciał mi zastąpić drogę. Liczę na ciebie.

— Będę twoim aniołem stróżem.

— A cóż to takiego?

— U nas, chrześcijan, to coś w rodzaju skrzydłatego ducha. Podobno każdy człowiek ma swojego anioła, który go chroni.

— Wszystko jest dobre, co mi osłoni tyłek. O, widzę tamtego człowieka od zakładów. No idź już.

Liwia wbiegła leciutko po długich schodach i przywarła w ciemnościach do ściany w pobliżu niedomkniętych drzwi wejściowych. Wydobywszy spod płaszcza łuk, oparła o podłogę kołczan pełen zaostrzonych strzał. Aureliusz tymczasem podszedł do znajomego z tawerny, który na jego widok zawołał:

— A, nasz tajemniczy przyjaciel z górą pieniędzy! No to jak, postawisz przeciwko czarnemu?

— Dopiero co go widziałem. Jest straszny; prawdziwy Herkules. A co miałoby go ujarzmić?

— To tajemnica, nie mogę ci powiedzieć.

— Ty mi zdradzisz tajemnicę, a ja wyłożę pieniądze. — Mówiąc to potrząsnął sakiewką, którą trzymał w dłoni. Mężczyzna spojrział na nią łakomym wzrokiem.

— Skoro mówię, że to pewniak, to pewniak. Patrz, tyle sam stawiam — oświadczył pokazując stosik złotych solidów.

Wokół rozległy się pokrzykiwania innych mężczyzn przyjmujących zakłady.

— Dalej, ludzie, róbcie zakłady, bo walka zaraz się zacznie! Kto stawia na czarnego Herkulesa?

Podczas gdy gwar i podniecenie przybierały na sile, kilku posługaczy jęło rozstawiać żelazną barierę, która miała odgradzać pole walki. Jednocześnie w głębi sali zajęła pozycję grupa uzbrojonych żołnierzy. Spostrzegłszy ich,

Aureliusz wymownymi gestami dłoni usiłował zwrócić na nich uwagę Liwii. Dziewczyna dała mu znak, że owszem, też ich widziała.

Na odgradzoną arenę weszła pierwsza para zawodników, którzy rozpoczęli pojedynek, zagrzewani coraz gorętszymi okrzykami gęstniejącego tłumu. Gorączka prawie sięgnęła zenitu; było jasne, że pierwsze walki stanowią jedynie preludium do najważniejszego wydarzenia wieczoru: ordaliów nad czarnym Herkulesem! Nie pozostało już zbyt wiele czasu. Tylko jaką tajemnicę miał na myśli tamten człowiek od zakładów? Aureliusz miał ochotę zmusić go do mówienia za wszelką cenę, nawet przykładając mu sztylet do żeber — w takim ścisku nikt nie zwróciłby na to uwagi. Na widok rosnącej na jego stoliku góry monet ogarnęła go panika — musiał być naprawdę pewien, że czarny przegra. Kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę, tamten dał mu znak, jakby chciał zapytać: „No to jak, decydujesz się?”

Aureliusz spostrzegł, że strażnicy są całkowicie pochłonięci toczącym się właśnie pojedyńkiem, który stawał się coraz bardziej zażarty, wkrótce wszakże nastąpił rychły koniec. Ugodzony w ramię zawodnik zachwiał się bowiem, przeciwnik zaś zadał mu ostatni, śmiertelny cios. Opętańczy wrzask rozszalałego tłumu odbił się tysiącem ech od łuków i filarów.

W tej samej jednak chwili słuch Aureliusza, wyćwiczony w rozróżnianiu rozmaitych dźwięków na polu bitwy, wychwycił jakieś zamieszanie — podejrzanе odgłosy dochodziły z lewej, od strony szatni. Przemknął więc pod ścianami, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Wewnątrz czterech mężczyzn knebłowało właśnie związanego Wartenusa, podczas gdy inny gladiator tego samego wzrostu i o podobnej posturze wkładał jego zbroję i hełm.

Ot i cała sztuczka! Zorientowawszy się, że ani Batiatus, ani mężczyzna noszący ów strój nie zadawali sobie wzajemnie śmiertelnych ciosów, postanowili ich ukarać: Batiatus miał zostać zaskoczony i powalony przez wroga w przebraniu przyjaciela, i tym sposobem ci, którzy postawili przeciw niemu, wygraliby mnóstwo pieniędzy. Podzięko-

wawszy w głębi serca bogom za ten wspaniały prezent, zaszył się w kącie i cierpliwie czekał. Po chwili wyprowadzono Batiatusa. Jego umięśnione, lśniące od potu ciało okrywała jedynie opaska wokół bioder. Uzbrojony był w małą okrągłą tarczę i saraceńską zakrzywioną dagę. Na jego widok tłum wznosił gromki okrzyk, tymczasem posługacze wynosili martwego gladiatora. Z tyłu zaś podążał fałszywy Watrenus. Nadszedł właściwy moment. Aureliusz wpadł do szatni niczym burza zaskakując osłupiałych strażników; pierwszemu odrąbał głowę jednym cięciem, drugiemu zaś wbił w pierś sztylet aż po samą gardę. Obaj zwalili się na ziemię nawet nie jęknawszy.

— Watrenusie, to ja! — zawołał rozwiązując przyjaciela i wyjmując mu knebel.

— Na Herkulesa! Skąd się tu wzięłeś? Szybko, Batiatus jest w niebezpieczeństwie.

— Wiem, chodźmy.

Czym prędzej wypadli z szatni, a wówczas spostrzegła ich Liwia, która zdążyła już wpaść w panikę, straciwszy z oczu Aureliusza. Nałożyła strzałę na cięciwę i napięła łuk, gotowa do strzału.

Tymczasem Watrenus i Aureliusz przepchnęli się przez wrzeszczący tłum, by stanąć w pierwszym rzędzie. Batiatus walczył z trzema przeciwnikami, najwyraźniej jednak ciosy, jakie zadawał tym po bokach, odznaczały się o wiele większą siłą niż razy przeznaczone dla tego, który stał na wprost, a którego brał za swego przyjaciela.

Nadeszli dokładnie w chwili, gdy fałszywy Watrenus po serii widowiskowych, acz chybionych uderzeń, typowych dla udawanej walki, nieoczekiwanie zadał dokładnie wymierzony cios w podstawę czaszki. Jednocześnie prawdziwy Watrenus wrzasnął ile sił w płucach:

— Batiatus, uważaj!

Olbrzym zorientował się w okamgnieniu i natychmiast zrobił unik; śmierć go wprawdzie nie dosięgła, został jednak ranny w lewe ramię. Aureliusz zaś przewrócił barierkę i przeszył na wylot jednego z gladiatorów, Watrenus powalił drugiego, natomiast Batiatus, rozpoznawszy przy-

jaciela, który stał u jego boku z zakrytą twarzą, i odzyskawszy równowagę, rzucił się na jego sobowtóra i rozplątał go jednym uderzeniem miecza. Po czym wszyscy trzej zerwali się do ucieczki z obnażoną bronią, torując sobie drogę przez tłum, który nie zdawał sobie jeszcze sprawy, co się stało, i pobiegli ku schodom.

— Tędy! — krzyknął Aureliusz. — Tędy! Prędko, prędko!

Wybuchł straszliwy zamęt. Przerażony tłum rozpierzchnął się z wrzaskiem na wszystkie strony. Strażnicy rzucili się w pościg, a wówczas do akcji wkroczyła czujna Liwia. Dwaj pierwsi zostali trafieni z zabójczą precyzją — jeden w pierś, drugi w czoło. Trzeci — przygwożdżony do podłogi kilka kroków od schodów. Jakimś dwudziestu pozostałym udało się dobiec do podnóża schodów, po czym rzucili się w pościg wrzeszcząc na alarm. Na górze zaś wyjrzał z ganku dozorca, czyhająca wszakże przy ścianie Liwia popchnęła *go do* przodu, aż spadł. Jego krzyk umilkł dopiero po brutalnym zetknięciu z podłogą, sto stóp niżej. Wyjście było tuż-tuż, gdy nagle rygle zasunęły się z trzaskiem zamykając drzwi od zewnątrz. Straże znajdowały się już u szczytów schodów, toteż cała czwórka była zmuszona się odwrócić, by dać im odpór. Batiatus chwycił pierwszego strażnika, jaki mu się nawinął, i rzucił go na pozostałych niczym marionetkę, aż wszyscy stoczyli się na sam dół. Po czym odwrócił się ku drzwiom krzycząc:

— Cofnąć się!

Przyjaciele rozstąpili się, on zaś ruszył do przodu niczym rozjuszony byk. Wyrwane z ościeżnicy drzwi upadły na ziemię, po czym wszyscy czworo wydostali się na zewnątrz. Jeden ze strażników został przygnieciony drzwiami, drugi zaś wziął nogi za pas na widok czarnego diabła, który wyłonił się z chmury pyłu.

— Tędy, za mną, prędko! — zawołała Liwia. Aureliusz wszakże pomknął ku przegrodzie zamykającej dopływ wody.

— Chcieli kąpiele w basenie — krzyknął — to będą ją mieli, na Herkulesa!

— Nie ma czasu! — gorączkowała się Liwia. — Chodźmy! Chodźmy!

Aureliusz jednak już był przy kołowrocie, wkrótce też Batiatus znalazł się u jego boku. Mechanizm nie chciał ruszyć z powodu rdzy, lecz olbrzym odblokował go jednym silnym uderzeniem. Przegroda uniosła się do góry, po czym do środka wpadła z impetem ogromna masa wody. Przez wąskie gardło zAaifaÓających się na górze drzwi jęły się przedostawać rozpaczliwe wrzaski tłumu, przypominające chór potępionych dusz, które jęczą z piekielnych otchłani, obaj przyjaciele jednak popędzili za Liwią i Watrenusem, którzy zbiegali właśnie na dół, do koni.

Nagle rozległ się okrzyk:

— Zaczekajcie! Idziemy z wami!

— Kto to? — zapytał Aureliusz oglądając się za siebie.

— Dwaj towarzysze niedoli — odrzekł zdyszany Batiatus. — Pośpieszcie się! Nie ma ani chwili do stracenia!

Aureliusz i Liwia, wsiadłszy na swe wierzchowce, pognali wraz z pozostałymi na skraj gaju oliwnego, gdzie czekały trzy kolejne konie.

— Nie przewidziałem, że będzie nas tak dużo. Dwójka najłżejszych razem — rozkazał Aureliusz. — Batiatusie, ten jest dla ciebie! — Wskazał masywnego rumaka ciemnej maści z Panonii.

— Ja myślę! — odparł Batiatus wskakując mu na grzbiet. W tej s^mej chwili rozległo się ryczenie trąb na alarm.

— Jazda! — zawołała Liwia. — Jazda stąd! Zaraz nas dopadną!

Pomknęli galopem przez gaj oliwny, aż dotarli do Wykutej w tufie groty, stanowiącej schronienie dla owiec, które pasły się nocą wśród ściernisk. Stamtąd zaś całkowicie niewidoczni przyglądali się, jak wieś zaludnia się jeźdźcami na koniach, wymachującymi zapalonymi pochodniami, które przecinały ciemności we wszystkich kierunkach niczym rozszalałe meteory; wszędzie rozlegały się krzyki, wściekłe rozkazy i nawoływania. Starzy towarzysze broni nie widzieli wszakże nic i nic nie słyszeli.

VALERIO MASSIMO MANFREDI

Oszalali z radości, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście, ściskali się mocno, ze wzruszeniem. Nie widząc się wzajemnie w ciemnościach, rozpoznawali się po zapachu, po łamiącym się z emocji głosie, po twardych jak skała mięśniach, niczym stare psy, które wracają do domu po nocnej eskapadzie. Aurelianus Ambrozjusz Wentidiusz, Rufus Eliaz Watrenus, Korneliusz Batiatus — żołnierze Rzymu, Rzymianie związani rzymską przysięgą.

XIII

Ruszyli natychmiast galopem w kierunku Kurne, sławnej starożytnej kolonii greckiej, która od jakiegoś czasu stała się jedynie skromną osadą rybacką. Liwia zdawała się nieźle orientować w tym terenie, poruszając się z ogromną szybkością i pewnością siebie w ciemnościach nocy. Jako że ucieczka czterech niewolników, zabicie pół tuzina strażników i olbrzymie zamieszanie w *pisana mirabilis* musiały wywołać nieprawdopodobne wrzenie, należało czym prędzej poszukać jakiejś pewnej, bezpiecznej kryjówki. Batiatus odznaczał się tak gigantyczną posturą, że wszędzie wzbudzałby sensację, toteż trzeba było znaleźć sposób, by nie przyciągał uwagi. Tymczasem nie pozostało im nic innego, jak unikać zajazdów, tawern i miejsc publicznych. Liwia znalazła dla nich schronienie w martwej części miasta, w znacznym jej miejscu—w starej pieczarze Sybilli Kumańskiej, ponurym zakątku, o którym powiadano, że jest nawiedzany przez demony. Jeden czarny demon więcej tylko potwierdzi ludowe pogłoski.

Zatrzymali się wewnątrz ruin murowanego pierścienia, po czym Liwia poprowadziła ich do pieczary. Było to coś w rodzaju wykutego w skale sztucznego tunelu w kształcie trapezu. Rozpaliwszy z trudem maleńkie ognisko, zabrała się do zszywania rany Batiatusa, następnie owiązała ją jak mogła najlepiej i dała mu derkę, żeby się okrył. Pozostali zaś starali się umościć sobie jakieś pośłanie w tym niewygod-

nym schronieniu. Aureliusz zebrał stos liści i rzucił część z nich w ognisko, uzyskując niestety więcej dymu niż płomieni, resztę natomiast rozłożył na ziemi, robiąc z nich legowisko. Liwia wyciągnęła z worka cały zapas jedzenia, jaki miała. Prawdę mówiąc było tego niewiele: gomółka sera, trochę oliwek i bochenek chleba, lecz musiało wystarczyć na wieczerzę dla wszystkich wyczerpanych mężczyzn.

— Nie ma tego dużo, akurat tyle żeby oszukać żołądek. Jutro zobaczymy, co nam się uda zdobyć. Teraz lepiej będzie, jeśli położycie się spać. Niedługo zaczną świtać.

— Spać? — powtórzył Batiatus. — Chyba żartujesz, dziewczyno, mamy sobie zbyt wiele do opowiedzenia. Czy masz pojęcie, kim jesteśmy? Ile razem przeszliśmy? Bogowie na niebie, nie mogę w to uwierzyć. A to dopiero: „Hej, góro czarnego mięsa, postawiłem na ciebie kupę pieniędzy, więc spisz się porządnie!” Ja się odwracam, żeby napluć temu sukinsynowi w gębę i kogo widzę? Aurelianusza Ambrozjusza Wentidiusza we własnej osobie. Na Herkulesa, przysięgam, że o mało mnie szlag nie trafił. Pomyślałem sobie wtedy: co on tu robi, ten łotr spod ciemnej gwiazdy, ten kundel? Założę się, że przyszedł uwolnić starego przyjaciela!—Kiedy mówił, drżał mu głos, oczy zaś błyszczały jak u małego chłopca. — Powiedziałem sobie: założę się, że sobie o mnie przypomniał, że zaraz mnie wydostanie z tej ohydnej dziury, ale potem myślę sobie: jakim cudem znalazł mnie w tym ścieku, bo jeśli to sen, chcę się obudzić.

Watrenus rzeczywiście rąbnął go porządnie w głowę.

— Widzisz, że nie śnisz? Wszystko w porządku, czarny człowieku! Udało nam się, udało. Wszystkich zrobiliśmy w konia. Wyobrażacie sobie, ile szanowanych osób, ile pobożnych matron taplających się w wodzie, przyłapanych na oglądaniu zakazanych walk gladiatorów, zastanie urzędnik sądowy, który przyjedzie sprawdzić, co się stało? O, doprawdy chciałbym być żabą, żeby móc to zobaczyć! A wyobrażacie sobie, ilu ludzi będzie jutro chodziło z katarem po mieście i okolicy?

OSTATNI LEGION

Aureliusz roześmiał się wesoło, a cała reszta zawtórowała mu hałaśliwym, gardłowym, chwilami przypominającym łkanie śmiechem, oczyszczającym niczym płacz dziecka, które przez długi czas znajdowało się w szponach lęku.

Liwia przyglądała się im bez słowa. Była zafascynowana owymi przejawami męskiej przyjaźni, w której upatrywała kwintesencji największych zalet człowieka: braterstwa, solidarności, zdolności do poświęcenia się, zapału. W tej chwili nawet typowe dla żołnierzy szorstkie, sprośne słownictwo, do którego nie była przyzwyczajona, wcale jej nie raziło.

I nagle zapadła cisza — cisza nabrzmiała od wspomnień i tęsknoty, od wspólnej pamięci mężczyzn, którzy stawiali czoło tym samym niebezpieczeństwom, którzy przez całe lata cierpieli ten sam ból i to samo zmęczenie, za jedyną pociechę mając przyjaźń, wzajemny szacunek i zaufanie. Cisza wywołana wzruszeniem i pełną niedowierzania radością, że znów są razem wbrew wszelkim przeciwnościom losu. W ich spojrzeniach, wilgotnych oczach i pobrużdżonych twarzach mogła niemal zobaczyć, o czym myślą; ze stwardniałych dłoni, pooranych bliznami ramion, pleców noszących ślady dźwigania ciężkiego oręża mogła wyczytać całą ich historię. Rozmyślali o towarzyszach, których już nie było, których stracili na zawsze, o dowódcy Klaudianusie — rannym, później zaś okrutnie zamordowanym przez rozwścieczonego wroga, na zawsze pozbawionym patrycjuszowskiego honoru spoczywania w rodzinnym grobowcu wraz ze swymi przodkami.

Ową nabrzmiałą od emocji ciszę przerwał Aureliusz, kiedy zdał sobie sprawę, że przyjaciele są urzeczeni wyglądem i zachowaniem Liwii, której nigdy wcześniej nie widzieli. Zapewne zastanawiali się, kto to może być i dlaczego znajduje się wraz z nimi w tym miejscu.

— Ta dziewczyna nazywa się Liwia Priska — powiedział — i pochodzi z małej wioski położonej na lagunie między Rawenną i Altinum. Czy się to komuś podoba czy nie, ona tu dowodzi.

— Chyba żartujesz!—zawołał Watrenus, który otrząsnął się z odrętwienia. — Ty tu dowodzisz, chociaż to ja jestem wyższy rangą.

— Nie, ona uratowała mi życie i ofiarowała cel, coś, o co mogę walczyć. To kobieta, ale jest zupełnie jak mężczyzna... a pod wieloma względami nawet więcej. Jest... jest... krótko mówiąc płaci nam za wykonanie pewnej misji. Ale to ja będę kierował tą misją, zrozumiano?

Batiatus pokręcił w zamyśleniu olbrzymią głową.

— A kim są ci ludzie? — wtrąciła Liwia wskazując dwóch mężczyzn, którzy przyłączyli się do nich podczas ucieczki. — Możemy im zaufać?

— Jesteśmy wam wdzięczni, że zabraliście nas ze sobą — powiedział jeden z nich. — Ocaliliście nam życie. Mam na imię Demetriusz, pochodzę z Grecji, z Heraklei, i jestem jeńcem wojennym. Kiedy pływałem łodzią po Dunaju, w Sirmium porwali mnie Goci, a potem sprzedali Herulom od Odoakra, którzy przysłali mnie tutaj, żebym służył we flocie, skoro jestem marynarzem. Mogę was zapewnić, że świetnie władam mieczem i doskonale rzucam nożem. A to jest mój przyjaciel i współziomek Orozjusz. Brał udział w bitwach niemal na całym świecie i ma skórę twardą jak na byku.

— To dzielni żołnierze — potwierdził Watrenus — i przez cały czas, kiedyśmy byli razem, zawsze byli lojalni. Nie cierpią barbarzyńców tak samo jak my i nie marzą o niczym innym jak o odzyskaniu wolności.

— Macie rodziny? — zapytał Aureliusz.

— Miałem — odrzekł Demetriusz — żonę i dwoje dzieci w wieku czternastu i szesnastu lat, ale od pięciu lat nie mam o nich żadnych wieści. Mieszkali w pewnej wiosce opodal naszego obozu zimowego. Kiedy popłynąłem rzeką na zwiady, Alanowie ułożyli w nocy most pontonowy, niespodziewanie napadli na naszych i wycięli ich w pień. Kiedy wróciłem, lało jak z cebra i zastałem jedynie popiół i zgliszcza tonące w zwałach czarnego błota. Wszędzie tylko trupy i trupy. Choćbym miał dożyć i stu lat, nigdy nie zapomnę tego widoku. Odwracałem po kolei martwe ciała,

pełen strachu, że w którymś z nich rozpoznam ukochaną twarz... — Umilkł, gdyż głos uwiązał mu w gardle.

— Ja miałem żonę i córkę — oznajmił Orojusz.

— Moja żona miała na imię Asteria i była piękna jak sen. Pewnego dnia, kiedy wróciłem na wypoczynek po długiej wyprawie do Mezji, zastałem swoje miasto splądrowane przez Rugiów. Porwali mi żonę i córkę. Po długich poszukiwaniach *wpadłem* na ślad ich plemienia, mój dowódca wysłał do nich tubylców z propozycją okupu, ale dzikusy zażądały nieprawdopodobnie wysokiej sumy, której żadną miarą nie zdołałem zapłacić. Zniknęli wśród niekończących się stepów równie nagle, jak się pojawili... Od tamtej pory nie marzę o niczym innym, jak ruszyć za nimi w pościg. Nocą przed zaśnięciem zastanawiam się, gdzie mogą być, pod jakim niebem... — Zamilkł spuszczając głowę.

Chociaż były to typowe dla owych czasów opowieści, Aureliusz poczuł się wstrząśnięty. Nigdy nie pogodził się z losem, nigdy nie uwierzył w głoszony przez Augustyna z Hippony sen o państwie bożym ani też nigdy nie widział żadnego miasta na niebie wśród chmur; jedynym liczącym się miastem był zbudowany na siedmiu wzgórzach Rzym, otoczony wzniesionym przez Aureliana murem, rozciągnięty wygodnie nad boskim Tybrem, miasto zbezczeszczone, a jednocześnie nieśmiertelne, matka i zarazem córka wszystkich ziem, skarbnica najświętszych wspomnień. Zwracając się do nich zapytał:

— Dokąd chcecie teraz iść?

— Nie mamy dokąd pójść — odrzekł Orojusz.

— Nic nam nie zostało. I nikt — powtórzył niczym echo Demetriusz. — Jeżeli macie przed sobą jakiś cel, proszę, zabierzcie nas ze sobą.

Aureliusz spojrzał pytająco na Liwie, która skinęła głową.

— Wyglądają na dobrych żołnierzy — stwierdziła.

— Poza tym potrzeba nam ludzi.

— Ale nie wiadomo, czy zechcą z nami zostać, kiedy im powiemy, co zamierzamy zrobić.

Słyszając te słowa mężczyźni popatrzyli po sobie.
— Jeśli nam nie powiecie, nigdy się nie dowiecie
— oznajmił w końcu Batiatus.
— Cóż to za tajemnice? Jazda, karty na stół! — zniecierpliwił się Watrenus.
— Nam możecie zaufać. Nasi przyjaciele dobrze o tym wiedzą. W walce zawsze staraliśmy się wzajemnie osłaniać
— nie dawali za wygraną Demetriusz i Orojusz.
Aureliusz znów rzucił szybkie spojrzenie Liwii, która i tym razem skinęła potakująco głową. Wobec tego oświadczył:
— Chcemy uwolnić cesarza Romulusa Augustusa, który jest więziony na Capri.
— Co powiedziałaś? — zapytał z niedowierzaniem Watrenus.
— Wstrętne łajdaki — burknął Batiatus. — Nienawidzę ich.
— W sumie jest ich siedemdziesięciu. Liczyliśmy
— oznajmiła Liwia.
— A nas pięciu — odparł Watrenus spoglądając prosto w oczy każdemu ze swych towarzyszy po kolei.
— Sześcioro — sprostowała z zawziętością Liwia.
Watrenus wzruszył ramionami.
— Nie lekceważ jej — ostrzegł Aureliusz. — W porcie o mało nie urwała jaj gościowi większemu od ciebie, a gdybym się nie wtrącił, zaszlachtowałyby go jak prosię.
— Coś takiego! — zawołał Orojusz mierząc dziewczynę od stóp do głów.
— No to jak? — zapytał Aureliusz. — Pamiętajcie, że jesteście wolni. Możecie pójść swoją drogą i nadal zostaniemy przyjaciółmi. Postawicie mi dzban wina, kiedy wpadniemy na siebie w jakimś lupanarze.
— A jak zamierzasz dokonać tego sam? — zdumiał się Batiatus.
— Rozumiem — westchnął Watrenus. — Wpadliśmy z deszczu pod rynnę, ale zdaje się, że tutaj będzie się przynajmniej można zabawić. A może przypadkiem da się coś zarobić? Ja nie mam ani grosika i...

OSTATNI LEGION

— Tysiąc solidów w złocie na głowę — odrzekła Liwia — po wykonaniu zadania.

— Na wszystkich bogów! — zawołał Watrenus. — Za tysiąc solidów przyprowadzę z piekiel nawet Cerbera!

— No to na co czekamy? — zniecierpliwił się Batiatus. — Zdaje się, że wszyscy się zgadzają, nie?

Aureliusz podniósł dłoń władczy gestem i ponownie zapadła cisza.

— To trudne zadanie — zaczął — najtrudniejsze ze wszystkich, jakich ktokolwiek z nas kiedykolwiek się podejmował: wdrzeć się na wyspę, uwolnić cesarza i przewieźć go przez Italię do pewnego miejsca na wybrzeżu Adriatyku, gdzie będzie czekał statek, który zabierze go do bezpiecznej kryjówki. Właśnie tam otrzymamy zapłatę od Liwii i od ludzi, którzy zobowiązali ją do wykonania tej misji.

— A co potem? — zapytał Watrenus.

— Za dużo chcesz wiedzieć — uciął Aureliusz. — Moim zdaniem wydostanie was z tego piekła to i tak był nie lada wyczyn. Może każdy z nas pójdzie w swoją stronę, może cesarz zabierze nas ze sobą, a może... Ech! Dajmy temu spokój. Padam z nóg i marzę tylko o tym, żeby się przespać. Kiedy nastanie dzień, wszystkim nam się rozjaśni w głowach. Tak czy inaczej najważniejsze to zdobyć łódź, żeby podpłynąć do wyspy i rozejrzeć się w sytuacji, a potem zobaczymy. Kto pierwszy pełni wartę?

— Pierwszy i ostatni, zważywszy na porę. Ja — odrzekł Batiatus. — Nie chce mi się spać, a do tego w nocy właściwie mnie nie widać.

Byli wycieńczeni, osłabieni, wszędzie ich szukano, groziły im okrutne kary, gdyby ich pojmano, lecz znowu panowali nad swym losem i za żadne skarby świata nie pozwoliliby, aby wymknął im się z rąk. Prędzej woleliby umrzeć.

Pierwsze dni spędzone w nowej rezydencji na Capri wydały się Romulusowi niemal przyjemne: kolory wyspy — ciemna zieleń sosnowych lasów, gęstwiny mirtu i pistacji, jaskrawa żółcień żarnowców, srebrzysta szarość dzikich oliwek pod turkusowym niebem — w tym magicznym

i oślepiającym świetle stwarzały wrażenie, że człowiek znalazł się w jakimś zaczarowanym Elizjum. Nocą zaś w blasku księżycy migotały lśniące fale morskie, bieleła się uderzająca o brzeg piana, kłębiąca się wokół skalnych występów, które wznosiły się ponad wodą niczym gigantyczne wieże. Wiatr przywiewał aż do schodów ogromnej willi słonawy zapach przemieszany z tysiącem aromatów tej zachwycającej krainy; właśnie tak Romulus wyobrażał sobie w dziecięcych fantazjach wyspę Kalipso, Ogygię, na której Odyseusz na siedem długich lat zapomniał o surowej, kamienistej Itace.

Wieczorna bryza przynosiła zapach figowca, rozmarynu, dzikiej mięty, a także odległe przytłumione dźwięki: beczenie owiec, nawoływania pasterzy, krzyk ptaków, zataczających szerokie koła na niebie, które o zachodzie słońca przybierało karmazynowa barwę. Żaglowce wracały do portu niczym owieczki do owczarni, nad stłoczonymi w oddali wokół spokojnej zatoczki domami wznosiły się wolno smuzki dymu.

Ambrozynus z miejsca przystąpił do zbierania ziół i minerałów, przy czym strażnicy nigdy nie spuszczały go z oka. Niekiedy towarzyszył mu Romulus, któremu usiłował przekazać swą wiedzę na temat zalet jagód, korzeni czy ziół. W nocy natomiast spędzał długie godziny na obserwacji nieba i ruchów konstelacji, pokazując swemu uczniowi Wielką i Małą Niedźwiedzicę czy Gwiazdę Północy.

— To jest gwiazda mojej ziemi — mawiał — Brytanii, wyspy tak dużej jak cała Italia, porośniętej zielonymi lasami i łąkami, którą przemierzają ogromne stada czerwonych wołów o wielkich czarnych rogach. Latem na jej rozległych przestrzeniach słońce nigdy nie zachodzi, a jego promienie raz oświetlają niebo aż do północy, zimą zaś noc trwa sześć miesięcy.

— Wyspa tak wielka jak Italia — powtarzał Romulus. — Jakże to możliwe?

— Po prostu—odpowiedział Ambrozynus, przypominając o wyprawie morskiej wodza Agrikoli, który za panowania cesarza Trajana opłynął ją całą.

— A oprócz... oprócz tych niekończących się nocy co tam jest, *Ambrosine*?

— Oprócz nocy jest wyspa położona na krańcach świata, Ultima Thule, którą otacza lodowy mur wysoki na dwieście łokci, smagają dzień i noc lodowate wichry, strzegą zaś węże morskie i potwory o kłach ostrych niczym sztylety. Nikt, kto się tam zapuścił, stamtąd nie powrócił z wyjątkiem pewnego greckiego żeglarza z Marsylii o imieniu Pyteasz. To właśnie on opisał bezkresną topiel, która przez długie godziny połyka wody oceanu, po czym wypływa je z potwornym hałasem wraz z wrakami statków i szkieletami marynarzy, popychając je tak długo, aż zaleją tysiące wybrzeży i plaż. — Wówczas Romulus wpatrywał się w niego wzrokiem pełnym zachwytu, zapominając o własnych zgryzotach.

Za dnia przechadzali się po szerokich korytarzach bądź po wiszących nad morzem tarasach. Znalazłszy miejsce w cieniu drzewa, Ambrozynus przysiadł, by przekazywać swe nauki chłopcu, który słuchał go z uwagą. Z upływem czasu wszakże przeznaczona dla nich przestrzeń jęła się coraz bardziej kurczyć, niebo stawało się coraz bardziej odległe i obojętne, wszystko wydawało się przerażająco jednakowe i niezmiennie: lot mew, uzbrojeni strażnicy spacerujący po przedpiersiu niczym opancerzone, niewzruszone maszyny, jaszczurki wygrzewające się w ostatnich promieniach jesiennego słońca i chowające błyskawicznie w szczelinach muru przy najlżejszym odgłosie kroków.

Niekiedy chłopca ogarniał nagły niepokój, dojmujący smutek; wpatrywał się wówczas całymi godzinami nieruchomo w morze, innym znów razem, targany złością i rozpaczą, rzucał w ścianę dziesiątkami, setkami kamieni, pod kpiącym spojrzeniem barbarzyńskich wojowników, dopóki nie padł zmęczony, zdyszany, mokry od potu. Nauczyciel spoglądał nań wtedy z czułością, nie poddawał się wszakże wzruszeniu. Podchodził bliżej, by go podnieść i zbesztać, nakłaniając do zachowania dumy swoich przodków, przypominał o surowości Katona, mądrości Seneki, bohaterstwie Mariusza, niezrównanej wielkości Cezara.

Pewnego dnia, widząc, że owa głupia i niepotrzebna zabawa zmęczyła go i wycieńczyła ponad miarę, że jest upokorzony śmiechem i drwinami swoich dozorców, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

— Nie, cesarze, nie. Oszczędzaj siły na dzień, gdy chwycisz miecz sprawiedliwości.

Romulus potrząsnął głową.

— Po co mam się łudzić? Ten dzień nigdy nie nadejdzie. Widzisz tych ludzi tam, na chodniku straży? Oni też są więźniami; zestarzeją się w nudzie i gnuśności, dopóki nie przyślą innych, którzy ich zastąpią, a potem jeszcze innych, a ja zawsze tu będę, oni będą się zmieniać, podczas gdy ja zostanę zawsze ten sam, jak drzewa, mury, stanę się starcem nigdy nie będąc młodym.

Wtedy z góry sfrunęło powoli pióro jakiegoś ptaka. Romulus chwycił je, zacisnął dłoń, po czym ponownie ją otworzył spoglądając w oczy swemu preceptorowi.

— A może zamierzasz skonstruować dla mnie skrzydła z piór i wosku, jak to zrobił Dedal dla Ikara, żebym poleciał stąd gdzieś daleko?

Ambrozynus pochylił głowę.

— Gdybym tylko mógł, mój chłopcze, gdybym tylko mógł... Ale chyba mogę coś dla ciebie zrobić. Mogę cię nauczyć jednego: nie pozwolić, by oprócz ciała uwięzili ci duszę. — Wzniósł oczy ku niebu. — Popatrz na tę mewę... widzisz ją? Otóż pozwól, żeby twoja dusza poszybowała wraz z nią do góry, odetchnij głęboko... o tak, jeszcze... jeszcze. — Położył mu dłoń na skroniach i zamknął oczy. — A teraz leć, mój synu, zamknij oczy i leć... wzbij się ponad własną niedolę, ponad mury tego zrujnowanego domostwa, ponad skały i lasy, leć ku tarczy słonecznej i skąp się w jej nieskończonym blasku. — Ściszył głos, gdy spod zamkniętych powiek wolno spływały mu łzy. — Leć — powtórzył cicho — nikt nie może uwięzić ludzkiej duszy... — Oddech Romulusa stał się najpierw szybszy, jak u wystraszonego szczeniaka, po czym uspokoił się przybierając powolny, miarowy rytm jak podczas snu.

Innym znów razem, kiedy wszystko zdawało się zbędne, kiedy wszelkie słowa traciły dla chłopca jakikolwiek sens, Ambrozynus siadał w kącie na dziedzińcu i zajmował się spisywaniem własnych wspomnień. Romulus trzymał się na uboczu rysując patykiem jakieś znaki na piasku, po chwili wszakże zaczynał się powoli zbliżać, spoglądał nań spod oka, zastanawiając się, co też tak kaligrafuje tym drobnym, równym pismem.

Pewnego dnia stanął przed nim niespodziewanie i zapytał:

— Co piszesz?

— Wspomnienia. Ty też powinieneś zająć się pisaniem albo przynajmniej czytaniem. To pomaga zapomnieć o zmartwieniach, uwalnia duszę od lęku i codziennej nudy, zbliża nas do innego świata. Zamówiłem trochę ksiąg do twojej biblioteki i otrzymałem je. Dzisiaj przyplyną z Neapolu. Nie tylko z zakresu filozofii i geometrii czy rolnictwa, ale także przepiękne opowieści: „Historia etiopska” Heliodora, „Historia Dafnisa i Chloe”, przygody Herkulesa i Tezeusza, podróże Odyseusza. Zobaczysz. A teraz idę dopilnować, żeby wszystko zostało rozmieszczone jak należy. Potem przygotuję ci wieszery. Nie oddalaj się zbytnio; nie chcę zedrzeć gardła, kiedy będę chciał cię zawołać.

Położywszy księgę na ławie, na której siedział, Ambrozynus starannie zamknął kałamarz i odłożył pióro, po czym udał się do dawnej biblioteki cesarskiej, niegdyś skarbnicy tysięcy ksiąg pochodzących z różnych części Imperium, napisanych po łacinie, w grece, po hebrajsku, po syryjsku, po egipsku i fenicku. Teraz głębokie nisze, w których mieściły się półki, przypominały puste, ślepe oczodoły. Pozostało jedynie równie ślepe popiersie Homera, białe niczym duch w tej ogromnej ciemnej sali.

Romulus okrążył kilkakrotnie obszerny dziedziniec, za każdym zaś razem, gdy mijał pozostawiony przez Ambrozynusa manuskrypt, rzucał nań roztargnione spojrzenie. W pewnej chwili przystanął i przyjrzał mu się dokładnie. Wprawdzie nie uchodzi czytać cudzych zapisków, skoro jednak nauczyciel zostawił go bez opieki, nie zaka-

zawszy też, by do nich zaglądał, może mógłby tylko rzucić okiem. Usiadłszy więc, otworzył tom: na karcie tytułowej widniał krzyż, którego ramiona zdobiły na końcach litery alfa i omega, pod spodem zaś narysowana była gałązka jemioły identyczna z tą srebrną, którą Ambrozynus nosił na szyi.

Wieczór był ciepły. Ostatnie jaskółki krążyły po niebie nawołując się wzajemnie, jakby wcale nie zamierzały porzucić pustych już gniazd i odlecieć do ciepłych krajów. Romulus uśmiechnął się mówiąc cicho:

— Idźcie sobie, jaskółeczki, skoro możecie, odleciecie stąd. Spotkamy się w przyszłym roku w tym samym miejscu, popilnuję wam gniazd.

Po czym przewrócił kartę i zaczął czytać.

XIV

Nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy ostatnie orły rzymskich legionów opuściły Brytanię, by nigdy więcej nie powrócić. Ponieważ cesarz potrzebował wszystkich swoich żołnierzy, moją ojczyznę pozostawiono własnemu losowi. Przez jakiś czas nic się nie działo. Miastami nadał rządzący wielcy mężowie, kierując się zasadami wyznawanymi przez ojców, przestrzegając cesarskich ustaw i utrzymując kontakty z odległym dworem w Rawennie, jednocześnie mając nadzieję, że prędzej czy później orły powrócą. Jednakże pewnego dnia barbarzyńcy z Północy, mieszkający z dala od Wału Hadriana, napadli na nasze ziemie siejąc śmierć, zniszczenie i głód ciągłymi najazdami i rabunkami. Wówczas poprosiliśmy cesarza o pomoc mając nadzieję, że jeszcze o nas nie zapomniał, tylko że on nie mógł nas posłuchać, wschodnim granicom Imperium zagrażały bowiem hordy innych barbarzyńców; z bezkresnych sarmackich równin niczym zjawy z głębin nocy nadeszli dzicy, niezmordowani jeźdźcy o oliwkowej skórze i skośnych oczach i jęli posuwać się naprzód

OSTATNI LEGION

niszcząc wszystko, co stało im na drodze. Nigdy nie odpoczywali, nigdy nie zapadali w sen — wystarczyło im na chwilę przyłożyć głowę do owłosionej szyi wierzchowca — jako pożywienie zaś służyło im mięso zakonserwowane pod siódłem w końskim pocie.

Naczelny wódz wojsk cesarskich, bohater o imieniu Aecjusz, z pomocą innych barbarzyńców przepędził barbarzyńców o skośnych oczach w straszliwej bitwie, która trwała od świtu do zmierzchu, nie mógł wszakże przywrócić nam legionów. Nasi wysłannicy błagali go powołując się na łączące nas od wieków więzy krwi, prawa i religii, aż wreszcie wzruszony postanowił jednak coś dla nas zrobić. Wystąpił człowiek o imieniu Germanus, o którym powiadano, że jest obdarzony mocą czynienia cudów, i powierzył mu znak legionów Brytanii: srebrnego smoka z purpurowym ogonem, który zdawał się nabierać życia wraz z podmuchem wiatru. Nie mógł zrobić więcej, jednakże sam widok owego symbolu wystarczył, by podnieść na duchu upodlonych ludzi i obudzić w nich uszpiętą dumę. Germanus był dzielny i charyzmatycznym przywódcą. Jego gniewny wzrok ciskający błyskawice, głos ostry niczym uderzenie bicia, dłonie zaciśnięte na drzewcu sztandaru i niezachwiana wiara w praworządność i cywilizację dokonały cudu: poprowadził swych żołnierzy do boju okrzykiem „alleluja”. Atak barbarzyńców został odparty, wielu obywatelom zaś nakazano, by strzegli Wału Hadriana, naprawiali zniszczenia, obsadzili opuszczone zamki. Ów ciężki, lecz zwycięski dzień zapisał się w pamięci jako słynna bitwa Alleluja!

Jednakże po latach ludzie powrócili do swych zwykłych zajęć, nielicznym zaś oddziałom źle wyszkolonych obywateli nie pozostało nic innego, jak strzec ziemi z wież Wału. Tymczasem barbarzyńcy pojawili się znowu, zaatakowali zniechęcająco, rozbijając obrońców w pył. Nadziewali ich na swe zakrzywione piki niczym ryby. Po czym zalali Południe i podbili bezbronne miasta, znów rabując, paląc, niszcząc. Budzili strach swoim wyglądem; mieli twarze pomalowane na czarno i na niebiesko, nie oszczędzali ani kobiet, ani starców, ani dzieci.

Do Aecjusza, naczelnego wodza wojsk cesarskich, udało się kolejne poselstwo z prośbą o pomoc, tym razem wszakże również nie mógł zrobić nic innego, jak wystać Germanusa, który kiedyś już zdołał wzniecić w duszach mieszkańców Brytanii siłę, energię i determinację. Germanus dawno już porzucił armię i został biskupem w jednym z miast galijskich, zyskując sławę świętego. Tak czy inaczej, nie zamierzał się wcale uchylać od wykonania zadania, toteż po raz drugi przyплыł na naszą wyspę. Zebrał wojsko, nakłonił mieszkańców miast, by kuli miecze i włócznie, wznowili ćwiczenia, w końcu zaś ruszyli na wroga. Tym razem wszakże bitwa nie skończyła się pomyślnie, jako że sam Germanus został poważnie ranny.

Zaniesiono go do lasu Gleva, położono u stóp stuletniego dębu, zanim jednak wyzionął ducha, kazał dowódcom przysiąc, że nigdy się nie poddadzą, że nadal będą się bronić i że zorganizują stały, zdyscyplinowany oddział na wzór niedawnych rzymskich legionów do pilnowania Wału Hadriana. Jego symbolem zaś miał być smok, który już raz poprowadził ich ku zwycięstwu.

Byłem naocznym świadkiem tych wydarzeń; mimo młodego wieku zostałem bowiem wprowadzony w arkana wiedzy druidów zarówno w dziedzinie medycyny, jak i wróżbiarstwa czy astronomii, podróżowałem po rozmaitych krajach zdobywając mnóstwo pożytecznych wiadomości i umiejętności, toteż wezwano mnie, bym uzdrowił umierającego bohatera. Nie mogłem dlań zrobić nic poza ulżeniem mu w cierpieniu, pamiętam wszakże jego szlachetne słowa i blask w oczach, którego nie zdołał ugasić nawet zbliżający się koniec. Po śmierci Germanusa jego ciało przewieziono do Galii i pochowano w Lutetia dei Parisii, gdzie spoczywa po dziś dzień. A do jego grobu, który jest czczony jako grób świętego, ściągają pielgrzymki zarówno z Galii, jak i z Brytanii.

Ów oddział wybrańców, który sobie wymarzył, rzeczywiście stworzono z najlepszych ludzi, wywodzących się z najstarszych rodów rzymskich i celtyckich zamieszkujących Brytanię, stacjonował zaś w forcie na Wale Hadriana

w pobliżu Mons Badonicus albo jak to się mówi w naszym dialekcie Carvetii, Mount Badon.

Minęło kolejnych parę lat i już się zdawało, że poświęcenie Germanusa naprawdę przyniosło naszym ziemiom trwały pokój, było to jednak złudzenie. Niezwykle surowe zimy, po których następowały upały i susze, zdziesiątkowały hordy barbarzyńców powodując głód i desperację. Uległszy mirazom bogatych miast równinnych, dokonali serii najazdów w wielu punktach Wału Hadriana, wystawiając wytrzymałość obrońców Ha bardzo ciężką próbę. Pracowałem wówczas właśnie w Mount Badon jako lekarz i weterynarz, toteż pewnego dnia wezwał mnie do siebie dowódca, człowiek odznaczający się wielką godnością i licznymi przymiotami, o imieniu Korneliusz Paullinus. Pomagał mu jego adiutant, w języku Caroetii zwany Kustenninem, człowiek, który piastował urząd konsula. Paullinus przemówił do mnie z wyrazem ogromnej troski i przygnębienia na twarzy:

— Nasze wojska wkrótce nie będą mogły dłużej odierać ataków wroga, jeśli ktoś nie przyjdzie nam z pomocą. Jedź natychmiast do Rawenny, do cesarza, razem z dostojnikami, których wybrałem do tej misji. Błagaj go, żeby przysłał nam jakieś oddziały pomocnicze, przypomnij mu wierność naszych miast i ludzi wobec Rzymu, powiedz, że jeśli nie dostarczy nam wojska, oni spalą nasze domy, zgwałcą nasze kobiety, z naszych synów zaś uczynią niewolników. Jeżeli będzie trzeba, siedźcie przed drzwiami do pałacu dzień i noc, nie jedząc i nie pijąc dopóty, dopóki was nie wystucha. Ty masz największe doświadczenie ze wszystkich znanych mi osób, jako jedyny podróżowałeś za morze, do Galii i Iberii. Poza łaciną władasz wieloma językami, znasz tajniki medycyny i alchemii, które pozwolą ci zdobyć szacunek i poważanie.

Wysłuchałem go nie przerywając ni razu, świadom najwyższej powagi sytuacji i ogromnego zaufania, jakim mnie darzył, wgłębi duszy jednak sądziłem, że tego typu wyprawa jest nadzwyczaj ryzykowna i ma nikłe szanse powodzenia. Niebezpieczne drogi, spora część prowincji Cesarstwa opanowana przez wichrzycieli, trudności ze zdobyciem pożywienia dla mnie i dla moich towarzyszy stanowiły w moim mniemaniu

przeszkody dość trudne do pokonania. Nie mówiąc już o ostatniej kwestii: zostać przyjętym przez cesarza i uzyskać żadaną pomoc.

Odpowiedziałem:

— Szlachetny Paullinusie, jestem gotów zrobić to, o co mnie prosisz, a nawet ryzykować własne życie dla ratowania ojczyzny, jeśli zajdzie taka konieczność, ale czy masz pewność, że to najlepsze rozwiązanie? Czy nie roztropniej byłoby zawrzeć układ ze szlachetnym Wortigernem? To dzielny, bardzo silny i odważny wojownik dysponujący licznym, dobrze wyszkolonym wojskiem, które jeśli dobrze pamiętam, walczyło u naszego boku z barbarzyńcami z Północy. Ponadto jego ojciec był Celtem, matka Rzymianką i łączy go pokrewieństwo z większością mieszkańców tej ziemi. Poza tym twój adiutant Konstantynus doskonale go zna.

Paullinus westchnął, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Próbowałem już to zrobić, ale Wortigern zażądał zbyt wysokiej ceny: władzy nad całą Brytanią, rozwiązania zgromadzeń obywateli, zniesienia dawnych urzędów i zamknięcia wszystkich auli senatu. Obawiam się, że lekarstwo okazałoby się gorsze od choroby; w miastach, które już zostały zmuszone do poddania się jego rządowi, panuje potworna tyrania i straszny ucisk. Jeśli będę musiał, zdecyduję się na to, ale tylko wtedy gdy nie będę miał innego wyboru, gdy wykorzystam wszystkie inne możliwości. Poza tym...

Urwał w pół zdania, jakby brakło mu odwagi albo nie chciał mówić dalej, ja jednak odgadłem, co miał na myśli.

— ..poza tym — dokończyłem — jesteś Rzymianinem od stóp aż po cebulki włosów, z dziada pradziada, być może ostatnim z tego rodu, i potrafię cię zrozumieć, nawet jeśli zdają sobie sprawę, że nie można zatrzymać czasu ani cofnąć koła historii.

— Mylisz się — odrzekł Paullinus. — Nie to miałem na myśli, chociaż w głębi serca marzyłem, że pewnego dnia powrócą orły. Myślałem o tym, kiedy przynieśliśmy ci z pola bitwy śmiertelnie ранego Germanusa, do lasu Glewa, abyś go uzdrowił...

OSTATNI LEGION

— *Dobrze pamiętam ten dzień — odpartem. — Nie mogłem zbyt wiele poradzić.*

— *Zrobiłeś wystarczająco dużo — stwierdził Paullinus. — Dajeś mu czas, by otrzymał od kapłana ostatnie namaszczenie i chrześcijańskie rozgrzeszenie i żeby wypowiedział ostatnie słowa.*

— *Które tylko ty słyszałeś. Wyszeptał ci je do ucha, nim wydał ostatnie tchnienie.*

— *A które teraz zamierzam ci wyjawić — ciągnął Paullinus. Przyłożywszy dłoń do czoła, jakby chciał w ten sposób skupić całą siłę swej pamięci i potęgę ducha, wyrecytował:*

Veniet adulescens a mari infero cum spatha
pax et prosperitas cum illo,
aquila et draco iterum volabunt
Britanniae in terra lata.

— *Brzmia jak słowa starej piosenki ludowej — powiedziałem po namyśle. — Młody wojownik, który przybywa zza morza przynosząc pokój i dobrobyt, to bardzo pospolity temat. Lud śpiewa podobne piosenki w czasach głodu, wojny i niedostatku.*

Było jednak oczywiste, że zdaniem Korneliusza Paullinusa kryją one inną treść.

— *Tylko ich pozorny sens — stwierdził. — Słowa te, ostatnie, jakie tuż przed śmiercią wyszły z ust bohatera, muszą mieć inne, głębsze i bardziej ważne znaczenie, istotne dla ocalenia tej ziemi i nas wszystkich. Orzeł symbolizuje Rzym, smok zaś to nasz znak, znak legionu Brytanii. Myślę, że wszystko stanie się dla ciebie jasne, kiedy dotrzesz do Italii i cesarza. Idź, zaklinam cię, i doprowadź swoją misję do końca.*

Jego ostatnie słowa miały taką moc i były tak natchnione, że się zgodziłem, mimo iż ów dziwny wiersz nie wywołał żadnej określonej wizji. Przed senatem Carvetii, który zebrał się pod przewodnictwem Kustennina, złożyłem przysięgę, że wrócę na czele armii, by uwolnić naszą ziemię raz na zawsze

od zagrożenia ze strony barbarzyńców. Wyruszyłem naza- jutrz, nim jednak zszedłem do portu wraz z moimi towarzy- szami, spojrziałem po raz ostatni na fort na Wale Hadriana, na czerwonego smoka, który łopotał na najwyższej wieży, na wyprostowaną postać otuloną płaszczem tego samego koloru, stojącą na tarasie. Z tyłu, za mną, w lekkiej mgłę jesiennego świtu zniknął powoli Korneliusz Paullinus i jego nadzieje.

Mając pomyślny wiatr popłynęliśmy prosto do Galii, gdzie przybiliśmy pod koniec października, później wszakże nasza podróż stała się długa i męcząca, tak jak zresztą przewidywałem. Jeden z moich towarzyszy, wpadłszy do lodowatej rzeki, rozchorował się i umarł, drugi zaś zgubił się w zamieci śnieżnej, kiedy przemierzaliśmy Alpy. Dwaj ostatni z kolei ponieśli śmierć w pułapce zastawionej przez zbójców w lesie Padusa. Ja jeden ocalałem, kiedy zaś dotarłem do Rawenny, na próżno starałem się o audiencję u cesarza — tchórzliwej marionetki w rękach barbarzyńców. Na nic zdały się błagania, a nawet post, który doradził mi Paullinus. W końcu zmęczeni moją obecnością słudzy przegnali mnie kijami z pałacowego atrium.

Wyczerpany długim czekaniem i głodem, poddawszy się rozpacz, odszedłem jak najdalej od tego miasta i tych wyniosłych, nader zuchwałych ludzi, po czym wędrowałem od wioski do wioski prosząc chłopów o gościnę i płacąc za kawałek suchego chleba bądź kubek mleka usługami medyka lub weterynarza, zależnie od potrzeby. I nie ma wątpliwości, że niejednokrotnie o wiele chętniej ratowałem przed wycień- czeniem niewinne zwierzęta niż tępe i okrutne istoty ludzkie.

Gdzie się podziła szlachetna krew łacińska? Po wsiach grasowały bandy rozbójników, wieśniaków zaś nęcano hor- rendalnymi podatkami. Stojące przy dawnych wspinających głównych drogach niegdyś potężne miasta, otoczone wałami obronnymi i wieżami, teraz zamieniły się w zjawy na pół rozwalonych murów, wśród których piął się ciemny bluszcz. Koczujący na progach domów bogaczy wynędziali żebracy podkradali resztki jedzenia psom i bili się między sobą o cuchnące wnętrzności ubijanych zwierząt. Na wzgórzach nie było już winorośli ani srebrnych drzewek oliwnych,

OSTATNI LEGION

o których śniłem, kiedy jako mały chłopiec czytałem w szkole w Caroetii wiersze Horacego czy Wergiliusza, ani białych bawołów o sierpowatych rogach, które ciągnęły plugi, ani też siewcy, którego szeroki gest wieńczył dzieło. Byli za to włochaci zdziczali pasterze, którzy pędzili na jałowe pastwiska stada owiec i kóz albo świnię pod dąbrowę, często wyjadając im żołądźcie.

Co się stało z naszymi nadziejami? Porządek, jeśli tak to można w ogóle nazwać, utrzymywały hordy barbarzyńców, z których w dużej części składało się wojsko cesarskie i które pozostały wierne raczej swym wodzom niż rzymskim urzędnikom. Okradały one lud, zamiast go bronić. Imperium było już tylko marą, fikcją, podobnie jak sam cesarz, ci zaś, którzy niegdyś byli panami świata, znajdowali się pod butem nieokrzesanych, aroganckich najeźdźców. Ileż to razy przysłądałem się ich zwierzęcym twarzom, ich brudnym, ociekającym niewolniczym potem czołom, na próżno szukając w nich szlachetnych rysów Cezara czy Mariusza, majestatycznych linii Katona albo Seneki! Jednakże podobnie jak po burzy przez gęste chmury prześwieca niespodziewanie promyk słońca, tak samo niekiedy, bez wyraźnego powodu, w ich oczach dało się dostrzec nagły błysk dumnego męstwa przodków i właśnie to pozwalało mi myśleć, że może nie wszystko jeszcze stracone.

Wszystkie miasta i wioski opanowała religia Chrystusa, ukrzyżowany Bóg zaś spoglądał na swych wiernych z ołtarzy wykutych w kamieniu bądź marmurze, gdziekolwiek wszakże, ukryte wśród borów, wznosiły się świątynie bóstw antenatów. Przed okaleczonymi posągami czyjeś niewidzialne ręce składały ofiary, niekiedy zaś w leśnej gęstwinie bądź na wierzchołkach gór rozbrzmiewał dźwięk fletów i bębnów, wzywający nieznanymi wiernych, aby przywołali z puszczy driady, a ze strumyków i z jezior — nimfy. W najdzikszych ustroniach, czeluściach grot, wśród pachnących mchów można się było natknąć niespodziewanie na wizerunek Pana pod postacią kozła z kopytami, z ogromnym obscenicznym falusem sterczącym z podbrzusza: dowód na to, że orgie nadal praktykowano.

Kapłani Chrystusa przepowiadali Jego mający wkrótce nastąpić powrót i Sąd Ostateczny, namawiając, by ludzie przestali myśleć o życiu doczesnym i skierowali wzrok i nadzieję ku Królestwu Niebieskiemu. Tym oto sposobem każdego dnia w sercach Rzymian umierała coraz bardziej miłość do Ojczyzny, przygasał kult dla przodków i najświętszych wspomnień, wypartych przez czysto akademickie popisy krasomówcze.

Przez długie lata troszczyłem się wyłącznie o to, by przeżyć kolejny dzień, zapominając o powodach, dla których zapuściłem się aż tak daleko od rodzinnej ziemi, w przeświadczeniu, że tam, u stóp Wału Hadriana, też wszystko popadło w ruinę i zniszczenie, przyjaciele i towarzysze polegli, zgasły nadzieje na odzyskanie wolności i godną egzystencję. Skąd bowiem zresztą miałbym wziąć pieniądze napowrót, skoro to, co zarabiałem, starczało akurat na tyle, by nie umrzeć z głodu? Pozostało mi zatem już tylko jedno pragnienie czy też marzenie: zobaczyć Rzym! Mimo bezlitosnego łupienia, które musiał znosić przez ponad pół wieku z rąk barbarzyńców Alaryka, nadal był jednym z najpiękniejszych miast świata, chronionym raczej przez opiekę papieża niż przez zbezczeszczone mury Aureliana, gdzie nadal zbierał się w dawnej kurii Senat, lecz nie po to, by podejmować decyzje, które niemal całkowicie wymykały się spod jego władzy, tylko po to, by kultywować chlubną tradycję. Pewnego dnia zatem ruszyłem w drogę przebrany za chrześcijańskiego kapłana, prawdopodobnie jedyną istotę, która budziła bojaźń i szacunek wśród rozbójników i rabusiów. Właśnie podczas tej podróży przez Apeniny moje życie nieoczekiwanie uległo zmianie, tak jakby Los nagle sobie o mnie przypomniał, uprzytomnił sobie, że ja nadal żyję i że mogę się jeszcze do czegoś przydać na tej odludnej ziemi pozbawionej wszelkiej nadziei.

Był październikowy wieczór, wkrótce miał zapaść zmierzch, ja zaś przygotowywałem sobie właśnie na noc postanie z suchych liści pod występem skalnym, kiedy nagle usłyszałem coś jakby dobiegającą z głębi lasu skargę. Pomyślałem, że to krzyk jakiegoś nocnego zwierzęcia albo wołanie syczka, które tak bardzo przypomina ludzki jęk, po chwili

jednak zdałem sobie sprawę, że to płacz kobiety. Wstałem więc i poszedłem w kierunku, skąd dobiegał głos, prześlizgując się przez ciemny las, lekki i niewidzialny, tak jak nauczyłem się w świętej puszczy Glewa w czasach młodości. Wtem na polanie ujrzałem obozowisko, którego strzegli żołnierze po części rzymscy, po części barbarzyńscy, wszyscy jednak uzbrojeni i rozstawieni na modłę rzymską. Pośrodku polany płonęło ognisko, w jednym z namiotów zaś paliło się światło. Płacz dobiegał właśnie stamtąd. Podeszedłem bliżej i nikt mnie nie zatrzymywał, albowiem dzięki nabytym niegdyś umiejętnościom druidów potrafiłem stać się niemal niewidzialny, upodabniając się do jednego z wielu nocnych cieni, kiedy zaś przemówiłem, znajdowałem się już wewnątrz namiotu, toteż wszyscy popatrzyli na mnie ze zdumieniem, jakbym nagle się zmaterializował. Miałem przed sobą mężczyznę o imponującej posturze i twarzy okolonej ciemną brodą, która nadawała mu wygląd starodawnego patrycjusza. Zaciśnięte szczęki i wyraz ciemnych, głęboko osadzonych oczu świadczyły o lęku, który ścisnął mu serce. Siedząca obok niego niezwyklej urody kobieta spazmatycznie łkała nad kolebką, w której spoczywało cztero- lub pięcioletnie dziecko sprawiające wrażenie martwego.

— *Kto kazał wezwać kapłana?* — *zapytał mężczyzna spoglądając na mnie z zakłopotaniem. Najwyraźniej w moim skromnym wyglądzie, brudnym i wymiętym odzieniu było coś nędznego, a może nawet godnego pogardy, co upodabniało mnie raczej do żebraka niż sługi bożego.*

— *Nie jestem kapłanem... jeszcze nie* — *odpowiedziałem.*
— *Ale znam się na sztuce medycznej i być może potrafię coś zrobić dla tego dziecka.*

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się we mnie ze łzami w płonących oczach, po czym odrzekł:

— *To dziecko nie żyje. To był nasz jedyny syn.*

— *Nie wierzę* — *odpartem.* — *Czuję jeszcze jego oddech w tym namiocie. Pozwól mi go zbadać.*

Mężczyzna zgodził się z rezygnacją typową dla desperatów, kobieta zaś postąpiła mi spojrzenie przepętnione raczej zdumieniem niż nadzieją.

— Zostawcie mnie z nim samego, a przywrócę go do życia jeszcze przed świtem, jeśli tylko tli się w nim jeszcze jakaś iskierka — oświadczyłem zaskoczony własnymi słowami. Sam bowiem nie wiedziałem, dlaczego nagle na tym pustkowiu poczułem w głębi duszy, że odrodziła się we mnie dawna wiedza Rzymian i odziedziczona po druidach moc, które skupiły się w wyjątkowy sposób wyzwalając niezwykłą energię i spokój. Odniosłem wrażenie, jakbym przez te lata zapomniał o samym sobie i o własnej godności i nagle uświadomił sobie, że jestem w stanie przywrócić kolory tym pobladłym policzkom i światło oczom, które wydawały się zgaszone pod zamkniętymi powiekami. Dostrzegłem wyraźne oznaki otrucia, nie potrafiłem wszakże ocenić, jak głęboko do organizmu wniknęła trucizna. Mężczyzna zawahał się, lecz kobieta go przekonała. Wyprowadziła go z namiotu ciągnąc za ramię i szepcząc mu coś do ucha. Pewnie uznała, że nie mogą już zaszkodzić dziecku bardziej niż choroba, na którą w jej mniemaniu cierpiało.

Otworzyłem worek i sprawdziłem, co mam do swojej dyspozycji. Przez te wszystkie lata nie dopuściłem do wyczerpania zapasu moich medykamentów, w odpowiednim bowiem czasie ciągle zrywałem zioła i zbierałem korzenie, susząc je w specjalny sposób, zagotowałem więc wodę i przyrządziłem silny napar, będący w stanie wywołać reakcję organizmu dziecka, w którym już prawie nie było życia, następnie rozgrzałem kamienie i owinąwszy je w czyste płótno, obłożyłem nimi jego lodowate ciało. Naląłem gorącej, niemal wrzącej wody do bukłaka i przystawiłem go do jego piersi. Przed podaniem odtrutki musiałem rozbudzić w ciele chłopca choć nikłą iskierkę życia. Kiedy jego zsiniałą skórę zrosiły kropelki potu, wsączyłem mu napar do ust i nosa, spodziewając niemal natychmiastową reakcję — ledwie zauważalne poruszenie nozdrzy.

Na zewnątrz świat pogrążony był w ciszy, nawet nie słysząc już było płaczu matki — może ta dumna piękna kobieta pogodziła się z tak ciężką stratą? Wpuściłem jeszcze kilka kropel, dostrzegając niniejszą reakcję, po której nastąpił wyraźny skurcz żołądka. Wówczas mocno nacisnąłem

dłońmi brzuch chłopca, wywołując wymioty — była to zielonkawa i cuchnąca ciecz, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Zakropiłem więc kolejną dawkę środka wymiotnego, który spowodował następne skurcze, następne nudności i jeszcze jeden strumień wymiotów, po nim zaś dalsze skurcze. W końcu chłopiec uspokoił się wyczerpany, ja zaś rozebrałem go, umyłem i przykryłem czystym płótnem. Był mokry od potu, ale teraz już oddychał, jego puls zaś z każdym kolejnym uderzeniem przybierał mozolnie regularny rytm, który dla mnie był silniejszy i bardziej triumfalny od warczenia bębna. Kiedy przyjrzałem się dokładnie zawartości jego żołądka, moje podejrzenia się sprawdziły. Wtedy wyszedłem z namiotu i natknąłem się na rodziców. Siedzieli na stołeczkach przy ognisku, w ich oczach zaś widać było silne podniecenie. Słyszeli wprawdzie wymioty, doskonale wiedząc, że są to niepodważalne oznaki życia, zgodzili się jednak przecież, bym został sam na sam z chłopcem, i nie chcieli złamać danego słowa.

— Będzie żył — oświadczyłem z wystudiowaną cichą afektacją. Po czym natychmiast dodałem: — Ktoś go otruł.

Oboje wpadli czym prędzej do namiotu i zaraz rozległo się łkanie matki, która płacząc ze szczęścia tuliła w ramionach dziecko. Ja zaś odszedłem w głąb obozowiska, ku strażnikom, nie chcąc zakłócać tej wzruszającej chwili intymności, powstrzymał mnie wszakże czyjś energiczny głos. To był on, ojciec chłopca.

— Kim jesteś? — zapytał. Odwróciwszy się, spostrzegłem, że wpatruje się we mnie z uwagą. — Jak dostałeś się do namiotu strzeżonego przez uzbrojonych ludzi? I jak ci się udało przywrócić do życia mojego syna? Może jesteś świętym albo aniołem z nieba? Albo duchem z lasu? Powiedz mi, proszę.

— Jestem tylko człowiekiem, który posiada pewną wiedzę medyczną i przyrodniczą.

— Zawdzięczam ci życie naszego jedyne go syna i nie ma na tej ziemi rzeczy, która mogłaby to wynagrodzić. Ale proś, o co chcesz, a jeśli tylko będzie to możliwe, dostaniesz.

— *Gorący posiłek i chleb na jutrzejszy dzień będą dla mnie wystarczającą zapłatą — odrzekłem. — Największą nagrodą było patrzeć, jak chłopiec oddycha.*

— *Dokąd idziesz? — zapytał.*

— *Do Rzymu. Całe życie marzyłem, żeby zobaczyć Rzym i jego cuda.*

— *My także jedziemy do Rzymu. Zatem proszę, zostań z nami. W ten sposób będziesz podróżował bezpiecznie, a poza tym i ja, i moja żona mamy nadzieję, że zechcesz zostać z nami na zawsze, aby opiekować się naszym synem. Będzie potrzebował nauczyciela, a któż bardziej by się nadawał do tej roli jak nie człowiek o tak rozległej wiedzy i niezwykłych zdolnościach?*

Właśnie to miałem nadzieję usłyszeć, odpartem jednak, że się zastanowię i że dam odpowiedź, kiedy dotrzemy do Rzymu. Tymczasem zrobię wszystko, żeby chłopiec całkiem wyzdrowiał, on wszakże z pewnością chciałby schwycić mordercę, człowieka, który nienawidził go tak bardzo, że był zdolny otruć niewinne dziecko.

Mężczyzna musiał coś sobie nagle uświadomić, gdyż powiedział:

— *To moja sprawa. Winny nie uniknie kary. Ty tymczasem przyjmij moją gościnę i jadło i połóż się spać. Zasłużyłeś na to.*

Oświadczył, że ma na imię Orestes i że jest oficerem w wojsku cesarskim. Podczas rozmowy podeszła do nas jego żona, Flawia Serena, którą ogarnęło tak silne wzruszenie, że chwyciła moją dłoń, aby ją ucałować. Czym prędzej cofnąwszy rękę, skłoniłem się głęboko, by oddać jej cześć. Była najpiękniejszą i najszlachetniejszą istotą, jaką w życiu widziałem. Nawet strach przed utratą syna nie zakłócił harmonii jej arystokratycznych rysów ani nie przyćmił blasku jej bursztynowych oczu. Sprawił tylko, że widać w nich było bezbrzeżne cierpienie. Odznaczała się wprawdzie wyniosłą postawą, jej spojrzenie wszakże było łagodne jak wiosenny zmierzch, nieskazitelnie czyste czoło okalała korona czarnych włosów o fioletowych refleksach, palce miała długie i szczupłe, cerę zaś alabastrowo białą. Aksamitny pas pod-

OSTATNI LEGION

kreślałej piękne biodra okryte szatą z lekkiej wełny, a na szyi nosiła jedynie czarną perłę wiszącą na srebrnym łańcuszku. W całym swoim życiu nie spotkałem istoty o tak czarującej urodzie i od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem, wiedziałem, że pozostaną jej oddany do końca moich dni bez względu na to, co przyniesie nam los.

*Pożegnawszy ją głębokim ukłonem, poprosiłem o pozwole-
nie odejścia — byłem zmęczony i znużony po zwycięskim
pojedyńku ze śmiercią, który pochłonął całą moją energię.
Odprowadzono mnie do namiotu, gdzie natychmiast padłem
na postanie, po czym przeleżałem kilka godzin, jakie zostały
do świtu, w stanie głębokiego odrętwienia, przerywanego
rozdzierającymi wrzaskami jakiegoś człowieka, którego pod-
dawano torturom. Musiał to być osobnik, którego Orestes
podejrzewał o usiłowanie otrucia jego syna. Nazajutrz nie
pytałem o nic, jako że wiedziałem już dość: ojciec chłopca bez
wątpienia posiadał dużą władzę, skoro zrobił sobie tak
zaciekłych wrogów, że nastawiali na życie jego potomka.
Pojechaliśmy dalej, zostawiwszy za sobą rozszarpane zwłoki
przywiązanego do drzewa mężczyzny. Nim nastanie wie-
czór, zwierzęta leśne ogryzą je do samych kości.*

*Tak więc zostałem nauczycielem chłopca i członkiem
rodziny. Spędziłem wiele lat w warunkach godnych poza-
zdroszczenia, mieszkając we wspinałych domach, poznając
wpływowych ludzi, oddając się moim ulubionym studiom
i doświadczeniom przyrodniczym i niemal zupełnie zapom-
niałem o misji, z jaką przybyłem do Italii tak dawno temu.
Orestes często wyjeżdżał na niebezpieczne wyprawy wojenne,
po czym wracał w towarzystwie barbarzyńskich dowódców,
którzy stali na czele wojsk. Rzymskich oficerów, którzy
stanowili najwartościowszą część arystokracji, z każdym
rokiem było coraz mniej. Woleli bowiem należeć do chrześ-
cijańskiego duchowieństwa i być pasterzami dusz zamiast
wojownikami. Tak właśnie stało się ze świętym Ambrozym,
który za panowania cesarza Teodozjusza porzucił błyskot-
liwą karierę wojskową i został biskupem Mediolanu, podobnie
jak z Germanusem, naszym przywódcą z Brytanii, który
w końcu odrzucił miecz i chwycił pastorał.*

Orestes wszakże był człowiekiem innego pokroju; z biegiem czasu dowiedziałem się, że w młodości walczył u boku Huna Attyli, wyróżniając się mądrością i przenikliwością. Nie miałem żadnych wątpliwości, że dąży do władzy.

Darzył mnie ogromnym szacunkiem, nierzadko pytając o radę, moim głównym zadaniem pozostała wszakże edukacja jego syna Romulusa. Powierzył mi niemal wszystkie obowiązki rodzicielskie, sam bowiem był zbyt zajęty wspinaniem się po szczeblach kariery wojskowej. Aż pewnego dnia zdobył tytuł patrycjusza ludu rzymskiego i dowódcy armii cesarskiej. Wówczas to podjął decyzję, która miała zaważyć na losie nas wszystkich, a w pewnym sensie także zapoczątkować nową erę.

W owym czasie panował cesarz Juliusz Nepos, człowiek bojaźliwy i nieudolny, za to pozostający w doskonałych stosunkach z cesarzem Wschodu Zenonem. Orestes postanowił go zdetronizować i przywłaszczyć sobie cesarską purpurę. Wyjawiwszy mi swoje plany, zapytał, co o nich myślę. Odparłem, że to szaleństwo, bo jak mógłby przypuszczać, że czeka go inna przyszłość niż los ostatnich władców, którzy wstępowali jeden po drugim na tron cesarów? I na jakie potworne niebezpieczeństwo narazi swoją rodzinę!

— Tym razem będzie inaczej — zapewnił, nie chciał jednak powiedzieć nic więcej.

— Jak możesz być pewien, że ci barbarzyńcy pozostaną ci wierni? Oni chcą wyłącznie pieniędzy i ziemi. Dopóki będziesz w stanie im je dać, pójdą za tobą, lecz kiedy nie zdołasz zapewnić im więcej bogactw, poszukają kogoś innego, bogatszego, bardziej skorego do spełniania ich żądań i zaspokajania stale rosnącej chciwości.

— Słyszalesz kiedyś o Legionie Nova Invicta? — zapytał.

— Nie. Legiony zostały rozwiązane dawno temu. Dobrze wiesz, mój panie, że w ciągu ostatnich stu lat technika wojskowa bardzo się zmieniła. — Tymczasem pomyślałem o legionie, który Germanus stworzył, nim zginął u stóp Wału Hadriana, który strzegł Mount Badon i prawdopodobnie już przestał istnieć.

OSTATNI LEGION

— *Mylisz się — odparł Orestes. — Nova Inuicta to doborowy oddział, składający się wyłącznie z Italików i mieszkańców prowincji, który powołałem w wielkiej tajemnicy. Od lat trzymam go w pogotowiu pod dowództwem człowieka o nieskazitelnej opinii oraz ogromnych zaletach moralnych i wojskowych. W tej właśnie chwili zbliża się tu w szybkim tempie i wkrótce żołnierze rozbiją obóz nieopodal naszej rezydencji w Emilii. Ale to nie jedyna nowina: otóż nie ja zostanę cesarzem.*

Wpatrywałem się weń osłupiały, podczas gdy w mojej głowie zaczynała kiełkować straszna myśl.

— *W takim razie kto?*

— *Mój syn—oznajmił—mój syn Romulus, który będzie również nosił tytuł Augusta. Przybierze imiona pierwszego króla i pierwszego cesarza Rzymu. Ja zaś będę go chronił jako naczelny wódz armii cesarskiej. Nikt i nic nie zdoła nam zaszkodzić.*

Nic nie odrzekłem, cokolwiek bowiem bym powiedział, i tak nie zdałoby się na nic. Przecież on już postanowił i nic nie mogłoby go odwieść od tej decyzji. Najwyraźniej też nie zdawał sobie sprawy, że naraża na śmiertelne niebezpieczeństwo swojego syna, mojego ucznia, mojego chłopca.

Tamtej nocy późno poszedłem spać i długo leżałem z otwartymi oczami, nie mogąc zasnąć. Zbyt wiele myśli kłębiło mi się w głowie, wśród nich zaś wizja owych mężczyzn, którzy maszerują szybkim krokiem, by bronić małoletniego cesarza. Żołnierzy ostatniego legionu, których przeznaczeniem było poświęcenie własnego życia dla życia ostatniego cesarza...

Na tym opowieść się kończyła, Romulus więc podniósł głowę i zamknął księgę. Znalazł się twarzą w twarz z Ambrozynusem.

— Ciekawa lektura, jak przypuszczam. Wołam cię od długiego czasu, a ty nie raczysz nawet odpowiedzi. Wieczera gotowa.

— Wybacz mi, *Ambr osinę*, ale nie usłyszałem. Pomyślałem sobie, że skoro ją tu zostawiłeś...

— Nie ma tam niczego, czego nie mógłbyś przeczytać. Chodź, idziemy.

Wsunąwszy księgę pod pachę, Romulus podążył za nauczycielem do jadalni.

— *Ambrosine...* — powiedział nagle.

— Tak?

— Co znaczy ta przepowiednia?

— Ta? Cóż, na pewno nie jest to tekst trudny do zrozumienia.

— Nie, z pewnością, ale...

— Znaczy:

*Z południowego morza przybędzie młodzieniec
z mieczem przynosząc pokój i dobrobyt.
Nad rozległą ziemią Brytanii
znów wzbiją się do lotu orzeł i smok.*

To przepowiednia, ceszarze, i podobnie jak wszystkie przepowiednie trudno ją zinterpretować, potrafi jednak przemówić do serc ludzi, których Bóg wybrał do swych tajemniczych celów.

— *Ambrosine...* — powtórzył Romulus.

— Tak?

— Czy... kochałeś moją matkę?

Stary nauczyciel z powagą skinął potakująco łusą głową.

— Tak, kochałem. Miłością pełną pokory i oddania, której nie ośmieliłbym się wyjawić nawet, przed samym sobą, ale dla której w każdej chwili byłem gotów oddać życie. — Podniósł wzrok na chłopca i z oczyma błyszczącymi niczym rozżarzone węgle dodał: — Ten, kto ją zabił, zapłaci za to okrutną śmiercią. Przysięgam.

Ambrozynus zniknął. Od jakiegoś czasu przeczesywał mniej znane części willi, szczególnie stare, nieodwiedzane zakątki, gdzie jego niezaspokojona ciekawość znajdowała pożywkę w postaci mnóstwa rozmaitych przedmiotów, które uważał za niezwykle interesujące: fresków, posągów, dokumentów archiwalnych, materiałów do doświadczeń, narzędzi ciesielskich i stolarskich. Naprawiał stare, nieużywane od niepamiętnych czasów urządzenia, jak choćby młyn czy kuźnia, piec albo latryna z bieżącą wodą.

Barbarzyńcy traktowali go jak ekscentrycznego pomysleńca, na jego widok zaś wybuchali śmiechem i drwili zeń. Wszyscy z wyjątkiem jednego: Wulfili. On bowiem zbyt wyraźnie dostrzegał bystrość jego umysłu, by go lekceważyć. Zostawiał mu swobodę wewnątrz willi, natomiast wychodzić poza mury ogrodu pozwalał tylko pod ścisłym nadzorem.

Sadząc, że tego dnia najwyraźniej zapomniał o lekcji greki, ponieważ pochłonęły go jakieś wyjątkowo interesujące sprawy, Romulus udał się do dolnej części willi. Pilnowało jej niewielu strażników, jako że mur był tam bardzo wysoki i niedostępny, za nim zaś znajdowało się stare urwisko. Zbliżał się koniec listopada; dzień był chłodny, powietrze zaś tak przejrzyste, że w oddali można było zobaczyć ruiny Athenaionu z Surrentum, a w głębi zatoki stożek Wezuwiusza, odcinający się rdzawą czerwienią na tle intensywnego błękitu nieba. Jedynym dźwiękiem, jaki się rozlegał, był odgłos jego kroków na glinianej posadzce oraz szum liści sosen i stuletnich dębów, poruszanych **wiatrem**. Rudzik poderwał się właśnie do lotu lekko trzepocząc skrzydłami, szmaragdowozielona jaszczurka zaś przycupnęła w szczelinie muru—ów mały światek witał go czyniąc **ledwie** dostłyszalny hałas.

W **pomieszczeniach** zajmowanych przez żołnierzy niemal od rana **rozlegał** się jazgot wywołany przyjazdem ladacznic, nie **dając** im zasnąć, chłopiec wszakże wcale nie

czuł zmęczenia, trudno bowiem odczuwać zmęczenie, kiedy się nie ma żadnego zajęcia, żadnych planów, żadnych perspektyw, żadnej przyszłości. W tej chwili nie cierpiał w jakiś szczególny sposób ani też się nie radował, ponieważ nie miał po temu powodów. W zetknięciu z otaczającym światem drżał absurdalnie i niepotrzebnie niczym pajęczyna na wietrze. Jednakże czyste powietrze i spokój przyrody sprawiały mu przyjemność, toteż Romulus nucił pod nosem jakąś piosenkę z dzieciństwa, która nie wiedzieć czemu akurat teraz mu się przypominała.

Doszedł do wniosku, że w końcu zdoła przywyknąć do swojej klatki, człowiek bowiem do wszystkiego potrafi się przyzwyczaić, i że w gruncie rzeczy jego los wcale nie jest gorszy niż los tylu innych ludzi. Czyż tam daleko, na stałym lądzie, nie było bowiem rzezi, wojen, głodu i najazdów? Usiłował nauczyć się nie dostrzegać obecności Wulfili, odsuwać od siebie jego obraz — jedyny element zdolny wydobyć jego duszę z odrętwienia i doprowadzić jego umysł do bolesnych spazmów, wywołując gniew, na który nie mógł sobie pozwolić, strach, który nie miał już uzasadnienia, dręczące poczucie wstydu, które dokuczało mu tym bardziej, że nie umiał się go wyzbyć.

Wtem poczuł na twarzy jakiś dziwny silny powiew, któremu towarzyszył zapach mchu i odgłos kapania. Rozejrzał się dokoła, ale nic nie zobaczył. Zrobiwszy krok do przodu, znów doznał owego wyraźnego wrażenia, po czym do jego uszu doszedł ledwie słyszalny gwizd wiatru. Uprzymnił sobie, że musi pochodzić z dołu, z otworów glinianej kraty, do której spływa deszczówka. Zerknął podejrzliwie na boki, lecz w pobliżu nie było nikogo. Wówczas ze szkolnej torby, którą nosił na ramieniu, wyjął rylec. Po czym ukląkł i zaczął skrobać wokół kraty, z której ciągle dolatywał ów powiew. Kiedy skończył, podważył ją z boku kijem, odsunął i oparł o posadzkę. Rozejrzawszy się ponownie, wsunął głowę w otwór, jego oczom zaś ukazał się zachwycający widok, tym bardziej olśniewający, że oglądał go do góry nogami: we wnętrzościach góry otwierał się obszerny kryptoportyk ozdobiony freskami i groteskami.

Jedna z bocznych ścian się zawaliła tworząc rodzaj pochylni, która opadała ku podłodze. Romulus wśliznął się do otworu, zasunął nad głowę kratę i zszedł na sam dół bez większych trudności. Wówczas ujrzał kolejny urzekający, bajeczny obraz: z wysoka przez ściekową kratę spływał deszcz jasnych promieni rozświetlających długie marmurowy korytarz, po którego obu stronach stały dwa rzędy posągów. Chłopiec ruszył do przodu oniemiały ze zdumienia i zachwytu, mijając mężczyzn w pancerzach ozdobionych historycznymi scenami, o twarzach wyrzeźbionych przez spływające z wysoka drżące światło. Na każdym z piedestałów widniały napisy mówiące o czynach, jakich dokonali, o zaszczytnych tytułach, zwycięstwach, jakie odnieśli nad wrogiem. Przecież to posągi cesarzy rzymskich!

Z każdym krokiem Romulus czuł się coraz bardziej przytłoczony owym ogromnym ciężarem historii, ową wspaniałą spuścizną, która przygniatała jego słabe ramiona. Szedł powoli, czytając inskrypcje, powtarzając półgłosem tytuły i imiona.

— Flawiusz Juliusz Konstancjusz, wskrzesiciel świata, obrońca Imperium...; Lucjusz Septymiusz Sewer, *Parthicus maximus, Germanicus, Parthicus Adiabenicus, pontifex maximus...*; Marek Aureliusz Antoninus, *Pius Felix, semper Augustus, pontifex maximus*, posiadający władzę trybuńską po raz szósty...; Tytus Flawiusz Wespazjan, *Augustus*; Klaudiusz Tyberiusz Druzus Cezar, *Britannicus*; Tyberiusz Neron Cezar, *Germanicus, Pater patriae, pontifex maximus*; August Cezar, syn boskiego Juliusza, *pontifex maximus*, konsul po raz siódmy...

Na owych imponujących posągach — na brwiach, głębokich brzdach na zmarszczonych czołach, w fałdach, na draperiach szat, na orężu i ozdobach — osiadła cienka warstwa kurzu, żaden z nich wszakże nie nosił śladów okaleczeń czy choćby zadrapań. Miejsce to było zapewne rodzajem sanktuarium stworzonego nie wiadomo przez kogo, może przez Juliana, którego chrześcijanie skazali na niesławę nadając mu imię Apostaty, a którego pełna smutku

i melancholii postać otwierała ów długi szereg panów świata.

Drżący z przejęcia, osłupiały Romulus znalazł się tymczasem u stóp północnej ściany kryptoportyku, w którą wmurowana była płyta z zielonego marmuru, ozdobiona pośrodku płaskorzeźbą z pozłacanego brązu przedstawiającą wieniec laurowy. Wewnątrz zaś widniała inskrypcja wykonana wielkimi literami: CAIVS IVLIVS CAESAR.

Pod spodem zaś pochyłe litery tworzyły zagadkowy napis: *quindecim caesus*.

— Raniony piętnaście razy — odczytał Romulus półgłosem. Cóż to mogło oznaczać? Przecież jak wielokrotnie czytał w księgach, Cezar został ugodzony sztyletem dwadzieścia trzy razy, a nie piętnaście... I dlaczego w okolicznościowej inskrypcji, w okazałym epigrafie wyrzeźbionym w brązie i złocie na drogim marmurze, miałyby się pojawić smutne wspomnienie id marcowych, aluzja do mordu dokonanego na największym ze wszystkich Rzymian?

Co w takim razie mogła oznaczać ta liczba? W tej samej chwili przyszedł mu do głowy rozmaite akrostychy i zagadki, które podsuwał mu nauczyciel, by ćwiczyć jego zdolność myślenia i przenikliwość, a także dla zabicia czasu. Romulus przebiegł wzrokiem po literach od lewej do prawej i odwrotnie; musiał istnieć jakiś klucz, inaczej to nie miałyby sensu.

Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk poza monotonnym świergotem wróbli; w owej atmosferze pustki i zawieszenia umysł chłopca przebiegał gorączkowo wszelkie możliwe kombinacje, by znaleźć jakieś rozwiązanie. Zdawał sobie bowiem sprawę, że wkrótce ktoś zauważy jego nieobecność i że w willi rozpęta się prawdziwe piekło, przy czym sam Ambrozynus zostanie narażony na niebezpieczeństwo. Pod wpływem rosnącej paniki jego mózg zaczął pracować na najwyższych obrotach i nagle wszystkie myśli skupiły się na napisie rozbijając go na szereg liczb, które dawały razem piętnaście; była to suma V, V, V: trzech „V” wykonanych z pozłacanego brązu i widniejących w słowach

CAIVS IVLIVS, podczas gdy pozostałe litery nieprzypadkowo napisane zostały kursywą, a więc „u” nie wyglądało jak „v”, jak to ma miejsce w przypadku wielkich liter. Tak, to musiało być rozwiązanie! Drżącą ręką nacisnął kolejno wszystkie trzy „V”, które zagłębiły się bez trudu w płytę, nic wszakże nie nastąpiło. Westchnął tylko zrezygnowany i już miał wrócić tam, skąd przyszedł, kiedy nieoczekiwanie do głowy wpadł mu nowy pomysł: otóż napis głosił *quindecim*, co oznaczało sumę, a nie następowanie po sobie. Cofnął się więc i nacisnął jednocześnie wszystkie trzy litery „V” w słowach CAIVS IVLIVS. Litery natychmiast odskoczyły, po czym rozległ się metaliczny szczęk, hałas obciążnika, zgrzytanie kołowrotu, a znad krawędzi płyty doleciał lekki powiew: ogromny kamień obrócił się wokół własnej osi otwierając się niczym wrota!

Romulus czym prędzej chwycił brzeg płyty, odsunął ją jeszcze trochę i zastawił kamieniem, by się za nim nie zamknęła. Odetchnąwszy głęboko, wszedł do środka.

Ledwie zdążył oswoić się z ciemnością, jego Oczom ukazał się jeszcze bardziej zdumiewający widok: oto stał przed nim wspaniały posąg wyrzeźbiony przy użyciu różnych kawałków polichromicznego marmuru imitujących naturalne kolory, przy posągu zaś znajdowała się prawdziwa, starannie wykonana broń.

Romulus powoli podniósł wzrok, aby przyjrzeć się dokładnie każdemu szczegółowi, począwszy od sandałów zawiązanych wokół muskularnych łydek, poprzez pancerz ozdobiony wizerunkami gorgon i potworów morskich o łuskowatych ogonach, a na surowym obliczu, orlim nosie i groźnym spojrzeniu *dictator perpetuus* skończywszy — to **był Juliuu** Cezar! Dostrzegłszy na powierzchni marmuru **AMjji^Ittlie**, jakby refleksy wywołane niewidocznym **fIKIfMtAHhritia**, uświadomił sobie, że statwę opromienił **bfcjmBfytAakitny blask** pochodzący z marmurowego **ocembrowania ftudni**, którą w pierwszej chwili wziął za ołtarz ofiarny. Przechyliwszy się przez krawędź, Romulus ujrzał na dnie jedynie niebieskawe migotanie, drgające światło. Wrzucił do środka kamień i nadstawił ucha, by

usłyszeć długie wirowanie, a na końcu chlupot. Musiało być naprawdę głęboko.

Po chwili wyprostował się i jął okrażać posąg przyglądając mu się z najwyższą uwagą. Stwierdził, że podtrzymujący pochwę od miecza pas został wykończony z taką dbałością o szczegóły, z jaką nie spotkał się nigdy dotąd w rzeźbiarstwie ani w marmurze, ani w brązie. Wspiąwszy się na kapitel, wyciągnął drżącą dłoń, by najpierw dotknąć, potem zaś ścisnąć rękojeść miecza, jednocześnie starając się uniknąć groźnego spojrzenia dyktatora, który wyglądał, jakby chciał go spiorunować wzrokiem. Pociągnął. Miecz poddał się posłusznie i zaczął się wysuwać z pochwy — nigdy dotąd nie widział takiej klingi: była ostra jak brzytwa, gładka jak szkło, ciemna jak noc. Znajdował się na niej wyryty napis, którego nie potrafił rozszyfrować. Trzymał go mocno obiema dłońmi niemal tuż przy samej twarzy, drżąc jak liść na ten widok: oto miał przed sobą miecz, który ujarzmił Galów i Germanów, Egipcjan i Syryjczyków, Numidów i Iberów. Miecz Juliusza Cezara!

Serce tłuło mu się w piersi jak szalone i znów przypomniał sobie o Ambrozynusie, który zapewne umierał z niepokoju nie mogąc go nigdzie znaleźć, i o Wulfili, który ani chybi wpadł w furję. Pomyślał, że powinien odłożyć miecz na miejsce, jakaś siła potężniejsza od jego własnej woli powstrzymała go jednak. Nie mógł i nie chciał się z nim rozstać.

Zdjął więc płaszcz, owinał nim miecz i opuścił pomieszczenie zasuwając za sobą płytę. Posławszy ostatnie spojrzenie nachmurzonemu dyktatorowi, nim całkowicie stracił go z oczu, szepnął:

— Zatrzymam go tylko na trochę... tylko na trochę, a potem ci oddam.

Wyjrawszy ukradkiem przez otwór, wyczekał chwili, kiedy nikt nie mógł go zobaczyć, a wtedy z trudem wy dostał się z podziemia i schował za rzędem krzewów, po czym przemykając wśród suszącej się na sznurach bielizny wpadł zdyszany do komnaty i czym prędzej wsunął zawiniątko

pod łóżko. Tymczasem w całej willi rozlegały się nawoływania, krzyki i tupot kroków świadczące o tym, że strażnicy biegają w popłochu na wszystkie strony, nie mogąc go znaleźć. Wyszedł więc na zewnątrz, przemaszerował przez stajnię, gdzie celowo wytarzał się w plewach, by wreszcie wyłonić się na dziedzińcu. Na jego widok jeden z barbarzyńców wrzasnął:

— Tutaj jest! Znalazłem go! — Po czym chwycił go brutalnie za rękę i zaprowadził do strażników. Ze środka zaś słychać było krzyki, które Romulus rozpoznał natychmiast ze ściśniętym sercem: Ambrozynus słono zapłacił za chwilowe zniknięcie swego ucznia.

— Zostawcie go! — zawołał wyrwawszy się swemu dozorczy i popędził do willi. — Zostawcie go natychmiast, łajdaki! — Ambrozynus siedział na stołku z rękami związanymi do tyłu, krwawiąc obficie z nosa i ust, z opuchniętym lewym policzkiem. Romulus podbiegł doń i mocno przytulił.

— Przebacz mi, przebacz, *Ambrosine* — powiedział.
— Ja nie chciałem, nie chciałem...

— To nic, mój chłopcze, to nic — powtarzał starzec.
— Najważniejsze, że wróciłeś; martwiłem się o ciebie.

Wulfila chwycił go za ramiona i odepchnął tak gwałtownie, że Romulus upadł na podłogę.

— Gdzieżeś się podziewał?! — ryknął.

— Byłem w stajni i zasnąłem na słomie — odparł chłopiec podrywając się na nogi i odważnie spoglądając mu w twarz.

— Łżesz! — wrzasnął Wulfila, po czym uderzył go na odlew, aż Romulus zatoczył się na ścianę. — Wszędzie sprawdzaliśmy!

Romulus otarł ciekącą mu z nosa krew i podszedł bliżej wykazując odwagę, która wprawiła Ambrozynusa w zdumienie.

— Widocznie źle sprawdzaliście — odrzekł. — Nie widzisz, że moje odzienie jest całe w plewach?

Wulfila podniósł rękę, by zadać kolejny cios, chłopiec jednak spojrział na niego z kamiennym spokojem.

— Jeżeli ośmielisz się jeszcze raz dotknąć mojego nauczyciela — powiedział — zarżnę cię jak wieprza. Przysięgam.

Barbarzyńca wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

— A niby czym? Zjeżdżaj stąd i dziękuj swojemu Bogu, że mam dzisiaj dobry humor. Wynocha, mówię, zabieraj mi się stąd razem z tym starym karaluchem.

Romulus rozwiązał Ambrozynusa i pomógł mu wstać. Dostrzegłszy w oczach ucznia błysk wyniosłości i dumy, którego nigdy przedtem nie widział, nauczyciel był poruszony, jakby zobaczył cud, jakby nagle doznał objawienia. Wśród śmiechów i docinków barbarzyńców Romulus odprowadził go do komnaty, podtrzymując z czułością. Ich euforyczna, niemal szaleńcza radość świadczyła wszakże o tym, że dopiero co najedli się niezłego strachu. Oto bowiem trzynastoletni chłopiec zdołał wymknąć się spod kontroli siedemdziesięciu najlepszych żołnierzy cesarskiego wojska i zniknąć im z oczu na ponad godzinę, wywołując powszechną panikę.

— Gdzieś ty się podziewał? — zapytał Ambrozynus, ledwie znaleźli się sami w komnacie.

Romulus zmoczył gałgan i jął mu ocierać twarz.

— W tajemnym miejscu — odparł.

— Co takiego? W tej willi nie ma żadnych tajemnych miejsc.

— Pod podłogą dolnego dziedzińca jest kryptoportyk, a ja... ja wpadłem do środka — skłamał.

— Nie umiesz kłamać. Powiedz prawdę.

— Wszedłem tam z własnej woli przez kratę ściekową. Poczulem, że dochodzi stamtąd chłodny powiew, odsunąłem więc kratę i zsunąłem się na sam dół.

— I co tam znalazłeś? Mam nadzieję, że coś, co było warte tych wszystkich razów, które przez ciebie dostałem.

— Zanim odpowiem, muszę cię o coś zapytać.

— Słucham.

— Co wiadomo o mieczu Juliusza Cezara?

OSTATNI LEGION

— Prawdę rzekłszy, osobliwe pytanie. Niechże się zastanowie... No więc po śmierci Cezara nastąpił długi okres wojen domowych: z jednej strony byli Oktawian i Marek Antoniusz, z drugiej Brutus i Kasjusz, czyli organizatorzy spisku podczas id marcowych, kiedy to Cezar został zamordowany. Jak zapewne doskonale wiesz, w Filipii, w Grecji, rozegrała się ostateczna bitwa, w której Brutus i Kasjusz ponieśli śmiertelną porażkę. Zostali zatem Oktawian i Marek Antoniusz, którzy przez kilka lat dzielili między siebie władzę nad Imperium Rzymskim: Oktawian rządził Zachodem, Antoniusz zaś Wschodem. Wkrótce jednak stosunki między nimi uległy pogorszeniu, ponieważ Antoniusz odrzucił siostrę Oktawiana, żeby poślubić Kleopatę, czarującą królową Egiptu. Antoniusz i Kleopatra zostali pokonani w wielkiej bitwie morskiej pod Akcjum, po czym uciekli do Egiptu i tam kolejno popełnili samobójstwo. Oktawian stał się więc jedynym panem świata, Senat zaś nadał mu tytuł Augusta. Wówczas kazał zbudować świątynię Marsa Ultora na Forum Romanum, gdzie złożył miecz Juliusza Cezara. Po wielu stuleciach, kiedy Rzymowi zaczęły zagrażać najazdy barbarzyńców, miecz został zabrany ze świątyni i ukryty. Myślę, że zrobił to Walerian, Galienus albo może jakiś inny cesarz. Słyszałem, że Konstantyn zamierzał go zawieźć do Konstantynopola, swojej nowej stolicy. Mówi się również, że w pewnej chwili miecz zastąpiono kopią, ale nikt nie wie, co się stało z oryginałem.

Romulus wpatrywał się w niego tajemniczym i zarazem triumfującym wzrokiem.

— Zaraz sam zobaczysz — powiedział. Podszedł najpierw do okna, potem do drzwi, by sprawdzić, czy nikogo nie ma w pobliżu, następnie zaś schylił się pod łóżko i wyciągnął zawiniątko, które tam wcześniej schował, podczas gdy Ambrozynus przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— Patrz! — zawołał odsłaniając cudowny miecz. Ambrozynus wpatrywał się weń ze zdumieniem, nie mogąc wykrztusić słowa. Romulus położył sobie miecz na otwartych dłoniach, ukazując zachwycającą złotą rękojeść

w kształcie orla z dwoma topazami zamiast oczu. Gładka stal klingi lśniła w półmroku.

— To miecz Juliusza Cezara — oświadczył Romulus. — Spójrz na ten napis: *Cai Iulii Caesaris ensis ca...* — zaczął czytać.

— Wielki Boże — przerwał mu Ambrozynus dotykając klingi drżącymi palcami. — Wielki Boże. Chalibijski miecz Juliusza Cezara! Zawsze myślałem, że zaginął wieki temu. Ale jak go znalazłeś?

— Zawsze był przy jego posągu, w pochwie, w tajemnym miejscu. Któregoś dnia, kiedy znowu będą trochę mniej pilnować, zaprowadzę cię tam i wszystko pokażę. Ale co to za słowa, które przed chwilą powiedziałeś? Co to jest miecz chalibijski?

— To znaczy po prostu „wykuty przez Chalibów”, lud pochodzący z Anatolii, znany z tego, że potrafił uzyskać stal nie do pokonania. Powiadają, że kiedy Cezar wygrał wojnę z Farnacesem, królem Pontu...

— Kiedy powiedział: *Veni, vidi, vici*?

— Właśnie. Otóż powiadają, że wykuł go dla niego pewien mistrz kowalski, któremu darował życie, używając bloku syderytu, czyli żelaza, które spadło z nieba. Znaleziony na lodowcu Araratu meteor włożono w ogień, kuto bez przerwy przez trzy dni i trzy noce, a następnie hartowano we krwi lwa.

— Czy to możliwe?

— Więcej niż możliwe — odrzekł Ambrozynus. — To pewne. Zaraz się przekonamy, czy miecz, który znalazłeś, to najsilniejszy miecz świata. Dalej, ścisnij go w dłoni!

Romulus spełnił polecenie.

— A teraz uderz w ten świecznik z całej siły.

Romulus wymierzył cios, klinga ze świstem zatoczyła łuk w powietrzu, lecz chybiła celu o mały włos. Chłopiec zebrał się w sobie szykując się do następnej próby, Ambrozynus powstrzymał go wszakże gestem dłoni.

— Teraz będzie lepiej — zapewnił Romulus — uważa... — przerwał widząc pełen uniesienia i wzruszenia wzrok nauczyciela.

— Co się stało, *Ambroïne*? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Cios, który nie dosięgnął! świecznika, przeciął na pół utkaną w kącie komnaty pajęczynę, pozostawiając jedynie jej górną część wraz z siedzącym na niej pajakiem. Cięcie było tak precyzyjne i czyste, że aż zapierało dech w piersiach.

Ambrozynus pochylił się z niedowierzaniem nad tym cudem mrużąc:

— Popatrz, mój synu, tylko popatrz... żaden miecz na świecie nie byłby w stanie tego dokonać.

Wpatrywał się jak urzeczony w pajaka, który opuściwszy swoją przepołowioną pułapkę, szybował chwilę w złocistym pyłku wewnątrz promienia słońca, przeświecającego przez szczelinę w okiennicy, po czym zniknął w ciemnościach. Po chwili spojrzął Romulusowi prosto w oczy — widział w nich ten sam blask wyniosłej dumy co wtedy, gdy bez mrugnięcia powieką ujął się za swym nauczycielem stawiając czoło okrutnemu Wulfili... ten sam metaliczny, ostry błysk, który lśnił na ostrzu klingi i skrzących oczach orła. Jego usta wyszeptały stary wiersz niczym modlitwę:

Veniet adulescens a mañ infero cum spatha...

— Co powiedziałeś, *Ambrosinei* — zapytał Romulus owijając z powrotem miecz.

— Nic... nic... — odrzekł nauczyciel. — Tylko to, że jestem szczęśliwy... Szczęśliwy, mój chłopcze.

— Dlaczego? Dlatego że znalazłem ten miecz?

— Dlatego że nadeszła właśnie chwila, by opuścić to miejsce. I nikt nie zdoła nam w tym przeszkodzić.

Romulus nic nie odpowiedział, tylko odłożył miecz i wyszedł zamykając za sobą drzwi. Ambrozynus zaś ukląkł na podłodze ściskając w dłoniach gałązkę jemioty, którą nosił na szyi, i modlił się z całego serca, aby jego słowa stały się rzeczywistością.

XVI

Romulus siedział na drewnianej ławie dłubiąc patykiem w mrowisku. Miniaturowa społeczność, która zdążyła się już przygotować do zimy, wpadła w panikę, mrówki zaś biegały we wszystkich kierunkach usiłując ochronić jaja zniesione przez królową. Przechodzący właśnie tędy Ambrozynus zbliżył się do chłopca.

— Jak miewa się dzisiaj mój mały cesarz?

— Źle. I nie nazywaj mnie tak. Jestem nikim.

— I dlatego właśnie wyładowujesz swoją złość na tych małych niewinnych stworzeniach? Zachowując proporcje wywołałeś u nich katastrofę nie mniejszą niż upadek Troi albo pożar Rzymu za czasów Nerona, wiesz?

Rozdrażniony Romulus wyrzucił patyk.

— Chcę do ojca, chcę do matki. Nie chcę być dłużej sam, w dodatku w więzieniu. Dlaczego spotkał mnie taki okrutny los?

— Wierzysz w Boga?

— Nie wiem.

— Powinieneś. Nikt nie jest bliżej Boga niż cesarz. On jest Jego przedstawicielem na ziemi.

— Nie przypominam sobie cesarza, który panowałby dłużej niż rok po wstąpieniu na tron. Może Bóg powinien wybierać sobie bardziej stałych przedstawicieli na ziemi, nie sądzisz?

— Zrobi tak i wyraźnie naznaczy Swą potęgą wybrańca. A teraz przestań trwonić czas na mrówki i wracaj się uczyć do biblioteki. Dzisiaj masz napisać komentarz do dwóch pierwszych ksiąg „Eneidy”.

Romulus wzruszył ramionami.

— Stare, nikomu niepotrzebne historie.

— Nieprawda. Wergiliusz opowiada dzieje bohatera Eneasza i jego syna Husa, chłopca takiego jak ty, który był przodkiem największego narodu wszech czasów. Mimo że byli to zrozpaczeni uciekinierzy, potrafili się odrodzić

znajdując w sobie dość odwagi i woli, by stworzyć dla siebie i swego narodu nowe życie.

— W mitach wszystko jest możliwe. Ale przeszłość to tylko przeszłość i nigdy nie wraca.

— Doprawdy? W takim razie po co trzymasz pod łóżkiem ten miecz? Czyż nie jest to także relikwiarz starej, nikomu niepotrzebnej historii? — Zerknął na znajdujący się pośrodku dziedzińca zegar słoneczny, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. Odwróciwszy się bez słowa na pięcie, przemaszerował przez dziedziniec i zniknął w cieniu portyku. Po chwili wdrapał się po schodach na mur od strony morza, po czym stał tam wyprostowany, bez ruchu, podczas gdy wiatr rozwiewał mu długie siwe włosy.

Chłopiec wstał i ruszył do biblioteki, nim jednak wszedł do środka, rzucił ostatnie spojrzenie na Ambrozyńskiego, który zdawał się pochłonięty jedną ze swych zwykłych obserwacji. Patrząc wprost przed siebie zapisywał coś piórem w swej nieodłącznej pergaminowej zszywce. Może zastanawiał się nad ruchem fal albo nad wędrówką ptaków, albo też nad coraz gęstszym dymem, który ulatywał z gardzieli Wezuwiusza przy wtórze groźnych pomruków.

Potrząsnąwszy głową, Romulus podszedł do drzwi biblioteki i już miał je otworzyć, kiedy w tej samej chwili Ambrozyński dał mu znak, żeby się zbliżył. Chłopiec posłusznie podbiegł do nauczyciela, który nie mówiąc ani słowa wskazał mu jakiś punkt na środku morza. Na wprost widać było łódź rybacką, która z powodu znacznej odległości wyglądała jak łupina orzecha na tle błękitnego bezmiarów.

— A teraz pokażę ci ciekawą zabawę — oznajmił Ambrozyński, po czym spomiędzy fałd ubrania wyjął lusterko z wypolerowanego brązu i skierowawszy je prosto w słońce, z podziwu godną precyzją puścił małego świetlistego zajęczka najpierw na falach tuż obok łódki, a potem na dziobie i żaglu. Następnie zaczął wykonywać szybkie, wystudiowane ruchy nadgarstkiem, sprawiając, że świetlisty zajęczek na przemian to pojawiał się na pokładzie, to zniknął.

— Co robisz? — zdziwił się Romulus. — Dasz mi też spróbować?

— Lepiej nie. Rozmawiam właśnie z ludźmi na łodzi za pomocą sygnałów świetlnych. To system, który nazywa się *notae tironianae*. Wymyślił go pięć wieków temu sługa Cyclerona. Początkowo był to jedynie system do szybkiego pisania pod dyktando, potem zaś przekształcono go w szyfr dla wojska.

Jeszcze nie zdążył skończyć zdania, gdy z łodzi odpowiedziano podobnym przerywanym sygnałem.

— Co mówią?

— Mówią: „Przyjedziemy po was. Nony grudniowe”. A to oznacza... dokładnie za trzy dni. Przecież ci powiedziałem, że nas nie zostawią i że nigdy nie należy poddawać się rozpacz.

— Chyba sobie ze mnie nie żartujesz... — odrzekł z niedowierzaniem Romulus.

Ambrozynus przytulił go.

— To prawda — zapewnił drżącym głosem. — Nareszcie prawda!

Romulus ledwie panował nad emocjami. Nie chciał dopuścić do siebie nadziei w obawie, że po raz kolejny spotka go rozczarowanie. Zapytał więc tylko:

— Od jak dawna to trwa?

— Od paru tygodni. Mieliśmy mnóstwo rzeczy do omówienia.

— A kto zaczął pierwszy?

— Oni. Przekazali mi wiadomość przez sługę, który chodzi do portu po zakupy, i w ten sposób przyszedłem na spotkanie z moim gładziutkim lusterkiem. Przyjemnie było pogadać z kimś z zewnątrz.

— I nic mi nie powiedziałeś...

Romulus spojrzał oszołomiony najpierw na nauczyciela, który uśmiechnął się doń mrugając porozumiewawczo, potem zaś na płynącą daleko łódź. Na jego oczach wznowiono świetlny dialog, przerywając go dopiero wtedy, gdy rozległ się odgłos kroków, który oznaczał zbliżający się patrol. Ambrozynus chwycił chłopca

za rękę, po czym razem zeszli po schodach i ruszyli do biblioteki.

— Nie chciałem robić ci niepotrzebnie złudnych nadziei. Ale teraz jestem przekonany, że to przedsięwzięcie może się udać. To tylko garstka desperatów, ale mają potężną broń...

— Jaką?

— Wiarę, mój chłopcze. Wiarę, która przenosi góry. Nie jest to wiara w Boga, na którego nie przyzwyczaili się liczyć. W tych okropnych czasach, mimo upadku wszelkich ideałów, wszelkich prawd oni wierzą w człowieka. A teraz chodźmy się uczyć. Mógłbym cię nauczyć *notae tironianae*, co ty na to?

Romulus popatrzył na niego z zachwytem.

— Czy jest coś, czego byś nie znał, *Ambrosine!*

Twarz nauczyciela przybrała niespodziewanie wyraz zamyślenia.

— Wiele rzeczy — odrzekł — i to te najważniejsze: syn na przykład, dom, rodzina... miłość żony... — Kiedy pogładził go po głowie, w jego oczach pojawił się cień żalu.

Łódź płynęła nadal swoim kursem mijając północny kraniec wyspy.

— Jesteś pewien, że zrozumieli? — zapytał Batiatus.

— Oczywiście, że jestem pewien. Nie po raz pierwszy przesyłamy sobie wiadomości — odrzekł Aureliusz.

— O, jest cypel wschodni i skalna ściana na północy — oznajmił Watrenus. — Na Herkulesa, jest strasznie stroma. I według ciebie mamy się wdrapać na samą górę, wydrzeć chłopca siedemdziesiątce bezlitosnych strażników, spuścić się aż do morza, wsiąść z powrotem do łodzi i odpłynąć *insalutato hospite?*

— Mniej więcej — odparł Aureliusz.

Liwia poluzowała szot zmieniając naciągnięcie żagla, łódź zatrzymała się więc kołysząc łagodnie na falach. Nad nimi wznosiła się stroma, naga i chropowata ściana skalna, na której stała willa.

— To jedyne miejsce, którym możemy się przedostać — ciągnął Aureliusz — każdy bowiem sądzi, że nikt nie jest w stanie tamtędy wejść. Wiadomo, że strażnik przechodzi tędy tylko dwa razy: raz po pierwszej zmianie warty i raz po trzeciej zmianie, tuż przed świtem. Mamy więc prawie dwie godziny na wykonanie zadania. — Mówiąc to odwrócił klepsydrę wodną, po czym zaczął wskazywać palcem kolejne poziomy zaznaczone na szkle. — Godzinę na wejście na górę, pół godziny na porwanie chłopca, pół godziny na zejście i zniknięcie im z oczu i pół godziny na dotarcie do brzegu, gdzie będą na nas czekać konie. Batiatus będzie pilnował łodzi i manewrował linami, reszta pójdzie na górę. W tym czasie Liwia będzie już na miejscu, na górnym chodniku północnego muru willi.

— A jak się tam znajdzie? — zapytał Watrenus.
Aureliusz i Liwia wymienili porozumiewawcze spoj-
rzenia.

— Dzięki sztuczce starej jak świat: tej z koniem trojańskim.

Batiatus obejrzał skalną ścianę dokładnie, łokieć po łokciu, aż do samej góry, po czym westchnął.

— Całe szczęście, że zostaję na dole. Nie chciałbym być w waszej skórze.

— To nic strasznego — stwierdziła Liwia. — Już ktoś tego dokonał: wdrapał się tam w pojedynkę i z gołymi rękami.

— Nie wierzę — odparł Batiatus.

— A jednak tak było. Za panowania Tyberiusza pewien rybak zapragnął podarować cesarzowi olbrzymią langustę, którą właśnie złowił, a ponieważ nie wpuszczono go główną bramą, wdrapał się na skałę od strony morsa.

— Na Herkulesa! — zawołał Watrenus. — I co się z nim stało?

Liwia uśmiechnęła się krzywo.

— Powiem wam, jak wykonamy zadanie. A teraz proponuję wrócić, zanim wiatr zmieni kierunek. — Wybrała szot, Demetriusz zaś manewrował reją, by złapać wiatr w żagiel, po czym łódź wykonała szeroki zwrot

i stanęła. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na mury willi, Aureliusz dostrzegł wyraźnie upiorną sylwetkę olbrzymiego wojownika otulonego czarnym płaszczem, który nadymał się na wietrze niczym balon. Wulfila.

Trzy dni później, tuż przed zmrokiem, do maleńkiego portu wpłynął ogromny statek towarowy, po czym kapitan krzyknął coś do dokerów rzucając im linę cumowniczą. Sternik rzucił z rufy drugą cumę i statek przybił do brzegu. Dokerzy wysunęli trap, po czym tragarze jęli wyładowywać mniejsze pakunki: worki ziarna, mąki, fasoli i ciecierzycy, amfory z winem, octem i gotowanym moszczem. Następnie przyciągnęli podnośnik do przenoszenia ciężkich ładunków: sześć wielkich glinianych dzbanów o pojemności blisko dwudziestu kwadrantali każdy, w tym trzy pełne oliwy i trzy pełne wody pitnej dla stacjonującego w willi garnizonu.

Schowana na rufie między workami Liwia upewniła się, że nikt jej nie widzi, po czym podeszła do jednego z dzbanów. Podniósłszy pokrywę, stwierdziła, że znajduje się w nim woda, wrzuciła więc do niego zwój liny, następnie sama weszła do środka i zamknęła pokrywę nad głową. Wprawdzie trochę wody wylało się z naczynia, lecz cała załoga zajęta była wyładunkiem i nikt nie zwrócił na to uwagi. Ogromne dzbany zostały po kolei przeniesione na wóz, który ciągnęły dwie pary wołów. Po zakończonym załadunku woźnica strzelił z bicia.

— Wio! Wio! — zawołał, po czym wóz ruszył stromą wąską drogą wiodącą do góry, ku willi. Kiedy tam dotarł, niższa część wyspy znajdowała się już w cieniu, podczas gdy ostatnie promienie zachodzącego słońca barwiły na czerwono płynące po niebie cirrusy i szczyty dachu ogromnego domostwa. Wóz wjechał przez otwartą bramę na podwórze przy akompaniamencie zgrzytu kół o bruk. Rozlegał się trzepot skrzydeł gęsi i kur, które rozbiegły się na wszystkie strony, oraz szczekanie psów, słudzy i tragarze zaś jęli natychmiast się krzątać i zabrali do wyładunku.

Ich przełożony, stary neapolitańczyk o skórze pomarszczonej i żółtej jak pergamin, krzyknął coś do ludzi, którzy zdążyli już ustawić na górnym balkonie wyciąg, zaczęli opuszczać za pomocą kołowrotu platformę, aby przystawić ją do wozu. Następnie chwycili pierwszy dzban, przewrócili go i przetoczyli na platformę, po czym unieruchomili przy użyciu lin i podkładek. Wówczas neapolitańczyk przyłożył dłonie do ust i zawołał:

— Do góry!

Słudzy jęli kręcić kołowrotem, platforma zaś zakołysała się jęcząc i skrzypiąc, po czym powoli wjechała do góry.

Po drugiej stronie willi, u stóp stromej ściany, Batiatus zeskoczywszy na ląd, zaciągnął łódź za rufę aż do małej zatoczki otoczonej wysokimi zaroślami i ostrymi skałami. Pogoda zaczynała się zmieniać; woda marszczyła się pod wpływem zimnego porywistego wiatru, na jej powierzchni zaś tworzyła się piana, gdy tymczasem z zachodu zbliżały się czarne chmury, raz po raz przeszywane błyskawicami. Grzmoty zlewały się z głuchymi pomrukami Wezuwiusza, stłumionymi przez odległość.

— Tylko burzy nam jeszcze brakowało — burknął Watrenus wyładowując z łodzi dwa zwoje liny.

— To nawet lepiej — stwierdził Aureliusz. — Dzięki temu strażnicy schowają się pod dachem, a my będziemy mieli wolną rękę. Jazda, ruszajmy się, bo czas ucieka.

Okręciwszy cumę rufową wokół głazu, Batiatus dał znak Demetriuszowi, żeby spuścił kotwicę dziobową, po czym wszyscy zeskoczyli na brzeg. Każdy z nich nosił pod tuniką gruby skórzany napierśnik albo kolczugę, obcisłe nogawice, pas z mieczem i sztyletem, na głowie zaś żelazny hełm. Aureliusz podszedł do stóp skały i wciągnął głęboko powietrze, jak to miał w zwyczaju przed spotkaniem z wrogiem. Patrząc z dołu na skalną ścianę można było dostrzec pewne nachylenie, ułatwiające nieco wspinaczkę.

— Musimy się wspiąć razem aż do tamtej grani, tam gdzie widać tę jaśniejszą żyłę skalną — powiedział. — Ja

wezmę linę z powtykanymi kółkami, która posłuży jako schody. Ty, Watrenusie, będziesz niósł worek z hakami i młotek. Liw:a powinna nam rzucić z góry drugą linę, żebyśmy mogli pokonać następny, bardziej stromy stok. W przeciwnym razie będziemy się wspinać z gołymi rękami; skoro udało się temu rybakowi, my też damy radę. — I zwrócił się do Batiatusa: — Kiedy będziemy wracać, musisz dobrze napiąć linę, żeby nie falowała na wietrze, bo chłopiec mógłby się przestraszyć albo stracić równowagę i spaść, zwłaszcza jeśli zacznie padać i wszystko robi się śliskie. Chodźmy, póki jeszcze cokolwiek widać. Watrenus chwycił go za ramię.

— Jesteś pewien, że z tą raną dasz sobie radę? Może lepiej, żeby poszedł Demetriusz, zresztą jest od ciebie lżejszy.

— Nie, ja pójdę. Z moim ramieniem wszystko w porządku, nie martw się.

— Uparty jak osioł. Gdybyśmy byli w obozie, pokazałbym ci, kto tu dowodzi, ale tutaj ty rządzisz, więc niech tak będzie. Jazda do roboty.

Przewiesiwszy sobie zwój sznura przez ramię, Aureliusz rozpoczął wspinaczkę. Wkrótce po nim ruszył Watrenus dźwigając ciężką skórzaną torbę, zawierającą młotek i kołki od namiotu, którymi miał przymocować do skały linę Aureliusza, kiedy tylko dotrą do pierwszego punktu oparcia.

Na podwórzu podnoszono właśnie piętnasty dzban z kolei, kiedy nagle platforma zakołysała się pod wpływem silnego wiatru. Kolejny podmuch jeszcze mocniej ją rozbijał, co sprawiło, że słaba lina się zerwała, opasane zaś nią ogromne naczynie, które znajdowało się w połowie drogi do górnego balkonu, spadło z hukiem i roztrzaskało się na kawałki, tworząc wokół oleistą kałużę. Niektórzy posługacze zostali ranni, inni oblani oliwą od stóp do głów, zamieniając się w groteskowe ślizgające się figurki. Rozwścieczony neapolitańczyk zaklął siarczyście i jął okładać ich kopniakami.

— Przekłete niezdary, akurat oliwę musieliście rozlać?!
— wrzeszczał. — Ale zapłacicie mi za to, oj, zapłacicie!

Liwia wyrzała ukradkiem spod przykrywki, po czym natychmiast się schowała. Po krótkim zamieszaniu platforma została ponownie przystawiona do wozu, dziewczyna zaś poczuła, jak posługacze blokują pokrywkę i przechylają dzban. Wstrzymała oddech, dopóki woda w naczyniu nie ustała, po czym włożyła do ust trzciniową rurkę i zaczęła znów oddychać. W miarę jak platforma wznosiła się coraz wyżej, rozlegało się coraz głośniejsze zgrzytanie całej konstrukcji i nasilało się kołysanie, a gwizd potężniejszego wiatru, słyszany ze środka dzbana, brzmiał niczym ryk. Serce Liwii waliło coraz mocniej w tym ciemnym, ciasnym, płynnym więzieniu przypominającym rozhuśtaną kamienną macicę, w której utrzymanie orientacji i równowagi było niezwykle trudne.

Doprowadzona do kresu wytrzymałości zamierzała właśnie rozbić mieczem ścianę naczynia, nie dbając, co się stanie, gdy nagle poczuła, że platforma osiadła wreszcie na stałym podłożu. Zmusiła się, by znów wstrzymać oddech, podczas gdy popychany przez służbę dzban toczył się po podłodze i zaczynało brakować powietrza. Po chwili zdała sobie sprawę, że posługacze ustawiają naczynie w pozycji pionowej, prawdopodobnie obok pozostałych. Wystawiła głowę ponad powierzchnię wody i odetchnęła głęboko wydmuchując ją z nosa. Odczekawszy, aż kroki oddalających się posługaczy zupełnie ucichną, wyjęła sztylet i wsunęła go w szczelinę między brzegiem naczynia a pokrywką, kiedy zaś wymacała podtrzymujący ją sznurek, przecięła go. Była wyczerpana i miała zdrętwiałe kończyny, niemal całkiem sztywne z zimna.

Ambrozynus i Romulus, którzy znajdowali się niedaleko, w pokojach cesarskich, przygotowywali się do ucieczki wkładając wygodne odzienie i filcowe buty, umożliwiające szybkie i całkowicie bezgłośnie poruszanie się. Starzec zapakował do podróżnego worka co się tylko dało: jedzenie, poza tym swoje proszki, zioła, amulety. Dołożył też „Eneidę”.

— Przecież to niepotrzebny ciężar — sprzeciwił się Romulus.

— Tak uważasz? Tymczasem to najcenniejszy ładunek, mój synu — odparł Ambrozynus. — Kiedy człowiek ucieka i wszystko zostawia, jedynym skarbem, jaki może ze sobą zabrać, jest pamięć. Pamięć o tym, skąd się wywodzi, o własnych korzeniach, o przodkach. Tylko pamięć pozwala nam odrodzić się z niczego. Nieważne gdzie, nieważne kiedy, ale jeśli zachowamy wspomnienia dawnej wielkości i powodów, dla których ją utraciliśmy, zmarłych wstaniemy.

— Ale przecież ty pochodzisz z Brytanii, *Ambrosine*, jesteś Celtem.

— To prawda, ale w tak strasznej chwili, kiedy wszystko się wali i rozpada, kiedy jedyna cywilizacja na tym świecie otrzymuje cios prosto w serce, nawet my, pochodzący z najdalszych peryferii Imperium, chociaż wiele lat temu zostawiono nas własnemu losowi, nie możemy się nie uważać za Rzymian... A ty, cesarze, nic ze sobą nie bierzesz?

Romulus wyjął spod łóżka miecz. Zdążył go już owinać i związać sznurkiem, a także przyczepić doń pasek umożliwiający zawieszenie go na plecach.

— Ja biorę to — oznajmił.

Aureliusz znajdował się właśnie jakieś trzydzieści stóp od skały przecinającej w poprzek ścianę, kiedy nagle urwisko oświetlił błysk, po którym nastąpił grzmot i natychmiast rozpoczęła się ulewa. Wszystko stało się trudniejsze, występy skalne zrobiły się śliskie, widoczność pogorszyła się z powodu wsiąkającej we włosy i wlewającej się do oczu wody. Na dodatek z każdą chwilą zwój liny, który Aureliusz nosił przewieszony przez plecy, nabierał ciężaru, coraz bardziej pęczniał od stale przybywającej wody. Wyczuwając kłopoty, w jakich znalazł się przyjaciel, Watrenus starał się być jak najbliżej niego. Znalazłszy punkt oparcia, wbił kołek w skałę najwyżej jak się dało. Wówczas Aureliusz przysunął się do niego, postawił stopę

na kołku i dźwignął się do góry, aż chwycił występ skalny po prawej stronie. Od tego miejsca nachylenie ściany stało się bardziej wyraźne, umożliwiające bezpieczniejszą wspinaczkę aż do półki, położonej pod samym wierzchołkiem skały. Był to występ z wapienia pokryty osadem ze znajdującej się nad nim skały, który gromadził się przez tysiące lat. Rzuciwszy linę na ziemię, Aureliusz wychylił się do tyłu, by pomóc wejść swemu towarzyszowi.

Wdrapawszy się na półkę, Watrenus wyjął z torby maczugę, wbił dwa kołki w skałę, zaczepił o nie linę i rozwinął, aż spadła na sam dół. Batiatus chwycił ją natychmiast i szarpnął, chcąc ją wypróbować.

— Trzyma się—stwierdził z zadowoleniem Watrenus.

Naciągnięta w ten sposób z powbijanymi co trzy stopy kołkami, wyglądała niemal jak schody.

— Chłopiec na pewno sobie poradzi — orzekł Aureliusz.

— A stary? — zapytał Watrenus.

— On też. Jest bardziej zwinny, niż ci się zdaje. — Podniósł wzrok usiłując osłonić oczy przed ulewnym deszczem. — A niech to, nie widać Liwii. Co robimy? Poczekam jeszcze trochę i idę sam.

— To szaleństwo. Nie dasz rady. Nie w tych warunkach.

— Mylisz się. Wejdę na górę pomagając sobie kołkami. Podaj mi torbę.

Watrenus popatrzył na niego osłupiały, lecz w tej samej chwili spadł na nich grad kamyków. Spojrzawszy do góry, Aureliusz dostrzegł jakąś postać, która gwałtownie wymachiwała ramionami.

— Liwia! — zawołał. — Nareszcie.

Dziewczyna rzuciła linę, której koniec zawisł nad głową Aureliusza, on zaś rozpoczął wspinaczkę zdzierając sobie skórę na dłoniach, ramionach, kolanach, pozostawiając jej skrawki na ostrych krawędziach. Wspinaczka kosztowała go wiele wysiłku. Nasilający się z każdą chwilą wiatr kołysał liną w prawo i w lewo, niekiedy zaś rzucał go na ostrą ścianę sprawiając, że wydawał okrzyki bólu, które mieszały się

OSTATNI LEGION

z rykiem burzy. Z daleka widać było posępne krwawe błyski dobywające się z paszczy Wezuwiusza. Przemoczony sznur stawał się coraz bardziej śliski, toteż Aureliusz zjeżdżał pod ciężarem własnego ciała, w jednej chwili tracąc to, co osiągnął z takim mozołem. Za każdym jednak razem z uporem wdrapywał się wyżej, zaciskając zęby, przewycięzając zmęczenie, ból, który przesywał każdy jego mięsień, każdy staw, i kłucie starej rany, które wwiercało się w czaszkę niczym świder.

Liwia obserwowała każdy jego ruch z najwyższym napięciem, kiedy zaś Aureliusz znalazł się blisko niej, oparła się o balustradę, chwyciła go za ramię i jęła ciągnąć z całej siły. Aureliusz ostatnim wysiłkiem przeszedł na drugą stronę, po czym objął swą towarzyszkę w radosnym uścisku pod siekącą ulewą. Ona pierwsza się wyswobodziła.

— Prędko, pomóżmy Watrenusowi i pozostałym.

Tymczasem znajdujący się na dole Demetriusz i Orozjusz dotarli właśnie do skalistej grani, po czym złapali koniec rzuconej przez Liwie liny. Owinąwszy się nią w pasie po kolei, szybko wspięli się na samą górę dzięki pomocy towarzyszy, którzy ciągnęli za sznur. Ostatni wdrapał się Watrenus.

— Przecież mówiłam, że się uda! — zawołała Liwia.
— A teraz trzeba znaleźć chłopca, zanim nadejdzie straż.

XVII

Górny balkon był pusty, posadzka z pasiastych płyt lśniła jak lustro w niespodziewanym świetle błyskawic. Pod ścianą stały jeszcze wciągnięte po południu dzbany, na których widok Liwia przypomniała sobie niedawną przygodę w brzuchu jednego z nich.

— Za tymi dzbanami jest platforma, która prowadzi do środka razem z wyciągiem towarowym — oświadczyła.
— Orozjusz i Demetriusz mogliby nas wciągnąć koło-

wrotem aż do dziedzińca, a potem przedostalibyśmy się do biblioteki. Bo tam na nas czekają, prawda?

— Tak — odrzekł Aureliusz — ale jeśli strażnicy zobaczą, jak dyndamy w powietrzu, staniemy się łatwym celem. Lepiej wybrać jakąś drogę wewnątrz budynku. Chyba nie będzie trudno dostać się na dziedziniec, a w bibliotece znajdzie się jakieś światło, żeby nie zabłądzić. — Po czym zwrócił się do Orozjusza: — Ty zostaniesz tutaj, żeby umożliwić nam drogę ucieczki. Kiedy znikniemy, liczyć powoli do tysiąca; jeżeli do tej pory nie zejdziemy, wracaj do Batiatusa i odpływajcie. Tak czy inaczej dołączymy do was na łodzi najpóźniej za dwa dni, chyba że nasza misja się nie powiedzie, a wtedy będziecie mogli iść, gdzie wam się żywnie spodoba.

— Jestem pewien, że wrócicie cali i zdrowi — odparł Orozjusz. — Powodzenia.

Aureliusz podziękował niepewnym uśmiechem, po czym dał znak towarzyszom i ruszył po kamiennych schodach wiodących w dół. Szedł pierwszy z mieczem w dłoni, za nim Liwia, Watrenus, a na końcu Demetriusz. Na schodach było całkiem ciemno — jedyne światło dawały błyskawice przedzierające się przez wąskie otwory strzelnicze, które wychodziły na wewnętrzny dziedziniec. Po pewnym czasie na murach i schodach z tufu dostrzegli lekką poświatę.

Aureliusz dał towarzyszom znak, by zachowali jak największą ostrożność, po czym zaczął się posuwać w kierunku światła. Schody prowadziły do korytarza, który oświetlały lampki oliwne zawieszane na ścianie między drzwiami do pokoi.

Aureliusz pokazał im, by się zbliżyli.

— Przed nami jest korytarz — szepnął — a te drzwi prowadzą pewnie do sypialni. Na mój sygnał musicie przebiec jak najszybciej, żeby dojść do następnych schodów, którymi dostaniemy się chyba na parter. Odwagi, na razie wygląda na to, że jest spokojnie.

— Idź przodem — powiedział Watrenus — a my za tobą.

Ledwie jednak Aureliusz zrobił pierwszy krok, drzwi po jego lewej stronie otworzyły się i wyszedł przez nie barbarzyński wojownik w towarzystwie półnagiej kobiety. Aureliusz wyskoczył nań z mieczem i zanim tamten zdążył się zorientować, co się dzieje, zaszlachtował go. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć, Liwia wszakże natychmiast zatkała jej usta dłońmi.

— Cicho bądź! Nie chcemy ci zrobić krzywdy, ale jeśli jeszcze raz krzykniesz, poderżnę ci gardło. Rozumiesz?

Dziewczyna gwałtownie pokiwała głową na znak zgody. Demetriusz i Watrenus zaś czym prędzej związali jej ręce, po czym zakneblowali usta i zaciągnęli w ciemny kąt.

Tymczasem siedzący w tryklinium Wulfila, który kończył właśnie wieczerzę, otrząsnął się nadstawiając ucha.

— Ty też to słyszałeś? — zapytał swego adiutanta, jednego ze Skirów, którzy walczyli pod rozkazami Mleda.

— Co takiego?

— Jakiś krzyk.

— Ludzie zabawiają się z nowymi dziewczkami, które przyjechały wczoraj z Neapolu. Uspokój się.

— To nie był krzyk rozkoszy, tylko strachu — upierał się Wulfila, wstając i chwytając za rękojeść miecza.

— No i co z tego? Przecież wiesz, że niektórzy lubią ostre pieszczoty. One są do tego przyzwyczajone, taki mają zawód. Jedno mnie tylko martwi: że te kokoty za bardzo zmęczą naszych żołnierzy. Już i tak od jakiegoś czasu nie myślą o niczym innym, tylko o chędożeniu...

Jeszcze nie zdążył skończyć zdania, gdy rozległ się kolejny krzyk, tym razem złości i bólu, po nim zaś rżenie w agonii.

— Niech to szlag! — zaklął Wulfila podchodząc do okna, z którego widać było dziedziniec. W bibliotece paliła się wprawdzie tylko jedna lampa, zdołał wszakże dostrzec kłębowisko miotających się postaci i błysk mieczy w ciemnościach, po czym usłyszał kolejne wrzaski i charkot.

— Atakują nas. Bij na alarm, szybko, szybko!

Mężczyzna natychmiast wykonał rozkaz; wezwał strażnika, który zadął w róg bojowy, powtarzając sygnał dopóty,

dopóki nie odpowiedział mu następny róg, potem jeszcze^s jeden, aż wreszcie cała willa rozbrzmiała straszliwym echem. Kiedy błyskawica oświetliła dziedziniec i zrobiło się jasno jak w dzień, Wulfila rozpoznał z góry Aureliusza akurat w chwili, gdy powalał na ziemię jednego z jego ludzi, którzy nadbiegli, by zagrozić mu drogę. Towarzyszyły mu jeszcze dwie albo trzy postacie, z tyłu zaś podążał starzec z chłopcem.

— Przeklęty! — zawołał. — To znowu on!

Rzucił się na korytarz z obnażonym mieczem rycząc jak bawół.

— Chcę go mieć żywego! Przeprowadźcie mi go żywego!

Znajdujący się na dole Aureliusz uświadomił sobie, że zostało mu niewiele czasu, poprowadził więc swych towarzyszy ku schodom, podczas gdy ze wszystkich stron nadbiegali żołnierze z płonącymi pochodniami. Dotarli na korytarz na piętrze, przejście blokowała jednak spora grupa uzbrojonych mężczyzn. Liwia zaatakowała z lewej strony, Watrenus i Demetriusz zaś z prawej, zadając śmiertelne ciosy, usiłując odciągnąć ich od schodów i pozwolić Aureliuszowi, by utorował sobie drogę na górny ganek. Ambrozynus przywarł do ściany tuląc w objęciach Romulusa. Ogarnęło go silne przygnębienie, całe przedsięwzięcie bowiem poniosło klęskę, jeszcze zanim się zaczęło. W pewnej chwili Aureliusz zadał potężny cios, jego przeciwnik zrobił jednak unik, a miecz Rzymianina złamał się na pilastrze schodów. Podczas gdy Aureliusz cofał się broniąc najlepiej jak potrafił za pomocą sztyletu, Romulus nie wahał się ani przez chwilę, lecz wyrwawszy się z uścisku Ambrozynusa, zawołał:

— Spróbuj tego!

I oto bajeczny, jaśniejący niczym błyskawica na nocnym niebie miecz poszybował ku dłoni Aureliusza, która uniosła się, by pochwycić go w locie. Mocno tkwił w jego pięści, natychmiast idealnie się do niej dopasowując.

Nic nie mogło się mu oprzeć; kiedy uderzał o tarcze i topory, z jego klingi tryskały snopy iskier. Przecinał hełmy

i wbijał się w czaszki, jakby stanowiły jedność, gdy zaś zawadził o pilaster, posypała się zeń kaskada rozżarzonych odłamków i rozległ się ostry, ogłuszający dźwięk. Ostupiali i przerażeni żołnierze, którzy przeżyli, zostali pokonani, Liwia zaś czym prędzej sprowadziła Romulusa i Ambrozynusa po pustych już schodach. Aureliusz osłaniał towarzyszy od tyłu i właśnie w takiej pozycji, pośród sterty martwych ciał, z lśniącym i powalonym krwią mieczem., który ścisnął w dłoni, zobaczył go Wulfila. Obaj żołnierze spiorunowali się nawzajem wzrokiem, po czym Rzymianin natychmiast pomknął za swymi towarzyszami na górny ganek, jakby się rozplątał. Zanim pościg zdążył ich dogonić, zaryglowali za sobą drzwi. Wulfila, który dobiegł odrobinę za późno, rzucił się na masywne, okute żelazem drzwi waląc w nie pięściami i pieniać się z bezsilnej wściekłości.

— Prędko do wschodniego skrzydła! — zawołał. — Nie uciekną nam!

Puścili się w dół po schodach, gdzie spotkali się z dowodzoną przez jego adiutanta grupą, która nadbiegła w tej samej chwili.

— Idźcie na zewnętrzne schody od strony magazynów, jazda, przetniemy im drogę! — rozkazał. Żołnierze pomknęły posłusznie w przeciwnym kierunku, znikając w głębi korytarza.

Znalazłszy się na górnym ganku, Aureliusz i jego towarzysze pobiegli do balustrady, gdzie czekał z niepokojem Orojusz pilnujący jedynej drogi ucieczki.

— Chłopiec pierwszy! — polecił Aureliusz. Orojusz wychylił się na zewnątrz i wrzasnął ile miał sił w płucach, chcąc przekrzyczeć szalejącą burzę i łoskot fal. Usłyszawszy go, Batiatus przygotował się na przyjęcie zbiegów. Tymczasem Demetriusz, Watrenus i reszta otoczyli półkolem Romulusa, który szykował się do zejścia. Spojrzawszy w dół, chłopiec doznał zawrotu głowy; z tej odległości ściana lśniła niczym stal, niżej w głębi zaś, pośród ostrych jak brzytwa skał, pieniało się morze. Kołysana przez fale łódź wyglądała jak łupina orzecha. Wydał głębokie wes-

tchnienie, gdy tymczasem Orozjusz próbował owinąć go liną, w tej samej wszakże chwili Liwia, która wdrapała się na balustradę, widząc zbliżających się w oddali z prawej i lewej strony żołnierzy Wulfili, wszczęła alarm.

— Dzbany! — zawołała zeskakując na ziemię. — Zrzućmy na nich dzbany! Pierwszy i trzeci są pełne oliwy!

Wszyscy zabrali się czym prędzej do dzieła; nawet Orozjusz zostawił linę, by im pomóc. Przechyliwszy dwa ogromne naczynia, potoczyli je w przeciwnych kierunkach. Puszczone w ruch dzbany pokulały się ocierając najpierw o balustradę, potem o mur, aż wreszcie po gwałtownym uderzeniu roztrzaskały się na kawałki. Kałuża oliwy, którą zostawiły po sobie, dopłynęła do obu pościgów nadbiegających z przeciwnych kierunków. Żołnierze, którzy byli najbliżej, upadli, pośliznąwszy się na oliwie, ich pochodnie zaś podpały ją wzniecając las płomieni po obu stronach ganku. Kilku z nich, zamieniwszy się w żywe pochodnie, zeskoczyło do morza znikając wśród fal, inni rozbili się o skały, a ich ciała spadając obijały się o kamienne występy, dopóki nie zleciały na dno niczym szmaciane kukły. Tymczasem jednak na pomoc przybyli kolejni żołnierze, Aureliusz zdał więc sobie sprawę, że nie pozostaje mu nic innego, jak walczyć do końca. Zacisnął zęby i objął mocno rękojeść miecza, który powierzył mu cesarz. Jeśli przyjdzie mu umrzeć, rzuci go do morza ostatkiem sił, byleby nie wpadł w ręce wroga. Podczas gdy wszyscy pięcioro stanęli ciasno ramię przy ramieniu, Romulus otrząsnął się niespodziewanie, jakby nagle wpadł mu do głowy jakiś pomysł.

— Za mną! — zawołał. — Znam drogę ucieczki! — I pobiegł ku okutym żelazem drzwiom odsuwając rygiel.

Zrozumiawszy jego intencje, Aureliusz wychylił się przez balustradę i dając znak Batiatusowi, by odcumował łódź i odpłynął, rzucił na dół linę, aby wiedział na pewno, że po niej zejda. Następnie dopadł do drzwi i puścił się za towarzyszami po schodach, po których dopiero co się wspinali. Burza zdążyła osłabnąć, w oddali słychać było

wszakże coraz głośniejsze pomruki wulkanu, który skrywał w ciemnościach swą złość.

Kiedy dotarli do dziedzińca posuwając się tuż przy nieoświetlonej ścianie, Romulus znalazł wysadzaną drzewami aleję, która zapewniła im schronienie aż do kraty ściekowej, otwierającej wejście do kryptoportyku. Odchyliwszy ją, dał pozostałym znak, by poszli za nim, po czym zsunął się w głąb.

— Całe szczęście, że nie ma z nami Batiatusa — stwierdził Watrenus. — Nigdy by się tu nie zmieścił.

Jęli się zsuwać po kolei, jednakże jeden ze sług, zaalarmowany hałasem, na ich widok począł krzyczeć. Odpowiedziało mu echem wściekłe ujadanie psów, po czym nadbiegła grupa żołnierzy z pochodniami i lampami i zabrała się do przeczesywania wszystkiego naokoło.

— Gdzie oni się podziali? — zapytał ten, który szedł na przędzie.

Sługa nie wiedział, co powiedzieć.

— Przysięgam, że jeszcze przed chwilą tu byli, jestem pewien, że ich widziałem.

Cała siódemka stała nieruchomo pod kratą, jako że pościg znajdował się dokładnie nad ich głowami i w świetle lamp widać było wyraźnie ich twarze.

— No więc? — nie dawał za wygraną dowódca straży. Mężczyzna wzruszył ramionami, podczas gdy psy nie przestawały biegać tam i z powrotem głośno szczekając. Barbarzyńca odepchnął go miotając przekleństwa, po czym poprowadził swoją grupę gdzie indziej. Romulus zaś uchylił kratę, by się upewnić, że rzeczywiście sobie poszli, następnie zsunął się na sam dół, do kryptoportyku, a za nim cała reszta. W podziemiach panowały absolutne ciemności, toteż Ambrozynus wyjął krzemień i po kilku próbach udało mu się zapalić knot, który trzymał zwinięty w puszcze napełnionej jakąś czarną substancją o konsystencji łożu. Maleńki dymiący płomyczek przekształcił się szybko w kulkę idealnie białego światła, które poprowadziło ich wzdłuż imponującego szpaleru posągów cesarskich aż do wielkiej płyty z zielonego marmuru. Aureliusz i pozostali

nie posiadali się ze zdumienia zarówno na widok cudownego płomienia Ambrozynusa, jak i niewiarygodnego szpaleru cesarów, przedstawionych w blasku paludamentów i zbroi.

— Bogowie... — szepnął Watrenus — w życiu nie widziałem takiego miejsca.

— Jezu—zawtórował mu Orozjusz otwierając szeroko oczy na widok tych cudowności.

— To on to odkrył — oznajmił z dumą Ambrozynus wskazując swego ucznia, który podszedł właśnie do ogromnej płyty z zielonego marmuru.

— Wszystko, coście widzieli, to jeszcze nic — zwrócił się Romulus do Aureliusza. — Miecz, który trzymasz w dłoni, pochodzi stąd. Patrz!

Położył palce na trzech „V” i mocno przycisnął. Rozległ się zgrzyt odciążników i wprawionego w ruch mechanizmu, po czym ku rosnącemu zdumieniu jego towarzyszy, płyta jąła się obracać, odsłaniając stojący na piedestale posąg Juliusza Cezara w lśniącej zbroi, tunice i paludamencie, których purpurę imitowała na marmurze polichromia, o bladej, zasępionej twarzy, wyrzeźbiony przez wielkiego artystę w najdroższym marmurze z Luni. Nagle jednak nabożne skupienie, z jakim podziwiali statwę, przerwał okrzyk Demetriusza.

— Odkryli nas! Zobaczyli światło!

I rzeczywiście: w głębi ogromnego kryptoportyku ujrzeli blask pochodni, po czym rozległo się nawoływanie. Sam Wulfila szedł na czele żołnierzy zbliżających się po osuwisku, a następnie wzdłuż alei posągów.

— Szybko, do środka! — zawołał Romulus. — W tej piwnicy jest wyjście! — Cała grupa zniknęła wewnątrz, po czym płyta zamknęła się za nimi. Wkrótce w niewielkim podziemiu rozległ się łoskot uderzającej o marmur broni i wściekłe wrzaski Wulfili i chociaż gruby marmur stanowił obronę nie do pokonania, ów łoskot dzikiej złości zapełniał ciasną przestrzeń atmosferą niepokoju, nabrzmiewając w nieruchomym powietrzu w postaci bezsilnej, acz strasznej i przytłaczającej groźby. Przez chwilę wszyscy spo-

glądali po sobie z przerażeniem, Romulus pokazał im wszakże otwór studni, z którego pochodziło tajemnicze błękitne migotanie, jakby prowadził on do zaświatów. — Ta studnia łączy się z morzem — dodał chłopiec. — To jedyna droga ucieczki. Chodźmy, tutaj już nic więcej nie wskóramy. — Po czym na oczach swych towarzyszy wskoczył do studni, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć choć słowo.

Aureliusz nie wahał się ani chwili i rzucił się za nim. Zaraz też w jego ślady poszła Liwia, po niej zaś Demetriusz, Orozjusz i Watrenus. Ambrczynus był ostatni. Początkowo długie zjeżdżanie po czymś w rodzaju pochylni, a następnie spadanie przez pionowy ciasny otwór wydawały się nie mieć końca. Zetknięcie z wodą wzbudziło w nim uczucie paniki i duszności, potem zaś ogarnął go spokój. Miał wrażenie, że unosi się w bulgoczącej cieczy, w niebieskim pulsującym świetle. Pochodnia, którą ścisnął w dłoni, wymknęła mu się i spadła na dno, a kula światła opromieniła wodę intensywnym lśniącem błękitem, jakby z szafiru. Odepchnąwszy się z całej siły od dna, wyłonił się obok swoich towarzyszy, którzy próbowali dotrzeć do brzegu. Znajdowali się wewnątrz groty, która łączyła się z morzem za pośrednictwem małego, tak nisko położonego otworu, że był niemal niewidoczny. Aureliusz i pozostali wpatrywali się w osłupieniu w ów płonący pod wodą ogień, Ambrozynus wszakże rozglądał się wokoło z nie mniejszym zdumieniem. Watrenus zbliżył się do niego wskazując światło, które zdawało się tryskać wprost z dna morza.

— Co... to za cud? Czyżbyś był czarodziejem?

— To grecki ogień, wymyślony przez Hermogenesa z Lampsakos—odrzekł Ambrozynus z ostentacyjną obojętnością. — Pali się nawet w wodzie.

Jego wzrok błędził wokoło podziwiając olśniewające obrazy bogów olimpijskich, wyłaniających się w całości bądź częściowo z wód owej morskiej groty: Neptuna na wozie ciągniętym przez konie z rybimi ogonami, jego żony Amfitryty z orszakiem nimf, trytonów dmuchających w morskie muszle i nadymających łuskowate torsy. Falują-

ce refleksy nierzeczywistego światła zdawały się je ożywiać, jakby tchnęły życie w ich twarze i nieruchome marmurowe oczy. Stare, tajemne i opuszczone nimfeum.

Romulus również przyglądał się tym obrazom z zachwytem.

— Kto to jest? — zapytał.

— Obrazy zapomnianych bogów — odrzekł Ambrozynus.

— Ale... czy oni kiedykolwiek istnieli?

— Oczywiście, że nie! — zawołał z oburzeniem Orojusz. — Jest tylko jeden Bóg.

Ambrozynus posłał mu zagadkowe spojrzenie.

— Może—powiedział. — Dopóki ktoś w niego wierzy.

Nastąpiła długa cisza; wszyscy zdawali się zafascynowani magią tego miejsca. Błękitne światło przenikające przez ogromne skalne sklepienia, obrazy, dochodzące z odległości pomruki burzy, potężny oddech morza, które rozciągało powoli swe fale po nawałnicy — wszystko to sprawiało, że czuli niemal nadnaturalny spokój. Drżeli z zimna, byli wyczerpani nadludzkim wysiłkiem, jakiego dokonali, ogarniała ich wszakże niewypowiedziana błogość.

Pierwszy przerwał ciszę Romulus.

— Jesteśmy wolni? — zapytał.

— Chwilowo tak — odrzekł Aureliusz. — Nadal jesteśmy na wyspie. Ale gdyby nie ty, już byśmy nie żyli. Zachowałeś się jak prawdziwy wojownik.

— Co teraz zrobimy? — włączył się Watrenus.

— Batiatus widział, że nie możemy zejść, więc odcumował łódź. Prawdopodobnie krąży gdzieś w pobliżu. Musimy spróbować go znaleźć.

— Pójdę zobaczyć—oświadczyła Liwia. —A ty zostań tutaj razem z chłopcem.

Zanim Aureliusz zdołał odpowiedzieć, wskoczyła do wody, kilkoma energicznymi wymachami ramion przepłynęła grotę i znalazła się na pełnym morzu, po czym posuwając się wzdłuż brzegu dotarła do miejsca, w którym mogła wdrapać się na skałę. Wspiąwszy się dostatecznie

OSTATNI LEGION

wysoko, by móc objąć wzrokiem cały ogrom morza, czekała trzęsąc się z zimna. Chmury zaczęły się przerzedzać, a księżyc roztaczał swój blask po powierzchni fal; na lądzie Wezuwiusz ciskał czerwonymi błyskawicami w obłoki, które galopowały po niebie popychane przez zachodni wiatr.

Nagle otrzeźwiała, zza cypla wynurzyła się bowiem łódź z małą latarenką na dziobie. Stojąca na rufie postać trzymała ster.

— Batiatus! Batiatus! — zawołała Liwia.

Łódź natychmiast zawróciła i dopłynęła do brzegu.

— Gdzie jesteś? — zapytał sternik.

— Tutaj, tędy!

— Nareszcie! — powiedział Batiatus, ledwie podpłynął bliżej. — Nie wiedziałem, co się z wami dzieje. Jesteście wszyscy?

— Dzięki Bogu tak. Reszta schowała się w grocie. Zaraz ich przyprowadzę.

Batiatus zwinął żagiel, Liwia zaś wskoczyła do wody i wróciła do groty po swych towarzyszy.

Uciekinierzy płynęli gęsiego w kierunku łodzi, zagrzewani okrzykami Batiatusa.

— Prędko, prędko, bo widziałem, jak z portu wypływa statek, prędko, bo nas złapią!

Pierwsi, z pomocą Batiatusa, wdrapali się na pokład Liwia i Romulus. Następnie przyszła kolej na Ambrozynusa. Za nim wskoczyli Watrenus, Orozjusz i Demetriusz. Aureliusz wspinał się na skałę, by mieć oko na wszystko. Nagle z lewej strony ujrzał czerwone światło zalewające fale, a tuż za nim wojenną łódź posuwającą się do przodu siłą wiosła. Na dziobie stał Wulfila, który pruć prosto na łódkę Batiatusa. Nie wahając się ani chwili Aureliusz wrzasnął na całe gardło:

— Wulfila, czekam na ciebie! Przyjdź po mnie, barbarzyńco, jeśli **masz** odwagę! Chodź no tu, przekłeta szkarado!

Odwróciwszy się **ku** brzegowi, Wulfila w świetle dziobowej latarni i pochodni dostrzegł swego wroga, który stał

wyprostowany na skale, ściskając w dłoni niewidoczny miecz.

— Zawracać! — krzyknął. — Zawracać! Chcę tego człowieka i chcę ten miecz za wszelką cenę!

Batiatus zrozumiał od razu, postawił więc żagiel i czym prędzej oddalił się w kierunku stałego lądu, podczas gdy Romulus wołał:

— Nie! Nie! Musimy mu pomóc! Nie możemy go zostawić! Zawracaj, rozkazuję ci, zawracaj!

Liwia przysunęła się do niego.

— Chcesz, żeby jego poświęcenie poszło na marne? Przecież zrobił to dla ciebie. Odciągnął ich uwagę, żebyśmy mogli uciec. — Spojrzała na wyspę, a obraz Aureliusza, wyprostowanego na skale w blasku pochodni, złął się z innym, odległym obrazem rzymskiego żołnierza, stojącego nieruchomo na brzegu, otoczonego przez hordę barbarzyńców, na tle płonącego miasta. Wówczas zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę na łodzi uciekinierów, która oddalała się, tak jak teraz, sunąc po czarnych wodach laguny.

Rozpłakała się.

XVIII

Wulfila rozkazał podnieść latarnię dziobową, załoga zaś posłusznie oświetliła krawędź skały przed łodzią, gdzie Aureliusz czekał nieruchomo, ściskając w dłoni miecz.

Kilku żołnierzy napięło i wycelowało łuki sądząc, że ich dowódca chciał lepiej oświetlić i tak już łatwy cel, Wulfila wszakże ich powstrzymał.

— Opuścić łuki! Przecież powiedziałem, że chcę dostać ten miecz; jeśli wpadnie do morza, nigdy go nie znajdziemy. Przybijaj! — zawołał do sternika. — Mówię: przybijaj. Weźmiemy go żywcem!

Watrenus widząc niewyraźnie z daleka całą scenę, domyślił się, co się dzieje.

— Zwinąć żagiel! — rozkazał. Liwia drgnęła na te słowa i otarła oczy, dostrzegając w owym niespodziewanym rozkazie nadzieję.

Batiatus wykonał go nie pojmując, po czym łódź zwolniła, aż w końcu się zatrzymała.

— Dlaczego stajemy? — zapytał.

— Dlatego że Aureliusz ściąga ich uwagę na siebie — odparł Watrenus. — Nie rozumiesz?

— Łódź z prawej burty! — odezwał się z dziobu głos Demetriusza.

Właśnie pojawiła się mniejsza łódź pełna żołnierzy, na której nadburciach i masztach tkwiły zapalone pochodnie i lampy. Znajdowała się wprawdzie w odległości paru mil, zbliżała się jednak dość szybko.

— Co robimy? — niepokoił się Demetriusz. — Zaraz nas zobaczą i zaatakują.

— Zaczekajmy! — zawołał Romulus. — Zaczekajmy tak długo, jak się da, proszę was!

W tej samej chwili po wodzie poniósł się łoskot rozbijanego o skały drewna, natychmiast zagłuszony przez o wiele głośniejszy ryk wulkanu, z którego zaczął ulatywać w niebo słup ognia i snop iskier. Wulfila ścigał nieprzyjaciela z taką zaciętością, że zarył dziobem w skały, fale zaś uniosły rufę przewracając wszystkich na pokładzie. Każdy usiłował odzyskać równowagę łapiąc się burty i miotając przekleństwa, Wulfila zaś rzucił się na swego wroga, Aureliusz wszakże wskoczył do wody i zniknął.

Tymczasem wokół robiło się coraz ciemniej; na pokład łodzi zaczął spadać popiół wraz z kawałkami rozżarzonej lawy.

— Musimy odpłynąć—powiedział Ambrozynus — albo zaraz będzie za późno; niedługo nastąpi wybuch wulkanu. Jeśli nawet nie dopadną nas barbarzyńcy, łódź zapali się od kawałków rozżarzonej lawy i wszyscy pójdziemy na dno.

— Nie! — krzyknął Romulus. — Zaczekajmy jeszcze trochę. — Wpatrywał się z niepokojem w ciemną tafłę morza, podczas gdy nieprzyjacielska łódź podpływała coraz

bliżej, ustawiając się między nimi a Wulfilą, który był teraz całkowicie zdany na łaskę bałwanów. Deszcz lawy przybrał na sile, wywołując drobny pożar na pokładzie obok Liwii i na takielunku. Nieprzyjaciel nie znalazł się jeszcze w takiej pozycji, by dostrzec targany falami wrak Wulfili, za chwilę wszakże mógł zobaczyć łódź Liwii.

— Ilu ich jest? — zapytał Orozjusz spoglądając niepokojnie przed siebie, podczas gdy wroga załoga tłoczyła się na dziobie wrzeszcząc i wymachując rękami.

— Wystarczająco dużo — odparł sucho Watrenus. Potem zwrócił się do Liwii: — Jeśli chcesz uratować chłopca, musimy ruszać, i to już!

Dziewczyna niechętnie skinęła głową.

— Postawić żagiel! — rozkazał Watrenus. — Jazda, zabieramy się stąd!

Batiatus wybrał szot przy pomocy Demetriusza, który stanął za sterem, po czym jęli się powoli oddalać. W tej samej jednak chwili wzniecając górę piany wyłonił się najpierw miecz, potem umięśnione ramię, na końcu zaś głowa i potężny tors: Aureliusz!

— Aureliusz! — zawołał Romulus nie posiadając się z radości.

— To on! — zawtórowali mu towarzysze przypadając do burty. Watrenus rzucił mu linę i wciągnął go na pokład. Aureliusz był wyczerpany i gdyby nie podtrzymywali go przyjaciele, opadłby bezwładnie na deski. Liwia nadbiegła czym prędzej i przytuliła go mocno, niemal nieprzytomnego; nadszedł również Romulus, który wpatrywał się weń, jakby ciągle nie mogąc uwierzyć, że jest cały i zdrowy, jakby owa nierzeczywista atmosfera była tylko złudnym snem, mającym się rozwiać wraz z nastaniem dnia.

Gęste opary wypluwane przez wulkan unosiły się nad powierzchnią morza, ślizgając się po falach, liżąc brzegi wyspy. Łódź Liwii zanurzyła się w nich znikając z pola widzenia. Wówczas barbarzyńcy usłyszeli wrzaski swych towarzyszy, którzy miotali się przy brzegu wśród szczątków łodzi. Wulfila, któremu udało się wdrapać na skały, krzyczał na całe gardło wzywając pomocy. Podpłynęli więc

bliżej, zachowali wszakże bezpieczną odległość, aby nie podzielić losu swych towarzyszy. Rozbitkowie rzucili się do morza i wgramolili na pokład jeden po drugim. Kiedy także Wulfila się tam znalazł, natychmiast rozkazał, by ścigać zbiegów, jednakże sternik, stary marynarz z Capri, doskonale znający tamtejsze wody, z miejsca mu to odradził.

— Jeżeli popłyniemy na pełne morze, żaden z nas nie przeżyje. Spójrz tylko: nie dość, że nic nie widać na łokieć, to jeszcze pada żywy ogień!

Wulfila zerknął w stronę stałego lądu, ku czarnemu niebu, w które wystrzeliwały miriady kawałków rozżarzonej lawy, i poczuł, jak jego żołnierzy, ludzi z Północy, którzy nigdy czegoś podobnego nie widzieli, przenika strach. Zagryzł wargi na myśl, że pozwolił uciec trzynastoletniemu chłopcu i starcowi z fortecy strzeżonej przez siedemdziesięciu doborowych wojowników, najbardziej wszakże bolała go utrata owego fantastycznego miecza, którego pragnął z całej duszy od pierwszej chwili, kiedy ujrzał, jak łśni ponurym blaskiem w dłoni wroga.

— Wracamy do portu — zdecydował.

Łódź zrobiła zwrot przez rufę i zmieniła kurs. Marynarze, którzy jako miejscowi doskonale zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa, wiosłowali energicznie, posłuszni rozkazom sternika i spokojni. Natomiast barbarzyńców ogarnęła panika; spoglądali z przerażeniem na padający z nieba piekielny deszcz, podrywając się przy każdym pomruku, który wstrząsał ziemią. Wszędzie, gdzie unosiły się opary, powietrze wypełniał ostry zapach siarki, na horyzoncie zaś pojawiały się krwawe błyski.

Tymczasem łódź Liwii posuwała się powoli, pogrążona w ciemnościach. Demetriusz podszedł do bukszprytu, na którym wisiała latarnia, i uważnie wypatrywał wszelkich zagrożeń i nieprzewidzianych przeszkód, lecz w tych przerażających okolicznościach los wszystkich zależał raczej od przypadku. Na pokładzie panowało wyjątkowo silne napięcie] nikt się nie odzywał, aby nie rozpraszać kompa-

nów zmuszonych żeglować niemal po omacku. Demetriusz, usiadłszy na bukszprycie z nogami dyndającymi za burtą, usiłował sterować zwrotem jak mógł najlepiej, kierując się raczej instynktem niż którymkolwiek ze zmysłów. Ambrozynus podszedł do Watrenusa.

— Dokąd płyniemy? — zapytał.

— A kto to wie? Przypuszczam, że na północ. To jedyna możliwość, jaką mamy.

— Może mógłbym wam pomóc... jeśli tylko...

Watrenus pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Daj spokój, i bez tego mamy dosyć zamieszania. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

— A jednak już się zdarzyło. Czteryście lat temu. Wulkan pogrzebał trzy miasta wraz z ich mieszkańcami. Nie został po nich żaden ślad, jednakże Pliniusz dokładnie opisuje fazy erupcji. Właśnie dlatego zaproponowałem dzisiejszą noc... Pomyślałem, że w ogólnym zamieszaniu łatwiej będzie nam uciec. Niestety pomyliłem się: kulminacyjna faza wybuchu nastąpiła kilka godzin później, niż przewidywałem.

Watrenus popatrzył na niego w osłupieniu.

Po chwili podszedł do nich Aureliusz, który zdążył już odzyskać siły.

— Jak chciałeś nam pomóc? — zapytał.

Ambrozynus zamierzał właśnie odpowiedzieć, gdy nagle z dziobu dotarł do nich okrzyk Demetriusza.

— Patrzcie!

Mgła zaczęła się przersedzać, a niemal niedostrzegalne migotanie fal przed nimi stanowiło zapowiedź brzasku. Opływali właśnie przylądek Misenum, który wyłaniał się nad przykrywającym morze płaszczem dymu i popiołów, wschodzące słońce zaś oświetlało jego wierzchołek. Wszyscy wpatrywali się z zachwytem w ten niespodziewany widok, podczas gdy opary rzedły z chwili na chwilę, aż wreszcie łódź i jej załogę zalały promienie słońca, które pojawiło się nad Górą Mleczną.

Noc, a wraz z nią przerażenie, niepokój i zmęczenie z powodu ucieczki w pośpiechu i bezlitosnego pościgu bez

OSTATNI LEGION

wytchnienia, lęki, że wraz z nastaniem dnia wszelkie ich nadzieje rozwieją się jak złudny sen, mieli już za sobą. Słońce świeciło nad nimi niczym życzliwy bóg, pomruki wulkanu cichły w oddali niczym ostatnie odgłosy burzy, a błękit morza i błękit nieba zlewały się w jednolitym triumfie światła, świeżości i intensywnych zapachów, niesionych przez wiatr od lądu.

Romulus przysunął się do nauczyciela.

— Jesteśmy wolni?

Ambrozynus miał ochotę mu wytłumaczyć, że niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze całkiem zażegnane, że czeka ich podróż prawdopodobnie pełna nieprzewidzianych zdarzeń i przeszkód, nie miał jednak sumienia psuć radości, która po raz pierwszy od tak dawna lśniła w oczach chłopca. Odparł więc, z trudem opanowując wzruszenie, od którego drżał mu głos:

— Tak, mój synu, jesteśmy wolni.

Romulus wielokrotnie skinął głową, jakby chciał przekonać samego siebie o prawdziwości tych słów, po czym zwróciwszy się do Aureliusza i Liwii, którzy spoglądali na niego z boku, powiedział cichutko:

— Dziękuję.

Łódź przybiła do brzegu na odludziu, w pobliżu ruin nadmorskiej willi, jakieś trzydzieści mil na północ od Kurne, po czym Liwia natychmiast pierwsza zeskoczyła na ląd, pragnąc w ten sposób pokazać, że nikt inny, tylko ona tu dowodzi.

— Zatopcie łódź! — krzyknęła do Aureliusza. — A potem chodźcie za mną, tędy, prędko!

Wskazała ręką ledwie widoczną zza kępy drzew rozwalającą się chałupę, która znajdowała się w odległości niecałej mili. Aureliusz pomógł Romulusowi zejść na ląd, podczas gdy Batiatus i Demetriusz chwycili za siekiery, budząc niepokój Ambrozynusa.

— Ale po co? — zapytał. — Po co zatapiać łódź? W dzisiejszych czasach to najpewniejszy środek podróżowania. Przestańcie, proszę was, posłuchajcie mnie!

Zorientowawszy się, że coś idzie nie po jej myśli, Liwia zawróciła.

— Przecież powiedziałam, żebyście poszli za mną! Nie ma czasu do stracenia. W każdej chwili mogą nam się zwalić na kark. Nie wiesz, że ten chłopiec jest najbardziej poszukiwaną osobą w całym Cesarstwie?

— Oczywiście, że wiem — odrzekł Ambrozynus.

— Ale łódź to najpewniejszy środek i...

— Bez dyskusji, idziecie za mną i koniec. Biegiem!

— rozkazała Liwia ostrym władczyim tonem> Ambrozynus ruszył za nią niechętnie, oglądając się kilkakrotnie na łódź, która zaczęła tonąć. Orozjusz był już na łądzie, za nim wysiadł Demetriusz, po czym natychmiast zeskoczyli po kolei Aureliusz, Watrenus i Batiatus, podążając biegiem za grupą, którą Liwia prowadziła właśnie ku pokrywającym cały region przybrzeżnym zaroślom.

— Ciągle nie mogę w to uwierzyć — wydyszał Watrenus. — W sześcioro wykiwaliśmy siedemdziesięciu żołnierzy zabarykadowanych w tej niby-fortecy.

— Jak za dawnych czasów! — zawołał Batiatus. — Ale z pewną przyjemną różnicą — dodał mrugając porozumiewawczo do Liwii, która odpowiedziała mu uśmiechem.

— Nie mogę się doczekać, kiedy policzę te wszystkie złote monety — wtrącił Watrenus. — Powiedziałaś: tysiąc solidów, zgadza się?

— Zgadza się — potwierdził Aureliusz. — Ale przypominam ci, że jeszcze ich nie zarobiliśmy. Musimy przejechać całą Italię, żeby stawić się na umówione spotkanie.

— A gdzie ma być to spotkanie? — zapytał Watrenus.

— W pewnym porcie nad Adriatykiem, gdzie będzie na nas czekał statek. Tam chłopiec będzie wreszcie bezpieczny, a my dostaniemy furę pieniędzy.

Liwia weszła do chaty i ostrożnie zajrzała we wszystkie kąty, trzymając przed sobą napięty łuk. Nagle usłyszała ciche rżenie i spostrzegła sześć koni i mulicę, które ktoś przywiązał za uzdy do przeciągniętego między kratami sznura. Natychmiast rozpoznała wśród nich Dżubę, który zaczął tupać, ledwie poczuł zapach swego pana.

— Dżuba! — zawołał Aureliusz podbiegając, by go rozwiązać. Po czym przytulił go jak starego przyjaciela.

— Cieszysz się? — zapytała Liwia. — Eustacjusz wykonał dobrą robotę; Stefanus zna tutaj kogo trzeba. Wszystko idzie jak po maśle.

— Jestem szczęśliwy — odrzekł Aureliusz. — Nie ma na świecie lepszego konia niż Dżuba.

Do Liwii, która odwiązywała właśnie swojego wierzchowca i zamierzała go dosiąść, podszedł Ambrozynus.

— Odpowiadam za bezpieczeństwo cesarza — oznajmił spoglądając na nią stanowczym wzrokiem — i sądzę, że mam prawo wiedzieć, dokąd go zabieracie.

— Teraz ja odpowiadam za bezpieczeństwo chłopca, skoro uwolniłam was obu z więzienia. Ale rozumiem twój niepokój. Nie działałam z własnej inicjatywy, rozumiesz to, prawda? Wykonuję instrukcje, które otrzymałam. Zabierzemy chłopca nad Adriatyk, stamtąd zaś zostanie wywieziony tam, gdzie barbarzyńcy nigdy go nie znajdą i gdzie jego cesarskie dostojeństwo znajdzie naturalną siedzibę...

Ambrozynus pociemniał na twarzy.

— Do Konstantynopola... zgadza się? Chcecie go zabrać do Konstantynopola... To gniazdo żmij, w którym walka o władzę nie oszczędza nikogo, ani braci, ani siostr, ani rodziców, ani nawet dzieci... — Nie zwrócił uwagi, że Romulus stoi obok niego i że prawdopodobnie nie uronił ani słówka z jego pełnej pasji przemowy. Teraz wszakże było już za późno, zresztą nadszedł czas, by chłopiec uświadomił sobie własną sytuację. Położył mu więc dłoń na ramieniu i przytulił go mocno, jakby chciał uchronić przed kolejnym zagrożeniem, nie mniejszym niż wszystkie, którym musiał stawić czoło do tej pory. — Tam nie będzie miał nikogo, kto by go chronił — ciągnął. — Będzie zależny od cudzych kaprysów i samowoli. Zostaw go mnie, proszę.

Liwia nie wytrzymała jego spojrzenia.

— To nie jest zwyczajny chłopiec — rzekła nieco zakłopotana — i dobrze o tym wiesz. Nie możesz go zabrać tam, gdzie ci się podoba, a zresztą bez nas nie uszlibyście daleko. Tak czy inaczej możesz jechać z nim, jeśli zechcesz.

Uciekajmy stąd; tutaj jest zbyt niebezpiecznie, znajdujemy się za blisko brzegu. — Spiąwszy swego wierzchowca, ruszyła ścieżką wijącą się wśród zarośli.

— To kwestia pieniędzy, prawda? Chodzi wyłącznie o pieniądze? — zawołał za nią Ambrozynus.

Aureliusz wcisnął mu do ręki wodze mulicy.

— Nie gadaj bzdur, nauczycielu. Czy masz pojęcie, co by jej zrobili, gdyby ją złapali, kiedy usiłowała was uwolnić? Nikt nie ryzykuje życia wyłącznie dla pieniędzy. Wszyscy nadstawialiśmy karku, i to wiele razy. A teraz rusz się, słyszałeś?

— Mogę jechać razem z tobą na koniu? — zapytał Romulus, Aureliusz jednak odmówił.

— Lepiej, żebyś jechał razem z preceptorem — odrzekł. — My musimy mieć swobodę ruchów w razie ataku. — Powiedziawszy to, spiął swego wierzchowca.

Rozczarowany Romulus usiadł za Ambrozynusem, który ruszył ścieżką w milczeniu; Watrenus, Orozjusz, Demetriusz i Batiatus pomknęli za nim dwójkami. Dotarłszy na szczyt wzniesienia, odwrócili się ku wybrzeżu; morze połyskiwało w słońcu, które stało już wysoko nad łańcuchem górskim, widać też było wyraźnie łódź kołyszącą się lekko na falach. Po przeciwnej zaś stronie szczyty Apeninów wznosiły swe białe, otulone śniegiem wierzchołki ponad leśną pokrywą, ponad soczystą zieleń jodeł. Ścieżka stała się bardziej stroma, toteż konie zwolniły bieg i jęły posuwać się szeregiem. Watrenus przyśpieszył kroku i zrównał się z Liwią i Aureliuszem, by wzmocnić czoło grupy, które było najbardziej narażone na niebezpieczeństwo.

— Jedna rzecz ciągle nie daje mi spokoju — powiedział w pewnej chwili, zwracając się do Liwii.

— Cóż takiego?

— Co się stało z rybakiem, który wspiął się na północną ścianę, żeby zanieść langustę cesarzowi Tyberiuszowi?

— Cesarz nie był zbyt zadowolony. Wpadłszy w złość, że komuś udało się dostać do jego willi drogą, którą uważał za niedostępną, rozkazał strażom, żeby wzięli langustę

i dali mu nią kilka razy po twarzy, a potem wyrzucili go za drzwi.

Watrenus podrapał się po karku.

— Do licha! Jednym słowem, nam poszło o wiele lepiej.

— Jak na razie — dodał Aureliusz.

— Zgadza się, na razie — przytaknął Watrenus.

W odległości jakichś stu stóp za nimi jechali na grzbiecie mulicy Ambrozynus z chłopcem.

— Naprawdę myślisz, że zaborą mnie do Konstantynopola? — zapytał Romulus.

— Obawiam się, że tak — westchnął Ambrozynus.

— Ba, jestem tego pewien. Kiedy wspomniałem o tym Liwii, nie zaprzeczyła] w pewnym sensie nawet potwierdziła.

— To rzeczywiście jest takie straszne?

Ambrozynus milczał zakłopotany.

— Powiedz — nalegał Romulus. — Mam prawo wiedzieć, co mnie czeka.

— Tak naprawdę nawet ja tego nie wiem. Mogę tylko snuć przypuszczenia. Jedno jest pewne: Liwia zobowiązała się wobec kogoś, że zabierze cię z Capri. To ona wszystko zorganizowała. W pewnej chwili zmyliła mnie obecność Aureliusza, ponieważ już raz próbował cię uwolnić w Rawnie. Wydawało mi się całkiem prawdopodobne, że spróbuje znowu. A że była z nim dziewczyna, specjalnie mnie nie dziwiło. Przecież to mogła być jego przyjaciółka. Wielu żołnierzy ma przyjaciółki i najczęściej po odbyciu służby wojskowej się z nimi żenią. Ale musiałem zmienić zdanie, oczywiście jest bowiem, że to ona tu dowodzi, a co za tym idzie, to ona ma pieniądze, żeby im zapłacić.

— A więc to, co powiedziałeś, jest prawdą... zrobili to dla pieniędzy.

— Jeśli nawet, to i tak powinniśmy być im wdzięczni. Aureliusz ma rację: nikt nie naraża życia wyłącznie dla pieniędzy, ale z pewnością pieniądze są pomocne. Nie ma nic złego w tym, że człowiek stara się polepszyć sobie byt, szczególnie w dzisiejszych czasach, a oni to zagubieni żołnierze bez wojska i bez ojczyzny.

— Dlaczego wcześniej mówiłeś tamte rzeczy? Co może mi się stać, jeśli pojedę do Konstantynopola?

— Prawdopodobnie nic. Żyłbyś w luksusie, może nawet aż zbyt wielkim. Ale ciągle jesteś cesarzem Zachodu i właśnie z tego powodu mogłoby ci coś zagrażać. Ktoś mógłby się tobą posłużyć przeciw komu innemu, jak pionkiem w grze, rozumiesz? Czasami bez chwili namysłu poświęca się pionki, żeby przygotować następny, bardziej korzystny ruch, który może zapewnić wygraną. Niestety w tym wypadku ty byś za to zapłacił. Konstantynopol to przekupne miasto.

— W takim razie oni też nie są wcale lepsi od barbarzyńców.

— Na tym świecie za wszystko trzeba płacić, mój chłopcze. W narodzie, który osiąga pewien poziom cywilizacyjny, jednocześnie rozwija się w wysokim stopniu przekupstwo. Barbarzyńcy nie są zepsuci właśnie dlatego, że są barbarzyńcami, że są dzicy, ale wkrótce i oni nauczą się doceniać piękne stroje, pieniądze, wyszukane potrawy, perfumy, urodzive kobiety, wspaniałe domy. To wszystko kosztuje, więc aby to mieć, potrzeba dużo pieniędzy, które można zdobyć tylko dzięki przekupstwu. Tak czy inaczej nie istnieje cywilizacja, która nie kryłaby w sobie pierwiastka barbarzyństwa, podobnie jak nie istnieje barbarzyństwo, w którym nie byłoby zalążków cywilizacji. Rozumiesz?

— Tak, sądzę, że tak. W takim razie co to za świat, w którym żyjemy, *Ambrosine*?

— Najlepszy albo najgorszy z możliwych, w zależności od punktu widzenia. Tak czy inaczej według mnie cywilizacja jest o niebo lepsza niż barbarzyństwo.

— A co to jest twoim zdaniem cywilizacja?

— Cywilizacja oznacza ustawy, systemy polityczne, pewność, że istnieje prawo. Oznacza profesje i zawody, drogi i system komunikacji, rytuały i uroczystości. Naukę, ale także sztukę, przede wszystkim sztukę; literaturę, poezję, jak choćby Wergilego, którego czytaliśmy wspólnie tyle razy, jednym słowem, życie duchowe, które bardzo

OSTATNI LEGION

upodabnia nas do Boga. Natomiast barbarzyńca jest podobny do zwierzęcia. Nie wiem, czy dostatecznie jasno się wyrażam. Przynależność do jakiejś cywilizacji stanowi szczególnie powód do dumy, dumy z uczestnictwa w wielkim wspólnym przedsięwzięciu, największym, jakiego człowiekowi dane było kiedykolwiek się podjąć.

— Ale nasza cywilizacja umiera, prawda?

— Tak — odparł Ambrozynus. Po czym na dłuższą chwilę zamilkł.

XIX

— Piękny, prawda?

Aureliusz drgnął na dźwięk tych słów. Romulus zaskoczył go wyłaniając się nagle z ciemności za jego plecami, podczas gdy obracał mieczem w świetle ogniska, jak zahipnotyzowany niebieskimi refleksami klingi, które migotały niczym pawie oczka.

— Wybacz mi — powiedział podając mu miecz. — Zapomniałem ci go zwrócić. Jest twój.

— Lepiej, żebyś go na razie zatrzymał. Z pewnością zrobisz z niego lepszy użytek.

Aureliusz przyjrzał się broni jeszcze raz.

— Ten miecz jest niesamowity; mimo wszystkich ciosów, które zadał i odparł, nigdzie się nie wyszczerbił, nie ma na nim ani draśnięcia, ani żadnego śladu. Zupełnie jakby należał do Boga.

— W pewnym sensie to prawda. Ten miecz należał do Juliusza Cezara. Widziałeś napis?

Aureliusz skinął potakująco głową, po czym przejechał palcami po sekwencji liter, wrytych na środku klingi, wewnątrz niemal niewidocznego wyżłobienia.

— Chociaż go widziałem, nie mogę uwierzyć własnym oczom. Emanuje z niego jakaś tajemnicza siła, która przenika aż pod skórę, w palce, w ramię, aż do serca...

— Ambrozynus powiada, że został wykuty przez Chalibów z Anatolii z jednego bloku syderytu i hartowany we krwi lwa.

— A rękojeść... Żaden miecz bojowy nie ma takiej bogato zdobionej i cennej rękojeści. Jedyne miecze paradne. A przecież szyja orła leży w dłoni jak żadna inna rękojeść, jaką kiedykolwiek trzymałem, wydaje się, jakby była przedłużeniem ramienia...

— To tylko znakomite narzędzie do zabijania — powiedział Romulus — wykonane dla wielkiego wojownika. Ponieważ jesteś żołnierzem, nic dziwnego, że się nim zachwycasz. — Zerknął na swego preceptora, który był bez reszty pochłonięty układaniem swoich rzeczy w pobliżu ognia. — Widzisz Ambrozynusa? To uczonego, więc dla odmiany stara się ocalić swoje narzędzia, które zamoczyły się po skoku do wody w grocie: proszki... zioła... I moją „Eneidę”, prezent z okazji aklamacji.

— A ta pergaminowa zszywka?

— To jego kronika. Opisał w niej swoją historię... a także naszą.

— Chcesz powiedzieć, że wspomniał również o mnie?

— Możesz być tego pewien. Ale dlaczego mówisz „wspomniał” w czasie przeszłym?

— Przecież wpadła do wody. Przypuszczam, że niewiele z niej zostało.

— A jednak wszystko się zachowało. To niezmywalny atrament. Jeszcze jeden z jego wynalazków. Zna też przepis na znikający atrament.

— Żartujesz sobie ze mnie.

— O, nie. Kiedy pisze, nic nie widać, jakby umoczył pióro w źródlanej wodzie, a potem nagle, kiedy...

— Bardzo go miłujesz, prawda? — przerwał mu Aureliusz.

— Nie mam nikogo innego na świecie — odrzekł Romulus. Powiedział to w szczególny sposób, jakby oczekiwał, że jego rozmówca zaprzeczy. Aureliusz wszakże nie odezwał się ani słowem, chłopiec zaś przyglądał się, jak chowa miecz płynnym, harmonijnym ruchem, niczym

kapłan. Siedzieli wpatrując się w płomienie, po czym Romulus na nowo przerwał ciszę. — Dlaczego dzisiaj nie chciałeś, żebym jechał z tobą na jednym koniu?

— Już mówiłem: jeśli mam cię ochraniać, muszę mieć swobodę ruchów.

— To nie dlatego. Po prostu musisz być wolny i koniec, mam słuszość?

Zanim Aureliusz zdążył odpowiedzieć, chłopiec odwrócił się i podszedł do Ambrozynusa, który szykował mu właśnie posłanie rozkładając derkę na suchych liściach. Demetriusz tymczasem pełnił wartę na skraju obozowiska, Orozjusz zaś zajął pozycję nieco dalej, na niewielkim wzniesieniu, by wypatrywać ewentualnego pościgu nadjeżdżającego z zachodu. Pozostali: Batiatus, Liwia, Aureliusz i Watrenus również przygotowywali się do snu.

— To dziwne — stwierdził Watrenus. — Powiniennem padać ze zmęczenia, a tymczasem w ogóle nie chce mi się spać.

— Mielśmy za dużo wrażeń na jeden dzień — zauważył Aureliusz — i do naszych ciał jeszcze nie dotarło, że mogą wreszcie odpocząć.

— To nieźle wytłumaczenie — przytaknął Batiatus. — Rzeczywiście mnie się oczy same zamykają, bo prawie nic nie robiłem.

— Sam nie wiem... mam ochotę pośpiewać — zaczął Watrenus — tak jak to robiliśmy czasem wieczorami przy ognisku. Pamiętacie? O, bogowie, pamiętacie, jaki głos miał Antoninus?

— O, tak — westchnął Aureliusz. — Jakżeby inaczej. A Kanidiusz to nie? A Paulinus?

— Nawet nasz dowódca nieźle śpiewał — dodał Batiatus. — Pamiętacie? Czasami po powrocie z inspekcji siadał przy ogniu i jeśli akurat coś śpiewaliśmy, też zaczynał nucić półgłosem. A potem kazał przynieść wina i wypijał z nami kubek. Powiadał: „Napijcie się, chłopcy, to się trochę rozgrzejecie.” Biedny Klaudianus, ciągle widzę jego ostatnie spojrzenie, kiedy padał ugodzony wśród zgrai nieprzyjaciół... — Kiedy czarnoskóry olbrzym

przywoływał obraz tej strasznej sceny, oczy lśniły mu w ciemności.

Słyszac te słowa Aureliusz podniósł głowę i obaj żołnierze długo spoglądali na siebie w milczeniu. Na chwilę we wzroku Aureliusza pojawiło się nieme pytanie i jakby cień podejrzenia, które nie uszły uwagi Batiatusa.

— Wiem, o czym myślisz — powiedział. — Zastanawiasz się, jakim cudem zdołaliśmy się uratować w Dertonie, prawda? Chcesz wiedzieć, dlaczego jeszcze żyjemy...

— Mylisz się, ja nie...

— Nie kłam, zbyt dobrze cię znam. Ale czy my cię pytaliśmy, dlaczego nie wróciłeś? Dlaczego nie wróciłeś, żeby zginąć wraz z resztą naszych towarzyszy?

— Wróciłem, żeby was uwolnić, czy to ci nie wystarczy?

— Przestańcie — nakazał Watrenus spokojnym, aczkolwiek stanowczym tonem. — Ja ci opowiem, Aureliuszu, jak to było; w ten sposób zamkniemy tę sprawę raz na zawsze i nie będziemy więcej do niej wracać, dobrze? Nie chciałem tego robić, ale widzę, że nie da się inaczej. No więc kiedy odjechałeś, okrążyli nas ze wszystkich stron i zaczęła się walka, która trwała wiele, wiele godzin. Najpierw od strony palisady, potem wału, potem na zewnątrz, wszyscy musieli zsiąść z koni jak za czasów Hannibala. Podczas gdy nas ciągle ubywało, a zmęczenie coraz mocniej dawało się we znaki, oni co rusz wysyłali świeże oddziały... Zasypywali nas strzałami, gradem strzał. A potem, gdy już nadszedł zmierzch, widząc, że jesteśmy do cna wyczerpani i zakrwawieni, nadjechali ławą na opancerzonych koniach, trzymając w dłoniach topory, żeby nas wytłuc jak bydło. Jednego po drugim. Patrzyliśmy, jak nasi towarzysze padają całymi dziesiątkami, setkami, nie będąc w stanie nawet utrzymać ciężaru broni. Niektórzy sami rzucali się na miecze, kładąc w ten sposób kres swoim cierpieniom, inni zaś zostali poćwiartowani żywcem... ich pozbawione nóg albo rąk kadłuby leżały na ziemi, w błocie, wrzeszcząc, wykrwawiając się na śmierć...

— Nie chcę tego słuchać! — zawołał Aureliusz, Watrenus wszakże w ogóle się tym nie przejął.

— Wtedy wkroczył do akcji ich dowódca, ten cały Mled, jeden z adiutantów Odoakra — ciągnął Watrenus. — Została nas, jak przypuszczam, raptem setka. Wszyscy byliśmy nieprzytomni ze zmęczenia, umazani krwią i błotem, przybici. Szkoda, że nas wtedy nie widziałeś, Aureliuszu... szkoda... że nas nie widziałeś! — Głos mu się łamał; on, Rufus Eliasz Watrenus, twardy żołnierz, weteran stu bitew, zakrył twarz dłońmi i łkał, płakał jak dziecko, podczas gdy Batiatus położył mu rękę na ramieniu, poklepując lekko, jakby chciał go uspokoić.

— Kiedy Mled krzyknął coś w swoim języku, rzeź ustała — ciągnął za niego Batiatus. — A wtedy herold obwieścił, że jeśli rzucimy broń, zostaniemy przy życiu. Więc rzuciliśmy, bo cóż innego mogliśmy zrobić? Wówczas zakuli nas w łańcuchy i zaciągnęli kopiąc i opluwając do swego obozu, gdzie niejeden z nich chętnie zamęczyłby nas na śmierć najokrutniejszymi torturami, ponieważ zabiliśmy co najmniej cztery tysiące ich towarzyszy i wielu ranili. Mled musiał jednak otrzymać rozkaz, żeby darować życie pewnej liczbie mężczyzn, których można by wykorzystać jako niewolników. Przywieziono nas do Classe, a stamtąd porosyła do różnych miejsc. Jedni skończyli w Istrii, jak sądzę, w kamieniołomach, inni w Noricum jako drwale. A my trafiliśmy do Misenum i tam nas znaleźliście. I to wszystko, Aureliuszu; nie mam ci nic więcej do powiedzenia. A teraz idę spać, jeśli nie jestem wam już potrzebny.

Aureliusz pokiwał głową ze smutkiem.

— Idź — odparł. — Idź spać, czarny człowieku. Śpijcie, jeśli możecie, ty też, Watrenusie, stary druhu. Ja... nigdy nie zwątpiłem. Ja... moją jedyną nadzieją było odnaleźć was żywych, nic więcej, przysięgam... Oddałbym wszystko, byleby tylko zobaczyć was żywych. Życie to jedyne, co nam zostało.

Powiedziawszy to, oddalił się i usiadł na pniu dębu obok Dżuby. Liwia, która znajdowała się w pobliżu, musiała

wszystko słyszeć, lecz nie odezwała się ani słowem; on także milczał. Aureliusz chętnie by zapłakał, gdyby mógł, czuł się jednak tak, jakby zamiast serca miał bryłę lodu, myśli zaś kłębiły mu się w głowie niczym węże w gnieździe.

Leżący nieco dalej na swym posłaniu Romulus nie mógł zasnąć. Zrozumiał tylko tyle, że coś potwornego wywołało poważny konflikt między jego towarzyszami podróży, nie wiedział wszakże dokładnie co. Obawiał się, że sam jest powodem tego sporu, dlatego też przewracał się z boku na bok, lecz sen i tak nie nadchodził.

— Nie śpisz? — zapytał Ambrozynus.

— Nie mogę zasnąć.

— Przykro mi, to moja wina. Nie powinienem był mówić tych rzeczy o Konstantynopolu ani całej reszty. Jestem lekkomyślny. Wybacz mi.

— Nie obwiniaj się; to było do przewidzenia. Dlaczego mieliby zaplanować tak trudne i ryzykowne przedsięwzięcie, jeśli nie z powodów politycznych? Albo dla pieniędzy, jak sam powiedziałeś. Słyszałem, jak krzyczałeś na Liwie.

— Wyszedłem z siebie. Nie powinieneś tych słów brać sobie zbyt do serca.

— A właśnie że masz rację. Zarówno Liwia, jak i Aureliusz, a także pozostali, którzy się do nich przyłączyli, to nikt inny jak zwykli najemnicy.

— Jesteś niesprawiedliwy. Aureliusz próbował cię uwolnić w Rawennie bez żadnej zapłaty, tylko dlatego że twój ojciec go o to poprosił tuż przed śmiercią. Pamiętaj o tym: Aureliusz słyszał ostatnie słowa twojego ojca. Nosi więc w sobie coś z twojego ojca, i to coś bardzo ważnego.

— Nieprawda.

— Myśl sobie, co chcesz, ale tak jest.

Romulus usiłował się odprężyć i wyprostować zeszywniałe członki. Nagle zadrżał pod derką słysząc wołanie syczka, które rozległo się w oddali niczym krzyk rozpaczny.

— *Ambr osinę...*

— Tak?

— Nie chcesz, żeby mnie zabrali do Konstantynopola, prawda?

OSTATNI LEGION

- Nie.
- A co możemy zrobić, żeby do tego nie dopuścić?
- Raczej niewiele. W gruncie rzeczy nic.
- Ale tak czy inaczej pojedziesz ze mną?
- Jak możesz w to wątpić?
- Nie. Nie wątpię. Ale co byś zrobił, gdyby to zależało od ciebie?
- Zabrałbym cię ze sobą.
- Dokąd?
- Do Brytanii. Do mojej ojczyzny. Jest piękna, wiesz? To wyspa cała pokryta zielenią, pełna wspaniałych miast, żyznych pól, majestatycznych lasów, gdzie rosną gigantyczne dęby, buki i klony, które wznoszą teraz ku niebu nagie ramiona niczym olbrzymy usiłujące pochwycić gwiazdy. I niekończące się łąki, pastwiska pełne stad bydła. Gdzieś wznoszą się monumentalne budowle, olbrzymie kamienne kręgi, których znaczenie znają jedynie kapłani dawnej religii: druidzi.
- Wiem, kto to jest. Czytałem o nich w „De Bello Gallico” Juliusza Cezara... To dlatego nosisz na szyi gałązkę jemioli. *Ambr osinę*, czy ty też jesteś druidem?
- Posiadłem tę starożytną wiedzę, tak.
- I wierzysz także w naszego Boga?
- Istnieje tylko jeden Bóg, cesarze. Po prostu ludzie szukają Go na wiele sposobów.
- Ale w twojej kronice czytałem opis kraju wstrząsnącego wojnami. U was też są okrutni barbarzyńcy...
- To prawda. Dawny Wał Hadriana nie jest już w stanie ich powstrzymać.
- A więc na tym świecie nie istnieje pokój? Nie istnieje takie miejsce, gdzie można by żyć w pokoju?
- Pokój trzeba wywalczyć, mój synu, ponieważ jest on najcenniejszym dobrem. Ale teraz śpij. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, Bóg ześle na nas natchnienie. Jestem tego pewien.
- Romulus nic nie odpowiedział, tylko zwinął się w kłębek pod derką, nasłuchując odbijającej się echem od gór

monotonnej skargi syczka, dopóki nie ogarnęło go całkowite znużenie i nie zamknął oczu.

Po niebie przesuwały się powoli gwiazdy, a powietrze za sprawą północnego wiatru stało się przejrzyste jak kryształ. Płomienie ożywiły się dając intensywne jasne światło, po czym szybko zgasły i w rozległych ciemnych górach pozostał jedynie odbłask żarzącego się chrustu.

O północy Aureliusz zmienił Demetriusza, Watrenus zaś Orozjusza. Zdążyli się już przyzwyczać do tego rytmu przez lata koszarowego życia; w odpowiednim momencie coś kazało im się zawsze obudzić, jakby podczas snu ich umysły były w stanie śledzić i odmierzać ruchy gwiazd. O świcie, posiliwszy się nieco, ruszyli w dalszą drogę. Dzięki Eustacjuszowi znaleźli w jukach zapasy: chleb, oliwki, ser i dwa bukłaki wina. Ambrozynus pozbiarał wszystkie przedmioty, które położył wcześniej do wyschnięcia przy żarzącym się chruście, i schował do worka. Romulus zaś zwinął i związał swoją derkę wykonując ruchy doświadczonego żołnierza, kiedy akurat mijała go Liwia niosąc uprzęż dla swego konia.

— Świetnie sobie radzisz — pochwaliła. — Gdzie się tego nauczyłeś?

— W ciągu ostatnich dwóch lat miałem również wojskowego nauczyciela, oficera gwardii mojego ojca. On też zginął w noc ataku na willę w Placencji. Obcięli mu głowę.

— Chciałbyś dziś ze mną jechać? — zaproponowała Liwia zakładając swemu wierzchowcowi wędzidło i uździenicę.

— Nie muszę — odparł Romulus. — Nie chcę być dla nikogo ciężarem.

— Mnie sprawiłoby to przyjemność — nalegała dziewczyna.

Romulus zawahał się, nim odpowiedział:

— W porządku, ale pod warunkiem że nie będziemy rozmawiać o Konstantynopolu ani o całej reszcie.

— Zgoda — przystała Liwia. — Nie będzie Konstantynopola.

OSTATNI LEGION

— Ale najpierw muszę uprzedzić Ambrozynusa. Nie chciałybym, żeby się obraził.

— Zaczekam na ciebie.

Romulus wrócił po krótkiej chwili.

— Ambrozynus mówi, że mogę jechać, ale nie za szybko.

Liwia skinęła głową z uśmiechem.

— Dalej, wsiadaj! — I posadziła go przed sobą.

Kolumna ruszyła w stronę przełęczy, która wyglądała jak siodło między dwoma ośnieżonymi szczytami.

— Na górze będzie zimno — powiedział Romulus. — I znajdziemy się tam dokładnie dzisiaj w nocy.

— Tak, ale potem zaczniemy schodzić w kierunku Adriatyku, mojego morza. Spotkamy też ostatnie stada, które ciągną na zimę na niższe pastwiska. Może uda ci się zobaczyć dopiero co narodzone jagniątko. Chciałbyś?

— Czytałem Kolumellę, Warrona, Katona i Pliniusza. Znam się na rolnictwie i hodowli, na przycinaniu gałęzi i szczepieniu, zajmowałem się też pszczelarstwem, wiem, jaka jest odpowiednia pora do pokrywania i wyrobu wina.

— Jak prawdziwy Rzymianin z dawnych czasów.

— I okazuje się, że wyuczyłem się wszystkiego na próżno. Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek miał sposobność wykorzystania tych umiejętności. Moja przyszłość nie zależy ode mnie.

Liwia pominęła milczeniem te słowa, które zabrzmiały niemal jak wyrzut. To Romulus zagał rozmowę.

— Jesteś dziewczyną Aureliusza?

— Nie. Nie jestem.

— Ale chciałabyś być?

— Nie sądzę, żeby cię to powinno obchodzić. Ale jeśli chcesz wiedzieć, to ja uratowałam go tamtej nocy, kiedy próbował cię uwolnić z Rawenny. Miał brzydką ranę na ramieniu.

— Wiem. Byłem z nim, kiedy go zranili. Ale to wcale nie czyni z ciebie jego dziewczyny.

— Rzeczywiście, nie. Jesteśmy razem z powodu tej misji.

— A co potem?

— Przypuszczam, że potem każde pójdzie w swoją stronę.

— Ach.

— Jesteś rozczarowany?

— Niby dlaczego? Zdaje się, że to nie moja sprawa.

— Rzeczywiście, nie.

Przejechali kilka mil bez słowa. Romulus rozglądał się wokoło obserwując niemal bezludny, lecz zachwycająco piękny krajobraz. Mijali właśnie jezioro, w którym odbijało się równie jak ono czyste, przejrzyste niebo. Grupka dzików ryjących ziemię na skraju lasu na ich widok uciekła w zarośla. Ogromny łoś podniósł swą wspaniałą głowę; jego majestatyczna sylwetka znieruchomiła na chwilę odcinając się wyraźnie na tle wschodzącego słońca, po czym zniknął jednym susem.

— Naprawdę zrobiliście to dla pieniędzy?—powtórzył pytanie Romulus.

— Otrzymamy zapłatę jak każdy żołnierz, który służy swojemu krajowi, co wcale nie oznacza, że zrobiliśmy to dla pieniędzy.

— W takim razie dlaczego?

— Dlatego że jesteśmy Rzymianami, a ty jesteś naszym cesarzem.

Romulus milczał. Wzmógł się zimny wiatr, który nadchodził z północnego wschodu muskając ośnieżone szczyty Apeninów. Czując, że chłopiec drży z zimna, Liwia otuliła go własnym płaszczem przyciągając lekko ku sobie i obejmując ramionami. W pierwszej chwili Romulus zeszywniał, w końcu jednak uległ ciepłu jej ciała. Zamknął oczy i wydało mu się, że jeszcze kiedyś może być szczęśliwy.

Podróż ciągnęła się jeszcze przez trzy dni. Przemierzali miejsca w większości niezamieszkałe, knieje, podążali wzdłuż ukrytych i stromych ścieżek, gdzie łatwiej było uniknąć niechcianych spotkań. Kiedy przystawali, żeby rozbić obóz, Aureliusz robił rozpoznanie w towarzystwie jednego ze starych druhów bądź Liwii, zataczając szerokie koło, by upewnić się, czy nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Nigdy wszakże nie znaleźli nic, co by ich zaniepokoiło — prawdopodobnie wrogowie nigdy się nie domyślili, jaki obrali kierunek. Z drugiej jednak strony nie było żadnego powodu, by sądzić, że natrafili na ich ślad. Jako że płynęli pod osłoną nocy i dymu po wybuchu wulkanu, nie było widać, dokąd zmierzają, potem z kolei zatopili łódź i ukryli konie, by nie zostawiały żadnych śladów po zejściu na ląd.

Wszystko zdawało się iść jak po maśle, marszruta zaś została tak zaplanowana, by zgrać w czasie przybycia na brzeg z terminem spotkania z załogą statku bizantyjskiego. Klimat nieco złagodniał, zrobiło się też spokojniej. Wróciły żarty, niekiedy nawet wesołość, Romulus zaś nadal jechał na jednym koniu z Liwią. Aureliusz uśmiechał się doń, często podążał obok nich, nieraz też przysuwał się bliżej, kiedy wieczorami rozpalali ognisko, sprawiał jednak wrażenie, że nie ma ochoty się z nimi zaprzyjaźnić. Romulus pomyślał, że to pewnie z powodu zbliżającego się rozstania.

— Przecież możesz ze mną rozmawiać — powiedział pewnego wieczoru, kiedy Aureliusz siedział na uboczu posilając się przed snem. — To na pewno nie narazi na szwank twojej reputacji.

— Rozmowa z tobą, cesarze, to prawdziwa przyjemność, nie tylko zaszczyt — odrzekł Aureliusz z uśmiechem, nie dając się sprowokować. — A gdybym kierował się sercem, robiłbym to bardzo często. Niestety wkrótce będziemy musieli się rozstać, a gdybyśmy się zaprzyjaźnili, rozstanie stałoby się jeszcze bolesniejsze.

— Wcale nie powiedziałem, że chcę się zaprzyjaźnić — odparł Romulus z trudem kryjąc rozczarowanie. — Powiedziałem tylko, że moglibyśmy zamienić dwa słowa, nic więcej.

— Skoro tak... — zaczął Aureliusz. — O czym mamy rozmawiać?

— Na przykład o was. Co zrobicie, kiedy powierzycie mnie nowym opiekunom?

— Nie wydaje mi się, żeby „powierzycie” to było odpowiednie słowo.

— Może, ale to i tak nie zmienia postaci rzeczy.

— Wolałbyś zostać na Capri?

— W tych okolicznościach nie, ale prawdę mówiąc nie wiem, co mnie czeka. Jeśli dobrze zrozumiałem i jeśli w ogóle miałbym jakiś wybór, mógłbym wybierać między dwoma różnymi typami więzienia, ale skoro nie znam tego, które jest mi przeznaczone, jak mógłbym się opowiedzieć za cokolwiek? Człowiek wolny ma wybór, ja natomiast zostanę przekazany od jednej władzy do drugiej i wcale nie jest powiedziane, że po spotkaniu z drugą nie będę tęsknił za tą pierwszą.

Aureliusz był pewien podziwu dla logiki jego argumentów, jednocześnie nie potrafiąc ich obalić, odparł więc tylko:

— Mam nadzieję, że nie. I pragnę tego całym sercem.

— Jestem nawet skłonny w to uwierzyć. W takim razie co zamierzacie zrobić?

— Nie wiem. Rozmawialiśmy o tym w podróży kilka razy, trochę dla zabicia czasu, trochę z obawy o naszą przyszłość, ale nikt z nas nie ma konkretnych planów. Tamtego dnia, kiedy napadli na nas barbarzyńcy, Watenus powiedział, że ma już dość takiego życia, że chce popłynąć na jakąś wyspę, żeby paść kozy i obrabiać ziemię. Bogowie, mam wrażenie, że minęły całe wieki, a tymczasem to tylko kilka tygodni! Jego słowa zabrzmiały dla mnie jak żart, teraz zaś, w tej tak niepewnej i zagmatwanej sytuacji, wydają się konkretnym, niemal pożądanym rozwiązaniem...

OSTATNI LEGION

— Paść kozy na wyspie... Właściwie dlaczego by nie? Dla mnie też byłoby to pożądane, gdybym mógł decydować o własnej przyszłości. Ale nie mogę.

— To niczyja wina.

— A właśnie że tak. Każdy, kto nie przeciwstawia się niesprawiedliwości, jest współwinny.

— Seneka.

— Nie zmieniaj tematu, żołnierzu.

— Nie możemy w szóstkę czy w siódmkę walczyć z całym światem, a ja nie zamierzam znów narażać życia moich towarzyszy. Zrobili wszystko co w ich mocy, teraz zasługują więc na obiecaną nagrodę i swobodę wyboru drogi życiowej. Może popłyniemy na Sycylię, gdzie Watrenus ma posiadłość, a może się rozdzielimy i każdy pójdzie w swoją stronę. Albo, kto wie, może my też pewnego dnia udamy się na Wschód i odwiedzimy cię w twoim przepięknym pałacu. Jak myślisz? Mam nadzieję, że przynajmniej zaprosisz nas na wieczerzę.

— Och tak, pewnie, byłoby wspaniale! Byłbym szczęśliwy, dumny i... — przerwał w pół zdania. Rozumiał, że nie pora na sentymenty. — Może lepiej pójdę spać — powiedział wstając. — Dziękuję za towarzystwo.

— Dzięki ci, cesarze — odrzekł kiwając głową Aureliusz, po czym długo odprowadzał go wzrokiem.

Przez cały następny dzień posuwali się po nierównym terenie, zmuszeni pokonywać na piechotę spore odcinki drogi, by nie okulać koni. Podążali wzdłuż strumienia; była to wprawdzie niewygodna droga do morza, pozwalała wszakże ominąć miejsca zamieszkane, gdzie ktoś mógłby ich zauważyć. Co jakiś czas niewielka dolina zamieniała się w równinę i zdarzało im się mijać pasterzy pasących stada bądź wieśniaków zbierających w lesie chrust na zimę. Wszyscy wyglądali jak dziczykałe gbury, mieli długie brody i zmierzwione włosy, nosili buty z kozłej skóry i zniszczone, połatane ubrania, które zapewniały im mizerną ochronę przed zimnym północnym wiatrem. Bez względu na to, co akurat robili, przystawali na widok jadącej kolumny, obserwując jej wędrówkę. Bądź co bądź człowiek uzbrojo-

ny i w dodatku na koniu to nie byle kto, lecz ważna osobistość, która może się bronić lub zaatakować, a więc należy się jej bać. Pewnego razu Romulus dostrzegł chłopców w swoim wieku i niewiele młodsze dziewczynki — uginali się niemal do ziemi pod ciężarem wiklinowych koszy pełnych drewna, zdyszani, z nogami prawie że sinymi z zimna, usmarkani, z ustami popękkanymi od mrozu i niedożywienia. Jeden z malców wziął się na odwagę i położywszy na ziemi nieproporcjonalny w stosunku do swej wątłej budowy ciężar, podszedł do niego % wyciągniętą ręką.

Romulus, który jechał na jednym koniu z Liwią, zapytał:

— Możemy mu coś dać?

— Nie — odrzekła Liwia. — Gdybyśmy to zrobili, dalej, w dolinie, opadliby nas jak muchy i nie moglibyśmy się od nich opędzić. W końcu w taki czy inny sposób zwrócilibyśmy na siebie uwagę, a na to nie możemy sobie pozwolić.

Romulus spoglądał na chłopca, na jego pustą wyciągniętą dłoń, na wyraz smutku i rozczarowania w oczach, który nasilał się w miarę, jak się oddalali. Obejrzał się śledząc go przez chwilę wzrokiem, jakby pragnął dać mu do zrozumienia, że chciałby mu pomóc, ale nie może, gdyż to nie zależy od niego. Kiedy zaś zdał sobie sprawę, że zaraz znów wjadą w las, podniósł dłoń na znak pożegnania. Wymizerowany chłopiec odpowiedział na ów gest smutnym uśmiechem również machając ręką, po czym zarzuciwszy sobie na plecy ciężki toból, powędrował chwiejnym krokiem w las.

— To smutne, ale konieczne — powiedziała Liwia odgadując myśli Romulusa. — W życiu często musimy dokonywać wyborów, które budzą w nas wstręt, ale nie pozostawiają innego wyjścia. Nasz świat jest twardy i bezlitosny, rządzą nim tyrania i przypadek.

Romulus milczał. Widząc ogrom tej nędzy zrozumiał, że biedacy ci uznaliby za błogosławieństwo, a może nawet za luksus życie, które wiódł na Capri jeszcze kilka dni

wcześniej, i że nie ma na świecie tak smutnej doli, której nie dałoby się porównać do innych, o wiele gorszych.

W miarę jak posuwali się naprzód, *strumyczek zamienił się w strumień*, który płynął po gładkich kamieniach, bulgocząc, pieniając się, tworząc wiry i małe wodospady, na koniec zaś wpadł do innej rzeki, zidentyfikowanej przez Ambrozynusa jako Metaurus. Temperatura zaczęła nieco wzrastać, co oznaczało, że zbliżali się do morza, a więc do celu i do końca przygody, której epilogu nikt nie był w stanie przewidzieć. Las jął coraz bardziej rzednąć, ustępując miejsca pastwiskom i polom uprawnym w miarę, jak przybliżali się do wybrzeża. Od czasu do czasu mijali wioski, od których coraz trudniej im było trzymać się z daleka, niekiedy ich trasa krzyżowała się z *via Flaminia*, a wieczorem ostatniego dnia dojrzeli z daleka opuszczoną *mansio* z na wpół przeżartym przez rdzę szyldelem, słupem milowym i fontanną napełniającą poidła. Były to wykonane z apenińskiego piaskowca piękne koryta, które służyły niegdyś koniom pocztowym, obecnie zaś pojonu w nich stada wyprowadzone na redyk, o czym świadczyły liczne ślady racic i porozrzucanego wokół gnoju.

Liwia poszła przodem, aby upewnić się, czy nie czyha na nich żadne niebezpieczeństwo, wręczywszy uprzednio Romulusowi wodze swego wierzchowca. Udała, że nabiera wody, stwierdziwszy zaś, że nikogo nie ma w pobliżu, gwizdnęła na pozostałych, by do niej dołączyli. Uwiązawszy konia, pierwszy wszedł Romulus, po czym rozejrzał się dokoła. Na ścianach widniały jeszcze napisy wykonane przez tysiące podróżnych, jacy przewinęli się tutaj w ciągu wieków; wiele z nich zawierało obsceniczne treści. Na górze, z boku, ktoś namalował na świeżym tynku mapę, na której można było zobaczyć Italię wraz z Sycylią, Sycylią, na dole wybrzeże Afryki, na górze zaś wybrzeże Ilirii wraz z morzami, górami, rzekami, jeziorami, a wszystko pociągnięte było odpowiednim kolorem. Czerwoną linią narysowany został *cursus publicus*, czyli sieć dróg, która stanowiła dumę i chlubę Cesarstwa; zaznaczono na niej również postoje i odległości w milach. Znajdujący się u góry tytuł,

w połowie zatarty przez wodę, głosił: TA#VLA IMPERII ROMANI. Kiedy uwagę Romulusa przyciągnęły litery CIVITAS RAVENNA, ozdobione miniaturą przedstawiającą miasto wraz z wieżami i murami, chłopca ogarnął strach. Natychmiast odwrócił wzrok napotykając spojrzenie Aureliusza. Każdy z nich wyczytał w oczach drugiego budzące lęk sceny, jakie przywodził na myśl ów obraz: gorączkową ucieczkę, porażkę, więzienie, śmierć Flawii Sereny. Ambrozynus tymczasem jął przetrząsać wszystkie kąty w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się okazać przydatne, znalazłszy zaś na dnie szuflady jakiegoś zmurszałego mebla kilka zwojów częściowo zapisanego pergaminu, natychmiast zabrał się do przerysowywania jednego ze szlaków przedstawionych na mapie.

Pozostali czym prędzej zajęli się szykowaniem postania. Spozobiegłszy nieco niżej pokryte słomą ściernisko, Demetriusz zebrał jej trochę na noc. Wprawdzie wierzchnia warstwa była szara i pokryta pleśnią, pod spodem wszakże, mimo panującej o tej porze roku pogody, znajdowała się sucha żółciutka słoma — na sam jej widok robiło się ciepło. Nieco dalej stał poprzerywany w kilku miejscach żywopłot z klonów i jeżyn, za którymi rozciągały się niskie krzewy sięgające niemal piaszczystego brzegu. Po lewej stronie widać było ujście rzeki Metaurus, rzeki, wzdłuż której posuwali się w ciągu ostatnich dni marszu w głąb kontynentu. Za plecami z kolei, ku zachodowi i północy, ciągnął się las. Watrenus przemierzył go na koniu, chcąc się upewnić, że nie kryje żadnych zagrożeń. W pobliżu granicy między lasem a polem uprawnym, od strony północnej, dostrzegł sterty dębowych i piniowych pni, powiązanych ze sobą linami z plecionego łyka, które przymocowano do wbitych w ziemię palików. Najwyraźniej mieszkało w tym regionie wielu drwali, którzy utrzymywali się z handlu drewnem z ludnością wybrzeża.

W oddali widać było pomarszczoną przez północny wiatr — Boreasz, lecz spokojną powierzchnię morza, panująca pogoda zaś pozwalała mieć nadzieję, że statek przyplynie bez większych kłopotów. Ambrozynus pragnął

wszakże okazać wdzięczność ludziom, którzy uratowali ich narażając własne życie i przywieśli aż tutaj, toteż gdy nadeszła pora, starannie przygotował dla wszystkich wierzę, wzbogacając ją zebranymi w pobliżu ziołami i korzeniami. Udało mu się nawet znaleźć trochę owoców: z rosnącego w czymś, co kiedyś było zapewne sadem należącym do stacji drogowej, niemal gołego teraz drzewa zerwał kilka dzikich jabłek. Rozpalił ogień w starym kominku i chociaż przez liczne dziury w dachu można było dojrzieć gwiazdy, trzaskanie płomieni i bijący od nich blask wywoływały u wszystkich wesołość i poczucie bliskości, które przynajmniej częściowo przyćmiewały żal z powodu rychłego rozstania.

Nikt słowem nie wspomniał, że Romulus miał ich nazajutrz opuścić, i to być może na zawsze, że ten mały cesarz miał od tej pory wieść nieznaną egzystencję na drugim końcu świata, w olbrzymiej, obcej metropolii, wśród intryg i niebezpieczeństw, wśród zepsutych, żądnych krwi dworaków. Jednakże z ukradkowych spojrzeń, jakie co chwila rzucali chłopcu, z półsłówek i niedokończonych zdań, które wrywały im się co jakiś czas, z szorstkich pieśczoł, jakimi go obdarzali, niby przypadkiem przechodząc obok, można było wywnioskować bez trudu, że każdemu z nich myśl ta nie dawała spokoju.

Aureliusz pierwszy objął wartę siadając w pobliżu wodopojów i wpatrując się w morze, które przybrało barwę ołowiu. Po chwili zaszła go od tyłu Liwia.

— Biedny chłopiec — powiedziała. — Przez te wszystkie dni usiłował się zbliżyć do każdego z nas, zwłaszcza do ciebie i do mnie, tylko że mu na to nie pozwalaliśmy.

— Tak byłoby jeszcze trudniej — odrzekł Aureliusz nie odwracając głowy.

Po ciemnym niebie przeleciało stado żurawi, ich wołanie zaś rozbrzmiewało w nocy jak skarga wygnańca.

— Dotrą nad Bosfor przed nim — zauważyła Liwia.

— Racja.

— Statek powinien tu być przed świtem. Zabiorą chłopca i wypłacą nam nagrodę. To mnóstwo pieniędzy; będziecie mogli rozpocząć nowe życie, kupić ziemię, niewolników... Zasłużyliście na to.

Aureliusz milczał.

— O czym myślisz? — zapytała Liwia.

— Wcale nie jest powiedziane, że statek przyplynie na czas. Może się spóźnić nawet o kilka dni.

— To przypuszczenie czy nadzieja?

Aureliusz zdawał się nasłuchiwać w ciszy urywanego krzyku odlatujących żurawi, który niknął w oddali.

— Po raz pierwszy w życiu poczułem się tak, jakbym miał rodzinę — westchnął. — A jutro wszystko się skończy. Romulus wyruszy ku swojemu przeznaczeniu, a ty...

— Ja też — odparła Liwia z nagłą stanowczością.

— Żyjemy w ciężkich czasach, przyglądając się bezsilnie agonii naszego świata. Każdy z nas musi poszukać jakiegoś celu, wystarczająco silnego motywu, który pozwoli mu przetrwać te wszystkie zniszczenia.

— I właśnie dlatego chcesz wrócić na swoją lagunę? Nie wołałabyś...

— Co?

— Pójść z nami... ze mną.

— Niby dokąd? Już ci mówiłam: na tej lagunie rodzi się nadzieja. Chociaż to może ci się wydać dziwne, Venetia, kilka chat zbudowanych przez garstkę desperatów, którzy uciekli ze swych zburzonych miast, jest moją ojczyzną.

— Aureliusz drgnął nieznacznie słysząc te słowa, Liwia zaś ciągnęła: — Jestem pewna, że wkrótce stanie się prawdziwym miastem. Właśnie po to jest mi potrzebna część pieniędzy, które nam jutro wypłacą: żeby wzmocnić obronę, uzbroić nasze pierwsze okręty, zbudować nowe domy dla nowych przybyszów. Ty też powinieneś się do nas przyłączyć razem ze swoimi przyjaciółmi; dlaczego nie? Przydadzą nam się ludzie tacy jak wy. W Venetii odżywa duch naszych spalonych i zrujnowanych miast: Altinum, Concordii... Akwilei! Pamiętaj o własnym mieście, Aureliuszu, pamiętaj o Akwilei!

— Dlaczego nie przestajesz mnie zadreć tą nazwą? — obruszył się Aureliusz. — Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

Liwia uklękała przed nim wpatrując się weń płonącymi oczyma.

— Dlatego że być może potrafię zwrócić ci przeszłość, która została wymazana z twojej pamięci albo którą sam chciałeś wymazać. Zrozumiałam to od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam. Zrozumiałam widząc, jak patrzysz na niego, mimo że ty uparcie zaprzeczasz.

Podniósłszy zawieszony na szyi medalion, przysunęła go do jego twarzy, jakby to była święta relikwia, zdolna go uleczyć z tajemniczej choroby. Jej oczy błyszczały w ciemności od łez i wewnętrznego żaru. Aureliusz oblał się szkarłatem, czując, jak ogarnia go silne wzruszenie, palące pożądanie, które tłumił niepotrzebnie przez te wszystkie dni. Poczuł dotyk jej ust i oddech, który zmieszał się z jego oddechem w gorącym i nagłym, od dawna upragnionym, a przecież nieprzewidzianym i nieoczekiwanym pocałunku. Objął ją i pocałował tak, jak nigdy w życiu nie całował żadnej kobiety, z siłą płynącą z serca i z nieskończoną, omdlewającą słodyczą, ona zaś zarzuciła mu ramiona na szyję nie odrywając warg od jego ust, przywierając doń każdą cząsteczką drżącego ciała; jędrnymi piersiami, twardym brzuchem, długimi niecierpliwymi nogami. Rozłożywszy na ziemi swój płaszcz, Aureliusz wziął ją na sianie, czując zapach ziemi, który mieszał się z zapachem jej włosów. Gdy nastąpiło spełnienie, pozostał w niej, aby przedłużyć ową chwilę bliskości, pragnąc, by trwała wiecznie. Po czym położył się obok niej otulając ją płaszczem, obejmując mocno, napawając się dotykiem jej gorącego ciała i zapachem skóry.

Po chwili wszakże Liwia odsunęła się całując go po raz ostatni.

— To było piękne — powiedziała — i byłoby jeszcze piękniejsze, gdybyśmy mieli przed sobą jakąś przyszłość, ale jestem pewna, że statek niedługo przypłynie. Wraz z nastaniem dnia wszystko wyda nam się inne, trudniejsze

i bardziej męczące, tak jak do tej pory. Ty odejdiesz wraz z twoimi kompanami, starając się uciec od przeszłości, ja zaś wrócę na moją lagunę. Pozostanie mi wspomnienie tych dni, miłości wykradzonej ostatniej nocy, wspomnienie wspaniałej przygody i tego nieszczęśliwego miłego chłopca, którego pokochaliśmy nie mając odwagi, by mu o tym powiedzieć. Może kiedyś zdecydujesz się, żeby do mnie dołączyć, a wtedy ja przywitam cię z otwartymi ramionami, jeśli jeszcze nie będzie za późno, a może więcej cię nie zobaczę, ponieważ życiowa zawierucha popchnie cię gdzieś daleko. Żegnaj, Aureliuszu, niech twoi bogowie mają cię w opiece.

Z tymi słowami oddaliła się znikając w ruinach starej budowli. Aureliusz został sam, pod ciemnym niebem wsłuchując się w szum wiatru i wołanie przenikających mrok żurawi.

XXI

Z rosnącej przy rzece kępy wierzb odezwało się kilkakrotne wołanie puszczyka, po czym w dole, w pobliżu mostu, który łączył brzegi strumienia, zaczęło mrugać jakieś światło. Liwia, która siedziała wewnątrz *mansio* oparta o ścianę obok szpary, sprawiała wrażenie pogrążonej we śnie. Na dźwięk puszczyka otrząsnęła się, płynnym ruchem wstała i wyslizgnęła się na zewnątrz przez wyrwę w murze. Aureliusz, który wrócił z warty, spał otulony derką przy ścianie po drugiej stronie izby. Teraz wartę pełnił Demetriusz siedzący na ziemi i wsparty o tarczę; wpatrywał się prawdopodobnie w linię brzegu z nadzieją, że zobaczy statek, na który wszyscy czekali. Okrążywszy budynek od strony południowej, Liwia podeszła do tylnego ogrodzenia i odwiązała konia przytrzymując mu pysk dłonią, aby nie zdradził jej obecności. Uwiązany obok niego Dżuba nawet nie zwrócił na nią uwagi albo po prostu

zbyt dobrze znał jej zapach, by przerywać nocny odpoczynek.

Liwia ruszyła piechotą w kierunku zachodnim ku znajdującej się z tyłu rozpadlinie, po czym skręciła w prawo, zmierzając do koryta strumienia, skąd mogła zjechać konno niezauważona, kryjąc się między kępami wierzb, aż do mostu albo do morza.

Jej poczynania nie uszły wszakże uwagi siedzącego w *manno* Ambrozynusa, który aż do tej pory nie zmrużył oka i zdążył już podjąć decyzję. Przysunąwszy się do Romulusa, potrząsnął nim delikatnie, dopóki się nie obudził.

— *Ćśśś!* — szepnął mu do ucha, pragnąc uprzedzić jakąkolwiek głośną reakcję z jego strony.

— Co się dzieje? — zapytał jeszcze ciszej chłopiec.

— To, że stąd idziemy. Teraz. Liwia wyszła; pewnie nadpływa statek.

Romulus objął go mocno, w uścisku tym zaś mądry preceptor wyczuł jego wdzięczność za tę nieoczekiwaną drogę ucieczki, pragnienie wolności, chęć, by zostawić za sobą świat, który przyniósł mu jedynie ból i gorycz. Szepnął mu więc na ucho:

— Uważaj, żeby słoma nie zaszeleściła, kiedy będziesz wstawał; musimy być cicho jak myszki.

Ruszył pierwszy ku drzwiom wychodzącym na położony za budynkiem ogród. Romulus rozejrzał się dokoła i odczekawszy, aż głośne chrapanie Batiatusa osiągnie punkt kulminacyjny, podążył na palcach śladem nauczyciela. Wydostali się na zewnątrz. Stojące z lewej strony konie stukały nerwowo kopytami. Dżuba kilka razy potrząsnął dumną grzywą, wypuszczając przez chrapy obłoki pary. Reakcja ta przyprawiła Ambrozynusa o dreszcze, toteż dał znak chłopcu, by się zatrzymał i przywarł do ściany.

— Za chwilę się uspokoi — powiedział — my zaś pójdziemy do lasu, schowamy się w bezpiecznym miejscu i zaczekamy, aż wszystko ucichnie, zanim wyruszymy w podróż sami, tylko ty i ja.

— Ale jeżeli ucieknę, Aureliusz i jego przyjaciele nie dostaną nagrody, a wtedy cały ich wysiłek wraz z narażeniem życia okaże się daremny.

— Ćśśś! — uciszył go ponownie Ambrozynus. — Uważasz, że to odpowiednia pora na skrupuły? Na pewno dadzą sobie radę.

Jednakże konie, zamiast się uspokoić, robiły się coraz bardziej nerwowe, aż Dżuba stanął dęba kopiać ścianę przednimi kopytami i rżąc głośno.

— Chodźmy stąd, prędko! — zniecierpliwiał się Ambrozynus biorąc chłopca za rękę. — Ten zwierzak wszystkich pobudzi. — Zamierzał właśnie odejść, lecz nagle czyjeś żelazne palce zacisnęły mu się na ramieniu, nie pozwalając się ruszyć.

— Stój!

— Aureliuszu — rzekł błagalnie Ambrozynus, rozpoznawszy go w ciemnościach. — Pozwól nam odejść, zaklinam cię. Zwróć wolność temu chłopcu, jeśli go choć trochę miłujesz. Zbyt wiele już wycierpiał... Pozwól, żeby był wolny.

Aureliusz nie puścił go jednak, tylko wpatrywał się nieruchomo w coś po przeciwnej stronie.

— Sam nie wiesz, co mówisz — odparł. — Spójrz tam wysoko, koło tych drzew.

Ambrozynus wyteżył wzrok w kierunku, który Aureliusz pokazał palcem: spostrzegł kłębowisko jakichś groźnych cieni i serce mu zamarło.

— Och, Panie miłosierny... — szepnął.

Tymczasem Liwia dotarła w pobliże mostu i o pierwszym brzasku zdołała rozróżnić stojącą za krzewem tamaryszku postać z lampą w dłoni. Za kępą wierzb do krzaka był przywiązany koń. Spiąwszy swego wierzchowca, podjechała bliżej, aż go rozpoznała.

— Stefanus.

— Liwia — odrzekł, również ją rozpoznając.

— Przedzieraliśmy się trudnym szlakiem przez lasy, ale udało nam się zdążyć na czas. Wszystko jest w porządku. Chłopiec i jego preceptor mają się dobrze, moi ludzie zaś znakomicie się spisali. Ale gdzie jest statek? Zaraz wszędzie słońce, powinien tu stać od wczorajszego wieczoru. Wsiadanie na pokład za dnia wydaje mi się ryzykowne, a jeszcze na dodatek ten twój sygnał; mógłby go ktoś zobaczyć...

Stefanus przerwał jej gestem ręki.

— Statek nie przyplynie.

— Co powiedziałeś?

— Niestety dobrze słyszałaś: statek nie przyplynie.

— Ktoś na niego napadł? Zatonął?

— Nie zatonął. Po prostu sytuacja uległa zmianie.

— Hejże, słuchaj no, to mi się wcale nie podoba: nadstawiałam karku i moi ludzie też i...

— Uspokój się, proszę, to nie nasza wina; Zenon odzyskał tron odebrany mu przez Bazyliskusa, ale potrzebuje pokoju, by umocnić swoją władzę. Nie może robić sobie wroga z Odoakra, a poza tym jego kandydatem na tron Cesarstwa Zachodniorzymskiego zawsze był Juliusz Nepos, dobrze o tym wiesz.

Liwia nagle zdała sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakie groziło im wszystkim z powodu tej absurdalnej sytuacji.

— Czy Antemiusz o tym wszystkim wie? — zapytała z rosnącym niepokojem.

— Antemiusz nie miał wyboru.

— Do diaska! Ale przecież w ten sposób skazuje chłopca na śmierć.

Nie. I właśnie dlatego tu jestem. Dalej na północ, przy ujściu rzeki, stoi moja łódź. Moglibyśmy popłynąć do mojej willi w Ariminum, gdzie wszyscy byłibyście bezpieczni. Ale trzeba się śpieszyć, to miejsce za bardzo rzuca się w oczy.

Liwia wsiadła na konia.

— Jadę ich uprzedzić — powiedziała ruszając w drogę.

— Nie, zaczekaj! — zawołał Stefanus. — Popatrz tam.

Spojrząwszy ku wzgórzom, Liwia spostrzegła grupę barbarzyńskich jeźdźców okrążających *mansio* od południa, podczas gdy z zarośli wyłaniali się pozostali. Stefanus ciągle usiłował ją powstrzymać.

— Zaczekaj, zabiją cię!

Potknął się jednak, lampa wypadła mu z ręki i roztrzaskała się o ziemię. Liwia spojrzała na płonącą kałużę oliwy, na ściernisko i snopy słomy, nie wahając się ani przez chwilę. Wsunąwszy ze strzemięcia łuk, podpaliła strzałę i wycelowała w snop słomy, potem wypuściła następną i jeszcze jedną, aż ogromne sterty słomy jęły się powoli tlić, ponad nimi zaś unosiły się gęste kłęby dymu.

— Jesteś szalona — stwierdził podnosząc się Stefanus.
— Nie dasz rady.

— Jeszcze zobaczymy — odparła Liwia.

— Nie mogę tu zostać, muszę wracać — dodał Stefanus, wyraźnie przerażony obrotem, jaki przybrały wydarzenia. — Czekam na ciebie w Ariminum; nie daj się zabić, proszę!

Dziewczyna ledwie skinęła głową w odpowiedzi, po czym popędziła brzegiem rzeki ku wzgórzom.

W pierwszej chwili barbarzyńcy niczego nie zauważyli, zbyt bowiem byli zajęci okrążaniem starej *mansio*. Zsiedli z koni i posuwali się naprzód z obnażonymi mieczami czekając na sygnał swego dowódcy, Wulfili.

Wszystko pogrążone było w jakiejś nierzeczywistej ciszy, która zapada w przyrodzie, gdy milkną odgłosy zwierząt nocnych, dzienne zaś nie mają jeszcze odwagi powitać słońca, ciszy, która stanowi granicę między ciemnością nocy a pierwszym brzaskiem dnia. Słysząc było jedynie żalosne skrzypienie szyldu nad *mansio*, poruszanego wczesnym powiewem morskiej bryzy. Wulfila dał znak opuszczając gwałtownie lewą dłoń, którą cały czas trzymał podniesioną, po czym wszyscy rzucili się do środka z obnażoną bronią i w ciemnościach, jakie panowały w rozwalonej budowli, jęli zadawać ciosy pogrążonym we śnie ciałom. Po chwili wszakże odkryli oszustwo, czemu towarzyszyły siarczyste przekleństwa. Pod derkami znaj-

dowała się bowiem tylko słoma — goście dawno już sobie poszli.

— Szukajcie ich! — wrzasnął Wulfila. — Muszą być gdzieś blisko. Szukajcie śladów, przecież mają konie!

Jego ludzie wypadli na dwór, stanęli wszakże jak wmurowani na widok rozsianych po polu stosów słomy i podsycanych wiatrem płomieni, które wznosiły się wszędzie. Wyglądało to zupełnie jak cud, Liwia była bowiem niewidoczna, ukryta na dnie koryta strumienia.

— Ki diabeł? — burknął Wulfila, nie potrafiąc pojąć niespodziewanego zwrotu wydarzeń. — Niech to lichy porwie, to musieli być oni. Szukajcie ich, szukajcie! Są tu gdzieś blisko!

Żołnierze posłusznie rozpierzchli się po okolicy, przeszukując każdą piędź ziemi, aż w końcu jeden z nich znalazł ślady ludzi i koni prowadzące do lasu.

— Tędy! — zawołał. — Poszli tędy!

Wszyscy rzucili się do koni i ruszyli w kierunku lasu, Liwia jednak, domyśliwszy się, dokąd zmiierają, wypadła na otwartą przestrzeń, aby skupić na sobie uwagę wroga. Kolejna z jej zapalonych strzał trafiła w cel wznecając ogień, druga zaś poszybowała w powietrzu zabijając jednego z nieprzyjaciół. W tej samej chwili dziewczyna zawołała:

— Tutaj, łajdaki! Chodźcie po mnie!

Pó czym zaczęła harcować po brzegu tam i z powrotem, przebijając się przez gęste smugi dymu, by wyłonić się niespodziewanie znowu i zadać następny cios, wypuścić następną zabójczą strzałę.

Na znak Wulfili trzej jeźdźcy odłączyli się od grupy i puścili pędem za nią, gdy tymczasem podsycane przez wiatr płomienie pochłaniały pole zmieniając je w ściernisko. Przebiwszy jednego ze ścigających ją żołnierzy, Liwia zrobiła unik przed drugim, po czym ruszyła na trzeciego, który nacierał na nią wrzeszcząc jak opętany. Wykonała zwód, dzięki któremu stracił równowagę, następnie potrąciła go gwałtownie bokiem konia, aż sturlał się w ogień. Wkrótce krzyki bólu, które wydawał zamieniony w żywą

pochodnię barbarzyńca, zwały się z rykiem pożerających wszystko wokół płomieni. Liwia przejechała galopem przez piekielne pole, aż dotarła do skraju lasu. Pojawiła się znieścacka przed swoimi towarzyszami z mieczem w dłoni, z rozwianymi włosami, podobna do starożytnej bogini wojny.

— Uciekajcie stąd! — zawołała. — Zostaliśmy zdradzeni! Prędko za mną! Zaraz tu będą!

— Ale najpierw zostawimy im pamiątkę! — odparł Aureliusz dając znak towarzyszom ukrytym za stertami pni, które Watrenus zauważył poprzedniego wieczoru. Na dany przez Aureliusza sygnał mężczyźni przecięli toporami i mieczami podtrzymujące je powrozy, po czym Batiatus zepchnął je na dół, aż poturlały się po zboczu. Grube pnie nabrały szybkości i spadły z łoskotem, podskakując na nierównościach terenu, siejąc strach i śmierć wśród jeźdźców Wulfili, którzy usiłowali wspiąć się na górę, do lasu. Część drewna wtoczyła się wprost w sterty płonącej słomy, wzniecając snopy iskier i kule ognia, które wiatr rozwiewał w postaci rozżarzonych chmur.

W lesie tymczasem wszyscy wsiedli na konie, Aureliusz zaś podał ramię Romulusowi, aby wskoczył wraz z nim na grzbiet Dżuby, po czym pomknęli za Liwią, która najwyraźniej miała plan, dokąd ich poprowadzić. Popędzili ścieżką wśród zarośli i po pewnym czasie znaleźli się ponownie na starej odnodze via Popilia, która teraz była zaledwie dróżką niknącą wśród gęstwiny jeżyn i dębczaków. Zeskoczywszy na ziemię, Liwia wskazała biegnącą nieco wyżej leśną ścieżkę.

— Zsiądźcie z koni i chodźcie za mną trzymając je za uzdy. Ostatni niech zaciera ślady.

Podjąwszy się tego zadania, Orozjusz zebrał wiązkę gałęzi i idąc tyłem zamiatał ślady ludzkich stóp i końskich kopyt. Tymczasem Liwia okrążyła gęste zarośla porastające ścieżkę, po czym przystanęła u stóp niewielkiego wzgórza pokrytego gęstym bluszczem i innymi pnączami. Tak długo sprawdzała ścianę zieleni wbijając w nią czubek łuku w kilku miejscach, aż całkowicie się w nią zagłębiła.

— Tędy — oznajmiła. — Znalazłam.

Rozgarnąwszy pnącza, odsłoniła wykute w piaskowcu przejście, które prowadziło do wnętrza wzgórza. Towarzy-sze ruszyli za nią gęsiego, Orozjusz zaś ułożył z powrotem łodygi i liście, całkowicie zasłaniając otwór. Odwróciwszy się do środka stwierdził, że wszyscy rozglądają się dokoła z zachwytem. Przedostające się przez listowie światło dnia rozjaśniało nieco mrok, pozwalając rozróżnić zarysy jaskini, która zapewniała im idealne schronienie.

— To stara, nieużywana od wieków świątynia Mitry. Kiedyś przychodzili tu marynarze ze Wschodu, którzy przybijali do Fanum — wyjaśniła Liwia. — Posłużyłam się nią jako kryjówką tylko jeden raz. To prawdziwy cud, że sobie przypomniałam, gdzie się dokładnie znajduje. Bóg musi być po naszej stronie, skoro wskazuje nam w ten sposób drogę ratunku.

— Jeśli ten twój Bóg jest po naszej stronie, dziwnie to okazuje — zauważył Watrenus. — A tak na przyszłość, jeśli mam być szczery, wolałbym, żeby zostawił nas w spokoju i zajął się kimś innym.

— Zaprowadźcie wszystkie konie w najciemniejsze miejsce i postarajcie się, żeby były cicho. Pościg będzie tu lada chwila i jeśli nas znajdą, tym razem naprawdę będzie z nami koniec.

Jeszcze nie zdążyła skończyć zdania, a na drodze już rozległ się stukot końskich kopyt. Podeszła do otworu i wyjrzała na zewnątrz. Właśnie minął ich galopem Wulfila na czele swojego oddziału. Odetchnąwszy z ulgą, dziewczyna odwróciła się do swoich towarzyszy, aby dać im znać, że niebezpieczeństwo minęło, prędko jednak musiała zmienić zdanie. Galop umilkł bowiem niespodziewanie i słysząc było teraz stukot kopyt koni, które zawracają równym rytmem. Liwia nakazała gestem idealną ciszę, po czym wyjrzała na zewnątrz, Aureliusz zaś, który oddał wodze Dżuby Batiatusowi, zbliżył się do niej na palcach.

Wulfila znajdował się nie dalej niż dwadzieścia kroków od wejścia do tunelu; znad gęstwiny krzewów zasłaniających dawny szlak wystawały jego głowa i ramiona.

Potworny z wyglądu, z umorusaną od sadzy twarzą, zaczerwienionymi oczyma i szpecącą blizną wodził wzrokiem wokoło niczym wilk, który węszy zdobycz. Za nim zaś podążali jego żołnierze; jadąc ławą przeczesywali nawet okoliczny las, patrząc pod nogi w poszukiwaniu śladów. W tunelu zaś wszyscy wstrzymali oddech czując zbliżające się niebezpieczeństwo, z dłońmi zaciśniętymi na rękojeściach mieczy, jak zawsze gotowi rozpocząć śmiertelną walkę bez pytania o powód.

Oddział rozpiezchnął się po okolicy w poszukiwaniu innych dróg ucieczki, jednakże Wulfila, uświadomiwszy sobie daremność tych wysiłków, dał swym ludziom sygnał odwrotu.

— Widziałam się przed świtem ze Stefanusem — oznajmiła Liwia. — Powiedział, że Antoniusz nas zdradził. Niestety przynajmniej na razie nie będę miała pieniędzy, które wam obiecałam.

— Ale... nie rozumiem — zaczął Ambrozynus podchodząc bliżej.

— To proste — odparła Liwia. — Na Wschodzie cesarz Zenon odzyskał władzę detronizując Bazyliskusa, a teraz chce pozostać w dobrych stosunkach z Odoakrem. Być może dowiedział się o jego układzie z Antoniuszem, który czując się zdemaskowany, w nowej sytuacji prawdopodobnie nie miał innego wyjścia, jak poświęcić Romulusa.

— I co teraz zrobimy z chłopcem? — zapytał Watenus.

— Moglibyśmy zabrać go ze sobą—odrzekł Aureliusz.

— Chwileczkę... — usiłowała wtrącić się do rozmowy Liwia.

— A niby dokąd? — odparł Demetriusz nie zwracając na nią uwagi. — Odoaker wyśle za nami pościg aż do ostatniego żołnierza; nie da nam ani chwili wytchnienia. Nie łudźmy się, że skoro barbarzyńcy odjechali, to nigdy nie wrócą. Zjawią się w najmniej spodziewanym momencie i każą nam słono zapłacić. Moim zdaniem powinniśmy być tego świadomi.

— W takim razie co według ciebie mamy zrobić?

— zapytał Aureliusz. — Pertraktować z barbarzyńcami na temat nagrody i sami go oddać w ich ręce?

— Zaraz, zaraz, chwileczkę! — zawołał Batiatus. — Ja też chcę zrozumieć; czy ktoś może mi wyjaśnić...

— Do licha ciężkiego, jeżeli dacie mi dojść do słowa...

— spróbowała ponownie się wtrącić Liwia.

Romulus rozejrzał się dookoła zaniepokojony tym głośnym zamieszaniem, całą tą dysputą, która toczyła się nad jego głową, przy kompletnym ignorowaniu jego obecności — po raz kolejny jego los spoczywał w cudzych rękach. Teraz, kiedy nie było już żadnych szans na nagrodę, stał się dla tych ludzi jedynie ciężarem, niechcianym kłopotem. Aureliusz, zdając sobie sprawę ze stanu ducha, w jakim chłopiec się znajdował, czytając w jego oczach upokorzenie i obawę, usiłował go pocieszyć.

— Posłuchaj, ani mnie...

Przerwał mu wszakże głos Ambrozynusa, głos, który nigdy przedtem nie był przepełniony takim gniewem i oburzeniem.

— Dość tego! — zawołał. — To ty posłuchaj i posłuchajcie wszyscy! Przybyłem do tego kraju z Brytanii wiele lat temu wraz z delegacją wysłanników, aby rozmówić się z cesarzem. Poprosiliśmy o pomoc dla mieszkańców naszej wyspy, dręczonych przez okrutnego tyrana i nękanych przez nieustanne najazdy i grabieże ze strony dzikich barbarzyńców. W czasie podróży moi towarzysze wyginęli z powodu zimna, chorób i zbójceckich napadów. Przybyłem więc sam, lecz nawet nie dopuszczono mnie przed oblicze cesarza, który był tchórzliwą marionetką w rękach kolejnych barbarzyńców, nie chciał więc mnie wysłuchać. Wkrótce popadłem w nędzę; zdołałem przeżyć tylko dzięki znajomości medycyny i alchemii, aż wreszcie zostałem preceptorem tego chłopca. Zawsze byłem z nim wspierając go w dobrych i złych chwilach, w godzinie radości i smutku, upokorzenia i niewoli i mogę was zapewnić, że ma w sobie więcej odwagi, współczucia i szlachetności niż jakakolwiek znana mi osoba. — Wszyscy umilkli pod

wrażeniem tej nieoczekiwanej przemowy, Ambrozynus zaś położył dłoń na ramieniu Romulusa i popchnął go na środek, jakby chciał, by skupili na nim swą uwagę. Po czym bardziej opanowanym, ale i bardziej uroczystym tonem dodał: — Teraz proszę go, by wysłuchał prośby swoich poddanych z Brytanii, od wielu, wielu lat pozostawionych własnemu losowi, i przybył im z odsieczą; proszę, by nadal stawiał wraz ze mną czoło kolejnym niebezpieczeństwom, cierpiąc niedostatek, z waszą pomocą lub bez waszej pomocy.

Pozostali wpatrywali się weń ze zdumieniem, po czym spojrzeli po sobie, jakby nie wierzyli własnym uszom.

— Wiem, co sobie myślicie; czytam to w waszych twarzach — ciągnął Ambrozynus. — Myślicie, że postradałem rozum, ale się mylicie. Teraz, kiedy zostaliście pozbawieni nagrody, macie tylko dwie możliwości. Możecie oddać Romulusa Augustusa w ręce wroga, a wówczas otrzymacie być może jeszcze większą zapłatę, możecie zdradzić swego cesarza i splamić się straszliwą zbrodnią, ale tego nie zrobicie. Przez ten krótki bowiem czas, który spędziłem razem, zdołałem was poznać i przekonałem się, że przetrwało w waszych sercach coś, co uważałem za wymarłe od wieków: męstwo, odwaga i wierność prawdziwych rzymskich żołnierzy. Albo też możecie nas puścić, zwrócić nam wolność. — Wzrok Ambrozynusa spoczął na rękojeści miecza, który Aureliusz nosił przewieszony przez ramię. — Ten miecz będzie naszym talizmanem, przewodnikiem zaś stara przepowiednia, którą znamy tylko my dwaj.

W obszernej grocie zapadła całkowita cisza. Wszyscy byli pod wrażeniem słów owego mędrca, a także dostojęstwa i odwagi tego małego władcy bez królestwa i wojska.

— Pójdę z tobą, *Ambrosine* — powiedział Romulus — wszędzie tam, gdzie mnie poprowadzisz, z mieczem lub bez niego. Bóg nam pomoże. — Chwyciwszy go za rękę, ruszył do wyjścia.

Wówczas zastąpił mu drogę Aureliusz.

OSTATNI LEGION

— Mogę spytać, jak zamierzacie się tam dostać?

— Na piechotę — odparł lakonicznie Ambrozynus.

— Na piechotę — powtórzył Aureliusz, jakby chciał się upewnić, że dobrze usłyszał.

— Właśnie.

— A kiedy już tam dotrzecie — wtrącił z sarkazmem Watrenus — bo przypuszczam, że wam się to uda, jak zamierzacie pokonać tego okrutnego tyrana, o którym mówiłeś, i jego groźnych barbarzyńców, we dwóch, starzec i...

— Dziecko — dokończył za niego Romulus. — Właśnie to chciałeś powiedzieć, prawda? Otóż wyobraź sobie, że Hus, syn bohaterskiego Eneasza, był dzieckiem, kiedy opuścił płonąca Troję i przybył do Italii. A przecież to właśnie od niego wywodzi się najpotężniejszy naród wszech czasów. Nie mam nic, co mogę wam dać, nie mam ziemi, pieniędzy ani posiadłości, którymi mógłbym spłacić dług wobec was. Mogę wam tylko podziękować za to, co dla mnie zrobiliście. Mogę zapewnić, że nigdy was nie zapomnę, że pozostaniecie w moim sercu na zawsze, nawet gdybym miał dożyć stu lat... — Głos drżał mu ze wzruszenia. — Ty, Aureliuszu, i wy, Demetriuszu, Batiatusie, Orozjuszu i Liwio, pamiętajcie o mnie... żegnajcie. — Po czym zwrócił się do nauczyciela: — Chodź, *Ambrosine*, ruszamy w drogę.

Podeszli do wejścia do świątyni Mitry, odgarnęli gałęzie i podążyli ścieżką. Wówczas Aureliusz chwycił Dżubę za uzdę i spoglądając w oczy przyjaciółom oświadczył:

— Idę z nimi.

Zupełnie jakby to było oczywiste.

Watrenus otrząsnął się ze zdumienia.

— Mówisz poważnie? — nie dowierzał. — Zaczekaj, niech cię licho porwie, zaczekaj, dokąd idziesz? — I podążył za nim.

Liwia uśmiechnęła się tylko, jakby właśnie na to czekała, i ruszyła do wyjścia ciągnąc za sobą konia.

Batiatus podrapał się po głowie.

— Bardzo daleko jest do tej Brytanii? — zapytał pozostałą dwójkę.

— Myślę, że tak — odrzekł Orozjusz. — Obawiam się, że to najdalsza kraina ze wszystkich, przynajmniej z tych, o których słyszałem.

— W takim razie lepiej się pośpieszyć. — Gwizdnawszy na swego konia, przedarł się przez pnącza i odszedł ku słońcu.

Znajdujący się już na ścieżce Ambrozynus i Romulus usłyszeli wprawdzie za plecami trzask suchych gałęzek i stukot końskich kopyt, nie przerwali jednak marszu. Po chwili wszakże zdawszy sobie sprawę, że wszyscy podążają tą samą drogą, Romulus przystanął ściskając ramię Ambrozynusa. Następnie powoli się odwrócił stając twarzą w twarz z całą szóstką.

— Dokąd idziecie? — zapytał.

Aureliusz wystąpił naprzód.

— Czyżbyś naprawdę myślał, że cię zostawimy? — powiedział. — Jeżeli chcesz, od tej chwili masz własną armię. Małą, ale waleczną. I oddaną. *Ave, Caesar!* — Wy dobył z pochwy miecz i podał go chłopcu. W tymże momencie spomiędzy chmur wyrzwał promyk słońca, przebił się przez gałęzie pinii i dębów ostrolistnych, po czym spłynął na chłopca i jego cudowny miecz zalewając go magicznym, nierzeczywistym światłem.

Romulus z uśmiechem oddał broń Aureliuszowi.

— Przechowaj go dla mnie — polecił.

Aureliusz wyciągnął dłoń i pomógł mu wsiąść przed sobą na konia, po czym dał znak pozostałym, aby przyprowadzili Ambrozynusowi jego mulicę.

— Czekaj nas teraz długa i niebezpieczna podróż — oznajmił. — Za dwa lub trzy dni roztoczy się przed nami Nizina Padańska, w większości odstonięta i pozbawiona kryjówek, więc łatwo będzie można nas zobaczyć.

— To prawda — przytaknął Ambrozynus. — Ale będziemy mieli potężnego sprzymierzeńca.

— Ach tak? A jakiego?

— Mglę — odrzekł.

— Może Stefanus będzie mógł coś jeszcze dla nas zrobić — powiedziała Liwia. — Przyplynał łodzią, żeby

OSTATNI LEGION

umożliwić nam ucieczkę. Może będzie mógł nam dać chociaż część pieniędzy, które nam obiecano, albo przynajmniej zapasy jedzenia. Nizina Padańska jest duża, a dni krótkie i mgliste; nie będzie łatwo się ukryć.

— To prawda — zgodził się z nią Aureliusz. — Ale potem musimy przejść Alpy, a wtedy już nastanie zima.

XXII

Dostrzegłszy pojawiający się na skraju lasu oddział Wulfili — wszystkiego pół tuzina żołnierzy — wyjechał im na spotkanie starając się zachowywać naturalnie.

— Gdzie reszta? — zapytał.

— Podzieliłem ich na grupy i rozesłałem, żeby przeszukali okolice. Jestem pewien, że są gdzieś blisko. Ze starcem i dzieciakiem na karku nie mogli uciec zbyt daleko.

— Tak, ale pogoda zaczyna się psuć, a to nam wcale nie ułatwi zadania — odrzekł Stefanus.

Rzeczywiście, znad morza nadeszły ciemne chmury i zaczął padać lodowaty deszcz ze śniegiem.

Pożar, który zdążył strawić ściernisko i sterty słomy, zgasł, pozostawiając po sobie poczerniałą, dymiącą pustkę. Część zepchniętych w dół pni drzew zatrzymała się natrafiwszy na jakąś przeszkodę, część doturlała się na brzeg, pozostałe zaś wpadły do strumienia.

Stefanus szczerkał zębami z zimna trzęsąc się jak osika, znalazł wszakże siły, by mówić.

— To się nie spodoba Odoakrowi ani emisariuszom Zenona. Nie chciałbym być w twojej skórze, kiedy będziesz musiał opowiedzieć, co się stało. I niech ci się nie zdaje, iż zaryzykuję własną pozycję, żeby cię ratować. Pozwoliłeś, by starzec i chłopiec uciekli ci sprzed nosa, chociaż miałeś siedemdziesięciu żołnierzy na swoje rozkazy. To nie do wiary, ktoś mógłby pomyśleć, że dałeś się przekupić.

— Zamilcz! — wrzasnął Wulfila. — Gdybyś mnie w porę uprzedził, złapalibyśmy wszystkich.

— To było niemożliwe. Człowiek Antoniusza w Neapolu tak dobrze zaplanował ich ucieczkę, że sam zgubiłem ślad, a oni nie dali więcej znaku życia. Co miałem ci powiedzieć? Jedyne pewne miejsce spotkania było tutaj, przy statku. I właśnie o tym cię powiadomiłem.

— Nie potrafię wyczuć, po czyjej naprawdę jesteś stronie, ale strzeż się. Jeśli się okaże, że prowadzisz podwójną grę, pożałujesz dnia, w którym się urodziłeś.

Stefanus nie miał siły odeprzeć ataku.

— Daj mi coś do przykrycia — powiedział. — Nie widzisz, że umieram z zimna?

Wulfila zmierzył go od stóp do głów z pogardliwym uśmiechem, po czym odpiął od siodła derkę i rzucił na ziemię. Podniósłszy ją, Stefanus owinął się po same uszy.

— Co teraz zamierzasz? — zapytał, kiedy złapał oddech.

— Złapać ich za wszelką cenę. Bez względu na to, dokąd poszli.

— Ale to może zająć dużo czasu. Skoro nie schwytałeś ich teraz, kiedy byli w zasięgu ręki, wcale nie jest powiedziane, że uda ci się później. Czas działa na ich korzyść. Na dodatek z Capri mogłyby się rozsiać dziwne pogłoski, które wzbudziłyby absurdalne oczekiwania.

Wreszcie Wulfila zdecydował się zsiąść z konia, Stefanus nie musiał więc dłużej zadzierać głowy.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał.

— To proste: jeżeli rozejdzie się pogłoska, że cesarz uciekł, ktoś może to wykorzystać wywołując poważne następstwa. — Wulfila wzruszył ramionami. — Tymczasem Odoaker życzył sobie — ciągnął Stefanus — żeby chłopiec spędził resztę życia na wyspie i tak powinno być. Nikt nie może się dowiedzieć, że zniknął.

— Więc co powinienem zrobić?

— Wyślij na Capri kogoś zaufanego. Zastąp Romulusa jego sobowtórem, chłopcem w tym samym wieku, ubranym w taki sam strój i postaraj się, żeby nikt nie zobaczył go

z bliska, przynajmniej przez kilka miesięcy, dopóki nie wymienisz całej załogi z opiekunami włącznie. Dla zwykłych ludzi, zresztą nie tylko dla nich, on nigdy nie wyszedł z willi i nie opuścił wyspy. I nigdy nie opuści. Czy wyraziłem się jasno? Wulfila skinął głową.

— Potem będziesz musiał wyznać wszystko Odoakrowi. I to osobiście.

Wulfila ponownie skinął głową powstrzymując gniew. Nie cierpiał tego dworskiego intryganta, zdawał sobie wszakże sprawę, że chociaż przemoknięty, przemarznięty i opatulony końską derką, i tak znajdował się bez wątpienia w lepszej sytuacji niż on. Dał mu znak, by ruszył za nim, po czym weszli do starej *mansio*, która dzięki swojemu położeniu nie została strawiona przez pożar, by tam poczekać na powrót reszty żołnierzy. W tej samej chwili Stefanus coś sobie przypomniał, kazał mu się więc przysunąć bliżej, żeby go nikt nie usłyszał.

— Antemiusz miał informatorów na Capri, nawet na łodziach, którymi ścigałeś zbiegów, i jeden z nich przekazał mi między innymi pewną osobliwą historię — zaczął. Wulfila spojrział nań podejrzliwie. — Podobno jeden z tych ludzi miał wspaniałą broń, nigdy niespotykany miecz. Wiesz coś o tym?

Wulfila unikał jego wzroku z takim zakłopotaniem, że od razu było wiadomo, iż kłamie, gdy odrzekł:

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Dziwne. Przypuszczam, że musiałeś stoczyć walkę z tym małym oddziałem, aby przeszkodzić im w porwaniu cesarza.

— Ludzie gadają, co im ślina na język przyniesie. Nie mam o niczym pojęcia. A kiedy człowiek walczy, patrzy w oczy przeciwnika, a nie na jego broń. A poza tym ja też poprosiłem cię o informację, której mi wcale nie udzieliłeś.

— Na temat tego legionisty? Wiem tylko, że należał do oddziału, który Mled wybił w Dertonie, i że nazywa się Aureliusz.

— Aureliusz? Powiedziałeś: Aureliusz?

— Coś ci to mówi?

Wulfila zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Jestem pewien, że już go gdzieś widziałem dawno temu. Nigdy nie zapominam twarzy. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Ten człowiek zniknął tamtej nocy w morzu i do tej pory pewnie pożarły go ryby.

— Nie byłbym tego taki pewien — odparł Stefanus.

— O ile wiem, niewykluczone, że się uratował i że ciągle ma przy sobie ten miecz.

Wreszcie wrócili pierwsi z ludzi Wulfili — ze spuszczo-
nymi głowami, z pustymi rękoma.

Dowódca sprawił im cięgi.

— To niemożliwe! — krzyczał. — Przecież nie roz-
płynęli się w powietrzu!

— Szukaliśmy wszędzie — powiedział jeden z żoł-
nierzy. — Być może mieli jakąś dobrą kryjówkę. Spędzili
całe życie na tej ziemi, więc ją znają o wiele lepiej niż my.
Albo ktoś udzielił im schronienia.

— Mielicie przeszukać chaty i zmusić wieśniaków do
mówienia. Chyba wiecie, jak się to robi?

— Przesłuchaliśmy ich. Ale wielu nie rozumie naszego
języka.

— Udają! — wrzasnął Wulfila.

Stefanus przyglądał mu się z pozorną obojętnością,
w głębi duszy wszakże bawił go widok tej włochatej bestii
wpadającej w panikę. Kolejne grupy żołnierzy wróciły
około południa.

— Może znaleźli jakieś ślady bardziej na północy

— powiedział jeden z jeźdźców. — Tak czy inaczej
umówiliśmy się w Pesaro; ci, którzy przyjadą pierwsi, mają
zaczekać na pozostałych. A co teraz zrobimy?

— Wznawiamy pościg — odparł Wulfila. — Natych-
miast.

Stefanus jął się żegnać.

— Spodziewam się zobaczyć cię w Rawennie. Za-
czekam tutaj na łódź, która mnie stąd zabierze. — Po czym
dał mu znak, żeby przysunął się bliżej. — Czy to prawda, że
ten miecz miał rękojeść ze złota w kształcie głowy orła?

— Nic o tym nie wiem. Nie mam pojęcia, o czym mówisz — powtórzył Wulfila.

— Możliwe, ale gdyby kiedykolwiek wpadł ci w ręce, pamiętaj, że jest ktoś, kto byłby skłonny zapłacić za niego, ile tylko zażadasz, dosłownie obsypać cię złotem, byleby go mieć. Rozumiesz? Nie rób głupstw; gdybyś wszedł w jego posiadanie, powiedz tylko słowo, a sprawię, że do końca swoich dni będziesz płacił się w luksusie.

Wulfila zmilczał obietnicę Stefanusa, wpatrując się weń przez chwilę nieodgadnionym wzrokiem, po czym wezwał swoich żołnierzy i ustawił ich w tyralierę, rozesłał galopem we wszystkich kierunkach, sam zaś objął dowództwo nad grupą, która ruszyła na północ. Jechali przez wiele dni przeczesując wszystkie możliwe ścieżki, jednakże na próżno, dopóki nie spotkali się w Pesaro z oddziałem, który ich wyprzedził. Pogoda się popsowała; padał drobny, lecz uporczywy deszcz, który zamieniał drogi w błotniste strumyki. Pola stały się niemal niemożliwe do przebycia, wzgórze zaś zaczęły się pokrywać bielą. Awangarda zdążyła już przekazać garnizonom wiadomość, że poszukuje się pięciu mężczyzn, kobiety, starca i chłopca. Wcześniej czy później ktoś ich zauważy. Wulfila popędził więc co koń wyskoczy do Rawenny, gdzie czekało go najtrudniejsze zadanie: rozmowa z Odoakrem.

Magister mili tum przyjął go w jednej z cesarskich komnat. Wulfila natychmiast wyczytał z jego oczu, że już o wszystkim wie, zdał też sobie sprawę, że cokolwiek powie, może go tylko wprawić w jeszcze gorszy humor. Odczekał więc, aż burza ucichnie.

— Moi najlepsi ludzie! — krzyczał Odoaker. — I mój adiutant we własnej osobie okpieni przez garstkę desperatów, garstkę zramolanych Rzymian. Jak to możliwe?

— Nie byli zramolali! — odparł z irytacją Wulfila.

— To oczywiste. Więc to wy jesteście zramolali.

— Wolnego, Odoakrze, nawet ty nie masz prawa mówić do mnie w ten sposób.

— Grozisz mi? Po tym, jak poniosłeś taką sromotną klęskę, jeszcze ośmielasz się mi grozić? A teraz opowiesz mi

dokładnie, co się stało, nie pomijając żadnego szczegółu. Muszę wiedzieć, jakiego pokroju ludzie mnie otaczają, muszę się upewnić, czy staliście się bardziej tchórzliwi i nieudolni niż Rzymianie, których podbiliśmy i ujarzmiliśmy.

— Wzięli nas z zaskoczenia w nocy, w czasie burzy, wdrapując się na urwisko od strony północnej, które praktycznie jest nie do pokonania. Uciekli tajemnym przejściem prowadzącym do morza. Mimo to wysłałem dwa statki, żeby patrolowały pobliskie wody, ale nawet żywoły sprzysięgły się przeciwko nam. Kiedy burza prawie ucichła, nastąpił wybuch wulkanu, więc ich łódź zniknęła w gęstym dymie. Sam widziałem, jak ich dowódca, ten sam, który już raz próbował uwolnić chłopca tu, w Rawennie, wpada do morza, ale i tak nie dałem za wygraną.

— Jesteś tego pewien? — zapytał Odoaker ze zdumieniem. — Jesteś pewien, że to ten sam? Jak mogłeś to stwierdzić, skoro jak mówisz, było ciemno?

— Widziałem go tak, jak teraz ciebie widzę, i nie mogłem się pomylić. A zresztą nie wydaje mi się, żeby było w tym coś dziwnego: ten, kto raz spróbował, ale mu się nie udało, może spróbować znowu, chociaż uderzyło mnie to, że jechał za nami tak daleko.

— Mów dalej — ponaglił Odoaker, nie mogąc się doczekać końca tej dziwnej historii.

— Mogłem przypuszczać, że utonęli — ciągnął Wulfila — że roztrzaskali się o skały płynąc w kompletnych ciemnościach, tymczasem przeszedłem przez Apeniny i przybyłem dokładnie w tym samym dniu co oni, przy czym mieli nade mną tę przewagę, że znali teren. Niestety kiedy już ich miałem w garści, udało im się uciec i mimo wszelkich wysiłków, jakich nie szczędziliśmy, ani ja, ani moi ludzie nie natrafiliśmy na ich ślad. W każdym razie to oczywiste, że wiedzieli, gdzie są więźniowie, wiedzieli, że północna ściana zazwyczaj jest niestrzeżona, i znali drogę ucieczki, o której istnieniu nawet nie mieliśmy pojęcia, co oznacza, że ktoś musiał im przekazywać informacje.

— Kto? — krzyknął Odoaker.

— To mógł być ktokolwiek: sługa, robotnik, piekarz albo kowal, jedna z kucharek albo markietanek albo też... ladacznica, dlaczego nie? Ale z pewnością musiał za tym stać ktoś ważny, bo niby skąd by wiedział o tajemnym przejściu? Ograniczyłem do minimum kontakty między willą a resztą wyspy, ale nie dało się ich całkiem uniknąć.

— Jeśli kogoś podejrzewasz, mów.

— Może to Antoniusz; mógł dobrze znać willę na Capri. Podobno ma w Neapolu mnóstwo znajomości. No i sam Stefanus...

— Stefanus to człowiek inteligentny i zdolny; ma zmysł praktyczny i przydaje mi się w kontaktach z Zenonem

— odrzekł Odoaker, było jednak oczywiste, że słowa Wulfili zrobiły na nim wrażenie. Świadczyły bowiem o tym, że przedsięwzięcia dokonali ludzie, których cechuje nieprawdopodobna odwaga, przebiegłość i nadzwyczajna przenikliwość. W tej samej chwili uświadomił sobie również, jak trudne, jeśli nie niemożliwe, byłoby rządzenie tym krajem wyłącznie za pomocą siły wojska, które wszyscy traktowali jako obce, gwałtowne i okrutne — jednym słowem, barbarzyńskie. Dotarło do niego, że powinien się otoczyć nie mieczami, lecz bystrymi umysłami, polegać nie na sile, lecz na wiedzy, i że jest bardziej narażony na niebezpieczeństwo wśród setki żołnierzy, którzy strzegli pałacu, niż na polu bitwy. Przez chwilę poczuł się zagrożony przez trzynastoletniego, znów wolnego i dobrze chronionego chłopca, którego nie można nigdzie odnaleźć; przypomniał sobie, że poprzysiągł mu on zemstę nad martwym ciałem matki, w krypcie bazyliki. Rozdrażniło go to. — Więc co według ciebie powinniśmy teraz zrobić?

— zapytał.

— Ja już poczyniłem pewne kroki — oznajmił Wulfila.

— Kazałem zastąpić chłopca sobowtórem, który jest w tym samym wieku, tej samej budowy ciała i tak samo odziany; będzie mieszkał w tym samym miejscu, ale dostęp do niego będą miały wyłącznie zaufane osoby. Reszta będzie go oglądać tylko z daleka. Wkrótce wymienię wszystkie straże

i wszystkich sługów, nowi zaś nie znając prawdziwego Romulusa Augustusa nie będą mieli żadnego porównania i pomyślą, że ten nowy jest autentyczny.

— To sprytny plan — uznał Odoaker. — Nie sądziłem, że potrafisz wymyślić coś podobnego. Tak już lepiej, ale teraz chcę wiedzieć, jak zamierzasz złapać chłopca i całą resztę.

— Daj mi dekret, który przyznałby mi nieograniczoną władzę i możliwość wyznaczenia nagrody za jego głowę. W ten sposób nie zdołają nam uciec. To najbardziej rzucająca się w oczy karawana, jaką można sobie wyobrazić, więc nie będzie zbyt trudno ją zauważyć. Prędzej czy później muszą wyjść z ukrycia, prędzej czy później muszą kupić jedzenie, poszukać noclegu; to już nie pora, żeby sypiać pod gołym niebem.

— Ale przecież nawet nie wiesz, w którą stronę pojechali.

— Moim zdaniem teraz, kiedy droga na wschód jest zamknięta, kierują się na północ. Bo niby dokąd mieliby jechać? Muszą za wszelką cenę wydostać się z Italii. Tym bardziej że to już nie pora na pływanie łodzią.

Odoaker zadumał się przez chwilę. Wulfila przyglądał mu się, jakby zobaczył go po raz pierwszy w życiu. Rozstali się wprawdzie zaledwie na kilka miesięcy, naszyły w nim wszakże imponujące zmiany: miał teraz krótkie i starannie uczesane włosy, świeżo ogoloną twarz, nosił lnianą dalmatykę z długimi rękawami i dwoma pasami haftowanymi złotem i srebrem, które sięgały od ramion aż do samego skraju, na nogach zaś miał boty z cielęcej skóry, również wyszywane czerwoną i żółtą wełną i ze sznurowadłami z czerwonej skóry. Na szyi wisiał mu srebrny medalion ze złotym krzyżem, nosił też srebrny pleciony pas. Na serdecznym palcu jego lewej dłoni widniał pierścień z cenną kameą. Od rzymskiego dostojnika odróżniał go jedynie kolor włosów i zarostu — rudawy blond — oraz piegi na twarzy, nosie i rękach. Zdając sobie sprawę ze sposobu, w jaki przyglądał mu się Wulfila, postanowił przerwać tę kłopotliwą obserwację.

— Cesarz Zenon przesłał mi nominację na rzymskiego patrycjusza — oświadczył — co daje mi prawo do używania przed własnym imieniem imienia „Flawiusz”, a poza tym przekazano mi pełną władzę zarządzania tym krajem i przyległych ziem. Dostaniesz dekrety, o które prosisz. Jako że życie tego chłopca nie ma żadnego politycznego znaczenia, przynajmniej jeśli chodzi o nasze stosunki z Cesarstwem Wschodniorzymskim, natomiast stwarza poważne zagrożenie buntu, musisz go znaleźć i zabić. Przynieś mi jego głowę, resztę spal i rozsyp popioły. Jedynym Romulusem Augustem albo jak nazywali go z szyderstwem za plecami dworacy, Augustulusem będzie ten, który przebywa na Capri. Dla wszystkich i na zawsze. Co do ciebie, masz nie wracać, dopóki nie wykonasz rozkazu. Jeśli to będzie konieczne, ścigaj go aż na koniec świata, a jak wrócisz bez jego głowy, wezmę w zamian twoją. Dobrze wiesz, że jestem do tego zdolny.

Wulfila pominął tę groźbę pogardliwym milczeniem.

— Przygotuj dekrety — rzekł tylko. — Zaraz wyruszę. — Zamierzał właśnie wyjść, zanim jednak przekroczył próg, odwrócił się, by zapytać: — Co się stało z Antemiuszem?

— Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Żeby lepiej zrozumieć, kim jest ów Stefanus, który jak się wydaje, został ważną osobistością w Rawennie.

— Dzięki Stefanusowi zostały odnowione dobre stosunki między Wschodem i Zachodem — wyjaśnił Odoaker. — Przyczynił się też do umocnienia mojej pozycji w Rawennie; było to skomplikowane i delikatne przedsięwzięcie, którego ty nie byłbyś nawet w stanie pojąć. A co do Antemiusza, dostał to, na co zasłużył. Obiecał Bazyliskusowi bazę morską na lagunie w zamian za ochronę dla Romulusa, a poza tym spiskował z nim, żeby mnie zgładzić. Kazałem go udusić.

— Rozumiem — odparł Wulfila, po czym wyszedł.

Stefanus przybił do Arminium dzień później, jako że z powodu bardzo niebezpiecznego przeciwnego wiatru

z północnego zachodu jego łódź musiała nadłożyć spory kawałek drogi płynąc Adriatykiem. Wulfila zrobił wszystko, by ani na chwilę nie stracić jej z oczu. Zdążył sobie uświadomić kilka istotnych rzeczy. Odoaker miał taką samą obsesję na punkcie owego miecza jak on sam z powodów, których nie znał, ale które na pewno miały coś wspólnego z władzą i pieniędzmi, skoro był gotów aż tyle za niego zapłacić. Poza tym Stefanus musiał przejąć siatkę informatorów, która wcześniej pracowała dla Antemiusza, jednocześnie nie brudząc sobie rąk zabójstwem. I wreszcie, Odoaker to najsprytniejszy i najniebezpieczniejszy człowiek, z jakim miał w życiu do czynienia. Paktowanie z nim oznaczałoby grę na jego własnym terenie, a co za tym idzie, pewną porażkę. Najlepszą zatem rzeczą, jaką mógł zrobić, było sprawdzenie, czy nie wykona on jakiegoś posunięcia, jak na przykład wyjazd z Rawenny. Jeśli dobrze zrozumiał, miało to nastąpić już niedługo, a wówczas zaczęłby mu deptać po piętach pewien znacznych korzyści. Tymczasem rozesłał kurierów, by zdobyli wiadomości na temat ewentualnego przejazdu sześć- bądź siedmioosobowej grupy, w której znajdowali się czarnoskóry olbrzym, starzec i chłopiec.

Kiedy ludzie Wulfili odjechali, mała karawana Aureliusza czym prędzej zatarła za sobą ślady wspinając się z powrotem ciasną doliną, której dnem płynął strumyk, a następnie trzymając się wzgórz, by z wysokości mieć lepszy widok na całą okolicę. Ponadto podzieliła się na trzy grupy maszerujące w odległości około jednej mili od siebie. Batiatus, otulony długim płaszczem z kapturem, który niemal całkowicie go zakrywał, szedł sam, dzięki czemu nie sprawiał wrażenia aż tak wielkiego, niż gdyby poruszał się wśród swych towarzyszy podróży. Romulus posuwał się wraz z Liwią i Aureliuszem, toteż wyglądali jak rodzina, która podróżuje ze skromnym bagażem. Każdy miał pod płaszczem ukrytą broń, natomiast tarcze, jako że były zbyt duże, załadowano na mulicę Ambrozynusa i schowano pod derką. To właśnie on podsunął im ten fortel, podczas gdy

Liwia nakreśliła marszrutę, udowadniając po raz kolejny, że posiada doświadczenie starego weterana. Wszystko pokrywał śnieg, nie sięgał wszakże aż tak wysoko, aby uniemożliwić poruszanie się; ponadto temperatura nie była zbyt niska, jako że niebo niemal ciągle przesłaniały chmury.

Pierwszej nocy schronili się w szałasie, który zbudowali sobie z gałęzi jodły, porąbawszy je toporami. Kiedy zaś się upewnili, że wróg ich nie śledzi, rozpalili ognisko w głębi lasu, z dala od drzew. Nazajutrz wypogodziło się, temperatura spadła, płynące zaś znad morza powietrze, cieplejsze i bardziej wilgotne, gromadziło się nad pierwszymi wzniesieniami Apeninów tworząc gęstą kurtynę ze śniegu, która zasłaniała ich całkowicie przed wzrokiem kogoś, kto patrzyłby z dołu. Dotarłszy w pobliże równiny pod koniec drugiego dnia, musieli zdecydować, czy mają zejść i całą ją przemierzyć czy też pozostać na górze łańcucha Apeninów, co doprowadziłoby ich na zachód. Byłaby to najłatwiejsza i być może najmniej niedostępna droga, ale wówczas musieliby minąć wybrzeże liguryjskie podążając w kierunku Galii, gdzie mogliby się natknąć na wojska Odoakra, najprawdopodobniej uprzedzone, że będą tędy przechodzić. Nie można też było wykluczyć, że Wulfila na każdą przełęcz wysła człowieka będącego w stanie rozpoznać zbiegów, zważywszy, iż dziesiątki jego żołnierzy znało zarówno Romulusa, jak i jego opiekuna, widzieli ich bowiem na Capri w ciągu kilku tygodni, jakie spędzili tam w niewoli. Mapa, którą Ambrozynus na szczęście przerysował w *mansio ad Fanum*, okazała się niezwykle cenna, toteż wraz z nadejściem nocy wszyscy usiedli wokół ogniska, aby wytyczyć marszrutę i zastanowić się, co robić.

— Odradzałbym teraz zejście z grzbietu i przemarsz przez Emilię — oznajmił Ambrozynus — ponieważ znaleźlibyśmy się zbyt blisko Rawenny i szpiedzy Odoakra mogliby nas wytropić. Proponowałbym trzymać się gór i posuwać na zachód, dopóki nie znajdziemy się na wysokości Placencji. Wtedy zaś będziemy musieli się zdecydować, czy podążamy aż do Postumii, a stamtąd schodzimy ku

Galii, czy też idziemy na północ, do jeziora Verbanum, skąd można dotrzeć do przełęczy, która łączy dolinę Padu ze wschodnią Recją, obecnie będącą pod kontrolą Burgundów. — Ambrozynus pamiętał również, że niedaleko przełęczy ciągnie się niezbyt trudny szlak, który prowadzi przez terytorium Mezów do retyckiej wioski niemal na wododziale, sam bowiem nim przechodził po przybyciu do Italii. — Jeżeli chcecie znać moje zdanie — zakończył — odrzuciłbym pierwszą możliwość, gdyż znaleźlibyśmy się wówczas na zbyt uczęszczanej i ludnej drodze, a więc byłibyśmy narażeni na nieustanne ryzyko. Szlak północny jest o wiele trudniejszy, nieporównanie bardziej męczący i uciążliwy, ale właśnie dlatego zarazem bezpieczniejszy.

Aureliusz zgodził się z jego opinią, wraz z nim zaś przytaknęli Batiatus i Watrenus.

Owa jednomyślność trójki przyjaciół z oddziału nie uszła uwagi Ambrozynusa; wszyscy zdawali sobie sprawę, że posuwając się na zachód musieliby mijać Dertonę, gdzie pola ciągle jeszcze bielily się od kości ich poległych towarzyszy.

XXIII

— To bardzo długa podróż — stwierdziła Liwia przezywając ciszę, która zapanowała niespodziewanie nad ich małym obozowiskiem. — Potrzebne nam będą pieniądze, których już w ogóle nie mamy.

— Prawda — przytaknął Ambrozynus. — Będą potrzebne, żeby kupić jedzenie, żeby uiścić myto na mostach i przeprawach promowych, żeby zapłacić za paszę dla koni, kiedy znajdziemy się w wysokich górach, albo za nocleg, kiedy zrobi się zbyt zimno, żeby spać pod gołym niebem.

— Jest tylko jeden sposób — oświadczyła Liwia. — O tej porze Stefanus powinien być w Arminium, w swojej willi nadmorskiej. Jest nam winien zapłatę za

zadanie, które wykonaliśmy, a nawet jeśli nie zapłaci w całości, nie sądzę, żeby odmówił nam pomocy. Znam to miejsce, bo spotkałam się tam raz z Antemiuszem, więc trafię bez trudu.

— Można mu zaufać? — włączył się Aureliusz.

— W gruncie rzeczy przybył do Fanum, żeby zapewnić nam drogę ucieczki. Stefanus tak jak wszyscy musi przeżyć przystosowując się do wszelkich zmian w polityce, skoro jednak Antoniusz miał do niego zaufanie, musiał być jakiś powód.

— Właśnie to mnie martwi: przecież Antemiusz nas zdradził.

— W pierwszej chwili też tak pomyślałam, ale po zastanowieniu doszłam do wniosku, że z powodu zmiany na tronie Konstantynopola musiał się znaleźć w delikatnej sytuacji. Może go przyłapali, a potem torturowali; trudno nam sobie wyobrazić, co się naprawdę stało. Tak czy inaczej wy nic nie ryzykujecie. Pójdę tam sama.

— Nie, idę z tobą — zaprotestował Aureliusz.

— Lepiej nie — upierała się Liwia. — Ty jesteś potrzebny tutaj, musisz zostać z Romulusem. Wyruszę przed świtem, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę pojutrze koło wieczora. Jeżeli nie uda mi się wrócić, jedźcie beze mnie, jakoś zdołacie przeżyć; przetrwaliście już gorsze rzeczy.

— Jesteś pewna, że dasz radę to zrobić w tak krótkim czasie? — zapytał Ambrozynus.

— Tak, jeśli nie przydarzy się nic niespodziewanego, będę u Stefanusa, zanim się ściemni. A pojutrze wyruszę przed świtem i wrócę tu, żeby spędzić z wami noc.

Przyjaciele spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

— Czego się boicie? — uspokoiła ich Liwia. — Zanim was poznałam, zawsze doskonale dawałam sobie radę, a zresztą widzieliście mnie w akcji, czyż nie?

Ambrozynus podniósł wzrok znad mapy.

— Posłuchaj mnie, Liwio — powiedział — kiedy się rozdzielamy, tworzy się trudna sytuacja. Ten, kto czeka dłużej, niż to było ustalone, z każdą upływającą chwilą

zaczyna snuć coraz dziwniejsze przypuszczenia, wyobraża sobie najrozmaitsze warianty, liczy kroki nieobecnego towarzysza, usiłując wciąż na nowo odmierzać czas potrzebny do jego spóźnienia. I prawie nigdy powody, jakie znajduje dla usprawiedliwienia jego powrotu, nie zgadzają się z prawdą. Z drugiej zaś strony osoba, która jest daleko i której przydarzają się jakieś nieprzewidziane wypadki, zadrecza się myśląc, że wystarczyłoby poświęcić parę godzin więcej na powrót, by czekającym przyjaciółom oszczędzić tyleż godzin niepokoju i zmartwienia. Wobec tego umówimy się na drugie spotkanie. Jeśli nie będzie cię do pojutra wieczorem, i tak zostaniemy tu na noc i wyruszymy dopiero przed świtem. Jeżeli nie wrócisz nawet do tej pory, będzie to znaczyło, że napotkałeś jakąś przeszkodę nie do pokonania. Wiedz jednak, że przejdziemy przez Alpy przełęczą Mezów, tą, którą widzisz na mapie. — Wskazał palcem. — Możesz sobie wziąć ten plan; ja już się go nauczyłem na pamięć ze wszystkimi szczegółami. Według tej mapy dojdiesz do przełęczy i w ten sposób i tak będziesz mogła do nas dołączyć, jeśli ci się uda.

— Moim zdaniem to najlepsze rozwiązanie — pochwaliła Liwia. — Idę się przygotować do drogi. — Mówiąc to chwyciła uprząż i podeszła do konia, który pał się w pobliżu.

Aureliusz podążył za nią.

— W Arminium — rzekł — znajdziesz się bardzo blisko domu. Tylko parę godzin łódką i znów byłabyś w swoim mieście na lagunie. Co zamierzasz zrobić?

— Wrócę — odparła Liwia. — Tak jak obiecałam.

— Wyruszamy na spotkanie nieznanego — ciągnął Aureliusz — spełniając marzenia starego preceptora i podążając za małoletnim cesarzem ściganym przez zaciętych wrogów. Według mnie twój udział w tej podróży to nie jest mądra decyzja. Twoje miasto na wodzie czeka na ciebie, prawda? Twoi ziomkowie będą się martwić, że tak długo cię nie ma. Nie masz tam nikogo bliskiego?

Liwia zdawała się wpatrzona w dolinę, w morze mgły, zza której wystawały jedynie czubki najwyższych drzew

i małeńka wioska ufortyfikowana na szczycie wzgórza. Z kominów niczym wieczorne modlitwy wznosiły się ku rozgwieżdżonemu niebu wąskie smużki dymu, szczerkanie psów zaś nikło w gęstym zimnym powietrzu, które otaczało równinę. Od ucieczki z *manno* w Fanum ani przez moment nie mogli być sam na sam, co wywoływało w nich poczucie skrępowania i niepokoju, tak jakby każde z nich oskarżało to drugie o chęć uniknięcia choćby najkrótszej chwili intymności, jakby się obawiali, że gdyby nawet owa chwila intymności nastąpiła, nie mieliby już tak silnego motywu jak pożegnanie w Fanum, który popchnąłby ich sobie w ramiona. Zupełnie tak samo jak wówczas, gdy człowiek spogląda na słońce zachodzące za zamglony horyzont i wydaje mu się niemożliwe, by mogło znów wzejść następnego dnia.

— Przyszłoby ci kiedykolwiek do głowy, że nasza misja tak się zakończy? — zapytał Aureliusz.

— Nie — odrzekła Liwia. — Ale nie sądzę, żeby to w ogóle miało jakieś znaczenie.

— W takim razie co ma znaczenie?

— To, co czujemy w środku. A ty dlaczego idziesz z nimi? Dlaczego postanowiliście im towarzyszyć?

— Ponieważ przywiązałem się do tego chłopca, ponieważ on nie ma nikogo, kto mógłby go obronić, bo jedna połowa świata ma ochotę go zamordować, a druga cieszyłaby się, gdyby umarł. Ponieważ na swoich młodzieńczych ramionach dźwiga nieznośny ciężar, który w końcu go przygniecie... Albo mówiąc prościej: ponieważ nie wiem, co mógłbym robić innego ani dokąd pójść.

— Jak więc możesz myśleć, że masz tak silne ramiona, by udźwignąć ten ciężar zamiast niego, niczym Herkules, który zamiast Atlasa dźwigał na swych barkach sklepienie niebieskie?

— Sarkazm nie wydaje mi się tu na miejscu — odrzekł Aureliusz odwracając się do niej plecami.

— Rzeczywiście, nie — przyznała Liwia. — Przepraszam. Tak naprawdę jestem zła na samą siebie, że dałam się wystawić do wiatru, że wciągnęłam was w tę głupią

przygodę nie mogąc wam zapłacić ani w żaden sposób wynagrodzić, że naraziłam wszystkich na śmiertelne niebezpieczeństwo.

— I że przestałaś dowodzić całym przedsięwzięciem. Teraz nie stoisz już na czele, ale podążasz za innymi nie wiedząc, dokąd zmierzają ani co cię czeka.

— Być może z tego powodu też. Przywykłam wszystko dokładnie planować] nie lubię niespodzianek.

— Czy to jest powód, dla którego mnie unikasz?

— To ty mnie unikasz — sprzeciwiła się Liwia.

— Być może... boimy się własnych uczuć. Czy twoim zdaniem to wystarczające wyjaśnienie?

— Uczucia... Nie wiesz, o czym mówisz, żołnierzu. Hu widziałeś przyjaciół zabitych na polu walki, ile miast spalonych lub zrównanych z ziemią, ile zgwałconych kobiet? I ty ośmielasz się sądzić, że na tym świecie jest jeszcze miejsce dla tego rodzaju uczuć?

— Jeszcze nie tak dawno, wtedy gdy mówiłaś o swoim mieście, gdy obejmowałaś Romulusa i otulałaś go płaszczem przyciskając mocno do siebie na koniu, wcale tak nie myślałaś.

— To było co innego. Wtedy nasza misja była praktycznie zakończona. Chłopiec miał pojechać do miejsca, w którym traktowano by go z wszelkimi należnymi względami, wy mieliście otrzymać pieniądze, ja zresztą też. To były sprzyjające okoliczności, nawet jeśli tylko przez chwilę.

— To nie był jedyny powód, jestem tego pewien.

— Nie, byłam zaledwie o krok od znalezienia mężczyzny, którego szukałam przez tyle lat.

— Ale ten mężczyzna się nie odnalazł, zgadza się?

— Zgadza się. Z powodu tchórzostwa, podłości, sama nie wiem czego.

— Myśl sobie, co chcesz. Nie mogę udawać kogoś innego, nie jestem bohaterem, którego szukasz, ani nawet aktorem, który mógłby go zagrać. Sądzę, że jestem dość dobrym wojownikiem, czyli dość pospolitym człowiekiem w dzisiejszych w czasach. Niczym więcej. Ty chcesz kogoś lub czegoś, co utraciłaś tamtej nocy, gdy uciekałaś z Akwi-

lei. Młodzieniec, który oddał twojej matce własne miejsce w łodzi, uosabia dla ciebie korzeń, od którego zostałaś oderwana, kiedy byłaś jeszcze małą dziewczynką. Tamtej nocy coś w tobie umarło, a ty nie potrafisz tego wskrzesić. A potem nagle wyobraziłaś sobie, że jakiś nieznajomy ranny legionista, uciekający przez bagna Rawenny przed zgrają barbarzyńców, może być owym zmartwychwstałym urojeniem, ale okazało się, że to tylko podobna sytuacja, która wywołała w twoim umyśle to skojarzenie: legionista, barbarzyńcy, łódź, bagno... To się zdarza, Liwio, zdarza się w snach, rozumiesz? W snach. — Spojrzał jej w oczy pełne łez, które na próżno próbowała powstrzymać zaciskając zęby. — Czego się spodziewałaś? Że pójde za tobą do twojego miasta na wodzie? Że pomogę ci odrodzić Akwileję, która zginęła na zawsze? Nie wiem, może nawet byłoby to możliwe. Dla kogoś w moim położeniu, kogoś, kto stracił wszystko, nawet wspomnienia, każda rzecz jest możliwa i zarazem niemożliwa. Ale jedno mi zostało, jedyna spuścizna, jaką mam: słowo Rzymianina. Wiem, że to pojęcie, które wyszło z użycia, coś, co można znaleźć tylko w dawnych księgach, jednakże dla kogoś takiego jak ja jest ono niczym kotwica albo jeśli wolisz, drogowskaz — ciągnął Aureliusz. — A ja dałem słowo umierającemu człowiekowi. Przyrzekłem uratować jego syna, daremnie usiłując sobie wmówić, że pierwsza próba dotrzymania obietnicy mnie z niej zwolniła, że mogę się uważać za wolnego, chociaż mi się nie powiodło. Ale nic z tego, słowa te ciągle brzmią mi w uszach i nie ma sposobu, żeby się od nich uwolnić. Właśnie dlatego pojechałem za tobą do Misenum, dlatego nie opuszczę go, dopóki nie będzie bezpieczny. Wszystko jedno gdzie: w Brytanii, na końcu świata, czy ja wiem?

— A ja? — wtrąciła Liwia. — Czy ja dla ciebie nic nie znaczę?

— Ależ tak, oczywiście — odparł Aureliusz. — Symbolizujesz wszystko to, czego nigdy nie będę mógł mieć.

Spiorunowała go wzrokiem, w którym kryła się zraniona i zawiedziona miłość, nic jednak nie odpowiedziała, po czym odeszła, aby przygotować się do drogi.

Po chwili zbliżył się do niej Ambrozynus trzymając w dłoni mały zwój pergaminu zawierający plan.

— Oto twoja mapa — oświadczył. — Mam nadzieję, że nie będziesz musiała z niej skorzystać i że zobaczymy się pojutrze wieczorem.

— Ja też mam taką nadzieję — odrzekła Liwia.

— Może ta wyprawa wcale nie jest konieczna...

— Jest potrzebna—zaprzeczyła. — Wyobraź sobie, co będzie, gdy któryś z koni okuleje albo ktoś zachoruje, albo że będziemy musieli popłynąć łodzią. Dzięki pieniądzom da się podróżować o wiele szybciej i sprawniej, jeśli zaś trzeba będzie poprosić kogoś o pomoc, będziemy musieli wyjść z ukrycia i zwrócimy na siebie uwagę... Nie martw się. Wróć.

— Jestem tego pewien. Ale i tak wszyscy będziemy się niepokoić, a zwłaszcza Aureliusz...

Liwia pochyliła głowę nie mówiąc ani słowa.

— Spróbuj się trochę przespać — powiedział Ambrozynus odchodząc.

Obudziwszy się przed świtem, Liwia włożyła koniowi do pyska wędzidło, po czym zabrała derkę i broń.

— Proszę cię, bądź ostrożna — rozległ się za nią głos Aureliusza.

— Będę uważać — zapewniła. — Potrafię o siebie zadbać.

Aureliusz przyciągnął ją do siebie i pocałował. Dziewczyna obdarzyła go krótkim mocnym uściskiem, po czym wskoczyła na konia.

— Uważaj na siebie — powiedziała.

Spiąwszy wierzchowca, puściła się galopem. Minawszy las, dotarła do doliny rzeki Arminius po czym jechała wzdłuż niej wolnym krokiem przez wiele godzin, jak przewodnik, który ze spokojem zmierza do celu. Niebo znów zasnuły wielkie ciężkie chmury, które przygnał wiatr od morza, i wkrótce zaczęło padać. Osłoniwszy się jako tako przed deszczem, Liwia zdążyła opustoszałym szlakiem,

mijając jedynie paru śpieszących się przechodniów, najczęściej wieśniaków albo sługów, których zła pogoda zaskoczyła po drodze do pracy.

Późnym popołudniem dotarła do Arminium, skręciła wszakże na południe, zostawiając miasto po lewej stronie. Spostrzegła mury, w oddali zaś częściowo zburzony amfiteatr. Minawszy via Flaminia, wybrukowaną bazaltowymi płytami, które lśniły w deszczu niczym żelazo, ujrzała willę Stefanusa. Dzięki dwom wieżyczkom strzegącym wejścia i chodnikowi straży na murze dom przypominał fortecę. Wejścia pilnowali uzbrojeni strażnicy, którzy patrolowali także mury, Liwia nie podeszła więc do bramy, nie chciała bowiem zwracać na siebie uwagi. Okrążyła budynek, widząc zaś jakiegoś człowieka, który wychodził właśnie przez drzwi dla służby od strony stajni, zagadnęła:

— Czy twój pan Stefanus jest w domu?

— A dlaczego cię to ciekawi? — odparł niegrzecznie mężczyzna. — Idź do bramy i każ się zapowiedzieć.

— Jeśli jest w domu, oznajmij mu, że przyjaciel, z którym spotkał się w Fanum dwa dni temu, jest tutaj i chce z nim mówić. — Po czym wsunęła mu w dłoń jedną z ostatnich monet, jakie jej zostały.

Mężczyzna spojrział najpierw na monetę, potem na ociekającą od deszczu Liwie.

— Zaczekaj tu — odrzekł znikając w głębi budynku. Wróciwszy po chwili w ogromnym pośpiechu, powiedział po prostu: — Prędko, wchodź.

Przywiązawszy konia do żelaznego kółka wmurowanego w ścianę pod wiatą, przepuścił ją przodem. Przeszli korytarzem prowadzącym do willi, gdy zaś stanęli przed zamkniętymi drzwiami, sługa zostawił ją samą. Dziewczyna zapukała cicho, po czym natychmiast rozległ się trzask odsuwanej zasuwki, a po nim głos Stefanusa, który pojawił się w progu.

— Nareszcie! Już straciłem nadzieję. Przez cały ten czas zachodziłem w głowę, co się z tobą dzieje... No dalej, wejdź, wysusz się. Jesteś cała mokra.

Przekroczywszy próg obszernej komnaty, pośrodku której buzował piękny ogień, Liwia przysunęła się bliżej, by się ogrzać. Stefanus zawołał dwie służki.

— Zajmijcie się moim gościem — rozkazał. — Przygotujcie kąpiel i czyste rzeczy do przebrania, szybko.

— Nie mam czasu — usiłowała go powstrzymać Liwia — myślę, że lepiej będzie, jak natychmiast wyruszę w powrotną drogę; nie chcę ryzykować.

— Nawet nie mów takich rzeczy. Wyglądasz okropnie. W tej chwili nie ma nic pilniejszego niż gorąca kąpiel, po której położysz się obok mnie przed suto zastawionym stołem. Musimy porozmawiać. Musisz mi opowiedzieć, co ci się przydarzyło i jak mogę ci pomóc.

Liwia poczuła na twarzy i dłoniach ciepło bijące od ognia i w tej samej chwili przygniótł ją ciężar zmęczenia perypetiami ostatnich dni. Gorąca kąpiel i ciepły posiłek wydawały jej się najbardziej upragnioną rzeczą na świecie, zgodziła się więc.

— Wykąpię się i zjem coś — powiedziała — ale potem muszę wracać.

— Bardzo dobrze — uśmiechnął się Stefanus. — Idź za tymi zacnymi kobietami, które się tobą zajmą.

Zaprowadzono ją do znajdującej się na tyłach domu komnaty ozdobionej starymi mozaikami, pachnącej rzadkimi wonnościami, nasyconej parą, która wydobywała się z pełnej gorącej wody ogromnej marmurowej wanny wpuszczonej pośrodku w posadzkę. Liwia rozebrała się i weszła do wody, kładąc na brzegu wanny parę wyjątkowo ostrych sztyletów, czym wprawiła służki w osłupienie. Rozprostowawszy zeszywniałe ze zmęczenia i zimna kończyny, z lubością wciągnęła w nozdrza zapach, jaki unosił się w powietrzu. Nigdy w życiu nie doświadczyła czegoś podobnego, nigdy nie cieszyła się takim luksusem. Jedna z kobiet jęła masować jej gąbką ramiona i plecy wykazując przy tym wielką wprawę, druga zaś umyła jej włosy tonizującą wodą perfumowaną. W pewnej chwili Liwia zanurzyła się cała zamykając oczy i wydało jej się, że rozpuszcza się w otaczającym ją cieple. Kiedy wyszła

z wanny, służki pomogły jej włożyć wytworną, delikatnie haftowaną tunikę z frygijskiej wełny i miękkie pantofle, natomiast jej napierśnik i skórzane nogawice powalane błotem powierzono pracze. Czekający na nią w jadalni Stefanus wyszedł jej na spotkanie z uśmiechem.

— Nie do wiary! — zawołał. — Olsniewająca przemiana: oto najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Zachwycająca!

Liwia poczuła się zakłopotana tą nową dla niej i niezręczną sytuacją, toteż odrzekła szorstko:

— Nie przyszedłem tu po pochlebstwa, ale po to, co mi się należy zgodnie z umową. To nie moja wina, że wszystko się zmieniło; doprowadziłam misję do końca i muszę zapłacić moim ludziom.

Stefanus przybrał bardziej obojętny ton.

— Masz całkowitą słuszność — przyznał. — Niestety obiecane pieniądze muszą tu dotrzeć z Konstantynopola, a zważywszy na sytuację, która uległa tak radykalnej zmianie, sama rozumiesz... Ale proszę, rozgość się, jedz. — Mówiąc to dał znak stolnikowi, by nałożył jej pieczoną rybę i nalał wina.

— Potrzebuję pieniędzy — powtórzyła Liwia z uporem. — Nawet jeśli nie będzie to suma, jaką uzgodniliśmy, zapłać mi, ile możesz. Ci ludzie narażali życie, a poza tym dałam im słowo. Nie mogę powiedzieć: „Dziękuję, doskonała robota, żegnajcie”.

— Nie ma takiej potrzeby. Możesz tu zostać, jak długo zechcesz; sprawiłabyś mi ogromną przyjemność i nikt by cię tu nie znalazł.

Liwia wzięła do ust wielki kawał ryby i wypła cały kielich wina.

— Naprawdę w to wierzysz? — skrzywiła się. — Zapominasz, że ci ludzie wdrapali się na skalną ścianę na Capri, zabili z piętnastu strażników, uwolnili cesarza i przemierzali pół Italii wyprowadzając w pole setkę psów gończych, które Wulfila za nimi rozesał. Mogliby się zjawić tu, w tej komnacie, o każdej porze dnia i nocy, jeśli tylko przyszłaby im na to ochota.

Stefanus nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Wcale nie to miałem na myśli... tylko że... nikt nie był w stanie przewidzieć, co się wydarzy. Co zamierzacie zrobić z chłopcem? — zapytał po chwili.

— Zawieźć go w bezpieczne miej'sce.

— Do twojego miasta?

— Nie mogę ci powiedzieć, bo ktoś mógłby nas podsłuchać.

Stefanus udał, że nie zauważył tego przejawu braku zaufania.

— Racja — odrzekł. — Lepiej zachować ostrożność. Tutaj ściany mają uszy, szczególnie w dzisiejszych czasach.

— Więc jaką mi dasz odpowiedź? Muszę wracać najpóźniej pojutrze.

— Ile ci potrzeba?

— Wystarczy dwieście solidów. To minimum tego, co ustaliliśmy.

— Mimo wszystko to spora suma. W tej chwili nie mam takich pieniędzy. Ale mogę je zdobyć. — Wezwał służbę, szepnął mu coś na ucho, po czym mężczyzna oddalił się szybkim krokiem. — Powinny tu dotrzeć jutro, jeśli wszystko pójdzie dobrze. W ten sposób będę miał przyjemność gościć cię u siebie dzisiejszej nocy. Jesteś pewna, że nie możesz zostać dłużej?

— Przecież już mówiłam. Muszę jak najprędzej wracać.

Stefanus, który sprawiał wrażenie zrezygnowanego, bez słowa zabrał się do jedzenia. W pewnej chwili nalał sobie wina i usiadł bliżej, jakby zamierzał powiedzieć jej coś w zaufaniu.

— Istnieje jeszcze możliwość, żebyście zdobyli tę sumę... a właściwie znacznie, znacznie więcej.

— W jaki sposób? — zaciekała się Uwia.

— Podobno jeden z twoich ludzi ma miecz... bardzo wyjątkowy przedmiot... Rękojeść ma kształt orlej głowy, jelec zaś tworzą rozpostarte skrzydła. Wiesz, o czym mówię, prawda?

Było oczywiste, że Stefanus posiada bardzo dokładne informacje, że nie ma sensu zaprzeczać, toteż Liwia przytaknęła.

— Jest ktoś, kto wiele by zapłacił, żeby go mieć. Przydałoby się wam tyle pieniędzy, nie uważasz? Wszystko stałoby się wtedy łatwiejsze.

— Obawiam się, że zaginął w czasie walki — skłamała dziewczyna.

Stefanus schylił głowę, by ukryć rozczarowanie, i więcej nie nalegał.

— Co się stało z Antemiuszem?—zapytała Liwia chcąc zmienić temat.

— To on wezwał mnie pilnie, aby mi powiedzieć, że jesteście w niebezpieczeństwie, ponieważ został zdemaskowany, i aby mnie poprosić, żebym was ocalił. Niestety przybyłem za późno. Ale przynajmniej udało wam się uciec. A co do Antemiusza, więcej go nie widziałem i boję się, że nie mogę zbyt wiele dla niego zrobić, o ile w ogóle żyje.

— Rozumiem — odparła Liwia.

Stefanus wstał, podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

— Naprawdę jesteś zdecydowana wrócić w góry, w środek puszczy, i żyć jak ścigane zwierzę? Posłuchaj, zrobiłaś już wszystko co w twojej mocy i nie musisz więcej ryzykować życia dla tego chłopca. Zostań ze mną, proszę; zawsze cię podziwiałem, ja...

Spojrzała nań twardo.

— To niemożliwe, Stefanusie, nigdy nie mogłabym żyć w takim miejscu jak to, wśród tych luksusów, bo widziałam zbyt wiele nędzy i cierpienia.

— Dokąd pójdziecie? — zapytał. — Może mógłbym wam jakoś pomóc, chociaż...

— Jeszcze nie zdecydowaliśmy. A teraz, jeśli pozwolisz, wolałabym się wreszcie położyć. Nie śpię od wielu nocy.

— Jak sobie życzysz — odrzekł Stefanus, po czym zawołał służki, by odprowadziły ją do sypialni.

Liwia rozebrała się do snu, podczas gdy kobiety zabrały glinianą amforę z żarzącym się węglem i popiołem, która ogrzewała łóżko aż do tej pory. Położywszy się, rozkoszowała się owym cudownym ciepłem pachnącym lawendą, nie zdołała wszakże zasnąć. Za oknami coraz bardziej szalała burza; słychać było, jak deszcz uderza o dach i zewnętrzne tarasy, od czasu do czasu przez szpary w futrynach przenikały błyskawice rzucając na sufit sine światło, a na dźwięk ogłuszających grzmotów aż podrywała się pod nakryciem. Myśląc o swych towarzyszach, którzy zaszyli się gdzieś w lesie wokół dymiącego ogniska, w chłodzie i ciemnościach, z trudem powstrzymywała się od płaczu. Kiedy tylko dostanie pieniądze, natychmiast stąd odjedzie.

Tymczasem w komnacie na parterze pogrążony w myślach Stefanus czuwał przy ogniu co chwila głaszcząc ogromnego moloskiego charta, który leżał na macie obok niego. Uroda Liwii nie dawała mu spokoju, uwielbienie i pożądanie, jakie zawsze w nim budziła, w połączeniu ze świadomością, że oto teraz znajduje się w jego domu, że leży tak blisko jego sypialni, odziana jedynie w lekką szatę, doprowadzały go do szaleństwa. Ale w jaki sposób zdołałby ujarzmić taką istotę jak ona? Luksusy i wygody, którymi ją z miejsca otoczył, wydawały się nie robić na niej żadnego wrażenia, podobnie zresztą jak obietnica wielkich pieniędzy. Na dodatek był pewien, że okłamała go mówiąc, iż miecz zaginął. Miecz... oddałby wszystko, by móc go zobaczyć, dotknąć. Symbolizował władzę, której pragnął z całej duszy, i ten typ siły, którego nigdy nie posiadał, lecz o którym zawsze marzył.

Nagle do komnaty weszła jedna ze służek trzymając coś w dłoniach.

— Znalazłam to w rzeczach twojego gościa, panie.
— Podała mu mały złożony pergamin. — Nie chciałam, żeby się zamoczył w praniu.

— Świetnie się spiszałaś — pochwalił Stefanus rozkładając pergamin w świetle stojącej obok lampki oliwnej. Na widok mapy natychmiast zrozumiał, dokąd zmierzają.

OSTATNI LEGION

Cudowny miecz już mu nie ucieknie, a może nawet Liwia będzie należeć do niego. Przywołał kobietę, która kierowała się już ku wyjściu. — Zaczekaj — powiedział oddając jej mapę. — Odłóż ją na miejsce. — Służka skinęła głową, po czym odeszła.

Tymczasem Stefanus położył głowę na oparciu krzesła, usiłując zasnąć choć na chwilę. W ogromnej komnacie słychać było jedynie walenie deszczu o dach i gwizdanie wiatru, spychającego z morza potężne bałwany, które rozбивały się z hukiem o pusty brzeg.

XXIV

Obudziwszy się o świcie, Liwia spostrzegła swoje uprane rzeczy leżące na dywanie, kiedy zaś je włożyła, poczuła, że są jeszcze ciepłe — musiały przez całą noc suszyć się przy ogniu. Wsunąwszy oba sztylety za pasek pod kaftanem i ozuwszy buty, zeszła na parter. Stefanus ciągle siedział przed ogniem na krześle z poręczami — starym meblu, który pamiętał jeszcze czasy cesarzy Antoninów i zapewne stanowił część cennego umeblowania domu. Na dźwięk lekkich kroków Liwii, która szła po schodach, otrząsnął się odwracając ku niej i od razu było widać, że przez całą noc nie kładł się spać.

— Jak widzę, nie poszedłeś do łóżka — stwierdziła dziewczyna.

— Zdrzemnąłem się troszkę przy ogniu. Burza i tak nie pozwoliłaby mi zasnąć. Słyszysz? Ciągle jeszcze leje jak z cebra.

— Racja — przytaknęła z niepokojem Liwia.

Po chwili do komnaty weszła służka z czarką gorącego mleka z miodem.

— Nie możesz wyruszyć w taką pogodę — powiedział Stefanus. — Sama zobacz. Wygląda, jakby się chmura oberwała. Gdybyś wzięła ze sobą swoich towarzyszy, tak

jak ci radziłem, wszystkich bym was ugościł i bylibyście tu bezpieczni.

— Dobrze wiesz, że to nieprawda — odparła Liwia.
— Taką dużą grupę natychmiast ktoś by zauważył. A poza tym jestem pewna, że w twoim domu aż roi się od szpiegów. Wkrótce Odoaker dowie się, że tu jestem, a zaraz po nim Wulfila.

— Nie sędzę, aby znaleźli się w większym niebezpieczeństwie niż teraz, bez względu na to, gdzie są. A nawet najgorliwsi szpiegowie nie mieliby chyba raczej ochoty wychodzić z domu na taką pogodę, żeby donieść, kogo u siebie przyjmują. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, mógłbym wiele dla ciebie zrobić. Na przykład załatwić przyznanie autonomii małemu miastu na lagunie, i to zarówno ze strony Wschodu, jak i Zachodu. Czy nie to zawsze było twoim marzeniem?

— Marzeniem, którego broniliśmy za pomocą miecza i wiary w przyszłość — odrzekła Liwia.

Stefanus westchnął.

— Zdaje się, że nic, cokolwiek bym zrobił lub powiedział, nie jest w stanie odwieść cię od udziału w tej bezsensownej przygodzie. I chociaż przykro mi to przyznać, ale jest tylko jedno wytłumaczenie: musiałaś się zakochać w tym żołnierzu.

— Wolałabym porozmawiać o pieniądzach, które mi obiecałeś. Kiedy tu dotrą?

— A jak sądzisz? Przy takiej pogodzie rzeka prawdopodobnie wylała i między nami a Rawenną mogą występować potężne powodzie. Mój człowiek na pewno przybędzie pod wieczór, a może nawet jutro rano, choćby nie wiem, jak się starał.

— Nie mogę tak długo czekać — odrzekła sucho Liwia.

— Zastanów się, nie ma sensu, żebyś jechała w tej sytuacji. Myślę, że i tak na ciebie zaczekają.

Pokręciła przecząco głową.

— Nie. Nie dłużej, niż się umówiliśmy. Nie mogą sobie na to pozwolić, a ty doskonale rozumiesz dlaczego.

Stefanus skinął głową.

— W takim razie zostań — powiedział. — Proszę cię, przecież nie wezmą ci tego za złe. Już i tak wiele dla nich zrobiłaś; ryzykowałaś nawet własne życie, a ten żołnierz nie ma ci nic do zaoferowania, za to ja jestem gotów dzielić z tobą wszystko: marzenia, władzę, bogactwa. Zastanów się nad tym, póki masz jeszcze czas.

— Już się zastanowiłam — odparła Liwia. — Dziś w nocy, leżąc w ciepłym, pachnącym łóżku, rozmyślałam o tym, że oni śpią pod gołym niebem, pod osłoną z drzew, i źle się z tym czułam. Moje miejsce jest przy nich, Stefanusie. Jeżeli pieniądze nie dotrą tu do jutra rana, i tak wyjadę. A teraz wybacz, pójdę przygotować konia do drogi.

Wyszedłszy przez korytarz, którym przybyła poprzedniego dnia, dobiegła do stajni w strugach deszczu. Koń czekał spokojnie tam, gdzie go uwiązała. Został wyczyszczony zgrzebłem i nakarmiony, a teraz był gotów do całodziennego wędrowki. Założywszy mu wędzidło i uprząż, zapięła siodło, do którego przymocowała derkę. Wkrótce dołączył do niej Stefanus w towarzystwie dwóch sługów, którzy nieśli woskowaną płachtę dla ochrony przed deszczem.

— Co mógłbym dla ciebie zrobić — zapytał — skoro nie potrafię cię przekonać, żebyś została?

— Jeśli dasz mi chociaż cokolwiek — rzekła Liwia — tyle, ile możesz, będę ci wdzięczna... Wiesz, że nigdy nie poprosiłabym cię o nic dla siebie.

Stefanus wręczył jej sakiewkę.

— Więcej nie mam — powiedział. — Będzie tego jakieś dwadzieścia, trzydzieści solidów.

— Postaram się, żeby wystarczyły — odparła Liwia.

— W każdym razie dziękuję. Ale daj mi je w drobniejszych monetach, bo raczej nie znajdę wielu chętnych do rozmienienia tak grubych pieniędzy.

Stefanus rozmienił jej pieniądze, Liwia zaś schowała je i ruszyła w kierunku korytarza.

— Nawet się ze mną nie pożegnasz? — zapytał Stefanus, który usiłował ją pocałować, Liwia wszakże wywinęła się podając mu rękę.

— Uścisk dłoni wydaje mi się bardziej odpowiedni, jak na starych towarzyszy broni przystało.

Stefanus próbował przytrzymać jej dłoń w swojej, dziewczyna jednak mu się wyrwała.

— Muszę już iść — powiedziała. — Zrobiło się późno.

Stefanus rozkazał sługom, by podali jej płaszcz z nawoskowanego płótna i worki z zapasem pożywienia. Podziękowawszy mu po raz drugi, Liwia dosiadła konia i zniknęła za ścianą deszczu. Stefanus zaś wszedł z powrotem do domu, po czym kazał podać sobie poranny posiłek w ogromnej bibliotece. Na stojącym pośrodku komnaty wielkim dębowym stole leżał zwój zawierający cenny ilustrowany egzemplarz „Geografii” Strabona, otwarty na opisie Forum Romanum. Jeden z obrazków przedstawiał świątynię Marsa Ultora od zewnętrznej strony wraz z ołtarzem. Na innym zaś widniał szczegół wnętrza wraz z wykonanym z polichromicznego marmuru wspaniałym posągami Cezara, noszącego zbroję. U jego stóp namalowano miecz; na rysunku był wprawdzie niewielki, nie do takiego wszakże stopnia, by nie dało się dostrzec finezyjnej roboty czy rękojęści w kształcie orlej głowy z rozpostartymi skrzydłami. Oczarowany Stefanus długo mu się przyglądał, po czym zamknął zwój i odłożył go na półkę.

Tymczasem Liwia miarowym krokiem podążała w kierunku miasta przekonana, że most na via Emilia to jedyne nadające się do użytku przejście przez rzekę Arminius, wkrótce jednak natknęła się na szerokie rozlewisko, które całkowicie zatopiło drogę. W oddali ledwie było widać balustradę mostu, niemal kompletnie zatopioną przez rozszalałą wodę. Ogarnęło ją głębokie przygnębienie — jak zdoła dotrzeć do przyjaciół w umówionym czasie? A czy oni nadal na nią czekają czy też zostali zmuszeni pójść gdzie indziej, by szukać schronienia przed wściekłymi żywiołami? Ulewne deszcze wywołały powódź i podtopienie sporych obszarów, w wyższych partiach zaś musiało być jeszcze gorzej z powodu lawin i obsuwania się ziemi.

Uzbrowszy się w odwagę, zaczęła się posuwać w górę rzeki, by znaleźć jakieś przejście na wysokości, wkrótce

OSTATNI LEGION

wszakże ów marsz zamienił się w koszmar. Błyskawice oślepiały konia, który z trudem szedł naprzód rżąc ze strachu, potykając się i ślizgając w błocie, po czym rozpoczął wspinaczkę na nowo, krok po kroku, ciągnięty za uzdę przez Liwie kosztem potwornego zmęczenia. Droga, którą wcześniej zjechała śpiesząc do Arminium, zamieniła się wkrótce w najeżony ostrymi kamieniami strumień, niżej zaś szalała mulista rzeka, nacierając z hukiem na ściany doliny. Zdoławszy przebyć do południa zaledwie ze trzy mile, uświadomiła sobie, że noc zastanie ją z dala od brzegu, na odśnieżonym i pozbawionym jakichkolwiek kryjówek terenie. Na widok bielejących od śniegu szczytów zrozumiała, że może ją to kosztować życie.

Po raz pierwszy ogarnęła ją panika, lęk, że umrze w samotności, na pustkowiu, w błocie, po czym wyobraziła sobie własne ciało: opuszczone, ciągnięte przez falę i wyrzucone przez mętną wodę na brzeg, wśród ostrych skał. Spróbowała się otrząsnąć, zebrać wszystkie siły i posuwać naprzód, ile tylko się da, by dotrzeć do wioski, która dzień wcześniej wyłoniła się z mgły. Dostrzegła ją o zmierzchu, kiedy temperatura spadła, deszcz zaś ją zamieniać się w lodowaty drobny grad, który smagał po twarzy niczym okruchy szkła. Drogę pokazywały jej słabe światła domostw rozsianych między pastwiskami a skrajem lasu. W pewnej chwili musiała przejść przez most z pni i gałęzi, zawieszony nad strumieniem, który szalał w dole wzburzony, tworząc brudnożółtą pianę. Kiedy koń cofnął się przerażony, nie pozostało jej nic innego, jak zawiązać mu oczy i ciągnąć za sobą krok po kroku przez tę prowizoryczną kładkę, która chwiała się niebezpiecznie nad rwącym potokiem. Gdy dotarła do granic wioski, było już ciemno. Posuwała się wzdłuż chat ostatkiem sił, ledwo powłócząc nogami, aż wreszcie wycieńczona opadła na kolana, prosto w błoto. Po chwili usłyszała szczekanie psa, a następnie ludzkie głosy. Poczuli, że ktoś ją podnosi i zabiera do jakiegoś domu, potem ciepło ogniska, a potem już nic.

Aureliusz i jego towarzysze długo czekali, nim zdecydowali się wreszcie porzucić prowizoryczną kryjówkę, którą sobie zbudowali, by schronić się przed burzą i deszczem, doszli bowiem do wniosku, że Liwia musiała napotkać rozmaite przeszkody w drodze powrotnej. Czekali cały dzień i całą noc, w końcu wszakże musieli coś postanowić.

— Jeśli się stąd nie ruszymy, pomieramy z głodu i z zimna — powiedział Ambrozynus. — Nie mamy wyboru. — Mówiąc to spojrzął na otulonego derką Romulusa, który był błydy ze zmęczenia i głodu.

— Też tak myślę — zgodził się z nim Watrenus. — Musimy się stąd ruszyć, dopóki w ogóle jesteśmy w stanie chodzić. Nie możemy dopuścić do tego, że zaczniemy zabijać konie i jeść ich mięso. Poza tym nie możemy wykluczyć, że Liwia po bezskutecznej próbie dołączenia do nas w końcu wróciła do swojego miasta.

— Byłby to całkiem zrozumiały wybór — przyznał zadumany Ambrozynus. — To nie jest już jej misja ani jej podróż. Ona ma swoją ojczyznę, być może także kogoś bliskiego. — Spojrzął na Aureliusza, jakby chciał odgadnąć jego myśli. — Sądzę, że wszyscy będziemy ją opłakiwać. To była niezwykła kobieta, godna porównania z wybitnymi jednostkami z przeszłości.

— Co do tego nie ma wątpliwości — przytaknął Watrenus. — I jest wśród nas ktoś, kto będzie ją opłakiwał bardziej niż inni. Dlaczego nie idziesz za nią, Aureliuszu, dlaczego nie podążasz za nią do kryjówki na lagunie, póki jeszcze czas? Może ona właśnie tego chce, nie uważasz? Może chciała cię w ten sposób zmusić do podjęcia decyzji, do dokonania wyboru, czego inaczej nigdy byś nie zrobił. Sami potrafimy obronić chłopca, a pewnego dnia cię odnajdziemy. Przecież nie ma tak znowu wielu miast na wodzie. Prawdę rzekłszy wydaje mi się, że jest tylko jedno. Tak czy inaczej jeśli się znów spotkamy, miło będzie wspólnie świętować. Jeśli natomiast się więcej nie zobaczymy, będzie to najpiękniejsze pożegnanie szczerze oddanych sobie przyjaciół, którzy nigdy nie zapomną spędzonych razem lat.

— Nie wygaduj bzdur—obruszył się Aureliusz. — To ja was w to wciągnąłem i nadal będę robił to, co powinienem. Ruszmy się, czeka nas długa wędrówka i musimy się pośpieszyć; z każdym dniem droga przez Alpy będzie cięższa i trudniejsza.

Nie powiedział nic więcej, serce ścisnął mu bowiem żal i oddałby w tym momencie wszystko, byleby tylko jeszcze raz zobaczyć kobietę, którą kochał, nawet gdyby to miało trwać ledwie chwilę. Posadzili Romulusa na koniu, opatulili jak najlepiej, sami zaś ruszyli piechotą nieprzebytą ścieżką, wiodącą przez dzikie pustkowia, przedzierając się przez śnieg, który sypał dużymi płatami.

Otworzywszy oczy po wielu godzinach, Liwia znalazła się w izbie, którą rozjaśniała jedynie lampa łożowa i blask płomieni. Mężczyzna i kobieta w nieokreślonym wieku przyglądali się jej z zaciekawieniem, po czym kobieta nabrała warząchwia gorącej zupy z grzejącego się na ogniu kociołka i podała jej wraz z kawałkiem suchego, twardego jak kamień chleba. Wprawdzie była to tylko zupa z rzepy, jednakże na sam widok parującej miski Liwia poczuła, że wracają jej siły. Zanurzywszy w niej chleb, ochoczo zabrała się do jedzenia.

— Kim jesteś? — odezwał się po chwili mężczyzna.

— Co robiłaś w taką pogodę? Tędy nikt nigdy nie chodzi.

— Podróżowałam z rodziną i zgubiłam się podczas burzy. Czekają na mnie na polanie przy przełęczy. Czy moglibyście mnie tam zaprowadzić, żebym znów się nie zgubiła? Mogę zapłacić.

— Przełęczy? — powtórzył mężczyzna. — Ścieżka się całkowicie osunęła i zalała ją woda. A na dodatek jeszcze pada, nie widzisz?

— Jesteście pewni, że nie ma żadnego sposobu, by się tam dostać? Muszę do nich dołączyć za wszelką cenę. Będą się martwić, pomyślą, że nie żyję. Błagam was, pomóżcie mi.

— Chętnie byśmy to zrobili — powiedziała kobieta.

— Jesteśmy bogobojnymi chrześcijanami, ale to naprawdę

niemożliwe. Nasi dwaj synowie, którzy chcieli zabrać bydło na przełęcz, zostali odcięci na górze i do tej pory nie mogą się stamtąd wydostać. My też się martwimy, ale nie możemy nic zrobić, tylko czekać.

— W takim razie sama zejść—odrzekła Liwia. — Spokam się z nimi dalej.

— Dlaczego nie chcesz poczekać, aż przestanie padać? — zdziwił się mężczyzna. — Możesz zostać z nami jeszcze jeden dzień, jeśli masz ochotę. Jesteśmy biedni, ale chętnie cię ugościmy.

— Dziękuję wam — powiedziała Liwia — ale muszę odnaleźć ludzi, których kocham. Niech Bóg was wynagrodzi za schronienie i strawę, które mi ofiarowaliście, a które uratowały mi życie. Żegnajcie, módlcie się za mnie. — Zrzuciwszy sobie płaszcz na ramiona, wyszła. Dziewczyna z trudem posuwała się po stromych ścianach doliny, co chwila przystając, by przyjrzeć się bardziej niebezpiecznym przejściom, nie chcąc okułać konia. Znalazszy się wreszcie na równinie, dosiadła wierzchowca i ruszyła naprzód, trzymając się szlaku biegnącego równoległe do via Emilia po położonych wyżej terenach, aby ominąć obszerne rozlewiska rzek i potoków. Po drodze zaś usiłowała sobie wyobrazić, co też myślą jej towarzysze, co myśli Aureliusz widząc, że ona tak długo nie wraca. Zdawali sobie sprawę z przeszkód, na jakie natrafiła wracając, czy też poczuli się przez nią opuszczeni? A jak dadzą sobie radę w dalszej podróży bez pieniędzy i z niewielkim zapasem żywności?

Jechała przez trzy dni zatrzymując się wyłącznie na nocleg w szopach bądź szałasach, w których latem sypiali wieśniacy, by pilnować zbiorów. Pomyślała sobie, że jedynym sposobem dotarcia do przyjaciół jest ich wyprzedzić i poczekać na nich w miejscu, przez które będą musieli przechodzić, a które widziała, zdaje się, na mapie Ambrozynusa: była to kropka oznaczająca most albo przeprawę na rzece Trebii. Tyle razy rysowała sobie w wyobraźni ich marszrutę, że w końcu nabrała przekonania, iż odnajdzie ich na przejściu przez rzekę, do którego zamie-

rzała dotrzeć tamtego wieczoru po zmroku. Tak bardzo pragnęła ich zobaczyć, iż niemal bezwiednie spięła konia do galopu i dopiero kiedy poczuła, że jego oddech staje się krótki i przerywany i że gubi rytm, zwolniła nie chcąc go przeciążyć. Posuwała się naprzód w ciemnościach zimowej nocy, przez pogrążony we mgle krajobraz, wśród kikotów drzew i żalostnego wycia bezpańskich psów. Zatrzymała się dopiero wówczas, gdy poczuła, że pada ze zmęczenia, Ignąc niczym ćma do latarni, jedyne światła, jakie zdołała dojrzeć w całkowitych ciemnościach panujących na niebie i na ziemi. Kiedy podjechała bliżej, rozległo się wściekłe ujadanie psa, Liwia wszakże nie zwróciła na to uwagi. Była osłabiona, wycieńczona i głodna; kończyny zeszywniały jej z zimna i wilgoci do tego stopnia, że każdy ruch sprawiał jej więcej bólu niż wysiłku. Światło, które widziała, okazało się lampą zawieszoną przed wałącym się zajazdem i oświetlającą sztyl z napisem: *Ad pontem Trebiae*.

Wbrew temuż co głosił zarzewiały sztyldj nie było żadnego mostu, tylko prom od brzegu do brzegu, ryk pędzącej rzeki jasno dawał wszakże do zrozumienia, że dla kogoś, kto zmierzał na północ, nie istniała inna droga. Wszedłszy do środka, poczuła gęste, ciężkie powietrze. Pośrodku izby paliło się ognisko z mokrych gałęzi topoli, które dawały więcej dymu niż ciepła. Wokół stołu z wypaczanych desek siedziała grupa podróżnych. Jedli zupę z prosa, wyjmując ze stojącej na środku misy bób i rzepę, które przyprawiali odrobiną soli. Siedzący po drugiej stronie, w pobliżu pieca, oberżysta odzierał ze skóry jeszcze żywe, wijące się w spazmach żaby i wrzucał do kosza. Wychudzona, odziana w łachmany dziewczynka z kolei wybierała je po jednej, odcinała im głowy i patroszyła, a następnie wrzucała na patelnię, aby podsmażły się na smalcu. Liwia zajęła miejsce na uboczu, kiedy zaś podszedł do niej oberżysta, zapytała tylko, czy ma chleb.

— Żytmi — odparł mężczyzna.

Liwia skinęła głową dodając:

— I jeszcze ziarno i schronienie dla konia.

— Jest tylko słoma. A koń może spać razem z tobą w stajni.

— Dobrze. Tymczasem zarzuć mu na grzbiet derkę, którą ma na siodle.

Oberżysta zawołał coś do dziewczynki, która przyniosła chleb. Sam zaś wyszedł burcząc pod nosem, aby zająć się koniem. Ten młodzik, pomyślał, musi mieć pieniądze, skoro posiada własnego wierzchowca i nosi skórzane buty. Ledwie znalazł się za drzwiami, wzdrygnął się na widok grupy jeźdźców, którzy dopływali właśnie do brzegu promem linowym. Wysiedli po kolei klnąc i trzymając w jednej ręce wodze, w drugiej zaś płonące pochodnie. Oddawszy konie pod opiekę oberżysty, rozkazali mu, by natychmiast przyniósł im coś do jedzenia. Domagali się mięsa.

— Mięsa! — wrzeszczeli siadając przy stole.

Oberżysta zawołał parobka.

— Zabij psa — polecił — i upiecz go. Nie mamy nic innego, a oni i tak się nie zorientują. To dzikie bestie. Jeżeli nie dostaną, czego chcą, rozwalą tę budę w drobny mak.

Liwia zerknęła na nich spod oka — byli to barbarzyńscy najemnicy, prawdopodobnie służący w cesarskiej armii. Ogarnął ją silny niepokój, nie chciała wszakże wzbudzić ich podejrzeń nagle odchodząc. Z trudem żuła chleb i pociągnęła parę łyków płynu, który bardziej przypominał ocet niż wino, kiedy zaś zamierzała wstać, uświadomiła sobie, że siedzący naprzeciw niej barbarzyńca bacznie ją obserwuje. Odruchowo położyła dłoń na ukrytym pod napierśnikiem sztylcie, drugą ręką zaś dla niepoznaki nalała sobie jeszcze wina. Wypiła powoli, po czym wydawszy przeciągłe westchnienie, podniosła się z miejsca. Barbarzyńca natychmiast udał się bez słowa do kuchni, by zażądać wina. Zapłaciwszy za jadło, Liwia weszła do stajni, by znaleźć sobie jakieś legowisko obok konia. Nie zauważyła jednak, że kiedy przekraczała próg oberży, barbarzyńca ponownie się jej przyjrzał, po czym zerknął porozumiewawczo na swego dowódcę, jakby chciał zapytać: „To ona?” Tamten zaś skinął twierdząco głową, po czym wrzasnął:

OSTATNI LEGION

— Oberżysto, przynieś no wina i dawaj tu zaraz to mięso, jeśli nie chcesz, żebym cię obił!

— Troszkę cierpliwości, panie — odparł oberżysta.

— Właśnie zabiliśmy specjalnie dla was kozłatko, ale musisz nam dać nieco czasu, żebyśmy je upiekli.

Zanim pies został upieczony, pokrojony na kawałki i podany do stołu wraz z gorzkimi ziołami, upłynęła godzina. Barbarzyńcy, wzdziwieni ziołami, rzucili się na mięso pożerając je aż do kości ku zadowoleniu przyglądającego im się oberżysty, który przeżył chwilę grozy, gdy ich dowódca zawołał:

— Przynieś mi łeb; oczy to najlepszy przysmak!

Natychmiast jednak odzyskał zimną krew.

— Łeb, panie? Och, jakże mi przykro, że nie mogę cię zadowolić, bo łeb i wnętrzności daliśmy... psu.

Mocno zaniepokojona po spotkaniu z barbarzyńcą, Liwia czuwała jeszcze przez jakiś czas nasłuchując wrzasków, gotowa wskoczyć na konia i uciec. Nic się jednak nie wydarzyło, a w pewnej chwili usłyszała wreszcie, że wychodzą z obozu kierując się na południe. Odetchnąwszy z ulgą, wyciągnęła się wygodnie, by się trochę przespać, ośladnęły ją wszakże uczucia, nad którymi nie była w stanie zapanować. Brakowało jej Aureliusza, jego głosu, jego bliskości, martwiło ją także to, że nie ma przy niej Romulusa, że nie wie, jak on sobie radzi, gdzie jest ani o czym teraz myśli. Tęskniła nawet za starym Ambrozynusem, za jego spokojną postawą mędrca, który zawsze ma na wszystko odpowiedź, za jego zaborczą miłością do chłopca i wreszcie za jego ślepą wiarą w przyszłość wbrew wszelkim znakom na niebie i ziemi. Brakowało jej też pozostałych towarzyszy: Watrenusa, Batiatusa, Orojusza i Demetriusza, którzy byli nierozłączni niczym Dioskurowie, a także ich odwagi, poświęcenia i nieprawdopodobnego hartu ducha. Jak mogła ich opuścić tylko po to, żeby zdobyć pieniądze?

W tej chwili nawet wspomnienie własnego miasta zatarło się w jej pamięci. Wiedziała tylko tyle, że tęskni za

tym wszystkim, i pragnęła wyłącznie jednego: znaleźć się znów blisko swych towarzyszy. Okropności otaczającego ją świata, godna pogardy wszechobecna nędza, poczucie straszliwej, dojmującej i bolesnej samotności, a także świadomość, że trudno jej będzie odnaleźć przyjaciół, skłoniły ją do szybkiego podjęcia decyzji. Mogłaby zaczekać jeszcze dzień lub dwa, ale jeśli się nie zjawią, zostanie daleko w tyle za nimi na drodze ku przełęczy, ryzykując, że nigdy już ich nie dogoni. Pomyślała zatem, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem będzie to, które zasugerował jej Ambrozynus: dotrzeć do przełęczy przed nimi i tam poczekać, aż przyjadą. A potem niech się dzieje wola boska.

Odczekawszy do pierwszego brzasku, osiodłała konia, po czym się oddaliła śpiesząc na północ szlakiem, którym powinni posuwać się przyjaciele bez względu na to, czy znajdowali się teraz przed nią czy też za nią. Pędziła naprzód w samotności, przekonana, że prawie na pewno dotrze pierwsza do przełęczy Mezów, przez którą bez wątplenia będą musieli przechodzić. Na myśl, że z powodu trudności terenu, fatalnej pogody czy nieprzewidzianych wypadków obiorą inną drogę, a% wówczas więcej ich nie zobaczy, na chwilę ogarnęło ją zniechęcenie. Odsunęła wszakże od siebie ten pomysł, uznając, że Ambrozynus zawsze podejmuje najmądrzejszą decyzję i trzyma się jej za wszelką cenę.

Jeszcze tego samego wieczoru do Stefanusa dotarła wieść, że w oberży przy przeprawie promowej na Trebii widziano osobę odpowiadającą opisowi Liwii, natychmiast więc wyruszył w drogę wraz z eskortą, aby śledzić ją z pewnej odległości i jednocześnie nie zostać zauważonym. Był pewien, że jeśli podąży za nią szlakiem wiodącym do Recji, w końcu uda mu się ją nakłonić, by wróciła razem z nim, no i wreszcie zdobędzie miecz, który znajdował się zapewne w rękach jednego z jej przyjaciół. Wspomniawszy już o owej cudownej broni wysłannikom cesarza Zenona, nie miał zatem żadnych wątpliwości, że cesarz Wschodu

zapłaci każdą sumę i nada każdy przywilej, byleby tylko zdobyć tak cenny przedmiot, niemal symbol i relikwię pierwotnej potęgi rzymskiego Imperium.

Ledwie burza ucichła, a wezbrane rzeki spłynęły do morza, wyruszył w drogę wymyślając jakiś pretekst, by Odoaker przydzielił mu oddział najemników do eskorty. Jednakże w ślad za nim pojechał też Wulfila, który był pewien, że jedynie Stefanus posiada odpowiednie środki i informacje, by doprowadzić go do jego zdobyczy. Barbarzyńca zdążył już rozesłać wszędzie kurierów, którzy mieli sprawdzić, czy nikt nie widział karawany podróżującej z czarnoskórym olbrzymem, starcem i chłopcem, nie uzyskał wszakże żadnej zadowalającej odpowiedzi. Dowiedziawszy się, że Stefanus czyni przygotowania do raczej podejrzanej i pośpiesznej wyprawy i że otrzymał od Odoakra eskortę pod pretekstem prowadzenia misji dyplomatycznej z udziałem namiestników regionów alpejskich, natychmiast domyślił się jej prawdziwych powodów.

Zebrawszy około sześćdziesięciu gotowych na wszystko żołnierzy, wyruszył jego śladem. Był pewien, że on i Stefanus mają dokładnie taki sam cel. Gdyby było inaczej, gdyby się okazało, że postawił wszystko na jedną — przegraną — kartę, nie miałby już po co wracać. Musiałby zniknąć gdzieś w niezgłębionych czeluściach kontynentu, rozplątać się na zawsze, Odoaker nie przyjąłby bowiem do wiadomości dwóch porażek w tak krótkim czasie, tracąc panowanie nad sobą. Wulfila był jednak przekonany, że się nie myli. Dopadnie zbiegów i wkrótce zakończy ich długotrwałą ucieczkę. Obetnie chłopcu głowę tym samym wspinałym mieczem i okaleczy twarz Rzymianinowi, który pozostawił mu szramę, odkrywając wreszcie, kim jest, nim na zawsze go unicestwi.

Tymczasem Liwia posuwała się naprzód w poszukiwaniu swych kompanów. Kiedy zaś przemierzała tonące w deszczu wsie lombardzkie, nawet jej nie przyszło do głowy, że mimo woli pełni funkcję przewodnika, który miał

doprowadzić najbardziej znienawidzonych i zażartych wrogów do swych przyjaciół, by osaczyli ich niczym gończe psy.

XXV

Początkowo Liwia miała nadzieję, że wyznaczone przejście przez Pad stworzy jej okazję do odnalezienia przyjaciół w wypadku, gdyby usiłowali przekroczyć rzekę za pomocą jednego z niewielu ciągle sprawnych promów linowych, jak ten, który widziała na Trebii. Mosty z tratw niegdyś łączące na stałe oba brzegi rzeki w wielu punktach i stanowiące przedłużenie dróg publicznych, takich jak Postumia czy Emilia, zostały zburzone w czasie rozmaitych zawieruch dwudziestu lat anarchii i zamieszek po namordowaniu Flawiusza Orestesa, natomiast promy poiroskradane po kolei przez mieszkańców obu wybrzeży, którzy wykorzystywali je jako łodzie do przewozu bądź łowienia ryb.

W ten oto sposób wszystko, co przyczyniało się ongi do jednoczenia miast, ludności, wiejskich czy górskich gmin oraz całych prowincji od jednego końca Imperium do drugiego, popadało w ruinę z powodu niefrasobliwości, rabunków i niedbalstwa. Budowle państwowe, takie jak *mansiones* na drogach publicznych, termy, fora i bazyliki, akwedukty, a nawet kamienne płyty na drogach zostały zniszczone, rozebrane, sprzedane bądź wykorzystane w innym celu. Nędza i zepsucie popychały ludzi do okradania własnego kraju, aby zapewnić sobie indywidualne przetrwanie, skoro nie mogło być już mowy o przetrwaniu zbiorowym, a tym bardziej o jakimkolwiek postępie społecznym. Stare pomniki, posągi z brązu upamiętniające wielkie zwycięstwa przodków i chwałę wspólnej ojczyzny dawno już przetopiono na monety lub przedmioty codziennego użytku. I tak oto szlachetny metal, który przybrał postać Scypiona czy Trajana, Augusta czy Marka Aureliu-

sza, stanowił teraz część naczyń do podawania posiłków nowym panom i monet do płacenia najemnikom panoszącym się na tej nieszczęsnej ziemi.

Nawet wspólny dla wszystkich język, łacina, który zjednoczył dziesiątki narodów, a którym posługiwali się jeszcze w jego najszlachetniejszej postaci wybitni obywatele, retorzy i duchowni, na co dzień rozdrabniał się na masę dialektów, nie tylko doprowadzając do przesady wymowę dawnych ludów, zamieszkujących Italię przed najazdem Rzymian, ale ewoluując w szybkim tempie, dając początek nowym językom, używanym wyłącznie przez małe wspólnoty lokalne, coraz bardziej zamkniętym w sobie. Miasta mogły nadal liczyć — przynajmniej częściowo — na własne tradycje municypalne; wiele z nich zachowało swoje magistratury, a nawet mury, które przydawały się niekiedy do obrony, zwłaszcza przed zgrajami zbiegłych żołnierzy albo uzbrojonych band wałęsających się po wsiach w poszukiwaniu łupu.

Opuszczone teraz świątynie dawnego kultu wiele lat temu zburzono i rozebrano, jako że stanowiły schronienie dla starych demonów. Niekiedy kolumny i cenne marmury mądrze wykorzystywano do budowy kościołów poświęconych chrześcijańskiemu Bogu, umieszczając je przynajmniej w nowych, nie mniej majestatycznych budowlach, dzięki czemu żyły nadal, stanowiąc źródło inspiracji dla ludzi, którzy je odwiedzali.

Przybierało zatem na sile wszystko to, co dzieliło, zanikało zaś to, co zostało stworzone, by łączyć. Świat rozmiękał się na drobne, rozbijał na niezliczoną ilość kawałeczków dryfując po oceanie historii. Wydawało się, że jedynie religia jest jeszcze w stanie jednoczyć ludzi dzięki obietnicy nieśmiertelności i nadziei na szczęście w przyszłym życiu, ale tylko powierzchownie. W rzeczywistości bowiem rozpowszechniały się rozmaite herezje, które wywoływały często krwawe spory, wzajemne anatemy i ekskomuniki, rzucane w imię jedyne Boga, który powinien być wspólnym ojcem dla całej ludzkości. Życie większości ludzi było zatem tak nędzne, że trudno byłoby je znieść,

gdyby nie obietnica nieskończonej szczęśliwości po często przedwczesnej śmierci.

Takie właśnie myśli chodziły po głowie Liwii, podczas gdy przemierzała Nizinę Północną, świadoma ryzyka, na jakie się naraża podróżując sama, na pięknym koniu przedstawiającym ogromną wartość zarówno jako źródło pożywienia, jak i zwierzę bojowe. Starła się zatem wykorzystywać wszelkie możliwe fortele, jakich nauczyła się wiodąc życie pełne ucieczek, ataków i obław tak na lądzie, jak na wodzie. Nawet nie przypuszczała, że czyjeś niewidzialne oczy strzegły jej dzień i noc ani że o każdym jej ruchu, o każdej zmianie kierunku natychmiast powiadamiano Stefanusa, który podążał za nią trzymając się w odpowiedniej odległości, pozwalającej uniknąć jakiegokolwiek z nią kontaktu. Przynajmniej na razie.

Stefanus przewidział wszystko, tylko nie to, że sam będzie śledzony i pilnowany przez ścigających go ludzi, którzy okażą się jeszcze bardziej niebezpieczni niż jego najemnicy.

W pewnej chwili Liwia jąła się posuwać wzdłuż wału nad Padem, który górując częściowo nad okolicznymi wsiami umożliwia lepszą obserwację terenu, prowadząc do celu skuteczniej niż zwykła droga. Jadąc wałem pomyślała sobie, że próba przepłynięcia się przez rzekę promem okazałaby się dla jej przyjaciół nierozważna i bardzo niebezpieczna, o czym sama zdążyła się przekonać, gdy natknęła się na barbarzyńskich żołnierzy w obozie *Ad pontem Trebiae*. Ale czy istniał inny sposób przepłynięcia się na drugi brzeg razem z końmi bez promu i zarazem bez zwracania na siebie uwagi? Może sprzedali swoje wierzchowce, by kupić następne po drugiej stronie? Tylko czy Aureliusz potrafiłby się rozstać z Dżubą?

Starła się jednak chwilowo nie zaprzętać tym sobie głowy i troszczyć o własną skórę, aż w końcu doszła do wniosku, że istnieje sposób, by przedostać się na drugi brzeg bez kłopotów. Otóż jakieś pół mili przed nią, niemal na łasze, stała olbrzymia barka do przewożenia piasku

i żwiru. Wynegocjowawszy cenę przeprawy, bez trudu wsiadła na pokład wraz z koniem. Zaświtała w niej wreszcie nadzieja, że najgorsze ma już za sobą, że teraz, posuwając się o wiele szybciej, zdoła dotrzeć do przełęczy co najmniej na dwa dni przed przyjaciółmi, jeśli oczywiście nie wydarzy się nic niespodziewanego. Ruszyła więc zdecydowanie w kierunku Pawii, trzymając się wszakże w odpowiedniej odległości od miasta, obawiała się bowiem spotkania z potężnym oddziałem wojsk Odoakra. Skierowała się zatem ku jezioru Verbanum, gdzie udało jej się przyłączyć do karawany mułów, zmierzającej ku przełęczy Mezów z ładunkiem ziarna i trzema wozami siana. Towary te przeznaczone były dla położonych w wysokich górach gospodarstw, w których krowy i owce przez całą zimę trzymano w oborze. Jak jej powiedziano, hodowcy woleli nie schodzić na nizinę w obawie, że ich ktoś okradnie.

Ludzie mówili tutaj z zupełnie innym akcentem, w miarę jak wspinali się coraz wyżej, nieustannie zmieniał się też krajobraz. Pozostawiwszy za sobą ogromne zielonobłękitne jezioro oprawione niczym klejnot w głęboką dolinę, otoczone zalesionymi wzgórzami, pastwiskami, winnicami, a nawet gajami oliwnymi, posuwali się wzdłuż coraz bardziej stromych stoków, przez lasy bukowe i dębowe, następnie zaś przez jodły i nagie o tej porze modrzewie.

Czwartego dnia wędrówki, podążając zgodnie z otrzymaną od Ambrozynusa mapą, Liwia opuściła chwilowych towarzyszy podróży i samotnie ruszyła pokrytą śniegiem drogą wiodącą ku przełęczy. Niedaleko na północ od wioski zwanej Tarussedum znajdowała się stara stacja drogowa *cursus publicus*, która nadal działała, co można było wynioskować z dobywającego się z komina dymu, poczuła więc pokusę, by wejść do środka i schronić się przed przenikliwym chłodem. Na widok sporej liczby koni, uwiązanych przy żłobie pod wiatą i okrytych grubymi filcowymi czaprakami, rozejrzała się wokół za bardziej odosobnionym i położonym nieco wyżej miejscem, które pozwoliłoby jej obserwować drogę. Po wschodniej stronie wąwozu dostrzegła kilka drewnianych chat, z których także

unosił się dym. Pomyślała, że mieszkają w nich drwale, ponieważ wokół leżały sterty bali, z których jedne miały jeszcze korę, inne zaś były okorowane i ociosane. Podeszła bliżej i tak długo pukała do drzwi, aż otworzyła jej jakaś staruszka. Miała na sobie ciężkie szaty z surowej wełny, na nogach zaś filcowe buty. Włosy zaplotła w warkocze i upięła na karku drewnianymi szpilkami.

— Kim jesteś? — burknęła. — Czego chcesz?

Liwia zdjęła kaptur i obdarzyła ją uśmiechem.

— Mam na imię Irena i właśnie jechałam razem z braćmi do Recji. Wczoraj rozdzieliła nas zamieć śnieżna, ale umówiliśmy się wcześniej, że jeśli któreś z nas się zgubi, będziemy czekać na resztę tutaj, na przełęczy. Widziałam, że na stacji drogowej jest pełno żołnierzy, a ja jestem samotną dziewczyną. Chyba mnie rozumiesz.

— Nie mogę cię ugościć ani dać nic do jedzenia — odparła nieco udobruchana kobieta.

— Chętnie prześpię się w stajni pod własną derką i zapłacę za poczęstunek. A kiedy nadjedzie mój ojciec z braćmi, na pewno okaże ci wdzięczność.

— A jeśli nie przyjedzie?

Liwia spochmurniała słysząc te słowa, przyszło jej bowiem na myśl, że istotnie przyjaciele mogli wybrać inną drogę albo się zgubić, a wówczas zapewne nigdy ich już nie zobaczy. Odgadując jej obawy staruszka okazała więcej zrozumienia.

— Ależ tak — powiedziała — skoro ty przyjechałaś, dlaczego nie mieliby przyjechać także oni? A poza tym masz rację — ciągnęła — samotna dziewczyna nie może spać w gospodzie wśród tych wszystkich barbarzyńców. Jesteś dziewczicą?

Liwia skinęła głową uśmiechając się nieznacznie.

— W twoim wieku nie powinnaś już być dziewicą. Mam na myśli to, że powinnaś mieć męża i dzieci, tym bardziej że jesteś całkiem ładna. Chociaż z drugiej strony małżeństwo to żaden powód do radości. No już, nie stój tak w progu, zaprowadź konia do stajni i wchodź do środka.

Spełniwszy polecenie, Liwia usiadła przy ogniu, by ogrzać zgrabiąle dłonie.

— Może uda mi się nakłonić męża, żeby przenocował w stajni, a ty będziesz mogła spać obok mnie, w łóżku —oznajmiła kobieta, która na widok bezbronnego wyglądu dziewczyny stawała się coraz mniej nieufna. — Biorąc pod uwagę jego wyczyny... Mam na myśli łóżko.

— Dziękuję — odrzekła Liwia — ale nie chcę sprawiać kłopotu. Prześpię się w stajni, potrafię przywyknąć, a zresztą to przecież tylko na krótko.

— Skoro tak... Zatem położę ci siennik z drugiej strony ściany paleniska, abys przez cały czas miała ciepło. Tutaj po zmroku robi się zimno.

Jej mąż, drwal, wrócił wieczorem z przewieszoną przez ramię siekierą, niosąc worek z żelaznymi klinami. Towarzyszył mu pies — piękne zwierzę o jasnej sierści, miękkiej niczym jagnięce futro, który spełniał każde jego polecenie i nie odstępował go ani na krok. Mężczyzna ucieszył się na widok gościa, podczas wieczerzy zaś zasypywał Liwie gradem pytań na temat wydarzeń w Pawii, Mediolanie i na dworze w Rawennie. Dzięki temu, że mieszkał przy tak ważnym gościńcu, często zdobywał wiadomości, co dzieje się w pozostałej części kraju albo przynajmniej na wielkiej nizinie. Miał na imię Ursynus, jego żona zaś Agata. Nie mieli dzieci, mieszkali sami w tej chacie, odkąd się pobrali, to znaczy na oko od jakichś czterdziestu lat. Ursynus nalegał, by Liwia spała razem z Agatą, dziewczyna wszakże grzecznie odmówiła.

— Mój koń mógłby się przestraszyć, jeśli mnie przy nim nie będzie, a wtedy nie da wam spać całą noc. A poza tym boję się, żeby mi go nie ukradli; to naprawdę piękny wierzchowiec, a bez niego zginę.

Liwia położyła się więc w stajni wraz ze zwierzętami, opierając plecy o zewnętrzną ścianę paleniska, która dawała przyjemne ciepło. Zaopatrzywszy ją w dodatkowe derki, Agata życzyła jej dobrej nocy. Była to gwieździsta i jasna noc, jakiej nigdy dotąd nie widziała, przecinająca zaś niebo Droga Mleczna wyglądała niczym diadem na czole samego

Boga. Wreszcie zmęczenie wzięło górę i zasnęła, pozostała wszakże w stanie półczuwania, słysząc każdy hałas dochodzący z przełęczy. Co chwila budziła się spoglądając w dół. A jeśli jej towarzysze przechodzili tędy, podczas gdy spała? Wtedy cały wysiłek okazałby się niepotrzebny. Musiała koniecznie znaleźć jakiś sposób, żeby ich nie przeoczyć.

Nazajutrz rano nad kubkiem gorącego mleka podzieliła się swymi obawami z Ursynusem.

— Boję się, że moi bracia przejdą tędy, a ja ich nie zauważę. Z drugiej strony nie wiem, co robić; nie mogę przecież czuwać całą noc.

— Nie musisz — odrzekł Ursynus. — Wędrowanie w nocy jest zbyt niebezpieczne, na pewno więc będą tędy przechodzić za dnia.

— Obawiam się, że nie. Widzisz, moja rodzina straciła dom i ziemię, ponieważ odebrali nam je barbarzyńcy, a teraz naszą jedyną nadzieją jest dotarcie do krewnych w Recji, którzy mogliby nam pomóc. Ale właśnie z tego powodu bracia mogą chcieć ominąć przełęcz i panoszących się na niej barbarzyńców.

Ursynus przyglądał jej się przez chwilę w milczeniu; od razu było widać, że nie uwierzył w te osobliwe wyjaśnienia. Liwia poczęła więc mówić dalej z nadzieją, że w końcu zdoła go przekonać, aby jej pomógł.

— Jesteśmy zbiegami; ścigają nas żołnierze Odoakra, który chce naszej śmierci. Ale nie zrobiliśmy nic złego poza tym, że nie ugięliśmy się przed jego tyranią i pozostaliśmy wierni własnym zasadom.

— A jakie są te wasze zasady? — zapytał Ursynus z dziwnym błyskiem w oczach.

— Wierność tradycji naszych ojców, wiara w przyszłość Rzymu.

Mężczyzna westchnął.

— Nie wiem, czy mówisz prawdę na temat nieszczęść, jakie cię spotkały, dziewczyno, i rozumiem, że nie ufasz nikomu, nawet temu, kto ci udzielił gościny, ale pozwól, że ci pokażę coś, co być może wzbudzi twoje zaufanie...

Liwia próbowała się sprzeciwić, Ursynus jednak powstrzymał ją gestem ręki. Wstał i wyjąwszy z szuflady małą blaszkę z brązu, położył ją przed nią na stole. Była to *honesta missio*, honorowe zwolnienie ze służby wojskowej, wystawione na nazwisko Ursynusa, syna Sergiusza, i podpisane przez samego Aecjusza, naczelnego dowódcę armii cesarskiej za panowania Walentyniana III.

— Jak widzisz — powiedział — byłem kiedyś żołnierzem, dziewczyno. Wiele lat temu walczyłem na Polach Katalaunijskich przeciw Attyli, pod wodzą Aecjusza, w dniu, kiedy barbarzyńcy ponieśli najsromotniejszą klęskę, w dniu, kiedy wszyscy wierzyliśmy, że uratowaliśmy cywilizację.

— Wybacz mi — odparła Liwia. — Nie miałam o tym pojęcia.

— A teraz powiedz mi prawdę: rzeczywiście czekasz na braci?

— Nie... Na przyjaciół, towarzyszy broni. Usiłujemy uciec z kraju i ocalić przed pewną śmiercią niewinnego chłopca.

— Możesz mi zdradzić, kim jest ten chłopiec?

Liwia spojrzała mu prosto w oczy — przejrzyste oczy uczciwego człowieka.

— Naprawdę nazywam się Liwia Priska — wyznała. — Wraz z grupą rzymskich żołnierzy próbowaliśmy uwolnić z więzienia cesarza Romulusa Augustusa i nam się udało. Mieliśmy go oddać pod opiekę zaufanym przyjaciołom, ale zostaliśmy zdradzeni i musieliśmy uciekać, ścigani jak zwierzęta dosłownie w każdym zakątku ziemi. Naszą jedyną nadzieją jest przekroczenie granicy i udanie się do Recji, a potem do Galii, gdzie nie sięga władza Odoakra.

— Boże wszechmogący! — zawołał Ursynus. — A dlaczego jesteś sama, dlaczego zostawiłaś swoich towarzyszy?

— Rozdzieliła nas potężna ulewa i nie dałam rady ich odnaleźć.

— A skąd wiesz, że będą tędy przejeżdżać?

— Bo tak się umówiliśmy.

— Nie powiedzieli nic więcej? To ważne; musisz mi dokładnie powtórzyć, co ci powiedzieli.

— Jest z nami pewien starzec, preceptor chłopca, który przechodził tędy wiele lat temu wędrując z Brytanii. Powiedział, że wysoko w górach jest przejście, które pozwala ominąć punkt kontrolny na drodze. Spójrz tutaj — pokazała mu mapę.

— Chyba rozumiem. W takim razie nie ma chwili do stracenia. Jak myślisz, o ile ich wyprzedziłeś?

— Nie wiem, może jeden dzień, może dwa, a może trzy, trudno powiedzieć. Wszystko jest możliwe. Niewykluczone też, że zmienili zdanie.

— Nie sądzę — odrzekł Ursynus. — Skoro umówili się z tobą właśnie tutaj, na pewno przyjdą. A teraz powiedz mi, ilu ich jest i jak wyglądają, żebyś mógł ich rozpoznać.

— Nie trzeba. Pójdę z tobą.

— Ciągłe mi nie ufasz, prawda? Ale musisz zostać tutaj na wypadek, gdyby spróbowali przedostać się przez przełęcz. Nie możemy tego wykluczyć, ponieważ droga, o której wspomniałaś, jest zasypana śniegiem i trudno ją zobaczyć. Teraz rozumiesz?

Liwia skinęła głową.

— To sześciu mężczyzn, z czego jeden jest czarnoskórym olbrzymem; nie sposób go przeoczyć. Drugi to starzec z brodą, prawie łysy, około sześćdziesiątki, nosi sagum i podpira się długim kosturem pielgrzymim. Jest jeszcze trzynastoletni chłopiec. To cesarz. Mają broń i konie.

— A teraz posłuchaj mnie uważnie: pójdę w góry, a kiedy się na nich natknę, wyślę ci psa, zrozumiałas? Kiedy go zobaczysz i zacznie szczekać, idź za nim: zaprowadzi cię do mnie. Jeśli natomiast to ty ich spotkasz, postaraj się ich zatrzymać, zanim przekroczą przełęcz, i ukryj ich w lesie; ja ich przeprowadzę, kiedy się ściemni. Dacie mi znak wypuszczając biały dym z komina. Agata wrzuci do ognia zielone gałęzie.

— Ale jakże dasz sobie radę wysoko w górach przy takim zimnie?

— Nie martw się o mnie, mam mały szłaśik z bali, osłonięty od wiatru; poradzę sobie, zresztą jestem przyzwyczajony. — Ruszył do wyjścia w towarzystwie psa, który merdał radośnie ogonem.

— Ursynusie! — zawołała Liwia.

— Tak?

— Dziękuję za to, co dla mnie robisz.

Ursynus uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Robię to także dla siebie, dziewczyno. To trochę tak, jakbym wrócił do służby i znów był młody, nie uważasz?

Oddalił się nie mówiąc nic więcej, po jakimś czasie zaś Liwia spostrzegła, jak podąża ośnieżonym stokiem aż na sam szczyt. Po kilku godzinach zauważyła na przełęczy jakieś dziwne poruszenie, krzątanie uzbrojonych mężczyzn na koniach, i zaczęła się niepokoić: cóż takiego mogło się wydarzyć w tak mało uczęszczanym miejscu i o tej porze roku? Po jakimś czasie znów zapanował spokój. Drogę patrolowało jak zwykle dwóch żołnierzy na koniach. Liwie na nowo ogarnęły wątpliwości: jak mogła się łudzić, że uda jej się dostrzec maleńką grupkę ludzi wędrujących po tak ogromnym terenie, wśród lasów, wąwozów i labiryntu dolin? Nagle jednak z tych ponurych myśli wyrwało ją szczekanie białego psa, na którego nie zwróciła wcześniej uwagi na tle śniegu. Spojrzawszy w górę, doznała wrażenia, że Ursynus macha do niej, jakby chciał ją przywołać. Boże wszechmogący! Czy to możliwe, że zdarzył się aż taki cud? Okrywszy się płaszczem, ruszyła za psem najpierw w dół, potem zaś pod górę, po przeciwległej ścianie doliny, drogą, która żołnierzom z przełęczy nie pozwalała jej dostrzec. Ogarnęło ją niepoohamowane podniecenie, nie śmiała wszakże żywić nadziei, że jeszcze ich zobaczy, sama zaś myśl, że Ursynus się pomylił albo że pies przybiegł do niej z jakiegoś innego powodu, wywoływała w niej burzę gwałtownych i sprzecznych uczuć. Kiedy wreszcie stanęła u jego boku, starzec nawet się nie obejrzał, nie odrywał wzroku od czegoś, co poruszało się daleko w dole, po ścieżce, która odchodząc od głównej drogi wiła się ku szczytowi zbocza.

— Myślisz, że to mogą być oni? — zapytał. — Sama zobacz; mój wzrok już nie jest taki jak kiedyś.

Liwia spojrzała w dół i serce podskoczyło jej do gardła: w oddali znajdowały się małe figurki, ale było ich siedem, miały siedem koni, jedna z nich znacznie przewyższała pozostałe, inna z kolei była o wiele niższa; wspinali się powoli, trzymając konie za wodze. Miała ochotę krzyknąć, rozplakać się, zawołać na całe gardło, tymczasem choć cała się trzęsła, musiała milczeć: czekać i cierpieć, przygotować się na kolejne ryzyko, na inne śmiertelne niebezpieczeństwa. Ale jakież to miało teraz znaczenie? Wreszcie ich odnalazła i nic na świecie nie mogło się równać radości, jaką sprawiał jej ich widok.

Liwia zarzuciła Ursynusowi ramiona na szyję.

— To oni, mój kochany przyjacielu, to oni, to oni!

— A nie mówiłem? Sama widzisz, że niepotrzebnie się zamartwiałaś.

— Idę po konia—powiedziała. — Zaczekaj tu na mnie, zaraz wracam.

— Nie ma pośpiechu, dziewczyno — odrzekł. — Przed nimi jeszcze kawał drogi, a w górach można się łatwo pomylić oceniając odległość, wiesz? A gdyby tego było mało — dodał wznosząc oczy ku ciemniejszemu niebu — pogoda się zmienia i to na pewno nie na lepsze.

Rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na niewielki orszak, który wspinał się z trudem po ośnieżonej stromiźnie, wróciła na dół. Gdy dotarła do domu, weszła do środka, by pożegnać się z gospodynią.

— Agato, wyjeżdżam. Są już moi przyjaciele i...

Agata jednak sprawiała wrażenie wystraszonej; była zeszywniała i pobladła.

— Cóż za wspaniała wiadomość! — zawołał z tyłu jakiś głos. Dobrze znany głos, na którego dźwięk aż podskoczyła: Stefanus! — Biedaczka jest nie w humorze, bo jak widać, jeden z moich ludzi przystawił jej włócznię do grzbietu. A teraz, moja droga, pozwól, że ci się przyjrzę; dawnosmy się nie widzieli.

— Przeklęty łajdaku — burknęła Liwia odwracając się szybko. — Powinnam się była tego spodziewać!

— Za błędy trzeba płacić — odrzekł Stefanus nie okazując najmniejszego wzruszenia. — Ale na szczęście na wszystko jest lekarstwo. Wystarczy dojść do porozumienia.

Liwia miała ochotę przybić go do ściany sztyletem, który ścisnęła kurczowo pod kaftanem, Stefanus wszakże zdawał się czytać w jej myślach. — Nie daj się ponieść emocjom, to źli doradcy.

— Jak mnie znalazłeś?—zapytała Liwia niemal z rezygnacją.

— To prawda, że ciekawość jest cechą kobiet! — stwierdził z przekąsem Stefanus. — Ale zaspokoję ją, w gruncie rzeczy nic mnie to nie kosztuje. Moja służka znalazła mapę w twoich rzeczach, zanim je wzięła do prania, i dzięki temu dokładnie poznałem trasę, którą zamierzałaś pójść. Poza tym zdradził cię ten medalion, który stale nosisz na szyi.

— Liwia ścisnęła go w dłoni, jakby chciała go ochronić.

— To przedmiot całkowicie bez wartości, ale bardzo rzadki. Jeden z moich ludzi zauważył go w oberży przy promie na Trebii. Ten sprytny chłopak nie tylko zorientował się, że jesteś kobietą, widząc, z jakim wdziękiem się poruszasz i jakie masz małe, dziecinne stopy, ale zwrócił też uwagę na ten ordynarny wisior, o którym wszystkim opowiedziałem jako o jednym z twoich znaków rozpoznawczych. Miał rozkaz, żeby nie reagować, jeśli zobaczy kogoś z was, tylko po prostu mnie zawiadomić, i tak właśnie postąpił.

— Czego chcesz? — zapytała Liwia nie patrząc mu w oczy. — Nie wystarczy to, co już nam zrobiłeś?

— Teren jest otoczony przez moich ludzi, poza tym na przełęczu stacjonuje oddział pomocniczy złożony z czterdziestu Gotów, który jest pod moimi rozkazami i w którym panuje wzmożona czujność. Bez względu na to, gdzie są, twoi przyjaciele nie mają dokąd uciec. Ale jestem człowiekiem cywilizowanym; nie chcę rozlewu krwi, tylko tego, co mnie interesuje. Chcę jedynie miecza i ciebie. Ta broń zrobi ze mnie takiego bogacza, że nie starczy mi życia, aby

wydać tyle pieniędzy, a ty będziesz się nimi cieszyć razem ze mną. Sama się przekonasz, jak szybko można się przyzwyczaić do bogactwa i luksusu. Wkrótce zapomnisz o tym swoim nieokrzesanym przyjacielu. Jeśli rzeczywiście ci na nim zależy, zrób, co każe.

— Już ci powiedziałam: miecz przepadł.

— Nie kłam, bo każe zabić tę kobietę. — Mówiąc to podniósł dłoń.

— Nie, zatrzymaj się! — zawołała Liwia. — Zostaw ją w spokoju. Powiem ci wszystko, co wiem. Ten miecz naprawdę istnieje, ale nie widziałam tych ludzi od wielu dni i nie mam pojęcia, w czym jest teraz posiadaniu; mogli go zgubić albo sprzedać.

— Zaraz się przekonamy; wystarczy, że ich o to spytasz. Będziesz mówiła w moim imieniu. Chcę tylko tego miecza i pozwolę im wszystkim odejść, łącznie z chłopcem. Wszystkim oprócz ciebie oczywiście. To hojna oferta. Wiesz, że Odoaker rozkazał was zabić? Więc co ty na to?

Liwia skinęła potakująco głową.

— Zgoda. Ale skąd mam pewność, że nas nie zdradzisz?

— Po pierwsze niech ci wystarczy to, że nic nie powiedziałem Wulfili. On też was szuka i całe szczęście, że nie zjawił się tu przede mną, bo wtedy nikt by się nie wywinął. Po drugie nie jestem mordercą; wcale mi nie zależy, żeby urządzić jatkę, skoro mogę dostać to, czego chcę, po dobroci. A po trzecie nie masz wyboru.

— Niech tak będzie — odrzekła Liwia. — Chodźmy. Ale pamiętaj: jeżeli mnie okłamałeś, ubiję cię jak psa, choćby mi to zajęło całe życie. A przed śmiercią będziesz miał czas żałować, że w ogóle się urodziłeś.

Stefanus nie zareagował. Powiedział tylko:

— W takim razie zabierajmy się stąd. A wy chodźcie ze mną. — Zza stajni wyłoniło się dwudziestu żołnierzy, którzy podążali za nimi trzymając się w odległości paru kroków.

— Gdyby ci coś głupiego przyszło do głowy, moi ludzie mają rozkaz cię zabić i wezwać na pomoc wszystkich

OSTATNI LEGION

innych, którzy czekają w lesie, a także tych z oddziału; raz, dwa rozniosą twoich kompanów na strzępy.

— W takim razie pozwól mi pójść po konia i każ swoim najemnikom, żeby ukryli się trochę dalej, tam, na skraju lasu. Na górze jest mój człowiek, mąż tej kobiety; mógłby nabrać podejrzeń i wszcząć alarm.

Stefanus rozkazał żołnierzom, by podążali za nim kryjąc się wśród leśnych drzew, które ciągnęły się aż do pierwszej ośnieżonej polany. Liwia chwyciła konia za uzdę, po czym zeszli do samej drogi, a następnie jęli się wspinać na wzgórze.

— A teraz ty też trzymaj się z tyłu — poleciła. — Nie wiem, jak mogliby zareagować na twój widok.

Stefanus zwolnił kroku, Liwia zaś zaczęła się zbliżać do Ursynusa. W tej samej chwili Aureliusz, Watrenus i pozostali wyłonili się zza skalnego występu jakieś dziesięć kroków przed nią.

— Liwia! — zawołał na jej widok Romulus.

— Romulus! — krzyknęła dziewczyna. Po czym odwróciła się szybko do Aureliusza. — Aureliuszu, posłuchaj! — zaczęła, nie zdążyła jednak dokończyć zdania, wyraz radości i zaskoczenia na twarzach jej kompanów zmienił się bowiem w grymas oburzenia.

Aureliusz dobył miecza wołając:

— Przeklęta, zdradziła nas!

XXVI

W tej samej chwili za plecami Liwii pojawił się Wulfila na czele swoich żołnierzy, którzy szeroką ławą sunęli po zboczu na Aureliusza i jego towarzyszy.

Obejrzawszy się za siebie, Liwia zrozumiała.

— Nie zdradziłam was! — zawołała. — Musicie mi uwierzyć. Prędko, wchodźcie na górę i wsiadajcie na konie, prędko!

Aureliusz i pozostali, nie pojmując jeszcze, co się właściwie stało i dlaczego Liwia znalazła się w tym miejscu w towarzystwie ich najzacieklejszych wrogów, rzuciwszy się do ucieczki, znaleźli się na pozornie nizinym terenie u stóp wzgórza, z którego schodzili właśnie zapadając się w śnieg jeźdźcy Wulfili. Było ich co najmniej pięćdziesięciu.

— Reszta jest na przełęczy! — zawołał Ursynus. — Nie możecie zejść od strony drogi!

— A na górze są też najemnicy Stefanusa! — krzyknęła Liwia. — To on kazał mnie śledzić tak, żebym się nie zorientowała.

W tej samej chwili Stefanus widząc, że jego plan spełził na niczym, oddalił się ku drodze, by dołączyć do swych najemników. Liwia chwyciła łuk i wypuściła strzałę, z odległości stu kroków trafiając go w środek pleców. Następnie zaczęła strzelać do jego ludzi, którzy wynurzyli się właśnie z lasu, zmuszając ich do szukania schronienia wśród zarośli; na widok upadku dowódcy ogarnął ich popłoch.

Ursynus wskazał ręką zachodnie zbocze wzgórza.

— To jedyna droga ucieczki — zawołał — a śnieg może być zamrożony, więc musicie zachować ostrożność. Chodźcie, chodźcie tędy, prędko!

Liwia ruszyła pierwsza na czele kolumny, Wulfila jednak, który spoglądając ze szczytu odgadł ich plany, wysłał część swych żołnierzy w ich kierunku.

— Pamiętajcie! — wrzasnął. — Chcę dostać głowę chłopca i miecz za wszelką cenę! Ma go ten wojak na dole, z czerwonym pasem!

Tymczasem Watrenus, podobnie jak Aureliusz, Batiatius i pozostali, puścił się za Liwią. Droga wydawała się wolna, toteż każdy z nich popędził swego wierzchowca, aby czym prędzej przebyć najniebezpieczniejszy odcinek, który kończył się od zachodniej strony krawędzią przepaści. Wszyscy starali się nie schodzić zbyt nisko; nawet podążający za nimi Ambrozynus poganiał jak mógł swą mulicę. Rozumiejąc wyjątkowo niebezpieczne położenie, w jakim się znaleźli, Aureliusz skierował Dżubę nieco wyżej, by móc lepiej kontrolować sytuację. W tej samej jednak chwili z góry, wzbijając tumany śniegu, z obnażonymi mieczami runęli na nich Wulfila i jego ludzie.

Barbarzyńca natarł nań w okamgnieniu; pchnąwszy go koniem, zrzucił na ziemię, po czym skoczył na niego i obaj zaczęli się turlać na dół, szepieni w nierozzerwalnej gmatwaninie zastygłych w nienawiści i zeszywniałych z zimna kończyn. Podczas owego niekontrolowanego spadania miecz Aureliusza wysunął się z pochwy i zaczął ślizgać po zboczu. Obaj wojownicy zatrzymali się na występie skalnym, który wyłaniał się z okrywy śnieżnej, trzymając palce zaciśnięte na przegubach rąk przeciwnika i ciężko dysząc. Znalazłszy się na wierzchu, ze wzrokiem utkwionym w oczach Aureliusza, Wulfila nagle doznał olśnienia, na które tak długo czekał.

— Wreszcie cię poznaję, Rzymianinie! Sporo czasu minęło, ale nie bardzo się zmieniłeś! To ty nam otworzyłeś bramę Akwilei!

Twarz Aureliusza zastygła w grymasie bólu.

— Nie! — wrzasnął. — Nie! Neeee!

Jego krzyk odbił się echem od skutych lodem ścian Alp. W tej samej chwili, doznawszy przyływu jakiejś straszliwej siły, wbił kolana w tors wroga, po czym wyrzucił go do tyłu. Następnie przewrócił się na bok, by stanąć na nogi, a wówczas znalazł się tuż przy Ambrozynusie, który upadł i starał się za wszelką cenę nie zjechać ku przepaści. Ich spojrzenia spotkały się tylko na moment, ale to wystarczyło Aureliuszowi, by zorientował się, że starzec usłyszał i że doskonale rozumiał. Otrząsnął się jednak i począł wdrapywać się po zboczu, by pomóc przyjaciołom, którzy staczali właśnie zaciekły bój. Słyszał ryk Batiatusa, który chwycił wrogów, podnosił nad głowę, po czym wrzucał wprost do przepaści, a także złorzeczenia Watrenusa, który walczył na dwa miecze z dwoma żołnierzami naraz, zapadając się w śnieg po kolana.

Kiedy wreszcie wstał i sięgnął po miecz, pragnąc rzucić się w wir i być może znaleźć tam śmierć, ku swemu rozczarowaniu stwierdził, że pochwa jest pusta. W tej samej chwili na szczycie wzgórza pojawił się kolejny oddział jeźdźców, którzy przybywszy z przełęczy, przejechali przez polanę, po czym zsunęli się ukośnie, w przeciwnym kierunku, chcąc ominąć zbyt stromą skałę. Pod wpływem tego zdecydowanego ruchu gruba pokrywa śnieżna otaczająca wzgórze pękła na pół i jęła spadać, nabierając gęstości i objętości, aż wreszcie rąbnęła najpierw w Watrenusa i Batiatusa, którzy walczyli na najbardziej wysuniętej pozycji, potem zaś w pozostałych łącznie z Romulusem.

Aż do tej chwili Demetriusz i Orojusz usiłowali osłonić go tarczami przed strzałami i oszczepami wrogów, którzy za wszelką cenę starali się zadać mu śmiertelny cios, lawina wszakże cisnęła ich z impetem do tyłu, zanim zdążyli jakoś pomóc chłopcu. Żywiół przewrócił nawet konie, które dzięki swej masie powinny były odeprzeć uderzenie, i pociągnął je za sobą do wąwozu.

Tymczasem ześlizgujący się Wulfila robił co mógł, by spowolnić upadek, chwytając się śniegu, łamiąc paznokcie

i zdzierając sobie skórę na dłoniach, aż w końcu zdołał się zatrzymać zaciskając palce na występie skalnym. Wisiał częściowo w powietrzu, ręce sztywniały mu coraz bardziej z zimna, odmawiając posłuszeństwa, chociaż pragnął za wszelką cenę uniknąć śmierci i wdrapać się na górę. Czuł, że nadchodzi chwila, gdy igielki mrozu zmuszą go, by zwolnił uchwyt, lecz nagle ujrzał miecz szybujący na dno przepaści. Chociaż stracił swój impet, ciągle leciał i leciał w dół, coraz bardziej zwalniając i coraz bardziej zbliżając się do skraju wąwozu, aż wreszcie opadł na krawędź, wystając poza nią do połowy klingi, po czym zachwiał się lekko, by na koniec cudem się zatrzymać. Ciężar masywnej rękojeści w ostatniej chwili przygwoździł go do ziemi.

Widok ten podziałał na Wulflę jak smagnięcie biczem: wygiąwszy plecy w łuk, z dzikim rykiem zebrał wszystkie siły drżące w jego ogromnym cielsku, po czym podciągnął się opierając na oblodzonej krawędzi najpierw łokcie, potem jedno kolano, potem drugie. Był uratowany. I stał na własnych nogach. Ostrożnie przysunął się do miecza zdając sobie sprawę, że może spaść pod wpływem najmniejszego drżenia ziemi czy choćby nawet powietrza, aż wreszcie zbliżył się na odległość zaledwie paru kroków. Wówczas przywarł płasko do podłoża, rozrzucając nogi i wbijając czubki butów w śnieg niczym kotwice, po czym wyciągnął przed siebie ramię, złapał rękojeść miecza i ścisnął ją triumfalnie w dłoni. Następnie wstał podnosząc miecz ku zachmurzonemu niebu, a jego okrzyk zwycięstwa przebił się przez chmury i uderzył o oblodzone szczyty gór, długo rozbrzmiewając wśród porośniętych lasami dolin. Kiedy dokuśtykał do oddziału, który dopiero co wywołał lawinę, jeden z jego żołnierzy natychmiast oddał mu swego konia. Pogoda zaczęła się pogarszać i z każdą chwilą robiło się ciemniej.

— Już nic nie widać — powiedział do swych ludzi.
— Wrócimy jutro. I tak potracili konie, a jeśli nawet ktoś zdołał się uratować, na pewno nie ujdzie daleko. Jutro zamkniecie wszystkie przejścia na północ i na południe od przełęczy; nie chcę, żeby ktokolwiek nam uciekł. A potem,

kiedy zrobi się jasno, poszukamy ciała. Chcę głowy chłopca, a ten, kto mi ją przyniesie, dostanie sowitą nagrodę. — Dał im znak, by poszli za nim, po czym wszyscy razem ruszyli w dół, do położonej na przełęczy stacji drogowej.

Z nieba zaczęły spadać drobne, ostre niczym igły kryształki marznącego śniegu, które kaleczyły twarz i ręce. Po jakimś czasie kryształki zamieniły się w coraz większe i coraz bardziej gęste płatki, wirujące wokół podobnych do zjaw jeźdźców, którzy schodzili po zboczu, splamionym krwią i usianym leżącymi bez czucia ciałami. Wśród trupów Wulfila dostrzegł także zwłoki Stefanusa, przebitego na wylot strzałą, którą usiłował wyjąć w ostatnim spazmie agonii. „Zasłużyłeś sobie na taki koniec”, pomyślał i poszedł dalej ze spuszczoną głową, otulając się szczelnie płaszczem, by ochronić się przed zamiecią.

Przekroczywszy próg *mansio*, w której było ciepło dzięki płomieniom buchającym z piniowego drewna, usiedli na ławie, podczas gdy oberżysta piekł na rożnie barana, podając dzbany piwa i bochny chleba. Mimo bólu, który sprawiały mu zadane rany, Wulfila był w prawdziwej euforii. U boku zwiślał mu bowiem najwspanialszy miecz, o jakim kiedykolwiek marzył, jego ofiara zaś leżała sztywna pod grubą warstwą śniegu. Obcięcie jej głowy byłoby jeszcze łatwiejsze niż rozwalenie lodowego stalaktytu.

— Wy — wskazał siedzącą naprzeciw niego grupę żołnierzy — kiedy tylko zrobi się jasno, zejdzicie nad rzekę, która płynie na dnie doliny, i zablokujecie most, stanowiący jedyne przejście na terytorium retyckie. A wy — zwrócił się do grupy żołnierzy siedzącej po jego prawej stronie — cofniecie się tą samą drogą aż do ścieżki, która prowadzi do tego samego mostu, ale od zachodu. Będziecie mieli przewodnika, więc na pewno się nie zgubicie. W ten sposób nikt nam nie ucieknie. Z kolei wy — powiedział do żołnierzy, którzy zajmowali miejsca po jego lewej stronie — wróćcie razem ze mną na górę, żeby poszukać trupów. Jak już mówiłem, tutaj jest sakiewka pełna srebra dla tego, kto pierwszy odnajdzie zwłoki chłopca i odetnie mu głowę. A teraz jedźmy, pijmy i weselmy się, bo los okazał się dla

nas łaskawy. — Kiedy podniósł do góry pełen dzban, wszyscy powitali ów gest okrzykami radości. Ciesząc się ze zwycięstwa wlewali w siebie niewiarygodne ilości piwa głośno przy tym bekając.

Dżuba wstał z ogromnym wysiłkiem, strząsając z grzbietu śnieg i wypuszczając z oszronionych chrap gęsty obłok pary. Parsknął potrząsając grzywą i głośno zarżał przywołując swego pana, wokół wszakże było pusto, a nad szerokim polem zasypałym przez lawinę w ciszy zapadał mrok. Koń ruszył równym krokiem parszcząc od czasu do czasu i machając ogonem, po czym nagle stanął i zaczął grzebać kopytem, powoli odgarniając śnieg, aż ukazały się najpierw plecy, a następnie szyja jego pana. Dżuba jął liźać kark półprzytomnego mężczyzny ogrzewając go oddechem. Ów ciepły, delikatny dotyk tchnął w zmarzniętego na kość Aureliusza nieco energii. Powoli, z trudem zdołał oprzeć się na dłoniach i łokciach, następnie na kolanach, gdy tymczasem koń rżał cicho, jakby chciał pokazać, że aprobejuje jego wysiłki, aż wreszcie całkiem się wyprostował obejmując Dżubę za szyję.

— Dobry konik, dobry, wiem, że jesteś dzielny, wiem. A teraz pomóż mi odkopać resztę, no już.

Niedaleko nich zmaterializowała się ni stąd, ni zowąd mulica Ambrozynusa, Aureliusz przypomniał zaś sobie o tarczach, które miała przytroczone do siodła. Odwiązawszy jedną z nich, zaczął odgarniać śnieg używając jej jak łopaty. Wkrótce uderzył o tors Watrenusa, któremu wyrwał się jęk.

— Jesteś cały? — zapytał Aureliusz.

— Chyba tak — mruknął Watrenus. — Tylko przestań wreszcie drapać mnie tym narzędziem.

Z drugiej strony wzgórza, tam gdzie biegła droga, rozległo się wycie, po czym ukazał się Ursynus wraz z psem, którzy z trudem się ku nim wspinali.

— To ja gościłem u siebie Liwie — przedstawił się obu żołnierzom — i mogę wam pomóc; mój pies jest wyszkolony w poszukiwaniu ludzi przysypanych przez lawinę. Nie

mamy zbyt dużo czasu; kiedy zapadnie noc, będzie po wszystkim.

— Dziękuję — odrzekł Aureliusz. — Błagam, pomóż nam.

Mężczyzna skinął głową, po czym nakazał psu szukać.

— No, Argo, szukaj, szukaj naszych przyjaciół, dobry piesek... Wabi się Argo — wyjaśnił Aureliuszowi, który zabrał się z powrotem do kopania za pomocą tarczy — jak pies Odyseusza. Prawda, że to piękne imię?

— Jeszcze jak! — przyznał Watrenus. — Ma bardzo piękne imię. Miejmy nadzieję, że okaże się go godny.

Pies zdążył już wywęszyć człowieka, którego życie znajdowało się w niebezpieczeństwie, kopał bowiem zaciekle przednimi łapami.

— Kopcie tam gdzie on — polecił Ursynus. Aureliusz i Watrenus poszli za jego radą i po chwili wyciągnęli spod śniegu sinego, na wpół zamrożonego Ambrozynusa.

— Pomóżcie nam, prędko! — rozległ się czyjś głos z prawej, od strony skalistego zbocza.

Aureliusz natychmiast pobiegł w tamtym kierunku uważając, by się nie ześliznąć ze zbocza. Przed nim roztaczał się zdumiewający widok: Orozjusz wisiał nad przepaścią mając nogami, uczepiony pnia pini, Demetriusz ścisnął rękę jego wbitego w lód sztyletu, Liwia zaś zjeżdżała właśnie ze stoku, dotykając stopami ramion Orozjusza, który się ich uchwycił. Dziewczyna jęła się wdrapywać do góry przytrzymując się pasa Demetriuszaj który chwycił się kurczowo rękę sztyletu. Aureliusz w lot się zorientował, że w każdej chwili może nie wytrzymać. Wbił w lód własny sztylet, wyciągnął ramię i złapał dłoń Demetriusza, który dzięki temu zdołał się podciągnąć wtykając swą broń w ściślejszą warstwę śniegu. Ów nowy punkt oparcia i porcja energii dostarczona przez Aureliusza umożliwiły temu ludzkiemu łańcuchowi wykonanie decydującego ruchu, dzięki któremu wszyscy się uratowali.

— A gdzie Batiatus? — zapytał Aureliusz

— Kiedy go widziałem po raz ostatni, turlał się po zboczach spleciony z dwoma albo trzema nieprzyjaciółmi, nie jestem pewien. Zobaczysz, że wróci — zapewnił Demetriusz.

— Jeśli go nie zabili — odrzekł Aureliusz.

— Jeśli go nie zabili — powtórzył Demetriusz. — Ale w to akurat wątpię.

Nagle w pobliżu rozległ się ryk, po czym przed Liwią stanął barbarzyński wojownik, którego zwała z nóg kopniakiem w twarz, aż potoczył się na skraj przepaści.

— Gdzie jest Romulus? — zapytała natychmiast dziewczyna, nie widząc go nigdzie, w tej samej jednak chwili odezwał się pełen niepokoju głos Ambrozynusa.

— Chodźcie tu! — krzyczał. — Chodźcie prędko, na miłość boską!

Jednocześnie zza skierowanego ku wschodowi występu skalnego wyłoniła się ogromna postać Batiatusa, który przybiegł najszybciej jak mógł.

— Co się stało? — zapytał.

— Zdaje się, że znalazł chłopca — odparł Aureliusz, w jego głosie nie było wszakże radości.

Zbliżywszy się do miejsca, z którego dochodziło szczekanie psa, ujrzeni Watrenusa niosącego na rękach bezwładnego Romulusa. Smagana wiatrem twarz starego żołnierza przypominała kamienną maskę. Dotknąwszy lodowatego, zsiniałego ciała chłopca, Liwia wybuchnęła płaczem.

— O mój Boże! Nie!

Podszedłszy bliżej, Aureliusz wpatrywał się w Watrenusa pytającym wzrokiem.

— Nie żyje — stwierdził jego towarzysz. — Nie ma tętna ani na przedramieniu, ani w tętnicy szyjnej.

Wszyscy spojrzeli po sobie z przestraszonym. Batiatus płakał ocierając łzy wierzchem dłoni, w której ciągle jeszcze ścisnął miecz. Wśród szalejącej wichury i morza rozpaczy jedynie Ambrozynus zdawał się zachowywać zimną krew.

— Prędko, musimy znaleźć jakieś osłonięte miejsce — powiedział obejmując dowodzenie nad przerażonym

oddziałem.—Nie ma ani chwili do stracenia. Jeśli zapadnie zmrok, będziemy zgubieni.

— Więc chodźcie za mną — odezwał się Ursynus.

— To niedaleko stąd. Ale trzymajcie się blisko mnie, bo łatwo się tu zgubić.

Ruszył okrążając wzgórze od strony południowej, aż dotarli do wystającej z bocznej ściany płyty skalnej. Łączyła ją z ziemią palisada z pni jodły, tworząc rodzaj pomieszczenia osłoniętego z trzech stron. Wszedł do środka, po czym zczekał na pozostałych. W głębi leżała gruba warstwa zeschniętych liści i cienkich gałązek sosnowych, na wewnętrznej ścianie palisady rozłożone były wyprawione kozłe skóry.

— Tutaj rodzą moje owce — wyjaśnił. — To wszystko, co mogę wam zaoferować.

Watrenus położył na ziemi ciało chłopca, Liwia zaś znów załała się łzami, odwracając twarz do ściany. Ambrozynus zdawał się nic nie słyszeć i nic nie widzieć. Przez głowę przelatywały mu dalekie, lecz nigdy nie zapomniane obrazy: umierającego dziecka, które wiele lat temu leżało w kolebce pod namiotem, w apenińskim lesie; płaczącej, dumnej i wyczerpanej bólem kobiety... Nigdy się nie podda. Pogładziwszy chłopca czule, zaczął go rozbierać.

— Ale... co ty robisz? — zdziwił się Aureliusz.

Ambrozynus położył dłoń na nagiej piersi Romulusa i zamknął oczy.

— Tli się w nim jeszcze iskierka życia — oznajmił.

— Musimy ją rozniecić.

Aureliusz z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Nie widzisz, że jest martwy? Nie żyje.

— Nie może być martwy — odrzekł ze spokojem preceptor. — Przepowiednia nie kłamie.

Zrobiło się niemal zupełnie ciemno, jedyną zaś odpowiedzią na te słowa był wściekły ryk wiatru smagającego szczyty gór. Ambrozynus, rozebrawszy chłopca do pasa, położył go na warstwie liści; w niemal kompletnych ciemnościach widać było wyraźnie bladość jego ciała. Starzec zwrócił się do Batiatusa.

— Ty emanujesz większym ciepłem niż ktokolwiek z nas — powiedział — ponieważ skupiłeś w sobie gorąco Afryki. Rozbierz się do pasa i przytul go mocno do siebie, tak żeby poczuł bicie twojego serca. Ja tymczasem spróbuję rozpaścić ogień.

Batiatus spełnił polecenie; podniósłszy lekko niczym piórko bezwładne ciało chłopca, objął go mocno. Liwia zaś otuliła ich obu derką, aby ciepło nie uciekało. Aureliusz i Watrenus kręcili głowami z niedowierzaniem i rozpaczą.

Ambrozynus niemal po omacku zebrał ze ścian trochę suchych porostów i ułożył je starannie w stosik. Na wierzchu umieścił jeszcze suche liście, po czym wyjąwszy z podróżnego worka kamień, jął pocierać je o siebie z wielką wprawą. Najpierw wystrzeliły potężne iskry, następnie pojawił się maleńki, ledwie widoczny czerwony punkcik; wówczas Ambrozynus schylił się i zaczął dmuchać. Wszyscy przyglądali się w osłupieniu, nie mogąc pojąć jego gestów. Maleńki czerwony punkcik stopniowo się wszakże powiększał, starzec zaś bez przerwy dmuchał, jakby chciał w ten sposób rozpaścić na nowo niemal zupełnie zgasłe życie swego chłopca.

Nagle w ciemnościach rozbłysnął płomyczek — tak mały, że prawie nie było go widać. Prędko się jednak rozszerzył, leżące wokół porosty zapaliły się, jednocześnie go podsycając i sprawiając, że z każdą chwilą stawał się większy i silniejszy. Ambrozynus zaś nie przestawał ani na chwilę, ciągle dmuchał dokładając to kawałki zeschniętego mchu, to kilka liści, to parę gałązek... aż wreszcie płomyczek zamienił się w ogień i światło, pożerając coraz to większe obszary ciemności, następnie liżąc skupione na wąskiej przestrzeni ciała, nieprzytomne oczy Ambrozynusa, szeroką twarz etiopskiego olbrzymia i jego wytrzeszczone w mroku oczy, z których spływały wielkie łzy. Łzy radości.

— Oddycha — oznajmił.

Ambrozynus rozejrzał się dokoła osłupiałym wzrokiem jak człowiek, który obudził się z nienacka w środku nocy ze strasznego koszmaru.

OSTATNI LEGION

Wszyscy otoczyli kołem Romulusa, ściskając go i ciesząc się nim, Ambrozynus zaś rzekł:

— Spokój, bądźcie ostrożni, ten chłopiec jest jeszcze bardzo słaby. Pozwólcie mu nabrać tchu i trochę sił.

Ursynus wyszedł nazbierać trochę chrustu, po czym wrzucił go do ognia, następnie rozwiesił więcej skór przed wejściem, aby zatrzymać ciepło. W niewielkim schronieniu zaczęło się robić cieplej, Romulus zaś rozgrzewał się wyciągając zgrabiałe dłonie w kierunku ognia.

— To on przywrócił cię do życia — obwieścił mu Ambrozynus wskazując Batiarusa. Romulus wstał i przytulił się mocno do Etiopczyka, który oddał mu uścisk, ale bardzo ostrożnie, aby go nie zgnieść.

— Idę okryć mojego konia — odezwał się Aureliusz. — To jedyne, jaki nam został, nie licząc mulicy Ambrozynusa, z której nie będzie wielkiego pożytku. Dziś w nocy będzie bardzo zimno.

Ambrozynus spostrzegł w jego oczach smutek, który stanowił wyraźny kontrast dla powszechnej radości. Odczekałszy chwilę, zarzucił sobie płaszcz na ramiona.

— Ja też muszę zajrzeć do swojej mulicy — powiedział i wyszedł.

Aureliusz stał obok konia; otuliwszy się szczelnie płaszczem, spoglądał na dolinę i rzekę. Drgnął na dźwięk głosu Ambrozynusa.

— Dwie prawdy, dwie różne i przeciwstawne wizje twojej przeszłości: wizja Liwii i wizja Wulfili... W którą wierzyć?

Aureliusz nic nie odpowiedział, tylko szczelniej otulił się płaszczem, jakby chłód przenikał go do samej duszy.

— Skoro znasz je obie, dlaczego sam mi nie powiesz?

— To prawda, słyszałem słowa tego barbarzyńcy, ale zbyt wiele żądasz od zwykłego preceptora. Zmagasz się teraz z prawdą, która dopiero ujrzała światło dzienne, z płamą na sumieniu, o której istnieniu nawet nie wiedziałeś.

Aureliusz milczał.

— To boli, wiem — ciągnął Ambrozynus — ale tak jest lepiej. Kiedy zło jest ukryte, zżera nas powoli, my zaś nawet

nie możemy temu w żaden sposób zaradzić; niekiedy może nas dopaść zniecka. Teraz przynajmniej wiesz.

— Nic nie wiem.

— To niemożliwe. Musisz coś pamiętać.

Aureliusz westchnął. W głębi duszy czuł potrzebę mówienia, zwierzenia się przed kimś, a kto zdołałby zdjąć zeń ciężkie brzemie, które nie dawało mu spokoju.

— Tylko urywki wspomnień — odparł. — To powtarzający się koszmar...

— Jaki? — Ambrozynus nie dawał za wygraną. — Jaki koszmar?

Głos Aureliusza zaczął drżeć.

— Jest noc... Dwoje starców wisi na palach, są przywiązani za ręce. Na ich ciałach widać ślady potwornych tortur, a potem...

— Mów dalej, proszę.

— A potem... jakiś barbarzyński olbrzym podchodzi do nich z obnażonym mieczem i... przebija ich po kolei. — Wydał głębokie westchnienie, jakby dokonał nadludzkiego wysiłku.

— Kim oni są? — zapytał Ambrozynus. — Może tu tkwi tajemnica twojego pochodzenia.

— Nie wiem — Aureliusz zakrył oczy dłońmi — nie wiem.

Ambrozynus domyślając się, z jakim cierpieniem musi się zmagać, położył mu rękę na ramieniu.

— Nie zadreżaj się — powiedział. — Nieważne, kim byłeś. Liczy się tylko teraźniejszość, która przysparza ci chwały. A być może ten chłopiec zapewni ci przyszłość. Sam widziałeś, że prawie niemożliwością jest zniszczyć jego wolę życia.

— Zgubiłem miecz — odrzekł Aureliusz.

— Nie myśl o tym; odnajdziemy go, jestem pewien. I odnajdziesz swoją przeszłość, ale przedtem będziesz musiał przejść przez piekło, podobnie jak to zrobił ten niewinny chłopiec.

Godzinę przed świtem, gdy było jeszcze ciemno, Demetriusz zszedł z ostatniej warty i obudził towarzyszy. Pomimo że udało im się utrzymać przez całą noc małe ognisko, wszyscy byli skostniali, a nawet zwierzęta, które spały pod gołym niebem, szukały teraz ciepła po lodowatym chłodzie. Kiedy minęła ogromna radość z powodu uniknięcia niebezpieczeństwa i nieoczekiwanego ocalenia Romulusa, nadeszła kolej, by stawić czoło rzeczywistości, która nadal sprawiała wrażenie bardzo twardej, jeśli nie beznadziejnej. Zostały im jedynie koń i mulica; miecz Aureliusza znajdował się w rękach Wulfili, który z pewnością nie mógł się wprost doczekać, by wypróbować jego niszczycielską moc. W jaki sposób mieli więc kontynuować tę podróż, przede wszystkim zaś w jaki sposób zdołają uciec Wulfili i jego ludziom, jeśli tamci ich odkryją? Było oczywiste, że wrogowie wrócą na wzgórze nad przełęczą, by poszukać trupów i ewentualnych śladów zbiegów, których nocna zamieć nie zdążyła całkowicie zatrzeć.

Po krótkiej naradzie wszyscy doszli do wniosku, że należy jak najszybciej opuścić kryjówkę, zejść do doliny i przekroczyć granicę. Ursynus powiedział, że powinni czym prędzej przeprowić się przez rzekę, zanim barbarzyńcy zauważą ich obecność. Po czym ogarnięty silnym wzruszeniem pożegnał się z każdym z osobna.

— Rzeka znajduje się tuż przed wami, most pontonowy też; nie sposób zabłądzić. Gdybym nie był taki stary, poszedłbym z wami, a walka w obronie cesarza sprawiłaby mi największy zaszczyt, ale w tej chwili byłbym dla was tylko ciężarem. Poza tym muszę wrócić i sprawdzić, co z moją kobietą, która pewnie umiera ze strachu. — Podszedł do Romulusa i z szacunkiem ucałował jego dłoń. — Niech Pan Bóg ma cię w opiece, cesarze, wszędzie, gdziekolwiek pójdziesz, i niech za twoim pośrednictwem imię rzymskie przetrwa przez następne wieki. — Po czym oddalił się wraz z psem, aby zdążyć do domu, nim wstanie

dzień. Spoglądali za nim, dopóki nie zniknął im z oczu, podobnie jak on wzruszeni, pełni obaw, że za pomoc, jakiej im udzielili, Ursynusa i jego żonę może spotkać kara.

— A teraz w drogę — powiedział Ambrozynus. — Nie zostało nam zbyt dużo czasu.

Zaczęli powoli schodzić ku dolinie, Aureliusz na końcu, trzymając Dżubę za uzdę, na początku zaś Watrenus, szukając mniej stromych i łatwiejszych przejść. W pewnej chwili podniósł rękę.

— Stać!

Aureliusz natychmiast znalazł się przy nim.

— Co się dzieje?

— Sam zobacz — odrzekł Watrenus.

Przed nimi, u stóp zbocza, rozciągał się równy, szeroki na jakieś dwieście, trzysta stóp szlak, który od strony północnej przecinał strumień, lśniący w mroku, jaki panował w dolinie. Brzegi łączył most wykonany z tratw, powiązanych ze sobą linami, które przymocowano do łądu. W odległości około stu stóp od rzeki na tle białego śniegu odcinała się ciemna plama gęstej puszczy jodłowej.

— No tak, jest most. Jeśli uda nam się przez niego przejść, będziemy uratowani. Zaszyjemy się w lesie, gdzie trudniej będzie wpaść na nasz trop. Przynajmniej taką mam nadzieję.

— Nie o tym mówię — odparł Watrenus. — Spójrz tam, daleko, na lewo. Nie widzisz?

— Przeklęte sukinsyny! — zaklął Aureliusz. — I co teraz zrobimy?

We wskazanym przez Watrenusa miejscu, w słabym, odbijającym się od śniegu świetle, widać było kolumnę żołnierzy, która posuwała się w kierunku mostu.

— A stamtąd nadchodzą następni! — zawołał Demetriusz wskazując kolejną grupę, która zbliżała się z prawej. — Jesteśmy w pułapce.

— Nie, jest jeszcze nadzieja — wtrąciła Liwia. — Ty, Aureliuszu, masz konia, więc weź ze sobą Romulusa i kiedy tylko droga stanie się mniej stroma, puść się pędem do mostu. Barbarzyńcy posuwają się dość wolno, bo idą po

wysokim śniegu. My tymczasem poszukamy jakiejś kryjówki, a w nocy dołączymy do was na piechotę.

— Nie wydaje mi się, aby to było możliwe—sprzeciwił się Ambrozynus. — Tamci na pewno dostali rozkaz, żeby pilnować mostu, więc tym sposobem pozostalibyśmy rozdzieleni na zawsze. — Zerknął na swoją mulicę i przytroczone do siodła tarcze i nieoczekiwanie twarz mu pojaśniała. — Zaczekajcie, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Otóż sześć wieków temu grupa cymbryjskich wojowników, otoczonych przez konsula Lutacjusza Katulusa, zdołała uciec w Alpy zjeżdżając po śniegu na tarczach.

— Na tarczach? — nie dowierzał Watrenus.

— Tak, trzymali się pasów. Można o tym przeczytać w „Żywotach sławnych mężów” Plutarcha. Ale teraz musimy natychmiast stąd uciekać.

Po chwili wahania, jakie wywołała ta pozornie absurdalna propozycja, każde z nich po kolei odwiązało swoją tarczę i położyło na ziemi.

— Teraz — ciągnął Ambrozynus — musicie wsiąść do środka i chwycić się pasów, o tak. Przenosząc ciężar ciała na prawo lub na lewo i manewrując w ten sposób pasami zdołacie utrzymać odpowiedni kierunek. Czy wyraziłem się jasno?

Wszyscy przytaknęli, nawet Batiatus, który nieco zakłopotany spoglądał z przerażeniem na strome zbocze dzielące go od mostu. Tymczasem Aureliusz, posadziwszy przed sobą Romulusa, zaczął schodzić zygzakiem, kiedy zaś dotarł do mniej stromego miejsca, przyśpieszył, po czym puścił się galopem przez ośnieżoną bezkresną przestrzeń. Wkrótce znajdujący się po obu stronach barbarzyńcy zorientowawszy się, co się dzieje, popędzili swe wierzchowce, nie mogli się wszakże poruszać zbyt szybko z powodu śniegu, który grubą warstwą przykrył otaczającą wzgórze dolinę, dzięki czemu Aureliuszowi udało się zachować przewagę.

— Wio, Dżuba! — wołał popędzając konia.

Tymczasem Romulus rozglądał się na boki, żeby sprawdzić, jak daleko za nimi znajduje się nieprzyjaciel, i za

siebie, pragnąc się przekonać, czy Ambrozynus naprawdę ziszczył swój plan. To, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie.

— Popatrz, Aureliuszu! — krzyknął. — Jada!

Tarcze pomknęły jedna za drugą, kierowane przez podążających na nich jeźdźców: Demetriusza, Watrenusa, Orozjusza, Liwie, nawet samego Ambrozynusa, którego długie białe włosy powiewały na wietrze, na końcu zaś przez Batiatusa, który z trudem utrzymywał równowagę na tym prowizorycznym środku transportu.

Przejechawszy galopem przez most, Aureliusz dotarł na skraj lasu, po czym obejrzał się za siebie, by sprawdzić, co robią jego towarzysze. W tej samej chwili ludzka lawina, która znalazła się już na płaskim terenie, natrafiwszy na pierwsze wyboje, zakończyła swój zjazd katastrofalnym upadkiem. To, co stało się potem, było jedynie kwestią paru chwil. Watrenus wstał pierwszy i na widok zbliżających się błyskawicznie z obu stron barbarzyńców spojrzął na most i pojął w lot, że zostało im tylko jedno wyjście.

— Wszyscy na most! Popłyniemy rzeką! — wrzasnął.

Reszta przyjaciół podniosła się w pośpiechu i pobięła za nim.

— Batiatus, ty i Demetriusz, tnijcie z tej strony — rozkazał Watrenus — a ja i Orozjusz z tamtej! Na mój znak, teraz!

Aureliusz podszedł bliżej, jednakże topory i miecze zdążyły już opaść na liny cumownicze, po czym cały most pontonowy popłynął z prądem z ogromną prędkością, pozostali zaś na brzegu oszołomieni barbarzyńcy wpadli we wściekłość. W tej samej chwili nadjechał Wulfila.

— Dopadnę cię, tchórze! — zawołał do Aureliusza. — Znajdę cię, gdziekolwiek się schowasz, nawet gdybym miał cię gonić aż na koniec świata!

Aureliusz zadrżał. Po raz pierwszy w życiu nie był w stanie odpowiedzieć na równie bezczelną prowokację. Bez słowa spał konia i zniknął.

Nie ujechali nawet mili, gdy Romulusowi, który ani na chwilę nie spuszczał z oka rzeki, mignął na moment rząd

tratw sunący z prędkością błyskawicy wraz z prądem, i wydało mu się, że nikogo nie brakuje. Przyjaciele, uczepliwszy się linowej balustrady, trzymali się jeden drugiego, starając się nie wpaść w odmęty rwącej rzeki. Po czym ów osobliwy ponton zniknął za plamą lasu, która przysłoniła mu widok. Zdążył jeszcze krzyknąć:

-Sa!

Nie było już jednak po nich śladu.

Aureliusz kazał koniowi zwolnić.

— Ale w ten sposób nigdy ich nie dogonimy! — po-skarżył się chłopiec.

— Nie ma takiego konia, który potrafi biec z prędkością górskiego potoku. Z powodu dużej różnicy poziomów woda bardzo szybko spada do doliny. A poza tym Dżuba jest zmęczony, a musi dźwigać nas obu, więc nie powin-niśmy wymagać od niego więcej, niż jest w stanie zrobić. Ale nie martw się, nadal będziemy jechać wzdłuż rzeki. Jestem pewien, że nasi przyjaciele utkną w końcu na mieliźnie albo przybiją do jakiegoś portu, kiedy tylko potok zwolni bieg i skręci na równinę. Tam na nas zaczekają i się spotkamy.

— Ale dlaczego to zrobili? — dziwił się Romulus.
— Przecież mogli przejść przez most i dopiero potem przeciąć za sobą liny.

— Masz rację, ale Watrenus podjął najrozsądniejszą decyzję; postąpił jak prawdziwy strateg i wielki żołnierz. To było niemożliwe. Pomyśl tylko: gdyby zrobił tak, jak mówisz, bylibyśmy wprowadzie wszyscy razem, ale nie mielibyśmy żadnego środka transportu, przez co maszero-walibyśmy tak wolno, że barbarzyńcy zdążyliby przerzucić jakąś kładkę albo przejść przez bród w górze rzeki, a potem dopaść nas najpóźniej w ciągu jednego dnia. A tak nasi towarzysze, oczywiście jeśli zdołają się uratować, mają szansę znacznie zwiększyć dystans między sobą a pości-giem, natomiast my, dzięki temu, że jest nas tylko dwóch, możemy się poruszać o wiele szybciej i o wiele swobodniej, możemy się ukrywać, zmieniać marszrutę, a nawet zdobyć drugiego konia i jeszcze przyspieszyć.

Romulus zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Moim zdaniem masz słuszność, ciekawi mnie jednak, co teraz myśli Ambrozynus i jak znosi naszą rozłąkę.

— Ambrozynus potrafi doskonale o siebie zadbać, a jego rady na pewno okażą się bardzo cenne dla naszych towarzyszy.

— To prawda, ale czy wiesz, że rozstaliśmy się po raz pierwszy od momentu naszego poznania, kiedy miałem pięć lat?

— Czy to znaczy, że zawsze stał u twojego boku, odkąd się znacie?

— Zgadza się. Był ze mną częściej niż ojciec i matka, niż ktokolwiek inny. To najmądrzejszy i najbystrzejszy człowiek, jakiego znam, i nie przestaje mnie zaskakiwać. Od chwili gdy zostaliśmy uwięzieni przez Odoakra, robił rzeczy, których nigdy przedtem nie widziałem i wcale bym się nie zdziwił, gdyby miał w zanadrzu jeszcze jakieś tajemnice i pomysły.

— Musisz go bardzo miłować — zauważył Aureliusz.

Chłopiec uśmiechnął się na wspomnienie niektórych chwil spędzonych razem ze swym preceptorem.

— Czasami jest dziwakiem — oznajmił — ale dla mnie to ktoś najdroższy na świecie.

Aureliusz zamilkł. Popędził nieco konia, by nie dać się zbyttno wyprzedzić tratwom, które jak mu się zdawało, nadal mknęły po rzece, ani dogonić barbarzyńcom, był bowiem pewien, że prędzej czy później zechcą ją przekroczyć. Wędrówka upływała im bez przykrych niespodzianek, mogli więc do woli napawać oczy widokiem skalistych szczytów, które zachodzące za horyzont słońce oblewało purpurą, niewiarygodnie przejrzystych, lśniących niczym zwierciadła jezior, w których odbijała się soczysta zieleń lasów, oślepiająca biel śniegu i jaskrawy błękit nieba. Zachwycony owym niewysłowionym pięknem Romulus rozglądał się oniemiały wokoło, wypatrując najmniejszej zmiany pejzażu, najmniejszego załamania światła. Aureliusz znów pozwolił Dżubie odpocząć zwalniając kroku.

— Nigdy nie widziałem czegoś podobnego — powiedział Romulus. — Co to za kraina?

— Dawniej była to ziemia Helwetów, należącego do Celtów plemienia, które odważyło się przeciwstawić wielkiemu Cezarowi.

— Znam ten epizod — odrzekł chłopiec. — Czytałem „Wojnę galijską” wiele razy. Ale dlaczego mielibyście opuścić tak zachwycającą krainę?

— Ludzie nigdy nie są zadowoleni z tego, co mają — zauważył Aureliusz. — Są skazani na wieczne poszukiwanie: nowych ziem, nowych horyzontów, nowych bogactw. Podobnie jak jednostki pragną się wyróżnić spośród reszty bogactwem, męstwem czy bystrością umysłu, tak samo jest z plemionami i narodami. Z jednej strony fakt ten przyczynia się do ciągłego postępu w dziedzinie nauki, odkryć i ludzkiej aktywności, z drugiej zaś wywołuje zbrojne starcia i konflikty. To wysiłek niepotrzebny i ponad miarę: za wszystko, co zdobywamy z ogromnym trudem, i tak musimy zapłacić wysoką cenę. A nierzadko straty przewyższają korzyści. Helweci mieli góry, ale być może zapragnęli nizin, rozległych i żyznych pól. Albo może za bardzo się rozmnożyli i doliny zrobiły się dla nich zbyt ciasne. Pomyśleli, że zajmując niziny staną się silniejszym, liczniejszym, a co za tym idzie, potężniejszym narodem. Tymczasem zostali unicestwieni.

— A ty, Aureliuszu — zapytał Romulus — czego byś chciał? Jakie są twoje dążenia?

— Chciałbym... pokoju.

— Pokoju? Nie mogę w to uwierzyć; przecież jesteś najsilniejszym i najmężniejszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

— Nie jestem wojownikiem, tylko żołnierzem. To nie to samo. Walczę wyłącznie z konieczności, aby bronić tego, w co wierzę. Nikt nie zdaje sobie sprawy, jak straszna jest wojna, tak dobrze jak bojownik, jak *miles*. Chciałbym zamieszkać kiedyś w spokojnym, cichym miejscu, obrabiać ziemię i hodować zwierzęta, spać bez zrywania się na równe nogi w środku nocy słysząc najdrobniejszy szelest, z mie-

czem w dłoni. Chciałbym, żeby budziło mnie pianie koguta, a nie ryk trąb wzywających na alarm. A przede wszystkim łaknę spokoju ducha, którego nigdy nie znalazłem. W gruncie rzeczy moje pragnienia wydają się skromne, ale i tak są niemożliwe do spełnienia. Żyjemy w oszalałym świecie, w którym nikt nie może być już niczego pewien.

Słońce kryło się właśnie za horyzontem oblewając różową poświatą majestatyczne szczyty górujące nad olbrzymim łańcuchem górskim. Aureliusz starał się trzymać jak najbliżej rzeki, aby nie stracić ostatniej możliwości kontaktu z przyjaciółmi, zdawał sobie wszakże sprawę, iż w ten sposób naraża się jednocześnie na niebezpieczeństwo, że zauważą go ludzie Wulfili, którzy z całą pewnością nie zaniechali pościgu.

— Odpocznijemy tylko tyle, ile to będzie konieczne — powiedział — a potem pojedziemy dalej.

— Gdzie oni mogą teraz być? — zapytał Romulus.

— Na pewno przed nami, co najmniej dzień drogi. Rzeka nie zna odpoczynku, biegnie dzień i noc, a oni płyną z prądem. My natomiast posuwamy się stromymi, wąskimi i trudno dostępnymi ścieżkami, przedzierając się przez lasy i potoki.

Wyciągnąwszy derki spod siodła, Romulus umościł sobie posłanie w niszy skalnej, Aureliusz tymczasem wyjął koniowi wędzidło i założył uździenicę.

— Aureliuszu...

— Tak, cesarzu.

Romulus zamilkł na chwilę rozdrażniony uporem, z jakim Aureliusz go tytułował, po czym zapytał:

— Czy jest możliwe, że nigdy ich nie odnajdziemy?

— To pytanie, na które już znasz odpowiedź: tak. Możliwe, że w tej rzece są bystrza, może nawet wodospady i wystające skały, o które ich tratwy rozbiją się w drobny mak. Jeśli wpadną do lodowatej wody, zdołają wytrzymać tylko chwilę. Poza tym wszędzie naokoło jest tylko lód i śnieg. Zimą góry to najbardziej wrogie środowisko. Jakby tego było mało, mogą się natknąć na bandy rozbójników

albo grupy byłych żołnierzy szukających łupu. Na tym świecie czyha nieskończenie wiele zagrożeń.

Romulus położył się w milczeniu, naciągając sobie derkę na ramiona.

— Śpij — powiedział Aureliusz. — Dżuba nas popilnuje; jeśli tylko ktoś się zbliży, natychmiast da nam znak i zdążymy uciec. Zresztą ja zawsze mam lekki sen.

— A oni? Jak daleko mogą teraz być?

— Pościg? Nie wiem. Może o kilka godzin marszu, może pół dnia, może więcej. Ale nie sądzę, żeby byli zbyt daleko. Na dodatek zostawiamy na śniegu tak wyraźne ślady, że nawet dziecko by nas znalazło.

Romulus milczał przez chwilę, po czym indagował dalej:

— A co by się stało, gdyby nas dogonili?

Aureliusz zawahał się krótko, nim zaspokoił jego ciekawość.

— Niebezpieczeństwu należy stawiać czoło wtedy, gdy się pojawia. Martwienie się na zapas tylko pogarsza sytuację, nasila bowiem strach, nasza wyobraźnia zaś wyolbrzymia zagrożenie. Kiedy natomiast niebezpieczeństwo pojawia się znienacka, ludzki umysł w jednej chwili mobilizuje wszystkie siły, ciało otrzymuje potężną dawkę energii, serce zaczyna szybciej bić, mięśnie się naprężają, twardnieją, wróg staje się celem, który należy zgładzić, roztrzaskać na kawałki, unicestwić...

Romulus wpatrywał się weń z podziwem.

— Ty nie jesteś zwykłym żołnierzem, Aureliuszu. Jesteś także wojownikiem...

— To się zdarza, jeśli człowiek musi żyć przez całe lata wśród nieustannych zagrożeń, potworności i zniszczenia, rzezi i plag, tortur i męczarni. W każdym z nas drzemie dzika bestia; wojna zaś ją budzi.

— Mogę ci zadać ostatnie pytanie?

— Oczywiście.

— O czym myślisz, kiedy nie odzywasz się całymi godzinami i nawet nie słyszysz, co do ciebie mówię?

— Naprawdę to robię?

- Tak. Może rozmowa ze mną cię nudzi albo irytuje.
- Nie, cesarze, nie... Ja usiłuję tylko... usiłuję...
- Co?
- Sobie przypomnieć.

Prąd poniósł z ogromną prędkością odcumowany most pontonowy, który w pierwszej chwili zachował poprzeczne ułożenie, zapowiadające rychłą katastrofę. Na środku rzeki, w odległości jakiejś pół mili, znajdował się bowiem gład, który zdołałby bez trudu przełamać na pół powiązane ze sobą tratwy. Ambrozynus natychmiast zdał sobie z tego sprawę.

— Wszyscy na zewnątrz, prędko! — zawołał.

Po czym sam przelaźł na czworakach starając się zachować równowagę i nie wpaść do wody. Przyjaciele poszli w jego ślady, a wraz ze wzrostem obciążenia lewej tratwy nabierała ona prędkości wysuwając się na czoło, podczas gdy reszta tratw skręcała w tym samym kierunku. Dzięki temu ruchomy most ominął gład z prawej strony, ocierając się o niego lekko, lecz nie uderzając weń, po czym wszyscy odetchnęli z ulgą.

— Przydałyby się nam kłoc drewna, których użylibyśmy jako wiosel — stwierdził Ambrozynus. — Spróbujcie zerwać jakąś gałąź.

— Moglibyśmy odzepić parę desek od tratwy! — zaproponował Watrenus.

— Nie, bo wtedy nabierzemy większej prędkości, za to stracimy równowagę, którą zapewnia nam ten długi rząd tratw. Musimy jak najprędzej zdobyć parę drewnianych kłoców na wiosła.

W rzece nie było wszakże żadnych konarów, tylko zbyt wiotkie gałązki, które nie mogły się na nic przydać. Wówczas Batiatus przysunął się do nadburcia.

— Czy to się nadaje? — zapytał usiłując przekrzyczeć szum rzeki.

Ambrozynus skinął potakująco głową, Etiopczyk zaś bez wysiłku wyrwał lewe nadburcie, na które składał się

z grubsza ociosany bal, i podszedł do starca pełniącego funkcję sternika owej osobliwej łajby. Ciągłe mknęli z ogromną prędkością, przed nimi zaś widać było bystrza; woda wirowała i pieniała się od środka w kierunku prawego brzegu, niemal go dotykając, Ambrozynus polecił więc Batiatusowi, by z całej siły wbił bal z lewej strony. Batiatus wykonał rozkaz z zadziwiającą zręcznością, po czym tratwa skręciła w lewo, ocierając się niemal o rwący nurt, ogon łajby nie nadążył jednak skrócić równie szybko jak tratwy na przodzie, toteż ostatnia z nich wpadła z impetem na wystające głazy i roztrzaskała się na kawałki.

Przyjaciele odwrócili się, by popatrzeć na szczątki rozbitego w drzazgi wraku, wirujące w odmętach spienionej wody, zaraz wszakże z powrotem skupili całą uwagę na tym, by zachować równowagę zagrożoną nieprzerwanymi wstrząsami i huśtaniem. Wystające z dna i brzegów kamienie powodowały nieustanne chybotanie tratw na falach, toteż chwilami odnosili wrażenie, że siedzą na grzbiecie jakiegoś dzikiego rumaka. Za sprawą sterczących ku głównemu nurtowi skał powstawały niespodziewane wiry i topiele, miejscami zaś, gdzie koryto się poszerzało, wody nagle spowalniały bieg, by znienacka, przy gwałtowniejszym spadku terenu, znów nabrać prędkości, zmuszając pasażerów osobliwej łajby do ciągłego wysiłku, jeśli nie chcieli wpaść w odmęty. W pewnym momencie potok nieco się uspokoił, wystających z dna głazów zaczęło ubywać, za to pojawiły się olbrzymie ławice żwirowe, na które było równie łatwo wpaść, i to z równie groźnym skutkiem. Podczas jednego z nieoczekiwanych zwrotów Orozjusz stracił równowagę i sturlał się po drewnianym pokładzie prosto w spienione fale.

— Orozjusz wpadł do wody! — zawołał przerażony Demetriusz. — Prędko, na pomoc, wir wciąga go na dno! — Przeciąwszy mieczem jedną z lin służących jako kotwy, Watrenus rzucił ją kilkakrotnie topielcowi, który wszakże nie zdołał jej pochwycić.

— Jeśli nie uda nam się go zaraz wyciągnąć, umrze z zimna! — krzyknął Ambrozynus.

Wówczas Liwia bez słowa przewiązała się w talii sznurem, którego drugi koniec podała Watrenusowi.

— Trzymaj mocno — poleciła, po czym wskoczyła do wody płynąc z całych sił ku Orozjuszowi, który porwany przez prąd, nie był już w stanie walczyć. Dopłynawszy, złapała go za pas krzycząc: — Mam go! Ciągnijcie! Prędko!

Watrenus i jego towarzysze jęli ciągnąć linę z całych sił, gdy tymczasem Batiatus starał się za wszelką cenę utrzymać dziób prosto, dopóki najpierw Liwia, po niej zaś półprzytomny Orozjusz nie zostali wciągnięci na tratwę. Oboje byli kompletnie przemoczeni i przemarznięci, przyjaciele okryli ich więc płaszczami, by mogli zdjąć mokre ubrania i choć trochę się osuszyć. Szczękali zębami, skóra zaś posiniała im z zimna i wyczerpania.

— Dzięki—zdążył tylko wyszeptać Orozjusz, po czym zemdlął.

Watrenus podszedł do Liwii i położył jej dłoń na ramieniu.

— I pomyśleć, że nie chciałem, abyś szła z nami. Jesteś silna i szlachetna, dziewczyno. Szczęśliwy będzie ten, z którym pewnego dnia zwiążesz się na całe życie.

Liwia odpowiedziała słabym uśmiechem, po czym przycupnęła obok Ambrozynusa.

Koło wieczora nurt zaczął zwalniać, w miarę zaś jak rzeka schodziła ku pagórkowatym terenom i płaskowyżom, stawała się coraz szersza, nie mogli wszakże znaleźć żadnego dogodnego miejsca, by przybić do brzegu i zaczekać na Aureliusza, który jak się wszyscy spodziewali, pędził co koń wyskoczy. Nazajutrz rano natknęli się na lewy dopływ rzeki, natomiast dzień później wieczorem, kiedy znaleźli się już na równinie, zdołali wreszcie przyplłynąć do brzegu i zacumować przy jakimś palu. Chwilowo ich wielka wodna przygoda dobiegła końca; teraz pozostało już tylko czekać, aż wszyscy członkowie załogi znów będą w komplecie, aż mała armia odzyska swego dowódcę i cesarza. Ambrozynus, który martwił się chyba najbardziej ze wszystkich, starał się napełniać ich serca otuchą i spokojem. Otuchą zdawały się też napełniać panująca wokół cisza,

widok pasterzy powracających ze swymi stadami, czerwona smuga, pozostawiona przez słońce, które zniknęło właśnie za daleką linią horyzontu, spokojne zakole rzeki czy powolne wiosłowanie flisaków, którzy płynęli z prądem, by znaleźć schronienie na noc.

— Bóg przyszedł nam z pomocą — rzekł Ambrozynus. — I nadal będzie to robił, ponieważ słuszność jest po naszej stronie i ponieważ jesteśmy prześladowani. Mam pewność, że wkrótce zobaczymy naszych towarzyszy.

— Zawdzięczamy to przede wszystkim tobie — odparł Watrenus. — Nie wiem, jak ci się udało sterować tą łajbą przez bystrza, mielizny i wiry. Moim zdaniem tak naprawdę jesteś czarodziejem, mistrzu.

— To nic innego jak twierdzenie Archimedes, mój przyjacielu — powiedział Ambrozynus. — Łódź, która przy silnym prądzie głębiej zanurza się w wodzie, staje się szybsza i ciągnie za sobą lżejsze łodzie, natomiast jeśli prąd jest wolny, sama stawia większy opór. Właśnie dlatego kiedy tylko znaleźliśmy się na spokojnych wodach, wyrównałem ciężar; w tym celu wystarczyło przesunąć Batiatusa na ostatnią tratwę. A teraz chciałbym zejść na ląd razem z Liwią, która jeśli się nie mylę, ma pieniądze, żeby kupić trochę jedzenia. W tej okolicy powinno być w bród mleka, sera, a może i chleba.

Ambrozynus odkrył, że w pobliżu leży miasteczko o nazwie Magia, którego mieszkańcy posługują się jeszcze dialektem celtyckim nie różniącym się zbyt od jego ojczystego języka. Notable i kapłan, który odprawiał chrześcijańskie msze w niewielkim miejscowym kościółku, mówili zadziwiająco dobrze po łacinie. Od nich właśnie zdołał się dowiedzieć, że rzeka, na której się znajdowali, nazywa się Ren. Płynąc dalej wkrótce natknęliby się na ogromne jezioro, następnie zaś niemożliwe do przebycia bystrza. Jeśli zatem chcą się posuwać wzdłuż największej rzeki w Europie i jednej z największych na świecie, dorównującej Tygrysowi i Eufratowi, które płynęły po ziemskim raju, muszą pójść kawałek lądem. Ambrozynus skinął potakująco głową.

— Wiemy już, którą mamy obrać drogę. Popłyniemy z prądem, dzięki czemu zdołamy uniknąć wielu niebezpieczeństw, a może nawet dotrzeć do oceanu. Ale najpierw musimy znaleźć łódź z prawdziwego zdarzenia. To prawdziwy cud, że dotarliśmy cali i zdrowi aż tutaj, płynąc na moście pontonowym zdanym na łaskę i niełaskę prądu rzecznego.

Wziął również pod uwagę sytuację na północy, gdzie Frankowie zajęli znaczne tereny kraju, który niegdyś był Galią, najbogatszą i najwierniejszą prowincją Cesarstwa. Jej środkowa część pozostała swego rodzaju ostoją rzymskości, rządził nią zaś generał Sjagriusz, który ogłosił się królem Rzymian.

— Dlatego też sędzę, że w pewnym momencie najlepiej będzie wysiąść na zachodnim brzegu—oświadczył — dalej zaś posuwać się łądem aż do kanału brytyjskiego, a od tego miejsca będzie nas dzielił tylko jeden dzień drogi łodzią do mojej ziemi. Panie Boże! Ileż to czasu upłynęło, kto wie, ile się tam zmieniło, ile znanych mi osób odeszło... Hu przyjaciel! o mnie zapomniało.

— Mówisz tak, jakby już było widać jej brzeg — zganiła go Liwia. — A tymczasem przed nami jeszcze długa droga i nie mniej najeżona trudnościami niż ta, którąśmy już przeszli.

— Masz rację — zgodził się z nią Ambrozynus — ale serce biegnie o wiele szybciej niż nogi, szybciej nawet niż najszybszy rumak i niczego się nie boi. Może to nieprawda?

— Prawda — przyznała Liwia.

— A ty nie myślisz o swoim mieście na morzu? Może ci go nie brakuje?

— Bardzo mi brakuje, ale nie potrafiłabym się rozstać z Romulusem...

— Iz Aureliuszem... o ile dobrze zrozumiałem.

— Tak, z Aureliuszem też, ale przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem, tylko jeden jedyny raz dał mi do zrozumienia, że coś do mnie czuje, a stało się to tamtej nocy w Fanum, kiedy był pewien, że nazajutrz nasze drogi się rozejdą, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Tamtej nocy ja

też nie miałam odwagi wypowiedzieć słów, których być może oczekiwał.

Ambrozynus spoważniał.

— Aureliuszem targają straszne wątpliwości, które nie dają mu spokoju. Dopóki nie rozwiąże dręczącej go zagadki, w jego duszy nie będzie miejsca dla nikogo innego. Tego możesz być pewna. — Kiedy pojawiła się przed nimi rzeka, niespodziewanie zmienił temat. — To nieodzowne. Jeśli Aureliuszowi udało się uciec przed Wulfilą, powinien być najpóźniej za parę dni, a wtedy będziemy mogli odpłynąć. Przygotujcie wieczerzę; mam nadzieję, że niedługo wrócę przynosząc dobre wieści.

Ambrozynus oddalił się w kierunku pomostu, do którego przycumowanych było na noc sporo łodzi. Kilku rybaków wyłożyło na drewniane ławy złowione tego dnia ryby, spierając się o cenę z kupcami. Na łodziach zaczęto zapalać lampki oliwne, których drgające światło odbijało się w ogromnej rzece.

XXVIII

Ambrozynus wrócił po zmroku prowadząc ze sobą dwóch tragarzy, którzy przynieśli owcze skóry, derki i płaszcze na noc. Oświadczył, że dogadał się z pewnym przewoźnikiem, który transportował sól na północ płynąc z prądem Renu. Za dość godziwą zapłatę był gotów odstawić ich w okolice Argentoratum, gdzie powinni się znaleźć mniej więcej po tygodniu podróży, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Na dodatek odsprzedał mu te boże dary za niewielkie pieniądze, dzięki czemu będą mogli spędzić noc w przyzwoitych warunkach mimo panującego tu zimna i wilgoci. Jego optymizm kłócił się wszakże z podzielanym przez wszystkich poczuciem niepewności i obawą o losy Aureliusza i Romulusa, o których nic nie wiedzieli od jakiegoś czasu. Każde z nich zdawało sobie sprawę, że bez

chłopca wszystkie wysiłki i niebezpieczeństwa, jakim musieli stawić czoło aż do tej pory, nie mają żadnego znaczenia. Byli świadomi, że związali swój los z losem chłopca, który z kolei zależał od ich wsparcia i pomocy, toteż jego nieobecność zdawała się odbierać wszelki sens ich żywotom.

Ambrozynus usiadł na pokładzie ze skrzyżowanymi nogami, po czym sięgnął do prowizorycznej spizarni, która mieściła się w jednej z tarcz, po trochę chleba i sera, bez apetytu zabrał się do jedzenia.

— Obliczyłem wszystko kilka razy — oznajmił Watrenus. — Biorąc pod uwagę typ terenu, przez który przepływa rzeka, doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej wyprzedziliśmy ich o dwa dni marszu.

— Co oznacza, że powinniśmy poczekać jeszcze całą dzisiejszą noc, cały jutrzejszy dzień, a może nawet jeszcze jeden dzień? — upewnił się Orozjusz.

— Możliwe, ale trudno to stwierdzić na pewno. Jestem przekonany, że Aureliusz stara się jak najbardziej powiększyć dystans dzielący go od pościgu, a jak wiemy, Dżuba to koń szybki i wytrzymały — zauważył Demetriusz. — Na pewno ograniczają odpoczynek do minimum i ciągle posuwają się do przodu.

— Tak — wtrącił Batiatus — ale dni są teraz bardzo krótkie, a poruszanie się po górach po ciemku jest niemożliwe albo przynajmniej dość niebezpieczne, dlatego wątpię, by Aureliusz chciał ryzykować, że wpadnie w przepaść albo okuławi konia. Ja bym przy obliczeniach wziął pod uwagę ograniczony dystans.

Każdy miał swoje zdanie i wkrótce stało się oczywiste, że ich rachunki są sprzeczne.

— Możliwe, że są tam, wysoko — powiedziała Liwia spoglądając ku górom. — Na pewno są głodni, zmarznięci i wycieńczeni. W gruncie rzeczy my mieliśmy więcej szczęścia, mimo że nasza podróż była bardziej urozmaicona.

Watrenus usiłował wlać w nich trochę otuchy.

— A może zamartwiamy się zupełnie niepotrzebnie? Niewykluczone, że Wulfili nie udało się przejść przez rzekę

albo że stracił dużo czasu jeżdżąc tam i z powrotem w poszukiwaniu brodu. Aureliusz też mógł zabawić dłużej i przyjedzie, kiedy to będzie możliwe. Wie, że czekamy na niego w widocznym miejscu i że nie ruszymy się z tej łajby, dopóki nas nie zobaczy.

— Nie moglibyśmy mu dać jakiegoś sygnału świetlnego? — zaproponował Demetriusz. — Jeśli są tam na górze, zobaczą go i nabiorą otuchy. W ten sposób zyskaliby pewność, że na nich czekamy. Moja tarcza jest metalowa; moglibyśmy ją oświetlić i...

— Lepiej nie — odparł Ambrozynus. — I tak wiedzą, że na nich czekamy, i znajdą nas, bo nie będą się w ogóle oddalać od rzeki. Sygnał świetlny przyciągnąłby też uwagę Wulfili, możecie być pewni, że nie zaniechał pościgu. Nie spocznie, póki nas wszystkich nie powyrzyna, jestem o tym przekonany. A teraz postarajcie się zdrzemnąć; mieliśmy ciężki dzień i nie wiemy, co nas czeka jutro.

— Pierwsza obejmę wartę—powiedziała Liwia. — Nie chce mi się spać.

Poszła na dziób i usiadła na brzegu tratwy zwieszając nogi nad wodą. Pozostali towarzysze rozłożyli na podłodze baranie skóry, o które zatroszczył się Ambrozynus, i położyli się obok siebie, by ogrzewać jeden drugiego, przykrywając się płaszczami. Ambrozynus usiadł na uboczu, wpatrując się w ciemność, po czym wstał i podszedł do Liwii.

— Ty też powinnaś się przespać. Tutaj jest dość spokojnie, może więc uczony starzec wystarczy, żeby trzymać straż.

— Już powiedziałam: nie chce mi się spać.

— Mnie też nie. Może mógłbym ci przez chwilę dotrzymać towarzystwa... jeśli chcesz.

— Sprawiłoby mi to przyjemność. Tym bardziej że nie dokończyliśmy naszej rozmowy, pamiętasz?

— Pewnie że tak.

— Wspomniałeś o zagadce w życiu Aureliusza.

— Tak, zgadza się. Usłyszałem coś niechcący. Tamtej nocy w Fanum i poprzedniej na przełęczy, kiedy zjeżdżałem ku przepaści.

- Cóż to za zagadka? — zapytała niespokojnie Liwia.
— Może najpierw powinnaś mi wyjawić, co o nim wiesz.
— Bardzo niewiele.
— Albo co ci się wydaje, że wiesz.
— Ja... myślę, że to on jest tym młodym bohaterem, który przez dziewięć miesięcy bronił Akwilei przed Hunami i Attylą i że tamtej nocy, kiedy miasto padło za sprawą jakiegoś zdrajcy, poświęcił się dla mnie i dla mojej matki oddając nam ostatnią możliwość ucieczki.
— Skąd możesz być tego pewna?
— Czuję to. Wiem, że się nie mylę.
Ambrozynus poszukał w ciemności wzroku Liwii.
— W rzeczywistości go okłamałaś... Prawda? Potrzebowałaś człowieka zdolnego podjąć się zadania niemożliwego do wykonania, więc wmówiłaś mu, że jest bohaterem, który być może zginął wiele lat temu.
— Nie... — odparła Liwia. — Może na początku tak, ale potem, widząc, jak walczy, poświęca się, naraża własne życie, by ratować cudze, nie miałam więcej wątpliwości: to on jest bohaterem z Akwilei, a nawet gdyby było inaczej, dla mnie właśnie to jest prawdą.
— Prawdę, której on nie chce przyjąć do wiadomości. I właśnie ona jest powodem waszej niezgody, urojeniem, które staje między wami i sprawia, że stajecie się sobie obcy. Posłuchaj, żadna pamięć, żadne wspomnienie nie jest w stanie zakorzenić się w jego umyśle, jeśli w środku kryje się pustka. Nie można budować na wodzie.
— Tak uważasz? A ja widziałam, że można.
— No tak, to twoje miasto na lagunie. Ale teraz to co innego; teraz rozmawiamy o duszy człowieka, o jego zranionym umyśle, o jego uczuciach. A gdyby tego było mało, właśnie pojawiła się kolejna prawda dotycząca jego przeszłości, która może go zniszczyć.
— O jakiej prawdzie mówisz? Powiedz, proszę.
— Nie mogę. Nie mam prawa.
— Rozumiem — odrzekła Liwia z rezygnacją. — Ale czy nie możemy dla niego nic zrobić?

Ambrozynus westchnął.

— Trzeba wydobyć jedyną prawdę z głębi jego umysłu, gdzie leży pogrzebana od tylu lat. Być może znam pewien sposób, ale jest straszny, straszny... Mógłby tego nie przeżyć.

— Gdzie on może teraz być, *Ambrosinei*

Usłyszawszy to pytanie, Ambrozynus zeszywniał, jego wzrok stał się nieobecny, sprawiał wrażenie, że skupia się całym sobą w potwornym wysiłku.

— Może... w niebezpieczeństwie — powiedział dziwnym, metalicznym głosem.

Dziewczyna podeszła bliżej i spojrzała na niego zdumiona. Niespodziewanie zdała sobie sprawę, że jego tam nie ma: jego myśli, a może nawet dusza znajdowały się gdzie indziej. Przemierzały tajemnicze ścieżki, odkrywały odległe terytoria i zimne, ośnieżone przestrzenie. Błądził po górach unoszony przez wiatr, wśród puszczy jodłowych i ostrych szczytów, ślizgał się po powierzchni zamrzniętych jezior, cichy i niewidzialny jak nocny drapieźnik.

Liwia nie odezwała się więcej; przez długi czas siedziała jakby nieobecna, wsłuchując się w cichy plusk fal o dno tratwy. Lodowaty północny wiatr przegonił chmury, odsłaniając na krótką chwilę tarczę księżyca. Twarz Ambrozynusa, na którą padało jego blade światło, przypominała woskową maskę; powieki były nieruchome, oczy białe i puste jak u posągu. Tylko usta miał otwarte, jakby właśnie krzyczał, lecz nie dobywał się z nich żaden dźwięk, podobnie jak oddech nie zamieniał się w obłok pary jak u innych, zupełnie jakby wcale nie oddychał.

Kiedy w głębokiej leśnej głuszy rozległ się przenikliwy krzyk jakiegoś drapieźnika, Aureliusz poderwał się z półsnu, rozejrzał wokoło i nadstawił ucha usiłując wychwycić najlżejsze drgania powietrza. Natychmiast też potrząsnął Romulusem, który spał skulony obok niego.

— Prędko — szepnął — musimy uciekać. Wulfila jest tutaj.

Romulus popatrzył dokoła z przerażeniem, wszędzie jednak panowały cisza i spokój, chwilami zaś spomiędzy chmur i czubków jodeł wyglądał księżyc.

— Prędko! — przynaglił Aureliusz. — Nie mamy ani chwili do stracenia.

Włożywszy koniowi do pyska wędzidło, chwycił go za uzdę i zaczął schodzić najszybciej jak mógł ścieżką wiodącą przez las, obok niego zaś biegł Romulus.

— Ale co takiego widziałeś? — dopytywał się chłopiec ciężko dysząc.

— Nic. Obudził mnie krzyk, krzyk ostrzegawczy. I mój własny instynkt. Po tylu latach wojny nauczyłem się dostrzegać niebezpieczeństwo. Biegnij, musimy przyśpieszyć. Jeszcze bardziej przyśpieszyć.

Przemierzywszy las, znaleźli się na otwartej ośnieżonej przestrzeni. Księżyc rzucał rozproszoną poświatę, która odbijając się w śniegu stawała się jeszcze jaśniejsza; Aureliusz dostrzegł w pobliżu ślady kół prowadzące od lasu ku dolinie.

— Tędy — zdecydował. — Tam, gdzie da radę przejechać wóz, my też zdołamy. Teraz możemy wreszcie wsiąść na konia. No dalej, wsiadaj, szybko.

— Ale ciągle nie rozumiem... nie ma nikogo, kto...

Aureliusz jednak nawet nie odpowiedział, tylko chwycił chłopca za ramię, posadził go przed sobą na końskim grzbiecie i ruszył w drogę. Dżuba pogalopował po stoku posuwając się po śladach, jakie pozostawił wóz, po zasypanej śniegiem łące. W oddali widać było ciemne zabudowania wioski, Aureliusz przyśpieszył więc kroku. Kiedy zbliżyli się do pierwszych domów, przywitało ich ujadanie psów, skręcił więc ku dolinie, aż wjechali na lekko wzniesiony płaskowyż, z którego mogli obserwować koryto rzeki. Odetchnąwszy z ulgą, Aureliusz kazał Dżubie zwolnić na jakiś czas, aby odpoczął. To dzielne, spienione od potu zwierzę wypuszczało przez chrapy kłęby pary i rżało gryząc wędzidło, jakby nie mogło się doczekać, by znów puścić się galopem. Może ono także przeczuwało grożące im niebezpieczeństwo.

Ledwie Wulfila i jego ludzie podjechali na skraj puszczy jodłowej, natychmiast spostrzegli ślady na nieskazitelnie czystej pokrywie śnieżnej — ślady końskich kopyt, które po pewnym czasie pomieszały się ze śladami zjeżdżającego ku dolinie wozu.

Jeden z żołnierzy zeskoczył na ziemię i przyjrzał się uważnie odciskom dotykając ich palcami.

— Tylna lewa podkowa ma tylko trzy gwoździe, a przednie ślady są głębsze od tylnych. Między siodłem a szyją konia znajduje się jakiś ciężar. To oni.

— Nareszcie! — zawołał Wulfila. — Tym razem złapiemy ich; nie mogą nam już uciec.

Podniósł dłoń i dał znak swoim ludziom, by pogalopowali za nim na dół. Było ich siedemdziesięciu, kiedy zaś przejeżdżali, do góry wzbijała się nieskazitelnie biała chmura śniegu, aureola srebrnego pyłu, która lśniła w świetle księżycy niczym nocna tęcza. Niektórzy mieszkańcy wioski, obudzeni coraz głośniejszym szczekaniem psów, powstawali z łóżek i ujrzeni, jak górującą nad ich domami polaną przemierza podobna do zjawy kawalkada. Przeżegnali się na myśl o potępionych duszach, które w nocy wychodzą podobno z piekła, żeby znaleźć jakąś ofiarę i zaciągnąć ją w otchłań zaświatów, po czym pozamykali okna i przytknąwszy ucho do okiennicy, stali drżąc ze strachu, dopóki stukot końskich kopyt nie ucichł w oddali, dopóki wściekły jazgot psów nie zamienił się w cichy skowyt.

Zimne światło brzasku poczęło sączyć się powoli przez warstwę zasłaniających niebo chmur, budząc po kolei mężczyzn, którzy spali skuleni pod płaszcami. Liwia również wstała, przecierając dłońmi czoło i skronie—miała wrażenie, że wszystko jej się przyśniło i że w rzeczywistości Ambrozynus wcale z nią nie rozmawiał. On także bowiem leżał obok pozostałych, wyciągnięty na baranich skórkach. Wartę pełnił Demetriusz, który zdawał się wpatrywać uważnie w ośnieżony łańcuch górski. Ambrozynus zaproponował, by przesiedli się tymczasem oa łódź, którą

popłynęliby na północ, po czym zaczekałoby w gotowości, aż będą mogli ruszyć dalej. Tratwy zostawił w ramach zapłaty przewoźnikowi, z którym wcześniej rozmawiał, a który miał ich używać do transportu rozmaitych towarów. Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, masywny, krępy, z szopą siwych włosów; nosił filcowy kask i skórzany fartuch i miał szorstki, zdecydowany sposób bycia.

— Nie mogę już zbyt długo czekać — oświadczył na ich widok. — Ludzie zaczynają bić świnie i potrzebują soli, żeby zakonserwować wędliny. A poza tym jest jeszcze inny, o wiele ważniejszy powód. Z każdym dniem zimy wzrasta niebezpieczeństwo, że kiedy popłyniemy dalej na północ, zostaniemy odcięci. Rzeka bowiem może zamarznąć, a lód może unieruchomić i zmiażdżyć moją łódź.

— Ale było powiedziane, że możemy poczekać do dzisiejszego wieczoru. Przecież kilka godzin więcej nie robi chyba aż takiej różnicy — zaprotestował Ambrozynus. Liwia zauważyła, że jego głos był bardzo słaby, jakby zachrypnięty, cera ziemista, twarz zaś poorana głębokimi bruzdami, jakby przez całą noc nie zmrużył oka.

— Przykro mi — odparł przewoźnik — ale jak sami widzicie, pogoda się psuje, na domiar złego mgła się podnosi, przez co nawigacja może być bardzo niebezpieczna. To nie moja wina, że pogoda zmienia się na gorsze.

Ambrozynus nie dawał za wygraną.

— Oddaliśmy ci na własność tratwy, a i tak już masz zarobek na ładunku, poza tym zapłaciliśmy ci za przewóz. Spełnij nasze żądania. Czekamy na przyjaciół, którzy zaraz tu przybędą, zapewniam cię.

Mężczyzna pozostał wszakże nieugięty.

— Muszę podnieść kotwicę — odrzekł. — Nie wiem, co mam wam powiedzieć.

Wówczas podszedł do niego Watrenus.

— A ja wiem, co mam powiedzieć tobie. Posłuchaj mnie uważnie: albo zrobisz, co mówimy, po dobroci, albo cię do tego zmusimy. Wszyscy jesteśmy uzbrojeni, więc podniesiesz kotwicę wtedy, kiedy my tak zdecydujemy.

Rozwścieczony przewoźnik wycofał się na rufę i począł rozprawiać o czymś ze swą załogą.

— Nie powinienesz być — odezwał się z wyrzutem Ambrozynus. — Zawsze lepiej jest negocjować, lepiej przekonywać, niż zmuszać.

— Zapewne masz rację — odparował Watrenus — ale chwilowo ciągle jeszcze stoimy w miejscu tylko dlatego, że moje argumenty okazały się bardziej przekonujące niż twoje.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy Liwia zawołała radośnie:

— To oni!

I rzeczywiście. Aureliusz i Romulus zjeżdżali pędem po zboczach, tuż za nim wszakże podążał oddział Wulfili, który ruszył do ataku z obnażonymi mieczami wydając mroźną krew w żyłach okrzyki. Na ich widok przewoźnik natychmiast wyobraził sobie swoją cenną łódź zamienioną w pole bitwy albo co gorsza, spaloną przez te ryczące diabły w odwecie za to, że udzielił schronienia zbiegom, których ścigają może nawet za jakąś zbrodnię. Wrzasnął więc na całe gardło:

— Podnosić kotwicę, natychmiast!

Dwaj mężczyźni w mgnieniu oka odcumowali łódź, by ustawić ją dziobem do fali.

— Nie! Przeklęte lotry! — zawołał Watrenus.

Było już jednak za późno: łódź zdążyła się oderwać od nabrzeża i jęła powoli oddalać od drewnianego pomostu, do którego była przycumowana. Liwia spostrzegła, że Aureliusz przez moment się zawahał — podążał właśnie ku tratwom, ale przecież musiał widzieć, że są puste. Krzyknęła więc jak mogła najgłośniejsz:

— Jesteśmy tutaj! Jesteśmy tutaj! Biegnij, Aureliuszu, biegnij!

I zaczęła wymachiwać płaszczem. Pozostali towarzysze również jęli dawać znaki.

— Tutaj! Jesteśmy tutaj! Biegnij! — wołali.

Zobaczywszy ich, Aureliusz ścisnął kolanami boki Dżuby i mocno pociągnął za wędzidło, zmuszając go do gwałtownego skrętu. Po czym pogalopował wrzeszcząc:

— Wio, Dżuba, wio, skacz! — Uderzył go lejcami po szyi.

Łódź płynęła równolegle do brzegu mijając właśnie koniec pomostu. Wpadłszy nań, Aureliusz przegalopował na sam jego koniec, po czym spiął Dżubę do akrobatycznego skoku, po którym wylądował na stercie soli zapadając się w nią aż po kolana. Aureliusz i Romulus rzucili się w bok również lądując w białej warstwie soli, która złagodziła upadek. W ferworze pościgu Wulfila także przejechał galopem przez pomost, musiał wszakże powstrzymać swego wierzchowca w ostatniej chwili, by nie wpaść do wody. W towarzystwie reszty żołnierzy z bezsilną wściekłością musiał po raz kolejny się przyglądać ucieczce swoich zbiegów.

Watrenus wykonał obsceniczny gest używając przy tym koszarowego zwrotu, którego Romulus nie zrozumiał. Podszedł więc do niego otrzepując się z soli, którą był całkowicie obsypany.

— Co to znaczy *temetfutuet*—zapytał z niewinną miną.

— Cezarze! — skarcił go Ambrozyńus. — Takich rzeczy się nie powtarza.

— To znaczy „odpieprz się” — odparł spokojnie Watrenus, po czym chwyciwszy chłopca w ramiona, podniósł go wysoko ponad głowy wszystkich i zawołał:

— Witaj z powrotem, ceszarze!

Nastąpił wybuch powszechnej niepowstrzymanej radości, tłumionej aż do tej pory przez napięcie. Wszyscy zaczęli się ścisnąć i obejmować, nawet Dżuba stał się obiektem czułości, jak przystało na bohaterskiego rumaka, który wykazał się nieprawdopodobnym męstwem dowożąc Romulusa i Aureliusza w bezpieczne miejsce. Oddawszy ster w ręce załogi, Batiatus przyłączył się do ogólnej wesołości.

Tymczasem Wulfila nie zaprzestał pościgu, podążając za nimi wzdłuż brzegu i ściskając w dłoni cesarski miecz, stanowiący wieczną nieubłaganą groźbę. Aureliusz zaś podszedł do prawej burty, spoglądając wyzywająco na swego wroga i poddając się fali nienawiści, która paliła mu

skórę niczym lodowaty wiatr, jednocześnie nie mogąc się powstrzymać od wpatrywania w błyszczący miecz, który barbarzyńca dzierżył w dłoni. Jeźdźcy wypuścili na nich grad strzał, które wpadały do wody z cichym pluskiem. Jedna z nich poszybowała szerokim łukiem tuż nad pokładem, na szczęście jednak nie zdążyła trafić w Liwie, zatrzymana przez tarczę czujnego Demetriusza. Tak czy inaczej z każdą chwilą łódź oddalała się coraz bardziej, więc wkrótce wróg nie mógł jej już osiągnąć.

Nagle Romulus podszedł do Aureliusza i ścisnął go za ramię.

— Nie myśl już o tym mieczu — powiedział. — Nie ważne, że go utraciłeś. Są ważniejsze rzeczy.

— Jakie? — zapytał z goryczą Aureliusz.

— Że znów jesteśmy razem. Dla mnie liczy się tylko to, że wszyscy mnie miłują. Mam nadzieję, że ty też.

— Miłuję cię, cesarze — odrzekł nie odwracając się Aureliusz.

— Nie nazywaj mnie cezarem.

— Miłuję cię, mój chłopcze—powtórzył Aureliusz. Po czym wreszcie zwróciwszy ku niemu twarz, przytulił go mocno z oczyma gorącymi od łez.

W tej samej chwili gęste chmury rozwiały się, przesłaniająca wodę mgła opadła, słońce zaś rozpaliło toń ogromnej rzeki, rozświetlając przykryte białym puchem brzegi i sprawiając, że jęła błyszczeć niczym srebrny płaszcz. Wszyscy wpatrywali się w ów widok z zachwytem, jakby mieli przed sobą wizję nadziei. Po czym nagle ochrypli głos Eliasza Watrenusa, który siedział na rufie wśród starych żołnierzy, zaintonował powoli i uroczyście hymn na cześć słońca, stare *carmen saeculare* Horacego:

*Almę Sol curru nitido diem qui
promu et celas...*

Po chwili zawtórował mu inny głos, potem trzeci i czwarty, na koniec zaś dołączył głos Liwii i samego Aureliusza:

*aliusque et idem
nasceris, possis nihil Roma
visere maius...**

Romulus spojrział z wahaniem na Ambrozynusa.

— Przecież to pieśń pogańska... — zaczął.

— To pieśń o wielkości Rzymu, mój synu, który nie doszedłby do takiej potęgi, gdyby Bóg mu na to nie pozwolił. Teraz zaś, gdy zbliża się do kresu swych dni, zasługuje na to, by odśpiewać na jego cześć tę pieśń chwały. — Po czym również przyłączył się do chóru.

Romulus także zaśpiewał. Jego czysty dziecięcy głos wznosił się wysoko jak nigdy dotąd, górując nad głębokimi, potężnymi głosami towarzyszy i jednocząc z napiętym i drżącym głosem Liwii. Nawet przewoźnik, dając się porwać podniosłemu nastrojowi, nucił wraz z nimi melodię, mimo że nie znał słów.

Kiedy śpiew w końcu ucichł, chmury rozwiały się całkowicie, mgła się rozproszyła, a na idealnie czystym zimowym niebie zaświeciło triumfalnie słońce.

Romulus podszedł do milczącego przewoźnika, którego oczy płonęły osobliwym blaskiem, jakby poddał się wzruszeniu.

— Ty też jesteś Rzymianinem? — zapytał.

— Nie — odrzekł mężczyzna. — Ale chciałbym być.

XXIX

Przed ich oczami rozpościerało się jezioro Brigantium, przypominające olbrzymie zwierciadło otoczone lasami i pastwiskami, na których odcinały się wyraźnie pojedyncze

* O, dobre, co lśniesz rydwanem
Wschodzisz, zachodzisz i znów wschodzisz ranem,
Obyś miast większych nad Romę wspaniała
Nie oglądało!
Horacy, *Carmen saeculare*, przeł. Mieczysław Brożek.

domostwa i całe wioski. Potrzebowali całego dnia, by przepłynąć od jednego brzegu do drugiego i dotrzeć do cypla, który przedzielał je niczym widły, tworząc dwie długie wąskie zatoki. Łódź weszła do tej lewej, po czym zarzucili kotwicę na noc w pobliżu małej miejsciny zwanej Tasgaetium. Nazajutrz podróż rozpoczęła się na nowo w miejscu, w którym rzeka wznawiała swój bieg na północ.

— No i znów jesteśmy na Renie — oznajmił przewoźnik, kiedy łódź wpłynęła do odnogi rzeki. — Będziemy płynąć około tygodnia, aż dotrzemy do Argentoratum. Ale najpierw czeka was widowisko, jakiego nigdy w życiu nie oglądaliście i nigdy więcej nie zobaczycie: wielkie wodospady.

— Wodospady? — powtórzył Orozjusz, który nie zdążył jeszcze dojść do siebie po ostatniej przygodzie z wodą. — W takim razie to niebezpieczne.

— Jeszcze jak! — przyznał przewoźnik. — Wodospady sięgają na wysokość ponad pięćdziesięciu stóp, mają szerokość pięciuset stóp i zlatują do doliny pniąc się i grmiąc jak burza. Jeżeli będziecie cicho i nadstawicie uszu, teraz, przy sprzyjającym wietrze, usłyszycie je nawet stąd.

Wszyscy umilkli spoglądając po sobie z niepokojem i nie potrafiąc przewidzieć, co ich czeka. Istotnie z oddali dobiegało do nich, albo przynajmniej tak im się wydawało, coś w rodzaju cichego buczenia, które zlewało się z innymi odgłosami przyrody, mogło wszakże oznaczać wodospady.

Ambrozynus przysunął się do przewoźnika.

— Przypuszczam, że znasz jakąś inną drogę; skok z wysokości pięćdziesięciu stóp wydaje mi się nader ryzykowny, nawet dla tak solidnej łodzi jak twoja.

— Twoje przypuszczenie jest słuszne — uspokoił go przewoźnik robiąc zwrot. — Przybijemy do brzegu i pójdziemy dalej lądem. Można tu wynająć sanie ciągnięte przez woły, które dowiozą nas aż do doliny wodospadów.

— Bogowie! — zawołał Ambrozynus. — *Diolkosl* Któż by przypuszczał, że mają go na tej barbarzyńskiej ziemi.

— Co powiedziałeś? — zapytał Watrenus.

— *Diolkos*, czyli przewóz łądem statków, na których drodze znajdują się naturalne przeszkody nie do pokonania. W starożytności istniał w Przesmyku Korynckim; był doprawdy imponujący.

Łódź przybiła do brzegu. Załoga wciągnęła ją na sanie na kółkach i mocno przywiązała, podczas gdy przewoźnik ustalał cenę transportu. Następnie woźnica popędził woły i okazały orszak ruszył w drogę. Dżuba, wyprowadzony na łąd, wreszcie mógł rozprostować nogi podczas długiego spokojnego marszu. Wędrowali prawie dwa dni często zmieniając woły, zanim łódź dotarła na równinę, kiedy zaś mijali wodospady, wszyscy przystanęli oczarowani, podziwiając ogromną ścianę spienionej wody, tęczę, która niczym most łączyła obydwie brzegi, wiry i topiele, gwałtowne bulgotanie w miejscu, gdzie koryto rzeki ponownie skręcało na zachód.

— Jakie to cudowne! — zawołał Romulus. — Przypominają mi trochę wodospady Nery, tylko są tysiąc razy większe.

— Podziękuj Wulfili! — roześmiał się Demetriusz.

— Gdyby nie on, nigdy byś nie zobaczył tego cudu.

Pozostali również wybuchnęli śmiechem, łódź tymczasem została ponownie zwodowana. Wszystkich ogarnęła wesołość, jakby brali udział w jakiejś zabawie, jedynie Ambrozynus zachował powagę.

— Co się stało, *Ambrosine*? — zaniepokoiła się Liwia.

Starzec zmarszczył czoło.

— Wulfila. Przez tę podróż łądem straciliśmy niemal całą przewagę. W tej chwili może być gdziekolwiek na tych wzgórzach.

Śmiech zamarł im na ustach zamieniając się w cichy pomruk. Któreś z nich jęło przeszukiwać wzrokiem okoliczne wzgórza, reszta, wsparłszy się o burtę, spoglądała na leniwie płynącą rzekę.

— Prąd jest teraz wolniejszy — ciągnął Ambrozynus

— a kiedy skęcimy na północ, będziemy mieli przeciwny wiatr. Na dodatek naszą łódź łatwo rozpoznać z powodu całej tej soli i konia na pokładzie.

Nikt nie miał już ochoty do śmiechu ani nawet do rozmowy.

— Lepiej zastanówmy się, co zrobimy, kiedy już do-
płyniemy do Argentoratum — powiedziała Liwia, chcąc
zmienić temat.

— Moim zdaniem powinniśmy pojechać do Galii,
gdzie będziemy mniej się rzucać w oczy — odrzekł Am-
brozynus. Wziąwszy mapę, którą narysował w *mansio*
w Fanum i którą Liwia oddała mu z powrotem, kiedy
spotkali się ponownie na przełęczy, rozłożył ją na ławie i dał
znak towarzyszom, aby się przysunęli bliżej. — Popatrzcie
— powiedział. — Sytuacja przedstawia się mniej więcej tak.
Tutaj, w środkowo-południowej części kraju osiedlili się
Wizygoci, od wielu lat zaprzyjaźnieni i sprzymierzeni
z narodem rzymskim. Walczyli na Polach Katalaunijskich
przeciw Attyli pod wodzą Aecjusza, którego król Wizygo-
tów był serdecznym druhem. Zresztą zapłacił za tę przyjaźń
własnym życiem i poległ w bitwie dowodząc mężnie
prawym skrzydłem wojsk sprzymierzonych.

— A więc nie wszyscy barbarzyńcy są okrutni i dzicy
— zauważył Romulus.

— Nigdy tego nie mówiłem — odparł Ambrozynus.

— Powiem więcej: wielu z nich posiada nadzwyczajne
zalety męstwa, lojalności i szczerości, które nie należą już
niestety do naszych obyczajów, chociaż uważamy się za
ludzi cywilizowanych.

— Niemniej jednak przyczynili się do zagłady naszego
Imperium, naszego świata.

— Ale nie z naszej winy — zaprotestował Batiatus.

— Zabiłem ich tylu, że aż straciłem rachubę.

Ambrozynus wrócił do sedna sprawy.

— Tutaj, mój synu, nie chodzi o to, by odróżnić
dobrych od złych. Ci, których zwiemy „barbarzyńcami”,
to ludy koczownicze, żyjące od niepamiętnych czasów
wśród niezmiernych stepów sarmackich. Mieli swoje
tradycje, zwyczaje, własny tryb życia. Potem jednak nagle
zaczęli nacierać na nasze granice. Może na ich ziemiach
zapanował głód albo wybuchły epidemie, które wybiły im

bydło i trzodę, może zostali przegnani przez inne plemiona, które uciekały ze swych rodzinnych ziem, trudno powiedzieć. Możliwe też, że zdali sobie sprawę, jak ubodzy są w porównaniu z naszym bogactwem, jak nędzne są ich namioty ze skór w porównaniu z naszymi domami z cegieł i marmuru, z naszymi willami i pałacami. Ci, którzy mieszkali blisko granicy i prowadzili z nami handel, dostrzegali ogromną różnicę między własnym skromnym życiem a naszym przepychem. Widzieli obfitość brązu, złota i srebra, piękno posągów, dostatek i wykwintność jadła, win, elegancję strojów i klejnotów, urodzajność pól. Byli nimi olśnieni i oczarowani, zapragnęli więc także żyć w ten sposób. Tak oto zaczęły się napady, próby przełamania naszej obrony czy też, w innym przypadku, nieustanne naciski, powolne przenikanie w nasze szeregi. Starcia trwają od trzystu lat i do tej pory nie nastąpiło rozwiązanie.

— Co ty mówisz? Przecież wszystko się skończyło, nasz świat już nie istnieje.

— Mylisz się. Rzym nie utożsamia się z konkretną rasą, narodem czy plemieniem. Rzym to ideał, a ideałów nie można zniszczyć...—Romulus pokreślił z niedowierzaniem głową. Skąd w tym człowieku tyle wiary, skoro wszędzie wokoło nic, tylko rozpacz i zgnilizna? Ambrozynus zaś stuknął palcem w mapę.—Tutaj, między Renem a Belgiką, mieszkają Frankowie, o których ci już wspomniałem. Kiedyś żyli w lasach Germanii, teraz zaś zamieszkują najlepsze ziemie Galii, na zachód od Renu. A wiesz, jak im się udało przedostać? Dzięki zimnu. Pewnej nocy temperatura powietrza obniżyła się tak bardzo, że Ren zamarł, a kiedy nastał świt, oczom naszych żołnierzy ukazał się upiorny widok: z mgły wynurzyła się olbrzymia armia jeźdźców na koniach, która posuwała się naprzód po rzece, przemienionej w tafelę lodu. Nasi zaciekle się bronili, ale i tak zostali rozbici w puch.

— To prawda — przyznał Orozjusz. — Kiedyś spotkałem nad Dunajem weterana, który opowiadał mi tę historię. Był prawie bez zębów, całe ciało miał pokryte

bliznami, ale pamięć mu dopisywała. A widok tamtych wojowników, przemierzających rzekę na koniach, to był powracający koszmar, z którego budził się w nocy krzycząc: „Do broni! Nadchodzą!” Niektórzy twierdzili, że zwariował, ale zapewniam was, nikt nie ośmielał się kpić z niego z tego powodu.

— Na północnym wschodzie — ciągnął Ambrozynus — jest to, co zostało z prowincji zwanej Galią, która wyzwoliła się spod władzy Rzymu. Rządzi nią Sjagriusz, rzymski wódz, który przyznał sobie tytuł *rex Romanorum*. Tylko nieokrzesany żołnierz mógł przyjąć tak przestarzały i zarazem napuszony tytuł...

— Hej, mistrzu — zażartował Batiatus — my też jesteśmy nieokrzesanymi żołnierzami, ale mamy swoje zalety. Mnie ten cały Sjagriusz nawet się podoba.

— Tak, możliwe, że wcale się nie mylisz. Będziemy musieli przemierzyć jego królestwo, które zachowało dobrą organizację i kontrolę nad całym terytorium. Moglibyśmy popłynąć Sekwaną w dół, aż do Parisii, a stamtąd do kanału brytyjskiego. To długa i niebezpieczna podróż, ale powinniśmy sobie poradzić. Kiedy tylko dotrzemy do kanału, możemy mieć nadzieję, że zgubimy pościg i na pewno znajdziemy jakiegoś przewoźnika. Mnóstwo handlarzy przybywa do Galii sprzedawać wełnę z naszych owiec, z której wyrabiają tkaniny, i kupować rękodzieło, którego u nas brakuje.

— A co potem? Co zrobimy, kiedy wreszcie znajdziemy się w tej twojej Brytanii? Potem będzie lepiej, będzie nam się łatwiej żyło? — zapytał Watrenus, przekonany, że podziela ciekawość reszty towarzyszy.

— Obawiam się, że nie — odrzekł Ambrozynus. — Nie byłem tam przez wiele lat i nie mam dokładnych wieści, ale nie robię sobie złudzeń. Jak wiecie, wyspa jest pozostawiona samej sobie od pół wieku i wielu lokalnych władców toczy ze sobą wojnę, ale mam nadzieję, że w najważniejszych miastach, a zwłaszcza w tym, które przewodziło buntowi przeciw najazdom z Północy: w Carvetii, przetrwały instytucje cywilizacji. Właśnie tam się udamy, żeby

zaś się tam dostać, będziemy musieli przejechać niemałą całą wyspę, z południa na północ.

Nikt o nic więcej nie pytał. Wszyscy ci ludzie, którzy przybyli z nad Morza Śródziemnego, rozglądając się wokół widzieli, że cały kontynent był skuty lodem, śnieg przykrył wszystko grubą warstwą puchu, zacierając wszelkie granice. Przyroda narzuciła im własne reguły i własne granice, wytyczone za pomocą rzek, gór i bezkresnych puszczy.

Podróżowali przez wiele dni, a kiedy księżyc jasno świecił, również nocą. Płynęli w dół wielkiej rzeki, w miarę zaś jak posuwali się na północ, niebo stawało się coraz bardziej przejrzyste, powietrze coraz zimniejsze, wiatr coraz ostrzejszy. Aureliusz i jego kompani zaopatrzyli się w ordynarne baranie kozuchy, byli zarośnięci, mieli długie zmierzwione włosy i z każdym dniem upodabniali się coraz bardziej do zamieszkujących te ziemie barbarzyńców. Romulus spoglądał na mijane krajobrazy z mieszaniną zachwytu i lęku; owa opuszczona przestrzeń napełniała jego serce trwogą. Czasami niemal tęsknił za kolorami Capri i otaczającego go morza, za zapachem pinii i żarnowca, za tamtejszą jesienią, która była tak łagodna, że przypominała wiosnę, usiłował wszakże wziąć się w garść i nie okazywać przygnębienia, zdawał sobie bowiem sprawę, jakich poświęceń dokonują i na jakie niebezpieczeństwa narażają się jego przyjaciele. Tylko że owe poświęcenia stanowiły dlań coraz większy ciężar. Z każdym mijającym dniem odczuwał je coraz bardziej jako nader hojną daninę, zbyt wysoką w stosunku do celu, jakiemu służyła. W jego oczach zresztą ów cel jawił się jako plan, którego właściwie nie zna nikt poza Ambrozynusem. Jego mądrość oraz wiedza o świecie i przyrodzie nie przestawały go zaskakiwać, było w preceptorze wszakże coś tajemniczego, co napawało go niepokojem. Kiedy minęła pierwsza radość z powodu odzyskania wolności i odnalezienia towarzyszy, zrodził się w nim lęk i niemal poczucie winy wobec tych ludzi, którzy własny los związali z losem władcy bez ziemi i bez poddanych, z losem biednego chłopca, co nigdy nie

będzie mógł spłacić zaciągniętego u nich długu wdzięczności.

W rzeczywistości Watrenus, Batiatus i pozostali czuli się coraz bardziej ze sobą związani i to nie tyle z powodu celu czy planu, który mieli zrealizować, ile raczej przez to, że są razem w boju i w marszu. Martwił ich niepokój wodza, nieobecny i zamyślony wyraz twarzy Aureliusza, ponieważ nie rozumieli go i nie wiedzieli, dokąd ich zaprowadzi. Liwia również zdawała sobie z tego sprawę, jej niepokój wszakże wynikał ze zgoła innych powodów, bardziej intymnych, osobistych.

Pewnego wieczoru, gdy pełnił wartę, stojąc samotnie oparty o burtę i przyglądając się, jak łódź pruje szare wody Renu, podeszła do niego.

— Martwisz się? — zapytała.

— Jak zawsze. Wkraczamy na zupełnie nieznany teren.

— Nie myśl o tym. Jesteśmy razem, wspólnie stawimy czoło temu, co nas czeka. Czy to nie jest pocieszające? Kiedy byłeś z Romulusem w górach, bałam się; w wyobraźni usiłowałam iść za wami krok w krok, oczyma duszy widziałam, jak wędrujecie wśród lasów, ścigani przez wrogów, walcząc z zimnem i śnieżycą.

— Ja też o was myślałam, a... zwłaszcza o tobie.

— O mnie? — powtórzyła Liwia szukając jego wzroku.

— Od momentu gdy ujrzałam cię biorącą kąpiel w apeńskim źródle, podobną do leśnej bogini, bez przerwy o tobie myślę, bez przerwy cię pragnę, a każda chwila z dala od ciebie to dla mnie męczarnia.

Liwia poczuła, jak po krzyżu przebiegają jej dreszcze i to wcale nie z powodu północnego wiatru, lecz za sprawą Aureliusza, który tak nagle i niespodziewanie otworzył przed nią duszę, w tak nieoczekiwanej i przypadkowej sytuacji wyjawiał jej swe uczucia.

— Dlaczego nigdy nie chciałeś się odsłonić? — zapytała. — Dlaczego nigdy nie pozwoliłeś mi poznać swoich uczuć, a kiedy próbowałam, ni razu nie dałeś mi się do siebie zbliżyć, zamykając dostęp do własnego serca? Moje życie z dala od ciebie traci sens. Wiem, ja też popełniłam

błąd nie zdając sobie sprawy, że pokochałam cię od pierwszej chwili; chciałam walczyć z uczuciem, chciałam je ukryć. Wydawało mi się, że ono mnie osłabia, że z jego powodu staję się bezbronna, życie zaś zdążyło mnie nauczyć, by nigdy i przed nikim nie okazywać słabości.

— Nie chciałem cię odpychać — odrzekł Aureliusz — ani nie bałem się otworzyć przed tobą duszy. Obawiałem się za to tego, co mogłabyś w niej zobaczyć. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co się dzieje w mojej głowie, jak zażartą walkę muszę staczać ze zjawami, które w niej tkwią. Jak mogę się z kimś związać, skoro sam jestem rozdarty, skoro w każdej chwili drzę na myśl, że nagle wyłoni się jakieś wspomnienie, które całkowicie mnie zmieni, które uczyni ze mnie obcego człowieka, a może nawet nienawistną, godną pogardy istotę? Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Liwia położyła mu głowę na ramieniu szukając jego dłoni.

— Wcale nie jest tak, jak myślisz: dla mnie jesteś taki, jakiego cię widzę, jakiego cię znam. Patrząc ci w oczy widzę dobrego i szlachetnego człowieka. Wcale mi nie zależy na pewności, czy jesteś rzeczywiście taki, jak mi się wydaje, czy twarz, która wryła mi się w pamięć, gdy byłam dzieckiem, rzeczywiście należy do ciebie. Nie obchodzi mnie to, co może kryć twoja przeszłość, cokolwiek to jest.

Aureliusz wstał i spojrzał jej prosto w oczy zboliałym wzrokiem.

— Cokolwiek to jest? Ale czy wiesz, co to znaczy?

— Znaczy tyle, że cię kocham, żołnierzu, i że zawsze będę cię kochać bez względu na to, co zgotuje nam los. A miłość jest nieustraszona. Daje nam siłę, byśmy mogli pokonać wszelkie trudności, jakie pojawią się na naszej drodze życia, przezwyciężyć każdy ból, każde rozczarowanie. Przestań się zadreć: jedyna rzecz, jakiej chcę się o tobie dowiedzieć, to czy czujesz do mnie to samo co ja do ciebie.

Aureliusz objął ją mocno i pocałował, szukając jej ust zgłodniałymi wargami, po czym przytulił jeszcze raz, jakby

pragnął przekazać ciałem wszystko to, czego nie zdołał wypowiedzieć słowami.

— Kocham cię, Liwio — rzekł — bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. W tej chwili żar, który czuję w duszy, mógłby roztopić cały otaczający nas śnieg i lód. Nawet jeśli wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, nawet jeśli przyszłość stanowi dla mnie równie niepokojącą zagadkę jak przeszłość, kocham cię tak, jak nikt nigdy nie zdoła cię pokochać ani na tej ziemi, ani w królestwie piekieł.

— Dlaczego teraz? — zapytała Liwia. — Dlaczego wybrałeś akurat ten moment?

— Bo jesteś blisko, a także dlatego że na tych lodowatych wodach i w bezkształtnej mgle moja samotność jest nie do zniesienia. Obejmij mnie, Liwio, daj mi siły, bym mógł uwierzyć, że nic nie zdoła nas nigdy rozdzielić.

Liwia zarzuciła mu ramiona na szyję i stali tak długo przytuleni, wiatr zaś rozwiewał i płątał im włosy w słabym świetle zimowego księżyca.

Nastał przedostatni dzień podróży po rzece, przewoźnik zaś przyglądał się z niepokojem pływającej po wodzie krze.

— Twoje obawy nie były bezpodstawne — stwierdził zbliżając się doń Ambrozynus. — Rzeka zaczyna zamarać.

— Niestety — odparł przewoźnik. — Ale na szczęście jesteśmy prawie na miejscu. Jutro koło wieczora zarzucimy kotwicę. W porcie germańskim, na wschodnim brzegu, znam kogoś, kto pomógłby wam się dostać aż do ujścia, ale w tej sytuacji kursowanie łodzi z pewnością zostanie przerwane aż do chwili, kiedy rzeka znów będzie płynąć.

— A kiedy to nastąpi? Wiosną?

— Niekoniecznie. Zimą też zdarzają się ocieplenia. Możecie znaleźć jakiś kąt i przeczekać. Możliwe, że to zjawisko przejściowe, a wtedy będziecie mogli płynąć dalej jakąś inną łodzią aż do oceanu. Stamtąd już łatwo się przedostać do Brytanii; wystarczy, żeby morze było spokojne.

Zarzucili kotwicę wieczorem, przy prawym brzegu, naprzeciw Argentoratum. W samą porę, wzmógł się bowiem północno-zachodni wiatr, na rzece zaś zaczęło się pojawiać coraz więcej kry, która z chwili na chwilę stawała się grubsza, uderzając o dno łodzi z głuchym łoskotem. Na widok tego mizernego oddziału uciekinierów przewoźnika ogarnęła litość. Dokąd pójda bez znajomości terenu, dróg, najbezpieczniejszych szlaków w samym środku zimy, która zbliżała się właśnie wielkimi krokami niosąc burze i zamiecie śnieżne, lód i głód? Podszedłszy do Ambrozynusa, który sięgał właśnie po sakiewkę, żeby mu zapłacić, powiedział:

— Daj spokój; miałem szczęście, że dowiozłem do celu mój ładunek. Północny wiatr zanieś mnie do domu szybciej, niż mógłbym się spodziewać. Zatrzymajcie te pieniądze, mogą się wam przydać. Dzisiejszej nocy możecie zostać na mojej łodzi; najprawdopodobniej będzie wam tu bezpieczniej i wygodniej niż w jakiegokolwiek tawernie w mieście. A poza tym nie będziecie się rzucać w oczy. Wasi wrogowie mogą już być w okolicy.

— Dziękuję — odrzekł Ambrozynus — również w imieniu moich towarzyszy. W naszej sytuacji przyjaciel to najcenniejsza rzecz, o jakiej możemy marzyć.

— A co zamierzacie zrobić jutro?

— Moim zamiarem było przeprowić się na drugi brzeg, gdzie nasi wrogowie raczej nie mają wsparcia i gdzie moglibyśmy znaleźć jakąś pomoc. A potem dotrzeć do Sekwany i popłynąć w dół aż do kanału brytyjskiego.

— Moim zdaniem to dobry pomysł.

— Dlaczego nie przewieziesz nas teraz z Argentoratum na drugą stronę rzeki?

— Nie mogę, i to z wielu ważnych powodów. Czekam na ładunek skór z głębi kontynentu. Poza tym wieje przeciwny wiatr, na dodatek te lodowe bloki, które pływają po wodzie, mogłyby nas zatopić. Musicie iść wzdłuż brzegu i przeprowić się trochę dalej. Jutro, jeśli zrobi się cieplej, możecie znaleźć jakiś prom, który przewiezie was na drugą stronę.

Ambrozynus przytaknął, po czym odszukał kompanów i przedstawił im plany na następny dzień. Postanowili, że na wszelki wypadek jedno z nich stanie na straży. Watrenus zaofiarował się jako pierwszy, Demetriusz zaś jako drugi.

— Na Dunaju tyle razy stałem na warcie mimo śniegu i mrozu — powiedział Demetriusz — że zdążyłem się przyzwyczaić.

O zmierzchu przewoźnik zszedł na ląd, wrócił zaś w nocy przywołując Watrenusa, który pełnił straż. Spętany i przywiązany do burty na dziobie Dżuba zarżał cicho. W tej samej chwili nadeszła Liwia niosąc Watrenusowi miskę parującej zupy, po czym zaczerpnąwszy z worka kilka garści jęczmienia, nakarmiła konia.

— Gdzie są pozostali? — zapytał przewoźnik.

— Pod pokładem. Masz jakieś wieści?

— Niestety tak — odrzekł. — Przyjdź do mnie, jak tylko będziesz mogła. — Po czym zszedł na ląd trzymając w dłoni lampkę oliwną.

Kiedy po chwili Liwia doń dołączyła, mężczyzna zaczął mówić:

— Przynoszę niezbyt pomyślne wieści. W miasteczku pojawili się obcy, którzy sądząc po wyglądzie i zachowaniu mogą być waszymi prześladowcami. Wypytyują o grupę przybyszów, którzy powinni przybić do brzegu dziś wieczorem, i nie ma żadnych wątpliwości, że to właśnie was szukają. Jeżeli zejdziecie na ląd, łatwo was złapią. Obiecują pieniądze każdemu, kto dostarczy im jakichś wiadomości, a w tej okolicy nie brak ludzi, którzy sprzedaliby rodzoną matkę za garść miedziaków, zapewniam cię. Poza tym słyszałem, że dwadzieścia mil stąd na północ rzeka jest skuta lodem. Nie mógłbym was przewieźć, choćbym chciał.

— To wszystko? — zapytał Ambrozynus.

— Mnie się zdaje, że to wystarczy — zauważył Batiatus.

— Tak, wszystko — przytaknął przewoźnik. — Poza tym musimy wziąć pod uwagę, że oni są w stanie rozpoznać tę łódź; po pierwsze już ją widzieli, a po drugie z powodu ładunku soli na środku pokładu trudno ją pomylić z czymś

innym. Teraz jest ciemno choć oko wykol i nic nie widać, ale jutro, kiedy się zrobi jasno, nie będą potrzebowali dużo czasu, żeby nas znaleźć. Mam zamiar wyładować towar i załadować następny jeszcze przed świtem, a zaraz potem podnieść kotwicę; nie chcę, żeby mi spalili łódź. Nigdy bym nie przypuszczał, że będą tu równo z wami. Musieli jechać bez przerwy śpiąc bardzo mało lub nawet wcale albo może wsiedli na statek o wiele szybszy od tej tratwy. Pewnego dnia, jeśli kiedykolwiek spotkamy się znowu w jakimś zakątku świata, chętnie bym posłuchał o przyczynach takiego uporu, ale teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie. Otóż musimy zdecydować, jak ocalić waszą skórę.

— Masz może dla nas jakąś radę? — zapytał Aureliusz.

— Znasz te strony i tych ludzi lepiej od nas.

Przewoźnik rozłożył ręce w geście bezradności.

— Ja chyba mam pewien pomysł — oznajmił Ambrozynus. — Ale potrzebny nam będzie wóz, i to zaraz.

— Wóz? O tej porze to nie takie proste, ale wiem, gdzie je wynajmują. Właściwie powinniście go odstawić z powrotem dwadzieścia mil stąd, ale wiercie mi, stratę odbiją sobie już po dwóch lub trzech kursach, więc nie miejcie skrupułów. Pójdę się rozejrzeć, a wy bądźcie gotowi... Mogę spytać, co zamierzacie zrobić z wozem?

Ambrozynus schylił głowę z zakłopotaniem.

— Lepiej, żebyś nie wiedział. Rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

Przewoźnik skinął potakująco głową i zszedł na ląd. Po chwili zniknął w labiryncie prowadzących do portu uliczek.

— Co ci chodzi po głowie? — zapytał Aureliusz.

— Zrobimy tak jak Frankowie trzydzieści lat temu. Przeprowadzimy się na drugą stronę po lodzie.

— W nocy, na dodatek nie mając pewności, czy nas utrzyma? — zdumiał się Batiatus wytrzeszczając oczy.

— Jeżeli ktoś ma lepszy pomysł, niech mówi — odparł Ambrozynus.

Żadne z nich się nie odezwało.

— W takim razie postanowione — zakończył Ambrozynus. — Spakujcie się i niech ktoś idzie na górę uprzedzić Watrenusa.

Demetriusz zamierzał się właśnie tym zająć, lecz Romulus, który niespodziewanie wstał, okazał się szybszy.

— Ja pójdę. Zniosę mu jeszcze trochę zupy.

Nie upłynęło dużo czasu, odkąd Romulus wdrapał się na pokład, gdy rozległ się najpierw jakiś łoskot, po chwili zaś krzyk Watrenusa:

— Stój, stój, dokąd idziesz?!

Ambrozynus natychmiast odgadł, co się święci.

— Biegnijcie — zawołał — na miłość boską, biegnijcie!

Aureliusz wpadł na pokład w kilku susach, za nim zaś Liwia i Demetriusz. Watrenus, który zdążył już zejść na molo, puścił się biegiem.

— Stój! — krzyczał. — Mówię, stój!

Pozostali popędzili za nim i stanęli na rozwidleniu trzech dróg, z których każda prowadziła w innym kierunku.

— Watrenus pobiegł prosto—powiedział Demetriusz. — Ja pójdę w prawo, ty i Liwia w lewo; spotkamy się tutaj, jak się da najprędzej.

W oddali słyhać było tupot nóg Watrenusa, który nie przestawał przywoływać chłopca. Wszyscy rzucili się w pościg. Wkrótce Aureliusz natrafił na kolejne rozwidlenie.

— Biegnij tędy — polecił Liwii — a ja tamtędy.

Tymczasem Demetriusz pognał drogą wiodącą lekko pod górę i jak sądził, równoległą do tej, którą popędził Watrenus. Szukał wszędzie, zaglądał w każdy zakamarek, ale uliczki były puste; przypominało to szukanie igły w stogu siana. Liwii i Aureliuszowi także nie dopisało szczęście. Spotkali się zdyszani na rozstajach.

— Dlaczego to zrobił? — nie mogła pojąć Liwia.

— Nie rozumiesz? Nie chce, żebyśmy się więcej dla niego narażali i męczyli. Uważa, że jest dla nas ciężarem i zagrożeniem, i dlatego chce się usunąć.

— Mój Boże, nie! — zawołała z trudem powstrzymując łzy.

— Szukajmy dalej — powiedział Aureliusz. — Nie może być zbyt daleko.

Romulus dotarłszy tymczasem na niewielki plac, na którym znajdowała się jakaś tawerna, przystanął. Wpadł mu do głowy pomysł, by zaoferować pomoc przy sprzątnięciu i zmywaniu naczyń w zamian za wikt i nocleg. Czuł się osamotniony, zrozpaczony i przerażony podjętą dopiero co decyzją, a także czekającą go przyszłością, był jednak pewien, że postąpił właściwie. Odetchnął głęboko i ruszył naprzód, ledwie wszakże uszedł parę kroków, gdy drzwi tawerny otworzyły się z hukiem i ukazał się w nich jeden z barbarzyńców Wulfili. Po chwili wyszło trzech następnych i wszyscy zaczęli się posuwać w jego stronę. Ogarnięty paniką chłopiec odwrócił się, by uciec, lecz zderzył się z kimś, kto nadbiegł z przeciwnej strony. Poczul, że czyjaś dłoń chwyta go za ramię, druga zaś zasłania mu usta. Chciał się wyrwać, jeszcze bardziej wystraszony, usłyszał wszakże znajomy głos.

— Cśśś, to ja, Demetriusz... Bądź cicho; jeśli tamci nas zobaczą, zginiemy.

Wycofali się bezszelestnie, po czym Demetriusz puścił się pędem w kierunku portu ciągnąc za sobą Romulusa.

Ambrozynus czekał na nich z twarzą napiętą z niepokoju, stojąc przy burcie w towarzystwie przyjaciół.

— Cóżżeś ty zrobił?! — zawołał na jego widok, po czym podniósł rękę, by go uderzyć, chłopiec jednak odważnie spoglądał mu prosto w oczy. Ambrozynus dostrzegł w jego źrenicach dumę i majestat władzy, spuścił więc głowę. — Naraziłeś na niebezpieczeństwo życie nas wszystkich. Liwia, Watrenus i Aureliusz nadal cię szukają i w każdej chwili mogą wpaść w śmiertelną pułapkę.

— To prawda — potwierdził Demetriusz. — Jeszcze trochę, a nadziałbym się na siepaczy Wulfili. Kręcą się po okolicy i na pewno nas szukają.

Romulus wybuchnął płaczem i pobiegł schować się pod pokładem.

— Nie bądź dla niego zbyt surowy — powiedział Demetriusz. — To tylko chłopiec, a już musi stawić

czoło straszliwym emocjom i decyzjom, które go przeras-
tają.

Ambrozynus westchnął i podszedł do burty, by sprawd-
zić, czy pozostali już przyszli. Zamiast tego usłyszał głos
przewoźnika.

— Znalazłem wóz — oświadczył mężczyzna wspinając
się po drabince. — Macie szczęście. Ale musicie się
pośpieszyć, bo właściciel chce wreszcie zamknąć kram
i położyć się spać.

— Mieliliśmy tu mały kłopot — odrzekł Demetriusz.
— I niektórzy z nas krążą teraz po mieście.

— Kłopot? Jaki kłopot?

— Pójdę z nim — oświadczył Ambrozynus. — Za-
czekajcie tu i na miłość boską, niech nikt się stąd nie rusza,
dopóki nie wrócimy.

Demetriusz kiwnął potakująco głową i wraz z Oroz-
juszem i Batiusem jął wypatrywać kompanów. Najpierw
nabiegł Watrenus, po chwili zaś Liwia, a za nią Aureliusz.
Byli wyczerpani.

— Uspokójcie się—powiedział Demetriusz. — Jakimś
cudem to ja go znalazłem. Zdaje się, że chciał wejść do
tawerny. Jeszcze trochę, a trafimy prosto w łapy siepaczy
Wulfili.

— Do tawerny? — zdziwił się Aureliusz.—A gdzie jest
teraz?

— Pod pokładem. Ambrozynus już mu dał burę.

— Idę do niego — oświadczyła Liwia schodząc na dół.

Romulus siedział skulony w kącie i cicho płakał, wsparł-
szy głowę na kolanach. Liwia podeszła bliżej i pogładziła go
po włosach.

— Umieraliśmy przez ciebie ze strachu—odezwwała się
łagodnie. — Proszę, nie rób tego więcej. To nie ty
potrzebujesz nas, ale my ciebie, rozumiesz?

Romulus podniósł głowę i otarł łzy skrajem tuniki, po
czym wstał i przytulił się do niej mocno nie mówiąc ani
słowa. Z zewnątrz dobiegał stukot kół jadących po bruku.

— A teraz chodź — powiedziała Liwia. — Weź swoje
rzeczy, czas ruszać.

XXX

Wóz stał już na nabrzeżu, Ambrozynus płacił właśnie woźnicy należność pomniejszoną o koszty konia.

— Jak widzisz — oświadczył — mamy własnego.

W tej samej chwili Aureliusz sprowadził po trapie Dżubę trzymając go z uzdę, by zastąpić nim stojącą między dyszlami nędzną chabetę.

— Wszyscy święci! — zawołał woźnica. — Szkoda tego rumaka do ciągnięcia wozu. Dam ci za niego dwa moje konie, co ty na to?

Aureliusz nawet na niego nie spojrział, tylko od razu zabrał się do zaprzęgnięcia swego wierzchowca.

— Ten koń jest dla niego jak brat — wyjaśnił Demetriusz. — Wymieniłbyś własnego brata na dwie szkapy takie jak ta?

Woźnica podrapał się po głowie.

— Gdybyś znał mojego brata, oddałbyś go nawet za osła.

— Pośpieszmy się — przynaglił ich Ambrozynus. — Im szybciej stąd wyjedziemy, tym lepiej.

Pożegnawszy się z przewoźnikiem i podziękowawszy mu za wszystko, wszyscy wsiedli na wóz i oparli się o krawędzie. Rozpięte między wierzbowymi szczebelkami nawoskowane płótno zapewniało im nie tylko kryjówkę, ale i osłonę przed wiatrem i śniegiem. Liwia skuliła się pod derką obok Romulusa, Aureliusz zaś zajrzał do środka.

— Idę pieszo — oświadczył. — Dżuba nie jest przyzwyczajony, żeby ciągnąć wóz, i mógłby się spłoszyć. A wy postarajcie się zdrzemnąć.

Ambrozynus uściskał dłoń przewoźnika.

— Jesteśmy ci bardzo wdzięczni — powiedział. — Z wdzięczamy ci życie, a nawet nie znamy twojego imienia.

— Tym lepiej; jedna rzecz mniej do zapamiętania. To była piękna przejażdżka i miło było mieć towarzystwo. Zazwyczaj przez całą drogę jestem sam jak palec. O ile dobrze rozumiałem, chcesz przepawić się przez lód?

— Zdaje się, że nie mam wyboru — przyznał Ambrozynus.

— Też tak myślę. Ale uważaj: lód jest grubszy tam, gdzie rzeka płynie wolniej, a więc w miejscach, w których jej koryto biegnie w linii prostej, najniebezpieczniej jest pośrodku, natomiast na zakrętach lód jest cienki po ich zewnętrznej stronie. Przechodźcie pojedynczo, a na końcu niech idzie koń z rozładowanym wozem. Kiedy znajdziecie się na drugim brzegu, kierujcie się na północny zachód. Po tygodniu powinniście dotrzeć do Sekwany, o ile pogoda się zbyt nie popsuje. Potem już będzie łatwiej, przynajmniej taką żywię nadzieję. Niech Bóg ma was w swej opiece.

— I ciebie też, przyjacielu. Może pewnego dnia usłyszysz o tym chłopcu, który się teraz tuła uciekając przed pościgiem, a wtedy będziesz dumny, że go znałeś i że udzieliłeś mu pomocy. Szczęśliwej drogi.

Uścisnęli sobie dłonie po raz ostatni, po czym Ambrozynus, wsparłszy się na Orozjuszu, wsiadł na wóz, na koniec zaś podciągnęli do góry tylną krawędź i przywiązali ją do bocznych. Demetriusz zawołał do Aureliusza:

— Wszyscy już są!

Wóz ruszył skrzypiąc i zgrzytając po brukowanym nabrzeżu, po czym zniknął w ciemnościach.

Jechali przez całą noc na zmianę prowadząc Dżubę i pokonując w ten sposób piętnaście mil. Kiedy zaś koń przyzwyczał się do ciągnięcia wozu, Aureliusz usiadł na koźle i chwycił lejce. Warstwa lodu, która pokrywała płynącą po lewej stronie rzekę, stawała się coraz bielsza i grubsza, aż wreszcie przybrała postać jednolitej tafli rozciągającej się od brzegu do brzegu. Panował dojmujący chłód, przez noc zaś mgła zamieniła się w szadź, przyozdabiając w bajkowe koronkowe wzory porastające wał ochronny krzewy i trzciny, trawę i zarośla. Niebo przesłaniały wysokie rzadkie chmury, przez które przedostały się pierwsze promienie słońca tworząc tuż nad horyzontem białawą rozproszoną poświatę.

Żadne z nich nie czuło spokoju. Wprawdzie wóz skutecznie ich osłaniał, był wszakże powolny i niepewny, a na dodatek czekała ich najniebezpieczniejsza próba: przeprawa przez rzekę. Widoczność, jaką zawdzięczali jasności poranka, w rzeczywistości okazała się zdradziecka, jako że w świetle rozproszonym równomiernie przez niebo, śnieg i lód zacierają się kontury i wymiary, cały krajobraz zaś powlekała mleczna biel. Wyróżniały się jedynie, i to nader wyraziście, sylwetki ludzi i zwierząt. Przechodnie zdarzali się rzadko; przeważnie mijali ich wieśniacy prowadzący zwierzęta objuczone chrustem bądź drewnem na opał czy samotni pielgrzymi, najczęściej jednak odziani w łachmany żebracy. Dochodzące z rozrzuconych po wsi domostw pianie kogutów zwiastowało nowy dzień, od czasu do czasu rozlegało się także szczekanie psa, które na tej puste, zimnej, bezkresnej przestrzeni brzmiało niczym niepokojąca skarga.

Pokonawszy jeszcze kilka mil, zatrzymali się w miejscu, gdzie rzeka była węższa, wał zaś niższy, dzięki czemu można było łatwiej z niego zejść. Postanowili, że dwóch mężczyzn sprawdzi twardość lodu; obaj owiążą się liną tak, że jeśli ten, który znajdzie się dalej od brzegu, wpadnie do wody, drugi zdoła go wyciągnąć. Zgłosili się Aureliusz i Batiatus, którego siła i masa miały stanowić gwarancję stabilności. Na oczach wstrzymujących oddech towarzyszy obaj posuwali się po zamarzniętej skorupie, uderzając w nią drzewcem oszczepu, aby po odgłosie, jaki wydawała, określić grubość lodu. Wkrótce dotarli niemal na środek rzeki, ich sylwetki zaś stawały się coraz mniejsze. Właśnie tam było najniebezpieczniej, jako że w tej części woda zamarzała najpóźniej, Aureliusz postanowił więc wypróbować lód ciosami miecza. Chwyciwszy go obiema rękami, zaczął walić rozsypując wokół lśniąca kryształki. Wykopawszy otwór głębokości jednej stopy, ostatnim uderzeniem zanurzył ostrze w wodzie.

— Jedna stopa! — zawołał do znajdującego się z tyłu Batiatusa.

— Wystarczy? — upewnił się Etiopczyk.

OSTATNI LEGION

— Musi wystarczyć, nie możemy zostać tutaj na widoku zbyt długo. Ktoś już nas zauważył, spójrz! — dodał wskazując kilku przechodniów, którzy przystanęli wzdłuż brzegu, aby podziwiać tę osobliwą operację. Zawrócił, by naradzić się z kompanami, po czym wszyscy ruszyli gęsiego, trzymając się w odległości paru kroków jeden od drugiego.

— Pośpieszmy się — przynaglił Ambrozynus. — Jesteśmy za bardzo odsłonięci, za bardzo widoczni. Każdy, kto o nas wie, może nas rozpoznać.

Przewoźnik, który miał nadzieję, że o tej porze będzie już płynął na południe, znalazł się niestety w zupełnie innej sytuacji. Rozładunek trwał o wiele dłużej, niż przewidywał, ponieważ kryształki soli skwalały się z powodu wilgoci. Zanim dobiegł końca, na nabrzeże wpadli jeźdźcy Wulfili, którzy natychmiast zabrali się do przeszukiwania wszystkich przycumowanych łodzi. Zlokalizowanie tej, która przewoziła sól, nie zajęło im zbyt dużo czasu, mimo że na pokładzie zostało jej już niewiele, toteż runęli do środka z obnażonymi mieczami.

— Stać! Coście za jedni? — krzyknął przewoźnik.

— Nie macie prawa wpadać w ten sposób na moją łódź.

W tej samej chwili pojawił się Wulfila, który rozkazał swoim ludziom zamknąć mu gębę i zaprowadzić pod pokład.

— Nie udawaj, że nas nie poznajesz! — zaczął.

— Ostatni raz widzieliśmy się raptem dziesięć dni temu i jestem pewien, że nie zapomniałeś mojej twarzy, zgadza się? — Przynal się do niego wykrzywiając w szyderczym uśmiechu swoją szpetną maskę. — Ścigamy zbiegłego legionistę, mordercę, który wskoczył na twoją łódź na grzbiecie konia. Był z nim chłopiec, prawda?

Przewoźnik poczuł się zakłopotany, nie mógł bowiem zaprzeczyć ani jednemu z tych słów.

— Czekali na niego przyjaciele — odparł. — Zapłacili za przewóz i przez cały czas zachowywali się jak należy. Nie mogłem...

— Milcz! Ci ludzie są poszukiwani za krwawe zbrodnie popełnione na terytorium Cesarstwa i porwali tego chłopca, którego teraz szukamy, żeby go uwolnić i oddać rodzicom. Zrozumiałeś?

Przez chwilę przewoźnik miał wątpliwości, czy ten potwór nie mówi przypadkiem prawdy, zważywszy na niespodziewaną ucieczkę Romulusa poprzedniej nocy i jego gorączkowe poszukiwania, przypomniał sobie jednak nieustanne dowody miłości, jaką otaczali go wszyscy towarzysze podróży, a także wzajemność z jego strony. Odrzekł więc tylko:

— Nie mogę wiedzieć, kim są ani co robią wszyscy ludzie, którzy wsiadają do mojej łodzi. Wystarczy, że płacą i nie zwracają głowy, i właśnie tak było w ich przypadku. Do reszty się nie mieszam i o niczym nie chcę wiedzieć. Muszę wracać do domu, więc...

— Odpłyniesz, kiedy ja ci pozwolę! — wrzasnął Wulfila wymierzając mu policzek wierzchem dłoni. — A teraz mi powiesz, dokąd pojechali, bo inaczej pożałujesz, żeś się w ogóle urodził!

Przeżony i obolały przewoźnik usiłował przekonać swego prześladowcę, że nic nie wie, ale najwyraźniej nie był gotów, by wytrzymać tortury. Starał się znieść ciosy pięścią i kopniaki, zacisnął zęby, gdy mu wykręcali ręce tak mocno, że o mało ich nie połamali, zdusił okrzyk bólu, gdy krew tryskała mu z pękniętej wargi i zmiążdżonego nosa, jednakże na widok Wulfili wyciągającego sztylet nagle zmiękł, wpadłszy w panikę.

— Pojechali dziś w nocy — powiedział — wozem, na północ...

Wulfila kopnął go tak mocno, że aż potoczył się po podłodze, po czym schował z powrotem sztylet.

— Proś swojego Boga, żebyśmy ich znaleźli, bo jak nie, to wrócę i spalę cię żywcem razem z twoją łodzią — zagroził.

Zostawiwszy dwóch żołnierzy, by go pilnowali, zszedł na nabrzeże, wsiadł na konia i puścił się galopem na północ, za nim zaś pozostali jego ludzie.

— Są ślady wozu i konia —oznajmił jeden z barbarzyńców, ledwie wyjechali za miasto. — Zaraz się przekonamy, czy to oni. — Zsiadłszy z konia, obejrzał dokładnie odciski kopyt Dżuby na śniegu, natychmiast je rozpoznając. Odwrócił się do dowódcy z uśmiechem zadowolenia. — To oni, ten wieprz mówił prawdę.

— Nareszcie! — zawołał Wulfila. Wśród triumfalnych okrzyków swoich ludzi podniósł do góry obnażony miecz, który zaśnił w słońcu. Po czym spiął konia i pogalopował ośnieżoną drogą.

Tymczasem Aureliusz, przeprowadziwszy kompanów na drugi brzeg, został w tyle, by przeprowić się wraz z Dżubą i wozem. Trzymając konia za wodze, szedł przodem; nieustannie do niego przemawiał, by dodać mu otuchy w tej nowej, dziwacznej wędrówce po szklistym podłożu, po którym ślizgały mu się kopyta.

— Powoli, Dżuba, powoli, widzisz? Nic się nie stało, teraz idziemy do Romulusa, który na nas czeka, widzisz go tam, widzisz, macha do nas.

Dotarli na środek rzeki: Aureliusz obawiał się o Dżubę, który sporo ważył, a także o ciężar wozu, który skupiał się na wąskiej żelaznej obręczy kół. Nadstawiał ucha, by wychwycić najmniejsze skrzypnięcie, ciągle się bojąc, że ni stąd, ni zowąd w lodzie utworzy się jakaś szczelina, przez którą wpadnie wraz z koniem do zimnej wody. Był to ten rodzaj śmierci, który budził w nim paniczny strach. Co chwila oglądał się na swych towarzyszy, którzy czekali w potwornym napięciu.

— Teraz, chodź! — zawołał w pewnym momencie Batiatus. — Minąłeś najcieńsze miejsce, jazda, ruszaj się!

Aureliusz natychmiast przyśpieszył kroku, dziwiąc się, że przyjaciele ciągle ponaglają go coraz bardziej piskliwym i wzburzoną głosem. Przez głowę przemknęła mu mroząca krew w żyłach myśl, obejrzał się więc za siebie i w odległości niecałej mili spostrzegł dużą grupę jeźdźców, którzy pędzili galopem wzdłuż wału. Wulfila! Znowu on! Jak to możliwe? Jakim cudem te dzikie bestie ciągle

pojawiły się znikąd, niczym zjawy piekielne? Podbiegł do bliskiego już przeciwległego brzegu ciągnąc za sobą konia, po czym dobył miecza, gotów na śmiertelną walkę.

Jego towarzysze, również dzierżąc w dłoniach broń, szykowali się, by osłaniać uciekającego Romulusa.

— Aureliuszu! — krzyknął Watrenus. — Wyprzęgaj konia i uciekaj z chłopcem. My postaramy się walczyć jak długo się da. Jedź, jedź, do wszystkich diabłów!

Romulus jednak uczeplił się szprych.

— Nie, nigdzie się stąd nie ruszę! — zawołał. — Nie chcę jechać bez was! Nie chcę już dłużej uciekać!

— Bierz go i zmykaj! Jazda stąd! — Watrenus nie przestawał krzyczeć złorzecząc wszystkim znanym sobie bogom i demonom. Nieprzyjacielscy jeźdźcy na drugim brzegu znajdowali się już naprzeciw nich i właśnie wkraczali na lód. Wulfila usiłował wprawdzie ich powstrzymać przeczuwając niebezpieczeństwo, jednakże zapał i pragnienie żołnierzy, by zakończyć raz na zawsze ów wyczerpujący pościg, sprawiły, że runęli ławą na zamarznąłą powierzchnię rzeki.

— Patrzenie, jadą zbitą gromadą — zauważył Demetriusz — lód ich nie utrzyma. Możemy się jeszcze uratować, jeśli natychmiast ruszymy. Szybko, wskakiwać na wóz!

Jeszcze nie skończył mówić, gdy pod ciężarem wierzchowców w lodowej skorupie powstała zygzakowata rysa, po czym stukot końskich kopyt kolejnej fali jeźdźców zamienił ją w szeroką szczelinę, spod której chlusnęła woda, na niej zaś pośliznęli się następni żołnierze spadając z hukiem i powodując oberwanie się wielkiego kawału lodu. Widząc, co się dzieje, Wulfila krzyknął:

— Stać! Cofnąć się! Lód nie wytrzyma, cofnąć się!

— Uciekajmy! — zawołał na ten widok Aureliusz. — Jazda! Może nam się uda!

Wszyscy wladowali się na wóz, Ambrozynus trzepnął Dżubę lejcami po grzbiecie i pognali naprzód, radość ich wszakże nie trwała długo, Wulfila bowiem, zebrawszy swoich ludzi, przeprowadził ich pojedynczo nieco dalej, sam zaś ruszył w pościg, błyskawicznie zmniejszając dys-

tans dzielący go od przeciążonego wozu. Na widok barbarzyńców Aureliusz rozdał kompanom broń do rzucania, tymczasem Liwia chwyciła łuk i wycelowała. Już miała wystrzelić, gdy nagle zwolnili, po czym przystanęli.

— Co się stało? — zdziwił się Watrenus.

— Nie wiem—odrzekł Aureliusz, czując jednocześnie, że wóz także traci szybkość — ale nie zatrzymujcie się, nie zatrzymujcie się!

— To się stało, że jesteśmy uratowani! — zawołał Ambrozynus. — Patrzcie!

Przed nimi wyłoniła się nieoczekiwanie z mgły grupa uzbrojonych jeźdźców na koniach i liczny oddział piechoty, który posuwał się szeroką ławą, spokojnym krokiem; wszyscy trzymali obnażoną broń. Osłupiały Wulfila dał znak swoim żołnierzom, żeby się zatrzymali, i sam stanął w bezpiecznej odległości.

Wojska, które wyłoniły się z mgły, także przystanęły. Ich wyposażenie i sztandary nie pozostawiały wątpliwości: to były wojska rzymskie!

Jakiś oficer wysunął się naprzód.

— Kim jesteście? — zapytał. — I kim byli ci, co was ścigali?

— Niech was Bóg błogosławi! — zawołał Ambrozynus. — Zawdzięczamy wam życie.

Aureliusz przybrał żołnierską postawę i zasalutował.

— Aurelianus Ambrozjusz Wentidhisz — przedstawił się. — Pierwsza kohorta, Legion Nova Invicta.

— Rufus Eliasz Watrenus — zawtórował mu jego kompan. — Legion Nova Invicta.

— Korneliusz Batiatus... — zaczął etiopski olbrzym.

— Legion? — powtórzył osłupiały oficer. — Legiony nie istnieją od pół wieku. Skąd się wzięłeś, żołnierzu?

— Możesz im wierzyć, panie — powiedział Demetriusz. — A jeśli nas poczęstujesz miską gorącej zupy i kubkiem wina, nasłuchasz się ciekawych historii.

— Zgoda — odrzekł oficer. — Jedźcie za nami.

Ujechawszy około mili i okrążywszy wzgórze, dotarli do obozu wojskowego, który był w stanie pomieścić tysiąc

ludzi. Komendant kazał im zsiąść z wozu i zaprowadził ich do swego namiotu. Natychmiast nadbiegli jego adiutanci, by pomóc mu zdjąć pas i miecz, zabrać hełm i podsunąć polowe krzesło. Sługa podał im tę samą strawę, którą rozdzielał między żołnierzy, po czym wszyscy zabrali się do jedzenia. Romulus, który otrząsnął się wreszcie z przeżycia i rozgrzał zeszywniałe z zimna członki, miał ochotę rzucić się z radością na jedzenie, opanował się jednak i naśladując swego preceptora usiadł wyprostowany, po czym jął nabierać zupę z godnością, małymi porcjami.

— Dobrowe z was towarzystwo — stwierdził oficer. — Trzech legionistów, jeśli dać wiarę waszym słowom, jeden filozof, sądząc po brodzie, dwóch zbiegłych żołnierzy, jeśli mnie wzrok nie myli, jedna dziewczyna, która ma zbyt dobre maniere i zbyt smukłe nogi jak na zwykłą nałożnicę, no i chłopiec, który ma wprawdzie jeszcze mleko pod nosem, za to nosi się dumnie niczym jakiś możnowładca ze starożytnej Republiki. Nie wspominając już o tej hordzie siepaczy, która wam siedziała na karku. Co mam o was myśleć?

Ambrozynus, który w głębi duszy przewidział tego typu pytania, pierwszy był gotów udzielić odpowiedzi.

— Masz doskonały zmysł obserwacji, panie. Zdaję sobie sprawę, że nasz wygląd może budzić podejrzenia, ale nie mamy nic do ukrycia i wszystko możemy wyjaśnić. Ten chłopiec padł ofiarą straszliwych prześladowań: jako ostatni potomek pewnego rodu patrycjusza został pozbawiony majątku przez brutalnego barbarzyńcę służącego w cesarskim wojsku, który nie dość, że ograbił go ze wszystkiego, to na dodatek usiłował go zgładzić wszelkimi sposobami, aby w przyszłości nie mógł się domagać praw do rodzinnego dziedzictwa. Wysłał za nim zgraję okrutnych skrytobójców, którzy od wielu tygodni nie dają nam chwili wytchnienia, a dzisiaj wreszcie osiągnęliby swój cel, gdyby nie twoja interwencja. Dziewczyna jest starszą siostrą chłopca; wychowano ją po męsku jako rywalkę Kamili i Pentesilei: włada łukiem i oszczepem z nieprawdopodobnym mistrzostwem i należy do najodważniejszych obroń-

ców swego młodszego brata. Co do mnie zaś, jestem jego opiekunem. Udało nam się ukryć pieniądze i właśnie dzięki nim zwerbowałem tych dzielnych wojowników, którzy ocalili po rzezi swojego oddziału, dokonanej przez innych barbarzyńców, i w ten sposób nasze losy się spotkały. Kiedy zobaczyliśmy, jak jedziecie wspaniali, w pełnym rynsztunku, rzymskie sztandary zaś łopoczą na wietrze, kiedy usłyszeliśmy łacińską mowę w waszych ustach, poczuliśmy niewysłowioną radość. I jesteśmy ci ogromnie wdzięczni, że nas uratowałeś.

Wszyscy umilkli, dając się porwać potokowi jego wyszukanej elokwencji, jednakże na komendancie, starym wiarusie, co z niejednego pieca chleb jadł, przemowa ta nie zrobiła żadnego wrażenia. Odrzekł więc:

— Nazywam się Sergiusz Woluzjanus, *comes regis et magister militum*. Wracamy właśnie z centralnej Galii, z wyprawy wojennej mającej na celu pomóc naszym sprzymierzeńcom, i jesteśmy w drodze do Parisii, gdzie mam przedłożyć raport naszemu panu Sjagriuszowi, królowi Rzymian. Zamierzam zdać mu też sprawozdanie na temat was i okoliczności, w jakich się spotkaliśmy. Od tej chwili jesteście zobowiązani, by pod żadnym pozorem nie oddalać się od naszych oddziałów, zresztą dla własnego dobra, albowiem rejony, przez które będziemy przejeżdżać, są bardzo niebezpieczne i nękane niespodziewanymi atakami Franków. Będziecie traktowani jak Rzymianie. A teraz pozwólcie, że się pożegnam; wkrótce musimy ruszać.

Opróżniwszy puchar wina, chwycił miecz i hełm, po czym wyszedł w towarzystwie swych dowódców i adiutantów.

— Co o tym sądzicie? — zapytał Ambrozynus.

— Sam nie wiem — odrzekł Aureliusz. — Nie wydał się wcale przekonany historyjką, którą mu opowiedziałeś.

— A która w gruncie rzeczy jest prawie całkiem zgodna z prawdą.

— Problem polega właśnie na tym „prawie”. Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Tak czy owak teraz

znajdujemy się w o wiele lepszej sytuacji i przynajmniej na razie możemy uznać, że jesteśmy bezpieczni. Komendant Woluzjanus to z pewnością znakomity żołnierz i człowiek honoru.

— A Wulfila? — wtrącił Orozjusz. — Myślicie, że zrezygnuje? W tej chwili nie ma szans, ponieważ znajdujemy się pod ochroną licznego dobrze wyszkolonego oddziału, zresztą po tej stronie Renu to on jest w niebezpieczeństwie.

— Nie robiłbym sobie złudnych nadziei — odrzekł Aureliusz. — Może poprosić o pomoc Franków. Zdążyliśmy się już przekonać, że jego determinacja nie zna granic; zmusił nas do ucieczki aż na koniec świata. Każdy na jego miejscu dałby wreszcie spokój, ale nie on. Raz za razem spada nam na kark jeszcze bardziej zawzięty i rozwścieczony, jakby wynurzał się z piekieł. Na dodatek jest w posiadaniu miecza Cezara.

— Czasami naprawdę myślę, że to jakiś demon — powiedział Orozjusz, a wyraz jego oczu był o wiele bardziej wymowny niż słowa.

— Aureliusz rozciął mu twarz i może zaświadczyć, że jest z krwi i kości — zauważył Demetriusz. — Tak czy inaczej nie potrafię zrozumieć, dlaczego prześladowuje nas z takim uporem, dlaczego urządza to bezlitosne polowanie, okrutne ponad wszelkie wyobrażenie.

— A ja tak — odparł Ambrozynus. — Aureliusz go oszpecił, zmieniając jego twarz do niepoznania. Tak zożydzony nigdy nie dostanie się do rajów dla wojowników, co dla człowieka z jego plemienia oznacza potępienie nie do zniesienia. Wulfila pochodzi z plemienia Gotów ze wschodu, którzy wyznają fanatyczną wiarę w waleczność i przeznaczenie, czekające wojowników na tamtym świecie. Żeby się wykupić, musi zrobić ci to, co ty zrobiłeś jemu: rozciąć ci twarz aż do kości, a tym samym złożyć ofiarę bogowi wojny z twojej głowy, która stanie się kielichem. Możemy tylko liczyć na to, że zobaczymy go znowu dopiero w dniu jego śmierci.

— Nie zazdroszczę ci — stwierdził Watrenus.

OSTATNI LEGION

Aureliusz sprawiał wrażenie, że bardzo wziął sobie do serca te słowa.

— A więc chce dopaść mnie. Dlaczego czekałeś aż do tej chwili, żeby mi to powiedzieć?

— Bo najprawdopodobniej narobiłbyś głupstw, jak na przykład wyzwanie go na pojedynek.

— To byłoby jakieś rozwiązanie — odparł Aureliusz.

— Absolutnie nie. Z mieczem Cezara w jego rękach nie miałbyś żadnych szans. Poza tym nie ulega wątpliwości, że on chce także Romulusa, inaczej nie rzuciłby się na nas w *manno* w Fanum. Jedyne rozwiązanie, żeby przeżyć, to trzymać się razem. Ale przede wszystkim pamiętajcie o jednym: Romulus musi za wszelką cenę dotrzeć do Brytanii. Dopiero tam spełni się wszystko to, o co walczyliśmy, i już nie będziemy musieli się niczego obawiać. Niczego, rozumiecie?

Wszyscy spojrzeli po sobie, w rzeczywistości bowiem nie rozumieli. Jeszcze nie. Coś im wszakże mówiło, że ten człowiek ma rację, że jego natchniony wzrok nie kłamie. Za każdym razem powoływał się na przyszłość — tak jasną dla niego, a tak mglistą dla nich, przemawiając jak ktoś, kto o świecie pełni wartę na wieży strażniczej i pierwszy widzi promienie wschodzącego słońca.

XXXI

Około południa kolumna Sergiusza Woluzjanusa ruszyła na północny zachód i maszerowała przez sześć dni pokonując prawie dwadzieścia mil dziennie, aż dotarła do królestwa Sjagriusza. Terytorium *rex Romanorum* oddzielał wał z fosą i palisadą, na której w odległości około mili od siebie wznosiły się wieże strażnicze. Gwardia nosiła ciężkie kolczugi i żelazne hełmy w kształcie stożka z osłoną na policzki i nos, podobne do tych, których używali Fran-

kowie, ponadto była wyposażona w długie obosieczne miecze.

Weszli przez ufortyfikowaną bramę, powitani długim ryczeniem rogów, i udali się do najbliższego portu rzecznego na Sekwanie. Tam wsiedli na statek i popłynęli w dół rzeki aż do stolicy, starożytnej kolonii Lutetia Parisiorum, którą od nazwy jej mieszkańców ludzie zwali po prostu Parisii. Długa, raczej spokojna podróż wpoić wszystkim przekonanie, że wisząca nad nimi tak długo groźba minęła albo przynajmniej że jest tak odległa, iż nie warto się nią przejmować. Z każdym dniem coraz bardziej zbliżali się do celu, Ambrozynusa zaś ogarniało dziwne podniecenie, chociaż sam nie potrafił wyjaśnić jego prawdziwej przyczyny. Jedynym powodem do niepokoju był brak kontaktów z Woluzjanusem, z którym rozmawiali zaledwie parę razy, i to krótko. Najczęściej siedział w swojej kajucie na rufie. Kiedy wychodził, zawsze towarzyszyli mu jego doradcy i adiutanci, w praktyce więc był niedostępny. Jedynie Aureliuszowi udało się go zagadnąć pewnego wieczoru. Widząc, jak stoi wyprostowany na dziobie wpatrując się w słońce, które zachodziło nad równiną, zbliżył się do niego.

— Witaj, panie — powiedział.

— Witaj, żołnierzu — odparł Woluzjanus.

— Mamy spokojną podróż.

— Na to wygląda.

— Czy mogę cię o coś zapytać?

— Możesz, ale nie ma pewności, że otrzymasz odpowiedź.

— Przez całe lata walczyłem pod rozkazami Maniliusza Klaudianusa i dowodziłem jego gwardią przyboczną. Może to ci coś mówi i może dzięki temu zasługuję na twoją uwagę?

— Klaudianus był wielkim żołnierzem i człowiekiem o nieposzlakowanej opinii, Rzymianinem, jakich już nie ma. Skoro zaś ci ufał, to znaczy, że zasłużyłeś na jego szacunek.

— A więc go znałeś.

OSTATNI LEGION

— Osobiście, i był to dla mnie zaszczyt. *Corona muralis**, którą widzisz na moim sztandarze, zdobyłem pod jego rozkazami i sam mi ją wręczył pod murami Augusta Raurica.

— Maniliusz Klaudianus nie żyje, napadły na niego zdradzieckie oddziały Odoakra. Ja i moi towarzysze przeżyliśmy tę rzeź jako jedni z niewielu, ale żaden z nas nie zhańbił się tchórzostwem ani dezercją.

Woluzjanus spojrział nań przenikliwym wzrokiem. Miał szare oczy drapieżnika, twarz pooraną głębokimi bruzdami, włosy krótko ostrzyżone, kilkudniowy zarost, suchą skórę. Wyglądał na zmęczonego życiem, ale także na kogoś, kto potrafi właściwie oceniać ludzi.

— Wierzę ci — oświadczył po kilku minutach milczenia. — Co chcesz wiedzieć?

— Czy jesteśmy pod twoją opieką czy też pod dozorem.

— I jedno, i drugie.

— Dlaczego?

— Wieści na temat wielkich zmian na górze krążą szybciej, niż możesz sobie wyobrazić.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Wcale mnie nie dziwi, że twój *rex* już wie o Odoakrze i morderstwie Flawiusza Orestesa i że ty także o tym słyszałeś. Co jeszcze wiesz, jeśli mogę zapytać?

— Że Odoaker szuka na lądzie i morzu trzynastoletniego chłopca, który pozostaje pod opieką garstki zbiegłych legionistów i któremu towarzyszą jeszcze inne..', malownicze postaci.

Aureliusz spuścił głowę.

— Każdy władca wie, że właśnie tyle lat ma ostatni cesarz Zachodu, Romulus Augustus, przez wielu zwany Augustulusem. Chyba przyznasz, że to zbyt szczególny zbieg okoliczności, by nie brać go pod uwagę.

— Przyznaję — odrzekł Aureliusz.

— Czy to on?

* *Corona muralis* — wieniec ze złota dawany temu, kto pierwszy wdarł się na mury nieprzyjacielskiego miasta (przyp. tłum.).

Aureliusz zawahał się przez moment, w końcu jednak przytaknął. Po czym spojrzawszy Woluzjanusowi prosto w oczy, dodał:

— Mówię to jak rzymski żołnierz rzymskiemu żołnierzowi.

Tamten z powagą skinął głową.

— Nie chcemy wywołać żadnych niesnasek ani zamieszania — ciągnął zbolalym głosem Aureliusz. — Chcemy tylko znaleźć jakieś odległe spokojne miejsce, gdzie ten nieszczęśliwy młodzieniec mógłby żyć z dala od okrutnych prześladowań, których był ofiarą aż do tej pory. Jemu się nie marzy żadna władza, żadne stanowiska, żadne urzędy publiczne, tylko spokój i zapomnienie, żeby mógł zacząć nowe życie jak zwyczajny chłopiec. A my wraz z nim. Oddaliśmy wszystko, co mogliśmy dać. Przelewaliśmy dla Rzymu pot i krew i ryzykowaliśmy własne życie za każdym razem, kiedy zaszła taka potrzeba, ani myśląc się oszczędzać. Odeszliśmy, ponieważ nie chcemy słuchać rozkazów barbarzyńców, a to nie jest dezercja, tylko godność. Jesteśmy wyczerpani, wycieńczeni, zniechęceni. Pozwól nam odejść, panie.

Woluzjanus znów wpatrzył się w horyzont — długą krwistoczerwoną smugę obrębającą śnieżną pustynię od zachodu. Z trudem wymawiał słowa, tak jakby chłód, od którego sztywniały kończyny, przeniknął mu aż do serca.

— Nie mogę — odrzekł. — W obawie, że mógłbym wyrzeć zbyt silny wpływ na armię, Sjagriusz przydzielił mi oficerów, którzy nie marzą o niczym innym, jak tylko o tym, żeby zająć moje miejsce. I tak dowiedziałby się od nich, że tu byliście, a wtedy moje milczenie wydałoby mu się raczej podejrzane, a już na pewno niezrozumiałe. Lepiej, żebym sam osobiście go powiadomił.

— I co się wtedy stanie?

Woluzjanus spojrzął mu w oczy.

— Ja mu nie zdradzę, kim jest chłopiec, i wcale nie jest powiedziane, że inni się domyślają. W najlepszym razie istnieje możliwość, że nawet on się nie zorientuje i że go to wcale nie obchodzi albo że mnie pozostawi do wyboru

decyzję, która mi będzie najbardziej odpowiadać. A wtedy...

— A jeśli domyśli się prawdy?

— W takim razie lepiej, żebyście nie mieli złudzeń. Chłopiec jest wiele wart, zbyt wiele, i to zarówno w przeliczeniu na pieniądze, jak i w strefie polityki. Sjagriusz musi wiedzieć, że Italią rządzi teraz Odoaker. To on jest prawdziwym *rex Romanorum*. Natomiast z wami będzie łatwiej. Mógłbym załatwić wam zaciąg do naszego wojska; potrzebujemy dobrych żołnierzy i nie dbamy zbyt o szczegóły.

— Rozumiem — odparł Aureliusz ze ściśniętym sercem, zbierając się do odejścia.

— Żołnierzu!

Przystanął.

— Dlaczego tak ci zależy na tym chłopcu?

— Bo go miłuję — odrzekł — i dlatego że jest cesarzem.

Aureliusz nie miał serca powtórzyć tej rozmowy ani Ambrozynusowi, ani tym bardziej Liwii, ufając zaś słowu Woluzjanusa miał nadzieję, że tożsamość Romulusa pozostanie tajemnicą. Woluzjanus bowiem to człowiek honoru. Postanowiwszy, że sam upora się z tym zmartwieniem, udawał spokój i wesołość, nawet przed Romulusem i swoimi kompanami.

Po piętnastu dniach podróży, przed zachodem słońca, dotarli do miasta. Wszyscy zgromadzili się na dziobie, by podziwiać rozciągający się przed ich oczami widok. Parisii wznosiła się na wyspie pośrodku Sekwany, otoczona murami obronnymi po części w postaci *opus cementiaum*, po części zaś w formie drewnianej palisady. Wewnątrz widać było dachy najwyższych budowli — jedne pokryte na rzymską modłę dachówką, inne zaś zgodnie ze starą celtycką zasadą drewnem i słomą.

Ambrozynus podszedł do Romulusa.

— Po drugiej stronie rzeki, naprzeciw zachodniego brzegu wyspy, został pochowany święty Germanus. Wiedzą o tym ci, którzy czczą jego pamięć.

— To bohater, który poprowadził Rzymian z Brytanii przeciwko barbarzyńcom z Północy? Ten, o którym wspominałeś w kronice?

— Oczywiście. Chociaż nie miał własnego wojska, wyszkolił nasze, tworząc strukturę militarną na wzór starożytnych legionów rzymskich, poległ zaś w bitwie z powodu odniesionych ran. Jak wiesz, spisałem jego ostatnie słowa, jego przepowiednię... Kiedy tylko zjedziemy na ląd, spróbuję się dowiedzieć, gdzie się znajduje jego grób, żeby poprosić go o opiekę nad tobą i błogosławieństwo dla ciebie, cesarze.

Tymczasem rozległy się nawoływania marynarzy szykujących się, by przybić do brzegu. Rzeczny port Parisii powstał już w czasach, gdy zaczęli się tu osiedlać pierwsi Rzymianie po najeździe Cezara, i niewiele się zmienił od tamtej pory. Płynący na czele statek przybił do jednego z nadbrzeży. Rzucono dwie cumy — dziobową i rufową, a na sygnał dany przez sternika wioślarze wciągnęli wiosła do wnętrza kadłuba. Woluzjanus zszedł na ląd wraz ze swymi doradcami i adiutantami, po czym rozkazał, by obcy przybysze podążyli za nim. Z holowanej przez statek tratwy sprowadzono konie, wśród nich także Dżubę, który wiergał i wrywał się, za nic nie chcąc iść za stajennym. Oszołomiony Ambrozynus zagadnął Woluzjanusa.

— Panie — powiedział — zanim się pożegnamy, pragniemy jeszcze raz ci podziękować i zapytać, czy mógłbyś nam oddać konia. Jutro musimy ruszać i...

Tamten odwrócił się.

— Nie możecie odejść. Zostaniecie tutaj tak długo, jak to będzie konieczne.

— Panie... — usiłował się sprzeciwić Ambrozynus, Woluzjanus wszakże zdążył się już odwrócić na pięcie i pomaszerował ku forum.

Tymczasem Ambrozynus i jego kompani zostali otoczeni zwartym oddziałem straży.

— Za mną — rozkazał jeden z oficerów.

Aureliusz dał znak towarzyszom, żeby nie stawiali oporu, podczas gdy Ambrozynus poddał się rozpacz.

— Ale co to *znaczy*? Dlaczego nas zatrzymaliście? Przecież nic nie zrobiliśmy, jesteśmy zwykłymi wędrowcami, którzy...—Natychmiast zdał sobie jednak sprawę, że nikt go nie słucha, toteż zrezygnowany ruszył za żołnierzami.

Wówczas do Aureliusza podszedł Romulus.

— Dlaczego to robią?—zapytał. — Czy nie są Rzymianami tak jak my?

— Może wzięli nas za kogoś innego — usiłował go uspokoić Aureliusz. — Czasami to się zdarza. Zobaczysz, że wszystko się wyjaśni, nie martw się.

Żołnierze zatrzymali się przed kamiennym budynkiem o surowym wyglądzie. Oficer rozkazał otworzyć drzwi, po czym wprowadził ich do obszernego pomieszczenia o nagich ścianach. Po bokach znajdowały się maleńkie okrętowane drzwi. Więzienie.

— Oddajcie broń — nakazał.

Nastąpiła chwila wzmożonego napięcia, podczas której Aureliusz uświadomił sobie, jak wielu pilnuje ich żołnierzy, i rozważył wszelkie możliwe skutki jakiegokolwiek próby stawiania oporu. Następnie wy dobył miecz i oddał go w ręce jednego ze strażników. Jego kompani, zrezygnowani i zaskoczeni niespodziewanym epilogiem ich podróży, zrobili to samo. Broń została zamknięta w obitej blachą szafie stojącej w głębi pod ścianą. Zamieniwszy półgłosem kilka słów ze strażnikiem, oficer ustawił swych żołnierzy w szyku bojowym z wycelowaną bronią i trwali tak, dopóki każdy więzień nie znalazł się pod kluczem. Romulus posłał Aureliuszowi spojrzenie pełne rozpacz, po czym udał się wraz z Ambrozyńsem do przeznaczonej dla nich celi.

Łoskot zamykanych ciężkich drzwi zewnętrznych odbił się głośnym echem w obszernym pustym atrium, niedługo potem zaś rozległ się rytmiczny stukot żołnierskich butów o bruk. Później nastąpiła cisza.

Liwia usiadła na brudnej pryczy. Nie mogąc zasnąć, przebiegła w myślach ostatnie wydarzenia i mimo lęku przed więzieniem podzielała decyzję Aureliusza, który zrezygnował z bezsensownej walki nie mającej żadnych

szans powodzenia. „Dopóki życie trwa...”, pomyślała. Martwiła się wszakże o Romulusa, uderzył ją bowiem wyraz jego twarzy w chwili, gdy drzwi więzienia zamykały się za nim po raz drugi. Zdała sobie sprawę, że chłopiec doszedł do kresu wytrzymałości. Wyniszczało go to miotanie się między nadzieją i strachem, złudzeniami i rozczarowaniem. Dowodem na to, w jakim stanie ducha się znalazł, była jego ucieczka w Argentoratum — nieprzemysłany i ryzykowny krok, obecna sytuacja zaś mogła tylko wszystko pogorszyć. Pocieszało ją jedynie to, że był z nim Ambrozynus, obecność preceptora bowiem z pewnością zdoła go uspokoić i choć odrobinę natchnąć otuchą.

Pogrążona w zadumie, nagle usłyszała dziwne hałasy pod drzwiami celi. Przywarła do ściany nadstawiając uszu i wstrzymując oddech. Obudził się w niej instynkt wojownika, wyostrzony podczas wielu lat napadów, ucieczek i zasadzek, stawiając w pogotowiu wszystkie siły fizyczne i umysłowe, aby w każdej chwili mogła ich użyć.

Usłyszała najpierw trzask odsuwane rygła, potem zaś czyjś szept i cichy śmiech i natychmiast zrozumiała: Woluzjanus obiecał wprawdzie, że będą dobrze traktowani, jednakże obecność młodej ładnej dziewczyny w tym cuchnącym więzieniu musiała należeć do rzadkości, nic więc dziwnego, że parę pucharów wina wystarczyło, by wzbudzić pożądanie u strażników do tego stopnia, iż zapomnieli o ryzyku czekającej ich kary.

I rzeczywiście drzwi się otworzyły, w progu stanęło zaś dwóch żołnierzy oświetlając wnętrze lampką oliwną.

— Gdzieś jest, gołąbeczko? — zapytał jeden z nich. — Wyjdź z ukrycia, nie bój się. Chcemy ci tylko dotrzymać trochę towarzystwa.

Liwia udała wystraszoną, jednocześnie przesuwając lewą dłoń po nodze, aż do sznurowadeł buta, z którego wysunęła cieniusieńki sztylet w kształcie punktaka o kulistej rękojeści, dzięki czemu można ją było ukryć w dłoni, wysuwając ostrze między palcami wskazującym i środkowym.

— Błagam, nie róbcie mi krzywdy! — zawołała, jej prośba wszakże tylko podsycała żądzę obu strażników.

— Uspokój się, nie skrzywdzimy cię. Przeciwnie, zrobimy ci dobrze, a potem złożysz ofiarę dobremu staremu Priapowi, który hojnie obdarował każdego z nas, żebyśmy mogli dogadzać takim dziewczkom jak ty.

Zabrał się do rozsznurowywania portek, podczas gdy jego kompan zagroził jej nożem. Liwia udała jeszcze bardziej przerażoną i cofnąwszy się ku ścianie, położyła się na pryczy.

— Doskonale—oświadczył jeden z nich — zrobimy to po kolei. Najpierw ja, potem mój przyjaciel. A potem nam powiesz, który z nas był lepszy i który miał większego. Czyż to nie zabawne?

Zdążywszy się już całkowicie rozebrać od pasa w dół, oparł się kolanami o skraj pryczy. Liwia przyczaiła się ściskając w dłoni sztylet, kiedy zaś mężczyzna pochylił się, by ją chwycić, uskoczyła w bok wbijając go drugiemu z nich prosto w mostek, podczas gdy tamten padł właśnie jak długi na pryczę. Przełożywszy błyskawicznym ruchem sztylet z lewej ręki do prawej, zadała mu szybki cios w kark. Padli bezwładnie niemal jednocześnie — jeden na łóżko, drugi na podłogę, nie wydawszy nawet jęku.

Teraz nie było już innego wyjścia, toteż Liwia złapała klucze i pobiegła uwolnić swych towarzyszy, którzy zdziwili się widząc, że pojawia się ni stąd, ni zowąd spokojna i uśmiechnięta.

— Pobudka, chłopcy, czas ruszać.

— Ale ja... — zaczął osłupiały Aureliusz, kiedy otworzyła drzwi do jego celi i rzuciła mu się w ramiona.

Pokazała mu sztylet.

— *In calceo venenum!* — roześmiała się parafrazując stare przysłowie*. — Zapomnieli zajrzeć mi do butów.

Romulus podbiegł do niej, zarzucił jej ramiona na szyję i przytulił tak mocno, że o mało jej nie udusił, po czym Liwia otworzyła szafę, w której schowano broń, i wszyscy

* *In calceo venenum* (łac.) — W bucie trucizna; parafraza przysłowia: *In vino veritas* — W winie prawda (przyp. tłum.).

ruszyli do wyjścia. W tej samej chwili na zewnątrz rozległ się odgłos kroków, następnie łoskot odsuwanej rygli. W otwartych drzwiach stanął Woluzjanus, za nim zaś jego gwardia w bojowym rynsztunku.

Liwia i Aureliusz spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Nie dam się więcej złapać — oświadczył po prostu i natychmiast stało się jasne, że pozostali kompani myślą tak samo, odkąd chwycili za broń.

Woluzjanus jednakże podniósł dłoń.

— Stać — powiedział. — Posłuchajcie, nie ma zbyt wiele czasu. Barbarzyńcy Odoakra złożyli wizytę Sjagriuszowi i możliwe, że zdołają go nakłonić, by was im oddał. Chodźcie, na zewnątrz czeka wasz koń i inne, które kazałem przygotować. Uciekajcie tędy aż do zachodnich drzwi, które wychodzą na most z tratw, łączący wyspę ze stałym lądem. Straże są mi wierne i was przepuszczą. Posuwajcie się wzdłuż rzeki, aż dotrzecie do rybackiej wioski o nazwie Brixate. Tam zapytajcie o niejakiego Teutazjusza i powiedzcie mu, że ja was przysłałem. On może was przewieźć do Fryzji albo do Armoryki, gdzie nikt nie powinien was niepokoić. Omijajcie Brytanię; na całej wyspie toczą się wojny między wodzami poszczególnych plemion, ponadto wszędzie grasują rozbójnicy i zbiegli żołnierze. Zaraz muszę podnieść alarm. Żeby nie ściągnąć na siebie podejrzeń, będę zmuszony wysłać za wami w pościg własne oddziały, jeśli taki otrzymam rozkaz, a jeżeli dacie się złapać, nic więcej nie będę mógł dla was zrobić. No więc idźcie już, biegiem!

Aureliusz podszedł do niego.

— Wiedziałem, że nie wydasz nas barbarzyńcom. Dziękujemy, panie, niech bogowie mają cię w opiece.

— Niech Bóg ma w opiece ciebie, żołnierzu, i twojego chłopca.

Romulus również zbliżył się i odezwał z wielką godnością:

— Dziękuję za to, co dla nas robisz, nigdy ci tego nie zapomnę.

— Spełniłem swój obowiązek... cesarze — odrzekł Woluzjanus przyjmując postawę wojskową. Skłoniwszy z szacunkiem głowę, dodał: — A teraz idź, ratuj się.

Wsiedli na konie i pomknęli ciemnymi, opustoszałymi ulicami miasta wzdłuż drogi, którą wskazał im Woluzjanus, aż dotarli do mostu. Straże dały im znak, by jechali dalej, po czym Aureliusz przeprowadził ich na drugi brzeg. Następnie ruszyli na północ wzdłuż rzeki; popędziwszy konie, wkrótce zniknęli w ciemności.

Tymczasem Woluzjanus dosiadł wierzchowca i wrócił do swej zimowej kwatery opodal portu, za nim zaś pojechało pół tuzina żołnierzy gwardii wraz z adiutantem. Jeden ze sługów podbiegł, by odebrać odeń wodze, drugi zaś oświecał mu drogę lampką oliwną. Woluzjanus zwrócił się do swego adiutanta.

— Zaczekaj jeszcze trochę — rozkazał — a potem biegnij do pałacu i ogłoś alarm. Powiedz, że zabili strażników i uciekli, co zresztą jest szczerą prawdą. Oczywiście nie zapomnij dodać, że nie wiesz, w którą stronę pojechali.

— Oczywiście, komendancie — odparł adiutant.

— Gdyby twoi dowódcy ich nie osłaniali — ryknął doprowadzony do wściekłości Wulfila — już byśmy ich złapali i zabrali ze sobą!

Sjagriusz siedział na tronie, który przypominał nieco *sella curulis** dawnych wyższych urzędników sądowych. Opatulony lisim futrem dla ochrony przed przejmującym chłodem, wydawał się najwyraźniej rozdrażniony z powodu czuwania aż do późnej nocy, a także zachowania tego dzikusa ze szramą na twarzy.

— Mój *magister militum* zrobił to, co powinien — odparł z irytacją. — To jest terytorium Rzymian, jurysdykcja więc należy do mnie, do moich urzędników i sędziów i do nikogo innego! Teraz, skoro tamci dopuścili się zabójstwa i uciekli z mojego więzienia, stali się zbiegami i nietrudno

* *sella curulis* (łac.) — krzesło kurulne. Było to składane krzesło bez oparcia, na którym w czasie sprawowania swych funkcji zasiadali urzędnicy, później cesarze (przyp. tłum.).

będzie ich złapać. Oni doskonale wiedzą, że jeśli zostaną na mojej ziemi, nie zdołają się wymknąć, będą więc próbowali uciec drogą morską z najbliższego portu. Właśnie tam ich schwyjemy.

— A jeśli uda im się wsiąść na statek? — krzyknął barbarzyńca.

Rex Romanorum wzruszył ramionami.

— Daleko nie popłyną — uznał. — Żadna łódź nie może się równać z moimi galerami, a poza tym wiemy, że będą się kierować ku Fryzji albo Armoryce, bo chyba nikt nie byłby aż tak szalony, żeby przy tej pogodzie wybrać Brytanię. Ale to nie ty ich złapiesz, tylko moi ludzie.

— Posłuchaj — Wulfila podszedł do tronu Sjagriusza — ty ich wcale nie znasz. To znakomici żołnierze, czego dowodem jest ich ucieczka z twojego więzienia wkrótce po tym, jak zostali zamknięci. Ścigam ich od miesięcy, znam ich sposób rozumowania i sztuczki, pozwól mi więc pojechać razem z twoimi ludźmi. Przysięgam, że nie będziesz tego żałował. Otrzymałem rozkaz, żeby negocjować w sprawie dużej nagrody pieniężnej w zamian za chłopca, ale przede wszystkim Odoaker jest gotów okazać ci całą swoją wdzięczność, na przykład w postaci przymierza. Teraz to on jest władcą i obrońcą Italii, a także naturalnym pośrednikiem w stosunkach z Cesarstwem Wschodniorzymskim.

— Możecie jechać — odparł Sjagriusz — ale nie wolno wam podejmować żadnych działań na własną rękę bez zgody mojego przedstawiciela. — Dał znak swemu zastępcy, zromanizowanemu Wizygotowi o imieniu Genadiusz. — Ty pójdziesz — rozkazał. — Weź ze sobą tylu ludzi, ilu ci będzie potrzeba. Wyruszycie skoro świt.

— Nie! — zaprotestował Wulfila. — Jeżeli wyruszymy o świcie, uciekną nam; już i tak mają nad nami sporą przewagę. Musimy ruszać natychmiast.

Sjagriusz zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

— Niech będzie — powiedział. — Ale kiedy złapiecie zbiegów, przywieźcie ich do mnie. Tutaj jest moja jurys-

dykcja i ten, kto ją złamie, staje się tym samym moim wrogiem. A teraz idźcie!

Gennadiusz zasalutował i wyszedł, za nim zaś Wulfila. Wkrótce statek był gotów do podniesienia kotwicy. Była to ogromna galera, zbudowana zgodnie z celtycką tradycją z drewna dębowego, zdolna przewozić ludzi i konie nawet po pełnym morzu.

— Jaki jest najbliższy port? — zapytał Wulfila, zaledwie znalazł się na pokładzie.

— Brixate — odrzekł Gennadiusz — u ujścia Sekwany. Nietrudno będzie sprawdzić, czy jakiś statek stamtąd odpłynął, ponieważ o tej porze roku prawie nikt nie pływa.

Posuwali się bardzo szybko z prądem rzeki, kiedy zaś wiatr zmienił kierunek z północno-wschodniego na wschodni, podnieśli żagiel, dodatkowo zwiększając prędkość. Na kilka godzin przed świtem niebo się rozchmurzyło i zrobiło się jeszcze zimniej, cel był już jednak blisko, niedaleko zaś jaśniały światła portu.

Sternik spoglądał przed siebie z niepokojem.

— Patrzcie tam! — zawołał. — Mgła się podnosi.

Wulfila puścił jego słowa mimo uszu. Wpatrywał się w ogromne estuarium Sekwany i dalej, w otwarte morze, nie chcąc, by zdobycz, którą wyczuwał w zasięgu ręki, wymknęła mu się po raz kolejny.

— Okręt przed nami! — rozległ się głos marynarza siedzącego na bocianim gnieździe.

— To oni! — krzyknął Wulfila. — Jestem tego pewien. Spójrz, nie ma żadnych innych statków na morzu.

Sternik również zauważył tamten okręt.

— To dziwne — powiedział. — Kierują się w stronę mgły, jakby chcieli przepłynąć przez kanał i przybić do brzegów Brytanii.

— Zwiększyć prędkość, szybko! — rozkazał barbarzyńca. — Możemy ich dogonić.

— Mgła coraz bardziej gęstnieje — zaoponował sternik. — Lepiej zaczekać, aż się rozredzi, kiedy słońce wzejdzie wyżej.

— Teraz!—ryknął rozwścieczony Wulfila. — Musimy ich dopaść teraz!

— To ja tu wydaję rozkazy — odparł Gennadiusz. — Nie zamierzam stracić statku. Jeśli tamci mają ochotę się zabić, to ich sprawa, ale ja nie wejdę w tę ścianę mgły, nie ma mowy. Zresztą nie sądzę, żeby oni weszli.

Wówczas Wulfila błyskawicznie dobył miecza i wymierzył w gardło dowódcy.

— Każ swoim ludziom rzucić broń — powiedział — albo ci utnę głowę. Przejmuję dowodzenie statkiem.

Gennadiusz nie miał wyboru, jego ludzie zaś niechętnie wykonali rozkaz, ulegając również czarowi niezwykłego miecza, który barbarzyńca ścisnął w dłoni.

— Wrzucić ich do morza! — polecił swym żołnierzom Wulfila. — A wy bądźcie wdzięczni losowi, że was nie zabiłem. — Po czym zwrócił się do Gennadiusza:—Rozkaz dotyczy też ciebie.

Popchnąwszy go aż do burty, zmusił do rzucenia się w odmęty, gdzie jego ludzie miotali się wśród fal. Utonęli niemal wszyscy w lodowatej wodzie, która paraliżowała kończyny, tym bardziej że ściągnął ich na dno ciężar szat i zbroi. Zostawszy panem okrętu, Wulfila kazał przerażonemu sternikowi płynąć na północ, w kierunku statku, który teraz widać było wyraźniej w odległości około mili. Odcinał się od ściany mgły, która posuwała się naprzód, gęsta niczym mleko.

Na pokładzie uciekającego statku na widok gęstej mgły, która kładła się na wodzie ciężkimi kłębami przypominającymi dym, zapanował strach. Jako że nie było już wiatru, sternik Teutazjusz zwinął żagiel, po czym łódź niemal stanęła.

— To szaleństwo płynąć przy takiej pogodzie—oświadczył — zwłaszcza że nikt nie odważy się was gonić.

— To ty tak twierdzisz — odparł Watrenus.—Popatrz tam, na ten statek: porusza się siłą wiosła i płynie prosto na nas. Obawiam się, że jego załoga nas nie lubi.

— Jeżeli zaczekamy, żeby się upewnić, czy to oni, potem będziemy musieli z nimi walczyć — zauważył Orozjusz.

— Osobiście—wtrącił Batiatus—wolę już mierzyć się z tymi piegowatymi łotrami, niż zatonać w tym... w tym czymś. Mam wrażenie, jakbym zstąpił do piekieł.

— Prawdę rzekłszy w Misenum już to zrobiliśmy — przypomniał mu Watrenus.

— Tak, ale wiedzieliśmy, że to tylko na chwilę — odparł Aureliusz. — A tutaj czeka nas wiele godzin pływania.

— To oni! — krzyknął Demetriusz, który wdrapał się na maszt.

— Jesteś pewien? — zaniepokoił się Aureliusz.

— Oczywiście! Spadną nam na kark za pół godziny.

Ambrozynus, który zdawał się zatopiony w myślach, nagle się ocknął.

— Czy jest na pokładzie oliwa?

— Oliwa? — powtórzył zdumiony sternik. — Chyba... chyba tak, ale mało. Załoga używa jej do lamp.

— Znajdź zaraz największą miskę, jaką masz, nalej do niej oliwy i przynieś, a potem przygotuj się do odpłynięcia. Będziemy wiosłować.

— Daj mu to, czego chce — poradził Aureliusz. — On wie, co robi.

Sternik zszedł pod pokład, po chwili zaś wrócił z glinianą miseczką do połowy napełnioną oliwą.

— To wszystko, co znalazłem — oznajmił.

— Zbliżają się! — wrzasnął siedzący na maszcie Demetriusz.

— Dobrze — pochwalił Ambrozynus — to wystarczy. Postaw ją na pokładzie, wracaj do steru, a na mój znak niech wszyscy mężczyźni siądą do wiosł. — Co powiedziawszy, wyjął z torby pergaminową zszywkę, której używał do pisania, odgiął oprawę, po czym na oczach zdumionych kompanów wydobyl metalową blaszkę w kształcie igły, tak cieniutką, że wiatr by ją porwał, i położył na powierzchni oliwy.

— Nigdy nie słyszeliście o Aristeasie z Prokonnezu?
 — zapytał. — Nie, oczywiście że nie. Otóż podobno miał igłę, która prowadziła go co roku do kraju Hyperborejczyków, czyli na daleką Północ. A oto ona. To ona wskaże nam drogę do Brytanii.

Na oczach coraz bardziej osłupiałych kompanów igła drgnęła, po czym jęła się obracać po powierzchni oliwy, aż wreszcie stanęła wskazując ostateczny kierunek.

— To jest właśnie północ — obwieścił uroczyście Ambrozynus. — Mężczyźni do wiosła!

Wszyscy posłuchali rozkazu, statek zaś ruszył zanurzając się powoli w mlecznej mgle.

Romulus przycupnął obok nauczyciela, który złobił właśnie rowek na brzegu miseczki dokładnie tam, gdzie wskazywała igła.

— Jak to możliwe? — zapytał chłopiec. — Ta igła jest zaczarowana.

— Ja też myślę, że tak — zgodził się Ambrozynus.

— Nie wiem, jak inaczej to wytłumaczyć.

— A gdzie ją znalazłeś?

— Kilka lat temu w podziemiach świątyni Portunusa w Rzymie, wewnątrz urny z tufu. Napis po grecku głosił, że to igła Aristeasa z Prokonnezu i że używał jej także Pyteasz z Marsylii, aby dotrzeć do Ultima Thule. Prawda, że to nie do wiary?

— Rzeczywiście — przyznał Romulus. Po czym dodał:

— Myślisz, że popłyną za nami?

— Moim zdaniem nie, bo nie mają żadnej możliwości, żeby utrzymać kurs, a poza tym...

— Poza tym? — nalegał Romulus.

— Załoga wywodzi się z miejscowych, a krąży wśród nich legenda, która budzi ogromny lęk.

— Jaka legenda?

— Że pojawiająca się w tych stronach mgła jest taka gęsta dlatego, żeby zasłonić łódź powracającą z wyspy umarłych, na którą zawiozła dusze nieboszczyków.

Chłopiec rozejrzał się wokoło usiłując przeniknąć wzrokiem ścianę mgły, po krzyżu zaś przebiegł mu dreszcz.

Romulus otulił się ciasniej płaszczem wpatrując się w lekkie drgania igły, która unosiła się na powierzchni oliwy, jakimś cudem wskazując północ.

— Powiedziałeś: wyspa umarłych? — zapytał niespodziewanie.

Ambrozynus uśmiechnął się.

— Właśnie tak powiedziałem. Miejscowi bardzo się jej boją.

— Nie mogę tego pojąć; myślałem, że umarli idą na tamten świat.

— Wszyscy w to wierzymy. Ale widzisz, skoro nikt nigdy nie wrócił z królestwa umarłych, żeby opowiedzieć, co tam zobaczył, każdy naród stworzył sobie własną wizję tego tajemniczego świata. W tych stronach powiadają, że na brzegu Armoryki jest wioska rybacka, której mieszkańcy nie płacą podatków ani żadnego rodzaju danin, ponieważ spełniają bardzo ważny obowiązek: przewożą dusze zmarłych na tajemniczą wyspę spowitą wieczną mgłą. Nazwa tej wyspy brzmi Avalon. Co noc rozlega się pukanie do drzwi jednej z chat w wiosce i jakiś cichy głos mówi: „Jesteśmy gotowi”. Wówczas rybak wstaje i idzie na plażę, a tam widzi, że chociaż jego łódź wydaje się pusta, jest zanurzona w wodzie, jakby znajdował się na niej jakiś ładunek. Ten sam głos, który słyszał wcześniej, wymienia po nazwisku wszystkich zmarłych, w przypadku kobiet podaje też nazwiska ojca i męża. Wtedy rybak staje za sterem i podnosi żagiel. W ciemnościach i we mgle w ciągu jednej nocy odbywa podróż, gdy tymczasem potrzeba całego tygodnia, żeby dopłynąć zaledwie w jedną stronę. Następnej nocy rozlega się pukanie do innych drzwi i słychać ten sam głos, który mówi: „Jesteśmy gotowi...”

— Mój Boże — westchnął Romulus. — To straszna historia. Ale czy jest prawdziwa?

— Któż to wie? W pewnym sensie prawdą jest wszystko to, w co wierzymy. Oczywiście musi zawierać jakąś część

prawdy. Być może mieszkańcy tej wioski oddają się staro-dawnym praktykom przywoływania umarłych, które do-starczają im tak intensywnych przeżyć, że wydają się prawdziwe... — Nagle przerwał, by podać instrukcje sternikowi: — Prosto, powoli, o, teraz dobrze.

— A gdzie miałyby się znajdować ta wyspa Avalon?

— Nikt tego nie wie. Może gdzieś na wodach wzdłuż zachodniego wybrzeża Brytanii. Tak słyszałem od pewnego starego druida, który pochodził z wyspy Mona. Inni znów twierdzą, że leży bardziej na północy i że jest to miejsce, do którego idą bohaterowie po śmierci, tak jak Wyspy Szczęśliwe, wzmiankowane przez Hezjoda, pamię-tasz? Może trzeba by wsiąść na tę łódź w owej wiosce w Armoryce, żeby rozwiązać zagadkę... Ale to wszystko są tylko przypuszczenia, domysły. W rzeczywistości otaczają nas tajemnice, mój synu.

Romulus skinął powoli głową, jakby chciał w ten sposób wyrazić aprobatę dla tak poważnego stwierdzenia, po czym nasunął płaszcz aż na głowę i wrócił pod pokład. Am-brozynus został sam, sterując w ciemnościach łodzią za pomocą swojej strzałki, podczas gdy pozostali kompani wiosłowali bez wytchnienia, oniemiałi ze zdziwienia, jakby zawieszeni w tej posępnej, pozbawionej wymiarów i czasu przestrzeni, w której jedyny kontakt z rzeczywistością stanowiło pluskanie fal o kil. W pewnej chwili Aureliusz zapytał:

— Myślisz, że jeszcze go zobaczymy?

Ambrozynus usiadł obok niego na ławie.

— Wulfilę? — odparł. — Tak, dopóki ktoś go nie zabije.

— Woluzjanus radził, żebyśmy popłynęli gdziekol-wiek, byle nie do Brytanii. Podobno to prawdziwe gniazdo żmij.

— Nie wydaje mi się, żeby na tym świecie były miejsca lepsze od innych. Płyniemy do Brytanii, ponieważ ktoś tam na nas czeka.

— Twoja przepowiednia, zgadza się?

— Dziwi cię to?

OSTATNI LEGION

— Nie wiem. Znasz Pliniusza i Warrona, Archimedesza i Eratostenesa. Czytałeś Strabona i Tacyta...

— Z tego co widzę, ty też — zauważył nie bez zdziwienia Ambrozynus.

— Jednym słowem, jesteś człowiekiem uczonym—do-kończył Aureliusz, jakby nie słyszał.

— A człowiek uczony nie powinien wierzyć w przepowiednie, bo to nieracjonalne, prawda?

— Właśnie, nieracjonalne.

— A może to, co ty zrobiłeś, jest racjonalne? Ile jest logiki w przygodach, które przeżyłeś w ciągu ostatnich miesięcy?

— W istocie, niewiele.

— A wiesz dlaczego? Ponieważ poza światem, który znamy, istnieje inny świat: świat snów, potworów i chimer, świat majaków, namiętności i tajemnic. Bywają chwile, że świat ten się o nas ociera skłaniając do czynów, które nie mają sensu, albo po prostu wywołują w nas dreszcze, jak choćby powiew lodowatego powietrza w środku nocy czy też śpiew słowika, który wypływa z ciemności. Nie wiemy, jak daleko się rozciąga, czy ma granice czy też jest nieskończony, czy znajduje się w nas czy poza nami, czy upodabnia się do rzeczywistości, aby dać o sobie znać czy też aby się ukryć. Przepowiednie przypominają słowa wypowiedane przez człowieka pogrążonego we śnie. Pozornie są pozbawione sensu, w rzeczywistości jednak pochodzą z głębszych otchłani duszy uniwersalnej.

— Myślałem, że jesteś chrześcijaninem.

— Czy to coś zmienia? Sądząc po tym, w jaki sposób objawia się twoja dusza, też mógłbyś być chrześcijaninem. A przecież jesteś poganinem.

— Jeśli bycie poganinem oznacza wierność tradycji przodków i wierzeniom ojców, jeśli oznacza dostrzeganie Boga w każdej rzeczy i każdej rzeczy w Bogu, jeśli oznacza gorzki żal za niegdysiejszą wielkością, która nigdy więcej nie powróci, w takim razie jestem poganinem.

— Ze mną jest tak samo. Widzisz tę gałązkę jemioli, którą mam na szyi? Symbolizuje więź łączącą mnie ze

światem, w którym się urodziłem, ze starodawną wiedzą. Czyż nie zmieniamy odzienia, kiedy z ciepłego kraju wjeżdżamy do zimnego? Podobnie jest z naszym poglądem na świat. Religia to kolor, który przybiera ludzka dusza w zależności od światła, w jakim się pokazuje. Widziałeś mnie w świetle śródziemnomorskim i zobaczysz w mroku puszczy Brytanii. Pamiętaj, że chociaż będę inny, to ciągle ten sam. To nieuniknione, tak musi być. Pamiętajsz, kiedy płynęliśmy po Renie, a wy zaczęliście śpiewać hymn na cześć słońca? Śpiewaliśmy wszyscy razem, poganie i chrześcijanie, ponieważ w blasku słońca, które pojawia się po nocy, można dostrzec twarz Boga i chwałę Chrystusa przynoszącego światu światłość.

Spędzili tak całą noc, co jakiś czas zamieniając dla kurażu kilka słów albo wiosłując w milczeniu, aż wreszcie w pewnej chwili mgła zaczęła się rozrzedzać i wzmógł się wiatr. Demetriusz podniósł żagiel, jego kompani zaś, wyczerpani całonocnym wysiłkiem, mogli nieco odpocząć. Ledwie jednak pojawiły się pierwsze oznaki brzasku, rozległ się głos Ambrozynusa:

— Spójrz! Spójrzcie wszyscy!

Aureliusz podniósł głowę, Romulus i Liwia pobiegli na dziób, Batiatus, Orozjusz i Demetriusz porzucili liny, by podziwiać rozpościerający się powoli przed ich oczyma widok: oto w pierwszych promieniach słońca wynurzał się z mgły ład zielony od łąk i biały od podwodnych skał, błękitny od nieba i morza, otoczony wzburzoną, spienioną wodą, pieszczony wiatrem, witany krzykiem milionów ptaków.

— Brytania! — zawołał Ambrozynus. — Moja ojczyzna!

Otworzył ramiona, jakby pragnął powitać ukochaną, dawno nie widzianą osobę. Płakał; gorące łzy spływały mu po ascetycznej twarzy, nadając oczom nowy blask. Po czym upadł na kolana i ukrył twarz w dłoniach, pogrążając się w medytacji i modlitwie do opiekującego się jego rodzinną ziemią bóstwa, do wiatru, który przynosił zagubione, lecz nigdy nie zapomniane zapachy.

OSTATNI LEGION

Pozostali przyglądali mu się w przepelnionej wzruszeniem ciszy. Otrzeźwił ich dopiero zgrzyt, z jakim statek dotknął czystego żwiru plaży.

Jedynie Dżuba znalazł się poza kanałem, jako że inne konie pozostawiono Teutazjuszowi w ramach zapłaty za przewóz. Aureliusz sprowadził go po wąskim trapie nie przestając głaskać, aby się nie spłoszył, i podziwiając jego wspaniałą skórę, która lśniła niczym skrzydło kruka w pogodnym, niemal wiosennym słońcu. Następnie wysiedli wszyscy pozostali — ostatni Batiatus, niosąc na ramionach Romulusa, jakby szedł w triumfalnym pochodzie.

Ruszyli na północ poprzez zielone łąki pokryte gdzieś tam ogromnymi plamami śniegu, spod którego wystawały fioletowe krokusy. Na czerwonych krzewach jagody przysiadły rudziki, które zdawały się przyglądać z zaciekawieniem maszerującemu ścieżką małemu orszakowi. Co chwila pośrodku wielkich pastwisk wznosiły się olbrzymie dęby. Na ich nagich gałęziach lśniły złociste owoce jemioli.

— Widzisz? — zagadnął swego ucznia Ambrozynus. — To jest jemiola, w naszej starej religii roślina uważana za świętą, ponieważ wiercono, że spada z nieba. Podobnie za świętą uznaje się dąb, od którego pochodzi nazwa celtyckich mędrców, druidów.

— Wiem — odrzekł Romulus. — Od greckiego słowa *drys*, które znaczy „dąb”.

Aureliusz przywołał ich do rzeczywistości.

— Musimy jak najszybciej zdobyć konie, bo idąc piechotą jesteśmy za bardzo narażeni na wszelkie ataki.

— Kiedy tylko to będzie możliwe — odparł Ambrozynus. — Kiedy tylko to będzie możliwe.

I ruszyli dalej. Wędrowali przez cały dzień, mijając pola, gospodarstwa wiejskie i drewniane chaty kryte strzechą. W małych wioskach roilo się od domków stojących ciasno jeden przy drugim, w miarę zaś jak ów krótki zimowy dzień chylił się ku zachodowi, z kominów jał unosić się dym. Romulus wyobrażał sobie, jak całe rodziny

zasiadają przy ubogich stołach, w skąym świetle lamp oliwnych, aby wspólnie spożyć posiłek, na który ciężko zapracowały. Zazdrościł im marząc o prostym, skromnym życiu, wolnym od zawiści możnowładców.

Nim zapadła noc, Ambrozynus chwycił Romulusa za rękę i zapukał do drzwi stojącego na uboczu domu, który był większy i rzecz jasna bardziej okazały od dotychczas widzianych. W przylegającej doń zagrodzie znajdowały się owce pokryte gęstym płaszczem wełny, w sąsiedniej zaś niewielkie stadko koni. Otworzył im potężnie zbudowany mężczyzna odziany w pelerynę z surowej wełny, o twarzy okolonej czarną brodą poprzątaną siwizną.

— Jesteśmy wędrowcami — powiedział Ambrozynus. — Reszta naszych kompanów czeka za płotem. Idziemy zza morza na północ, skąd wyruszyłem wiele lat temu. Nazywam się Myrdin Emreis.

— Hu was jest? — zapytał mężczyzna.

— W sumie ośmioro. I potrzebujemy koni, jeśli możesz je nam odsprzedać.

— Ja jestem Wilneyr — odrzekł mężczyzna — i mam pięciu synów, wszyscy są bardzo silni i doskonale władają bronią. Jeśli przychodzicie w pokoju, chętnie was ugościmy, jeśli zaś jesteście rabusiami, wiedz, że nie damy się wyróżnić jak barany.

— Przychodzimy w pokoju, przyjacielu, w imię Boga, który pewnego dnia nas osądzi. Z konieczności jesteśmy uzbrojeni, ale wchodząc pod twój dach zostawimy broń przed drzwiami.

— W takim razie wejdźcie do środka. Jeżeli chcecie przenoćować, możecie spać w stajni.

— Dziękuję ci — odparł Ambrozynus. — Na pewno nie będziesz żałował. — Poprosił Romulusa, by zawołał pozostałych.

Na widok Batiatusa mężczyzna otworzył szeroko oczy ze zdumienia, cofając się zdjęty nagłym strachem. Synowie stanęli u jego boku.

— Nie bójcie się — powiedział Ambrozynus. — To tylko czarny człowiek. W jego ojczyźnie wszyscy są czarni

tak jak on, a jeśli zapuści się tam jakiś biały, budzi takie samo zdziwienie i zdumienie, jakie przed chwilą was ogarnęło. Chociaż jest obdarzony wyjątkową siłą, odznacza się dobrocią i ma pokojowe zamiary. Za jego wieczerzę zapłacimy podwójnie, bo je za dwóch.

Wilneyr posadził ich przy ogniu i uraczył chlebem, serem i piwem, które wszystkich rozgrzało.

— Dla kogo hodujesz konie? — zapytał Ambrozymis.

— Te, które widziałem, to konie bojowe.

— Zgadza się. I ciągle wzrasta zapotrzebowanie na takie wierzchowce, bo wszędzie tam, gdzie byłem na tej ziemi, nie ma pokoju. Ale dzięki nim na moim stole nigdy nie brakuje chleba, jagnięciny ani piwa. Powiedz mi raczej, dlaczego chcesz kupić konie i włóczysz się po okolicy w towarzystwie uzbrojonych ludzi, skoro jak twierdzisz, przychodzisz w pokój?

— To długa i na dodatek smutna historia — odrzekł starzec. — Nie starczyłoby całej nocy, żeby ją opowiedzieć. Ale jeśli chcesz posłuchać, chętnie ci zdradzę to, co mogę, ponieważ nie mam nic do ukrycia przed tobą, tylko przed wrogami, którzy nas ścigają. Jak już mówiłem, nie jestem cudzoziemcem, lecz pochodzę stąd, z miasta Carvetia, a wychowali mnie mędrzy ze świętego lasu Gleva.

— Domyśliłem się od razu, kiedy tylko zobaczyłem, co nosisz na szyi — przerwał mu Wilneyr — i właśnie dlatego przyjąłem cię pod swój dach.

— Przecież mogłem to ukraść — zauważył Ambrozymis z ironicznym uśmiechem.

— Nie sądzę, twoja postawa, słowa i spojrzenie mówią bowiem wyraźnie, że nie przywłaszczyłeś sobie tego symbolu. A więc opowiadaj, jeśli nie jesteś zbyt zmęczony. Noc jest długa, a nieczęsto się zdarza gościć kogoś, kto przychodzi z tak daleka. — Mówiąc to jeszcze raz przyjrzał się ze zdumieniem Batiatusowi: jego nazbyt ciemnym oczom, nazbyt dużym ustom, spłaszczonemu nosowi, byczemu karkowi i olbrzymim dłoniom, splecionym pomiędzy masywnymi udami-

Ambrozynus zaś snuł opowieść o tym, jak to wiele lat temu opuścił rodzinne miasto i puszcę i wyruszył, by poprosić cesarza Rzymian o pomoc, jako że tak nakazali mu bohater Germanus i wódz Paullinus, ostatni obrońca Wału Hadriana. Opowiedział o swej wędrówce i przygodach, o dniach szczęśliwych i o długich cierpieniach. Wilneyr i jego synowie słuchali urzeczeni, była to bowiem najpiękniejsza historia ze wszystkich, jakie słyszeli dotąd z ust bardów, wędrujących z miasta do miasta, od domu do domu i opiewających wyczyny bohaterów Brytanii.

Ambrozynus nie zdradził wszakże, kim naprawdę jest Romulus ani jaki go czeka los, ponieważ było jeszcze na to za wcześnie. Kiedy skończył, zapadła już ciemna noc, ogień zaś zaczynał przygasać.

— A teraz powiedz mi, kto rządzi tą wyspą — poprosił Ambrozynus. — I który z władców jest najsilniejszy i najgroźniejszy? Co się stało z miastami, które tętniły życiem, kiedy stąd odchodziłem?

— Nasz kraj to kraj tyranów — odrzekł z powagą Wilneyr. — Nikt nie troszczy się o dobro narodu. Panuje tu prawo silniejszego i nie ma litości dla słabszych, ale z całą pewnością najsłynniejszym i najstraszniejszym ze wszystkich tyranów jest Wortigern. Miasta zwróciły się do niego z prośbą o obronę przed najazdami wojowników z Północy, on zaś je podbił nakładając na nie ogromne daniny i chociaż w niektórych z nich przetrwały jeszcze dawne rady starszych, w rzeczywistości nie posiadają one żadnej władzy. Miasta oddały wolność za bezpieczeństwo, jako że ich mieszkańcy to kupcy, którzy pragną pokoju, by móc żyć i bogacić się na handlu i wymianie. Z kolei Wortigern, w miarę jak tracił młodzieńczą energię, nie był w stanie wypełniać obowiązków, dla których przyznano mu tak wielką władzę. Postanowił więc poprosić o pomoc plemiona saksońskie, które mieszkają na kontynencie, na półwyspie Kymre, ale lekarstwo okazało się gorsze od choroby, toteż ucisk, zamiast zmaleć, podwoił się. Saksończycy myślą tylko o tym, żeby się bogacić, i robią to kosztem obywateli, nic więc dziwnego, że najazdy Szkotów i Piktów z Północy

wcale nie ustały. Podobnie jak psy żące się między sobą o kości, tak wszyscy ci barbarzyńcy biją się o nędzne ochłapy tego, co było niegdyś kwitnącym krajem, który tętnił życiem, a z którego dziś pozostał tylko cień. Jak sam widzisz, teraz można przeżyć jedynie na wsi, a i to być może się niedługo skończy.

Zakłopotany Aureliusz unikał wzroku Ambrozynusa: czyżby to była ta ziemia, o której śnił tak długo? W czym miałyby być lepsza od krwawego zamętu, przed którym dopiero co uciekli? Starzec siedział wszakże zapatrzony w dal, szukając odległych obrazów, które zostawił za sobą opuszczając ten kraj. Przygotowywał się do załatania dziury, do zeszcicia otwartych ran zadanych jemu samemu i jego narodowi.

Wyszli w towarzystwie jednego z synów Wilneyra i położywszy się wyczerpani na posłaniu z siana, obok wołów, które przeżuwały w spokoju, zasnęli. Na straży stały psy, które gospodarz pospuszczał z łańcuchów. Były to ogromne mastyfy w nabijanych żelaznymi ćwiekami obrożach, przyzwyczajone walczyć z wilkami, a może nawet z jeszcze straszniejszymi bestiami.

Obudziwszy się o świcie, napili się ciepłego mleka prosto od krowy, którą żona Wilneyra dopiero co wydoiła, i zaczęli się szykować do drogi. Kupili muła dla Ambrozynusa i siedem koni, w tym jednego mniejszego i jednego olbrzyma — potężnego ogiera z Armoryki, który służył do zapładniania tutejszych klaczy. Kiedy zaś Batiatius usiadł na jego grzbiecie, wyglądał jak owe odlane z brązu kolosy na koniach, które swego czasu ozdabiały fora i łuki stolicy świata.

Policzywszy pieniądze — wszystkie, jakie zostały Liwii — zadowolony, że rozpoczął dzień od tak dobrego interesu, Wilneyr stanął w progu i przyglądał się, jak odjeżdżają. Z mieczami u pasów w pierwszych promieniach słońca przypominali do złudzenia legendarnych wojowników. Nawet błady chłopiec, który podążał przodem na swym żrebaku, wyglądał jak młody wódz, dziewczyna zaś jak nimfa leśna. Na spotkanie czego wyruszała ta maleńka

armia? Nawet nie znał ich imion., wydawało mu się jednak; że zna ich od zawsze. Podniósł dłoń w pożegnalnym geście, oni zaś odpowiedzieli mu tym samym ze szczytu wzgórza, po którym schodzili powoli, gęsiego — ciemne sylwetki w perłowym świetle brzasku.

Owa pełna niebezpieczeństw ziemia nie miała przed Ambrozynusem tajemnic, tak jakby opuścił ją zaledwie kilka dni, a nie wiele lat wcześniej — znał język, krajobraz, charakter jej mieszkańców, potrafił przedzierać się przez lasy nie gubiąc drogi i nie wpadając w gąszcze, w których mogłyby czyhać pułapki, znał głębokość rzeki i długość trwania dni, nocy, a nawet godzin. Po kolorze nieba odgadywał, czy nadchodzi burza czy też powraca spokój. Potrafił rozróżnić, czy głosy ptaków oznaczają wołanie na alarm czy też radosny śpiew; przemawiały doń nawet sękate pnie drzew. Snuły swe opowieści o długich śnieżnych zimach, urodzajnych wiosnach, niekończących się deszczach albo gromach z jasnego nieba. Tylko raz musieli stawić czoło zagrożeniu — pewnego wieczoru napadła na nich banda zbójców, jednakże niszczycielskie uderzenia Batiatusa na armorykańskim rumaku, zabójcza siła Aureliusza i Watrenusa, strzały Liwii, błyskawiczna szybkość Demetriusza oraz potęga i spokój Orozjusza prędko nauczyły rozumu napastników, którzy potrafili walczyć tylko jak rabusie, a nie jak żołnierze.

Podczas trwającej niewiele ponad dwa tygodnie wędrówki mała karawana zdołała przemierzyć prawie jedną trzecią kraju, po czym rozbiła obóz w pobliżu miasta Caerleon.

— Dziwna nazwa — zauważył Romulus spoglądając na nie z daleka, zdumiony osobliwą mieszaniną, jaką tworzyła imponująca architektura i nędzne chaty.

— To tylko miejscowa deformacja *Castra Legionum* — wyjaśnił Ambrozynus. —Znajdowały się tutaj obozowiska legionów z Południa, a ta budowla, którą widzisz w dole, to pozostałość amfiteatru.

Aureliusz wraz z resztą kompanów również przypatrywał się miastu, czując się dziwnie na widok ciągle jeszcze imponujących śladów świetności Rzymu, które zdążyły się obrócić w ruinę i ulegały rozkładowi.

Wędrowali jeszcze kolejne dwa tygodnie, jadąc u północy pierwszych wzniesień i skrajem największych lasów. Pewnej nocy, gdy siedzieli przy ognisku, Aureliusz pomyślał, że nadeszła wreszcie pora, by poznać ostateczny cel ich podróży, przyszłość, która czekała na nich na tym najdalszym krańcu świata.

— Dokąd jedziemy, mistrzu? — zapytał niespodziewanie. — Nie sądzisz, że już najwyższy czas, by nam powiedzieć?

— Tak, Aureliuszu, już najwyższy czas. Jedziemy do Carvetii, skąd wyruszyłem wiele lat temu obiecując, że wrócę wraz z cesarskim wojskiem i uwolnię tę ziemię od barbarzyńców z Północy i od Wortigerna, tyrana, który uciskał ją wtedy i jak słyszeliśmy, gnębi nadal nawet teraz, kiedy jest stary i słaby. Żądza władzy to najsilniejsze lekarstwo, które trzyma przy życiu nawet tych, co stoją nad grobem.

Wszyscy popatrzyli na siebie w osłupieniu.

— Obiecałeś wrócić z armią, a tymczasem przywozisz tylko tyle? — zdumiał się Watrenus wskazując na siebie i na swych kompanów. — Nie uważasz, że przywitają nas salwy śmiechu? Myślałem, że zaprowadzisz nas w jakieś spokojne miejsce, gdzie będziemy wieść zwyczajne życie według mnie zasłużyliśmy na to.

— Jeśli mam być szczerzy — dodał Demetriusz — ja również spodziewałem się czegoś podobnego: jakiegoś ustronnego miejsca z dala od zgiełku, na wsi, gdzie moglibyśmy pozakładać rodziny, miecza zaś używać jedynie do krojenia sera albo chleba.

— Tak, takie miejsce mnie by się też podobało — stwierdził Orozjusz. — Moglibyśmy zbudować małą wioskę i spotykać się od czasu do czasu, żeby wspólnie spożyć wieczerzę i powspominać minione trudy i niebezpieczeństwa. Czy to nie byłoby piękne?

Wyglądało na to, że taka perspektywa przypadła również do gustu Batiarusowi.

— Zauważyłem, że w tych stronach nigdy nie widzieli Murzyna, ale myślę, że się przyzwyczają; może ja też znajdę dziewczynę, która zechce ze mną żyć. Co wy na to?

Ambrozynus podniósł dłoń, by uciąć te rozważania.

— Na północy znajduje się jeszcze legion pod bronią, który czeka na cesarza. Zwał go Legionem Śmoka, ponieważ jego symbolem jest srebrny smok z purpurowym ogonem, który porusza się na wietrze, jakby był żywy.

— Czyste mrzonki — stwierdził Aureliusz. — Nasz legion był jedyny i ostatni, a jak ci wiadomo, tylko my z niego zostaliśmy.

— To nieprawda — zaprzeczył Ambrozynus. — On istnieje i utworzył go Germanus. Przed śmiercią wymógł na moich ludziach obietnicę, że utrzymają go pod bronią dopóty, dopóki nie wrócę, aby bronić wolności kraju. Jestem pewien, że nie mogli złamać obietnicy danej bohaterowi i świętemu. Wiem, że moje słowa mogą się wydawać niedorzeczne, ale czy kiedykolwiek was oszukałem albo zawiodłem?

Watrenus pokręcił głową coraz bardziej oszołomiony.

— Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Nawet gdyby to była prawda, teraz ci ludzie są bezzębnymi starcami o siwych brodach.

— Tak sądzisz? — odparł z ironią Ambrozynus. — Są w twoim wieku, Watrenusie, i w twoim, Aureliuszu. W wieku zaprawionych w bojach i nieustraszonych weteranów. Wiem, że wszystko to wydaje wam się absurdalne, ale wysłuchajcie mnie, na litość boską! Dostaniecie to, czego chcecie. Będziecie mogli wieść spokojny żywot w miejscu, które sam wam wskażę. To żyzna dolina z dala od zgiełku, niewielki raj nad kryształowo czystym strumieniem, miejsce, w którym będziecie mogli żyć nawet wyłącznie polując, łowiąc ryby i biorąc sobie wszystkie kobiety[^] jakie zechcecie, pertraktując z koczowniczym plemieniem, pędzącym tamtędy co roku swoje stada. Ale najpierw dokończcie swoje dzieło tak, jak obiecaliście mnie i temu chłopcu. O nic

więcej nie proszę. Eskortujcie nas aż do ufortyfikowanego obozu, który jest naszym ostatecznym celem, a potem będziecie robić co wam się żywnie spodoba, ja zaś uczynię wszystko co w mojej mocy, aby wam w tym pomóc.

Aureliusz zwrócił się do swych kompanów:

— Sami słyszeliście, nasze zadanie polega na tym, żeby przedstawić cesarza jego legionowi pod warunkiem, że ciągle istnieje, a potem będziemy wolni od zobowiązań. Będziemy mogli nadal walczyć pod jego rozkazami albo cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem.

— A jeśli już nie istnieje?—zapytała Liwia, która do tej pory nie odezwała się ani słowem. — Co wtedy zrobimy? Zostawimy go własnemu losowi? Albo może rozejdziemy się każdy w swoją stronę czy też zamieszkamy razem w tym pięknym miejscu, które opisuje Ambrozynus?

— Jeżeli nie istnieje, będziecie mogli zrobić to, co zechcecie. Ty też, mój synu — dodał Ambrozynus zwracając się do Romulusa. — Jeśli postanowią zostać, czego pragnę całym sercem, będziesz mógł żyć razem z nimi, dorastać w spokoju i stać się mężczyzną. Może pasterzem, a może myśliwym albo rolnikiem, jak będziesz wolał. Ja jednak jestem pewien, że Bóg wybrał dla ciebie zupełnie inny los i ci mężczyźni oraz ta młoda kobieta staną się narzędziem twojego przeznaczenia, podobnie jak ja. Wszystko to, przez co przeszliśmy, nie przydarzyło nam się przypadkiem. I również nie tylko dzięki ludzkiemu męstwu zdołaliśmy pokonać tyle trudności pozornie nie do pokonania. To ręka Boga, bez względu na to, w którego boga wierzycie, nas poprowadziła i nadal będzie nas prowadzić dopóty, dopóki nie wykonamy Jego zamiarów.

Aureliusz spojrział kolejno w oczy każdemu ze swych towarzyszy, po czym popatrzył na Liwie z głębokim wzruszeniem, jakby chciał przekazać jej wzrokiem miłość, tłumioną przez obawy i udręki — wszyscy dali mu tę samą jednoznaczną odpowiedź.

— Nie zostawimy was — oświadczył. — Ani przed tą szaloną eskapadą, ani później, i znajdziemy jakiś sposób, żeby połączyć nasze losy. Skoro śmierć ominęła nas tyle

razy, powinien wreszcie nadejść dzień, w którym będziemy mogli się cieszyć tym, co nam jeszcze pozostało z życia bez względu na to, czy będzie ono krótkie czy też długie.

Wstał i czym prędzej się oddalił wiedząc, że nie zdoła dłużej zapanować nad kłębiącymi mu się w duszy uczuciami, nie był to wszakże jedyny powód: od jakiegoś czasu wróciły bowiem dręczące go koszmary. Obrazy, które przez całe lata nie dawały mu spokoju, i ostre bóle głowy pojawiały się coraz częściej, niekiedy utrudniając mu wręcz wyrażanie własnych myśli i uczuć, szczególnie w stosunku do Liwii. Miał wrażenie, że koło jego życia właśnie się zamyka, że w owym położonym na końcu świata kraju czeka go ostateczny rozrachunek z przeznaczeniem i z samym sobą.

Ambrozynus zaczekał, aż zgaśnie ogień i wszyscy położą się spać, po czym podszedł do niego.

— Nie trać ducha, proszę cię — powiedział. — Miej ufność. I pamiętaj, że największych czynów zawsze dokonuje garstka bohaterów.

— Nie jestem bohaterem. — Aureliusz nie ważył się nawet odwrócić. — I dobrze o tym wiesz.

W nocy spadł ostatni tej zimy śnieg. Od tej pory wędrowali w słońcu, pod niebem usłanym obłokami tak bielusięnkami jak runo jagniąt, które wyszły na pastwisko po raz pierwszy. Zwrócone na południe zbocza z każdym dniem pokrywały się fiołkami i margerytkami. Pewnego dnia Ambrozynus przystanął wreszcie u stóp wzgórza i zsiadł z muła. Chwyciwszy swój kostur pielgrzymi, na oczach wszystkich wdrapał się aż na sam szczyt. Po czym obejrzał się za siebie i zawołał:

— Chodźcie! Na co czekacie? No dalej, biegiem!

Pierwszy dogonił go spocony i zdyszany Romulus, następnie Liwia, Aureliusz, Watrenus i pozostali. W odległości kilku mil przed nimi Wał Hadriana rozciągał się niczym potężny kamienny pas, ponad którym wznosiły się wieże i zamki. Niedaleko w dole, po prawej stronie, lśniły wody małego jeziora, czyste i przejrzyste niczym po-

OSTATNI LEGION

wietrze, pośrodku zaś widać było podwodne skały porośnięte zielonym mchem. W głębi na wschodzie widniał wierzchołek góry przysłonięty jeszcze czapą śniegu, nad skałą zaś oszańcowany obóz. Ambrozynus wpatrywał się w uniesieniu w ów zachwycający widok; jego wzrok poszybował ku wężowatym umocnieniom, które łączyły obydwie morza, następnie spoczął na jeziorku, na czubku góry, na końcu zaś na szarym niczym skała obozie.

— Jesteśmy na miejscu, mój synu, przyjaciele — powiedział — nasza podróż dobiegła końca. Oto Wał Hadriana, który przecina cały kraj, w dole jest *Mons Badonicus*, u naszych stóp zaś rozciąga się *Lacus Virginis*, dziewicze jezioro, o którym powiadano, że mieszka w nim nimfa wodna. Wysoko zaś leży wykuty w żywej skale obóz ostatniego legionu Brytanii. Forteca smoka!

XXXIII

Kiedy zeszli do całkowicie opuszczonej doliny, jęli się posuwać ku fortecy, która teraz wydawała się bardziej odległa niż ze szczytu wzgórza. Okrążywszy jeziorko o czarującej urodzie, podobne do skalnej misy otoczonej czarnymi, białymi i brązowymi kamykami błyszczącymi pod przezroczystą wodą, zaczęli się wpinać po zboczu, nad którym wznosił się fort. Wzgórze nie było wysokie, na jego szczycie zaś znajdowała się płaska skała.

— Wewnętrzna część obozu — wyjaśnił Ambrozynus — została wydrążona w celu uzyskania równej płaszczyzny, na której można było wystawić pomieszczenia dla wojska, koni i sprzętu. Naokoło zaś, na skale, wzniesiono mur z kamieni, a na nim palisadę z wieżyczkami strażniczymi.

— Doskonale się orientujesz — zauważył Aureliusz.

— Oczywiście — przytaknął starzec. — Spędziłem tu sporo czasu jako medyk i doradca komendanta Paullinusa.

— A to co takiego? — zapytał Romulus wskazując coś w rodzaju megalitycznej budowli, która wyłoniła się zza wzgórza, na kolejnym, wcześniej niewidocznym wzniesieniu. Wyglądała jak olbrzymia okrągła kamienna płyta otoczona czterema gigantycznymi pilastrami skalnymi, które wskazywały cztery strony świata.

Ambrozynus przystanął.

— To jest pomnik ku czci wielkiego wojownika tej ziemi — powiedział — celtyckiego wodza o imieniu Kalgak, którego autorzy łacińscy nazywali Calgacusem. Był ostatnim bohaterem podczas zbrojnego oporu tutejszych mieszkańców podczas najazdu Rzymian na Brytanię, który miał miejsce trzysta lat temu.

— Znam ten epizod—oznajmił Romulus. — Czytałem fragmenty Tacyta; przytacza on jego przemowę przed ostatnią bitwą i te straszne słowa, którymi określa *Pax Romana*.

— „Podbój świata zwą fałszywie Imperium, miejsca zaś, gdzie pozostawili po sobie pustynię, zwą pokojem” — zacytował z pamięci Aureliusz. — Ale pamiętaj — ciągnął z dumą — w rzeczywistości to nie są słowa Calgacusa, ale Tacyta: Rzymianina krytykującego rzymski imperializm. W tym także tkwi wielkość naszej cywilizacji.

— Powiadają, że wokół tego kamienia zgromadził swoją radę — rzekł Ambrozynus. — Od tej pory głaz ten jest symbolem wolności dla wszystkich mieszkańców tej ziemi, bez względu na to, z jakiego rodu się wywodzą.

Ruszył ku zewnętrznym murom obozu, jednakże nawet z tej odległości było widać, że miejsce to jest puste: palisada zamieniła się w ruinę, drzwi i wieżyczki były rozwalone. Pierwszy wszedł do środka Aureliusz, który wszędzie, gdziekolwiek spojrzał, dostrzegł ślady niedbalstwa i opuszczenia.

— Urojony legion... — szepnął.

— To miejsce jest opuszczone od wielu lat, wszystko się tutaj wali — zawtórował mu Watrenus.

Kiedy Batiatus wypróbował schody prowadzące na chodnik dla straży na murach obronnych, cała budowla runęła z łoskotem.

Ambrozynus sprawiał wrażenie zagubionego, niemal zdruzgotanego.

— Naprawdę spodziewałeś się, że kogoś tu zastaniesz? — napadł na niego Aureliusz. — Nie mogę w to uwierzyć. Spójrz w dół na Wał Hadriana: od ponad siedemdziesięciu lat nie ma na tym murze ani jednego rzymskiego sztandaru, jakże więc mogłeś się łudzić, że przetrwa taki małeńki bastion jak ten? Popatrz sam. Nie ma żadnych śladów zniszczenia ani zbrojnego oporu. Po prostu sobie poszli i na dodatek nie wiadomo jak dawno.

Ambrozynus stanął pośrodku obozu.

— Wiem, że to wszystko wydaje się pozbawione sensu, ale uwierzcie mi: jeszcze nie zgasła ostatnia isierka; wystarczy ją tylko rozniecić, a płomień wolności znów się rozpali.

Nikt wszakże go nie słuchał. Każdy kręcił głową przerażony w tej nierzeczywistej ciszy, którą przerywały jedynie ciche gwizdanie wiatru i skrzypienie okiennic w barakach zniszczonych przez upływ czasu i niepogodę. Nie przejmując się wcale panującą wokół atmosferą przynębienia Ambrozynus zbliżył się do czegoś, co musiało być kiedyś pretorium, czyli kwaterą dowódcy, i wszedł do środka.

— Dokąd on idzie? — zapytała Liwia.

Aureliusz wzruszył ramionami.

— I co teraz pocniemy? — zapytał Batiatus. — O ile dobrze zrozumiałem, przejechaliśmy dwa tysiące mil na próżno.

Stojący w kącie Romulus zdawał się pogrążony w myślach, toteż Liwia nie miała odwagi, by do niego podejść. Odgadując stan jego duszy cierpiała wraz z nim.

— Zważywszy, jak się sprawy mają, dobrze by było spojrzeć realnie na sytuację — zaczął Watrenus.

— Realnie? Tutaj nie ma nic realnego. Rozejrzyj się wokoło, na wszystkich bogów! — wybuchnął Demetriusz. Nie skończył wszakże jeszcze mówić, gdy drzwi pretorium otworzyły się i pojawił się w nich Ambrozynus. Ucichł gwar, wszystkie oczy zwróciły się ku wyłaniającej się

z ciemności dostojnej sylwetce trzymającej zdumiewający przedmiot: smoka o srebrnej głowie, z rozczapierzonymi pazurami i z purpurowym ogonem, osadzonego na drzewcu, z którego zwisało labarum z napisem: LEGIO XII DRACO.

— Mój Boże — szepnęła Liwia.

Romulus przyjrzał się sztandarowi, wyszytemu ze złotych łusek ogonowi, który poruszał się, jakby nagle wstąpiło w niego życie. Ambrozynus podszedł do Aureliusza wpatrując się weń płonącym wzrokiem. Miał wykrzywioną twarz, napięte i stwardniałe rysy, jakby wykute z kamienia. Podał mu sztandar mówiąc:

— Należy do ciebie, komendancie. Legion został odbudowany.

Aureliusz zawahał się, stojąc nieruchomo przed tą wątlą, niemal zasuszoną postacią, wpatrując się w te władcze oczy, w których płonął tajemniczy nieposkromiony ogień. Podczas gdy wiatr jął się wznosić wznosząc tumany kurzu, który wszystko zasnuwał, nagle wyciągnął rękę i chwycił drzewce.

— A teraz idź — rozkazał Ambrozynus. — Zatknij go na najwyższej wieży.

Aureliusz rozejrzał się wokoło, popatrzył na nieruchomych i milczących kompanów, po czym ruszył powoli, wdrapał się na ganek i zatknął sztandar na najwyższej, zachodniej wieży. Pod wpływem wiatru smok rozpostarł ogon, z metalowego pyska zaś wydostał się przenikliwy dźwięk — gwizd, który tyle razy budził strach wroga podczas bitwy. Aureliusz spojrzął w dół; jego kompani stali na baczność jeden przy drugim. Oczy zasłyły mu łzami.

Ambrozynus ponownie przemówił:

— Ulokujemy się tutaj i spróbujemy doprowadzić to miejsce do użytku; przez jakiś czas to będzie nasz dom. Ja tymczasem postaram się odnowić kontakty z osobami, które kiedyś znałem, a które być może nadal tu mieszkają, kiedy zaś nadejdzie odpowiednia chwila, stanę przed senatem Carvetii, o ile ciągle jeszcze istnieje; jeśli nie,

zwołam lud na forum. Kiedy przyjdzie czas, przedstawię Romulusa ludowi i senatowi...

— Kiedy wiele lat temu opuszczałeś tę ziemię, obiecałeś wrócić z wojskiem — powiedział Watrenus — a wracasz z dzieckiem. Czego oczekujesz?

— Posłuchajcie: legion zostanie odtworzony, rozproszeni żołnierze skupią się wokół sztandaru i swego cesarza. A wtedy przypomnę im przepowiednię: „Z południowego morza przybędzie młodzieniec z mieczem przynosząc pokój i dobrobyt. Nad rozległą ziemią Brytanii znów wzbiją się do lotu orzeł i smok.”

— Miecz... — szepnął Aureliusz chyląc głowę. — Straściłem go.

— Nie na zawsze — odrzekł Ambrozynus. — Odkasz go, obiecuję.

Nazajutrz Ambrozynus opuścił obóz, by zaznajomić się na nowo z ziemią, którą zostawił dawno temu. Wyruszył sam, trzymając kostur pielgrzymi, wędrując doliną w kierunku Carvetii. Z każdym krokiem czuł narastające głębokie wzruszenie. Zapach trawy niesiony przez wiatr, śpiew ptaków witających wschód słońca, łąki pokryte żółtym i białym kwieciami—wszystko to przypominało mu odległe dni młodości i wszystko wydawało mu się znowu bliskie i znajome, tak jakby nigdy z tych stron nie wyjeżdżał. W miarę jak posuwał się naprzód, słońce wznosiło się coraz wyżej, świebąc coraz mocniej, coraz bardziej gorące, w jego promieniach zaś lśniły wody strumieni, które przecinały pola niczym srebrne wstęgi. Mijając pasterzy prowadzących swe stada na pastwiska i chłopców przycinających gałęzie jabłoni miał wrażenie, że piękno przyrody potrafi przewyciężyć wszelkie niepowodzenia, które spadają na człowieka, i uznał to za pomyślną wróżbę.

Dotarłszy do miasta późnym popołudniem, rozpoznał stojącą na wzgórzu znajomą sylwetkę ogromnej starej budowli. Zewnętrzne ściany miały strukturę i okazałość fortyfikacji, wokół zaś rozciągały się pastwiska i pola, gdzie wrzała praca chłopów i rzemieślników. Jedni przygotowuy-

wali ziemię do siewu, drudzy obrywali uschłe gałęzie z drzew, jeszcze inni na skraju lasu ładowali grube pnie na wozy ciągnięte przez woły. W zagrodzie biegało stado koni, jego przewodnikiem zaś był biały ogier z długą grzywą, który galopował szaleńczo, machając ogonem.

Ambrozynus wszedł przez główną bramę na obszerny dziedziniec, na którym wznosiły się warsztaty kowalskie i stolarskie. Powitały go woń chleba wyjętego prosto z pieca i radosne szczekanie psów. Nikt nie pytał go, kim jest ani czego chce, za to jakaś kobieta ugościła go pachnącym chlebem. Zrozumiał wówczas, że od czasu gdy przyjęto go tu po raz pierwszy, nic się w tym domu nie zmieniło. Zapytał:

— Czy Kustennin jest nadal panem tego domu?

— Dzięki Bogu tak — odparła kobieta.

— Więc powiedz mu, proszę, że jego stary przyjaciel powrócił z długiego wygnania i że nie może się doczekać, aby go uściskać.

— Chodź za mną — usłyszał w odpowiedzi. — Zaprowadzę cię do niego.

— Nie, wolę zostać tutaj i zaczekać na niego, jak przystało wędrowcowi, który puka do drzwi prosząc o gościnę i schronienie.

Zniknąwszy pod arkadą, kobieta wbiegła pośpiesznie po schodach wiodących na pierwsze piętro willi. Po chwili w czerwonym świetle zachodzącego słońca ukazała się jakaś potężna sylwetka. Przyglądał mu się niepewnie mężczyzna około pięćdziesiątki, o błękitnych oczach, szpakowatych skroniach i szerokich ramionach okrytych czarnym płaszczem, usiłując rozpoznać stojącego przed nim pielgrzyma. Ambrozynus postąpił naprzód.

— Kustenninie, jestem Myrdin Emreis, twój stary przyjaciel. Wróciłem.

Oczy mężczyzny przepełniła radość. Wybiegł mu na spotkanie wołając:

— Myrdin! — Po czym uściskał go mocno. — Ileż to czasu—powiedział drżącym ze wzruszenia głosem. — Mój stary przyjacielu, ileż to czasu minęło. O, dobry Boże, jak mogłem nie rozpoznać cię od razu!

Ambrozynus uwolnił się z uścisku, aby spojrzeć mu w twarz, jakby nie mógł uwierzyć, że spotkał go znowu po tylu latach.

— Przeżyłem wszelkie możliwe przygody, cierpiałem chłód i głód, musiałem przejść przez straszne próby, drogi przyjacielu. Dlatego też mój wygląd się zmienił, włosy całkiem posiwiały, nawet głos stał się słabszy. Jestem taki szczęśliwy, że cię znów widzę, taki szczęśliwy... Ale ty się w ogóle nie zmieniłeś z wyjątkiem lekkiej siwizny na skroniach. A jak twoja rodzina?

— Chodź—odparł Kustennin—chodź ją zobaczyć. Ja i Egeria mamy córkę Ygraine, która jest światłem naszych oczu. — Ruszył przodem po schodach i poprowadził go korytarzem do kobiecych komnat.

— Egerio — powiedział Ambrozynus — to ja, Myrdin, pamiętasz mnie jeszcze?

Odłożywszy tamborek, na którym haftowała siedząc przy oknie, Egeria wyszła mu na spotkanie.

— Myrdin? Nie mogę w to uwierzyć. Myśleliśmy, że od dawna nie żyjesz. Ale to prawdziwy dar od Boga, musimy go uczcić. A ty zostaniesz z nami, nigdzie nie pójdziesz! — Po czym zwracając się do męża dodała: — Prawda, Kustenninie? Prawda?

— Oczywiście — potwierdził. — Sprawisz nam tym radość.

Ambrozynus już miał odpowiedzieć, do komnaty wpadła jednak prześliczna dziewczynka. Miała błękitne oczy ojca i ognistorude włosy matki; wyglądała uroczo w sięgającej jej do kostek sukni z błękitnej wełny — była to Ygraine, która przywitała go z wdziękiem.

Egeria natychmiast rozkazała służbie, by przygotowała wieszak i pomieszczenie dla gościa.

— Tylko chwilowo — powiedziała. — Jutro znajdziemy coś lepszego w bardziej wygodnym i słonecznym miejscu...

— Chętnie przyjmę waszą gościnę — przerwał jej Ambrozynus — ale nie mogę z wami zamieszkać, choć tego pragnę całym sercem. Nie jestem sam; wraz z grupą

przyjaciół uciekłem z Italii przed bezlitosnym i zażartym pościgiem.

— Bez względu na to, kto cię ściga — zapewnił Kustennin — tutaj jesteś bezpieczny i nikt nie ośmieli się zrobić ci krzywdy. Cała moja służba jest uzbrojona, a w razie potrzeby może nas ochronić, bo w istocie stanowi mały, zdyscyplinowany i waleczny oddział.

— Dziękuję ci — odrzekł Ambrozynus. — Moja historia jest długa i opowiem ci ją jeszcze dziś wieczorem, jeżeli znajdziesz cierpliwość, aby mnie wysłuchać. Ale dlaczego uzbroiłeś służbę? I co się stało z Legionem Smoka? Ja i moi przyjaciele rozbiliśmy obóz w starym forcie, ale od razu się zorientowaliśmy, że jest od dawna opuszczony. Może zmieniło się miejsce zakwaterowania?

— Mój Boże, Myrdinie! — zawołał Kustennin. — Legion nie istnieje od wielu lat; został rozwiązany...

Ambrozynus pociemniał na twarzy.

— Rozwiązany? Nie mogę w to uwierzyć. Przysięgali na zakrwawione ciało świętego Germanusa, że będą walczyć o wolność ojczyzny dopóty, dopóki będzie się w nich tliła choć iskierka życia. Nigdy nie zapomniałem o tej przysiędze, Kustenninie. I wróciłem po to, by dotrzymać obietnicy. Ale teraz muszę się pogodzić z tym, że nawet ty nie jesteś w stanie bronić tej ziemi przed najeźdźcami.

Kustennin westchnął.

— Przez całe lata usiłowałem zachować godność konsula i dopóki istniał legion, było to możliwe, mimo że nie brakowało osób, które wołały mnie napiętnować obraźliwym tytułem uzurpatora albo wsadzić do jednego worka z tyranami rządzącymi tą nieszczęsną ziemią. Ale po jakimś czasie legion został rozwiązany, Wortigernowi udało się przekupić sporą część senatu, a dzisiaj razem ze swoimi okrutnymi najemnikami trzyma w garści cały kraj. Carvetia to miasto, które ma szczęście, jako że Wortigern potrzebuje naszych koni i portu, dlatego nas tak nie ciemięży. Senat nadal się zbiera, sędziowie zaś sprawują, przynajmniej częściowo, swoją władzę. Ale to wszystko, co pozostało z wolności, którą Germanus zdołał nam przywrócić wraz

z dumą i godnością przynależną temu, kto jest panem własnego losu.

— Rozumiem — szepnął Ambrozynus spuszczać wzrok, by ukryć przygnębienie, które ogarnęło go na te słowa.

— Ale opowiadaj, co u ciebie — poprosił Kustennin. — Co porabiałeś przez te wszystkie lata, kim są ci przyjaciele, o których przed chwilą wspomniałeś, i dlaczego zaprowadziłeś ich do starego obozu?

W tym samym momencie Egeria przerwała im rozmowę mówiąc, że wieczerza gotowa, obaj mężczyźni zasiedli więc do stołu. W ogromnym palenisku buzował piękny ogień z dębowych polan, słudzy nalewali do pucharów spienione piwo, dokładając na talerze plastry pieczonego mięsiwa, wszyscy zaś zajadali z apetytem, wspominając stare dzieje. A kiedy już zabrano ze stołu naczynia, Kustennin dołożył drew do ognia, napełnił puchary słodkim winem z Galii i zaprosił przyjaciela, by usiadł obok niego przy palenisku.

Fala wspomnień oraz ciepło spowodowane przyjazną bliskością i winem zachęcały, by otworzyli przed sobą serca, i sprawiały, że opowiadanie było przyjemnością. Ambrozynus opowiedział więc swoje przygody od chwili, gdy opuścił Brytanię, by szukać pomocy cesarza. Kiedy skończył, była ciemna noc.

— Boże wszechmogący... — Kustennin popatrzył mu w oczy z Wyrazem osłupienia. — Przywiozłeś cesarza we własnej osobie... — szepnął.

— Zgadza się — potwierdził Ambrozynus. — W tej chwili śpi właśnie w owym opustoszałym miejscu, otulony derką, będącą zresztą jedyną rzeczą, jaką posiada, strzeżony przez najszlachetniejszych i na jmeźniej szych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na ziemi.

XXXIV

Wulfila wraz ze swymi ludźmi przyplłynął do Brytanii nazajutrz po przybyciu Aureliusza i jego kompanów, tuż przed wieczorem. Mając ze sobą konie i broń, czym prędzej zeszli na ląd. Chociaż sternik był poddanym Sjagriusza, przekonali go, by pojechał wraz z nimi, jako że pochodził z Brytanii i mógł się okazać cennym przewodnikiem, który pokazałby im, jak się poruszać po tej obcej ziemi. Wulfila zachęcił go do dezercji pieniędzmi i obiecał, że zapłaci mu więcej, jeśli będzie przydatny.

— Co chcesz wiedzieć? — zapytał sternik.

— Jak ich dopaść.

— To nie będzie łatwe. Widziałem ich przewodnika: to druid albo przynajmniej ktoś, kto został wychowany przez druidów, a to oznacza, że czuje się w tym kraju jak ryba w wodzie. Oznacza, że zna każdą tajemnicę, każdą kryjówkę. Jeśli dodać do tego, że mają nad nami ponad dzień przewagi, trafienie na ich ślad staje się bardzo trudne. Gdybyśmy wiedzieli, dokąd się udali, byłoby inaczej, ale tak... Brytania jest duża. To największa wyspa na świecie.

— Ale chyba nie ma tu zbyt wielu dróg, główne szlaki muszą być przecież znane.

— Oczywiście, ale wcale nie jest powiedziane, że pójdą właśnie którymś z nich. Mogą się przedzierać przez lasy, zdążać ścieżkami uczęszczanymi przez pasterzy albo nawet przez zwierzęta leśne.

— Ale przecież nie mogą się zbyt długo ukrywać. Skoro aż do tej pory nigdy nie zdołali mi uciec, to i teraz nie uciekną.

Pomaszerował wzdłuż plaży, po czym przystanął płonąć nienawiścią, wpatrzony w morską kipieli. Nagle dał sternikowi znak, by podszedł bliżej.

— Kto rządzi Brytanią?

— Co takiego?

— Czy jest tu jakiś król? Ktoś, kto ma w rękach największą władzę?

— Nie, krajem rządzi wielu lokalnych wodzów, którzy walczą ze sobą o władzę. Ale jest człowiek, którego wszyscy się boją i który zdominował większą część terytorium od Wału Hadriana aż do Caerleon; ma poparcie wśród okrutnych najemników. Nazywa się Wortigern.

— A gdzie jest jego siedziba?

— Na północy. Mieszka w niedostępnej fortecy, którą zbudował na miejscu dawnego rzymskiego obozu, Castra Vetera. Kiedyś był nieustraszonym wojownikiem i walczył z najeźdźcami z Północy, którzy sforsowali Wał Hadriana, broniąc miast i instytucji, ale potem władza go zepsuła i stał się krwawym tyranem. Usprawiedliwia własne rządy obroną północnych granic. W rzeczywistości jednak to tylko pretekst; on sam płaci haracz wodzom z Północy i wyżywa się wykrwawiając cały kraj nieustannymi kontrybucjami albo wręcz pozwalając saksońskim najemnikom, których sprowadził z kontynentu, rabować ile wlezie.

— Sporo wiesz.

— Bo przez wiele lat to była moja ziemia. Potem z rozpaczy schroniłem się w Galii i zaciągnąłem do wojska Sjagriusza.

— Jeżeli zaprowadzisz mnie do Wortigerna, nie będziesz żałował. Dam ci ziemię, służbę, bydło, wszystko, czego tylko zapagniesz.

— Mogę cię zaprowadzić do Castra Vetera. Ale potem sam musisz znaleźć sposób, żeby cię przyjęto. Powiadają, że Wortigern jest bardzo podejrzliwy i nieufny zarówno dlatego, że zdaje sobie sprawę, ile zasiał nienawiści i jak wielu ludzi pragnie jego śmierci, aby się zemścić za doznane krzywdy, jak i dlatego, że już jest bardzo stary i czuje się słaby.

— W takim razie jedźmy, nie traćmy czasu.

Zostawiwszy statek na pastwę morza, ruszyli wzdłuż brzegu, po czym dotarli do starej rzymskiej drogi publicznej — najszybszego środka, by dotrzeć do celu.

— Jak on wygląda? — zapytał swego przewodnika Wulfila.

— Nie wiadomo. Od lat nikt go nie widział z bliska. Niektórzy twierdzą, że jego zniszczona chorobą twarz zmieniła się w ropiejącą ranę. Inni znów uważają po prostu, że nie chce pokazywać poddanym, jak bardzo się zestarzał, a więc przygaszonych szklistych oczu, zaślinionych, bezzębnych ust czy zapadniętych policzków. Pragnie, żeby nadal się go bali, toteż ukrywa się za złotą maską, pod którą wygląda jak za młodu, w okresie świetności. To dzieło wielkiego artysty, który odlał ją ze złota pochodzącego z przetopionego kielicha mszalnego. Podobno to świętokradztwo zapewniło Wortigernowi przymierze z szatanem, ten zaś, kto włoży maskę, na zawsze posiada siłę demona.

Spojrzał spod oka na swego rozmówcę uświadomiwszy sobie, że niechcący przypomniał mu o jego szpetocie. O dziwo jednak Wulfila wcale się nie obraził.

— Za ładnie mówisz jak na marynarza — zauważył. — Kim naprawdę jesteś?

— Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja też byłem artystą i poznałem człowieka, który wykonał tę maskę. Ponoć został zabity po ukończeniu dzieła, ponieważ był jedyną osobą, która widziała z bliska zeszpeconą twarz Wortigerna. Minęły czasy, kiedy artysta cieszył się szacunkiem jako wybraniec Boga; czy na tym świecie jest jeszcze miejsce dla sztuki? Kiedy popadłem w nędzę, spróbowałem szczęścia na pokładzie łodzi rybackiej i tam nauczyłem się sterować i żeglować. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu będę miał okazję tworzyć w złocie lub srebrze jak ongiś albo malować wizerunki świętych w kościołach czy też układać mozaiki, a jednak mimo mojego wyglądu i obecnej sytuacji zawsze pozostanę artystą.

— Artystą? — powtórzył Wulfila spoglądając mu w oczy dziwnym wzrokiem, jakby właśnie wpadł mu do głowy niespodziewany pomysł. — A może potrafisz też odczytać inskrypcję?

— Znam stare inskrypcje celtyckie, runy Skanów i łacińskie epigrafy — odrzekł z dumą mężczyzna.

Wulfila dobył miecza i podsunął mu go pod nos.

— Więc powiedz, co znaczą te litery wyryte na kładze, a kiedy zakończymy naszą podróż, zapłacę ci i pozwolę odejść.

Jego przewodnik spojrział najpierw na klingę, potem zaś na barbarzyńcę bezgranicznie zdumionym wzrokiem.

— Co to jest? — zapytał niespokojnie Wulfila. — Czy to jakiś urok? Mów!

— O wiele więcej — odparł mężczyzna — o wiele więcej. Napis głosi, że miecz ten należał do Juliusza Cezara, pierwszego zdobywcy Brytanii, i że został wykuty przez Chalibów, plemię z Dalekiego Wschodu, które znało sekret niezłomnej stali.

Wulfila pokiwał głową z szyderczym uśmiechem.

— W moich stronach powiadają, że ten, kto dźrzy broń zdobywcy, sam staje się zdobywcą, a zatem twoje słowa to najlepsza wróżba. Zaprowadź mnie do Castra Vetera, a kiedy dotrzemy na miejsce, dam ci więcej pieniędzy i pozwolę odejść, dokąd zechcesz.

Wędrowali niemal przez dwa tygodnie, mijając ziemię wielu tyranów, imponująca wszakże liczba jeźdźców, którzy podążali za Wulfila, i jego budzący lęk wygląd otwierały im drogę bez większych trudności. Tylko raz pewien potężny władca o imieniu Gwynwird, otoczony silną zgrają uzbrojonych żołnierzy, ośmielił się zagrozić im drogę przez most, który prowadził na jego terytorium, w pobliżu Eburacum. Rozdrażniony pogardliwym zachowaniem obcego przybysza o szpetnej twarzy, kazał mu zapłacić myto i oddać broń, która miała mu zostać zwrócona, kiedy będzie opuszczał jego ziemię po drugiej stronie. Wulfila wybuchnął śmiechem i polecił swemu przewodnikowi, by mu powtórzył, że jeśli chce dostać broń, musi sam ją zdobyć w walce, i że wyzywa go na pojedynek. Zazdrosny o swoją sławę i prestiż władca przyjął wyzwanie, ale gdy ujrzał, jak jego przeciwnik dobywa niezwyklej roboty i oszałamiającej urody miecza, uświadomił sobie, że jest zgubiony. Po pierwszym ciosie jego tarcza została rozbita w drobny mak, po drugim rozleciał się jego miecz, po trzecim zaś jego głowa poszybowała między końskie

kopyta, z oczyma ciągle jeszcze otwartymi w wyrazie niedowierzania i przerażenia.

Zgodnie ze starym celtyckim zwyczajem wojownicy pokonanego wodza zgodzili się przejść pod rozkazy zwycięzcy, dzięki czemu banda Wulfili rozrosła się do rozmiarów małej armii i posuwała naprzód poprzedzana przerażającymi opowieściami na temat okrucieństwa jej herszta oraz miecza, który sprawiał, że był niepokonany. Wreszcie pewnego dnia, gdzieś w połowie zimy, dotarła do Castra Vetera.

Była to posępna i groźna forteca, która wznosiła się na porośniętym puszcza jodłową wzgórzu, otoczona podwójną fosą i murem i strzeżona przez setkę uzbrojonych żołnierzy. Ze środka dochodziło nieustanne ujadanie psów, kiedy zaś wojownicy Wulfili podjechali bliżej, stado kruków podrywało się do lotu wypełniając powietrze przenikliwym wrzaskiem. Przesłonięte ciężkimi chmurami niebo spowiadało zamek ołowianym światłem, przez co wydawał się jeszcze bardziej mroczny, o ile to w ogóle możliwe. Wulfila wysłał przodem nieuzbrojonego, idącego piechotą tłumacza.

— Mój pan — obwieścił tamten — został wysłany przez cesarski dwór w Rawennie, w Italii, aby złożyć hołd wielkiemu panu Wortigernowi i zaproponować mu przymierze. Przywozi ze sobą dary i cesarską pieczęć, która uwierzytelnia jego osobę i misję.

— Zaczekaj tu i nie ruszaj się — odparł strażnik.

Następnie szepnął coś do ucha wyglądającemu na jego zwierzchnika żołnierzowi, który zniknął wewnątrz fortecy. Minęło sporo czasu, siedzący zaś ciągle w siodle Wulfila niecierpliwiał się nie wiedząc, co o tym myśleć. W końcu żołnierz wrócił przynosząc odpowiedź swego pana: niechaj wysłannik pokaże dary i listy uwierzytelniające, a dopiero potem zostanie przyjęty. Ma być nieuzbrojony i bez eskorty.

Wulfila o mało nie zawrócił konia i nie odjechał, instynkt wszakże mu podpowiadał, że w zamku tym znajdzie sposób, by dopiąć celu, na myśl zaś, że za chwilę spotka się ze słabym i chorym tyranem, kusilo go, by zaufać

własnej energii i zaryzykować. W swym długim wojskowym życiu zbyt wiele razy widział, jak w targanym nieustannymi wojnami świecie, w którym panowało prawo silniejszego, przybysze znikąd wspinali się na najwyższe szczeble władzy, ponieważ potrafili wykorzystać nadarżające się okazje. Zgodził się więc.

Pilnowany przez oddział uzbrojonych strażników, minął dziedziniec, na którym rozpoznał oryginalne zabudowania rzymskiego obozu, otoczonego stajniami i kwaterami dla żołnierzy, po czym podszedł do głównego budynku — baszty z ociosanych głazów, o małych okienkach przypominających strzelnice, otoczonej chodnikiem dla straży i pokrytej gontem. Wszedł po schodach na samą górę, po czym przystanął przed żelaznymi drzwiczkami, które otworzyły się, chociaż żaden z eskortujących go mężczyzn nie zapukał. Dali mu znak, by wszedł do środka, i zamknęły za nim drzwi.

Wortigern stał przed nim sam. W ogromnej komnacie o nagich ścianach nie było nikogo innego, co bardzo go zdziwiło. Władca siedział na tronie w niedbałej pozie świadczącej o zmęczeniu; długa czupryna siwych włosów sięgała mu do piersi, twarz zaś skrywała złota maska. Jeżeli rysy twarzy zostały wiernie oddane, musiał być człowiekiem nadzwyczaj majestatycznym.

Wydobywający się spod blaszanej powłoki głos był nienaturalny i zniekształcony.

— Kim jesteś? Dlaczego chciałeś ze mną mówić?

Posługiwał się pospolitą łaciną, którą jego rozmówca rozumiał bez trudu.

— Moje imię brzmi Wulfila — padła odpowiedź.

— Jestem wysłannikiem dworu cesarskiego w Rawennie, gdzie zasiada na tronie nowy władca, waleczny wojownik o imieniu Odoaker, który pragnie oddać ci honory i zawrzeć z tobą braterskie przymierze. Cesarz był zniewiesciałym chłopcem w rękach dworskich intrygantów i został zdetronizowany.

— A dlaczegoż ten cały Odoaker chce zostać moim przyjacielem?

— Ponieważ znana mu jest twoja potęga jako władcy Brytanii i twoje męstwo. Ale jest też inny, bardzo istotny powód, który dotyczy zdetronizowanego cesarza.

— Mów — nakazał Wortigern, każde zaś słowo zda-
wało się go kosztować ogromny wysiłek.

— Grupa zbiegłych legionistów porwała chłopca przy
współudziale jego preceptora, szalonego starego Celta,
i wszyscy schronili się tutaj, na twojej wyspie. Są bardzo
niebezpieczni, więc chciałem cię ostrzec.

— Mam się bać starca i młokosa, którym towarzyszy
garstka włóczędów?

— Na razie nie, ale wkrótce mogą stanowić zagrożenie.
Przypomnij sobie, panie, stare porzekadło: „Zło powinno
się zdusić w zarodku”.

— *Principiis obsta...* — powtórzyła mechanicznie złota
maska. W młodości mężczyzna musiał otrzymać edukację
właściwą Rzymianom.

— Tak czy inaczej przydałby ci się tak potężny sprzy-
mierzeniec jak Odoaker, dysponujący wieloma tysiącami
żołnierzy i ogromnym bogactwem. Jeśli mu pomożesz
schwytać tych zbiegów, zawsze będziesz mógł liczyć na
jego wsparcie. O ile wiem, najazdy z Północy na twoje
królestwo jeszcze nie całkowicie ustały, zmuszając cię do
prowadzenia trudnej i kosztownej wojny.

— Jesteś dobrze poinformowany — zauważył Wor-
tigern.

— Po to, aby służyć tobie i mojemu panu Odoak-
rowi.

Wortigern oparł się mocno o poręcz tronu, by wypros-
tować plecy i szyję, Wulfila zaś poczuł na sobie jego ciężkie
spojrzenie przedostające się przez oczodoły w nieruchomej
masce. Domyśliwszy się, że tamten przygląda się jego
bliźnie, zapłonął nienawiścią.

— Wspomniałeś o darach... — powiedział Wortigern.

— Zgadza się — przytaknął Wulfila.

— Chcę je zobaczyć.

— Pierwszy z nich możesz obejrzeć wyglądając przez
okno: to dwustu żołnierzy, których przywiozłem ze sobą,

żeby oddać ich do twojej dyspozycji. To znakomici wojownicy, którzy potrafią się sami utrzymać, więc nie będą cię nic kosztować. Jestem gotów sam ich poprowadzić na każdą wyprawę, na jaką zechcesz nas wysłać. To dopiero początek, jeśli będziesz potrzebował więcej wojska, mój pan Odoaker może ci je w każdej chwili przysłać.

— Musi się bardzo bać tego chłopca — stwierdził Wortigern.

Wulfila zmilczał tę uwagę. Stojąc przed tronem pomyślał, że stary tyran podejdzie do okna, by obejrzeć jego ludzi, Wortigern wszakże wcale nie ruszył się z miejsca.

— A reszta darów?

— Reszta? — Wulfila zawahał się przez chwilę, po czym twarz rozjaśniła mu się nagle. — Mam jeszcze tylko jeden dar — ciągnął — ale za to jest to najbardziej niezwykle przedmiot, jaki możesz sobie wyobrazić, przedmiot, za który najpotężniejsi panowie świata odduliby wszystkie swoje bogactwa, byleby go zdobyć. To najcenniejszy talizman, jaki kiedykolwiek istniał. Należał do Juliusza Cezara, pierwszego zdobywcy Brytanii. Temu, kto go posiada, przeznaczone jest, że będzie panował nad tym krajem po wsze czasy i żył wiecznie.

Wortigern siedział na tronie bez ruchu, w skupieniu, sztywno wyprostowany. Można by go wziąć za posąg, gdyby nie ledwie dostrzegalne drżenie szponiastych dłoni. Wulfila wyczuł, że jego słowa rozpały w nim bezgraniczną chciwość.

— Więc mi go pokaż — powiedział starzec, jego głos zaś zabrzmiał władczo i zarazem niecierpliwie.

— Podarunek będzie twój, jeśli pomożesz mi schwytać naszych wrogów, jeśli pozwolisz mi wymierzyć im karę, na jaką zasługują, i jeśli oddasz mi głowę chłopca. Taka jest cena, jaką musisz zapłacić.

Nastąpiła długa cisza, po czym Wortigern powoli skinął głową.

— Zgadzą się — oznajmił — i mam nadzieję, że twój podarunek mnie nie rozczaruje. Człowiek, który doprowadził cię przed moje oblicze, to dowódca wojsk saksońskich.

Opiszesz mu ludzi, których szukasz, aby mógł powiadomić naszych szpiegów, którzy mają oczy i uszy otwarte.

Kiedy skończył mówić, głowa opadła mu bezwładnie na ramię, jakby wyzionął ducha, a ze złotych ust maski wydobyło się jedynie słabe rzęzenie. Wulfila doszedł do wniosku, że rozmowa dobiegła końca. Skłoniwszy się więc, ruszył do drzwi.

— Zaczekaj! — zawołał niespodziewanie głos.

Wulfila odwrócił się przodem do tronu.

— Rzym... Widziałeś go kiedyś?

— Tak — odparł. — Jego piękna niepodobna opisać ludzkimi słowami. Ale opowiem ci, co widziałem: marmurowe łuki tak wysokie jak pałace, a nad nimi rydwany z brązu ciągnięte przez pozłacane rumaki i powożone przez uskrzydłone bóstwa. Place otoczone portykami, które podpierają tysiące kolumn wykutych z jednego bloku marmuru i mieniących się najpiękniejszymi kolorami, a każda z nich wysoka jak ta twoja wieża. Świątynie i bazyliki ozdobione malowidłami i mozaikami. Fontanny, w których bajeczne postaci z marmuru i brązu leją wodę do kamiennych niecek, tak wielkich, że mogłyby pomieścić stu ludzi. Ponadto stoi tam budowla wykonana z setek łuków, wznoszących się jeden na drugim, gdzie starożytni uśmiercali chrześcijan, rzucając ich na pożarcie dzikim zwierzętom. Zwą ją Kolo-seum i jest ona tak ogromna, że do środka wszedłby cały twój zamek.

Przerwał, zza maski bowiem dobywała się sycząca skarga, przepelnione cierpieniem rzęzenie, których nie potrafiłby zinterpretować — może był to sen z dalekiej młodości, który nigdy się nie ziścił, może chciwość, którą rozbudziły wizje tak wielkich bogactw, a może wewnętrzna udręka, którą przeżywała dusza uwięziona w szpetnym, zdeformowanym ciele, wyniszczonym przez starość i chorobę, na myśl o takim przepychu.

Wulfila wyszedł zamykając za sobą drzwi, po czym wrócił do swoich żołnierzy. Rzuciwszy tłumaczowi sakiewkę pełną pieniędzy, powiedział:

— Oto twoja zapłata tak, jak obiecałem. Teraz możesz odejść, bo wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć.

Mężczyzna wziął pieniądze i skłoniwszy głowę w pośpiesznym podziękowaniu, spiął konia do galopu, by uciec jak najdalej od tego posępnego zamczyska.

Od tego dnia Wulfila został najwierniejszym i najbardziej okrutnym zbrojnym Wortigerna, wszędzie zaś tam, gdzie mieszkańcy kraju wznieśli bunt, pojawiał się niespodziewanie na czele swych wojowników siejąc strach, śmierć i zniszczenie z tak porażającą szybkością, z tak niszczycielską siłą, że nikt już nie ośmielił się nawet mówić o wolności, rozmawiać w zaufaniu z przyjaciółmi ani nawet z rodziną w czterech ścianach własnego domu. A łaska, jaką cieszył się u tyrana, rosła ponad miarę proporcjonalnie do owoców rzezi i grabieży, które rzucał mu do stóp.

Wulfila uosabiał wszystko to, czego Wortigern już nie mógł mieć: niewyczerpaną energię, siłę ramienia i lotność umysłu. Był niemal fizycznym ucieleśnieniem jego manii rządzenia i to do tego stopnia, że nie musiał mu już nawet wydawać rozkazów, barbarzyńca potrafił je bowiem przewidzieć i wykonać, zanim jeszcze zabrzmiały w ogromnej komnacie o gołych ścianach. A jednak właśnie z powodu wszystkich tych zdolności, z powodu złośliwej inteligencji, która lśniła w jego lodowatych oczach, Wortigern bał się Wulfili. Nie ufał pozornej uległości tego tajemniczego wojownika, który przybył zza morza, chociaż sprawiał wrażenie, że jego głównym celem jest znalezienie chłopca i zawieszenie jego głowy do Rawenny.

Pewnego dnia, chcąc pokazać, do czego może doprowadzić zdrada albo nawet myśl o niej, kazał mu się przyglądać egzekucji wasala, którego jedynym przewinieniem było zatrzymanie dla siebie części łupu zagarniętego podczas jednej z grabieży.

Do baszty przylegał otoczony wysokim kamiennym murem dziedziniec, na którym trzymał w zamknięciu swoje mastyfy—budzące grozę zwierzęta, często używane w walce z wrogiem, jedyną zaś rozrywką Wortigerna było karmienie ich dwa razy dziennie kawałkami mięsa, które

rzucił im przez znajdujące się za tronem okno. Skazańca rozebrano, zawieszono na linie i powoli opuszczano, psy zaś, które przez całe dwa dni nie dostały nic do jedzenia, jeły go pożerać żywcem od stóp w miarę, jak opadał coraz niżej. Wrzaski, jakie wydawał z bólu ów nieszczęśnik, ogłuszające ujadanie psów, które oszalały z powodu zapachu krwi, zaciekle walcząc między sobą o posiłek, rozbrzmiewały w murach baszty wprawdzie nieco przyciszone i zniekształcone, lecz były nie do zniesienia dla każdego, w kim drzemały jeszcze choć resztki ludzkich uczuć. Wulfila wszakże nawet nie mrugnął powieką, lecz delektował się tym potwornym widowiskiem aż do ostatniego momentu, kiedy zaś spojrział na Wortigerna, jego oczy błyszczały od niepokojącego podniecenia, od niewzruszonego okrucieństwa.

XXXV

Wreszcie nadeszła wiosna i śnieg leżał jeszcze tylko na szczycie *Mons Badonicus*, który w miejscowym dialekcie nazywano Mount Badon. Wielu chłopów powracających na pola i pasterze prowadzący stada na pastwiska widzieli z daleka purpurowego smoka, który łopotał na wietrze, widzieli, jak jego wykonana z czystego srebra głowa lśni na najwyższej wieży fortecy; znak ten przywoływał odległe wspomnienia o odwadze i chwale.

Ambrozynus, kręcąc się wśród mieszkańców na jarmarkach i w wiejskich domostwach, słyszał i rozumiał, jaki niepokój wzbudzał ów widok, ilu ludzi drżało na owo wspomnienie, które wyłoniło się niespodziewanie z zapomnianej i odległej przeszłości, chociaż nie okazywali otwarcie, co myślą. Pewnego razu zobaczywszy pasterza, który przyglądał się z daleka sztandarowi legionu, zapytał udając obcego:

— Cóż to za chorągiew? Jakim cudem łopocze nad tym opuszczonym fortem?

OSTATNI LEGION

Mężczyzna spojrział na niego dziwnie.

— Musisz pochodzić z bardzo daleka — stwierdził — skoro nie znasz tej chorągwi. Przez długie lata była jedyną ostoją honoru i wolności na tej ziemi, prowadząc do boju legendarne wojsko: Dwunasty Legion Smoka.

— Słyszałem o nim — powiedział Ambrozynus. — Ale zawsze myślałem, że to tylko nie mająca nic wspólnego z rzeczywistością pogłoska, którą się rozpущa po to, by odstraszyć barbarzyńców z Północy od grabieży.

— Mylisz się — odparł pasterz. — Ow oddział istniał naprawdę i ten, który z tobą teraz rozmawia, należał do niego w młodości.

— A co się stało z legionem? Może został wybity? Albo zmuszony do poddania się?

— Ani jedno, ani drugie — zaprzeczył pasterz.

— Zdradzono go. Zapusciliśmy się aż za dolinę ścigając bandę Szkotów, którzy porwali kobiety z jednej z naszych wiosek, natomiast przejścia w Wale Hadriana, którym zamierzaliśmy wrócić, miał pilnować wódz zaprzyjaźnionego z nami plemienia. Ale kiedy cofaliśmy się przed naporem hordy rozwścieczonych wrogów, przejście było zamknięte, sprzymierzone plemię zaś celowało w nas broń. Zostaliśmy otoczeni! Wielu z nas poległo w walce, ale wielu też się uratowało, ponieważ nagle podniosła się strasznie gęsta mgła, która nas zasłoniła pozwalając uciec ukrytą między wysokimi skałami doliną. Postanowiliśmy się rozdzielić i pojedynczo wrócić do domów. Zdrajca nazywał się Wortigern; to ten, który nas teraz uciska i wykrwawia podatkami, grabieżami, który nas ciemieży. Od tamtej pory żyjemy w ukryciu i wstydzie, zajmując się własnymi sprawami i próbując zapomnieć, kim byliśmy. Ale nagle ów sztandar, który jakimś cudem pojawił się znikąd, przypomniał nam, że ten, kto przez długie lata walczył o wolność, nie może umrzeć jako niewolnik.

— A powiedz mi — indagował dalej Ambrozynus — kto rozwiązał legion? Kto wam poradził, żebyście wrócili do domów?

— Nasz dowódca poległ w walce. To jego zastępca, Kustennin, podsunął nam taką możliwość. Był to mądry i waleczny człowiek, który chciał naszego dobra. Jego żona powiła właśnie córeczkę piękną jak pączek róży i być może wtedy życie stało się dla niego czymś najcenniejszym. My także zaczęliśmy myśleć o naszych kobietach, domach i dzieciach. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że zdołalibyśmy je naprawdę obronić tylko wówczas, gdybyśmy pozostali razem, zjednoczeni pod tym sztandarem...

Ambrozynus miał ochotę kontynuować tę rozmowę, mężczyzna wszakże nie mógł już mówić, gdyż coś ścisnęło go za gardło. Rzuciwszy długie spojrzenie na łopoczącą w słońcu chorągiew, oddalił się w milczeniu.

Wstrząśnięty jego opowieścią starzec wielokrotnie składał wizyty Kustenninowi usiłując przeciągnąć go na swoją stronę, lecz na próżno. Jego zdaniem bowiem przeciwstawianie się Wortigernowi równało się samobójstwu, a pozory wolności, którymi nadal cieszyli się jego ludzie, wydawały się mu wystarczać, zwłaszcza w porównaniu z olbrzymim ryzykiem, na jakie naraziłby ich bunt. Niebezpieczeństwo to musiało być dla niego tak straszne, że ani razu nie odwiedził przybyszów.

Carvetia była w kraju Wortigerna jedynym miastem, które zdołało zachować resztki wolności, i to tylko dlatego że ów tyran potrzebował produktów pochodzących z jej rynków i znajdującego się na oceanie portu, skąd mogły jeszcze przychodzić rzadkie towary, a także ważne wieści, równie niezbędne do utrzymania i rozszerzania jego władzy jak miecze najemników.

Tymczasem wewnątrz fortecy mężczyźni odnowili bądź odbudowali ganki i wieżyczki, uzbroili wał i fosę w zaostrome pale utwardzone w ogniu. Batiatus uruchomił na nowo kuźnię, jego młot zaś bez przerwy uderzał o kowadło. Watrenus, Demetriusz i Orozjusz doprowadzili do porządku stare kwatery, stajnie, piec i młyn, dzięki czemu Liwia mogła ich uszczęśliwić zapachem świeżo upieczonego chleba i mleka prosto od krowy. Jedynie Aureliusz, kiedy minął pierwszy entuzjazm, z każdym

dniem stawał się coraz bardziej przygnębiony. Nocą spędzał długie godziny na przedpiersiu, ściskając broń i wpatrując się w ciemność, jakby spodziewał się, że za chwilę pojawi się wróg, który zresztą wcale nie nadchodził, wróg, wobec którego czuł się teraz wylękniony i bezsilny, zjawą, która przybierała niekiedy jego własną postać — postać tchórza, a nawet gorzej: zdrajcy. Znowu znajdował się na bastionach cytadeli przygotowując się do jej obrony. Kiedy nastąpi oblężenie? Kiedy ukażą się na horyzoncie hordy jeźdźców na koniach? Kiedy na błękitnym niebie wybije godzina prawdy? Kto tym razem otworzy bramę wrogom? Kto wpuści wilka do owczarni?

Odgadując myśli Aureliusza i wyczuwając jego cierpienie — tak ogromne, że nawet miłość do Liwii nie zdołała go uśmierzyć, Ambrozynus doszedł do wniosku, że trzeba wreszcie zacząć działać, wyzwąć los, który do tej pory z niego szydził i wymykał się z rąk. Kiedy zaś zastanawiał się, co najlepiej zrobić, nagle na swym białym koniu nadjechał Kustennin. Przynosił złe wieści: otóż Wortigern rozkazał rozwiązać senat w ciągu miesiąca, zlikwidować dawne rządy i wpuścić za mury oddział przybyłych z kontynentu okrutnych najemników.

— Może to ty miałaś rację, Myrdinie — powiedział Kustennin. — Jedyna wolność to ta, którą się wywalczy potem i krwią. Ale niestety teraz jest już za późno.

— Nieprawda — odparł Ambrozynus. — Jutro dowiesz się dlaczego, jeśli przyjdiesz na posiedzenie senatu.

Kustennin pokręcił głową, jakby usłyszał słowa pozbawione sensu, po czym wskoczył na konia i pogalopował przez opustoszałą dolinę.

Nazajutrz, zanim jeszcze wstał dzień, Ambrozynus udał się wraz z chłopcem do miasta.

— Dokąd idziesz? — zapytał Aureliusz.

— Do Carvetii — odrzekł starzec — do senatu albo na rynek, żeby zwołać zebranie wszystkich mieszkańców, jeśli to będzie konieczne.

— Idę z tobą.

— Niej twoje miejsce jest tutaj, na czele żołnierzy. Ale nie trać wiary — dodał, po czym dzierżąc swój kostur pielgrzymi ruszył w drogę wijącą się wśród łąk ścieżką, brzegiem *Lacus Virginis*, w kierunku miasta.

Carvetia nadal miała wygląd rzymskiego miasta z typowymi dlań murami z ociosanych kamieni, których strzegli wartownicy, ulicami i domami, obyczajami i mową mieszkańców. Kiedy Ambrozynus dotarł wreszcie do budynku senatu, ujrzał przedstawicieli narodu, którzy wchodzili do środka, by uczestniczyć w posiedzeniu. Pozostali obywatele stłoczyli się w atrium, nim zamknięto drzwi.

Wówczas podniósł się jeden z mówców, by zabrać głos. Był to mężczyzna o surowym i imponującym wyglądzie i szczerej twarzy, odziany w proste szaty. Musiał się cieszyć ogromnym szacunkiem i poważaniem, jako że ledwie przemówił, natychmiast zapadła cisza.

— Senacie i ludu Carvetii! — zawołał. — Nasza sytuacja stała się nie do zniesienia. Nasz tyran zwerbował kolejnych cudzoziemskich najemników odznaczających się niesłychanym okrucieństwem pod pretekstem obrony mieszkańców miast, w których nadal istnieją niezależne instytucje, i szykuje się do rozwiązania ostatniego bastionu swobody zgromadzeń obywateli Brytanii: naszego senatu!

Wśród senatorów i tłoczącej się w atrium gawiedzi rozległ się ponury pomruk niezadowolenia.

— Cóż powinniśmy zrobić? — ciągnął mężczyzna. — Ugiąć kark jak do tej pory? Godzić się na kolejne niesprawiedliwości i upokorzenia, pozwolić, żeby deptano nasze prawa i naszą godność, hańbiono nasze domy, odbierano nam żony i dzieci?

— Niestety nie mamy wyboru — powiedział drugi mówca. — Stawianie oporu Wortigernowi równałoby się samobójstwu.

— To prawda — przyznał trzeci. — Nie możemy się narażać na jego gniew, bo mógłby nas przepędzić. Jeżeli natomiast mu ulegniemy, możemy mieć nadzieję na utrzymanie przynajmniej niektórych przywilejów.

Wtedy Ambrozynus, trzymając za rękę Romulusa, wystąpił naprzód.

— Proszę o głos, szlachetni senatorowie! — zawołał.

— Kim jesteś? — zapytał przewodniczący zgromadzenia. — Dlaczego zakłócasz porządek posiedzenia?

Ambrozynus odsłonił głowę i wyszedł na środek auli, nadal ściskając dłoń chłopca, chociaż ten wcale nie miał ochoty się pokazać.

— Jestem Myrdin Emreis — zaczął — druid ze świętego lasu Glewa i obywatel rzymski o imieniu Meridius Ambrozynus, dopóki na tej ziemi obowiązywało prawo rzymskie. Wiele lat temu wysłaliście mnie do Italii, żebym wybłagał pomoc u cesarza i sprowadził wojsko, które przywróciłoby w tym umęczonym kraju porządek i dobrobyt z chwalebnych czasów świętego Germanusa, wysłannika Aecjusza, ostatniego i najwaleczniejszego żołnierza Rzymu. — Zdumienie, jakie wywołała jego niespodziewana obecność, pogrzyżyło salę w głębokie; ciszy, toteż Ambrozynus mówił dalej: — Nie udało się. Podczas podróży straciłem kompanów, którzy pomarli z zimna, z głodu czy z powodu chorób lub zostali zabici. Uratowawszy się cudem, przez wiele dni siedziałem na dziedzińcu pałacu cesarskiego w Rawennie błagając, by mnie wysłuchano, lecz na próżno. Nie dopuszczono mnie nawet przed oblicze cesarza, słabego człowieka, który był marionetką w rękach barbarzyńskiej armii. A teraz wróciłem. Co prawda późno, ale za to nie sam i nie z pustymi rękoma! Przypuszczam, że wszyscy znacie prorocstwo zapowiadające przybycie młodzieńca o czystym sercu, który przyniesie tej ziemi miecz sprawiedliwości i przywróci jej utraconą wolność. A więc — zawołał — przyprowadziłem wam tego młodzieńca, szlachetni senatorowie! — Popchnął chłopca naprzód, by mogli go zobaczyć. — To jest Romulus Augustus Cezar, ostatni cesarz Rzymian!

Po jego słowach zapadła głęboka, pełna zdumienia cisza, po niej zaś rozległ się szmer zdziwienia, który narastał coraz bardziej, aż przeszedł w głośny pomruk. Na jednych wiadomość ta zdawała się robić ogromne wrażenie, inni

przeciwnie, zaczęli chichotać, jeszcze inni natrzęsali się otwarcie z nieoczekiwanego mówcy.

— A gdzie ten cudowny miecz? — zawołał jeden z senatorów przekrzykując harmider.

— A gdzie są legiony nowego cezara? — zapytał drugi.
— Wiesz, ilu wojowników ma Wortigern? Wiesz?

Ambrozynus zawahał się przez chwilę wstrząśnięty jego słowami, po czym rzekł:

— Właśnie powstaje na nowo Dwunasty Legion Smoka. Cesarz zostanie przedstawiony żołnierzom i jestem pewien, że odnajdą oni w sobie siłę i chęć walki, by stawić czoło tyranii.

Hałaśliwy śmiech napełnił echem całą salę, po czym wstał trzeci senator, by zabrać głos.

— Naprawdę dawno cię tu nie było, Myrdinie—zwrócił się do Ambrozynusa nazywając go celtyckim imieniem.

— Ten legion został rozwiązany wiele lat temu; nikomu nawet by się nie śniło, żeby chwycić za broń.

Rozległy się kolejne salwy śmiechu. Romulus poczuł, jak znowu zalewa go owa fala szyderstwa i kpin, jednakże nie ruszył się z miejsca. Ukrywszy twarz w dłoniach, stał w milczeniu pośrodku auli. Na jego widok zgiełk nagle ucichł, pozostawiając po sobie szmer zakłopotania i nieoczekiwanego wstydu. Wówczas Ambrozynus podszedł bliżej i położywszy mu rękę na ramieniu, zapłonął oburzeniem.

— Śmiejcie się, czcigodni senatorowie, no dalej, nągrawajcie się z tego chłopca. On nie może się ani bronić, ani odpowiedzieć na wasze głupie obelgi. Widział na własne oczy, jak zamordowano jego rodziców, był ścigany bez wytchnienia, bez litości i zaszczuty jak zwierzę przez wszystkie potęgi na całej ziemi. Chociaż jest przyzwyczajony do cesarskiego przepychu, znosił największe wyrzeczenia jak młody bohater. Ukrywał w sercu najzupełniej zrozumiały u chłopca w jego wieku ból, rozpacz i strach z siłą i odwagą godną starożytnego bohatera republikańskiego. Gdzie wasz honor, senatorowie Carvetii? Gdzie wasza duma? Zasługujecie na tyranie Wortigerna, powin-

OSTATNI LEGION

niście znosić tę hańbę, bo macie dusze niewolników! Ten chłopiec stracił wszystko oprócz honoru i życia. To prawowity władca, którego majestat naznaczony został cierpieniem. Przyprowaździłem go do was jako ostatnie ziarno umierającego drzewa, które miało dać początek nowemu światu, trafiło wszakże na zgniłą i jałową ziemię. Macie słuszość odrzucając go, ponieważ nie jesteście go warci. Nie! Zaslugujecie tylko na pogardę ze strony każdego człowieka wiary i honoru!

Ambrozynus skończył swą smutną przemowę w pełnej osłupienia ciszy. Przerażone i oszołomione zgromadzenie pograżyło się w całkowitym milczeniu. Ambrozynus splunął na ziemię na znak najwyższej pogardy, po czym chwycił Romulusa za ramię i wyszedł z lekceważącą miną, mimo że podniosło się kilka słabych głosów, które próbowały go zatrzymać. Ledwie obaj utworowali sobie drogę wśród tłumu i opuścili salę, rozgorzała gorąca dyskusja, jeden z obecnych wymknął się wszakże bocznymi drzwiami i wskoczył na wóz rozkazując woźnicy natychmiast ruszać.

— Do Castra Vetera — powiedział. — Do zamku Wortigerna, prędko!

Rozwścieczony z powodu doznanej zniewagi Ambrozynus wypadł na plac usiłując po raz kolejny nakłonić Romulusa, by nie poddawał się przeciwnościom losu, kiedy nagle poczuł, że ktoś ściska go za ramię.

— Myrdin!

— Kustennin! — zawołał Ambrozynus. — Mój Boże, widziałeś, co za wstyd? Też byłeś w senacie?

Męczyzna skinął głową.

— Tak, widziałem. Teraz rozumiesz, dlaczego ci powiedziałem, że już za późno? Wortigern przekupił dużą część senatu, więc może sobie dzisiaj pozwolić, żeby go rozwiązać, i nie napotka żadnego oporu.

Ambrozynus pokiwał głową z powagą.

— Koniecznie muszę się z tobą rozmówić — oznajmił. — To będzie długa rozmowa, ale teraz muszę iść, nie mogę tu zostać. I muszę zabrać ze sobą chłopca... Romulusie,

chodź, idziemy. — Poszukał go wzrokiem, chłopiec jednak zniknął.

— O Boże, gdzie jesteś? Gdzie chłopiec? — zawołał pełen niepokoju.

W tej samej chwili zjawiła się Egeria.

— Nie martw się — powiedziała z uśmiechem. — Spójrz, jest tam, na plaży, a za nim poszła moja córka Ygraine.

Ambrozynus odetchnął z ulgą.

— Daj im chwilę porozmawiać. Dzieci potrzebują towarzystwa rówieśników—dodała Egeria. — Ale powiedz mi, czy to, co słyszałam od ludzi wychodzących z senatu, jest prawdą? Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Nie mają już w ogóle godności ani nawet odrobiny wstydu, żeby ukryć własne tchórzostwo.

Ambrozynus skinął potakująco głową, jednocześnie ani na moment nie tracąc z oczu chłopca, który siedział na brzegu morza.

Romulus przyglądał się w milczeniu falom, które rozbijały się o kamienie, nie mogąc powstrzymać wstrząsających nim łkań.

— Jak masz na imię? Dlaczego płaczesz? — rozległ się dziewczęcy głosik za jego plecami. Donośny, beztroski i irytujący. Jednakże kiedy poczuł na policzku dotyk tak delikatny jak muśnięcie skrzydła motyla, ogarnęło go miłe ciepło.

Odpowiedział nie odwracając się, w tej bowiem chwili nie chciał, by okazało się, że głos i pieszczota wcale nie pasują do twarzy, którą nagle sobie wymarzył.

— Płaczę, bo straciłem wszystko: rodziców, dom, ziemię. Bo być może stracę też ostatnich przyjaciół, jacy mi pozostali, a nawet własne imię i wolność. Płaczę, bo w żadnym miejscu na ziemi nie zaznam spokoju.

Dziewczynka roztropnie zmilczała te słowa, nabrzmiałe niepojętym bólem, jej dłoń wszakże nadal gładziła włosy i policzek Romulusa, dopóki nie poczuła, że się uspokoił. Wówczas rzekła:

— A ja jestem Ygraine i mam dwanaście lat. Mogę tu trochę z tobą posiedzieć?

Romulus odparł, że tak, ocierając łzy brzegiem rękawa, ona zaś usiadła na piętach na piasku naprzeciwko niego. Podniósłszy wzrok, by się przekonać, czy jej buzia jest równie słodka jak głos i dotyk, chłopiec ujrzał przed sobą dwoje błękitnych wilgotnych oczu i twarz o delikatnej urodzie otoczoną burzą płomiennorudych włosów, które powiewały na wietrze przysłaniając czoło i piękne oczy. Poczuł, jak serce zabiło mu mocniej oblewając falą gorąca jak nigdy przedtem. Nagle dostrzegł w jej spojrzeniu, ile pięknych, ciepłych i słodkich słów czeka go jeszcze w życiu. Pragnął jej powiedzieć cokolwiek, co podszeptęłoby mu serce, w tym samym jednak momencie posłyszał kroki preceptora i towarzyszących mu osób.

— Gdzie spędzicie dzisiejszą noc? — zapytał Kustennin.

— W forcie — odrzekł Ambrozynus.

Kustennin ostrzegł go pełen lęku:

— Bądź ostrożny; twoja przemowa nie przeszła niezauważona.

— Właśnie o to mi chodziło — odparł sucho Ambrozynus. W głębi duszy wszakże pojął znaczenie tych słów i poczuł strach.

— Chodź, Ygraine — powiedziała Egeria. — Mamy sporo rzeczy do zrobienia przed wieczorem.

Dziewczynka niechętnie wstała i ruszyła za matką oglądając się co chwila za młodym nieznajomym, który tak bardzo różnił się od wszystkich znanych jej chłopców bladą, zmęczoną twarzą, szlachetnością rysów i głosu, bijącą z jego słów siłą, rozdzierającym smutkiem w oczach. Kustennin również się pożegnał i oddalił wraz z rodziną.

Egeria puściła Ygraine przodem, sama zaś zaczekała na męża, by z nim pomówić.

— To oni zatknęli sztandar z wizerunkiem smoka w starej fortecy, prawda?

— Tak — potwierdził Kustennin. — To prawdziwe szaleństwo. Na dodatek dzisiaj w senacie Myrdin powie-

dział, że legion się odradza, chociaż w rzeczywistości jest ich wszystkiego sześćcioro czy siedmioro. Poza tym wyjawiał senatorom, kim jest chłopiec. Masz pojęcie?

— Nie potrafię sobie wyobrazić, jak odebrano podobną wiadomość — odparła Egeria. — Ale ten sztandar budzi ogromne podniecenie i oczekiwanie. Ponoć niektórzy odkopują broń, którą ukryli wiele lat temu. Powiadają, że niejeden mężczyzna chętnie by się przyłączył do tych przybyszów. Krążą pogłoski o dziwnych światłach, które migoczą nocą na przedpiersiu, o przypominających grzmoty hałasach, które rozlegają się w górach. Martwię się; boję się, że nawet tę namiastkę pokoju, ten nasz z trudem osiągnięty byt, mogą zburzyć kolejne walki, kolejne zamieszki, kolejny rozlew krwi.

— To tylko garstka zbiegów, Egerio, stary marzyciel wizjoner i chłopiec — odrzekł Kustennin, rzucając ostatnie spojrzenie na przyjaciela, który pojawił się jak wyczarowany po tylu latach.

Starzec i chłopiec stali obok siebie wpatrując się w milczeniu w fale, które rozbijały się o skałę w kipieli białej piany.

Nazajutrz pod wieczór przed bramą Castra Vetera zatrzymał się wóz senatora. Mężczyzna został wprowadzony do rezydencji Wortigerna, najpierw wszakże przedstawiono go Wulfili, który zdążył już pozyskać pełne zaufanie swego pana. Po krótkiej wymianie zdań twarz barbarzyńcy wykrzywił szyderczy uśmiech zadowolenia.

— Chodź za mną — powiedział. — Musisz osobiście przekazać tę wieść naszemu władcy, który będzie ci za nią wdzięczny.

Zaprowadził go do dalszej części zamku, przed oblicze Wortigerna. Starzec przywitał ich siedząc na tronie; złota maska była jedynym przedmiotem, który rozpraszał wieczorny mrok.

— Mów — rozkazał Wulfila, toteż senator zabrał głos.

— Czcigodny Wortigernie—zaczął—wczoraj w senacie Carvetii pewien człowiek ośmielił się opowiedzieć

OSTATNI LEGION

publicznie przeciwko tobie, nazywając cię tyranem i podżegając do buntu. Oświadczył, że stary, dawno rozwiązany legion odradza się, i przedstawił nam jakiegoś chłopca twierdząc, że to cesarz...

— To oni — przerwał mu Wulfila. — Nie ma żadnych wątpliwości. Stary bredzi coś o jakiejś przepowiedni na temat młodego władcy, który ma przybyć zza morza. A to stwarza zagrożenie, wierz mi. On nie jest takim szaleńcem, na jakiego wygląda. Przeciwnie, to szczwany lis, który wykorzystuje przesady i odwołuje się do dawnych tęsknot arystokracji rzymsko-celtyckiej. Jego cel jest oczywisty: zrobić z tego małego oszusta symbol. I wykorzystać go przeciw tobie.

Wortigern podniósł kościstą dłoń na znak pożegnania, po czym senator, skłoniwszy się uniżenie, wycofał się w tej pozycji aż do drzwi i czym prędzej wyszedł.

— Więc co proponujesz? — zapytał tyran zwracając się do Wulfili.

— Daj mi wolną rękę, pozwól wyruszyć wraz z moimi ludźmi, bo tylko im ufam. Ja ich znam, znajdę ich i wykurzę z każdej kryjówki, gdziekolwiek się zaszyli. Przyniosę ci skórę starego do wypchania, a sam zatrzymam sobie czerep chłopca.

Wortigern wolno pokręcił głową.

— Nie chcę skóry starego. Zawarliśmy inną umowę.

Wulfila drgnął. W tej oto chwili los podsunął mu wymarzoną okazję — wszystko układało się zgodnie z od dawna obmyślanym planem. Wystarczy jedno ostateczne pociągnięcie, a otworzy się przed nim przyszłość i władza bez granic. Odparł, z trudem hamując podniecenie:

— Masz rację, Wortigernie. Z radości, że wreszcie skończy się moje długie polowanie, na chwilę zapomniałem o złożonym przyrzeczeniu. Słusznie: ty oddasz mi głowę chłopca i pozwolisz rozbić w pył tych zbiegłych legionistów i morderców, którzy go ochraniają, tak jak na to zasługują, a ja w zamian ofiaruję ci obiecany dar.

— Jak widzę, zawsze potrafisz właściwie odczytać moje myśli, Wulfilo. A zatem przynieś mi ten dar, o którym tak

długo kazałeś mi marzyć. Ale przedtem powiedz mi jedną rzecz.

— Mów.

— Czy wśród tych ludzi, których zamierzasz zniszczyć, jest też ten, który rozciął ci twarz?

Wulfila spuścił oczy, by ukryć drapieżny błysk, który przez nie przemknął, i odparł z niechęcią:

— Zgadza się, jest tak, jak powiedziałeś.

Tyran doznał satysfakcji, po raz kolejny bowiem udowodnił wyższość własnej doskonałej złotej maski nad zniekształconą cielesną maską swojego sługi i potencjalnego przeciwnika. Szrama na twarzy Wulfila była dziełem człowieka, natomiast zżerająca go gangrena mogła być tylko dziełem Boga.

— Czekam — oświadczył Wortigern, a jego głos zabrzmiał posępnie pod maską. Niczym wyrok.

Wulfila wyszedł, po czym wezwał jednego ze swych żołnierzy i rozkazał mu, by przyniósł natychmiast to, o czym doskonale wie. Po chwili mężczyzna wrócił niosąc długą wąską skrzynkę z dębowego drewna nabijaną ćwiekami z oksydowanego żelaza, którą postawił u stóp Wortigerna.

Wulfila dał mu znak, by się oddalił, sam zaś podszedł do tronu i ukląkł, by otworzyć cenny futerał, w którym spoczywał obiecany podarunek. Podniósł wzrok na znajdującą się tuż nad nim niezgrabną maskę i w tamtej chwili oddałby wszystko, byleby móc zobaczyć skrywający się pod nią wyraz obleśnej chciwości.

— Oto mój dar, panie — powiedział otwierając wieko szybkim ruchem. — Oto chalibijski miecz Juliusza Cezara, pierwszego władcy świata, zdobywcy Brytanii. Teraz jest twój!

Wortigern nie potrafił się oprzeć czarowi tej wspaniałej broni, rżąc wyciągnął więc dłoń.

— Daj mi go, daj mi go!

— Już się robi, mój panie—odrzekł Wulfila, w którego oczach tyran dostrzegł, niestety za późno! czyhającą śmierć. Usiłował krzyknąć, lecz w tej samej chwili miecz

zagłębił się w jego klatce piersiowej przebijając serce, po czym utknął w oparciu tronu.

Wortigern osunął się bezwładnie nawet nie jęknąwszy, spod maski zaś pociekła mu strużka krwi, jedyna oznaka życia, która pojawiła się na tej nieruchomej twarzy — ironicznym zrzędzeniem losu właśnie w chwili śmierci.

Wulfila wydobył miecz z martwego ciała, kiedy zaś zdjął złotą maskę, jego oczom ukazała się zakrwawiona, niemal bezkształtna miazga. Następnie naciął skórę głowy i jednym ruchem zerwał mu białą grzywę. Zaciągnąwszy lekkie jak piórko zwłoki do okna, które znajdowało się w ścianie za tronem, zrzucił je na dziedziniec. W sali rozległo się ujadanie trzymanyh w zamknięciu wygłodniałych mastyfów, które przypominało jęki piekielne, po chwili zaś dało się słyszeć ich głuche warczenie, kiedy walczyły między sobą o liche mięso ich pana.

Wulfila zaś włożył złotą maskę, nakrył głowę białą grzywą Wortigerna i stanął z zakrwawionymi skrońmi, podobny do diabła, przed swoimi żołnierzami, którzy czekali już na niego przed zamkiem gotowi do walki. Wszyscy spojrzeli na niego w osłupieniu, gdy wskazał na swego konia i popędzając go do galopu wrzasnął:

— Na Caryetię!

XXXVI

Dwa dni później na dziedziniec przed zamkiem Kustennina wpadł z impetem jakiś jeździec na koniu przywożąc nieprawdopodobne wieści. Należał on do szpiegów, jakich Kustennin opłacał w Castra Vetera, był to bowiem jedyny sposób, by się dowiedzieć zawczasu o planowanych napadach najemników tyrana.

— Zawsze mówili, że Wortigern zawarł pakt z diabłem — wydyszał jeździec z oczyma wytrzeszczonymi ze strachu — i to prawda! Sam szatan przywrócił mu dawne

siły i wigor, ale dodał mu dzikości i nadmiernego okrucieństwa!

— Co ty opowiadasz? Oszalałeś? — wybuchnął Kustennin chwytając go za ramiona i potrząsając, jakby chciał przywrócić mu rozum.

— Nie, panie, niestety to prawda. Jeśli miałeś nadzieję na jego rychły koniec, pozbądź się złudzeń; on jakby... jakby zmartwychwstał. Jest opętany przez szatana, powiadam ci! Sam na własne oczy widziałem, jak ukazał się niczym jakaś koszmarna zjawą, ze złotą maską na twarzy, po skroniach zaś ciekły mu krew i pot. Miał tak tubalny głos jak nigdy przedtem, ale przede wszystkim trzymał w ręce tak cudowny miecz, jakiego w życiu nie widziałem: Cieniutka niczym brzytwa klinga odbijała światło pochodni jak przezroczyste szkło, rękojeść była w kształcie głowy orła, z czystego złota. Tylko archanioł Michał mógłby wykuć takie чудо. Albo sam diabeł.

— Spróbuj się uspokoić — poradził Kustennin. — Bredzisz.

— Nie, wierz mi, jest dokładnie tak, jak mówię. Stanął na czele dwustu jeźdźców w zbrojach, którzy prą naprzód siejąc strach, rabując, niszcząc z taką furią jak nigdy dotąd. Wybrałem najkrótszą drogę przez las Gpwan, jechałem bez wytchnienia dzień i noc, nie zatrzymując się i zmieniając konie w naszych posiadłościach. Ale sam słyszałem, jak wrzeszczał: „Na Carvetię!” Będą tu najdalej za dwa dni.

— Carvetia... Ależ to niemożliwe! Dlaczego miałyby być? Nigdy nie tknął tego miasta, bo jest mu potrzebne, a zresztą wszystkie najbardziej wpływowe osobistości mu uległy. To nie ma sensu, nie ma sensu... — Zastanawiał się w milczeniu przez kilka chwil, po czym rzekł: — Posłuchaj, wiem, że jesteś bardzo zmęczony, ale proszę cię o ostatnią przysługę. Jedź do starej rzymskiej przystani i porozmawiaj z rybakiem Oribazjuszem. To mój człowiek. Powiedz mu, żeby był gotów podnieść kotwicę jutro o świcie, żeby wziął na pokład zapas jedzenia i dużo wody, ile tylko zmieści. Ruszaj!

Mężczyzna wskoczył z powrotem na konia i oddalił się galopem, tymczasem Kustennin wszedł na górę, by uprzedzić żonę.

— Niestety mam złe wieści: właśnie jadą tutaj ludzie Wortigerna i obawiam się, że mojemu przyjacielowi Myrdinowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Nawet jeśli to jego wystąpienie wywołało wyprawę na Carvetię, i tak nie mogę pozwolić, żeby ów stary szaleniec zgubił siebie i tego biednego chłopca, nie mówiąc już o jego kompanach. Oni zresztą też muszą być nieźle pomyleni, skoro przyszli tu z nim aż z Italii.

— Ale zaraz zrobi się ciemno — jęknęła Egeria. — Czy to nie jest niebezpieczne?

— Muszę iść, bo inaczej dziś w nocy nie zmruję oka.

— Ojczy, czy mogę pójść z tobą? Proszę — powiedziała błagalnie Ygraine.

— Nie ma mowy — odparła Egeria. — Jeszcze będziesz miała niejedną okazję, żeby się spotkać z twoim młodym rzymskim przyjacielem.

Ygraine oblała się rumieńcem i odeszła rozdrażniona.

Egeria westchnęła i odprowadziła męża do drzwi, po czym nasłuchiwała zamyślona odgłosu jego kroków na schodach, następnie zaś na dziedzińcu.

Kustennin wyprowadził ze stajni swojego białego, szybkiego jak błyskawica wierzchowca. Wskoczywszy mu na grzbiet, podczas gdy słudzy otwierali bramę, pogalopował przez wieś skąpaną w szkarłacie ostatnich promieni zachodzącego słońca.

Na szczycie dominującego nad doliną i jeziorem wzgórza ukazała się forteca, jego wzrok zaś powędrował natychmiast ku łopoczącemu na najwyższej wieży sztandarowi przedstawiającemu smoka, który był symbolem dawnej kohorty sarmackich wojsk sprzymierzeńców broniących Wału Hadriana, a który później znalazł się na chorągwi jego legionu. Unosząca się nad nią smuga dymu świadczyła o tym, że stare mury tętnią życiem. Kiedy podjechał bliżej, brama się rozwarła, wszedł więc do środka, powitany

uściskiem wzruszonego Ambrozynusa, który przedstawił go kompanom.

— Już raz widzieliście mojego przyjaciela Kustennina, dla Rzymian Konstantynusa, niegdyś *dux bellorum et magister militum*, najdroższego i najwaleczniejszego przyjaciela z Brytanii, który mam nadzieję, zechce trochę u nas zabawić.

Nad wielkim ogniskiem piekło się kozłátko, mężczyźni odkrawali z niego czubkami mieczy po kawałku. Liwia miała jeszcze zawieszony u boku kołczan i łuk, z którego je zabiła. Panowała ogólna wesołość, toteż Kustenninowi ścisnęło się serce na myśl o tym, co miał im za chwilę powiedzieć.

— Usiądź—zapropozował Ambrozynus. — Poczęstuj się, mamy mnóstwo jedzenia.

— Ale nie macie czasu — odparł Kustennin — musicie uciekać. Wiem na pewno, że Wortigern zbliża się do Carvetii na czele dwustu jeźdźców w zbrojach. Może tu być nawet jutro wieczorem.

— Wortigern?—zdumiał się Ambrozynus. —Przecież jest za stary; nie utrzymałby się w siodle, nawet gdyby go przywiązali.

— Masz słusność. Ja też nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem od jednego z moich szpiegów. Chyba bredził mówiąc, że tyran zawarł pakt z diabłem. Podobno Szatan go opętał zwracając mu młodość i dawny wigor. A do tego wykuł jakoby dla niego jakiś fantastyczny, niespotykany miecz.

Aureliusz przysunął się bliżej.

— Skąd twój człowiek może wiedzieć, że chodzi o Wortigerna?

— Miał jego złotą maskę, która zakrywa mu twarz od ponad dziesięciu lat, i długie białe włosy, a jego tubalny głos pochodził z czasów młodości.

— Wspomniałeś coś o mieczu... — nalegał Aureliusz.

— Tak. Mój szpieg widział go wyraźnie, z bliska. Klinga lśni niczym kryształ, rękojeść jest ze złota, w kształcie głowy orła...

Aureliusz zbladł.

— Bogowie wszechmogący! — zawołał. — To nie Wortigern, ale Wulfila! I chce nas dopaść.

Wszyscy popatrzyli po sobie stropieni.

— Bez względu na to, kto to jest, musicie uciekać. W najlepszym razie dotrą tu najpóźniej za dwa dni. Posłuchajcie, jutro o świcie wsadzę moją rodzinę na łódź, która popłynie do Irlandii. Jest tam jeszcze miejsce dla dwóch, góra trzech osób. Dla Myrdina, chłopca i nie wiem, może dziewczyny... To wszystko, co mogę dla was zrobić.

Aureliusz wydał długie westchnienie i spojrzał na Ambrozynusa błyszczącymi oczyma.

— Może twój przyjaciel ma rację — powiedział. — To jedyne rozsądne wyjście. Nie możemy wiecznie uciekać, tym bardziej że już znajdujemy się na końcu świata. Dość tego, musimy się rozdzielić. Wszyscy razem bowiem tylko przyciągamy do siebie wszelkiego rodzaju wrogów i przeciwników. Zresztą nie mamy dokąd pójść. Odpuście, ty, chłopiec i Liwia, zaklinam cię. Ratujcie się. Teraz już żaden miecz nie jest w stanie go obronić.

Romulus wpatrywał się w niego tak, jakby nie wierzył własnym uszom, z oczyma pełnymi łez. Ambrozynus wszakże się zbuntował.

— Nie! — zawołał. — To się nie może tak skończyć. Przepowiednia nie kłamie, jestem tego pewien. Musimy tu zostać za wszelką cenę!

Wymieniwszy długie spojrzenie z Aureliuszem, Liwia zwróciła się do Ambrozynusa.

— Musisz pogodzić się z faktami — oświadczyła — ze smutną rzeczywistością. Jeśli tu zostaniemy, wszyscy zginemy, on też. — Po czym popatrzyła na pozostałych. — A ty, Watrenusie, co o tym sądzisz?

— Według mnie to, co mówicie, jest słuszne. Nie ma sensu się upierać. Ukryjmy w bezpiecznym miejscu chłopca i jego nauczyciela. A my jakoś damy sobie radę...

— Orozjusz? Demetriuszu?

Obaj przytaknęli.

— Batiatusie?

Olbrzym rozejrzał się wokoło oszołomiony, jakby nie mógł uwierzyć, że ta straszna i zarazem wspaniała przygoda dobiegła końca, że owa wielka rodzina, zresztą jedyna, jaką kiedykolwiek miał, wkrótce się rozdzieli. Spuścił głowę pragnąc ukryć łzy, pozostali zaś uznali ten gest za przyzwolenie.

— W takim razie... uważam, że decyzja zapadła — stwierdziła Liwia. — A teraz spróbujmy się przespać; jutro czeka nas męczący marsz bez względu na to, w którym kierunku pójdzie każde z nas.

Kustennin również wstał zamierzając się pożegnać.

— Pamiętajcie — powiedział. — Na starej rzymskiej przystani o świcie. Mam nadzieję, że noc przyniesie wam dobrą radę. — Chwycił konia za uzdę.

— Zaczekaj — rzekł naraz Aureliusz. Wspiął się na ganek, opuścił sztandar, po czym zszedłszy, złożył go starannie i wręczył Kustenninowi. — Zatrzymaj go, w ten sposób się nie zniszczy.

Kustennin chwycił sztandar, po czym wsiadł na konia i oddalił się galopem. Ambrozynus, który przyglądał się owemu smutnemu rytuałowi, położył dłoń na ramieniu Romulusa i przytulił go mocno, jakby pragnął go ochronić przed mrozącym mu serce wewnętrznym chłodem.

Aureliusz odszedł przepełniony wzruszeniem, Liwia zaś podążyła za nim. Przysunąwszy się doń w ciemności, pod schodami na ganek, musnęła jego wargi swoimi.

— Nie warto walczyć z tym, co nieuniknionej to los za nas decyduje i nie wolno nam przekraczać pewnych granic. Wracajmy do Italii i znajdźmy jakiś statek, który płynie na Morze Śródziemne. Wróćmy do Wenetii...

Aureliusz spoglądał na Romulusa siedzącego obok starca, który przytulał go mocno, okrywając płaszczem, i zagryzł wargi.

— Może ich jeszcze zobaczymy... Kto wie? — powiedziała Liwia dzieląc jego myśli. — *Sed primum vivere*, przede wszystkim żyć, nie sądzisz? — Objęła go ramionami, Aureliusz jednak się odsunął.

OSTATNI LEGION

— Nigdy nie porzuciłaś swojego planu, prawda? Czy nie rozumiesz, że kocham tego chłopca jak syna, którego nigdy nie miałem? I nie rozumiesz, że powrót na twoją lagunę oznacza dla mnie to samo co rzucenie się w morze ognia? Zostaw mnie samego, proszę... zostaw mnie.

Liwia odeszła z płaczem i schowała się w baraku.

Aureliusz wrócił na ganek i stanął na jednej z wieżyczek strażniczych. Była spokojna, pogodna i ciepła wiosenna noc, on jednak czuł w sercu chłód i rozpacz. Wolałby nie żyć, nigdy się nie urodzić. Długo tak stał zatopiony w myślach, 'niemal nieobecny, tymczasem nad Mount Badon wstał księżyc zalewając dolinę srebrnym światłem. Nagle podskoczył pod dotykiem czyjejś dłoni, po czym niespodziewanie zjawił się za nim Ambrozynus. Drewniane schody ani razu nie zaskrzypiały, podobnie jak galeria z luźnych desek. Aureliusz odwrócił się gwałtownie, jakby zobaczył ducha.

— Ambrozymis... czego chcesz?

— Chodź, idziemy.

— Dokąd?

— Poszukać prawdy.

Aureliusz pokręcił głową.

— Nie, zostaw mnie w spokoju. Jutro czeka nas długa podróż.

Ambrozynus złapał go za szatę.

— Pójdiesz ze mną natychmiast!

Aureliusz wstał z rezygnacją.

— Jak chcesz, przynajmniej potem dasz mi spokój.

Ambrozynus zszedł po schodach na otwartą przestrzeń, po czym ruszył szybkim krokiem do okrągłego kamienia otoczonego czterema monolitami, które w świetle księżyca wyglądały jak milczące olbrzymy. Dotarłszy do kamienia, dał znak Aureliuszowi, by usiadł, on zaś spełnił polecenie, jakby kierowała nim tajemnicza nieodparta siła. Ambrozynus nalał do pucharu jakiegoś płynu i podał mu go.

— Pij.

— Co to jest? — zapytał oszołomiony Aureliusz.

— Przepustka do piekła... jeśli czujesz się na siłach.

Aureliusz popatrzył mu w oczy, w rozszerzone źrenice, i poczuł, że wsysa go wir ciemności. Wyciągnawszy dłoń mechanicznym gestem, chwycił puchar i opróżnił go jednym haustem.

Ambrozynus położył mu ręce na głowie, dla Aureliusza zaś dotyk jego palców był jak dotyk ostrych pazurów, które wbijały mu się najpierw w skórę, następnie zaś w czaszkę, zaczął więc krzyżeć czując rozdzierający, nieznośny ból. Miał jednak wrażenie, że krzyczy we śnie — otwierał usta, lecz nie dobywał się z nich żaden dźwięk; ból został w środku niczym lew w klatce, rozszarpując go na kawałki. Następnie palce przebiły się aż do mózgu, druid zaś przemówił ostrym, świdrującym głosem.

— Wpuść mnie! — krzyczał, grzmiał, syczał. — Wpuść mnie!

Znalazłszy wreszcie drogę, krzyk eksplodował nagle w umyśle Aureliusza niczym wrzask agonii, po czym legionista opadł bezwładnie na kamień, z jego ust zaś dochodziło rżenie.

Obudził się w jakimś obcym miejscu, które spowijał gęsty mrok, rozejrzał się więc z przestrachem wokoło, szukając czegoś, co przywróciłoby go do rzeczywistości. Ujrzał ciemny zarys oblężonego miasta. Wokół murów wszędzie paliły się ogniska. Płonące iskry strzelały w niebo z głośnym sykiem. Wszystkie jednak dźwięki, dalekie i stłumione głosy drżały i były zniekształcone przez koszmarsenny.

— Gdzie ja jestem? — zapytał.

Za jego plecami rozległ się głos druida:

— W twojej przeszłości... w Akwilei!

— To niemożliwe — odparł. — To niemożliwe.

Teraz ujrzał w oddali ciemną sylwetkę zawałonego akweduktu i jakieś światło, które to pojawiała się, to znikowało między pilastrami i łukami. Za jego plecami znów odezwał się głos Myrdina Ambrozynusa:

— Spójrz, ktoś jest tam na górze.

Na te słowa jego wzrok wyostrzył się niczym wzrok nocnego ptaka: tak, na akwedukcie poruszała się jakaś

postać. Jakiś człowiek szedł z pochodnią po długim rzędzie arkad. Kiedy nagle się odwrócił, płomień oświetlił mu twarz.

— To ty! — powiedział głos za jego plecami.

Aureliusz poczuł, że porwał go niespodziewany wir, jakby był liściem na wietrze. A więc to on maszerował po rozwalonym akwedukcie, to on trzymał w ręku pochodnię, głos zaś, który rozlegał się w ciemnościach, głos, który znał, przyprawiał go o drżenie.

— Przyniosłeś złoto?

Zaraz też z ciemności wyłoniła się jakaś twarz: Wulfila!

— Wszystko, co mam — odrzekł. Po czym wręczył mu sakiewkę.

Tamten zważył ją w dłoni.

— Nie tak się umawialiśmy, ale... mimo wszystko wezmę ją.

— A moi rodzice?! Gdzie oni są? Umówiliśmy się, że... Wulfila spoglądał na niego niewzruszony; jego kamien- na twarz nie zdradzała żadnych emocji.

— Znajdziesz ich przy wejściu na zachodnią nekropolię. Są bardzo osłabieni; nie powinni się byli wspinać tak wysoko. — Odwróciwszy się na pięcie, zniknął w ciemnościach.

— Zaczekaj! — zawołał. Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Był sam. Dręczyły go wątpliwości. Płomień pochodni zadrżał.

— Nie miałeś wyboru...

Teraz znajdował się gdzie indziej, u stóp murów, przed furtką wychodzącą na wieś. Otworzył ją z ogromnym trudem, walcząc z rdzą i płataniną roślin i pnączy, które zastał ją nie wiadomo od jak dawna. Wreszcie wy dostał się na zewnątrz z pochodnią w ręku. Przed nim zaś rozciągała się nekropolia, stare, nadgryzione zębem czasu grobowce, porośnięte krzewami jeżyn i zielskiem. Obejrzał się nieufnie za siebie i na boki, po czym omiół wzrokiem otwartą przestrzeń przed sobą: wszędzie było pusto.

Zawołał cichym głosem:

— Ojciec... Matko!

W ciemnościach zawtórowało mu rżenie bólu — głos jego rodziców! Serce podeszło mu do gardła i popędził naprzód, aż w blasku trzymanej w dłoni pochodni stanął mu nagle przed oczyma przerażający widok: jego rodzice konali wisząc na słupach. Na ich ciałach widać było ślady okrutnych tortur. Ojciec podniósł głowę pokazując ociekającą krwią twarz.

— Zawracaj, synu! — zawołał ostatkiem sił.

Nie zdążył wszakże skończyć zdania, przebity mieczem przez Wulfilę, który wyłonił się zza jednego z grobowców. Nagle znikąd pojawili się inni barbarzyńcy otaczając Aureliusza. Poczuł ostrze noża przecinające mu ciało tuż pod obojczykiem, po czym upadł pod ciosem w kark, ostatnią zaś rzeczą, jaką widział, był miecz Wulfili zanurzający się w ciele jego matki. Nadal wszakże docierały do niego dźwięki — usłyszał głos barbarzyńcy, który popędział swych żołnierzy.

— Furtka otwarta, biegiem, miasto jest nasze!

A także tupot nóg wielu wojowników, którzy rzucili się do furtki, rozdzierające krzyki unoszące się nad miastem, jęki umierających, szczęk broni i trzask płomieni, które pożerały Akwileję!

Wrzasnął ze wszystkich sił, jakie mu jeszcze pozostały; był to krzyk przerażenia, nienawiści i rozpacz. Po czym znów usłyszał głos, który przeprowadził go przez to piekło, i znalazł się z powrotem na wielkim kolistym kamieniu mokry od potu, z bólem rozsadzającym głowę. Stał przed nim Ambrozynus zachęcając, by nie przestawał.

— Nie przerywaj... no dalej, dalej, zanim zamkną się drzwi do twojej przeszłości. Przypominaj sobie, Aurelianusie Ambrozjuszu Wentidiuszu, przypominaj sobie!

Aureliusz westchnął głęboko i usiadł przykładając dłonie do skroni, w których czuł łomotanie. Każde słowo sprawiało mu potworny wysiłek.

— Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim odzyskałem przytomność. Musieli mnie chyba uznać za zmarłego...

Oddech Aureliusza nieco się uspokoił. Podniósł dłoń do blizny, którą miał na piersi.

— Ostrze, które powinno było mi przebić tętnicę, przecięło jedynie skórę pod obojczykiem... Ale ból głowy był nie do zniesienia: rozrywające klucie... Nic już nie pamiętałem... Błąkałem się bez celu, aż zobaczyłem kolumnę uciekinierów, którzy usiłowali wydostać się na łodziach. Odruchowo podszedłem bliżej, żeby im pomóc. Wielu innych nadbiegało ze wszystkich stron starając się wsiąść na pokład za wszelką cenę, lecz o mało ich nie powywracali. Rzuciłem się na pomoc; byli tam starcy, kobiety, dzieci, zapadające się w błocie wśród płaczu, błagania, wołania tych, którzy stracili synów, braci, rodziców... — urwał wstrząśnięty, po chwili wszakże znów podjął: — Barbarzyńcy, którym nie dość było jeszcze rzezi Akwilei, wypadli teraz za bramy z zapalonymi pochodniami i pogalopowali ku plaży, aby wymordować również tych, co ocalili. Ostatnia z łodzi, przeciążona ponad miarę, zdążyła już odbić od brzegu, ale przewoźnik zostawił dla mnie ostatnie miejsce. Wyciągnąwszy ku mnie rękę, zawołał: „Prędko, wsiadaj!” W tej samej jednak chwili usłyszeliśmy wołanie jakiejś kobiety. „Zaczekajcie!” krzychała. „Zaczekajcie, na miłość boską!” Biegła ku nam, podczas gdy woda sięgała jej prawie do pasa, ciągnąc za sobą dziewczynkę, która płakała z przerażenia. Pomogłem jej wsiąść i wziąłem na ręce dziewczynkę, żeby matka mogła uchwycić się dłoni przewoźnika. A kiedy tylko zajęła miejsce, oddałem jej dziecko. Mała zaś, przerażona na widok ciemnej wody, wyciągnęła rączkę do matki, ale drugą nadal kurczowo trzymała mnie za szyję. I w ten sposób... zerwała mi wisiorek, który nosiłem... wisiorek z orłem... znakiem mojego oddziału i mojego zburzonego miasta. Ta dziewczynka to była Liwia!

Ambrozynus pomógł mu wstać i zrobić kilka pierwszych kroków, jakby był chory. Obaj mężczyźni ruszyli wolno do obozu.

— Zostałem pojmany — ciągnął Aureliusz — i wzięty do niewoli, aż pewnego dnia odzyskałem wolność po ataku Legionu Nova Invicta, który od tamtej pory stał się moim domem, rodziną, całym życiem.

Ambrozynus otoczył swego towarzysza ramieniem, jakby pragnął go w ten sposób ogrzać.

— Otworzyłeś furtkę tylko dlatego, że chciałeś ocalić rodziców przed straszną śmiercią — powiedział. — Byłeś bohaterem Akwilei, tym, który bronił jej przez tyle miesięcy, i nikim więcej. Wulfila zaś był oprawcą twojego miasta i twoich rodziców.

— Zapłaci za to — odparł Aureliusz — aż do ostatniej kropli krwi. — Kiedy mówił te słowa, jego oczy były zimne jak lód.

Kiedy stanęli przed bramą obozu, Ambrozynus zastukał w nią kosturem. Otworzyli im Liwia i Romulus, który czuwał wraz z nią.

— Znalazłeś to, czego szukałeś? — zapytała Aureliusza dziewczyna.

— Tak — odrzekł. — Mówiłaś prawdę.

— Miłość nigdy nie kłamie. Nie wiedziałeś o tym? — Objąwszy go mocno, jęła całować w usta, w czoło, w oczy, z których jeszcze nie zniknął wyraz zgrozy.

Ambrozynus zaś zwrócił się do Romulusa.

— Chodź, mój chłopcze — powiedział. — Chodź, musisz postarać się zasnąć.

Obóz był pogrążony w ciszy. Każdy siedział samotnie, czuwając w tę spokojną wiosenną noc, czekając, aż słońce objawi im nowe przeznaczenie. Albo ostatnie.

— Nie zostawiaj mnie samej dziś w nocy — rzekła Liwia. — Proszę cię.

Aureliusz przytulił ją mocno, po czym wziął za rękę i zaprowadził do swojej kryjówki.

Stali teraz naprzeciw siebie, przenikające zaś przez podziurawiony dach promienie księżyca odnajdywały w mroku zachwycającą twarz Liwii, pieścąc ją bladym światłem, otaczając jej głowę magiczną aurą, jasnym srebrnym blaskiem. Rozwiąawszy tasiemki szaty, podziwiał jej nagość, pieścąc w zachwycie najpierw wzrokiem, potem dotykiem jej posągową urodę i boskie ciało. Ona także rozebrała go powoli, z oddaniem i niecierpliwym oczekiwaniem panny młodej. Musnęła lekko jego spiżowe ciało, jej

OSTATNI LEGION

palce przebiegły przez ów udreńczony pejzaż, przez skórę pooraną niezliczonymi bliznami, mięśnie zgrubiałe od niekończących się krwawych ordaliów. Po czym położywszy się na nędznym pośłaniu ze słomy przykrytym szorstką derką, pozwoliła mu wejść w siebie, wyginając się w łuk niczym dzika klacz, i wbijając mu paznokcie w plecy poszukiwała jego ust. Kochali się bez końca, drżąc z niezaspokojonego pożądania, czując nawzajem swój gorący oddech i gorącą bliskość ciała. Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie wyczerpani, Aureliusz położył się obok Liwii, otulony zapachem jej włosów.

— Zakochałam się w tobie tamtej nocy — szepnęła Liwia — kiedy ujrzałam, jak stoisz samotny i bezbronny na brzegu laguny, czekając nieruchomo na swoje przeznaczenie. Miałam wtedy zaledwie dziewięć lat...

XXXVII

Obudziwszy się jeszcze przed świtem, Aureliusz ubrał się i wyszedł na obszerny pusty dziedziniec. Na jego widok, niczym za sprawą magii, wyłonili się z ciemności pozostali towarzysze, zbliżając się do niego, jakby czekali na jego ostatnie słowo. Żaden z nich nie zmrużył oka tej nocy.

Aureliusz przemówił pierwszy.

— Zmieniłem zdanie — oświadczył. — Zostaję.

— Co takiego?—zdumiał się Watrenus. — W głowie ci się poprzestawiało?

— Jeśli on zostaje, to ja też — oznajmił Batiatus zawieszając u pasa miecz i obosieczny topór.

— Rozumiem — powiedział Demetriusz. — Zostajemy, żeby zamaskować ucieczkę Romulusa i Ambrozynusa... Słusznie.

— Słusznie — powtórzył Orozjusz. — Dzięki temu Liwia także zdoła się uratować.

W tej samej chwili ukazała się Liwia w obcistym stroju amazonki, z łukiem przewieszonym przez ramię i kołczanem w dłoni.

— Aureliusz jest mężczyzną, którego kocham. Jeśli Bóg zechce, spędzę z nim życie, ale nie zamierzam go przeżyć. To moje ostatnie słowo.

Wówczas na środek wystąpił Romulus.

— Nie myślcie sobie, że ucieknę, skoro wy zostajecie — powiedział. Jego głos był stanowczy i zdecydowany, a nawet głębszy, jak głos mężczyzny. — Znosiliśmy razem wszelkie przeciwieństwa losu, teraz więc moje życie bez was straciłoby jakikolwiek sens. Tylko wy zostaliście mi na świecie, moi najdrożsi przyjaciele. Nic nie zdoła nas rozdzielić, a nawet gdybyście mnie przepędzili siłą, i tak bym wrócił. Będą musieli mnie związać, bo inaczej rzucę się z łodzi do morza i wrócę wpław, ja...

Ambrozynus podniósł dłoń prosząc o uwagę.

— Kocham tego chłopca jak własnego syna, a nawet bardziej, i w każdej chwili oddałbym za niego życie. Ale on jest już mężczyzną. Ból, strach, cierpienia i niedostatek sprawiły, że dojrzał. Zasługuje więc na przywilej decydowania o sobie, my zaś musimy uszanować jego decyzję. Ja uczynię to pierwszy. Wkrótce nasz los się dopełni w taki czy w inny sposób, ja zaś pragnę dzielić go z wami. To, co nas jednoczy, co sprawiło, że nie rozpierzchliśmy się wraz z nadejściem niebezpieczeństwa, jest silniejsze nawet od strachu przed śmiercią. Będzie nas to jednoczyć aż do końca i nawet nie umiem wam powiedzieć, co czuję słysząc te słowa. Nie mogę wam zaofiarować nic oprócz ogromnej miłości i rad, którymi Bóg wszechmogący zechce mnie natchnąć. Przykro mi z powodu mojego przyjaciela Kustennina, który będzie czekał na próżno na przystani. Bywają jednak spotkania, na które nie wolno nie przyjść, jak choćby to, na które właśnie się wybieramy.

Zapadła całkowita cisza nabrzmiała wzruszeniem, wszystkich zaś ogarnął głęboki spokój ducha, typowy dla kogoś, kto szykuje się do ostatecznego poświęcenia w imię miłości, przyjaźni, wiary i oddania.

Pierwszy odezwał się Watrenus, który zawsze mówił bez ogródek.

— No to bierzmy się do roboty — powiedział. — Nie zamierzam dać się zarznąć jak prosię. Mam ochotę wysłać do piekła paru tych nakrapianych łajdaków.

— Racja! — zawołał Batiatus. — Nigdy nie znosiłem tych nakrapianych kundli.

Ambrozynus nie potrafił ukryć zadowolenia.

— Wszyscy o tym dobrze wiemy, Batiatusie — stwierdził. — W takim razie chyba coś dla was mam, coś, co odkryłem dziś w nocy nie mogąc zasnąć. Chodźcie za mną.

Ruszył do pretorium, a za nim podążyła reszta kompanów. Weszli do dawnej kwatery dowódcy. Znajdowały się tam nadal stół, polowe krzesło, a także kilka zwojów pergaminu zawierających dokumenty kwatermistrzowskie oraz wyblakły portret przepięknej kobiety namalowany na desce i zawieszony na ścianie. Ambrozynus skierował się prosto do określonego miejsca w podłodze i odsunął plecioną słomianą matę. Pod nią zaś widniała kłapa włazu, podniósł ją więc i dał znak towarzyszom, by zeszli na dół.

Pierwszy pomaszerował Aureliusz, po czym jego oczom ukazał się niesamowity widok — arsenał legionu! Oto miał przed sobą ze dwadzieścia ułożonych w równym szeregu lśniących od smaru kompletów uzbrojenia wykonanych starym sposobem: pancerze, hełmy i tarcze, wiązki oszczepów o trójkątnych grotach, o dawnym kształcie, charakterystycznym dla wojsk Trajana i Hadriana. Ponadto rozebrane na części, ale niesłychanie skuteczne balisty i katapulty wraz z żelaznymi strzałami oraz sporo śmiercionośnych urządzeń z żelaza zwanych *lilia*, które miały trzy ostrza i z których robiło się zapory dla jazdy i piechoty wroga, chowając je w terenie.

— Moim zdaniem to twój największy wkład w nasze przedsięwzięcie — zawołał Watrenus klepiąc Ambrozynusa po plecach. — Z całym szacunkiem dla twojej znajomości filozofii. Jazda, przyjaciele, bierzmy się do roboty. Demetriuszu, pomożesz mi złożyć katapulty i balisty.

— Większość umieścicie po wschodniej stronie — rozkazał Aureliusz — bo właśnie stamtąd mogą zaatakować i tamta strona jest najsłabiej osłonięta.

— Orozjusz i Batiatus — ciągnął Watrenus — weźcie łopaty i oskardy i wbijcie „lilie” tam, gdzie wam powie Aureliusz, to on jest strategiem. Liwia, zanieś pociski na ganek, szczególnie strzały i oszczepy... i kamienie, wszystkie kamienie, jakie tylko znajdziesz. Niech każdy weźmie kompletną zbroję: hełm, napierśnik, jednym słowem wszystko; są w każdym rozmiarze. Oczywiście oprócz rozmiaru Batiatusa.

Batiatus rozejrzał się wokół skonsternowany.

— Ej, spójrzcie no tam, widzicie ten napierśnik dla konia? Stuknę go parę razy młotkiem i będzie leżał jak ulał.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem na widok olbrzyma, który podniósł jedną ręką ciężki pancerz dla konia bojowego, po czym zbiegł po schodach.

— A ja? — zawołał Romulus. — A co ja mam robić?

— Nic — odrzekł Watrenus. — Ty jesteś cesarzem.

— W takim razie pomogę Liwii — powiedział i zabrał się do noszenia oszczepów, naśladowując „przyjaciółkę”.

Aureliusz wszedł na górę ostatni i z miejsca zaczął przetrząsać zakurzone dokumenty, które zostały na stole. Jego uwagę przykuł szczególnie jeden z nich, zapisany pięknym, równym pismem. Znajdowały się na nim wersy: *Exaudime regina mundi, inter sidereos Roma receptapolos. ...** Był to początek *De reditu* Rutiliusa Namatianusa, ostatniego wzruszającego hymnu na cześć wielkości Rzymu, napisanego siedemdziesiąt lat wcześniej, w przeddzień najazdu Alaryka. Westchnął, po czym schował ów niewielki pergamin pod ubraniem, na sercu, niczym talizman. W tej samej chwili z włazu wychodził właśnie Ambrozynus. Aureliusz powiedział:

— Kiedy zobaczysz, że wszystko stracone, ukryj się wraz z chłopcem w tym włazie i zaczekaj, aż się skończy.

* „Posłuchaj mnie, Królowo świata, która znalazła się między biegunami firmamentu” (Rutilius Namatianus, *De reditu suo*, I, 3).

Kiedy się ściemni, idź do Kustennina i przyjmij jego pomoc. Romulus da się przekonać i być może uda wam się znaleźć jakąś kryjówkę, na przykład w Irlandii, i rozpocząć nowe życie.

— To nie będzie konieczne — odrzekł ze spokojem Ambrozynus.

Aureliusz pokręcił głową i wyszedł na dziedziniec, by pomóc towarzyszący.

Pracowali przez cały dzień — szybko, z niewiarygodnym zapałem, jakby każdemu z nich spadł z serca nieznośny ciężar. O zachodzie słońca zaś Aureliusz i jego żołnierze, wyczerpani ze zmęczenia, spoceni, brudni od ziemi i kurzu, podziwiali ukończone dzieło: katapulty i balisty ustawione w szeregu na przedpiersiu, stopy pocisków i oszczepów ułożone równiutko obok każdej maszyny, umocnienia przy balustradach, sporo łuków wraz ze strzałami, gotowych do ataku przed otworami strzelniczymi. O palisadę zaś oparte broje — lśniące, czyściutkie, czekające tylko, by je włożyć. Była wśród nich także broja Batiatusa, ulepszona na kowadlu za pomocą maczugi, wypolerowana i błyszcząca. Skonstruowana po to, by chronić pierś konia, miała osłaniać w bitwie tors czarnego Herkulesa.

Zjedli wspólnie wieczerzę siedząc wokół ogniska, po czym ułożyli się do snu.

— Wyśpijcie się wszyscy, bo jutro niechybnie staniecie do walki — powiedział Ambrozynus. — Ja będę czuwał. Ciągle mam dobry wzrok i jeszcze lepszy słuch.

Wszyscy spali. Batiatus z głową opartą o broję, obok ciepłego jeszcze paleniska kowalskiego. Liwia w ramionach Aureliusza, w jednym z baraków. Demetriusz i Orojusz w stajni, blisko koni. Romulus, otulony derką, pod dachem. Watrenus na przedpiersiu, w wieżyczce strażniczej.

Ambrozynus czuwał przy bramie, pogrążony w myślach. W pewnej chwili poczuł, że jego kompani śpią pogrążeni w głębokim śnie, otworzył po cichu bramę i podszedł do ogromnego okrągłego kamienia. Następnie zaczął układać na nim drewno, suche gałęzie i pnie, które

znalazł pod stuletnimi dębami. Po czym zbliżywszy się do ogromnego dębu bezszypułkowego, wyjął ze szczeliny w pniu wielki okrągły przedmiot i drewnianą pałkę. Bęben. Zawiesiwszy go na gałęzi, uderzył weń mocno pałką; rozległ się głuchy dźwięk, który poniósł się echem po górach niczym odgłos gromu. Potem uderzył drugi raz i trzeci i znowu.

Śpiący w obozie Aureliusz zerwał się z pośłania.

— Co to było? — zapytał.

Liwia chwyciła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

— To grzmot, śpij.

Odgłos jednak stawał się coraz głośniejszy, coraz głębszy i coraz bardziej łomoczący, zwielokrotniony przez echo, które odbijało się od ścian doliny, pastwisk i skał. Aureliusz ponownie nadstawił ucha.

— Nie — powiedział. — To nie jest grzmot, a raczej sygnał alarmowy... Tylko dla kogo?

Z wieżyczki odezwał się głos Watremisa.

— Chodźcie zobaczyć, prędko!

Wszyscy pochwycili broń i pobiegli na przedpiersie. Widoczny w oddali krąg megalityczny wyglądał, jakby się palił. Wewnątrz, między ogromnymi kamiennymi pilastrami, płonęło olbrzymie ognisko, wyrzucając w czarne niebo snop iskier. Na tle łuny dało się rozróżnić jakąś postać, która poruszała się niczym widmo.

— To Ambrozynus odprawia swoje czary — stwierdził Aureliusz. — A my myśleliśmy, że stoi na warcie. Ja wracam spać. Zostań, Watrenusie, dopóki nie wróci.

Mieszkający w rozrzuconych po wsi domostwach pasterze i chłopci, kowale i rzemieślnicy widząc ów ogień, ku zdumieniu swych żon i dzieci rozpalili następne ogniska, aż w końcu wszędzie, na wzgórzach i zboczach, od wybrzeża oceanu aż po Wał Hadriana, buchały w niebo płomienie.

Odgłos bębna dotarł wreszcie do uszu Kustennina, który natychmiast zerwał się z łóżka i jął nasłuchiwać. Podszedł do okna, kiedy zaś ujrzał ognisko, zrozumiał, dlaczego nikt nie przyszedł rano na przystań. Popatrzył na puste łóżko Egerii i Ygraine, pomyślał o łodzi, która o tej

porze żeglowała po spokojnych wodach niosąc je w bezpieczne miejsce. Otworzył kufer i wyjął srebrno-purpurowego smoka, po czym obudził sługę i kazał mu przygotować zbroję oraz konia.

— Dokąd jedziesz, panie, o tej porze? — zapytał sługa ze zdziwieniem.

— Spotkać się z przyjaciółmi.

— Więc dlaczego zabierasz miecz?

W tym safnym momencie wiatr przyniósł z daleka kolejny, tym razem silniejszy odgłos bębna.

Kustennin westchnął.

— Są chwile — odrzekł — kiedy trzeba wybierać między mieczem a sochą.

Zawiesiwszy miecz u pasa, zszedł po schodach ku stajniom.

O świcie Aureliusz, Watrenus i reszta kompanów, uzbrojeni po zęby, stali na przedpiersiu wpatrując się w milczeniu w horyzont. Tymczasem Romulus podchodził do każdego po kolei z kociołkiem dymiącej zupy, jako ostatniemu zaś nalał Aureliuszowi.

— Dobra? — zapytał.

Aureliusz spróbował jedną łyżkę.

— Dobra. Najlepsza, jaką mi kiedykolwiek podano w obozie wojskowym.

Romulus uśmiechnął się.

— Być może namęczyliśmy się na próżno. Być może wcale nie przyjadą.

— Może...

— Wiesz, co mi wpadło do głowy? Pięknie byłoby założyć tutaj naszą własną małą wspólnotę. Może pewnego dnia ten obóz stałby się wioską. Ja też mógłbym sobie znaleźć dziewczynę. Poznałem jedną w mieście, z rudymi włosami, wiesz?

— To wspaniale — uśmiechnął się Aureliusz — że zaczynasz myśleć o dziewczynach. To oznacza, że dorastasz, oznacza jednak również, że twoje rany się zablźniają, że wspomnienie rodziców przestaje być dla ciebie otwartą

raną, lecz staje się pogodnym obrazem, pełnym miłości, który będzie ci towarzyszył przez całe życie. Romulus westchnął.

— Tak, pewnie masz rację, ale nie skończyłem jeszcze nawet czternastu lat. Chłopiec w moim wieku potrzebuje ojca. — Nalał trochę zupy do miski i zabrał się do jedzenia, jakby chciał w ten sposób dodać sobie powagi. Od czasu do czasu wszakże zerkał spod oka na Aureliusza, by sprawdzić, czy on też na niego patrzy. — Masz rację — stwierdził. — Ta zupa wcale nie jest zła; to Liwia ją ugotowała.

— Domyśliłem się — odrzekł Aureliusz. — Ale powiedz mi, gdyby był tu teraz twój ojciec, o co byś go spytał?

— O nic szczególnego. Chciałbym z nim pobyc, zrobić coś razem jak my dwaj teraz, wspólnie się posilając, wiedzieć, że nie jestem sam, rozumiesz?

— Pewnie — odparł Aureliusz. — Mnie też brak rodziców, chociaż jestem o wiele starszy od ciebie.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu wpatrując się w horyzont. Po chwili Aureliusz przerwał ciszę.

— Wiesz co? Ja nigdy nie miałem dzieci i nie wiem, czy kiedykolwiek będę miał. Chcę przez to powiedzieć... nie wiadomo, co nas czeka i...

— Rozumiem. — Chłopiec skinął głową.

— Zastanawiałem się, czy...

— Czy co?

Aureliusz zdjął z palca pierścień z brązu z małą kameą i monogramem.

— Teraz wiem, że naprawdę do mnie należy. Że to pierścień rodowy i zastanawiam się... zastanawiam się, czybyś go przyjął.

Romulus spojrział na niego błyszczącymi oczami.

— To znaczy, że...

— Tak. Jeśli się zgodzisz, byłbym szczęśliwy uznając cię za własnego syna.

— Tutaj? Teraz?

— *Hic et nunc** — odparł Aureliusz. — Jeśli chcesz.

* *Hic et nunc* (łac.) — tutaj i natychmiast (przyp. tłum.).

OSTATNI LEGION

Romulus zarzucił mu ramiona na szyję.

— Z całego serca — powiedział. — Nawet jeśli... nie sądzę, żebym potrafił mówić do ciebie „ojcze”. Zawsze nazywałem cię Aureliuszem.

— Oczywiście, niech tak będzie.

Romulus wyciągnął prawą dłoń, Aureliusz zaś wsunął mu na kciuk pierścień, jako że wszystkie pozostałe palce okazały się za szczupłe.

— A więc-uznają cię za mojego syna Romulusa Augustusa Cezara Aurelianus Ambrozjusza Wentidiusza... Brytanika! Niech tak będzie do końca twojego życia.

Romulus jeszcze raz objął go za szyję.

— Dziękuję — rzekł poruszony. — Potrafię okazać ci szacunek, na jaki zasługujesz.

— Ale ostrzegam cię — odrzekł Aureliusz. — Od tej pory będziesz musiał słuchać moich rad, jeśli nie rozkazów.

Romulus już miał coś odpowiedzieć, kiedy nagle z najwyższej wieży dobiegł ich głos Demetriusza.

— Jada!

Aureliusz zawołał:

— Wszyscy na swoje miejsca! Romulusie, pójdziesz z Ambrozynusem; on wie, co ma robić. Jazda, przędj!

W tej samej chwili rozległy się długie dźwięki rogów, te same, które usłyszeli w Dertonie w dniu ataku Mleda, od wschodu zaś, na linii wzgórz, ukazał się długi szereg jeźdźców w zbrojach, którzy posuwali się naprzód równym krokiem. W pewnym momencie rozstąpili się przepuszczając gigantycznego wojownika w złotej masce na twarzy, dzierżącego błyszczący miecz.

Na znak Aureliusza Watrenus i Demetriusz załadowali katapulty i balisty.

— Patrzenie!—zawołał Demetriusz. —Ktoś nadjeżdża.

—Może chcą pertraktować! — odrzekł Watrenus wychylając się przez balustradę.

Zbliżał się ku nim mężczyzna na koniu w towarzystwie dwóch uzbrojonych żołnierzy, trzymając białą tkaninę przymocowaną do drzewca — znak rozejmu. Wszyscy trzej podjechali do palisady.

— Czego chcesz? — zapytał Watrenus.

— Mój pan Wortigern daruje wam życie, jeśli oddacie mu tego młodego uzurpatora, który twierdzi, że nazywa się Romulus Augustus, oraz osłaniającego go zbiegłego legjonistę o imieniu Aureliusz.

— Zaczekaj chwilę — odparł Watrenus — musimy się naradzić. — Po czym podszedł do Batiatusa i szepnął mu coś do ucha.

— No więc? — przynaglił wysłannik. — Co mam odpowiedzieć?

— Że się zgadzamy! — zawołał Watrenus.

— Tymczasem macie chłopca! — wykrzyknął Batiatus.

Przechylił się przez balustradę trzymając jakiś toból i zanim barbarzyńca zdążył się zorientować, co się święci, spuścił go na niego. Był to zawinięty w derkę głaz, który spadł mu prosto na głowę, zrzucając go na ziemię. Dwaj pozostali jeźdźcy zawrócili konie i pognali do swoich, podczas gdy Batiatus wrzeszczał za nimi:

— Zaczekajcie, to jeszcze nie wszystko!

— To ich rozwścieczy — stwierdził Aureliusz.

— A co za różnica? — zapytał Watrenus.

— Właściwie żadna. Bądźcie gotowi, nadjeżdżają.

Rogi zagrały ponownie, po czym jeźdźcy rzucili się naprzód szeroką tyralierą. Kiedy zaś znaleźli się w odległości ćwierć mili od obozu, rozstąpili się i spuścili w dół po zboczu taran ciągniony przez ośmiu mężczyzn na koniach.

— Chce powtórzyć manewr z Dertony! — zawołał Aureliusz. — Wszyscy do katapult!

Kiedy nieprzyjacielscy żołnierze wpadli na teren uzbrojony w *lilia*, rozpędzeni do granic możliwości, dwa konie znajdujące się na czele zwały się na ziemię, jeźdźcy zaś nadziali się na ostre szpikulce ukryte w trawie. Tymczasem taran zachwiał się nieco i skręcił w lewo nabierając coraz większej szybkości. Koła wszakże nie wytrzymały ciężaru i odpadły, pień przewrócił się i sturlał podskakując na skałach, po czym wpadł do jeziora.

Katapulty wystrzeliły swe ładunki, przebijając kolejnych czterech jeźdźców, którzy usiłowali zawrócić. Na przedpiersiu fortecy rozległ się ryk radości; zaraz po nim wszakże znów rozbrzmiały rogi. Jeźdźcy stanęli, naprzód zaś wysunął się oddział lekkobroej piechoty.

— Uwaga! — krzyknął Demetriusz. — Mają płonące strzały.

— Łuki! — rozkazał Aureliusz. — Zatrzymajcie tyłu, ilu zdołacie!

Piechota ruszyła biegiem w kierunku obozu i wkrótce stało się jasne, że składa się ona ze słabo uzbrojonych żołnierzy, których przeznaczeniem jest dać się zmasakrować, by otworzyć drogę ciężkiej jeździe. Idący za nimi wojownicy trzymali gotowe do strzału łuki, by trafić każdego, kto spróbuje uciec. Żołnierze piechoty spostrzegli *lilia*, ledwie pierwsi z nich padli na ziemię rycząc z bólu, z poprzebijanymi stopami. Rozdzieliwszy się na dwie grupy, by okrążyć niebezpieczny teren z obu stron, zaczęli wypuszczać płonące strzały, które leciały zataczając szeroki łuk. Wielu z nich poległo, gdy dosięgły ich pociski Liwii, wielu wszakże zdołało się schować za drzewami bądź skałami i trafić do celu. Drewniana palisada, która zdążyła wyschnąć na wiór przez tyle lat, natychmiast zajęła się ogniem. Pozostali żołnierze piechoty nadbiegli z drabinami, przygwoździły ich jednak kamienie wystrzelone przez balisty i grad oszczepów wypuszczonych z ganku.

Tymczasem jeźdźcy ruszyli niespiesznie. Najwyraźniej czekali, aż płonąca palisada runie, by wdrzeć się do środka.

Aureliusz zwołał swoją załogę:

— Nie mamy ani wody, ani ludzi do gaszenia ognia, a za chwilę Wulfila wyśle wojsko do ataku. Watrenus, ja, ty i Demetriusz pozabijajcie kogo się da za pomocą artylerii, a potem nie pozostaje nam nic innego, jak walczyć na zewnątrz: droga wolna od skorpionów* jest tam, gdzie ten mały jesion. Batiatusie, ty będziesz naszym taranem. Przedrzesz się przez środek, a my za tobą. Zaciągniemy ich

Skorpion — broń mająca strzały.

na najbardziej wyboisty teren, gdzie będą zmuszeni się rozdzielić i posuwać piechotą. Jeszcze jest nadzieja.

W tej samej chwili zawałił się fragment palisady wzbijając chmurę dymu i snop iskier, a nieprzyjacielska jazda puściła się naprzód galopem. Tymczasem na platformach podjechały katapulty i balisty, które wypuściły salwę pocisków zabijając pół tuzina jeźdźców, ci z kolei podcięli następnych, którzy runęli na nich. Kolejna salwa trafiła w gęstą ciżbę dokonując rzezi, następnie wystrzeliły łuki, nieco bliżej oszczepy, najpierw lżejsze, o dalekim zasięgu, potem cięższe, o krótkim. Chociaż wszędzie leżały martwe ciała, wrogowie nadal parli naprzód, teraz już pewni, że mogą zadać decydujący cios.

— Uciekać! — krzyknął nagle Aureliusz. — Przez bramę południową. Otoczymy ich z boku! *Ambrosine*, ratuj chłopca!

Natomiast na dole Batiatus, w zbroi, z głową i twarzą osłoniętą hełmem, zdążył już dosiąść swego olbrzymiego armorykańskiego rumaka, również pokrytego metalowym pancerzem, dzierżąc włócznię. To nie był jeździec na koniu, lecz machina bojowa. Wkrótce wszyscy stanęli za nim na swych wierzchowcach, ustawieni w szyku bojowym w kształcie klina.

— Teraz! — wrzasnął Aureliusz. — Uciekać!

Brama otworzyła się, kiedy pierwsi nieprzyjacielscy jeźdźcy znajdowali się niemal u celu. Spiąwszy konia, Batiatus puścił się galopem na otwartą przestrzeń zmierzając wprost do korytarza między skorpionami, za nim zaś popędzili jego kompani.

Tymczasem Romulus, wyswobodziwszy się z uścisku preceptora, wskoczył na swego żrebaka i trzymając nóż zamiast miecza pomknął naprzód, by dogonić towarzyszy i walczyć wraz z nimi.

Ambrozynus pobiegł za nim wołając:

— Stój! Wracaj!

Wkrótce sam znalazł się na otwartej przestrzeni. Tymczasem Batiatus szarżował na zastępy wrogich jeźdźców przewracając brutalnie tych, którzy zderzyli się z nim,

ponieważ usiłovali go powstrzymać. Przyjaciele podążali za nim wdając się w zażartą walkę, uderzając mieczami i tarczami każdego, kto się nawinał. Wulfila, który znajdował się jeszcze w wyższej części zbocza, na widok Aureliusza rzucił się na niego z obnażonym mieczem. Watrenus zaś dostrzegł kątem oka nadjeżdżającego z prawej strony Romulusa.

— Uciekaj na wzgórze! — krzyknął. — Uciekaj stąd, Romulusie!

Przerażony Ambrozynus, otoczony pędzącymi we wszystkich kierunkach jeźdźcami, pokuśtykał do występu skalnego, który miał po prawej stronie, aby sprawdzić, gdzie się podział chłopiec. Dostrzegł go na źrebaku, który galopował spłoszony ku kręgowi megalitycznemu.

Tymczasem Wulfila, który dopadł Aureliusza, wrzeszczał oszalały z wściekłości.

— Walcz, tchórze! Już mi się nie wymkniesz!

Zadał pierwszy, zabójczy cios mieczem. Batiatus ocalił go podnosząc tarczę — ciężką metalową płytę. Miecz uderzył w tarczę z ogromnym impetem, wzbijając snop iskier. W tejże chwili jeźdźcy z pierwszych szeregów wpadli do obozu przez wyłom w palisadzie przemykając wśród płomieni. Wyładowywali swą wściekłość na wszystkim, co się dało, podpalając baraki i wieżyczki strażnicze, które błyskawicznie zajęły się ogniem przypominając gigantyczne pochodnie.

— Nikogo nie ma! — zawołał nagle jeden z nich. — Uciekli. Prędko, za nimi!

Wdrapawszy się na skałę, Ambrozynus ujrzał Aureliusza, który walczył z rozpaczliwym męstwem z Wulfila. Tarcza Rzymianina rozleciała się na kawałki, klinga jego miecza zaś wykrzywiła się od ciosów niewyciężonej broni przeciwnika. Nagle jednak ponad zgiełk dzikich wrzasków, ponad szcęk oręża wzbił się ostry, przenikliwy dźwięk wzywającej do ataku buciny. W tej samej chwili na wschodnim zboczu wzgórza ukazała się lśniąca głowa, następnie purpurowy ogon smoka, a tuż za nim zwarty szereg wojowników, którzy zbliżali się z postawionymi na

sztorc włóczniami, ukryci za ścianą tarcz, przy każdym kroku wydając dawny okrzyk wojenny rzymskiej piechoty. Oto nadciągał pędzący Legion Smoka, który pojawił się znikąd, po obu stronach zaś podążały oddziały jazdy pod dowództwem Kustennina.

Wulfila zawahał się przez moment, co natychmiast wykorzystał Batiatus, który natarł nań całym ciężarem, sprawiając, że stracił równowagę, po czym pchnął go na bok, nim tamten zdążył zadać śmiertelny cios bezbron-nemu Aureliuszowi. Wulfila runął na ziemię, podnosząc się dostrzegł wszakże Romulusa, który spadł właśnie z konia i pobiegł do kręgu, by się tam ukryć. Czym prędzej zerwał się więc na nogi i ruszył za nim, jednakże Watrenus, który wyczuł jego zamiar, zastąpił mu drogę. Barbarzyńca ude-rzył go z przerażającą siłą przebijając tarczę i pancerz, z piersi Rzymianina zaś trysnął strumień krwi. Wulfila pomknął dalej wołając do swych żołnierzy:

— Osłaniajcie mnie!

Czterech z nich natychmiast rzuciło się na Watrenusa, który nadal walczył jak lew, cofając się zalany krwią, by oprzeć się o drzewo. Trafili go trzy razy, przybijając włóczniami do pnia.

— Niech was piekło pochłonie, łajdaki! — warknął jeszcze Rzymianin ostatkiem sił, po czym głowa opadła mu bez życia.

Pozostali kompani stanęli murem naprzeciw niewielkiej grupki wojowników, którzy ciągle zadawali ciosy z dziką zapalczywością. Aureliusz podniósł miecz jednego z zabitych i ruszył do boju próbując utorować sobie drogę do Wulfili, który pędził właśnie do kręgu megalitycznego, gdzie szukał schronienia Romulus. Demetriusz i Orozjusz, którzy usiłowali go osłaniać, padli jeden po drugim z wycieńczenia. Wprawdzie atak Batiatusa nie zdołał ich uratować, przełamał wszakże mur nieprzyjaciela, dzięki czemu Aureliusz zdołał wypaść na otwartą przestrzeń pędząc w kierunku megalitycznego kręgu. Otoczony ze wszystkich stron kolos obracał toporem odrąbując głowy i ręce, przebijając tarcze i zbroje, zalewając wszystko wokół krwią.

Kiedy czyjaś włócznia zagłębiła się w jego ramieniu, musiał wycofać się ku skale. Niczym niedźwiedź osaczony przez sforę psówj Batiatus ciągle zadawał ciosy z przerażającą siłą, chociaż wzdłuż lewego boku obficie ciekła mu krew. Widząc to pędząca na koniu Liwia zaczęła wypuszczać strzały jedną po drugiej, trafiając w plecy wrogów tłoczących się wokół rannego olbrzyma.

Wszędzie zażarta bitwa rozgorzała raz jeszcze. Nowi wojownicy posuwali się nieubłaganie naprzód trzymając wysoko sztandar ze smokiem, nieprzyjaciele zaś, oszołomieni ich niespodziewanym pojawieniem się, cofali się coraz dalej ku dolinie.

Tymczasem Ambrozynus, który dostrzegł manewr Wulfili, biegł ile sił w nogach na skraj pola bitwy, usiłując dopaść do kamiennego kręgu i wołając:

— Skryj się, Romulusie, skryj się, biegnij!

Romulus, dotarłszy do szczytu wzgórza, obejrzał się szukając wzrokiem przyjaciół w samym środku zaciętej bitwy.

Nagle wyrósł przed nim olbrzymi jeździec z długą grzywą śnieżnobiałych włosów i złotą maską na twarzy. Przerażający, oblepiony krwią i potem, pędził wprost na niego. Po czym niespodziewanie zerwał maskę odsłaniając szyderczo uśmiechniętą pokiereszowaną twarz. Wulfila! Romulus cofnął się przerażony ku jednemu z ogromnych pilastrów, wysuwając przed siebie dłoń z obnażonym nożem w słabej próbie obrony. Słyszał wprawdzie z oddali niespokojne okrzyki swego nauczyciela i zgiełk bitwy, jego wzrok wodził wszakże jak zaczarowany za śmiertelnym ostrzem, które unosiło się właśnie, by zadać cios. Wystarczyło jedno uderzenie miecza, by jego nóż upadł do stóp wroga. Romulus zrobił jeszcze kilka kroków do tyłu, aż uderzył plecami o pilaster. Oto jego długa wędrówka dobiegła końca. Niepokój, lęk, nadzieja — ostrze tego miecza zaraz położy wszystkiemu kres, i to w jednej chwili. Tymczasem popłoch i paniczny strach, które ogarnęły go w pierwszym momencie na widok bezlitosnego wroga, niespodziewanie ustąpiły miejsca tajemniczemu spokojo-

wi, kiedy gotował się, by umrzeć jak żołnierz. Kiedy zaś miecz opadał, by przebić mu serce, usłyszał gdzieś w środku głos Ambrozynusa, który mówił:

— Broń się!

Jakimś cudem zdołał wykonać błyskawiczny unik przed ciosem. Miecz wbił się w szczelinę w kamieniu i tam pozostał. Wówczas Romulus nawet się nie odwracając chwycił garść rozżarzonych węgli z olbrzymiego kamienia i rzucił nimi prosto w oczy Wulfili, który cofnął się wyjąc z bólu. Po czym znów w głowie chłopca zabrzmiał wyraźny i spokojny głos Ambrozynusa:

— Weź miecz.

Romulus spełnił polecenie, posłusznie złapał wspianą rękę ze złota i zamachnął się z siłą i opanowaniem. Klinga podążyła posłusznie za młodym ramieniem, kiedy więc Wulfila otworzył oczy, ujrzał chłopca, który przystawiał mu miecz do brzucha ściskając go obiema rękami, z jego otwartych ust zaś dobywał się okrzyk bardziej przeraźliwy niż zgiełk bitwy. Oszołomiony, patrzył z niedowierzaniem, jak klinga przebija jego ciało, zanurzając się w brzuchu z bulgotem rozrywanych wnętrzności. Poczuł, jak wychodzi przez plecy, ostra niczym dziki ryk owego chłopca.

Wulfila runął na kolana, Romulus zaś stanął nad nim zdyszany, przyglądając się, jak kona. Barbarzyńca poczuł jednak, że nienawiść ciągle jeszcze podsyca w nim iskierkę życia, że dostarcza energii potrzebnej do zwycięstwa, toteż chwyciwszy rękę miecza, wyjął go powoli z potwornej rany, ścisnął ją w dłoni, jednocześnie drugą ręką trzymając się za brzuch, po czym jął się posuwać do przodu wpatrzony w swą ofiarę, aby sparaliżować ją przerażającą siłą własnego wzroku. Już miał zadać cios, gdy ujrzał wychodzące mu z piersi inne ostrze, które ktoś wbił mu w plecy. Za nim stał Aureliusz. Był tak blisko, że mógł przemówić mu do ucha głosem zimnym i twardym niczym wyrok śmierci.

— To za mojego ojca, Korneliusza Aurelianusa Wentidiusza, którego zamordowałeś w Akwilei.

OSTATNI LEGION

Chociaż z ust pociekła mu strużka krwi, Wulfila nadal trzymał się na nogach, usiłując jeszcze podnieść miecz, który stał się ciężki, jakby był z ołowiu. Lodowate ostrze Aureliusza przebiło go ponownie na wylot wychodząc przez mostek.

— A to za moją matkę, Cecylię Aurelię Sylwię.

Wulfila zwałił się na ziemię wydając ostatnie rzęzenie.

Ku zdumieniu Aureliusza Romulus ukucnął i zanurzywszy palce w krwi nieprzyjaciela, namalował sobie na czole szkarłatną pręgę. Po czym uniósł miecz ku niebu z okrzykiem triumfu, który poniósł się echem po rozciągającym się u jego stóp zakrwawionym polu bitwy, głośny, czysty i ostry niczym dźwięk rogu wojennego.

Zadawszy wrogim oddziałom druzgocącą klęskę, legion podążał teraz w zwartym szyku w kierunku ogromnego kamiennego kręgu, idąc za chlubnym sztandarem, który przyzwał go z mroku i powiódł do zwycięstwa. Kustennin dzierżył w dłoni chorągiew, lśniąca w słońcu, które stało wysoko na niebie. Dotarłszy na szczyt wzgórza, zeskokczył z konia i wbił ją w ziemię obok Romulusa.

— Bądź pozdrowiony, cesarze! — zawołał. — Bądź pozdrowiony, synu smoka! Bądź pozdrowiony, Pendragonie!

Na jego znak wystąpiło czterech żołnierzy, którzy skrzyżowawszy na ziemi cztery włócznie, położyli na nich dużą okrągłą tarczę i postawili na niej Romulusa, po czym podnieśli go na ramionach na sposób celtycki, aby wszyscy mogli go zobaczyć. Wówczas Kustennin jął walić mieczem w swoją tarczę, a za nim cały legion: tysiące mieczy uderzały o tarcze z potwornym łoskotem, z tysięcy gardeł wyrwał się krzyk potężniejszy jeszcze niż ogłuszający szczęk broni, skandując w nieskończoność:

— *Ave, Caesar! Ave, Pendragon!*

Romulus z krwią Wulfili na czole i z błyszczącym mieczem w dłoni ukazał się żołnierzom jako istota mityczna, jako ów młody wojownik z przepowiedni, a ich niemilkący krzyk, odbity tysiącem ech o ściany gór, rozpałił mu wzrok gorącym płomieniem. Natychmiast jednak jego spojrzenie

powędrowało dalej, szukając przyjaciół, triumf zaś nagle wydał mu się czymś odległym, szalona euforia ustąpiła miejsca gorącemu wzruszeniu. Zeskoczył na ziemię i jął się przedzierać przez szeregi żołnierzy, którzy odsuwali się z szacunkiem, robiąc mu przejście. Kiedy szedł milczący i osłupiały przez usłane martwymi ciałami pole, nad doliną zaległa cisza. Omiatał wzrokiem ów przerażający pejzaż: ciała powykrzywiane w ostatnim spazmie agonii, rannych, konających. Oto olbrzym Batiatus z tkwiącą w ramieniu włócznią, wsparty o skałę, broczący krwią, u jego stóp zaś stos zabitych wrogów. Oto jego towarzysze, którzy polegli w nierównej walce: Watrenus, przygwożdżony do pnia drzewa trzema włóczniami, z oczyma ciągle wpatrzonymi w nieziszczalny sen, nierozłączni Demetriusz i Orozjusz, razem nawet po śmierci, leżący obok siebie. Wielu wrogów, którzy padli w pobliżu, zapłaciło za ich koniec najwyższą cenę.

I Liwia. Żywa, lecz ze strzałą wbitą w bok, oparta o skałę z twarzą wykrzywioną bólem.

Romulus wybuchnął płaczem; piekące łzy zalewały mu twarz na widok rannych i poległych towarzyszy, na widok przyjaciół, których już nigdy więcej nie zobaczy. Szedł dalej naprzód czując, jak oczy płoną mu od tych rozdzierających obrazów, po czym przystanął nad brzegiem jeziora. Małeńkie fale, ledwie pomarszczone przez wiatr, obmywały mu poranione stopy, liżąc czubek ociekającego krwią miecza. Nagle, niczym ciepły wiosenny wiatr, opanowało nim przemożne pragnienie pokoju. Zawołał więc:

— Nigdy więcej wojny! Nigdy więcej krwi!

Po czym obmył miecz wodą, aż zaczął lśnić jak kryształ. Wówczas wstał i jął nim wymachiwać zataczając coraz szersze koła, a następnie cisnął go z całej siły do jeziora. Klinga poszybowała w powietrzu rzucając w słońcu oślepiające refleksy i spadła niczym meteor wbijając się głęboko w porośniętą mchem skałę, która wystawała z wody na samym jego środku.

W tejże chwili ucichł wiatr, w gładkiej zaś tafli jeziora Romulus ujrzał magiczne odbicie dostojnej postaci swego

OSTATNI LEGION

mistrza, który zjawił się niespodziewanie z maleńką srebrną gałązką lśniąca mu na szyi. Niemal nie rozpoznał jego głosu, gdy powiedział:

— To już koniec, mój synu, mój panie, mój królu. Nikt nie ośmieli się więcej cię tknąć, ponieważ przeszedłeś przez lód, ogień i krew, podobnie jak ów miecz wbity w skałę, synu smoka, Pendragonie.

Taki oto przebieg miała zakończona zwycięstwem bitwa pod Mons Badonicus, który w naszym języku zowie się Mount Badon, pod dowództwem Aurelianus Ambrozjusza, skromnego człowieka, ostatniego Rzymianina. I tak oto spełniła się przepowiednia, która skłoniła mnie do wędrówki najpierw z mojej rodzinnej ziemi do Italii, po wielu latach zaś z powrotem z Italii do Brytanii, co niejednemu wydałoby się niemożliwe do wykonania. Mój uczeń zaś, który przez kilka dni był cesarzem Rzymian, skazanym później na dożywotnie więzienie, został królem Brytów i przybrał imię Pendragon, czyli „syn smoka”, ponieważ właśnie tak ujrzeli go i nazwali żołnierze ostatniego legionu w dniu swego zwycięstwa. Aurelianus pozostał u jego boku jako ojciec dopóty, dopóki nie zdał sobie sprawy, że imię Pendragon całkowicie przyćmiło imię Romulus i że sercem jego przybranego syna rządzi niepodzielnie miłość do Ygraine. Wówczas wybrał się w podróż wraz z Liwią, jedyną kobietą, którą w życiu kochał, i wszelki śluch po nich zaginął. Lubię myśleć, że wrócili do swej małej ojczyzny na wodzie — do Venetii, gdzie nadal mogli żyć jak Rzymianie, nie musząc przejmować barbarzyńskich obyczajów, i gdzie zbudowali przyszłość opartą na wolności i pokoju.

Korneliusz Batiatus również wyruszył wraz z nimi, być może jednak nie towarzyszył im do końca, być może zatrzymał się przy kolumnach Herkulesa, gdzie rozciąga się

jego rodzinna ziemia, Afryka. Nigdy nie zapomnę, że to właśnie ciepło jego serca przywróciło życie mojemu nieprzytomnemu chłopcu na oblodzonych szczytach Alp, i niechaj Bóg pozwoli mu spotkać na swej drodze ludzi równie szlachetnych i dobrych jak on.

Ziarno pochodzące z gnijącego świata zapuściło korzenie i wydało owoce na tej dalekiej ziemi na końcu świata. W chwili gdy piszę ostatnie stronicie niniejszego dzieła, syn Pendragona i Ygraine kończy właśnie pięć lat, przy narodzinach zaś nadano mu imię Artus, od Arcturiusa, co znaczy „ten, który urodził się pod gwiazdami Niedźwiedzicy”. Tylko ktoś, kto przybył z ciepłych mórz, mógł obdarzyć swego syna takim imieniem. Jest to dowód na to, że bez względu na swoje przeznaczenie człowiek nigdy nie rozstaje się z najintymniejszymi wspomnieniami, które towarzyszą mu aż do śmierci.

Wyparliśmy wrogów, nasze królestwo zaś rozszerzyło się na południe, obejmując miasto Caerleon, które mijaliśmy pierwsze po powrocie do Brytanii, ja jednak wolałem zostać tutaj, aby czuwać i medytować w tej wieży obok Wału Hadriana, wsłuchując się w głosy stłumione przez czas. Począwszy od owego krwawego i chlubnego dnia cudowny miecz nadal tkwi w skale i tylko ja znam w całości treść inskrypcji, która została na nim wyryta, jako że przeczytałem ją widząc go po raz pierwszy: *Cai. Jul. Caes. Ensis Caliburnus*, „chalibijski miecz Juliusza Cezara”.

Część napisu znajduje się w skale, a resztę liter w ciągu długich lat, kiedy miecz wystawiony był na działanie żywiołów, pokryły osad i porosty. Jedyne litery, jakie da się odczytać, to: *ES CALIBUR* i właśnie takim mianem określają go mieszkańcy tej ziemi, kiedy podczas mroźnych poranków lód jest tak gruby, że można po nim dojść aż na środek jezior a, do skały, by podziwiać ów niezwykły przedmiot. Powiadają, że w dniu, kiedy trzeba będzie znów zwalczyć zło, jedynie dłoń króla potrafi go wydobyć ze skały. Od zamierzchłych czasów pierwszej młodości upłynęło tak wiele lat, że ludzie przekręcili nawet moje pierwsze imię, które teraz brzmi Merlin. Moja dusza wszakże pozostała niezmieniona, jej przeznaczeniem zaś, jak zresztą duszy każdego człowieka

VALERIO MASSIMO MANFREDI

*stworzonego na obraz i podobieństwo Boga, jest światło
nieśmiertelności.*

*Śnieg na zboczach wzgórz zaczyna topnieć pod wpływem
słońca, a pierwsze wiosenne kwiaty otwierają swe kielichy
przed ciepłym wiatrem, który nadchodzi z Południa. Bóg
pozwolił mi doprowadzić moją pracę do końca, za co Mu
dziękuję. Tutaj kończy się moja opowieść. I być może właśnie
tutaj zaczyna się legenda.*

Upadek Cesarstwa Rzymskiego stanowi jedno z najbardziej obszernych zagadnień historii Zachodu. Jednocześnie ze względu na złożoną problematykę i brak dostatecznej liczby źródeł oraz świadectw na temat okresu, w jakim nastąpił jego ostateczny kres, jest ono jednym z zagadnień najbardziej tajemniczych. Ponadto chociaż tradycyjnie wydarzenie to uważa się za katastrofę, z punktu widzenia historii jest ono czymś zupełnie naturalnym. W istocie w 476 roku po narodzeniu Chrystusa nikt nie zdawał sobie sprawy, że nastąpił koniec świata rzymskiego, nie wydarzyło się bowiem nic bardziej wstrząsającego niż to, co działo się każdego dnia od wielu lat. Po prostu Odoaker, herulski przywódca, który zdeponował Romulusa Augustulusa, odesłał insygnia cesarskie do Konstantynopola, utrzymując, że jeden cesarz wystarczy aż nadto dla całego Imperium.

W niniejszej książce, będącej w dużej części owocem fantazji, starałem się ukazać olbrzymie znaczenie owego wydarzenia dla całej epoki, ale również zwrócić uwagę na powstanie nowych światów, nowych kultur i nowych cywilizacji, które wyrosły z ciągle jeszcze żywych korzeni świata rzymskiego. Wątek „arturiański” należy traktować jako przypowieść w jej czysto symbolicznym znaczeniu, ale nie tylko. Zostało bowiem stwierdzone naukowo, że wydarzenia, które dały początek legendzie o Artusie, spisanej

w średniowieczu przez Geoffreya of Monmouth, miały miejsce pod koniec V wieku w Brytanii i że wśród ich uczestników znajdował się tajemniczy i dzielny Aureliusz Ambrozjusz, *solus Romanae* („ostatni z Rzymian”), zwycięzca bitwy pod Mount Badon przeciw Saksonom i przodek Pendragona oraz Artura. Na ogół wyobrażamy ich sobie jako średniowiecznych rycerzy, w rzeczywistości jednak byli oni o wiele bliżsi rzymskiemu światu. Tradycja zaś, według której Bryto-Rzymianie z V wieku wielokrotnie na pomoc w walce z najeźdźcami z Północy i Południa wzywali cesarza i że odpowiadając na ich prośbę Aecjusz przysłał im dwa razy Germanusa, tajemniczą postać, na wpół świętego i na wpół wojownika, jest zgodna z prawdą. Z kolei inne postaci, jak choćby Celt Myrdin, czyli legendarny Merlin, zostały wzięte z epickiego *corpus* cyklu arturiańskiego, obracającego się wokół mitycznego miecza Excalibura, którego nazwę wybitni celtyści odczytali niedawno jako zlepek łacińskich słów *ensis caliburnus*, to znaczy „miecz chalibijski”, wyrażenie to zaś odnosi się do świata śródziemnomorskiego. Historia ta stanowi zatem mityczną i symboliczną hipotezę, mającą swe źródła w prawdziwych wydarzeniach, które w okresie zmierzchu świata antycznego mogły przekroczyć granicę owej strefy mroku, skąd wywodzi się mit arturiański.

Narracja prowadzona jest z punktu widzenia grupy rzymskich żołnierzy legionistów, spadkobierców tradycji, którzy postrzegają barbarzyńców jako okrutnych i niszczycielskich przybyszów; w tamtej epoce takie spojrzenie było bardzo rozpowszechnione. Krótkotrwałość królestw rzymsko-barbarzyńskich spowodowana była właśnie ową przepaścią, jaka istniała między narodami zromanizowanymi a najeźdźcami. Dzisiaj zamiast mówić o „najazdach”, używa się raczej słowa *Volkerwanderung*, czyli „migracje”, co i tak niczego nie zmienia, w dzisiejszych zaś obfitujących w konflikty czasach Zachód, który uważa się w pewnym sensie za nieśmiertelny (podobnie jak Cesarstwo Rzymskie w swych najlepszych dniach), powinien zastanowić się nad tym, że każde imperium prędzej czy później się rozpada i że

bogactwo jednej części świata nie może przetrwać kosztem nędzy pozostałych narodów. Tak zwani „barbarzyńcy” wcale nie pragnęli zniszczyć Cesarstwa, lecz stanowić jego część, co więcej, wielu z nich przelało krew w jego obronie, nie ulega wszakże wątpliwości, że sami się przyczynili do jego upadku pogrążając świat w długotrwałym chaosie i zepsuciu.

Sposób wysławiania się niektórych bohaterów powieści pozwala przypuszczać, że przetrwały w nich uczucia pogańskie, co pod koniec V wieku może się wydać mało prawdopodobne, jednakże w świetle późniejszych źródeł okazuje się wcale niewykluczone. Uczucia te należy traktować jako przywiązanie do tradycji i do *mos maiorum*, które być może nie całkiem wygasło.

Co do postaci Romulusa i wieku, w którym został zdetronizowany, a co do którego różne źródła podają sprzeczne informacje, wybrałem wersję *Excerpta Valesiana*, 38, opisującą go bez wątpienia jako dziecko: *Odoacar... deposuit Augustulum de regno, cuius infantiam misertus concessit ei sanguinem...* (Odoaker zdetronizował Augustulusa, lecz przez współczucie dla jego dziecięcego wieku darował mu życie...).

Czytelnik specjalista rozpozna w treści książki wiele źródeł w sporej części późnołacińskich: *Dzieje* Ammianusa Marcellinusa, *De reditu suo* Rutiliusa Namatianusa, *De gubernatione Dei* Salwiusza, *Historię wojen* Prokopiusza z Cezarei, *Historię dla Lausosa* Palladiusza, *In Rufinum* Klaudianiana, *Anonimo Valesiano*, *Kroniki* Kasjodora i *Vita Epiphanii*, ponadto wiele przypadkowych odniesień do Plutarcha, Orozjusza, świętego Ambrożego, świętego Augustyna, świętego Hieronima, jak również całą serię źródeł wczesnochrześcijańskich, które stanowiły podstawę „brytyjskiego” epilogu naszej opowieści: *Historia Ecclesiastica Gentis Anglorum* Bedy Wielebnego, *Comitis Chronicon* i *De exitio Britanniae* Gildasa.

Niechaj moje podziękowania przyjmą wszyscy ukochani przyjaciele, którzy wspierali mnie i dodawali otuchy

swymi radami i wiedzą: Lorenzo Braccesi i Giovanni Gorini z Uniwersytetu Padewskiego, Gianni Brizzi i Ivano Dionigi z Uniwersytetu Bolonskiego, Venceslas Kruta z Sorbony, Robin Lane Fox z New College, który wysłuchał całej opowieści podczas długiej podróży samochodem z Luton do Oksfordu; ponadto Giorgio Bonamente i doktor Angela Amici z Uniwersytetu w Perugii oraz moja była współpracownica Gabriella Amiotti z Uniwersytetu Katolickiego w Mediolanie. Rzecz jasna biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za błędy i niewłaściwe wybory, jakich dokonałem.

Na moją wdzięczność zasłużyli także: Franco Mimmi, który pomagał mi ze swego domu w Madrycie; Marco Guidi, z którym łączy mnie dawna i ciągle żywa przyjaźń i z którym często konsultowałem się w sprawie wątków dotyczących późnej cywilizacji rzymskiej w Brytanii; Giorgio Fornoni, który zgodnie z dziesięcioletnią już tradycją udzielił mi gościny w swoim wspaniałym alpejskim domu, zapewniając mi całkowite odosobnienie, abym mógł dokonać ostatecznej redakcji powieści. Nie mogę także nie wspomnieć o mojej żonie Christine, która nieustannie czuwała nad całym tekstem i której zawdzięczam jego krytyczną, uważną, ale i pełną czułości lekturę, jak również o moich agentach literackich Laurze Grandi i Stefanie Tettamantim, którzy towarzyszyli mi służąc pomocą krok po kroku, także w trudniejszych chwilach. Szczególnie ciepłe myśli należą się Paulowi Buonvinowi, którego muzyka towarzyszyła mi nieustannie w pracy nad książką, stanowiąc natchnienie dla najbardziej gwałtownych i dramatycznych scen.

Na koniec, *last but not hast*; podziękowanie dla Damiana dell'Albergo Ardesio, który karmił mnie szczerze swą wyborną kuchnią podczas pobytu w Alpach, oraz dla barmanki Giancarli z baru „Freeccia”, która każdego ranka pozwala mi rozpocząć dzień swym niepowtarzalnym *espresso*.